



---

*Deirdre Purcell*

---



---

*Ostatnie lato w  
Arkadii*

---

# Rozdział 1

---

Zeszłej nocy śniło mi się, że w Arkadii wszystko było jak dawniej. Ubiegłe dwa miesiące minęły jak gdyby nic się nie stało, a życie płynęło zwykłym, wręcz nudnawym trybem. Moją uwagę przykuł szczególnie jeden aspekt owego snu, a mianowicie to, że byłam szczęśliwa.

We śnie przygotowywałam wielką lasagne, Tom i Jack grali w skomplikowaną grę na laptopie Jacka, a w zamku chrobetał klucz Jerry'ego, który właśnie wracał z pracy. Działo się to w piątek, gdyż w pozostałe dni tygodnia i w niektóre weekendy mój mąż nie przychodził na obiad czy też na kolację, jak obecnie mówimy. Chcąc oddać mu sprawiedliwość, muszę zaznaczyć, że traktował piątkowe wieczory z wielkim przejęciem, chyba że akurat przebywał za granicą.

Włożyłam lasagne do piekarnika i odwróciłam się, żeby przywitać mojego męża. Miał długie, zmierzwiłe włosy, a jego twarz pokrywał bujny zarost. Zamienił się w zakłętego księcia z „Pięknej i Bestii”.

Obudziłam się z sercem w gardle, lecz zarówno w sypialni, jak i mojej w głowie panowała niezmacona cisza: krzyk również musiał stanowić część snu.

Z miejsca zrozumiałam, że nawiązanie do baśni wynikało z obejrzanego niedawno spektaklu. Było to jednak bez znaczenia, gdyż powoli odzyskiwałam normalne tętno, a wraz z nim poczucie rzeczywistości, w całym jej potwornym wymiarze. Spojrzałam na zegar stojący przy łóżku, minęło wpół do szóstej. Należąca do Jerry'ego połowa łóżka była pusta i zimna.

Z dużego pokoju na dole dochodził niebudzący wątpliwości jazgot rogów i trąbek. W chwilach zdenerwowania mój mąż zawsze słucha „Pierścienia Nibelunga”: wyobraziłam sobie, jak siedzi skulony na swym skórzanym fotelu „do słuchania”, łąpczywie zaciągając się papierosem. Rzucił palenie blisko sześć lat temu, lecz z powodu ostatnich wydarzeń znów wypala dwadzieścia, trzydzieści papierosów dziennie.

Przed laty cała nasza paczka kopciła jak jeden mąż, Fergus i Maddy, Rita i Ricky, Michael i ja. Bezmyślnie sięgaliśmy po fajkę, gdy zadzwonił telefon, przy

kawie albo herbacie oraz tuż przed pójściem spać, w ramach podsumowania przesiąkniętego nikotyną dnia. Jeszcze wcześniej Maddy, Rita i ja paliłyśmy jak smoki nad żółknącymi stertami urzędowych papierzysek, na długo przed nastaniem etosu antynikotynowego, a po latach, kiedy do Irlandii napływał zza oceanu trend pod hasłem „szanuj zdrowie”, w duchu zacierałam ręce, gdy w miejsce Michaela pojawił się Jerry, też palacz. Jeszcze nie musiałam rzucić papierosów!

Leżałam w łóżku, słuchając, jak melodia Wagnera faluje wokół, delikatnie stłumiona odległością i grubą warstwą drogiej wykładziny.

Uznanie dla muzyki to zasadniczo ocalały we mnie aspekt młodości. Na oko trudno byłoby to stwierdzić: od lat nie tknęłam Steinwaya w salonie, a co do wiolonczeli, dawniej jedyne przedmioty, który ratowałam z płonącego domu, nie widziałam jej od czasu, gdy została oddana na przechowanie po narodzinach Jacka, czyli blisko osiemnaście lat temu. (Zdana na łaskę firmy od przewodzących nawet nie zainteresowałam się losem instrumentu).

Maddy, Rita i ja opracowałyśmy sobie kiedyś rodzaj swoistej muzycznej „wymiany”: one zgadzały się pójść ze mną na koncert do Narodowej Hali Koncertowej pod warunkiem, że wybiorę się z Maddy na musical, a z Ritą na występ jednej z „ikon” popularnej sceny muzycznej, czyli Franka Sinatry, Neila Diamonda, Sandie Shaw lub Gartha Brooksa.

Rita z zachwytem wspomina koncert Diamonda na stadionie piłkarskim przy Lansdowne Road. Zachwyty - to nie do końca adekwatne określenie, zwłaszcza że przy tej okazji mało nie oszalała ze szczęścia. Wciąż mam przed oczami widok jej czerwonej, wełnianej czapki rozkołysanej nad futrzanym kołnierzem i czuję szarpnięcie, jakim poderwała mnie do tańca.

Najbardziej energiczna z nas trzech, tego wieczoru przeszła samą siebie, werbując spośród widzów (bez względu na wiek) garstkę ochotników, z którymi mimo przenikliwego chłodu odśpiewała na całe gardło „Sweet Caroline” i „Love on the Rocks”.

Pamiętam, jak zerknęłam na Maddy, wówczas tryskającą zdrowiem i bez reszty osłupiałą, gdy zauważyła, że sama również wydiera się ile sił w płucach. Serce kraja-

ło mi się na jej widok. Maddy to prawdziwa artystka, powinna była robić swoje. Czemu nie mogłyśmy lepiej jej pilnować? Do diabła z Fergusiem i jego „potrzebami”!

Nie mam zielonego pojęcia, dlaczego ów barwny incydent przy Lansdowne Road stanął mi przed oczami po... ilu to już? Czterech? Pięciu latach? I to w takim momencie. I dlaczego tak się nad nim rozwodzę?

Może dlatego, że tego lata brakowało mi równie nieskomplikowanych przyjemności. A może po to, by (zanim do reszty się rozkleję) zaznaczyć na samym początku, że bynajmniej nie stronię od dobrej zabawy.

Na przykład na tamtym koncercie, z chwilą gdy przestałam się obawiać śmieszności związanej z wymachiwaniem rękami w powietrzu, zapomniałam o wstydzie i bez wahania przyłączyłam się do reszty. A gdy tycia kropka w dole, czyli sam piosenkarz, po raz ostatni odszedł od fortepianu, wraz z pozostałymi urządziłam owację na stojąco, oklaskując także Ritę. (Która swoim zwyczajem przyjęła ów hołd z pobłażliwym wdziękiem królowej matki).

W głębi duszy mam ochotę dać się tak ponieść każdego dnia, stać się spontanicznie towarzyską i nieskomplikowaną ekstrawertyczką na wzór i podobieństwo przyjaciółki, lecz wychowanie i przeżycia z młodości narzuciły mi głęboko zakorzenioną powściągliwość. Moje dwie najbliższe przyjaciółki trafnie (i dość oględnie) określiłyby mnie jako najspokojniejszą z nas. W domu, w Arkadii, emanuję pewnością siebie, istna pani na włościach. Poza jego granicami mężnie nadrabiam miną, udając, że panuję nad sytuacją. Nic bardziej mylnego.

Gdzieś czytałam, że nieśmiałość to ostateczny przejaw egoizmu. Jest w tym żdźbło prawdy: ludzie nieśmiali, tacy jak ja, lewitują w ograniczonym kręgu samooceny („Lubią mnie?”) i potrafią precyzyjnie jak barometr, z dokładnością co do ułamka określić stosunek emocjonalny rozmówcy względem własnej osoby. W moim przypadku „trzecie oko” uaktywnia się w obecności trzech lub więcej osób. („Co ty pleciesz, kretynko! Wezmą cię za kompletną idiotkę!”) Bywa że w wyniku jego działań wręcz orbituję poza własnym ciałem.

Wiem, że przepraszająca mina na tak wczesnym etapie („bądźcie dla mnie wyrozumiali, okażcie mi sympatię, bo tak naprawdę jestem całkiem do rzeczy”) z miejsca mnie dyskwalifikuje.

Dosyć. Sami mnie ocenicie.

Maddy z całą pewnością akceptuje mnie z całym dobrodziejstwem inwentarza, ale Rita nie ustaje w wysiłkach, żeby mnie rozgryźć. Przy każdej okazji, jak sama to nazywa, „wyciąga mnie za uszy” i choć szanuje mój gust muzyczny, wychodzi z założenia, że upodobanie do „pieśni pogrzebowych” ma zdecydowanie ujemny wpływ na psychikę. Tak więc jestem ciągnana nie tylko po „jej” koncertach, ale i do cyrku. Chwała Bogu za bojową, żywiołową Ritę. I za Maddy też, a jakże. Chwała za obie przyjaciółki i ich wsparcie. Bez nich oklapłabym jak przekłuty balon, z dala od reszty świata; bo Jerry zawsze stroni od towarzystwa i spotkań z osobami, z którymi nie łączą go bliższe stosunki.

Tego ranka nie zeszłam na dół, aby go pocieszyć, gdyż wyczerpałam zasób słów stosownych na tę okazję, a poza tym nadal targają mną sprzeczne uczucia. Pewnie zabrzmiałoby to nieco melodramatycznie, ale moje serce spłonęło doszczętnie. Poważnie. Zupełnie jakbym miała w środku ziejącą, wypaloną dziurę.

Gdy to mówię, mija pięć godzin od tamtego okropnego przebudzenia. I kiedy siedzimy tak, mąż i ja, w salonie w Arkadii, wpatrzeni w postrzępiony całun mgły pełzającej nad zszarzałą, nieruchomą taflą wody, nie czuję kompletnie nic.

Myśli z wolna, wręcz leniwie płyną w mojej głowie, bez związku z traumatycznymi wydarzeniami ostatnich tygodni i miesięcy. Obecnie jestem zdana na łaskę innych, toteż wszelkie refleksje i zmartwienia pozostają bez wpływu na to, co zdaje się nieuchronne.

Szukam ucieczki w rutynie. Jeśli znajdę kogoś do opieki nad Tomem (który osiągnął etap, że wzbrania się przed opiekunką, choć nadal jej potrzebuje), mogłabym po południu zagrać w tenisa, ale tylko jeśli mgła się podniesie. Nie, w zasadzie mogłabym zagrać bez względu na mgłę.

Mogłabym zadzwonić do Rity lub Maddy albo do jednej i drugiej i umówić się w mieście na kawę. Albo wyskoczyć razem do któregoś z centrów handlowych przy M50. Od wieków nie byliśmy w Dublinie na takim wypadzie.

Mogłabym pójść do kina. Nie pamiętam, kiedy ostatnio widziałam jakiś film.

Albo nie, może zacznę segregować odzież. Worki ze sklepiku charytatywnego łpią na mnie oskarżycielsko za każdym razem, gdy idę korytarzem.

Jerry, który siedzi naprzeciw mnie, skurczył się jakby i zapadł w sobie. Ma ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, ale dziś wydaje się drobny jak staruszek, chociaż dopiero skończył pięćdziesiąt lat. W zwykły dzień o tej porze byłby w pracy i zarządzał wszechświatem.

Co też ja plotę.

Jak to się zaczęło?

Od czego mam zacząć?

Byłam starą maleńką. Z wczesnych zdjęć wyziera posępna twarz dziewczynki brzydko ostrzyżonej „na okrągło”, z pionową zmarszczką między zbyt przenikliwymi ślupkami. Wskazówki mojego wewnętrznego zegara zaledwie drgnęły, toteż będąc obecnie kobietą w średnim wieku, czuję się równie dojrzała (i strapiona) jak wówczas, gdy liczyłam sobie siedem lat.

Bynajmniej nie sugeruję, że miałam smutne dzieciństwo ani że nigdy się nie uśmiechałam. Nie. Jestem wdzięczna losowi za to, co był łaskaw mi dać.

I kocham Jerry'ego. Naprawdę. Nie mam co do tego wątpliwości. I tak jak Arkadia stanowi dla mnie opokę w zgoła niepewnej rzeczywistości, próbuję znaleźć oparcie również w miłości do męża, cokolwiek się stanie.

Nie rozpocznę opowieści od dnia, kiedy przyszłam na świat. To nie jest historia mojego życia, lecz próba ogarnięcia chaosu, który zaistniał dokoła. Nie wątpię, że Maddy i Rita przedstawią wam swoją wersję wydarzeń, które rozegrały się ostatniego lata. Opowiedzą wam, jak poradziły sobie z nimi... i ze mną. Szczęściem żadna z nas wcześniej nie miała wglądu w tę zgoła świetlaną przyszłość.

Ja ze swojej strony postaram się odtworzyć zdarzenia, rozmowy i uczucia, w miarę, jak następowały. Spróbuję powstrzymać się od aluzji, o ile to w ogóle możliwe. Moim zdaniem nie przeżywamy życia według zasad chronologii: w miarę upływu lat życie jawi mi się w postaci continuum, gdzie wydarzenia sprzed dwudziestu, trzydziestu lat koegzystują z tym, co stało się wczoraj, a nawet dzieje się w tej chwili. Rzecz jasna nie jestem tu odosobniona; umysły nas wszystkich funkcjonują jednakowo, czy zdajemy sobie z tego sprawę, czy nie.

Tak czy inaczej, opowiem tę historię zarówno na wasz, jak i własny użytek, głównie w ramach próby zrozumienia tego, co sprawiło, że siedzimy tu w oczekiwaniu na policję, zbyt odrętwiali, by odezwać się choćby słowem.

Trudno określić dokładny początek, dlatego najlepiej cofnę się do pewnego majowego dnia, kiedy wyjechaliśmy do Collioure.

## Rozdział 2

---

Dźwięczny, wibrujący głos osobistej asystentki mojego męża z miejsca budził skojarzenie z klarnetem, którego lekko płacziwe, dziewicze nuty pokochałam od chwili, gdy usłyszałam je po raz pierwszy.

Chociaż Susan pracowała dla Jerry'ego od ponad dziewięciu miesięcy, nigdy nie prosiłam, żeby ją opisał. Jeszcze wpadłoby mu do głowy, że jestem zazdrosna. Jasne, przedstawiłyśmy się sobie przez telefon i często rozmawiałyśmy, czasem nawet codziennie, gdy trzeba było zgrać sprawy domowe z zawodowym harmonogramem męża.

W którymś momencie napomknął, że jest bystra i ładnie się ubiera, a gdybym miała odgadnąć, jaka osoba kryje się za owym melodyjnym, z lekka ochrypłym głosem, bez wahania postawiłabym na wysoką, smukłą brunetkę. Jednakże tamtego zwariowanego, majowego dnia, kiedy przypadał nasz wyjazd, myśl o wyglądzie Susan nawet nie powstała mi w głowie.

Rita utrzymuje, że mózg kobiety radzi sobie z siedmioma czynnościami jednocześnie. Istotnie, podczas tamtej rozmowy przyjąłam strategię wielozadaniową, odhaczając pozycje na fruujących świstkach z różnymi listami „z ostatniej chwili” i co rusz wykrzykując polecenia chłopcom, którzy wciąż miotali się na górze.

- Właśnie miałam do pani dzwonić, pani Brennan - usłyszałam, gdy tylko odebrała telefon. - Samochód czeka. Wyjedzie stąd za jakieś pięć minut.

- Świetnie. - Odhaczyłam wyciskarkę do czosnku. Nigdzie się bez niej nie ruszam: odkryłam, że bez względu na wyśrubowany standard hotelu porządna wyciskarka do czosnku to z reguły prawdziwa rzadkość.

- Mam pani przekazać, że Jerry dołączy do was przed odprawą. Ma jeszcze kilka spraw do załatwienia.

Postawiłam czerwony znaczek przy „płynie do szkieł Jerry'ego”. Ostatnio przerzucił się na kontaktówki i strasznie się z nimi ceregielił.

- Dobrze. Dzięki, Susan.

- Życzę udanych wakacji, pani Brennan. - Nigdy nie mówiła do mnie „Tess”.

- Oby, jeśli tylko zdołamy wyruszyć! - „Złote sandały”. „Krem z wysokim filtrem”. „Ładowarka do komórki”. Odhaczone. - Na razie! - Odłożyłam słuchawkę.

Spędzaliśmy razem wakacje od dziesięciu lat, trzy pary wraz z dziećmi. Wypożyczyliśmy dwa minibusy i za każdym razem wybieraliśmy inne miejsce. Zasadniczym kryterium wyboru był basen, a także wystarczająca liczba sypialni (minimum sześć), w tym trzy apartamenty dla dorosłych, ekipa sprzątająca, wyżywienie na miejscu oraz najwyższej godziny drogi do najbliższego pola golfowego. Dla młodzieży liczyły się telewizja satelitarna oraz Internet na wypadek deszczu, no i niewielka odległość od plaży, żebyśmy nie musieli bez przerwy odwozić towarzystwa. Warto też wspomnieć o większym mieście w pobliżu, gdzie my, dziewczyny, mogłybyśmy zapolować w sklepach.

Poza tym istniała jedna zasada, wprowadzona przed trzema laty przez trzy kobiety: każde z nas zabiera tylko jedną walizkę. Miało to na celu ukrócenie rywalizacji pomiędzy uczestniczkami wyprawy (zwłaszcza córkami Rity) w kwestii tego, która wygląda wieczorami najbardziej olśniewająco.

Rita i ja postawiłyśmy na swoim. Chodziło po prostu o to, że nie chciałyśmy zawstydząć Maddy, która nie dysponuje równie obfitą garderobą jak my. Ma na głowie dość kłopotów, żeby jeszcze zamartwiać się brakami w sferze ciuchów. To pozornie bez sensu, ale przyjaciółki przywiązują wagę do podobnych spraw.

Raz jeszcze przeczytałam ostatnie wytyczne dla pani Byrne, mojego domowego skarbu, która podczas naszej miesięcznej nieobecności będzie dwa razy w tygodniu (zamiast zwyczajowych trzech) doglądała gospodarstwa. Chciałam, żeby spakowała



stare ręczniki i pościel i w drodze do domu zniosła je do organizacji charytatywnej. Aha, no i zasłony z salonu do pralni...

Wyrwałam z notesu czystą kartkę.

*Jeśli starczy pani czasu, pani B., prosiłabym również (o ile pogoda dopisze, cha, cha!) o wytrzepanie dywanów z salonu, jadalni i gabinetu.*

Pani Byrne pracuje u nas, odkąd wprowadziliśmy się do Arkadii.

Przygryzłam końcówkę długopisu i naskrobałam pospiesznie:

*To by chyba było na tyle. Poza tym to, co zwykle. Proszę nie zapomnieć o podlewaniu fikusa i wyrzucić z lodówki wszystkie produkty, którym kończy się data ważności. W suszarni jest trochę rzeczy do prasowania. Zostawiam włączoną pralkę, bardzo proszę o rozwieszenie rzeczy. Mam nadzieję, że wszystko będzie w porządku. Do zobaczenia siedemnastego czerwca! Przywiozę pani papugę!*

Dołączyłam kartkę do okazałego pliku pod magnesem na lodówce, a następnie rozejrzałam się po swojej ładnej, pastelowej kuchni i wolno stojących szafkach z wypukłym prostokątnym deseniem, nad którymi wisiały suszone zioła i lawenda. Zza drzwi prowadzących do pralni dobiegał miły szum pralki - wszystko funkcjonowało bez zarzutu.

Poczułam znajomy ucisk pod mostkiem: żeby tak mama widziała, jak mi się układa! Zachwyciłaby się Arkadią, bez dwóch zdań. Nie ma dnia, żebym o niej nie myślała i nadal mi jej brakuje, mimo upływu blisko czterdziestu lat. Na tym etapie życia trudno mi rozdzielić jej prawdziwy obraz od wymagowanego. Po raz tysięczny zadałam sobie w myślach pytanie, co pomyślałaby o Jerry'ym.

Ostatni rzut oka na śliczną kuchnię i wybiegłam na korytarz.

- Jazda, chłopaki! - wrzasnęłam, stając u stóp schodów na piętro. - Samochód podjedzie za pięć minut. Zbierać się!

- Nie mogę znaleźć swoich wranglerów, mamusiu. - Znad balustrady wychynęła głowa Toma ubranego tylko w slipki.

- Nie ma czasu, skarbie. Kupimy ci nowe w strefie wolnocłowej, dobrze?

- Żałosne! - Jack wyszedł ze swojego pokoju, znajdującego się obok sypialni brata, i zbiegł po schodach. - Na jakim ty świecie żyjesz, mamo? Przecież nie wyjeżdżamy poza Unię. Nie możemy kupować w strefie wolnocłowej.

Rozległ się dzwonek do drzwi. Otworzywszy Mickowi, szoferowi Jerry'ego, pognałam na górę do sypialni Toma, który z furią trzaskał szufladami.

- Szybko, ale już! Bo samolot nam ucieknie!

- Spieszę się, mamusiu! - Aż dziw bierze, ile sarkazmu mieści się w rozzłoszczonym jedenastolatku.

Wreszcie wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy. Pomięłam milczeniem piłkarską koszulkę Toma oraz jego zgniłozielone bermudy i jednym spojrzeniem uciszyłam Jacka, który drwiąco uniósł brew.

- Do widzenia, domku! - szepnęłam, gdy brama zamknęła się za naszymi plecami i pomknęliśmy w dół zbocza w kierunku wioski. Powtarzam to przy każdym wyjeździe, taki mój mały przesąd. Ogarnia mnie wtedy uczucie, jakby Arkadia, z kamiennymi słupkami w oknach, wdzięcznym portykiem i pięknym ogrodem, stanowiła coś w rodzaju mirażu. I jeśli nie oddam jej swoistego hołdu, rozplynie się jak mgła, a ja wyląduję z powrotem w Ballina.

Kiedy agentka nieruchomości wozila mnie po Howth w ramach poszukiwania domu, jej entuzjastyczny słowotok pod adresem każdej zawilgoconej rudery wprowadził mnie w istną rozpacz. Niektóre z bungalowów miały ładną lokalizację, cudowny widok na morze, ale tak na dobrą sprawę należałoby je zburzyć i postawić na nowo. Te w dobrym stanie, które jakoś się prezentowały, albo tkwiły w podmokłych jarach, albo też skandalicznie małe działki wokół budynków wykluczały urządzenie choćby symbolicznego ogródka.

Pod koniec objazdu stanęliśmy na szczycie Howth Head. Daleko w dole potężny kontenerowiec rozkołysał płynący w ślad za nim prom z samochodami: obydwie kierowały się w stronę portu w Dublinie. Nad naszymi głowami samolot linii Aer Lingus szykował się do lądowania. Udało mi się przekonać Jerry'ego, że spośród wszystkich miejsc na obrzeżach Dublina powinien wybrać właśnie to. Owego słonecznego, zimowego dnia widok na Howth utwierdził mnie w słuszności tego kroku. Mimo to nie kryłam rozczarowania ofertą biur nieruchomości.

- Nie ma pani nic więcej? - zapytałam.

- Nie. - Zerknęła na listę. - Obawiam się, że na dzień dzisiejszy... Chyba że... - I dodała po chwili namysłu: - W tym tygodniu spodziewamy się nowego domu na sprzedaż, ale nie podpisaliśmy jeszcze umowy, więc nie mogę go pani pokazać.

Rzuciła mi przelotne spojrzenie, jakby oceniała moją równowagę psychiczną.

- Powiem wprost, pani Butler. Dom wymaga sporego nakładu pracy. Trudno mi dokładnie określić cenę, ale chyba nieco wykracza poza pani możliwości finansowe. Chociaż sądząc po pani reakcji na poprzednie, podejrzewam, że mógłby się pani spodobać.

Uznałam, że nie mam nic do stracenia.

- Widok na morze?

- Dokładnie taki, jak stąd. W pogodny dzień widać nawet Wexford! - Na potwierdzenie swoich słów energicznie pokiwała głową. W jej tlenionej, wylakierowanej fryzurze nie drgnął nawet kosmyk.

- Czy mogłybyśmy przejechać obok niego? Chciałabym tylko rzucić okiem.

- Jasne, pokażę pani, gdzie to jest, ale nie damy rady przejechać obok. Leży na końcu ślepej uliczki.

Brama Arkadii była zamknięta zardzewiałym łańcuchem, a rozległa skarpa ogrodu od frontu i po bokach doszczętnie zarosła chwastami, lecz w chwili, gdy moja przewodniczka zatrzymała samochód, o mało nie wylazłam ze skóry z przejęcia. Musiałam ugryźć się w język, by nie wyrazić gotowości natychmiastowego zakupu.

Agentka nie zauważyła mojej reakcji, gdyż weszła z powrotem w rolę i spoglądała w kierunku domu.

- Sprzedaż spadku. Jak pani mówiłam, jeszcze go nie oglądałam, ale sama pani widzi, ile tu trzeba włożyć pracy. Z drugiej strony jednak, pomimo staroświeckiego wnętrza, które z pewnością należałoby unowocześnić, dach jest solidny, a...

Jej słowa przestały do mnie docierać. Nie słuchałam.

Na wprost mnie, w znacznym oddaleniu od bramy wznosiła się szara fasada trzykondygnacyjnej willi, z masą okien (po części powybijanych), przysłoniętych staromodnymi firankami. Dwuskrzydłowe frontowe drzwi, z wiszącą w strzępach starą, spłowiałą markizą, wychodziły na szeroki ganek, po obu stronach którego ustawiono dwa krzewy w donicach, tak dawno niestrzyżone, że zupełnie zatraciły

kształt. Bujny trawnik zarósł ostem, pokrzywą i wysokimi na pół metra polnymi kwiatami, które doszczętnie zagłuszyły róże i łubin na niegdyś zadbanych klombach.

Z zachwytu dosłownie zabrakło mi tchu w piersi. Nie umiem tego wytłumaczyć, lecz owa waląca się budowla, o wiele za duża jak na potrzeby Jerry'ego, wabiła mnie niczym syreni śpiew z oddali. W mgnieniu oka obliczyłam wartość swojego domu w Sallynoggin. Muszę mieć jakiegoś asa w rękawie, gdy Jerry Brennan i ja zamieszkamy razem w Arkadii.

## Rozdział 3

---

Mówiąc oględnie, myśl o zamieszkaniu z Jerrym Brennanem była dla mnie szokiem: dotąd nie zdawałam sobie sprawy, że traktuję nasz związek tak poważnie.

W ciągu trzech miesięcy, które minęły od czasu, gdy poznaliśmy się na koncercie, zaczęliśmy się ostrożnie spotykać: raz był to koncert, potem teatr, innym razem wspólne pójście na wyścigi w grupie znajomych oraz jedna lub dwie kameralne kolacje, gdzie wszyscy rozmawiali ze wszystkimi. Nie sypialiśmy ze sobą, lecz pomimo cichej umowy, że żadne z nas nie myśli o drugim poważnym związku, Jerry zaczął wieczorami całować mnie na pożegnanie.

Widok Arkadii uświadomił mi z pełną mocą, iż od pewnego czasu rozmyślam, dokąd to wszystko prowadzi. Odkryłam, że tęsknie wyczekuję każdego spotkania, i ustawicznie rozmyślam o szczupłej sylwetce i niebieskich oczach Jerry'ego. Z chwilą, gdy zrzucił maskę powściągliwości, potrafił rozbawić mnie do łez. Rozważyłam to, co nas łączy: religia (ważna, choć bez przesady. Anglikanie to zazwyczaj ludzie otwarci; nie przeszkadzało mu, że jestem katoliczką), pieniądze (oboje byliśmy w tym względnie konserwatywni, on bardziej), no i muzyka. Ostatni aspekt był dla mnie niezmiernie istotny, toteż z radością odkryłam, że mamy z grubsza podobne upodobania: w kwestii symfonii Schoenberg wykraczał poza nasze granice wytrzymałości, lecz słuchając ekipy pod dźwięcznym szyldem „cukiereczki”, czyli Verdiego, Pucciniego, Rossiniego i Haendla (z Ryszardem Straussem i Brittenem na

dokładkę), oboje byliśmy w siódmym niebie. Jerry sięgał czasami do Wagnera, ale ja (mimo upodobania do chóru, instrumentacji i co poniektórych fragmentów oper) uważam większość jego arii i recytatywów za nadmiernie zagęszczone i przydługie.

Co do wspomnianej radości z odkrycia analogicznych gustów muzycznych, w świetle kontekstu określenie to nie jest do końca adekwatne. Stało się bowiem tak, jakbym odhaczyła kolejny punkt na liście, którą po cichu sporządzałam w myślach. Na przykład próba pod hasłem „szacunek” również wypadła zadowolająco, ponieważ podziwiałam umysł Jerry'ego. Brennan był erudytą doskonale zorientowanym w meandrach irlandzkiej sceny politycznej, labiryncie, w którym wielu spośród jego rodaków na próżno usiłowało znaleźć drogę. Byłam również pod głębokim wrażeniem tego, jak za sprawą niespożytej energii i ambicji konsekwentnie realizuje swoje cele, co nigdy nie stało się udziałem mojego ukochanego Michaela, który wiecznie spacerował z głową w chmurach.

Michael był tak dalece pochłonięty przeszłością, że kruczki terażniejszości stanowiły dlań przeszkodę nie do pokonania. Mieliśmy obowiązkowe ubezpieczenie hipoteczne, ale testament sporządził dopiero w wyniku długotrwałych perswazji mojego ojca. Dokument okazał się trzema linijkami tekstu skreślonego odręcznie na papierze w linie, a Michael wskazał mnie jako wykonawcę testamentu oraz swą jedyną spadkobierczynię.

Mój ojciec również zmusił go do tego, by zainteresował się prozaiczną kwestią ubezpieczenia na życie, co uczynił na dwa miesiące przed śmiercią. (Naturalnie wzbudziło to natychmiastową czujność towarzystwa ubezpieczeniowego, które nękało mnie, odrętwiając z bólu i rozpacz, pytaniami w stylu: „Czy pani mąż przechodził ostatnio depresję?”, „Czy wykazywał symptomy stresu?”, „Czy doskwierały mu problemy finansowe?”)

Wszystko to przelatywało mi przez głowę podczas tyrady agentki nieruchomości, zachwalającej dom, który w wyobraźni stał się już nieomal moją własnością.

- Ile? - wpadłam jej w słowo.

- Trudno określić, pani Butler. Najpierw musimy sprawdzić, jak wygląda w środku. Jeden z moich współpracowników znał właściciela i był tu przed laty na przy-

jęciu. To właśnie on mi powiedział, że nasza agencja wystawi nieruchomość na sprzedaż. Sześć sypialni i podobno piękne, rozwidlające się schody. To oznacza...

- Wiem, co to oznacza. Proszę o podanie przybliżonej ceny.

Poniewczasie dostrzegła mój zapal: wyraz jej twarzy uległ raptownej zmianie i przybrała oficjalny ton.

- Proszę zrozumieć, że realna wartość nieruchomości może odbiegać od ceny przybliżonej... muszę pomyśleć. Chwileczkę.

Wyłączyła silnik i sięgnęła na tylne siedzenie po swój notatnik. Napięcie stało się nie do zniesienia.

- Widzi pani, nie wiedziałam, że interesują panią tak duże domy - trajkotała, z szelestem przerzucając kartki. Następnie dodała ostrożnie: - Czy transakcja wiązałaby się ze sprzedażą pani domu?

- Jeszcze nie wiem.

Opuściłam szybę i popatrzyłam na roziskrzone morze. To było kłamstwo. Wiedziałam. Sprzedam wszystko, co mam, byle tylko wejść w posiadanie tej zrujnowanej studni bez dna.

Ostentacyjnie udałam, że śledzę lot stadka mew podążających w ślad za trałowcem, lecz powietrzne harce ptaków nie interesowały mnie w najmniejszym stopniu. W duchu obmyślałam strategię, jaką zastosuję wobec Jerry'ego. „Musisz jechać do Howth i zobaczyć go na własne oczy, Jerry. Będiesz pod wrażeniem, zobaczysz. Oczywiście znalazłam jeszcze jeden lub dwa godne uwagi, ale...”

Ostatnie zdanie nie zawierało ani słowa prawdy. Nie było nic godnego uwagi. Liczyła się tylko Arkadia.

- Około dwustu czterdziestu - oznajmiła wreszcie pośredniczka, przerywając moje rozmyślenia. - Oczywiście mogę się mylić. - Pochwyciła mój wzrok. - Naturalnie może pani złożyć ofertę, a my przekazemy ją klientowi.

- Dam znać - ucięłam, skrętnie ukrywając rozczarowanie. Wiedziałam, że za dom dostanę najwyżej siedemdziesiąt pięć, osiemdziesiąt tysięcy funtów. Do tego dojdą opłaty skarbowe, podatek... jak nakłonię Jerry'ego, by zapłacił ponad dwieście tysięcy za coś, co na pierwszy rzut oka weźmie za rudere? (Wiem, że w świetle

dzisiejszych horrendalnych cen w Dublinie powyższe kwoty brzmią śmiesznie, ale pamiętajcie, że to był początek lat dziewięćdziesiątych).

Pod bacznym spojrzeniem agentki z trudem zachowywałam kamienną twarz.

- Czy mam do pani zadzwonić, żebyśmy umówiły się na oglądanie?

- Tak, poproszę.

- Dobrze. - Zapisała coś w notesie. - Mam pani numer. Przyjdzie pani z mężem?

Przyjęła, że jestem mężatką, a ja nie wyprowadziłam jej z błędu.

- Nie... nie wiem. - Pozwoliłam sobie na chwilę wahania, odzyskałam bowiem rezon i byłam gotowa zdobyć ten dom bez względu na koszty.

- W porządku. Nie ma problemu. - Rzuciła notes na tylne siedzenie i z uśmiechem przekreśliła kluczyk w stacyjce. - Ostatecznie to kobiety podejmują najważniejsze decyzje, prawda, pani Butler? Obie doskonale o tym wiemy.

- No właśnie... - Odwzajemniłam uśmiech i gdy ruszyłyśmy w kierunku wioski, obejrzałam się przez ramię. Na szczycie drogi, pośród innych budynków sterczał dumnie dach Arkadii, galeon z rozpiętymi żaglami w otoczeniu zaopatrzeniowców i holowników. - Do widzenia, domku - szepnęłam. - Jeszcze tu wrócę.

To właśnie stąd wzięła początek tradycja naszych pożegnań.

- Świetna pogoda na wyjazd, pani Brennan. - Mick, szofer Jerry'ego, jak zawsze tryskał dobrym humorem. Stary, poczciwy Mick dobijał do siedemdziesiątki, ale nadal udawał, że liczy sobie nie więcej niż pięćdziesiąt dziewięć lat. Gdy skończył sześćdziesiąt pięć, firma chciała wysłać go na emeryturę, ale Jerry do tego nie dopuścił. Bardzo mnie to ucieszyło: towarzystwo Micka działało na mnie odprężająco, ponieważ unikał wypowiedzania się na temat innych osób z firmy, co dawało pewność, że samemu również nie jest się obiektem plotek.

Miał rację, pogoda rzeczywiście była piękna. Kiedy mercedes podązał wzdłuż nabrzeża, opuściłam szybę, głęboko wciągając w płuca przesiąknięty wonią ryb słony powiew, dryfujący w gąszczu oblanych słońcem jachtów w marinie. Zakochałam się w Howth jako młoda dziewczyna, tuż po przyjeździe do Dublina, i fascynacja trwa do dziś. Zdaję sobie również sprawę, jakie mam szczęście, że Arkadia stoi na owianym bryzą szczycie wzgórza ponad resztą budynków i domów mieszkalnych, z dala od zaśmieconych ulic i tłumów turystów, na które narzekają wszyscy miejscowi.

Chwała Bogu. Mówię serio. Nie pomnę żadnego, choćby najdrobniejszego aspektu mojej egzystencji.

Stosunki sąsiedzkie z mieszkańcami pozostałych czterech pobliskich domów są cywilizowane, acz niezbyt zażyłe, co w pełni odpowiada mojej naturze. Na Gwiazdkę wymieniamy wino i życzenia, a w razie potrzeby służymy sobie pomocą, lecz nasze codzienne relacje ograniczają się do zdawkowej wymiany zdań na temat pogody.

Na Black Banks Road ruch odbywał się płynnie, ale na autostradzie natrafiliśmy na roboty drogowe, przez co chłopcy i ja dotarliśmy na lotnisko ostatni. Rzecz jasna wszędzie kłębiły się długachne kolejki, nawet przy stanowisku klasy biznesowej, gdzie teoretycznie odprawa powinna przebiegać sprawnie.

- No nareszcie. Witaj, Tess. - Maddy w sandałkach z rafii dygotała w skąpej żółtej sukience, na którą narzuciła cienki bawełniany kardigan. Pytającym spojrzeniem omiotła tłum za moimi plecami. - A gdzie Jerry?

Jerry uchodził za niekwestionowanego lidera naszej paczki. W sumie nie wiem, dlaczego: może z powodu pracy, gdyż przywykł do dyrygowania zespołem podwładnych, a może po prostu za sprawą silnej osobowości.

- Niedługo do nas dołączy. Cześć, Fergus!

Mąż Maddy, stojący wraz z synem w kolejce, uniósł rękę na powitanie.

- W ostatniej chwili coś mu wypadło, jak zwykle - ciągnęłam. - Rita, Ricky, dziewczynki, cześć wam! - Pomachałam do przyjaciół i ich czterech córek, każdej podłączonej do osobistego odtwarzacza płyt kompaktowych. Rita miała na sobie coś w rodzaju białego jedwabnego namiotu. Domyślcie się już pewnie, że uwielbiana przez najbliższych Rita reprezentuje archetypiczną Matkę Ziemię z serialu o życiu brytyjskiej klasy średniej, ciepłą, ekspansywną i (wybacz, Rita!) rozłożystą do tego stopnia, że nie toleruje i nie nosi rajstop. Warto przy tym dodać, że ma w nosie cudze opinie na temat swych żyłakowatych łydek.

Wyjęłam telefon komórkowy i spojrzałam na zielony ekranik. Żadnych wiadomości. Jerry pewnie wciąż siedzi w biurze. Bycie dyrektorem dużej firmy ma swoje dobre i złe strony. Choćby notoryczne spóźnianie się, a nawet zapominanie o niektórych uroczystościach rodzinnych, jak bierzmowanie Toma w zeszłym miesiącu.



Życie zawodowe mojego męża to jeden wielki kryzys; dawno nauczyłam się być głucha na poszczególne dramatyczne epizody. Opracowałam do perfekcji sztukę potakiwania i zadawania odpowiednich pytań, będąc przy tym myślami gdzie indziej.

Jerry nie może nawet spędzić z nami całych wakacji („miesiąc to stanowczo za długo, Tess, pamiętasz, jaki koszmar przeżyłem w zeszłym roku, ile razy mam ci powtarzać?”), dlatego zaszczyca nas swoją obecnością tylko przez pierwsze trzy tygodnie. I tak pewnie powinnam się uważać za szczęściarę.

Gdy przyszła moja kolej, dziewczyna nawet nie spojrzała na paszport i bilet Jerry'ego. W świetle zeszłorocznej tragedii z jedenastego września wcale jej się nie dziwię, chociaż nazwisko Jerry'ego Brennana, który lata do Londynu, Rosji albo na kontynent trzy, cztery razy w tygodniu, a czasem częściej, powinno jednak coś jej mówić.

Nie miałam siły na kłótnię, zwłaszcza że Niemcy za moimi plecami pochrząkiwali głośno i rzucali znaczące spojrzenia.

Dziewczyna zabrała bilet, ale odprawiłam walizkę Jerry'ego razem z resztą bagażu. W większości tego typu sytuacji mogę uchodzić za wyrozumiałą, a czasem wręcz uległą. W tej chwili doświadczyłam jednak czegoś, co tata określał mianem uderzenia krwi do mózgu. Pod pretekstem, że wzywają nas do samolotu, przepchnęłam się przez tłum wyczekujący odprawy, pozostawiając paszport i bilet Jerry'ego jednej z pracownic. Następnie ze złością wystukałam mężowi SMS z informacją, co zrobiłam. Jeśli chce się spóźnić na samolot, jego sprawa.

Kierując się w stronę pozostałych, stwierdziłam, że sprawiło mi to pewną ulgę. Zanim jednak dołączyłam do przyjaciół, poczucie satysfakcji ustąpiło miejsca jednemu z owych dziwnych stanów, jakie nachodzą mnie w najmniej spodziewanych sytuacjach. Ujrzałam siebie najpierw z oddali, a potem nastąpiło zbliżenie zadbanej kobiety w średnim wieku i z takiejże klasy społecznej, najlepszej tenisistki w klubie, o kształtnych udach, idealnie owalnych paznokciach i jasnoblond włosach, która ma piękny dom i perfekcyjnie wyposażoną łazienkę, o garderobie nie wspominając.

Tom wszedł kiedyś do pralni, gdy dochodziłam do siebie po jednej z takich osobliwych „przygód”, i niewiele myśląc, zdałam mu relację.

- Bez przerwy mi się to zdarza, mamó - skwitował na swój oględny sposób. -  
Wydaje ci się, jakbyś patrzyła na siebie z boku?  
- Tak!  
- To nic takiego. Pogódź się z tym, to łatwe. Czy moje skarpetki do tenisa są już suche?

Oczywiście, że się z tym „pogodziłam”, nie miałam innego wyjścia. Smukła „Tess” Butler Brennan z moich wizji symbolizowała triumfalną ewolucję Teresy Cahill, tustawej brzyduli o mysich włosach, która wychowała się nad ojcowskim sklepem w Ballina.

Lecz tamtego dnia na zatłoczonym lotnisku, dzięki bezlitosnemu oku kamery, otoczona gęstym tłumem podróżnych Teresa zobaczyła wyraźnie, że gładka skóra i nienagannie udrapowana pashmina Tess ukrywają fakt, iż często czuje się ona sucha i wydrążona niczym skorupa kokosa.

## *Rozdział 4*

---

Collioure leży w katalońskiej Francji opodal granicy z Hiszpanią i jest „zachwycającą, historyczną osadą rybacką”, jak przekonywał agent, który znalazł nam wielką, starą willę na wzgórzach nad miasteczkiem. Co więcej, owo miejsce słynie z tego, że Patrick O'Brian\* napisał tu swoją serię powieści marynistycznych, a Matisse namalował sporo obrazów. Podczas długich zimowych wieczorów, kiedy wymieniało się wspomnienia z wakacji, nazwiska te padały wielokrotnie.

\* Patrick O'Brien (1914 - 2000) - pisarz i tłumacz angielski (wszystkie przypisy tłumaczki).

Jerry i ja pokłóciliśmy się na przestronnym, wyłożonym czerwonymi kafelkami tarasie, gdzie ubrana w szorty i podkoszulek niecierpliwie wypatrywałam jego przybycia.

Kiedy Uległa Tess zobaczyła, jak blisko dzień później wysiadł z taksówki, Tess Popędliwa przypomniała sobie swoje wczorajsze zdenerwowanie i otwarcie dała wyraz niezadowoleniu. Swoim zwyczajem próbował zamydlić jej oczy pracą, papierami itp., itd... „I tak nie zrozumiesz, Tess, zanudziłabyś się na śmierć...”, ale tym razem pozostała nieugięta.

- Nie traktuj mnie jakbym była kretynką, z łaski swojej - rzuciła ozieble, przyciszając głos, by nie obudzić pozostałych. - Od dziesięciu lat żyję z tobą i Sentinelem. Tajniki twojej pracy nie stanowią dla mnie zagadki. Nigdy nie spędziłeś z nami całych wakacji, a teraz dodatkowo je skróciłeś. Wyjaśnij mi to, proszę. Co było takiego pilnego?

- Daj spokój, Tess, dobrze? Świat się nie zawalił, prawda? Miałaś do pomocy Jacka i Toma, o ile, rzecz jasna, zdołałaś zmusić tych swoich leni do jakiegokolwiek wysiłku. To długa i skomplikowana historia, znowu zrobiłabyś te swoje szkliste oczy, których twoim zdaniem nie zauważam. Zostawmy to. Przyjechałem najszybciej, jak dałem radę. Mogłem poczekać na bezpośredni lot z Dublina do Barcelony, ale wolałem sterczeć wieczorem na tym cholernym Heathrow, żeby złapać samolot do Perpignan przed cholernym świtem.

Widząc, jak nabieram powietrza w płuca, położył rękę na moim ramieniu.

- Przyjechałem, mała - dorzucił łagodniejszym tonem. - Proszę, nie każ mi tego żałować.

W miarę upływu lat na wysokim stanowisku w wielkiej firmie jego yorkshirski akcent zanikł niemal zupełnie, czasem jednak, szczególnie w chwilach rozdrażnienia, ponownie słychać rozciągnięte samogłoski. Pojawiają się też szkockie naleciałości. Jerry zaczynał karierę jako agent ubezpieczeniowy w małej filii na obrzeżach Glasgow.

Patrzył w napięciu, jak balansujemy na krawędzi awantury. W powietrzu aż skrzyło. Lecz za naszymi plecami widniały strzeliste szczyty Pirenejów, oblepionych u podnóży winnicami i czerwonymi dachami gospodarstw, przednie szyby sunących w dole samochodów błyskały w słońcu, a niebieskie wody Morza Śródziemnego wypełniały miejscowy port, połyskując pomiędzy dzwonnica a falochronem. A miało być tak pięknie. Było pięknie, dlatego w milczeniu przygryzłam wargę. Powiedziałam,

co miałam do powiedzenia, dałam mu do zrozumienia, że wyprowadził mnie z równowagi, toteż dalsza utarczka jest bez sensu. Lepiej nie ryzykować, że Jerry popadnie w jeden z tych swoich nieprzyjemnych nastrojów, zwłaszcza że przebywaliśmy wśród przyjaciół.

- Niech ci będzie.

- Dobrze. Co mamy dzisiaj w planie? - Sprawa załatwiona. Pora zająć się następną.

- A na co miałbyś ochotę? - Oczywiście złość jeszcze nie zdążyła ze mnie wyparować, ale uznałam w duchu, że kłótniwa żona to ostatnia frajda, jakiej oczekiwał po męczącej podróży. - Może pójdziemy do miasteczka po bagietki?

- Cholera, Tess... Myślałam, że to już jest w cenie. Chcesz powiedzieć, że zapłaciliśmy majątek po to, by rano sami drałować po chleb?

- Spokojnie. Jasne, że nie. Pieczywo już leży w kuchni. Ale czy nie byłoby fajnie zrobić coś zgodnie z francuskim zwyczajem? Założę się, że mają tu bajeczne piekarnie. No, nie psuj zabawy. - Moja kolej, żeby wyciągnąć rękę na zgodę. - Nie bądź takim starym zrzędą.

- Jak chcesz. - Sięgnął po torbę. - Idę wziąć prysznic. Gdzie nasza sypialnia?

- Pierwszy pokój na lewo za kuchnią. - Jego zmęczona sylwetka i wymięty garnitur rozbroiły mnie do reszty. - Chodź tu do mnie! - Pobiełam za nim, złapałam go za rękaw i cmoknęłam w zarośnięty policzek. - Przygotowałam ci szorty i koszulkę. I ani mi się waż włożyć skarpet! Za kwadrans masz tu być. I dawaj komórkę, idziemy przecież na spacer. Przez godzinę poradzą sobie bez ciebie...

- Przestań, Tess! - I poszedł. Zrozumiałam, że jeden pocałunek nie wystarczy, by Jerry przestał myśleć o pracy.

Jeśli jeszcze o tym nie wspominałam, muszę w tym momencie wyjaśnić, że ani ja nie jestem pierwszą żoną Jerry'ego, ani on moim pierwszym mężem. Poznaliśmy się na występie Carrerasa blisko rok po tym, jak owdowiałam.

Siedziałam obok wysokiego, niecierpliwego faceta, który najwyraźniej przyprowadził tu grupę współpracowników i nie był tym szczególnie zachwycony, gdyż ustawicznie poruszał kolanem. Chyba westchnęłam lub w inny sposób okazałam

irytację, ponieważ kolano znieruchomiało, a jego właściciel uśmiechnął się przepraszająco. Odwzajemniłam uśmiech.

Ponownie wpadliśmy na siebie przy stole z winem, w czasie przerwy, i wdaliśmy się w rozmowę. Dowiedziałam się, że nieznajomy właśnie objął wysokie stanowisko w dziale prasowym Sentinelu i zamierza na stałe przenieść się do Irlandii.

- Mam kłopoty ze znalezieniem domu. Nie jestem w tym najlepszy, żona zawsze zajmowała się takimi sprawami.

- Nie przyjechała z panem?

- Jesteśmy rozwiedzeni - rzucił zwięźle.

- O, przepraszam.

- Nie ma za co. - Zamknął się w sobie.

Zakłopotana ponownie nawiązałam do tematu domów, gdyż dubliński rynek nieruchomości to praktycznie jedyna dziedzina, w której jestem (i wówczas już byłam) ekspertem. Śledziłam wszystkie ogłoszenia.

- Mogłabym panu pomóc. Miejscowi agenci nieruchomości to wprawdzie dobrzy fachowcy, ale spróbują panu wcisnąć, cokolwiek się trafi. Nie ma to jak niezależna opinia i znajomość rynku.

Moja propozycja zbiła go z tropu, ostatecznie wcale się nie znaliśmy.

- To bardzo miło z pani strony, ale nie śmiałybym się narzucać.

- Ależ nie ma mowy o narzucaniu, naprawdę. Od śmierci męża cierpię na brak zajęć, zwłaszcza w czasie roku szkolnego, gdy synów prawie nie ma w domu. Poza tym lubię oglądać domy. Wreszcie zyskałabym sensowny pretekst.

Ponownie się zawahał.

- Przykro mi z powodu pani męża - Zmarł nagle?

- Tak. - Teraz ja zasznurowałam usta. Mimo że od śmierci Michaela minęło prawie dziesięć miesięcy, nadal nie mogłam o tym spokojnie myśleć. Wcale nie przesadzałam, nadmiar wolnego czasu naprawdę dawał mi się we znaki. Mogłam wprawdzie podjąć pracę, ale czułam, że jeszcze na to za wcześnie, chłopcy potrzebowali mnie w domu. Musieliśmy zaciskać pasa, ale jakoś wiązaliśmy koniec z końcem. - Umowa stoi?

Zabrzmiął dzwonek ogłaszający koniec przerwy.

- Jeśli to rzeczywiście nie kłopot. - Dopił wino. - Bardzo by mi pani pomogła. Oczywiście w zamian za odpowiednie wynagrodzenie. Czy mógłbym panią zatrudnić jako płatną konsultantkę?

Myśl o dodatkowych paru szylingach była nader kusząca, ale odsunęłam ją spieszenie. Poszukiwanie domu sprawiłoby mi mniejszą frajdę, gdybym robiła to pod przymusem.

- To nie będzie konieczne - odpowiedziałam, gdy kierowaliśmy się w stronę sali. - To dla mnie przyjemność, naprawdę!

- Nie mogę tego zrozumieć. Ja sam traktowałbym to jako zło konieczne. Bardzo pani dziękuję. Proszę mi jednak obiecać, że w nagrodę pozwoli się pani zaprosić do najlepszej restauracji w Dublinie. - Uśmiechnął się szeroko i zwróciłam uwagę na jego zadziwiająco białe zęby. Była to pierwsza rzecz, na którą zwróciłam uwagę u mężczyzny po śmierci Michaela. Odwróciłam wzrok.

- Naprawdę, proszę sobie nie zawracać głowy kolacją. Jeśli znajdę coś, co przypadnie panu do gustu, poproszę najwyżej o butelkę szampana. No i podeślę panu rachunek za benzynę. Tak będzie sprawiedliwie.

Kiedy zajęliśmy miejsca, a Jerry założył okulary, by przestudiować program, po raz pierwszy zwróciłam uwagę na uderzające podobieństwo łączące go z moim zmarłym mężem. Refleksja ta ma zapewne podłoże psychologiczne, wolałabym tego jednak za bardzo nie zgłębiać. Wysocy, krótkowzroczni mężczyźni są zdecydowanie w moim typie.

W ten oto sposób znalazłam Arkadię, a po roku zamieszkałam tam z dwoma zdumionymi synami (Tom był tak mały, że niewiele do niego dotarło) i świeżo poślubionym mężem.

Wzbraniałam się nieco przed zbyt szybkim ślubem, chociaż nikt nie mógł nam zarzucić ostentacji: obyło się bez wesela, a na ceremonii stawili się tylko dwaj koledzy Jerry'ego w roli świadków. Zamiast miesiąca miodowego spędziliśmy noc w Hunter's Hotel w Wicklow, ponieważ Jerry przeprowadzał właśnie ważną transakcję dla firmy i nie mógł sobie pozwolić na urlop. Nie oponowałam: tak bardzo pokochałam Arkadię, że powrót do domu bynajmniej nie sprawił mi przykrości.

Obrysowałam czubkiem sandała zapiaszczoną przerwę między kafelkami na tarasie w Collioure. Lata, które upłynęły od ślubu, pozwoliły nam wygładzić krawędzie i wypracować wzajemne kompromisy.

Początki grupowych wakacji sięgały pierwszego roku po śmierci Michaela, gdy pozostałe dwie pary, które miały już za sobą długoletnią tradycję wspólnego urlopowania, usilnie nalegały, bym wraz z chłopcami poleciała z nimi na Krete. Potem, gdy wyszłam za Jerry'ego, po prostu do nas dołączył. Początkowo zabieraliśmy ze sobą opiekunki i co roku powtarzaliśmy sobie, że to pewnie nasz ostatni raz, nie mogąc się nadziwić, że starsze latorośle w ogóle chcą jeszcze z nami jeździć, zatem cieszymy się tym, póki czas. Nasz Jack jest najstarszy: ku mojemu zdumieniu w tym roku również wykazał zainteresowanie wyjazdem. Pewnie skusiła go perspektywa szkółki sportów wodnych, a może Kitty, najstarsza córka Rity, która wyrasta na prawdziwą ślicznotkę.

Mam nadzieję, że nie opowiadam za szybko.

Czekając na Jerry'ego, postanowiłam skorzystać z okazji i w tym czasie zajrzeć do kaplicy. Chociaż dawno przestałam uważać się za religijną, nigdy nie porzuciłam zwyczaju porannej modlitwy, wpojonego mi w szkole z internatem oraz podczas kolejnych dwóch lat nowicjatu.

Z zachwytem odkryłam w domu niewielką kaplicę z witrażowymi oknami, o których nie było mowy w broszurze. Znajdowały się tam nagrobek dawnego właściciela oraz mały złożony ołtarzyk.

Gdy weszłam do środka, poczułam jakbym przeniosła się w czasie do innego stulecia, spokojnego i znacznie mniej skomplikowanego. Wewnątrz panował przyjemny chłód. Uklękłam na jednym z sześciu wiekowych kłęczników, tkwiących w tęczy światła płynącego z okien. Przymknęłam oczy.

- Proszę Cię, Boże - szepnęłam - pozwól nam wszystkim odpocząć, zwłaszcza Jerry'emu. Spraw, abym ugryzła się w język, zamiast ciągle go prowokować. Niech Tom

zachowuje się jak należy, a Jack stroni od awantur i piwa. I niech nie wpakuje się w tarapaty z jakąś dziewczyną. Spraw, żebyśmy dogadali się ze sobą i z

przyjaciółmi, żebyśmy się dobrze bawili i wrócili do domu wypoczęci. Amen. - Średnia ta modlitwa, ale kto twierdzi, że Bóg wymaga gładkich elaboratów?

Wyraziłam swe najgorętsze pragnienia na nadchodzący miesiąc. Mając wokół siebie tyle osób, a do wyboru masę narosłych z biegiem lat tradycji (szampan na początek, koniak na ukoronowanie posiłku, karty, wieczorne szarady itd.), człowiek zapomina, że wakacje służą przede wszystkim wzmocnieniu więzi w obrębie własnej rodziny.

Wzmianka o Tomie płynęła prosto z serca. Dziwny z niego człowieczek, twardy orzech do zgryzienia zarówno dla najbliższych, jak i dla nauczycieli. I choć w szkole nie sprawia problemów, poproszony o coś, na co nie ma ochoty, grzecznie odpowiada „nie”, po czym ani prośbą, ani groźbą nie odwiedzisz go od raz podjętej decyzji. Nauczyciele postawili na nim krzyżyk, dając mu wolną rękę. Cóż, to na pewno jest jakieś wyjście, zwłaszcza że jego oceny nie schodzą poniżej przeciętnej.

Inne dziecko o równie ekscentrycznym usposobieniu mogłoby stać się obiektem docinków ze strony rówieśników, ale nie Tom. Nie przeszkadza mu, że koledzy omijają go szerokim łukiem; nie dba o przyjęcia urodzinowe, nigdy nie zaprasza nikogo do domu i nigdy nie skarży się na brak przyjaciół. Nie zdarzyło mi się też słyszeć, że jest nieszczęśliwy.

Jedna z życzliwszych nauczycielek tłumaczyła mi kiedyś, że Tom zdaje się przebywać, przynajmniej podczas szkolnych zajęć, w jakiejś odrębnej strefie zamkniętej i rozmyślnie trzyma innych na dystans. W lot zrozumiałam, w czym rzecz, bo przeważnie robi to samo w domu.

Jedno z jego najbardziej denerwujących dziwactw polega na tym, że ma obsesję na punkcie określonych przedmiotów, produktów spożywczych oraz ubrań. Bywa że przez dłuższy czas je tylko to, co jest zielone, po czym nieoczekiwanie przechodzi na dietę ryżową.

Latami stawałam na głowie, aby bronić Toma przed przyjaciółmi i rodziną. Mój ojciec, na przykład, wychodzi z założenia, że chłopakowi należałoby solidnie sprać tyłek. Chwała Bogu, że mieszka w Ballina i nieczęsto mają ze sobą kontakt. Jerry, rzecz jasna, nie pozostaje za nim daleko w tyle i też lubi wtrącić swoje trzy grosze.



Co do mnie, teraz przeważnie zachowuję milczenie, niech sobie myślą, co chcą. Uważam Toma za grzecznego chłopca, chociaż bywa że sama mam ochotę go udusić. A potem patrzę na ten jego wicherek nad czołem, spuściznę po Michaelu, i nie mówię już ani słowa.

Wróciłam na taras. Daleko na morzu długi, płaski kontenerowiec przeciął horyzont smugą dymu, a na przystani ktoś rozstawiał właśnie sztalugi. Oparłam się o balustradę, schylając głowę pod pieszczotliwymi promieniami słońca, po czym wykonałam kilka głębokich wdechów. Poczułam, jak uchodzą ze mnie resztki złości po wcześniejszej ostrej wymianie zdań. Uspokojona, skupiłam uwagę na napływających zewsząd lokalnych zapachach i dźwiękach. Prócz bijącej z balustrady woni rozgrzanych kamieni chwyciłam w nozdrza gliniasty aromat winnic z subtelną nutą lawendy oraz kwiatowej słodyczy, której nie udało mi się bliżej określić. Pewnie pochodziła od obsypanych żółtymi kwiatkami chwastów okalających taras.

Wydało mi się, że czuję nawet zapach dzikiego czosnku, który zapewne dobiegał jednak z oddalonej o dziesięć metrów kuchni, gdzie nasz kucharz już przystąpił do pracy.

Co do dźwięków, znajdowaliśmy się tak wysoko nad drogą i wioską, że wokół dominowały odgłosy natury. Był maj, do pełni lata pozostało jeszcze trochę czasu, na tle szumu morza rozbrzmiewał cichy szczebiot okolicznego ptactwa. Nie jestem ornitologiem, lecz podczas przymusowego milczenia w nowicjacie nauczyłam się rozróżniać dobiegające z pól nawoływania poszczególnych gatunków, zagłuszane pluskiem wody jeziora.

Tutaj, pośród karłowatych drzewek otaczających willę, rozpoznałam świergot jaskółek, drozdów i ostrzegawcze krzyki srok, a gdzieś spod dachu dochodziło gruchanie gołębi. Oczywiście nie wszystkie ptasie odgłosy rozpoznałam. Co dziwne, nigdzie nie dostrzegłam ani śladu mew, które stale oblegały naszą przystań w Howth.

Czy Michaelowi by się tu spodobało? Pewnie nie bardzo. Było zbyt ładnie, zbyt... miło.

## Rozdział 5

---

Odkryłam, że po kłótniach z Jerry'm wracam wspomnieniami do pierwszego męża. To niesprawiedliwe, zwłaszcza że sama byłabym wściekła, przekonawszy się, że on porównuje mnie do pierwszej żony.

Wtedy byłam Teresą. Zostałam Tess dopiero w świecie Jerry'ego.

Pomimo fizycznego podobieństwa, pod względem osobowości Jerry Brennan i Michael Butler różnili się od siebie diametralnie. Michael był archeologiem i najchętniej spędzałby każdy urlop, ryjąc w ziemi na jakimś skalnym odludziu. Kochałam go nad życie i na palcach jednej ręki mogłabym policzyć kłótnie, do których doszło między nami podczas czternastu lat małżeństwa, lecz owe miesiące w piasku i (dla mnie) nudzie wystawiały moją cierpliwość na poważną próbę, zwłaszcza kiedy Jack był mały.

Jerry ma żywe usposobienie i niełatwo go czymś zadziwić, Michael zaś, jak na przedstawiciela swego zawodu przystało, miał cierpliwość żółwia, a każda minuta spędzona na tej planecie stanowiła dla niego bez mała objawienie.

Podczas gdy mój pierwszy mąż był, co tu dużo mówić, nierychliwy, drugi stanowi jego całkowite przeciwieństwo. I zamiast z wiekiem łagodnieć, Jerry staje się coraz bardziej zrzędlivy. Zwróciło to moją uwagę zwłaszcza w miesiącach poprzedzających urlop, kiedy to niechcący na każdym kroku wywoływałam jego niezadowolenie. Składałam to na karb obciążenia w pracy: postawił sobie za cel zmodernizowanie fabryki Sentinelu i najwidoczniej miał kłopoty finansowe. Poza tym oczko w głowie Jerry'ego, czyli projekt rozszerzenia zakresu działania firmy na lokalną stację radiową oraz zaprzyjaźnione kluby muzyczne, również nastrecało więcej problemów, niż początkowo przypuszczano.

Widzicie? Jednak czasami słucham, co się do mnie mówi.

Znosiłam jego humory i rozdrażnienie w nadziei, że urlop wpłynie na poprawę sytuacji. Przed upływem trzech słonecznych tygodni urozmaiconych kuchnią śródziemnomorską i miłym towarzystwem przyjaciół wszystko musi wrócić do normy.

Z biegiem czasu uwierzyłam, że wskaźnikiem udanego związku nie jest sposób, w jaki partnerzy układają sobie codzienne życie, lecz wspólny wyjazd na wakacje, gdzie pozostają ze sobą dwadzieścia cztery godziny na dobę, choroba bądź emerytura. W historii homo sapiens przedział od dziewiątej do piątej lub (jak w przypadku mojego męża) od wpół do siódmej rano do wpół do ósmej wieczorem, to poważna przeszkoda zaburzająca skalę oceny wzajemnych uczuć pary. Jerry'ego i mnie nie łączy wprawdzie wielka namiętność, ale przeważnie okazujemy sobie dużo ciepła i potrafimy miło spędzać razem czas, jeśli tylko mój mąż zapomni na chwilę o sprawach zawodowych.

Zatopiona w myślach usłyszałam za plecami ziewnięcie i na taras wyszedł Ricky w piżamie i idiotycznych kapciach z Myszka Miki.

- Siemanko, Teresa. Jest już Jerry? - Jako jedyny spośród naszych przyjaciół Ricky uparcie obstawał przy moim dawnym imieniu.

- Bierze prysznic. - Popatrzyłam na niego z uśmiechem. - Wypałeś się?

- Nie. Przecież mnie znasz. Wolę własne łóżko. - Rozdziawił usta w kolejnym ziewnięciu i rozejrzał się dokoła. - Ładnie tu, co? - Podrapał się po wydatnym, okrągłym brzuchu.

- Jeszcze jak. Po prostu cudnie. Chyba nam się tu spodoba.

Nie bez powodu moim ostatnim słowom towarzyszyło wahanie: podobnie jak Jerry, Ricky nie był specjalnie uszczęśliwiony tym wyjazdem i również nie zamierzał zostać z nami do końca. Ku wielkiej uciechu wszystkich kibiców, Irlandia zakwalifikowała się do pucharu świata. Ricky, zagorzały fan piłki nożnej mimo dotychczasowych wątpliwych popisów reprezentacji, zarezerwował sobie lot z Barcelony do Japonii całe półtora tygodnia przed naszym planowanym powrotem do domu. Będzie nam dziwnie po wyjeździe ich obu.

Trudno było zorganizować wspólne wakacje, skoro Ricky wybierał się w czerwcu na mistrzostwa, Jerry'ego czekało w lipcu mnóstwo pracy, a Fergus wracał w sierpniu na plan serialu. Na szczęście dzieciaki nie miały w tym roku egzaminów, toteż zwolniliśmy je ze szkoły i wyjechaliśmy wcześniej.

Ricky i Rita Sleator są najzamożniejsi z nas wszystkich, w związku z czym przykładają do pieniędzy najmniejszą wagę. Wprawdzie Rita często gęsto korzysta z

kart kredytowych, ale Ricky używa ich tylko w ostateczności i zawsze nosi przy sobie rulony banknotów o dużych nominałach. Jego flegmatyczne usposobienie i krępa sylwetka skrywają niespotykaną energię i żyłkę do interesów.

Wcześniej zrezygnował z nauki i został pomocnikiem rzeźnika w Raheny, gdzie tak błyskawicznie wyuczył się zawodu, że wkrótce nakłonił bank do udzielenia mu pożyczki na pierwszy sklep. W ciągu dwunastu lat Garmazerie Sleatera stały się popularną siecią w całym mieście.

Ale Ricky na tym nie poprzestał. Sleaterowie są również współwłaścicielami wielu innych przedsiębiorstw: zakładów bukmacherskich, imperium żelaznego w Blanchardstown, serwisu samochodowego, firmy wynajmującej dorożki, a nawet hurtowni z artykułami weterynaryjnymi i sklepu zoologicznego gdzieś w Midlands. Mieszkają w San Lorenzo, domu nazwanym tak przez Ritę na cześć świętego Laurence'a O'Toole'a, patrona Dublina. Rita uznała, że włoskie brzmienie będzie bardziej na czasie. To wielkie, zwieńczone blankami gmaszysko leży na północ od Dublina, jest otoczone hektarami pastwisk, gdzie pasą się stada przeznaczone na ubój, a konie dziewcząt mogą spokojnie skubać trawę.

Dochodzący z boku szmer kazał mi odwrócić głowę. Jeden z miejscowych kotów bawił się na kafelkach suchym liściem. Ricky ani drgnął.

- Nad czym tak rozmyślasz, Ricky?

- Och, nad niczym - odparł. - Jestem zmęczony i tyle. Dzień, dwa i dojdę do siebie. *No problemo.*

- Lepiej odpocznij! Do Japonii droga daleka.

- Nic mi nie mów. - Jego z natury ponura twarz sposepniała jeszcze bardziej. - Nie cierpię długich lotów. Nie mogę zrozumieć, dlaczego nie wyprodukują więcej concorde'ów. I wcale mi się nie uśmiecha jeść to ichnie sushi.

- Wcale nie będziesz musiał go jeść. To Japonia, a nie Syberia! Oni na każdym kroku mają McDonaldy.

Nadszedł Jerry, toteż pozostawiwszy Ricky'ego na tarasie ruszyliśmy krętym, polnym traktem do oddalonego o dwa kilometry Collioure.

Szczerze powiedziawszy, nie jestem entuzjastką pieszych wędrówek i mimo wszechstronnych walorów tego typu rekreacji uważam spacer za nudne jak flaki z

olejem, bez względu na pogodę i „magiczne otoczenie” przyrody. Być może wynika to z przymusowych marszów, które uskutecznialiśmy w szkole: w każde niedzielne popołudnie przemierzałyśmy w „wyjściowych” butach kilometry grząskiego gruntu, a następnie kuśtykałyśmy z powrotem z pęcherzami na palcach i piętami obtartymi „do mięsa”.

Obecnie raczej stronię od spacerów po wietrznych pagórkach w okolicy Howth Head, latem dbam o formę na korcie, zimą zaś chodzę na miejscowy basen. W domu mamy też siłownię, z której korzystam dwa razy w tygodniu. Wymarzyłam sobie, żeby na terenie Arkadii zbudować krytą pływalnię. I dopnę swego, jak tylko przełamie mężowską niechęć do zbędnych jego zdaniem wydatków.

Z trudem dotrzymywałam mu kroku, czując narastający ucisk w łydkach. Jerry gra w squasha, a poza tym ma dłuższe nogi, w związku z czym co rusz pozostawałam z tyłu.

Kiedy znalazłam się u kresu wytrzymałości, o dziwo dotarliśmy do miasteczka. Pomimo wczesnej pory i przyjemnej temperatury (dwadzieścia stopni Celsjusza) byłam doszczętnie zlana potem.

- W porządku? - Jerry obejrzał się przez ramię.
- Czy moglibyśmy napić się kawy albo soku pomarańczowego? Zaszło mi w gardle.
- Jasne. Sprawdzę, czy mają gazety.

No tak. Choćbyśmy trafili do serca dżungli, priorytetem Jerry'ego byłoby zlokalizowanie kiosku z prasą anglojęzyczną. Nieważne, że wczoraj czytał gazetę. Liczy się rytuał, a poza tym, jak twierdzi, bywają różne wydania.

Wybraliśmy kafejkę na wolnym powietrzu, tuż obok szerokiego rowu z kamiennym obramowaniem, biegnącego u stóp budowli, która wyglądała na zrujnowaną fortecę. Usiadłam pod parasolem i rozejrzałam się wokół, a Jerry ruszył na poszukiwanie gazet.

Przepust prowadził do uroczej przystani, gdzie smażyło się na słońcu kilka barwnych kutrów rybackich, obładowanych sieciami i klatkami na homary. Artystom nie brakowało inspiracji: na promenadzie widniał rząd sztalug, pod którymi ustawiono koszyki z prowiantem. Sobota była najwyraźniej dniem targowym, gdyż po drugiej

stronie głównego mostu stało kilka straganów z pasiastymi markizami i handel szedł w najlepsze. Widziałam warzywa, oliwki, olej, wino, sery, mięso, ryby oraz kuszące pęki ziół i słoje z zaprawami. Ogarnęła mnie nieodparta chęć, by obejrzeć to sobie z bliska.

Ale wszystko po kolei. Gdy Jerry powrócił z plikiem gazet, sięgnęłam po ofoliowane menu. W spisie zobaczyłam *Le Grand Breakfast Anglais* i *Le Petit Dejeuner du Pain et Cafe au Lait*.

- Nie jesteś głodny?

- Myślałem, że wspomniałaś o kawie. Podobno mieliśmy tylko wstąpić po pieczywo. Dzieciaki nie będą się martwić, że nas nie ma?

To by było na tyle, jeśli chodzi o romantyczny posiłek we dwoje w uroczej *patisserie*.

- Ricky wie, gdzie jesteśmy, a chłopcy jeszcze nie wstali. - Kiedy Jerry zaczyna marudzić, udaję, że tego nie zauważam i przybieram rozmyślnie lekki ton. - To na co masz ochotę?

- Kawa wystarczy. Jadłem w samolocie. - Otworzył wczorajszy „Daily Telegraph”, który wraz z „Daily Mirror” i „USA Today” był ewidentnie główną strawą duchową anglojęzycznej społeczności Collioure.

- No cóż, ja od wczoraj nie miałam nic w ustach - rzuciłam swobodnie. - Chyba się na coś skuszę.

Zawołałam kelnerkę i zamówiłam sok jabłkowy, naleśniki *avec sucre et citron, s'il vous plait, et cafe au lait pour deux*.

- *Merci, madame!* - Dziewczyna błyskawicznie zniknęła we wnętrzu kawiarni. Miło było przypomnieć sobie parę francuskich zwrotów, ale to przygnębiające, kiedy ktoś odruchowo zwraca się do mnie per „madame”. Szczerze powiedziawszy, wolałabym młodziej brzmiące „mademoiselle”. Na nic zabiegi pielęgnacyjne, gimnastyka oraz tortury elektrolizą i gorącym woskiem: w oczach pełnej niewymuszonego wdzięku małej Francuzki byłam matroną. Nie widziałam twarzy Jerry'ego, tylko palce zaciśnięte po obu stronach uniesionej gazety. Dałam za wygraną. Usiadłam wygodniej, wciągnęłam brzuch i rozejrzałam się po okolicy.

Stwierdziłam z rozczarowaniem, że chociaż sezon turystyczny jeszcze się na dobre nie zaczął, a stragany za mostem były obleżone głównie przez tubylców, przy

sąsiednich stolikach siedzieli sami Anglicy i Niemcy. Przeniosłam wzrok na przechodniów: kobieta z pudełkiem pod pachą i bagietkami w drugiej ręce trzykrotnie ucałowała w policzki znajomą z koszykiem pełnym cebuli, ziemniaków oraz papierowych torebek zawiązanych na kokardki, a opodal przeszedł na bosaka młody mężczyzna w kapeluszu ozdobionym korkami. Dwie dziewczyny, ubrane niemal identycznie w granatowe kostiumy i białe bluzki, przepuściły przodem chudego, starszego jegomościa o zgarbionej sylwetce i ogorzalej twarzy, który mozolnie popychał wózek inwalidzki żony. Może to wcale nie jego żona, przyszło mi do głowy. Może to jego kochanka? Może, francuskim zwyczajem, będzie do śmierci wierny im obu?

- Francja. Jesteśmy we Francji!

Jerry popatrzył znad gazety i zrozumiałam, że niechcący powiedziałam to na głos.

- Mówiłaś coś?

- Przepraszam. Słuchaj, najpierw kupimy bagietki, a potem zajrzemy na rynek, dobrze? Dam głowę, że mają tu prześliczne rękodzieła.

- Tess, myślałem...

Nagły dźwięk telefonu komórkowego kazał mu przerwać w pół zdania. Wyjął go z kieszonki na piersi i zerknął na wyświetlacz.

- Obawiam się, że dzwonią z biura. Wiem, że nie lubisz, jak w restauracji ktoś gada przez telefon, dlatego wyjdę na ulicę. - Rzucił gazetę na blat i wstał. - Dzień dobry, Susan.

Nim zdążyłam zapewnić, że nic nie szkodzi, niech sobie rozmawia, przecież jesteśmy na wakacjach, gdzie nikt nas nie zna, Jerry znalazł się poza zasięgiem słuchu.

Popatrzyłam na przyniesiony naleśnik. Był cienki i przysmażony na brzegach, wyglądał przepysznie. Zjadłam go powoli, ale Jerry wciąż nie przychodził, w związku z czym zastanowiłam się nad innym miejscowym specjałem, czyli rogalikiem z dżemem morelowym. Po namyśle zrezygnowałam z tego pomysłu. Jak ktoś skończył (i to już dawno!) czterdzieści lat, powinien uważać na to, co je. Tylko nie dajcie sobie wmówić, że zmniejszenie liczby spożywanych kalorii na dłuższą metę powoduje kurczenie się żołądka. Nawet jeśli się kurczy, receptory głodu nic o tym nie wiedzą.

Nieobecność Jerry'ego bynajmniej mnie nie dziwiła: często spaceruje podczas rozmowy telefonicznej. Łatwiej mu w ten sposób rozwiązywać problemy.

Mała przystań znajdowała się w odległości zaledwie siedemdziesięciu metrów i moją uwagę skupiło młode małżeństwo z trójką dzieci. Cała piątka miała bardzo jasne włosy i właśnie przygotowywała się do wypłynięcia. Rozczuliłam się, patrząc jak dwaj chłopcy, mniej więcej siedmio- i dziewięcioletni, pomagają młodszej siostrze włożyć kamizelkę ratunkową. Jak i kiedy to się dzieje, że mali mężczyźni tracą swoją delikatność? A co najważniejsze, dlaczego?

Bardzo chciałabym mieć córkę... Może gdybyśmy mieli córkę albo gdybym choćby miała córkę z poprzedniego małżeństwa, Jerry byłby bardziej wyrozumiały wobec Jacka i Toma. Wiem, że kontakty z pasierbami bywają trudne, ale robi mi się ciężko na sercu, gdy słucham, jak Jerry łagodnieje podczas rozmowy telefonicznej z córką, która studiuje anglistykę na uniwersytecie w Edynburgu. Chyba nadal jest w konflikcie z byłą żoną, a jego kontakty z córką i synem, który pracuje w branży informatycznej, ograniczają się do sporadycznej wymiany zdań. Rzadko o nich wspomina; wiem, że to drażliwy temat, dlatego sama też wolę go nie poruszać.

Oderwałam wzrok od łodzi. Nie zapuszczę się dziś w ten ślepy zaułek, wykluczone: słońce przygrzewa, w ustach wciąż czuję smak *cafe au lait*, a w perspektywie mam długie wakacje, które przy odrobinie szczęścia zmniejszą dystans, jaki się między nami wytworzył.

Zwróciłam myśli ku dalszej części dnia. Pozostali są już pewnie na nogach. Wczoraj wieczorem ustaliliśmy, że po długim śniadaniu pójdziemy na plażę, a następnie zgodnie z przewidywaniami rozdzielimy się na podgrupy stosownie do zainteresowań i wieku. Plan wzbudził protesty Jacka oraz (o dziwo) Colma, syna Maddy i Fergususa, któremu dotychczas brakowało energii bądź sprytu, by zgłaszać jakiegokolwiek weto. Ale my, dorośli, okazaliśmy się nieugięci: zgodnie z umową pierwszy dzień mieliśmy spędzić razem.

Przynajmniej przez jeden dzień możemy odgrywać rolę Szczęśliwej Rodzinki.



## Rozdział 6

---

Jak w wypadku wielu zaprzyjaźnionych małżeństw, punktem ciężkości naszej grupki jest wieloletnia przyjaźń żon. Jerry, Fergus i Ricky, znajomi „z przypadku”, mają zupełnie różne zainteresowania i w innych okolicznościach raczej nie znaleźliby wspólnego języka. Ale my trzy związałyśmy się ze sobą nierozzerwalnie w ciągu wielu lat spędzonych w zaciszu biur administracji państwowej, w czasach gdy była ona równie bezpieczna i posejna jak banknot w szwajcarskiej walucie.

Jako młodsze maszynistki, które rzadko miały do czynienia z maszyną do pisania, gryzmoliłyśmy ołówkami i rządowymi długopisami w Seomra a Seacht, czyli pokoju numer siedem naszego wydziału.

Maddy, na którą nikt oprócz matki i Fergususa nie mówił „Madeleine”, urodziła się w Ballineen, wiosce w West Cork. Była najbardziej ambitna z nas trzech. Chciała poświęcić życie sztuce.

Kiedy ją poznałam, spędzała większość wolnego czasu na zajęciach amatorskiego kółka dramatycznego. Rita i ja kibicowałyśmy jej lojalnie i wkrótce poznałyśmy pozostałych członków trupy, toteż podziw i szacunek, jakim darzono Maddy, nie był dla nas tajemnicą. Nie chodziło jedynie o jej talent aktorski - za rolę podstarzałej panny

Prism dostała honorowe wyróżnienie na ogólnokrajowym festiwalu dramatycznym - ale o totalne zaangażowanie we wszystko. Zajmowała się scenografią, wyludzała rekwizyty od opornych znajomych i sąsiadów, a nawet pełniła funkcję suflera na przedstawieniach, w których sama nie brała udziału.

Tak, Mad była kipiącym wulkanem energii. Przy każdej okazji biegała na castingi do ważniejszych przedstawień i choć zwykle odsyłano ją z kwitkiem, nigdy nie traciła ducha. Była przekonana, że jej wymarzona szansa jest kwestią czasu, cierpliwości i wyteżonej pracy. Abbey Theatre był szczytem marzeń.

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy dostała rólkę w „Pługu i gwiazdach” O'Caseya\*; uczęszczała wówczas do szkoły dramatycznej i została wybrana spośród wielu słuchaczek.

\* Sean O'Casey (1880-1964) - dramaturg i prozaik irlandzki, zaliczany do twórców narodowego dramatu irlandzkiego.

- Dziewczyny, dziewczyny! - Wpadła po lunchu do Seomra a Seacht, wymachując świstkiem papieru. - Nie do wiary! Wystąpię w Abbey! W Abbey Theatre! To najwspanialszy dzień mojego życia! - Chwyliła w objęcia wieszak stojący przy drzwiach i gdyby nie był obładowany mokrymi płaszczami, pewnie zatańczyłaby z nim po pokoju.

Kiedy nieco ochłonęła, dowiedziałyśmy się, że nie chodzi o rolę mówioną. Mad miała zagrać „kobietę w pubie” podczas sceny bijatyki, „szabrowniczkę” i „dziewczynę w tłumie” podczas skierowanej do motłochu płomiennej przemowy ulicznej.

- Wystarczy, że zrobię skupioną minę i będę reagować we właściwym momencie! Ale słuchajcie dziewczyny, oni nie wiedzą, że czeka ich olśnienie. - Przejęta chwyciła się pod boki. - To może być początek wielkiego przełomu! - Nie byłaby bardziej zaaferowana, gdyby sam Cecil B. De Mille zaprosił ją do wzięcia udziału w jednym ze swych hollywoodzkich epickich przedsięwzięć. Potem weszła nasza przełożona i musiałyśmy wrócić do pracy.

Kupiłyśmy z Ritą bilety na premierę. Maddy zabroniła wstępu rodzicom i innym krewnym pod pretekstem, że musi „okrzepnąć” w roli, toteż czułyśmy się wyróżnione takim dowodem zaufania. Omówiłyśmy wspólnie kwestię stroju, lecz Mad też nie była nigdy na premierze w Abbey i wstydziła się zapytać o zdanie innych aktorów. Uznałyśmy zatem, że biorąc pod uwagę renomę miejsca, będącego bądź co bądź irlandzkim teatrem narodowym, należy stanąć na wysokości zadania.

I tak, mniej więcej miesiąc później, ubrane w swoje najlepsze sukienki na potańcówki i niemal równie przejęte jak sama Maddy, stanęłyśmy w foyer oko w oko

z ludźmi, którzy najwyraźniej wszyscy byli ze sobą za pan brat. Wokół dudniły śmiechy oraz rozmowy i zewsząd słyszałyśmy głośne cmokanie.

Na dodatek obie byłyśmy przesadnie wystrojone.

Zdecydowana większość widzów reprezentowała to, co dziś określamy mianem „sportowej elegancji”, choć wyświechtane rękawy i rozciągnięte czarne golfy też stanowiły nierzadki widok. (Uznałam, że ich właściciele są poetami i pisarzami, ale nie udało mi się rozpoznać żadnego z nich).

- I co ty na to? - szepnęłam Ricie do ucha. Znalazłyśmy wolny skrawek ściany tuż przy schodach i wsunęłyśmy się tam niepostrzeżenie.

- Nic - odparła.

- Aleśmy się ubrały, Rita.

- Phi! To teatr, a nie rewia mody - syknęła niby to obojętnie, ale widziałam, że jest równie skrupowana jak ja. - Przecież nie wrócimy do domu, żeby się przebrać, nie ma czasu. Zresztą i tak nikt na nas nie patrzy.

Kiedy kurtyna poszła w górę (tak, miałyśmy żargon teatralny w małym palcu), oczywiście zapomniwałyśmy o sobie. Aktorzy zagrali śpiewająco, a „Pług i gwiazdy” to perełka. Z wrażenia przestałam nawet się bać o Maddy.

Denerwowałyśmy się, że w scenie grupowej zniknie nam z oczu, ale jak się okazało, niepotrzebnie: statystów było zaledwie troje i tylko jedna dziewczyna. Szczerze powiedziawszy odczułam lekki zawód. Teatr na miarę Abbey powinien wykazać większą dbałość o szczegóły: pomimo różnych kostiumów rudowłosa Maddy za bardzo przykuwała uwagę w swoich scenach. Powinni chociaż dać jej perukę.

Jedną z największych atrakcji było to, że po skończonym przedstawieniu mogłyśmy wejść za kulisy, do garderoby, którą Maddy dzieliła z aktorką grającą Mollser. Ależ miałyśmy frajdę, zmierzając pod obstrzałem spojrzeń do wejścia dla aktorów, skąd pokierowano nas dalej.

Drzwi do garderoby, rzęsiście oświetlonej i niezbyt efektownej, stały otworem. Mollser, „prawdziwa” aktorka, zdążyła już zmyć charakteryzację i szykowała się do powrotu do domu. Dalej zobaczyłyśmy Maddy, która czekała na nas jeszcze w pełnym rynsztunku.

Rzuciłyśmy się z gratulacjami, a ona gorączkowo dopytywała, jak poszło.

- I jak wypadłam? Myślicie, że dobrze? Czy tylko tak mówicie?

- No wiesz! - zawołałyśmy chórem. Zdaniem Rity: - ...reagowałaś pierwsza klasa. Serio, Mad! Oczu nie można było od ciebie oderwać. Byłaś boska! - Mollser, która chyłkiem wymknęła się z garderoby, musiała w duchu pękać ze śmiechu.

Niestety, ów triumf nie okazał się brzemienny w skutki, a wkrótce potem Mad poznała Fergusa.

Co do mnie, do czasu gdy poznałam Michaela, a nawet trochę dłużej, byłam sztywną eksnowicjuszka, która nie miała pojęcia, co począć z własnym życiem, i bała się każdego cienia, zwłaszcza młodego i płci przeciwnej.

Patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że miałam szczęście, lądując w pokoju numer siedem, gdzie urzędowały już dwie tak światowe i rezolutne osobki. Ze względu na moje chybione zapędy religijne Maddy i Rita wyprzedzały mnie o dwa lata, zyskując nade mną przewagę, której nawet nie przyszło im do głowy wykorzystać. Przeciwnie, wzięły mnie pod swoje skrzydła, dzięki czemu owe koszmarnie cztery lata służby ojczyźnie stały się dla mnie źródłem cudownych, nostalgicznych wspomnień.

Naszą przełożoną była panna Santini. Jej romantycznie brzmiące włoskie nazwisko zgoła nie licowało z wyglądem i osobowością przygarbionej karlicy z chroniczną zadyszka (spotęgowaną nałogowym paleniem papierosów), która nerwowo snuła się po biurze, kaszląc we własny wieszak na płaszcze. Jako najmłodsza rangą urzędniczka miałam za zadanie codziennie kupować jej pastylki na kaszel, w związku z czym w pokoju numer siedem unosiła się osobliwa woń dymu papierosowego i mentolu, którym doszczętnie przesiąkały nasze ubrania. Nie znosiłam tego zapachu.

Prawdę mówiąc, nie znosiłam wszystkich aspektów swojej pracy. To chyba właśnie wtedy wykształciłam w sobie upodobanie do światła i jaskrawych kolorów, ponieważ wszystko w pokoju numer siedem było utrzymane w odcieniach beżu i szarości: ściany, posadzka, biurka, a nawet framugi małych, zakratowanych okienek. Do wnętrza nie docierało choćby echo ulicznych odgłosów: Seomra a Seacht znajdował się na tyłach departamentu, a jego okna wychodziły na równie pępne szyby położonego dalej budynku.

Moje obowiązki sprowadzały się do kaligrafowania adresów na szarych kopertach pod klaustrofobicznym nadzorem panny O'Connor, głównej kancelistki.

Uparcie sprawdzała każdą kopertę, stawiając przy adresie haczyk jednym ze swoich czerwonych, ostrych jak igły ołówków.

Ale ostatecznie mieszkałam w Dublinie i miałam tam przyjaciółki. Mogłam, jeśli pozwalał mi na to stan finansów, iść do kina, na lody lub okazjonalną potańcówkę, o ile Maddy urwała się z próby.

Pieniądze, czy raczej ich brak, stanowiły problem dla całej naszej trójki, ale że niewiele dublińskich urzędniczek pod koniec lat sześćdziesiątych opływało w gotówkę, mało kto brał to sobie do serca: na ulicach roiło się od autobusów i rowerów, a samochody prywatne stanowiły rzadki widok. Poruszałyśmy się po mieście stosunkowo niewielkim nakładem środków.

I tak, pomijając uciążliwą pracę, którą, zanim słowo „kariera” na dobre zagościło w słowniku kobiety, zwyczajem wszystkich traktowałam jako zło konieczne, byłam szczęśliwa. Wsparcie i życzliwość przyjaciółek sprawiły, że nabrałam pewności siebie. Do tego stopnia, że kiedy poznałam Michaela (na przystanku autobusowym, dacie wiarę?), znalazłam w sobie dość odwagi, by odpowiedzieć na zadane mi pytanie.

Stało się to ot tak, po prostu. Żonglując torebką, parasolką oraz paczką kupionych na podwieczorek babeczek upuściłam wszystkie rzeczy do kałuży, a on pomógł mi je pozbierać.

- Ale zimnica. - Wręczył mi nadwerężone babeczki.

- Tak, bardzo panu dziękuję - odpowiedziałam, spoglądając na jego pociągłą twarz i walcząc z rumieńcem, który nieubłaganie wypełzał mi na twarz. - I wygląda na to, że zaraz znowu lunie.

- Dobrze, że zabrała pani parasolkę.

- Tak, rzeczywiście.

- Czeka pani na dziesiątkę?

- Tak.

- Świetnie. Ja też. - Uśmiechnął się szeroko.

Z takich właśnie banalnych sytuacji wyrastają najcudowniejsze wspomnienia.

Michael. Uśmiecham się na samą myśl. Z wiecznie zmarszczonym czołem, tak zatopiony w lekturze, że musiałam czasem wrzasnąć mu do ucha, żeby zwrócić na siebie uwagę czy choćby zawołać go na kolację.

Przynajmniej bywał na kolacjach. W przeciwieństwie do Jerry'ego, którego wieczorne zebrania i rauty usunęły mnie poza nawias naszego wspólnego życia. Zobaczyłam, jak zdecydowanym krokiem mija przechodniów. Niósł pod pachą dwie bagietki.

I tyle pozostało mi z naiwnych marzeń o wspólnej wyprawie do malowniczej *patisserie*, gdzie bujna *patronne* doradzi nam, co wybrać.

- Zobaczyłem piekarnię - wyjaśnił, opadając na plastikowe krzesło. - Pomyślałem, że zaoszczędzę ci fatygi.

Jerry potrzebuje zwykle trzech dni, a czasem nawet tygodnia urlopu, żeby odetchnąć pełną piersią. Zastygł przyczajony na krzesło, nerwowo bębniąc palcami w stół w oczekiwaniu, aż dopiję kawę. Wskazałam na jego nietkniętą filiżankę, pokrytą kożuchem wystygłego mleka.

- Wypijesz czy mam ci zamówić drugą? Z niesmakiem zerknął na zawartość.

- Wygląda ohydnie. Wypiję kawę po powrocie. Gotowa?

- Za chwilę. - Z rozmyślną powolnością sięgnęłam po filiżankę. - Ile zapłaciłeś za bagietki?

- Parę euro, trudno powiedzieć.

Chciałam tylko podtrzymać zwyczajną wymianę zdań, ale dałam za wygraną i odstawiłam filiżankę na spodek. Było jasne, że nasz pierwszy małżeński wypad do Collioure dobiegł końca.

- Nie chce mi się wchodzić pod górę - oznajmiłam rzeczowo. - Weźmiemy taksówkę, dobrze?

- W porządku. - Natychmiast podniósł się z miejsca. - Postój jest zaraz za mostkiem.

Kiedy regulował rachunek, rzuciłam ostatnie tęskne spojrzenie ku straganom, a następnie posłusznie ruszyłam w stronę postoju taksówek.

Pierwszą osobą, którą zobaczyłam po powrocie, był Jack. Leżał na trawie przy basenie, jedną rękę trzymając w kieszeni dżinsów. Drugą przyciskał do ucha komórkę. Poczułam, jak Jerry odruchowo napina mięśnie.

- A ten co sobie wyobraża?

- Daj spokój, Jerry, przecież nas na to stać. Poza tym ktoś mógł do niego zadzwonić.

- Owszem, nas stać, ale jego nie. Jest mocny w gębie, ale żeby choć raz zakasał rękawy... Jeśli nawet ktoś do niego zadzwonił, to czy słyszałaś o czymś takim, jak roaming?

Nim zdążyłam zaproponować, Jerry rzucił kierowcy kilka banknotów i wyskoczył z taksówki. Czekałam na resztę, patrząc jak podchodzi do Jacka. Nie słyszałam, co powiedział, ale mogłam się domyślić, ponieważ chłopak zatrzasnął komórkę, zerwał się z miejsca i odszedł.

Wiedziałam, że w gruncie rzeczy nie chodzi o koszt międzynarodowych rozmów przez komórkę. W stanach zwiększonego napięcia wystarczył choćby widok Jacka lub (nawet częściej) Toma, żeby Jerry'emu skoczyło ciśnienie. Odwróć wzrok, Tess. Nie wtrącaj się, poradzą sobie bez ciebie. Posłuszna owemu wewnętrznemu głosowi stanęłam tyłem do willi i czekałam, aż kierowca starego citroena wyda mi resztę.

Wspaniały początek dnia, nie ma co. Męczący spacer do wsi okazał się zwykłą stratą energii.

## Rozdział 7

---

Gdy weszłam do kuchni, Ricky podniósł wzrok znad usianego okruszkami stołu, przy którym gawędził z dziewczętami i Ritą nad kawą oraz *pain au chocolat*.

- A jego co ugryzło? Przymaszerował przez kuchnię jak armia napoleońska!

- Syndrom pierwszego dnia. - Wzruszyłam ramionami. - Przecież go znasz.

Myślamy jeszcze tkwi w biurze. Dojdzie do siebie. Widzieliście Jacka?

- Nie. Kawy? Zaparzę ci świeżą. - Rita dźwignęła się z krzesła.

Są osoby, które nie powinny nosić szortów, i Rita zdecydowanie do nich należy, lecz Ricky nigdy nie zwracał uwagi na jej tuszę. Kiedy go mijala, klepnął ją pieszczotliwie w pośladek.

- Jazda, ślicznotko. Szczęściarz ze mnie, co, dziewczynki?

- No wiesz, tato! - Czternastoletnia Alice i jej młodsza siostra popatrzyły ze zgorszeniem, lecz najmłodsza Patricia, która jeszcze nie dorosła do tego, by wstydzić się za rodziców, roześmiała się serdecznie. Dziewczęta grały w skomplikowaną grę karcianą przy użyciu samych figur.

Ricky nawet nie mrugnął okiem.

- Przynies cały dzbanek, Reet! - wrzasnął.

Usiadłam.

- Zapowiada się upalny dzień, Ricky.

- Taa, nic mi nie mów! - Ricky nie znosił wysokich temperatur, lecz dobrodusznie poświęcał się dla dobra ogółu i nie ingerował w nasze plany wakacyjne. Nie po raz pierwszy pozazdrościłam przyjaciółce wyboru.

W Seomra a Seacht Rita była jedyną dziewczyną, której zasadniczym celem życiowym było poznanie przyzwoitego faceta i zamążpójście. Z podziwu godnym samozaparciem przeczesywała dublińskie tancbudy, teatry, bary, a nawet Ierne Hall.

Po paru takich wypadach nieco podupadłam na duchu: pomimo solennych zapowiedzi, że nigdzie się nie ruszy beze mnie, gnana instynktem łowieckim testowała kolejnych kandydatów, podczas gdy ja samotnie podpierałam ściany na dyskotecę.

Nigdy nie przywiązywała wagi do wyglądu, czego żywym dowodem jest Ricky, sporządziła sobie jednak zwięzłą, acz konkretną listę surowych kryteriów, na podstawie których wydawała ostateczny werdykt. Były to nienaganna higiena osobista, dobre maniery oraz obiecujący zawód. I, co najważniejsze, delikwent nie mógł mieć matki. Rita pochodziła z prostej, ubogiej rodziny ze śródmieścia i często miała do czynienia z rodzicielkami tak zwanych „dobrych partii”. Wiedziała, że nie może liczyć na ich aprobatę.

Jej poszukiwania wreszcie zostały zwieńczone sukcesem i usidliła Ricky'ego, zanim Maddy i ja przestałyśmy snuć romantyczne wizje księcia z bajki.

Pamiętam wieczór, kiedy go poznała. Zjawiłyśmy się na potańcówce dla pielęgniarek w Barry's Hotel tuż przed pierwszą przerwą. Wraz z tłumem innych dziewcząt niezwłocznie udałyśmy się do łazienki, aby przypudrować noski, walcząc do upadłego o miejsce przy lustrze. To znaczy, kto walczył, ten walczył.



Czmychnęłam do tyłu i czekałam na przyjaciółkę, usiłując nie wdychać oparów lakieru do włosów, perfum, dymu papierosowego oraz wszechobecnej woni przepoconych ubrań.

- Dobrze, gotowa? - Wreszcie Rita przepchnęła się w moją stronę. Miała wytapirowane na sztorc włosy i gołe ramiona: wystroiła się w sięgającą do kolan sukienkę z tafty w biało-brzoskwiniowe pasy. Zgodnie z obowiązującą wówczas modą hojnie przyciemniła twarz fluidem i nałożyła jaskrawoniebieski cień do powiek oraz cielistą szminkę. Właściwie można by ją porównać do wielkiego, kolorowego lodu na patyku lub (bardziej złośliwie) do ruchomego leżaka. I wcale nie wyróżniała się na tle pozostałych dziewcząt.

- O co chodzi, Tereso? Wyglądasz, jakby babcia ci umarła! Nałóż chociaż trochę różu, jesteś blada jak ściana. - I zaczęła szperać w torebce.

- Nie, dzięki - odparłam z rezygnacją. Ja wystroiłam się na tę okazję w białą bluzkę oraz niebieską rozkloszowaną spódnicę w stokrotki. Miałam krótkie włosy, których nijak nie dawało się natapirować, a makijaż napawał mnie odrazą. Po raz setny wyrzucałam sobie w duchu, że znów uległam namowom Rity, zdaniem której powinnam częściej „wychodzić”.

- I co ja mam z tobą począć? - Obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem, jak nie przymierzając matka córkę. - Głowa do góry, mała. Nikt nie poprosi cię do tańca, jeśli będziesz się dąsać. Masz śliczny uśmiech, Tereso. - W głosie Rity zabrzmiał łagodniejszy ton. - Pora zrobić z niego użytek. Chodźmy. Musimy się pospieszyć, bo sprzątną nam sprzed nosa wszystkich sensownych facetów... bardzo przepraszam! - Spiorunowała wzrokiem dziewczę, które próbowało się wcisnąć między nas, po czym chwyciła mnie za rękę. - Idziemy!

Kiedy Weszliśmy na zatłoczony parkiet, Eileen Reid i jej zespół Kadeci stali już na scenie. Miała, i nadal ma, świetny głos oraz lekki, dowcipny sposób bycia. Wtedy była tak pełna energii, że jej pseudowojskowy mundur prawie trzeszczał w szwach. Gdy zagrali pierwszy kawałek, swoim zwyczajem stanęłam pod ścianą, udając kwiatek na tapecie, lecz ku mojemu wielkiemu zdziwieniu Rita podążyła za mną.

- Spójrz tam - syknęła, z całej siły wbijając mi palce w rękę.

- Gdzie? Co?

- Tam. - Ku mojej uldze jej uścisk zelżał. - Tamta grupka pod kolumną.

Popatrzyłam we wskazanym kierunku. Widziałam tylko zwyczajny tłumek spoconych młodzieńców z czerwonymi policzkami, którzy przepychali się między sobą, ukradkiem taksując wzrokiem dziewczęta i czekając na sposobną chwilę, by przypuścić atak na którąś z nich.

- Ten w brązowej marynarce. No zobacz! - Jej palce znów boleśnie wpiły się w moją rękę. - Tylko uważaj. Patrz, patrz, prosi do tańca tę małą okularnicę. Ostrożnie, udawaj, że wcale na niego nie patrzysz.

Posłusznie łypnęłam spod rzęs. Wspomniana grupka ruszyła ku gromadce dziewcząt. Chłopak w brązowej marynarce był niższy od pozostałych i mniej więcej w naszym wieku, ale nosił się inaczej niż koledzy. Poprowadził partnerkę na środek sali i zniknął nam z oczu.

- Widziałam - odrzekłam, przekrzykując donośny śpiew Eileen Reid. - No i?

- Nie spuszczaјmy go z oka - odwrzasnęła Rita. - Myślę, że się nadaje.

W ten oto sposób Rita wybrała Ricky'ego.

Wysoka francuska kuchnia, gdzie czekaliśmy na powrót Rity, robiła zaiste imponujące wrażenie. Drewniane podłogi wyłożono matami z sitowia, a pod ścianami ustawiono gigantyczne, przepastne kredensy. I choć wyposażono ją w zlew, kuchenkę elektryczną oraz wielką amerykańską lodówkę, posiłki przygotowywano w sąsiednim pomieszczeniu. Przez otwarte drzwi widzieliśmy i słyszeliśmy, jak kucharka kroi warzywa na sałatkę i dyskutuje z gospodynią w języku, który wcale nie brzmiał jak francuski. Obie kobiety wyglądały jednak na miejscowe i nosiły imiona Yvette oraz Marcelle.

- To chyba kataloński. - Rita, która właśnie wróciła z emaliowanym dzbankiem i dodatkowym kubkiem, dostrzegła moje zainteresowanie rozmową. Postawiła przede mną kubek, po czym dołała kawy mężowi. - Pij, staruszk. - Parsknęła śmiechem. - Jak smoła. Masz ochotę na croissanta, Tess? To czekoladowe pieczywo jest palce lizać.

- Nie, dziękuję.

Miała rację co do kawy, była piekielnie mocna.

- Kitty i Caroli już wstały? - Do licha z dietą, pomyślałam, odłamując kawałek *pain au chocolat*.

- Gdzie tam. - Rita sięgnęła po kolejną kromkę. - Spokojna głowa, zaraz się tym zajmę. Spadnę na nie jak grom z jasnego nieba! Toma też mam obudzić?

- Niech sobie pośpią. Nie pali się. - Ricky przeciągnął się rozkosznie, prostując ręce nad głową, na co żona połaskotała go pod pachami. Przyjął to z niekłamanym zachwytem.

Naraz pozazdrościłam im zażyłości i ciepła, jakże różnych od wymuskanych dialogów, które uskutecznialiśmy ostatnio w Arkadii.

- Wypiję na tarasie - oznajmiłam, podnosząc kubek. - Taki ładny dzień.

- Jasne. - Rita znów klapnęła obok Ricky'ego.

Zaraz przyszło mi pożałować małościowości, gdyż w zestawieniu z rozluźnieniem panującym w kuchni atmosfera na tarasie okazała się cokolwiek niestrawna.

Przy jednym z białych, żeliwnych stolików siedzieli Maddy i Fergus, rozdzieleni butelką wody Evian, ustawioną pośrodku. On ze zmarszczonym czołem wbijał wzrok w scenariusz i zaznaczał swoje kwestie różowym markerem, ona zaś, blada i spięta, niemrawo popijała wodę. W jaskrawym świetle poranka dostrzegłam, że skóra Maddy stała się przezroczysta i miejscami bardzo pomarszczona.

Od kiedy to jej ramiona przypominały wieszaki? Chociaż miała na sobie te same rzeczy co wczoraj, w ogólnym zamieszaniu nie zwróciłam uwagi na jej chudość. Wszyscy wiedzieli, że Maddy, podobnie jak ja, jest ciągle na diecie, ale w porównaniu z przyjaciółką miałam posturę hipopotama.

Od razu uśmiechnęła się na mój widok.

- Jak spacer?

- Gdyby nie pan sprinter, byłoby całkiem przyjemnie. - Ach, przejdzie mu. Fergus przywróci go do pionu jutro na polu golfowym, prawda, kochanie? - Fergus jest najlepszy w golfie; jako jedyny ma dość wolnego czasu na częste treningi.

- Hm? - Podniósł głowę znad scenariusza.

- Po prostu Jerry potrzebuje odrobiny relaksu, nic w tym dziwnego. Mówiłam, że jutro go rozruszasz na polu golfowym.

- Jasne, czemu nie? - Powrócił do lektury, a Maddy posłała mi kolejny uśmiech.

- Fergus dostał do przeczytania nowy scenariusz. Z Hollywood! Trzymaj kciuki!

Na dźwięk tych słów serce ścisnęło mi się w piersi. Już dawno oswoiliśmy się z myślą, że mamy wśród nas gwiazdę, a Rita i ja po wielu latach bezowocnych prób obdarzenia Fergusia sympatią doszliśmy do wniosku, że mąż naszej przyjaciółki jest nie do zniesienia. Naturalnie nie pisaliśmy na temat ani słowa: żyjąc w cieniu sławnego męża, biedna Maddy w niczym nie przypominała szalonej, żywiołowej dziewczyny, którą była dawniej.

Taktownie udawałyśmy, że wierzymy, iż bez żalu porzuciła aktorskie plany na rzecz wspierania kariery Fergusia.

- Dwoje aktorów w jednej rodzinie to za dużo - oświadczyła pewnego wieczoru, kiedy wymienialiśmy spostrzeżenia na temat naszych związków. - Biedny Fergus ma wystarczająco dużo spraw na głowie. Pomyślcie, co by było, gdybym dostawała ciekawsze role? Mężczyzna potrzebuje wsparcia. Dam sobie radę. Zresztą i tak grałabym ogony.

Fergus zarabia na życie rolą dobrodusznego, jowialnego zarządcy hotelu, jednego z głównych bohaterów tasiemcowego i nader popularnego serialu telewizyjnego nadawanego na RTE\*. Jest rozpoznawany i uwielbiany przez widzów. Poza domem nosi maskę sympatycznego faceta, choć w gruncie rzeczy jest opryskliwy i czuje się dotkliwie rozczarowany przebiegiem swej dotychczasowej kariery: występy w operze mydlanej oraz kilku podrzędnych produkcjach stanowią bowiem szczyt jego osiągnięć.

\* Irlandzka telewizja publiczna.

I jeszcze coś. Chociaż Jerry może uchodzić za przesadnie oszczędnego, jego niechęć do wydawania pieniędzy jest raczej na pokaz i bynajmniej nie można jej nazwać skąpstwem. Fergus to przy nim istny Scrooge\*. Nie wiemy, ile tak naprawdę zarabia, przed Maddy też pewnie trzyma to w tajemnicy, ale główna rola w serialu to nie byle co. Nie ma siły, musi dobrze zarabiać, inaczej nie mieszkaliby w stosunkowo

drogim osiedlu domków jednorodzinnych z pięcioma sypialniami, położonym na południowych przedmieściach Dublina. Mimo to rozlicza żonę z każdego wydanego pensa, pilnie sprawdza wszystkie rachunki i bezlitośnie tępi najmniejszy przejaw jej rzekomej niegospodarności. Podczas naszych wyjazdów wszyscy mężowie zgodnym chórem utyskują na naszą rozrzutność. W przypadku Ricky'ego i (w nieco mniejszym stopniu) Jerry'ego jest to zwykła mężowska mantra, ale Fergus nie żartuje: jeśli Maddy pozwoli sobie kupić choćby apaszkę, wyrzutem nie ma końca.

*\* Znany ze skąpstwa bohater „Opowieści wigilijnej” Karola Dickensa.*

Rita i ja grzecznie obstajemy przy wersji, że nasza przyjaciółka pracuje na pół etatu w sklepie wyłącznie dla zabicia czasu, ale tak naprawdę wiemy, że dzięki temu nie chodzi bosa i naga.

Nie miałam wyjścia, musiałam z nimi usiąść.

- Cześć, Colm! - zawołałam do ich syna, który wyciągnął się na leżaku i pośpiesznie spoglądał nad balustradą. - Widziałeś Jacka?

- Nie - odmruknął.

- Może popływasz, skarbie? - Maddy rzuciła mu rozpromienione spojrzenie. - Taki ładny basen i w ogóle.

- Popływam. - Nawet nie odwrócił głowy. - Później.

- Jest odrobinę przybity - zdradziła mi szeptem. - Nie pozwoliliśmy mu zabrać laptopa. Mamy nadzieję, że dzięki temu łyknie trochę świeżego powietrza. Twierdzi, że tutejszy komputer jest do niczego. Za mało gigów, ramu czy czegoś tam.

Colm ma bzika na punkcie techniki. Zawsze było mi go żal, sama nie wiem, dlaczego. To bystry chłopak, pewnie dosyć wrażliwy, przy czym tak nietowarzystki, że trudno ocenić to z całą pewnością. Jack już dawno machnął na niego ręką, a córki Rity, które często na próżno usiłowały wciągnąć go do wspólnych zabaw, też w końcu dały za wygraną. Ma bladą, ziemistą cerę, a odziedziczona po matce drobna sylwetka nadaje mu wygląd niedożywionego dziecka. Osobiście uważam, że biedny Colm cierpi z powodu ojcowskiej niechęci, świadomy matczynego rozczarowania faktem, że nie wydała na świat więcej dzieci.

- O której idziemy na plażę? - Maddy z przesadnym zachwytem klasnęła w rękę. - Ale frajda! Obiecywałam sobie, że na urlopie będę pić wyłącznie wino, ale jest za ciężkie na tę porę dnia. Za to gin z tonikiem będzie w sam raz. Ty też się napijesz, Tess?

Kiedy odmówiłam, zwróciła się do męża, nadal pochłoniętego lekturą.

- A ty, Fergus? Chcesz piwo, czy coś?

Fergus popatrzył znacząco na zegarek, nieprzyjemnie sznurując usta. Madeleine udała, że nie dostrzega jego dezaprobaty.

- Daj spokój, jesteśmy na wakacjach! - zawołała wesoło. - Mówcie, co chcecie, ale ja zamierzam się dobrze bawić! Przyniosę ci colę, Colm.

Odprowadziwszy ją wzrokiem, spojrzałam w bezsilnej złości na Fergusa Griggsa, który ponownie schylił głowę nad scenariuszem.

## *Rozdział 8*

---

Podczas gdy Maddy, dziewczęta, Jack, a nawet Colm hałaśliwie grali w siatkówkę w meczu przeciwko trzem mężom, Rita i ja siedziałyśmy pod parasolami, sporadycznie obserwując Toma, który budował mały, przekrzywiony zamek z piasku, burzył go, a następnie wznosił od nowa. I tak w kółko. Próba wciśnięcia mu kąpielówek zakończyła się fiaskiem, toteż ubrany był w szorty i obecnie ulubiony, sprany podkoszulek z wypłowiałym logo. Na szczęście Rita powstrzymała się od komentarza. Nie muszę tłumaczyć się przed nią z dziwactw Toma, bo chyba jedyna spośród moich krewnych i znajomych akceptuje chłopca takim, jaki jest. Każdemu przydałaby się taka przyjaciółka.

Spotkałyśmy się w czasach, kiedy mężatki nie mogły pracować w administracji państwowej; każda inna dziewczyna stałaby się po ślubie tylko wspomnieniem, podtrzymywanym kilkuletnią wymianą kurtuazyjnych życzeń świątecznych. Ale nie Rita. Dzwoniła, zapraszała nas do swego nowego domu w Finglas poza miastem, w miejscu, które w naszych oczach zakrawało niemalże na Dziki Zachód, niewiele

lepszym od naszych rodzinnych stron. Mimo to urządziła mieszkancko tak przytulnie, że wpadałyśmy tam przy każdej okazji, by napoiła nas herbatą i trochę się nad nami poużalała.

- Ale mi dobrze! - Rozprostowała nogi, gimnastykując palce stóp. I dodała, wygładzając dwuczęściową płachtę kostiumu w groszki, rozpiętego na czymś w rodzaju drucianego stelażu: - Nie mam odwagi powiedzieć ci, ile kosztował.

- To nie mów. - Spojrzałam na nią z uśmiechem. Mój własny skromny, jednoczęściowy kostium też kosztował fortunę, chociaż wcale na to nie wyglądał. W tym cały wic, jak powiedziałyby Kitty.

- Ano nie powiem. - Kręciła się na piasku, robiąc sobie grajdołek. - Ale te pieniądze wystarczyłyby na roczne utrzymanie afrykańskiej wioski. - Położyła się i przymknęła oczy.

Plaża była cudowna: jak okiem sięgnąć wzdłuż błękitnej tafli wody po obu stronach rozpościerały się kilometry białego piasku. Przynieśliśmy cały sprzęt zapewniony przez właścicieli willi, parasole, parawany, leżaki oraz koce, i rozłożyliśmy się w pobliżu morza, gdzie wietrzyk czynił upał bardziej znośnym. Według Colma, który miał zegarek z termometrem, słupek rtęci dochodził obecnie do dwudziestu dziewięciu stopni. Postanowiliśmy spędzić pierwsze popołudnie w Argeles-sur-mer, oddalonym o kilka kilometrów od Collioure, ponieważ (według ulotek reklamowych pozostawionych w willi) istniała tam możliwość uprawiania sportów wodnych, a i restauracje były nie do pogardzenia.

Jednym z zasadniczych plusów majowego urlopu było to, że mieliśmy całe połączenie plaży dla siebie. Był też jeden poważny minus: Argeles, typowy kurort z masą parkingów i długą promenadą, funkcjonował jak miejscowość sezonowa, toteż nie mieliśmy dostępu do wszystkich atrakcji.

Za deptakiem, wzdłuż którego biegł ciąg lokali gastronomicznych, znajdowało się centrum handlowe z mnóstwem odzieżowych butików, sklepów sportowych i kiosków z pamiątkami oraz ustawionych na zewnątrz straganów. Otwarte sklepiki wabiły oko tanimi ubraniami, akcesoriami plażowymi, ceramiką, świecami, obuwiem, miejscowym i orientalnym rękodziełem oraz używanymi książkami. Większość niestety była zamknięta na cztery spusty.

Muszę przyznać, że zawsze lubiłam senną atmosferę nadmorskich kurortów poza sezonem. Puste połacie piasku przywołują wspomnienia z dzieciństwa, kiedy spacerowaliśmy po zalanej deszczem przepięknej plaży w Enniscrone niedaleko Ballina, gdzie mimo gęszej skórki i przemoczonych butów ze stoicką determinacją zjadałam z rodzicami lody. Skoro więc zadaliśmy sobie trud, aby tu przyjechać, będziemy się dobrze bawić. I już.

Rita, która uznałaby zapewne, że moje upodobanie do smutnych, opustoszałych miejsc idzie w parze z miłością do żałobnej muzyki, podparła się na łokciu i spojrzała w stronę naszych siatkarzy.

- A propos afrykańskich wiosek, co my z nią zrobimy, Tess? Wygląda koszmarnie.

- Masz rację. Przeraziłam się na jej widok. W zimie nic nie było widać pod tymi grubymi swetrami.

Patrzyłyśmy, jak Maddy biegnie do piłki. Gdy pochyliła się, aby ją podnieść, zobaczyłam, że miseczki jej kostiumu nie mają praktycznie żadnego punktu oparcia. Zasłaniały płaską jak u dziesięciolatki pierś.

- Powinniśmy to skomentować? - Rita zniżyła głos. - Myślisz, że ma anoreksję? Nie znam się na tym. Może tylko pogorszyłybyśmy sprawę?

- Lepiej nic nie mówić. Kilka tygodni temu widziałam w telewizji program o anoreksji. Chore noszą obszerną odzież, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Ona tak nie robi, więc najprawdopodobniej przesadziła z dietą. Anoreksja to skomplikowane zjawisko, najczęściej nie ma nic wspólnego z jedzeniem. Próbujesz zyskać nad czymś pełną kontrolę, na przykład nad swoim ciałem. Na razie nie wyciągajmy pochopnych wniosków, poczekajmy kilka dni. Zresztą może wakacje wyjdą jej na dobre. Parę kolejek ginu i wyluzuje. Po prostu miejmy ją na oku, dobrze?

- No właśnie. - Rita nachyliła się w moją stronę. - Głupio mi o tym mówić, ale ty byłaś pierwsza. Zauważyłaś, jak ochoczo opróżniała kieliszek? Pierwszy, drugi, trzeci, czwarty?

- Nie. - Obejrzałam swoje paznokcie. W sumie nie była to prawda: w ciągu ostatniego roku wielokrotnie zwróciłam uwagę, że podczas każdego wyjścia Maddy pierwsza proponowała drinka i pierwsza zamawiała drugą kolejkę.



Rita zrozumiała, że lojalnie nie mam ochoty podjąć tematu.

- Spójrz tylko na niego - dorzuciła zmienionym tonem. - Zawsze musi się popisywać, pajac!

Podążając za jej wzrokiem, zobaczyłam, jak mąż Maddy próbuje efektywnie wybić piłkę i chybia. Fergus przywiązuje ogromną wagę do swego wyglądu i (pewnie z uwagi na wykonywany zawód) nigdy nie pokazuje się publicznie bez sztucznej opalenizny, która zyskała w słońcu nieco pomarańczowy odcień. Pomimo dobrej kondycji tyczkowaty Jerry wygląda przy nim jak wiotka trzcinka.

- Popatrz na mojego starego, nieźle mu idzie! - zachichotała Rita. Dźwigając przed sobą trzęsący się brzusek, Ricky dopadł piłki i zręcznie odbił ją ponad siatką. - Po powrocie wezmę go na dietę. Nie pozwolę, żeby zszedł na zawał. Nie daj Bóg, zrobi to na mnie.

Posłała mi baczne spojrzenie.

- Tęsknisz za Michaeliem? - Na tle szumu morza i wesołych okrzyków jej słowa zabrzmiały zdumiewająco cicho. - W tym miesiącu przypada rocznica, prawda?

- Czasami. Tak, to już jedenaście lat. Dwudziestego pierwszego. W przyszłą środę. - Nie miałam ochoty rozmawiać ani o Michaelu, ani o innych związkach.

Rita spojrzała na mnie ostro, po czym opadła z powrotem na ręcznik i wystawiła twarz ku słońcu.

- Wybacz, mam nadzieję, że cię nie zdenerwowałam. - Przymknęła oczy. - Czyż nie jest bosko, Tess? A ten wietrzyk nie jest cudowny? Może wreszcie zapomnimy o cholernym Marrakeszu, co? - Lwią część marokańskich wakacji spędziliśmy w hotelowym pokoju, ratując się klimatyzacją. - Miejmy nadzieję, że przed nami niezapomniane chwile.

- Ano.

Tom nadal grzebał w piasku, toteż sięgnęłam po książkę i próbowałam skupić się na lekturze. Lecz czcionka była drobna, a słońce raziło w oczy.

Książka opadła mi na kolana. Z głową opartą na dmuchanej poduszce utkwiałam wzrok w dali, gdzie instruktor w małej łódce z umieszczonym przy burcie silnikiem cierpliwie wprowadzał żółtodziobów w tajniki windsurfingu. Sądząc po liczbie osób w wodzie, miał do czynienia z grupą początkujących. Dalej nie było żywej duszy, na

falach podrygiwał tylko nadmuchiwany banan i z wolna płynęła motorówka, ciągnąca parolotniarza, zawieszono go na linie, która zdawała się cienka jak pajęcza nić. Rita uderzyła w czułą strunę. Tęsknię za Michaeliem, czasem bardziej, czasem mniej, ale tęsknota zawsze się nasila około rocznicy jego śmierci.

Tamten wtorek sprzed jedenastu laty był najgorszym dniem mojego życia, gorszym nawet niż dzień, w którym zmarła mama. Z niemowlęciem na ręku całujesz męża na pożegnanie, rzucasz jakąś uszczypliwą uwagę pod adresem jego wyglądu, uwagę, której potem za nic nie możesz sobie przypomnieć, a dwie godziny później otwierasz drzwi policjantom.

- Możemy wejść, pani Butler?

Od razu wiedziałam. Świat zawirował mi przed oczami, lecz mimo szoku wcale nie czułam zdziwienia. To tylko moja wina. Moja wina, że z biegiem czasu straciłam czujność.

Tom odpoczywał po wyczerpujących zmaganiach z piaskiem.

- Nie bierz do buzi kciuka, skarbie. - Rzuciłam to odruchowo, bez większej nadziei, że posłucha: jego przednie zęby wyginają się jak most Westchnień i wkrótce trzeba będzie pokazać je ortodoncie. Sama jestem sobie winna: mając w pamięci żywe wspomnienie gorzkiego aloesu, którym matka bezskutecznie smarowała mi palce, nigdy nie uciekałam się do tradycyjnych metod zapobiegawczych, uważając je za niehumanitarne. Tom rzucił mi zaciekawione spojrzenie: z kciukiem w ustach tak bardzo przypominał ojca z fajką, że odechciało mi się go strofować.

Biedny Michael, potrącony przez autobus podczas przechodzenia przez ulicę. Ze też równie prozaiczny wypadek mógł zabrać tak niezwykłego człowieka.

Usiadłam prosto i dotknęłam ramion Toma, by sprawdzić, czy za bardzo się nie przypiekl.

- Tom, spróbuj z łaski swojej nie dręczyć tego kciuka, bardzo cię proszę. Nie jest ci za gorąco? Może napijesz się coli?

- Nie, dziękuję.

- Idę popływać, pójdiesz ze mną?

- Dobrze. - Nie takiej odpowiedzi oczekiwałam, lecz ku mojemu zdumieniu chłopiec zerwał się z miejsca i ruszył w kierunku wody. - Chwileczkę, Tom, poczekaj

na mnie. - Rzuciłam książkę i dogoniłam syna, w momencie gdy brodził przy brzegu. Tuż za linią wody rozpoczynał się dość stromy uskok. - Nie oddalaj się, skarbie. Tu może być niebezpiecznie.

- Przecież jest ratownik - zauważył, pochłonięty obserwacją fal, które wymalowały na jego szortach ciemne półksiężycy.

- Gdzie?

- Na wieży.

Rozejrzałam się dokoła. Rzeczywiście, jakieś sto metrów na lewo dostrzegłam drewnianą konstrukcję. Oczywiście nie mam tak sokolego wzroku jak mój syn, gdyż nie dostrzegłam tam żywej duszy, więc musiałam wierzyć na słowo. Tymczasem Tom płynął już w głąb morza, wyprzedzając mnie o jakieś piętnaście metrów. Jedną z jego nadzwyczajnych umiejętności polega na tym, że bez większej pomocy nauczył się wyśmienicie pływać. Bez wysiłku pokonuje niezliczone długości basenu dopóty, dopóki sam nie uzna, że ma już dosyć. Wielokrotnie zdążyłam zrobić sobie manikiur, czekając, kiedy to nastąpi. Popłynęłam teraz za nim.

Wystarczyło kilka ruchów i straciłam grunt pod nogami. Nie było wprawdzie zimno, ale płynęłam pod wiatr i fale ochlapwały mi twarz, co okazało się niezbyt miłe. Kiedy po raz dziesiąty napiłam się słonej wody, uznałam, że dosyć tego dobrego. Tom znajdował się na wysokości instruktora windsurfingu, które czujnie doglądał swojej gromadki. Wrzasnęłam, że wracam na brzeg, łykając przy tym kolejną porcję solanki, ale wiatr stłumił mój głos i chłopiec nie zareagował.

Płynęłam, dopóki nie sięgnęłam stopami dna, po czym raz jeszcze spojrzałam w stronę syna. Głowa Toma podskakiwała na falach, obserwował zmagania z deskami.

- Szybko ci poszło. I jak było? - Rita osłoniła drogi kostium przed piaskiem, którym obsypałam ją niechcący, zamazyście wymachując ręcznikiem.

- Cudownie, ale muszę ci coś wyznać. Wolę basen. - Rozczesując włosy grzebieniem, ponownie skierowałam wzrok na morze. Tom był ledwo widoczny, nadal tkwił w tym samym miejscu. Przyszło mi do głowy, że może powinnam wykupić mu parę lekcji, ale postanowiłam najpierw zapytać go o zdanie.

Mecz toczył się w najlepsze, choć Patricia i Alice odeszły na bok, żeby odpocząć. Co najdziwniejsze, Colm radził sobie nad wyraz dobrze. Jack zresztą też. Czyżby obaj próbowali zaimponować ładnej Kitty?

Przysiadłam obok Rity.

- Czy mogę zadać ci osobiste pytanie, Rita? Czego tak naprawdę oczekujesz od życia?

- Że co proszę?

- Słyszałaś. Chciałabym to wiedzieć.

- Kryzys wieku średniego, hę? - Ze śmiechem poprawiła drucianą konstrukcję kostiumu, która uwierała ją w bok. - Był szyty na miarę, ale i tak jest diabelnie niewygodny. Kobieca próżność... - Westchnęła. - Jesteśmy na wakacjach, Tess, a nie na warsztatach z psychoterapii. Poza tym trochę za późno na to pytanie, czyż nie?

- Tak?

Uniosła się na łokciu.

- Co cię napadło? O co ci właściwie chodzi?

- Ach, sama nie wiem. Trudno powiedzieć. O wszystko. - Przyszło mi do głowy, że Rita jest jedyną osobą, której mogłabym opowiedzieć o swoich, hm, rozdwojeniach jaźni. Ale odsunęłam tę myśl. Miała rację: nie czas i miejsce. - Bywa, że mam dość i sama nie wiem, dlaczego, Rita. Wolę nie myśleć, że zmieniłam się w niewdzięczną sukę.

- Tess! - Rita z wrażenia aż usiadła na ręczniku. Wszystkim znana jest moja niechęć do rynsztokowego słownictwa, która została mi jeszcze z czasów nowicjatu. Z tego powodu niekiedy bywam obiektem życzliwych docinków ze strony przyjaciół.

- Jesteśmy same - rzuciłam buntowniczo. - I w dodatku mówię serio. Nie mam powodu do narzekań, byłaby to skrajna niewdzięczność. Ile kobiet chciałoby się znaleźć na moim, twoim, naszym miejscu? Pomyśl o Arkadii, pomyśl o swoim domu, o willi, w której tutaj mieszkamy. Nie musimy się gnieździć w obskurnym hotelu, o ścianach z tektury. Mamy zdrowe dzieci i dobrych mężów. I bez mrugnięcia okiem wydałyśmy na kostium równowartość niejednej miesięcznej pensji. Jesteśmy szczęściarami, Rita. Masz pojęcie, że od czasu Seomra a Seacht żadna z nas nie musi nawet kiwnąć palcem Maddy też nie.

- Ja pracuję... ty pracujesz. Praca w domu też zaczyna uchodzić za formę kariery. - Rita zrobiła urażoną minę.

I całe szczęście!

- Owszem, ale czy nigdy nie gryzie cię sumienie?

- Nie! Też coś! Chcesz mnie obrazić?

Zrozumiałam, jak pompatycznie musiały zabrzmiały moje słowa i aż się roześmiałam.

- Jasne, że nie.

- No więc w czym rzecz? - Ponownie opadła na ręcznik. - Coś nie tak pomiędzy tobą a Jerrym?

- Nie, wszystko w normie. - Położyłam się brzuchu i sięgnęłam po książkę. - Przepraszam, że w ogóle zaczęłam ten temat. Jestem niemądra.

- Wcale nie. - Przyjrzała mi się uważnie. - Ale muszę powiedzieć, że przestałam zadawać sobie to pytanie. Czegóż mogłabym jeszcze chcieć? A ty, Tess? Sama mówiłaś, że niczego nam nie brakuje.

- Wiem. Każ mi się przymknąć.

- Od czego są przyjaciele?

Przez chwilę leżałyśmy w milczeniu. Próbowałam skupić się na sensacyjnej akcji powieści, ale nie mogłam zebrać myśli i musiałam wrócić do pierwszego akapitu. Kiedy stwierdziłam, że trzeci raz czytam pierwsze zdanie, dałam za wygraną i odłożyłam książkę.

W czym tkwiła przyczyna mojego niezadowolenia? Skoro rzeczywiście nie miałam powodów do narzekania, dlaczego wciąż postrzegałam siebie jako wydrażoną skorupę? Rita żartobliwie wspomniała o kryzysie wieku średniego i może miała rację. Czyżby to rzeczywiście takie proste... a zarazem skomplikowane? Wystarczy kilka pigułek hormonalnych i znów stanę się Miłą Tess, Przyjaciółką Wszystkich?

## Rozdział 9

---

Mecz siatkówki powoli dobiegał końca. Najpierw dołączyła do nas Kitty, a zaraz potem Maddy.

- Mam dosyć na resztę roku. - Maddy z trudem łapała oddech. Mogłam policzyć jej zębra. - Robię się na to za stara.

- Sama chciałaś. - Rita ułożyła się wygodniej w swoim grajdołku. - Wiecie co - rzuciła marzycielsko - a może tak byśmy się urwały, tylko we trzy? Poszłybyśmy do fryzjera albo na lody?

- Ale dzisiaj dzień rodzinny - przypomniała zdyszana Maddy.

- No i co z tego? - Rita prychnęła. - W domu mamy ich od groma i trochę. Moim zdaniem zaczynamy popadać w rutynę, dziewczęta. Jeden dzień taki, drugi owaki. - Przewróciła oczami. - Niewolniczo trzymamy się jednego schematu. Wakacje są po to, żeby doświadczyć czegoś nowego. Zapomniałyśmy o tym?

Pozwoliłam sobie zauważyć, że pójście do fryzjera to żadne odstępstwo od rutyny.

- A może chcecie zagrać w tenisa? Gdzie tam.

- Chyba nie z tobą, Billie-Jean! - Rita obruszyła się na samą myśl o tak wyczerpującym wysiłku fizycznym.

- Wiem, co Rita ma na myśli, Tess - wtrąciła Maddy.

- Może w ogóle powinniśmy dać sobie spokój z tymi grupowymi wakacjami.

Nie kryłam zdumienia. Miałam wprawdzie zastrzeżenia co do rutyny, ale nigdy nie przyszło mi do głowy tak radykalne rozwiązanie. Zauważyłam jednak, że Rita wcale nie wygląda na zdziwioną.

- Ale dlaczego? Ja nie chcę żadnych zmian! - Kitty wstała i upięła długie, orzechowe włosy w ciasny kok. Zapowiadała się na prawdziwą piękność, drobna, o proporcjonalnej budowie, jasnej, lekko piegowatej skórze i fiołkowych oczach. Nic dziwnego, że Colm i Jack rywalizowali o jej względy. - Idę się zamoczyć - oznajmiła.

- Proszę pod moją nieobecność nie podejmować żadnych decyzji co do następnych wakacji. My też mamy coś do powiedzenia. Kocham ciebie i tatę, mamó,

ale bez pozostałych byłoby nam nudno. - Rzuciła szybkie, niemal ukradkowe spojrzenie na siatkę.

Aha, pomyślałam. Czyli jednak coś jest pomiędzy nią a Jackiem. Albo Colmem, chociaż to raczej mało prawdopodobne.

- Tylko nie siedź za długo w wodzie - ostrzegła Rita.

- Łatwo o poparzenie.

- Maaamooo. - Kitty cisnęła w matkę garścią piasku.

- Załóż okulary. Mam na sobie cholerną podkoszulkę.

- Wyrażaj się, Kitty! Jest z nami zakonnica.

- Nie zwracaj na nią uwagi, Kit - wtrąciłam leniwie. - Przed chwilą byłam w wodzie, jest bosko. Zerknij na Toma, dobrze? Jest tam, przy windsurferach.

- Gdzie? - Wyteżyła wzrok. - Nie widzę go. Usiadłam.

- Popatrz uważnie, kochanie. Z daleka trudno odróżnić jedną głowę od drugiej.

Wstałam. Nie, wcale się nie martwiłam. Jak już wspomniałam, Tom pływa jak ryba. Zawsze o tym wspominam, gdy inne matki chwala się osiągnięciami latorośli.

Podeszłam na skraj wody i popatrzyłam w morze. Łódź instruktora windsurfingu zmierzała w kierunku brzegu, kursanci podążali w ślad za nią jak kaczęta za matką, paralotniarz z wolna opadał w dół. Tylko nadmuchiwany banan tkwił tam, gdzie przedtem. Ani śladu Toma.

Kitty stanęła obok mnie.

- Widzisz go, ciociu Tess?

- Jeszcze nie. Ale on pływa jak ryba, sama o tym wiesz.

- No. Pamiętasz, jak na Krecie pokonał tamtego gościa w basenie i wygrał sto drachm?

Uśmiechnęłam się na samo wspomnienie.

- Tak.

Nie martwiłam się ani trochę. Tylko świetne refleksy na falach wydały mi się raptem jakby mniej urocze: czyhały, by zwabić ku sobie małych chłopców i wessać ich na samo dno.

- Miej oczy otwarte, Kitty - poprosiłam z niezmaconym spokojem. - Najwyższa pora, żeby wyszedł na brzeg. Tylko brakuje, żeby się poparzył. Zawołam Jerry'ego, jest lepszym pływakiem niż ja. Jak zobaczysz Toma, krzycz!

- Dobrze, ciociu Tess. Nic się nie martw.

- Och, wcale się nie martwię. - Posłałam jej kolejny uśmiech, po czym niespiesznie wyminęłam Ritę i podeszłam do męża. - Posłuchaj, Jerry - zagadnęłam. - Tom wszedł do wody, a ja straciłam go z oczu. Nie, nie boję się, przecież on świetnie pływa, ale minęło już trochę czasu. Jeszcze chwila i poparzenie gotowe. Mógłbyś go poszukać? Ty lepiej pływasz.

Jerry był zlany potem, cienkie kosmyki kleiły mu się do czoła.

- Pewnie - odrzekł wspaniałomyślnie. Wystarczy nieco ruchu i zaraz jest w lepszym humorze. - Właśnie skończyliśmy grać. I jesteśmy górą, jak zwykle.

- No proszę. - Uśmiech sprawił mi pewną trudność. - Dziękuję, Jerry.

Poszliśmy razem na brzeg. Kitty brodziła po kostki na mieliźnie. Jerry zrzucił sandały i wszedł do wody. - Widzisz go?

- Nie.

- Gdzie go ostatnio widziałas? - Kiedy stanęłam obok nich, Jerry przeniósł na mnie wzrok.

- Jakies sześćdziesiąt, siedemdziesiąt metrów na wprost. Obserwował windsurferów, ale oni już skończyli. Są tam. - Pokazałam palcem. - Wracają na brzeg.

- Dobrze. Nic się nie martw, mała. - Poklepał mnie po ramieniu. - Pewnie siedzi gdzieś na piasku i przekopuje się do Chin. - Zanurkował, wypłynął na powierzchnię i ruszył szybko naprzód.

Kitty i ja obserwowałyśmy go przez chwilę.

- Wujek Jerry ma rację - uznała dziewczyna. - Może ja pójde w jedną, a ty w drugą stronę i poszukamy?

- Tak. Dobry pomysł.

Szłam wzdłuż plaży. Patrzyłam przez ramię na Jerry'ego, jednocześnie przeczesując wzrokiem nieliczne grupki tubylców i wczasowiczów.



Przecież nic nie mogło mu się stać. Po pierwsze Tom jest świetnym pływakiem, a po drugie wokół pełno ludzi. No i ratownik. Spojrzałam w kierunku wieży. Z tej odległości zobaczyłam wyraźnie, że świeciła pustką.

A co tam. Gdyby rzeczywiście miał kłopoty, gdyby nałykał się wody i zwymiotował, został oparzony przez meduzę albo gdyby złapał go skurcz, wdrapałby się na ten cholerny nadmuchiwany banan. Wszędzie roilo się od ludzi, ktoś na pewno wezwałby pomoc.

Poza tym mój syn jest już duży. Jedenastolatek ma trochę oleju w głowie. W razie czego umiałby zwrócić na siebie uwagę.

Jerry popłynął daleko, prawie do boi.

Na mapie to miejsce nosi nazwę Zatoki Lwa i dziś zrozumiałam, dlaczego. Czy mi się wydaje, czy wiatr się wzmaga? I fale są jakby wyższe...

Jerry zatrzymał się na chwilę. Zobaczyłam, jak przytrzymuje się boi i rozgląda na boki.

Ja też przystanęłam. Na jego wysokości nie było prawie żadnych pływaków. Tak, morze istotnie stało się bardziej wzburzone...

Ale słońce nadal mocno przygrzewało. Poza tym jesteśmy nad Morzem Śródziemnym, na miłość boską.

Ujrzałam, jak Jerry wymachuje rękami, próbując zwrócić moją uwagę. Boże, pewnie go znalazł...!

Poczułam, jakby coś we mnie pękło i pod wpływem nagłego ataku paniki oczami wyobraźni zobaczyłam zielonkawą twarz Toma pod wodą. Kraby sięgały szczypcami do jego oczu, a wodorosty wplątywały mu się we włosy. W porę zdławiłam krzyk narastający w gardle, po czym wbiegłam na mieliznę i, zachłystując się wodą, popłynęłam do męża, który kierował się już w stronę brzegu.

- Co się stało? - wykrztusiłam, kiedy znaleźliśmy się obok siebie.

Spojrzał na mnie z niewzruszonym opanowaniem.

- Obejrzyj się za siebie, kobieto!

- Gdzie? Co? - Uczyniłam to tak szybko, że niechcący poszłam pod wodę, ale zaraz wynurzyłam się z powrotem, plując i kaszląc. - Nic nie widzę.

- Kto tam idzie po piasku razem z Kitty?

Brnąc naprzód, popatrzyłam we wskazanym kierunku. Tom szedł sobie obok córki Rity jak gdyby nigdy nic. Gwałtownie wypuściłam powietrze z płuc i o mały włos znów poszłabym na dno.

- Przepraszam, Jerry, naprawdę bardzo cię przepraszam. Trochę mnie poniosło.

- On ma jedenaście lat, Tess. Nie jest dzidziusiem.

Ponieważ mówiliśmy o moim synu i z góry znałam krytyczne nastawienie Jerry'ego, który wypowiedział na głos to, co uparcie kołatało mi w głowie, natychmiast przeszłam do defensywy. Mimo to nie czułam się na siłach, aby zaprotestować, a zważywszy na okoliczności, kłótnia nie byłaby najmądrzejszym rozwiązaniem, zwłaszcza że staliśmy po szyję w wodzie, jak nie przymierzając bohaterowie Becketta.

- Tak czy siak, dziękuję, że popłynąłeś. Mało nie umarłam ze strachu.

- Nie ma sprawy. Wychodzę na brzeg. - I popłynął, a ja z wolna podążyłam za nim.

Byłam roztrzęsiona, nie tylko z powodu Toma i własnej reakcji. Myśl o tym, jak Jerry zareaguje na kolejny wyskok Toma, zawsze kosztuje mnie sporo energii. Tym razem straciłam czujność.

Gdy dotarłam do naszego „obozowiska”, byłam już zupełnie spokojna. Kitty i Tom siedzieli obok Rity i Ricky'ego; dziewczyna pomagała mu odbudować zamek. Jerry wycierał się ręcznikiem, Colm, Jack, Alice i Carol mieli na uszach słuchawki, Patricia czytała, a Maddy smarowała sobie nogi olejkami. Brakowało wprawdzie Fergusa, lecz widok pozostałych był sam w sobie wystarczająco krzepiący.

Kitty straciła zainteresowanie zamkiem, a ja usiadłam naprzeciw syna.

- Kiedy zdążyłeś wyjść z wody, Tom? Nie masz pojęcia, jak się wystraszyłam. Straciłam cię z oczu. - Mówiłam na tyle głośno, by Jerry nie uronił ani słowa.

Tom nawet nie podniósł wzroku.

- Widziałem tatę - oznajmił. - Mówił przez megafon, kazał mi wyjść. Powiedział, że wystarczy kąpiele, bo fale robią się niebezpieczne.

- Przecież nie mogłeś widzieć taty, skarbie - odrzekłam ze zdumieniem. - Tata jest w niebie. Gdzie go niby widziałeś?

- Na wieży. - Uklepał górkę piasku. - Jest ratownikiem.

- Rozmawialiście potem?

- Poszedłem do wieży, ale już go nie było.

- Skąd wiedziałaś, że to on?

Rzucił mi jedno ze swych znaczących spojrzeń („naprawdę muszę ci wszystko tłumaczyć?”), które opanował do perfekcji.

- To był mój tata. Wiem, że to on.

Spojrzałam na boki, ale Kitty, która siedziała najbliżej nas, zdążyła już nałożyć słuchawki. Pozostali nie zwracali na nas uwagi.

- Jak wyglądał?

- Tak jak zawsze. Miał gogle.

- Gogle? Masz na myśli okulary do pływania?

- A skąd mam wiedzieć? Takie duże.

Mogłam mówić, co mi się żywnie podobało: Tom niewzruszenie trwał przy swoim i z miejsca ucinał każdą próbę perswazji. Wreszcie umilkł na dobre.

Po raz pierwszy miałam z tym do czynienia w praktyce, ale przypomniałam sobie słowa dyrektorki jego szkoły, starej mądrej zakonnicy, z którą rozmawiałam kiedyś na wywiadówce. Poprosiłam ją o radę, jak rozwiązać „problem” Toma. (Swego czasu pytałam o zdanie każdego, kto zechciał mnie wysłuchać. Nie dawałam ludziom spokoju).

Zakonnica, potężnie zbudowana kobieta o dłoniach farmera, utkwiała we mnie długie spojrzenie. Wreszcie pociągnęła mnie w kąt sali, z dala od wszystkich.

- To dziwny chłopczyk - powiedziała w końcu. - Inny niż reszta. I chociaż nie ma pani powodu do zmartwienia, widzę, że nie daje to pani spokoju. Dzisiejsi rodzice za bardzo się zamartwiają, prawda?

- Widocznie mają powód, sostro. - Usilnie dociekałam w duchu, jaka aluzja kryła się w jej słowach.

- Hm, być może. - Uśmiechnęła się łagodnie. - Nie pochwalamy inności, prawda? Lecz jeśli się dobrze zastanowić, Jezus był właśnie takim... odmieńcem, i choć niewiele wiem o życiu Mozarta, sądzę, że też przysporzył rodzicom niemało zgrzyzoty.

Kurczowo uczepiłam się jej słów.

- Mozart? Chce siostra powiedzieć, że Tom ma talent? Zakonnica zachichotała.

- Pani Brennan! - upomniała mnie pobłażliwie. - Nawet jeśli mały Tom jest geniuszem, na razie tego po nim nie widać. - Zastanawiała się przez chwilę, po czym dodała: - Moim zdaniem powinna go pani zachęcać do rysowania. Mam wrażenie, że bardzo to lubi.

- Tak, możliwe. - Szczerze mówiąc, miałam co do tego wątpliwości. Prace Toma nie wydawały mi się szczególnie interesujące. Zwykł rysować w kółko różne rzeczy, dopóki rezultat nie był całkiem zadowalający.

- Tylko jedno mnie niepokoi. - Zakonnica machinalnie uniosła rękę do srebrnego krzyżyka odcinającego się na tle habitu. - Oczywiście zdaje pani sobie sprawę, że Tom opowiada o ojcu jakby ten nadal żył?

Była to istotna kwestia, która nasuwała więcej pytań aniżeli odpowiedzi. Jeśli to naprawdę miało miejsce, dlaczego Tom „opowiadał” o Michaelu w szkole, a nie w domu?

- Ależ on nie może go pamiętać - zaproponowałam, oblewając się rumieńcem, jakbym osobiście ponosiła winę za śmierć ojca własnego dziecka. - Był taki mały. Prowadzałam go do armii specjalistów, konsultantów i psychologów, z których żaden nie wskazał śmierci Michaela jako przyczyny dziwnego zachowania Toma. Wszyscy jednogłośnie to wykluczyli. I stwierdzili, że jest pewny siebie, a nawet przystosowany, czy może to siostra sobie wyobrazić...? - Roześmiałam się z zakłopotaniem, czekając na jej reakcję.

Odpowiedziała mi łagodnym uśmiechem.

- No tak. Ale ostatecznie skąd możemy wiedzieć, prawda? Tylko Bóg wie, jakie informacje docierają do małego mózgu i co może wyrzeć na niego wpływ. Jeśli spokojna muzyka wpływa kojąco na dziecko w łonie matki, ktoś może wiedzieć, na ile noworodek słyszy i widzi to, co dzieje się wokół niego. Nauka nie dogoniła jeszcze Boga, prawda, pani Brennan?

Wcale nie przesadzałam, mówiąc o armii specjalistów. Rezonans magnetyczny nie wykazał żadnych odchyień od normy ani uszkodzeń mózgu. Psychologowie i psy-

chiarzy, do których zwracałam się o radę, wykluczyli syndrom ADHD i wszelkie odmiany autyzmu.

Tom potrafi nawiązać kontakt z rozmówcą, jeśli chce - i tylko wtedy. Wygląda na to, że podczas konsultacji psychiatrycznych stosował metodę skutecznych uników. Niespełna pół roku przed rozmową z zakonnica ostatni konsultant, zarekomendowany przez jednego ze współpracowników Jerry'ego, bezradnie rozłożył ręce.

- On mnie bije na głowę, pani Brennan. - Rozmawialiśmy przed jego bramą.

- Ale dlaczego jest taki dziwny? - Zerknęłam na Toma, który czekał na mnie w samochodzie. Nie próbował podsłuchiwać, chociaż wiedział, że rozmowa musi dotyczyć właśnie jego. Bawił się swoim gameboyem.

- Każdy z nas jest na swój sposób dziwny - odparł konsultant. - Tom jest jednym z tych niezwykłych ludzi, którzy nie próbują ukryć swojej inności. Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Obawiam się, że niewiele mogę pani pomóc. I myślę... mam nadzieję... że z tego wyrośnie, cokolwiek to jest. Niech pani spróbuje pobudzać jego wyobraźnię za pomocą sztuki, muzyki ewentualnie aktorstwa. Proszę mi wierzyć, on nie jest ani nadpobudliwy, ani nieszczęśliwy, a wszelkie konsultacje to tylko i wyłącznie strata pieniędzy. Ale oczywiście mogę się mylić. Podam pani nazwisko kogoś, kto radził sobie z trudnymi dziećmi, w sytuacjach gdy my wszyscy bezradnie kręciliśmy głowami. - Z kieszonki na piersi wyjął notatnik i coś zapisał.

Jeszcze nie wykreśliłam tego numeru. A na plaży w Argeles-sur-mer, obserwując syna energicznie wymachującego plastikową łopatką, postanowiłam zaprzestać poszukiwań odpowiedzi na jakiegokolwiek pytania. W pogoni za chłopcem bez skazy popełniłam wiele błędów, dlatego teraz dam mu wolną rękę. Będę jego matką, a nie psychiatrą, i razem stawimy czoło światu.

Spojrzałam na Jerry'ego. Leżał jak długi na piasku w pewnej odległości od parasoli, z przymkniętymi oczami i brzuchem wystawionym do słońca, bezbronny i rozczulający. Zrozumiałam, jak bardzo go kocham. Zrozumiałam też, że coraz trudniej będzie mi znosić jego dezaprobatę wobec Toma.

Przyszędł Fergus. Był rozplómienny, nie tylko z wysiłku i gorąca. Oznajmił, że musi niezwłocznie wracać do domu. Właśnie rozmawiał z agentem, jego serial został zdjęty z ekranu.

## Rozdział 10

---

Aż trudno uwierzyć, że zrobili to tak nagle. Przecież musiałeś coś przeczuwać.

Zebraliśmy się na obrady w salonie. Jerry, nasz lider, przewodniczył dyskusji. Dzieci oglądały gdzieś telewizję satelitarną, a incydent z Tomem - mój incydent - zszedł na dalszy plan.

Rokowania co do dalszego przebiegu wakacji nie przedstawiały się najlepiej: wyglądało na to, że ostatni tydzień urlopu spędzimy same z dziećmi.

- Ależ skąd! Nikt z nas nie miał zielonego pojęcia! Świnie! Aparatczycy! - Fergus, który zdążył już zarezerwować sobie lot na następny dzień, walnął pięścią w poręcz krzesła. - Typowe, nie? Aktorzy zawsze dowiadują się na końcu.

Wieczne słońce urokliwie ozłociło parkiet i meble, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Maddy, z oczami jak spodki w pobladłej twarzy, toczyła ze sobą wewnętrzną walkę, która z każdą kolejną szklanką ginu z tonikiem stawała się coraz bardziej zacięta. Zastanawiała się, czy ma wracać do domu.

- Jak już pewnie mówiłam - ponownie napełniła szklankę i upiła potężny łyk - musimy zapytać Colma. To do niego należy podjęcie decyzji.

- Liczykrupy! - Fergus przemierzał wielkimi krokami pokój, tradycyjną bawialnię ze splotowaną, acz piękną tapetą, ciężkim umeblowaniem i koronką na każdym fotelu oraz poręczu sofy. Gwoli ścisłości koronki zdobyły każdą powierzchnię horyzontalną prócz podłogi i sufitu.

Chociaż współczułam Fergusowi, widok jego skrzywionej twarzy nasunął mi nieodparte pytanie, jak zareagowałiby jego wielbiciele, widząc swego ukochanego Chestera w takim stanie. Co więcej, taka reakcja wydała mi się zgoła teatralna: odniosłam wrażenie, że nasz gwiazdor przesadnie manifestuje złość, a decyzja o natychmiastowym powrocie jest cokolwiek pochozna i niepotrzebna. No tak, ale co ja mogłam o tym wiedzieć: bądź co bądź chodziło o jego źródło utrzymania.

A jednak podświadomie czułam, że traktuje wyjazd jako nadarzącą się okazję, a nie zło konieczne.

- Naprawdę musisz jechać, Fergus? - zapytałam. - W sumie po co, jeśli i tak nie będzie żadnych prób. Przecież twój powrót nie skłoni szefów do zmiany zdania, prawda? A skoro zapłaciłeś za całe wakacje, dlaczego nie miałbyś z nich skorzystać?

- Nie bądź głupia, Tess! Muszę być na miejscu, trzeba im pokazać, co o tym sądzimy. Poza tym muszę się zobaczyć z moim agentem. Nie dam się traktować jak śmieć. Gram w tym serialu od dziewięciu lat, jestem Chesterem Malone, podporządkowałem tej postaci całe swoje cholerne życie. Oddałem mu swoją tożsamość i twarz, na litość boską. Taksówkarze nazywają mnie Chester, menele z Moore Street nazywają mnie Chester, uliczne kundle obsikują Chesterowi buty! Kto obsadzi mnie teraz w innej roli? Dranie!

Zrobiło mi się żal Maddy, której zgrzyzota była wręcz namacalna. Ponowiłam prośbę, żeby jednak została. Rita i Ricky natychmiast mnie poparli.

- Ale powinnam być z Fergusiem. Powinnam... on potrzebuje...

Fergus przerwał jej w pół słowa.

- Oni mają rację, bez sensu, żebym cię włókł ze sobą, Madeleine. Po co mamy się wszyscy denerwować?

- Ale, Fergus...

- Koniec dyskusji! - Kleks śliny wystrzelił mu z ust i kapnął na jej policzek. - Zostajesz i bez gadania.

Maddy zerknęła na mnie i na Ritę, jednak nie wytarła śliny, która spłynęła jej w kierunku podbródka. Podeszła do szafki z alkoholem i drżącymi rękami uzupełniła zawartość swojej szklanki. Miałam ochotę wykrzyknąć Fergusowi, co o nim myślę, ale ugryzłam się w język. Tylko pogorszyłabym sytuację.

Rita nie miała podobnych obiekcji. Ukradkiem puściła do mnie oko i zwróciła się do niego.

- Niezły plan, Fergusie - oznajmiła. - Czemu wszyscy mają cierpieć? Poza tym jestem przekonana, że wkrótce dostaniesz nową propozycję. Dam głowę, że będziesz rozchwytywany. A my tymczasem zaopiekujemy się Maddy i Colmem, prawda, kotku? - I znowu mrugnęła, tym razem do Ricky'ego.

- *No problemo.* - Jej mąż otworzył sobie drugie piwo i oparł butelkę na wydatnym brzuchu.

- Zatem postanowione. - Ton Jerry'ego świadczył dobitnie, że pora zamknąć dyskusję. Wstał z fotela i podszedł do barku. - Skoro to nasz ostatni wspólny wieczór, tradycyjnie wypada obalić pożegnalny koniaczek. Zgoda?

Lecz nawet koniak, w gruncie rzeczy wyśmienity, nie wpłynął na poprawę naszych humorów. Na dodatek w połączeniu z ginem wpędził Maddy w płaczliwy nastrój, toteż niespełna godzinę później rozeszliśmy się do swoich sypialni.

W łóżku zarzuciłam Jerry'emu ręce na szyję.

- Wciąż rozmyślasz o biurze?

- Mówiłem, żebyś odpuściła, Tess. Przestań mnie ciągle wypytywać. -

Wprawdzie się nie odsunął, leżał jednak sztywno jak kłoda.

Lekkomyślnie nie dałam za wygraną, chociaż instynkt i reakcja Jerry'ego podpowiadały mi, że popełniam duży błąd.

- Jestem twoją żoną, Jerry, możesz mi zaufać. - Delikatnie rozmasowałam mu napięte mięśnie na karku. Nie dążyłam do zbliżenia, usiłowałam tylko do niego dotrzeć, choć na urlopie przeważnie kochaliśmy się częściej niż zwykle.

Rany, przedstawiam się jako wyzute z namiętności, bezbarwne indywiduum. Ale to nieprawda: mój związek z Michaeliem był pełen żaru. Sęk w tym, że Jerry i ja popadliśmy pod tym względem w rutynę. Nawet zanim skupiliśmy uwagę na innych sprawach, robiliśmy to raczej z uprzejmości aniżeli pożądaniami. I całkiem mi to odpowiada, choć czasami gryzie mnie sumienie. Zwłaszcza kiedy słyszę jak Rita, która jest istnym wulkanem energii, mówi o seksie. Michael zabrał moją namiętność do grobu.

- Tess, kochanie, daj spokój. - Jerry delikatnie wyplątał się z mojego uścisku. - Miałem cholernie długi dzień i jestem zmęczony. Jutro będę w lepszym stanie. Śpij. - Cmoknął mnie na dobranoc, po czym odwrócił się na drugi bok i nakrył kołdrą aż po same uszy.

Następnego dnia, pozostawiwszy Jacka i dziewczynki nad basenem (Jerry i Ricky dostali surowe przykazanie, żeby pilnować Toma), pojechaliśmy we trzy wraz z Colinem odprowadzić Fergusa na samolot w Perpignan. Lotnisko okazało się uroczą miniaturką i przebywanie tutaj było czystą przyjemnością. Mogliśmy swobodnie spacerować po całej hali, a samoloty dosłownie lądowały tuż pod drzwiami.



Wysiadła się, brała walizkę, a parę kroków dalej czekał wynajęty samochód bądź taksówka. Patrzyłam na to wszystko jak urzeczona. Oto jak powinna wyglądać podróż. Pewnie kiedyś tak wyglądała, by z biegiem czasu, wraz z powstaniem gigantycznych molochów, przekształcić się w wyczerpujący i zmudny proces.

Odprawa przy stanowisku Ryanair też odbyła się w mgnieniu oka: dziewczyna po prostu skreśliła nazwisko Fergusa z listy, zabrała jego walizkę i po krzyku. Pieniądze płacone latami za tak zwane „specjalne” traktowanie wydały mi się nagle wyrzucone w błoto.

Gdy szliśmy w stronę niewielkiej kawiarni, zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Maddy, idąca między mną a Ritą, nagle stanęła jak wryta.

- Lecę. Możecie sobie mówić, co chcecie. Lecimy razem. - I nim zdążyłam zaprotestować, popędziła z powrotem w kierunku stanowiska Ryanair.

- A twoje rzeczy? - Dogoniłam ją pierwsza.

- Czy możecie je przywieźć?

Na jej twarzy kłębiły się emocje, których kompletnie nie rozumiałam. Strach? Naturalnie mogła jechać, skoro chciała, ale jej desperacja przerosła moje najśmielsze oczekiwania, gdyż wydawała się nieadekwatna do sytuacji. I co z tego, że miała zostać tylko z nami? Byłam pewna, że dzięki temu przynajmniej trochę odetchnie.

Colm, który dotąd szedł razem z Fergusem, po chwili dołączył do matki.

- Lecę z tobą, mamo.

Maddy puściła to mimo uszu, może nie dosłyszała.

- Nie zostawiłam tam nic ważnego, Tess. Olejek do opalania raczej mi się nie przyda. - I zwróciła się do dziewczyny za biurkiem z pytaniem o wolne miejsce.

Fergus, w jowialnej masce Chestera na wypadek gdyby w pobliżu znajdowali się jacyś Irlandczycy, podszedł bliżej i zaczął się dopytywać, w czym rzecz.

- Wybaczcie na chwilę, dziewczyny. - Z miną dobrodusznego wujaszka łypnął na mnie i na Ritę, a następnie odciągnął żonę na bok i odwrócił się do nas plecami. Ponad jego ramieniem widziałyśmy twarz Maddy, jej spuszczone oczy i drżące usta.

Colm spociał się z lekka, choć na terminalu pootwierano na oścież wszystkie drzwi i w sali panował miły chłód. W nagłym przypiływie współczucia mało go nie objęłam.

- Nie martw się - powiedziałam cicho. - Wszystko się ułoży.

- Nie martwię się. - Nie spuszczał wzroku z rodziców. Wymiana zdań pomiędzy Maddy i Fergusiem niczego nie zmieniła; nasza przyjaciółka, zwykle tak uległa wobec męża, okazała się zadziwiająco nieugięta. Wracała do domu i koniec.

- Przepraszam was - powiedziała, spoglądając raz na mnie, raz na Ritę. - Mam nadzieję, że nie popsuję wam reszty wakacji. W dodatku musicie spakować moje rzeczy...

- I moje! - wtrącił Colm, który krążył wokół nas jak cień.

- Jasne, że nie, Mad! - Nie mogłam znieść tego jej napięcia. - Jakoś damy sobie radę!

- Przepraszam.

- I przestań wreszcie przepraszać, na miłość boską. - Rita zamknęła ją w miażdżącym uścisku. Stosownie do swoich gabarytów Rita przerasta nas również pod względem wspaniałomyślności. Serdeczność jest jej lekarstwem na wszystko, a jeśli nie, to talerz dobrej stawy na pewno pomoże.

- Dzięki, dziewczyny. - Maddy uwolniła się z objęć i wydmuchała nos. - Zadzwońcie i opowiedzcie, co u was.

- A ja? - Colinowi załamał się głos.

Maddy spojrzała na syna, jakby dopiero uświadomiła sobie jego obecność.

- A... no tak. Oczywiście. Co myślisz, Fergusie? Ten nie krył irytacji.

- Za moich czasów - burknął - gdyby rodzice sfinansowali mi drogie wakacje na południu Francji, na pewno nie wracałbym z płaczem do mamusi.

Colm spiekł raka, ale Maddy stanęła w jego obronie.

- Daj mu spokój, Fergusie. Uważam, że masz powody do zadowolenia. Oboje mamy. Bierze narkotyki? Nie. Włóczy się po nocach? Nie. - Wojowniczo uniosła podbródek. - Powinieneś dziękować niebiosom, że jeszcze się do nas odzywa. Jaki ty byłeś w wieku szesnastu lat?

Plamy wystąpiły mu na szyi, nie posiadał się ze zdumienia. Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale po namyśle zamknął je z powrotem. Lepiej nie robić scen. I podczas gdy Maddy dalej gromiła go spojrzeniem, a biedny Colm przestępował z nogi na nogę, Fergus chcąc nie chcąc wyjął portfel i podszedł do stanowiska Ryanair.

- Proszę dwa bilety do Dublina.

Pół godziny później wyjechałyśmy z parkingu na autostradę. Siedząca za kierownicą dużego chryslera voyagera Rita pociła się niemiłosiernie w czarnej bluzce z lycry.

- I co ty na to? Szkoda, nie? Byłoby fajnie utuczyć ją na siłę lodami. Kto wie, może bez ciągłej inwigilacji pana Ropuchy mogłaby przeżyć wakacje swojego życia.

- Daj spokój, Rita, on nie jest taki zły.

- Czyżby? - Ironicznie uniosła brew.

- Niech ci będzie. Trudno z nim wytrzymać.

- Dyplomatka!

- Przestań, Rita! - Wcale mi się nie uśmiechało bronić męża Maddy, ale wolałam wziąć pod uwagę obie strony medalu. - Nie wypada mówić o kimś za plecami - dodałam, ściągając na siebie kolejne piorunujące spojrzenie.

## *Rozdział 11*

---

Tuż po opuszczeniu lotniska dopadły mnie wyrzuty sumienia. Ostatnio nie okazałam Maddy wystarczającej uwagi. A powinnam.

Próbowałam się w duchu usprawiedliwić: miałam na głowie mnóstwo spraw, a biorąc pod uwagę harmonogram Jerry'ego i naszą różnicę charakterów, pierwsze miejsce należało się rodzinie.

Arkadia też wymaga dużo pracy.

Nie łąpałam za słuchawkę, bo cóż mogłam powiedzieć. Ileż można kogoś pocieszać?

Lecz teraz, na wspomnienie drobnej twarzy Maddy, jakże wyraźnej w jaskrawym świetle południowej Francji, uświadomiłam sobie dotkliwie, jak marne to były wymówki. Okazałam się wstrętnym sobkiem, jak mawialiśmy w Ballina, troszczyłam się wyłącznie o własną wygodę. W ciągu ostatniego roku pogawędki z Maddy obracały się wokół tego samego i miałam dość wysłuchiwania wiecznych

utyskiwań oraz próśb o radę, która i tak nieodmiennie była odrzucana. Zrozumiałam teraz, że to żadne usprawiedliwienie. Ładna ze mnie przyjaciółka.

Żadna, jak powiedziałaaby Kitty.

- Zadzwonimy do niej, Rita? Na przykład dzisiaj?

- A jak myślisz? - Spojrzała na mnie kątem oka.

- Sama nie wiem. Może niech spróbują sami dojść ze sobą do ładu.

- Dobry pomysł. - I tyle.

- Trudna sprawa - podjęłam, kiedy voyager przyspieszył. - Nie wiem więcej niż ty, ale czy zauważyłaś, jaka ostatnio chodziła spięta? To znaczy, bardziej niż zwykle.

Wspominała ci coś?

Rita pokręciła głową.

- Nic a nic. Ale czułam, że coś nie gra. Weźmy na przykład jej chudość... wiem, wiem, sama mam odwrotny problem! - Obciągnęła zamasyście bluzkę, spod której wystawał pokaźny wałeczek.

- O już przestań! Jakie to ma znaczenie w naszym wieku?

- Pewnie nie ma. Przynajmniej wolałabym, żeby nie miało! Dobrze ci mówić, też chciałabym wyglądać tak jak ty.

- Nieprawda. Zrezygnowałabyś z chipsów? Drożdżówek? Czekolady? - Trochę mnie poniosło. - Wybacz, Reet.

- Przepraszająco dotknęłam jej ręki. - Broń Boże nie chcę ci niczego wypominać. Chyba się nie pogniewałaś?

- A skąd. Co nie znaczy, że jesteś w błędzie. - Raz jeszcze obciągnęła niesforną bluzkę, po czym włączywszy kierunkowskaz, zmieniła pas i skierowała się ku Perpignan *Ville*, nie zwracając przy tym uwagi na innych kierowców. - Jezu! Muszę się skupić na drodze. Trzymaj się!

- Zacisnęła ręce na kierownicy i brawurowo zjechała na lewy pas.

Podkreśliłam klimatyzację.

- Tak między nami, mam dość tego ciągłego pilnowania diety. I patrzenia, jak inni sobie używają. To wbrew naturze. Poza tym mam rację, jakie to ma znaczenie? Twój mąż kocha cię taką, jaka jesteś, bądź co bądź jest rzeźnikiem. Gdybyś była chuda jak patyk, nie przypadłaby ci chlubna rola wizytówki firmy.

- Taa - odrzekła pośpiesznie. - Jestem istnym okazem zdrowia. Szkoda, że nie żyjemy w szesnastym wieku, kiedy tłuszczyk był w modzie!

- No powiedz szczerze: nie chciałabyś być taka wychudzona jak biedna Maddy, prawda?

- Dajże spokój, Tess! Kiedy na nią patrzę... - Zaciśnęła usta. - Po powrocie zaciągnę ją do lekarza, masz na to moje słowo, Tess. I niech sobie gada, co chce.

- Ja też pójdę. Pójdziemy wszystkie razem. A potem wyskoczmy na lunch. Urządzimy sobie babski dzień.

- Koniecznie. Ale... - Rita zawiesiła głos. - Myślisz, że możemy ją zahaczyć o alkohol?

- Nie jestem pewna. W sumie to nie nasza sprawa. Może powinniśmy porozmawiać z jej siostrą. - Siostra bliźniaczka Maddy mieszkała z mężem (i własnymi bliźniaczkami) w Los Angeles. W ciągu ostatnich trzydziestu lat odwiedziła stary kraj może dwukrotnie. Rita i ja nigdy nie widziałyśmy jej na oczy. - Może lepiej z rodzicami. Ale sama nie wiem, to delikatna sprawa, prawda?

Zastanawiałyśmy się przez chwilę.

- Pomyślimy. - Rita wydeła usta. - Może zwyczajnie robimy z igły widły. Lepiej, żebyśmy nie przesadzały, bo nigdy nam tego nie wybaczy. Żadne z nas ekspertki, nie? Maddy chyba wie, co robi.

- Przynajmniej stwarza takie wrażenie.

- Hm - mruknęła z namysłem Rita. - Mogę włączyć radio? - zapytała z innej beczki. - Wrócimy do tej rozmowy, dobrze? Pogadam z Rickym. - Pokręciła gałką i samochód wypełniły kojące dźwięki miejscowego popu. Wyjrzałam przez okno. Zjechałyśmy z dwupasmówki i podążałyśmy prostą aleją, ograniczoną z jednej strony rzędem wysokich, zakurzonych drzew, jakby żywcem przeniesionych z pocztówki typu „Krajobrazy Francji”. Nieco dalej splekane, wysuszone połacie ziemi wiodły ku migoczącym wierzchołkom Pirenejów, a po drugiej stronie biegło równe pasmo wybrzeża.

Zatem to, jak wyglądamy i ile ważymy, jest w naszym wieku nieistotne? W ustach osoby, która katowała się dietą, sesjami na rowerze stacjonarnym, miała

osobistego fryzjera, kosmetyczkę i półki uginające się od rzekomo sprawiających cuda kosmetyków, brzmiało to nie do końca szczerze. Cóż, żona dyrektora musi wyglądać.

„Wyglądać”, czyli „rywalizować”. Nie licząc moich najbliższych przyjaciółek, istnieje grupa żon i narzeczonych kolegów Jerry'ego, gdzie każde serdeczne powitanie poprzedza baczna analiza rynsztunku przeciwnika. Wszystkie zmagamy się z upływającym czasem, jednakże widok odrostów lub nieco zbyt napiętego materiału bluzki powoduje lekki, acz niezaprzeczalny dreszczyk emocji. Zupełnie jakby na tle niedociągnięć drugiej strony nasze akcje automatycznie szły w górę.

Naprawdę stałam się aż tak powierzchowna?

Właściwie dlaczego ze sobą rywalizujemy? O jaką nagrodę? Czy chodzi o to, by rówieśnicy i koledzy męża zazdrościli mu „trofeum”? A może próbujemy dorównać młodszym i ładniejszym od nas?

Ciekawe, co Michael, który uwielbiał swoją „małą zakonnice”, rumianą, hożą Teresę, pomyślałaby o smukłej wyretuszowanej Tess?

Rita gwałtownie zjechała z jednego z niezliczonych rond, które tak bardzo upodobał sobie francuscy budowniczcy dróg. Aż mnie wcisnęło w fotel.

- Przepraszam! - A gdy samochód zwolnił, dodała: - Wiesz co, moim zdaniem Fergus zapomniał, że jest wolnym strzelcem. Wrósł w tę rolę, jakby przysługiwała mu dożywotnio. A przecież nawet w gazetach pisali, że ten serial to już przeżytek.

- Słuchaj, Rita, czy nie uważasz, że trochę dziwnie zareagował? Ma prawo być zdenerwowany i okazywać gniew, ale odniosłam wrażenie, jakby robił to na pokaz.

- Ja też. - Staaliśmy przed kolejnym rondem i Rita przepuściła ciężarówkę. - Nie myślałam, że też zwróciłaś na to uwagę. - I wypaliła z grubej rury: - Powiem ci, co myślę. Fergus ma romans. I sądzę, że Maddy o tym wie. Dlatego tak się dziwnie zachowuje.

- Coś ty, Reet! Fergus? - Ta myśl wydała mi się tak niedorzeczna, że aż się roześmiałam. - Naprawdę mówimy o tym samym Fergusie?

- Postrzegamy go w określony sposób. Nie zapominaj, że potrafi doskonale udawać. Jest aktorem, Tess, nie próbuje zrobić na nas wrażenia, ale w razie potrzeby to dla niego pestka.

- No tak, ale... - Nie mogłam uwierzyć, że ktoś tak samolubny, tak małostkowy jak Fergus Griggs mógł zwrócić na siebie uwagę kogoś prócz niewolniczo oddanej żony. - Jakie masz na to dowody?

- Żadnych! Czuję to tu. - Postukała się w mostek. - Moim zdaniem Colm też coś podejrzewa. Przypomnij sobie, jak na nich patrzył. Biedak.

- Oglądasz za dużo seriali, Rita. - Jej uwielbienie dla „EastEnders” i „Fair City” niemalże obrosło legendą.

- Przynajmniej rozumiem, o co w nich chodzi! - I dodała lekkim tonem: - Jak byś zareagowała, gdyby Jerry miał romans?

- Nie wiem.

Rzuciła mi sceptyczne spojrzenie.

- Daj spokój, Rita? Jerry? Mówisz poważnie? Nie miałby na to czasu.

- Oni zawsze znajdują czas, jeśli chcą. Czas to nie problem. Atrakcyjny facet, ten twój Jerry.

- Rita! Usiłujesz dać mi coś do zrozumienia?

- Gdzie tam! Coś ty! Tak tylko sobie gdybam. Ale z jakiegoś powodu (to chyba ten wiek, Tess) ostatnio zachodzę w głowę, co bym zrobiła, gdyby mój Ricky postanowił nagle skoczyć w bok. To u nich nagminne, zwłaszcza na tym etapie życia. Są łąsi na pochlebstwa i adorację młodych, atrakcyjnych kobiet. Żony ich nie doceniają, życie jest takie krótkie, bla, bla, bla. - Zaśmiała się pod nosem. - Chociaż szczerze ci powiem, że nie wiem, która laska poleciałaby na mojego amanta, z tą jego łysinką i piwnym brzuszyskiem.

- A na jego pieniądze? Przeszła się śmiać.

- W tym właśnie sęk - odrzekła z namysłem. Po chwili jej twarz się rozpogodziła. - Nie - oznajmiła z mocą. - Nie Ricky. Jest zbyt wygodny. Poza tym świata poza dziewczynkami nie widzi.

- To prawda. Słuchaj, od czego zaczęłyśmy tę rozmowę?

- Od Mad, Fergususa i Tej Trzeciej.

- Aha.

Zapadło milczenie. Z roztargnieniem śledziłam zmagania owada uwięzionego pod wycieraczką. Powinnam była nabrać wody w usta. Czasem mimowolnie zapyty-

wałam siebie w duchu, czy wyszłam za Jerry'ego dla pieniędzy. Lub, ściślej rzecz biorąc, dla Arkadii.

Nie żebym nie brała pod uwagę możliwej zdrady męża. Nie jest to chyba obce żadnej kobiecie. Mimo to wierzyłam, że mnie i Jerry'ego łączą prawdziwie przyjacielskie stosunki.

- Skoro już o tym mowa - powiedziałam do Rity - raczej nie spędza mi to snu z powiek. Za bardzo pochłania mnie pilnowanie jego harmonogramu. Mnie i Susan.

- Myślałam, że zakończyliśmy ten temat. - Zrobiła zdziwioną minę. - Czyżbym uderzyła w czułą strunę?

- Jasne, że nie. - Moje słowa zabrzmiały jakoś niezbyt przekonująco. - Ale o tym się nie mówi ot tak, Rita.

- Masz rację.

- Dajmy już temu spokój. Po co psuć sobie humor?

- Ja dałam. Sama niepotrzebnie drążysz temat.

- No to porozmawiajmy o czymś innym.

- Nie zwracaj na mnie uwagi. Po prostu dziwnie się czuję, nic więcej. I jestem porządnie wnerwiona, że nie miałam okazji jej utuczyć. Sprawić, żeby pozbyła się tej przestraszonej miny. No nic, zobaczymy się za miesiąc.

Dojechałyśmy do kolejnego ronda.

Nigdy nie wzięłam pod uwagę takiego scenariusza, lecz pod wpływem słów Rity wszystko ułożyło się w logiczną całość. Poza tym aktorzy mają ku temu chyba większe predyspozycje. I nieraz wchodzi w intymne relacje z koleżankami po fachu.

Maddy wiedziała co nieco na ten temat. Czasem wpadała nieproszona na plan, a potem opowiadała nam o rodzinnej atmosferze panującej w RTE.

- Żony niemile widziane!

Pękałyśmy ze śmiechu kiedy odgrywała egzaltowane scenki; mówiła, że czasami pocałunki trwały dłużej niż przewidziano w scenariuszu, a w hermetycznym, liberalnym światku filmowców nie było dla nikogo tajemnicą, kto, z kim i dlaczego. Jeśli Fergus istotnie miał romans, najprawdopodobniej była to aktorka. I jak się dobrze zastanowić, śmiech Maddy nie do końca brzmiał szczerze.



Tamtego dnia po kolacji, kiedy w normalnych warunkach usiedlibyśmy w szóstkę i snuli wspólne plany na wieczór, Jerry, Ricky i Rita postanowili zagrać w pokera.

- Grasz, Tereso? - Ricky zmrużył oczy zza kłębow dymu.

Spojrzałam na niego z wahaniem.

Z góry dolatywał rytmiczny łoskot muzyki: starsze dzieci, Jack, Kitty, Carol i Alice wybierały się na obchód Collioure w poszukiwaniu rozrywki. Najmłodsza córka Rity, dwunastoletnia Patricia, biernie towarzyszyła Tomowi, który niezmordowanie pokonywał kolejne długości basenu.

- No i? - Jerry niecierpliwie uniósł brew. - Zdecyduj się, młoda.

Nie cierpię, kiedy tak do mnie mówi, dobrze o tym wie. Jestem dwa lata od niego starsza.

- Nie, dziękuję - odrzekłam spokojnie. - Chyba pójde się przejść.

- Nie zapomnij środka przeciw komarom! - Rita zdierała folię z nowej talii kart.

Na spowitym w mroku tarasie panowała taka cisza, że odniosłam wrażenie, jakby doleciał do mnie szum morza. W powietrzu dryfowała woń nadciągającej nocy, żywicy sosnowej, kotów oraz rozgrzanych kamieni. Półksiężyc w asyście gwiazdy wspiął się wysoko ponad horyzont.

W dole światła Collioure lśniły i migotały jak naszyjniki z żółtego topazu na tle ciemnego aksamitu. Matka wyjaśniała mi to zjawisko migotania: niestety, nie było w nim nic czarodziejskiego, wynikało bowiem z przyczyn atmosferycznych i zanieczyszczenia powietrza. Mama miała nader wybiórczą pamięć: umykało jej nazwisko proboszcza, ale strzęp informacji wyczytany w „Reader's Digest” mógł ujawnić się po upływie wielu lat.

Zadrzałam („ktoś przeszedł po twoim grobie”, powiedziałyby na pewno) i ciaśniej owinęłam się jedwabnym szalem. Dlaczego tak mnie dziś naszło na wspomnienia? Z powodu kłopotów Maddy? Obsesowości Jerry'ego? Czy może dlatego, że nasze śmiałe plany wakacyjne spełzły na niczym?

Przymknawszy oczy, stwierdziłam, że cisza sama w sobie stanowi dźwięk, stłumiony łoskot. Nawet dobiegające zza grubych ścian echo muzyki tylko podkreślało

brak innych odgłosów. Naraz usłyszałam cichy plusk. Tom nadal siedział w basenie. Otworzyłam oczy.

Tom. Pewnie mamy szczęście, że pozostałe dzieci tak łatwo go zaakceptowały. Przepraszam: mam szczęście. Jerry nie miał z tym nic wspólnego.

Stałam plecami do balustrady i popatrzyłam na nasz tymczasowy dom. Od stygnących murów bił wyraźny, słodkawy zapach.

Ale to nie Arkadia. Tak bardzo za nią tęskniłam, że zachwycanie się francuską willą zakrawało w moim odczuciu niemal na zdradę. Tęsknota miała wręcz wymiar fizyczny, aż poczułam ucisk w dołku.

Ciężko mi to przyznać, ale powiem prawdę, jakkolwiek płytka czy osobliwa mogę wam się wydać: kocham moje dzieci, męża, ojca i przyjaciół, ale tamtego wieczoru towarzyszyło mi poczucie, że Arkadia to najważniejsza rzecz w moim życiu.

## *Rozdział 12*

---

Gdybym była prawdziwą przyjaciółką Tessy, dziś myślałabym tylko o niej, ale jestem tak pochłonięta Fergusem, że nie mam czasu zajmować się innymi. I tak nie miałaby ze mnie żadnego pożytku, mówię sobie. To w ramach usprawiedliwienia.

Zresztą ona też do mnie nie dzwoni, prawda? A przecież nie siedzę z założonymi rękami. Odkąd dowiedziałam się o jej kłopotach, wciąż wysyłam jej kartki, liściki, „Małą księgę spokoju” i takie tam. To wszystko, na co mnie stać. Teraz jednak nie pozostaje mi nic innego, tylko zapalić świeczkę w kościele.

Rita zadzwoni do mnie, kiedy już się dowie, jak poszło z policją. W sumie sama powinnam była rano zadzwonić do Tess.

Niedobrze mi się robi od patrzenia na telefon. Co jest z tymi telefonami? Niby mają służyć komunikacji, a człowiekowi coraz trudniej podnieść słuchawkę. W przypadku Tess to doprawdy błędne koło. Im bardziej czuję się winna, że nie dzwonię, tym trudniej wybrać numer. No więc znów odkładam to na później i poczucie winy narasta. Telefon w holu to mój sędzia i ława przysięgłych.

Zadzwonię wieczorem, choćby nie wiem co. Choćbym miała się do tego zmusić. Do wieczoru powinna wiedzieć, co i jak. Poza tym po szóstej jest taniej.

Rita jest niezawodną przyjaciółką dla nas obu. Lepszą niż kiedykolwiek byłam i będę. Jest naprawdę cudowna. Wierna. A przecież nieraz wystawiłam ją na ciężką próbę, prawda? Boję się, że nasza przyjaźń się rozpadnie. Na pewno nie jest tak, jak kiedyś.

Nie, nie będę teraz o tym myśleć. Muszę wierzyć, że są na świecie ludzie, na których mogę polegać, nawet jeśli rzadko się widzimy.

Może to dobrze, że nie spędzamy już ze sobą tyle czasu. Nie cierpię tych ich badawczych spojrzeń.

Tak bardzo się staram, naprawdę. Ale one nie mają pojęcia, jakie to trudne. Nie mają, i już. Czasami mam wrażenie, że kieliszek to mój jedyny prawdziwy przyjaciel. Jedyny, na którego mogę liczyć. Nie sądziłam, że kiedykolwiek powiem czy choćby pomyślę coś takiego; wiem, że to w gruncie rzeczy nieprawda, ale tak właśnie czuję.

Nie jestem pijaczką ani alkoholiczką, nic z tych rzeczy. Nie przyjmuję tego do wiadomości, niech inni sobie mówią, co chcą. Nigdy nie urządziłam burdy, nie rozbiłam samochodu ani nie usnęłam z nosem w talerzu. Nie, nie i jeszcze raz nie. Powtarzam jeszcze raz: nigdy. Przeważnie też, nawet jeśli zdarzyło mi się trochę przesadzić (owszem, przyznaję!), czekałam z pierwszym drinkiem do szóstej, aż zadzwonią na Anioł Pański. Ot, taki mały, smutny żarcik kosztem Kościoła katolickiego. Gdzie była religia, kiedy jej potrzebowałam?

Czasami czuję się tak samotna i zdołowana, że wszystko widzę w czarnych barwach. Nic mi się wtedy nie chce, nawet sięgnąć po kieliszek. Najgorzej bywa w odwrotnej sytuacji, kiedy panika dławi w gardle, a serce wali jak szalone. Ostatnio coraz częściej tego doświadczam.

Jem tylko grzanki, które popijam herbatą. Na wyciągnięcie ręki mam zlew wypchany po brzegi talerzykami i kubkami. Na blacie też zatrząsienie brudnych naczyń. Zaczęłam już korzystać z serwisu obiadowego i szklanek. Gdy chodzę po wykafelkowanej podłodze, okruchy chrzęszczą mi pod stopami.

Ostatni raz sprzątałam chyba parę tygodni temu, nie jestem pewna, wszystko mi się miesza, ale obawiam się, że jest tragicznie. A miałam kiedyś taką ładną kuchnię. W

sumie przydałoby się wymienić szafki. Są sosnowe, kiedyś były bardzo modne, ale teraz oddałabym wszystko za stalowe.

Nie, nieprawda. Mam gdzieś, z czego są zrobione. Niech sobie będą choćby z tektury, wszystko jedno. Wiem, że potwornie zaniedbałam dom, ale nie mam siły ani ochoty wyjąć odkurzacza. Po co? Dla kogo? Chyba nie dla siebie, co?

Wysłałam Colma na wakacje do moich rodziców w Ballineen, niech trochę dojdzie do równowagi przed powrotem do college'u. Nie mogłam znieść jego wzroku, tych wielkich smutnych oczu. Lepiej mu tam, gdzie tematem miesiąca jest tegoroczny urodzaj ziemniaków.

Po tym, co zaszło po powrocie z Francji, oboje nie sypialiśmy najlepiej. Nocami słyszałam, jak chłopak tłucze się po domu. Biedak, najwyraźniej odciął się od większości przyjaciół i bez przerwy przesiadywał z nosem w komputerze. Dlatego wysłałam go do Cork, przynajmniej łyknie świeżego powietrza i trochę go podkarmią, a może nawet się rozerwie wśród kuzynostwa.

Oczywiście nie chciał jechać. Pokłóciliśmy się o to, i to jak! A choć potem wyciągnęliśmy rękę na zgodę, nigdy nie zapomnę jego słów. Mimo to próbuję, nie chcę chować urazy, no oczywiście, że nie...

Gdy zaproponowałam, żeby pojechał na kilka tygodni do Ballineen, dopóki Fergus i ja nie wyjaśnimy sobie tego i owego, od razu stanął okoniem. Tak, to jedyne słuszne określenie.

Zwykle jest spokojny, wręcz małomówny. (To określenie Tess, ale pasuje jak ulał. Rzeczywiście trudno nazwać Colma gadułą). Toteż mało nie padłam trupem, widząc, jak wali pięścią w stół. Opowiem od początku, żebyście mieli pełny obraz sytuacji.

Jesteśmy w jadalni, ja udaję, że ścieram kurze, on stuka na tym swoim laptopie. Jestem tak rozkojarzona, że trzykrotnie odkurzyłam porcelanowy wazon. Fergus wygrał go w golfa. W całym pokoju pełno Fergususa, jest wszechobecny, nie tylko w tym, co wygrał, dostał lub co dostaliśmy razem. Po prostu tu jest. Mogę go dotknąć. Czuję się zagubiona i nieprzytomna z rozpaczy, ale próbuję wziąć się w garść.

Ja (obojętnie): Hej, mam pomysł, Colm!

Colm (ze wzrokiem wbitym w monitor): O co chodzi?

Ja: Nie będę owijać w bawełnę, skarbie. Jak dobrze wiesz, sytuacja w domu jest nieco napięta...

Colm (wpada mi w słowo, ale nie odrywa oczu od komputera): I co z tego?

Ja: Może byś na chwilę przestać stukać i mnie wysłuchał? Próbuję zamienić z tobą kilka słów.

Colm: Jestem zajęty.

Podchodzę do ściany i wyrywam wtyczkę z gniazdka. Colm dalej siedzi z rękami na klawiaturze i wzrokiem utkwionym w pustym monitorze.

- Dlaczego to zrobiłaś? - pyta cicho.

- Ponieważ chcę z tobą porozmawiać, a ty nie słuchasz.

- Słuchałem.

Widzę, jak na przemian zaciska i rozwiera pięści, ale że sama nie czuję się najlepiej, postanawiam kuć żelazo, póki gorące.

- Powiem ci, o co chodzi. Może byś pojechał na parę tygodni do Ballineen do babci i dziadka, co? Na pewno by się ucieszyli. Zostaniesz tam, dopóki sytuacja trochę się nie unormuje... - W tym momencie urywam, bo Colm zniemacka rzuca się w moją stronę. Myślę, że chce mnie uderzyć, ale on w ostatniej chwili skręca w kierunku stołu i zaczyna tłuc pięścią w blat. Zupełnie bez słowa.

Moje serce wtóruje mu jak oszalałe.

- Twój komputer! - Podnoszę głos, żeby przekrzyczeć łomot. - Zepsujesz go... wstrząsy...

- Sram na laptop! - Jego twarz tuż na wprost mojej przypomina afrykańską maskę, wydłużoną, z rozdziawionymi ustami. - Sram na komputer, sram, sram, sram! - Drze się na mnie, a ja sterczę jak przyklejona do podłogi. Ku swemu przerażeniu widzę łzy ciekące mu po policzkach.

Przynajmniej przestał walić w stół.

- Nie musisz jechać, jeśli nie chcesz. - Słyszę, jak głos mi drży, próbuję mówić spokojniej. - Tak tylko zaproponowałam...

- Czy ty siebie słyszysz... czy ty ostatnio przeglądałaś się w lustrze, mamó? - Jego łzy dalej kapią na podłogę, ale maska zniknęła. Colm próbuje nad sobą zapanować, lecz nie może. - Nic dziwnego, że tata odszedł, wcale mu się nie dziwię. A

gdyby mnie zapytał o zdanie, od razu bym się spakował i poszedł z nim. Byle dalej od ciebie. Mnie też chcesz się pozbyć? W porządku... nie ma sprawy.

Znów mnie atakuje. Wreszcie udaje mi się odkleić stopy od podłogi i cofnąć.

- To nie tak...

- Czyżby? - Idzie za mną. - Najpierw jego wygoniłaś, a teraz próbujesz zrobić to samo ze mną. Cóż, mam nadzieję, że jesteś zadowolona.

Jakoś zachowuję spokój.

- Bardzo ci dziękuję, Colm - mówię cicho. - Nie, nie jestem zadowolona.

Zapomnijmy o Cork. Rób to, co uznasz za stosowne. Idę na górę. Prosiłabym, żebyś nie odzywał się do mnie przez kilka najbliższych godzin.

Poszłam na górę i dałam nurka pod pierzynę. Byłam tak wstrząśnięta, że nawet się nie rozplakałam. Nigdy, przenigdy nie widziałam Colma w takim stanie. Zaczęłam nawet podejrzewać, że bierze narkotyki.

Usłyszałam, jak idzie po schodach. Przystanął pod moją sypialnią.

- Mamo? - Głos zabrzmiał jak przez mgłę, ale bynajmniej nie z powodu drzwi.

Nie odpowiedziałam, nie mogłam. Nie wiedziałam, jak się zachować.

- Mamo? - powtórzył głośniej.

- Tak?

- Przepraszam, czy mogę wejść?

- Tak.

Drzwi otworzyły się powoli. Na twarzy Colma widniały zaschnięte ślady łez. Ma nieładną cerę, a i stres chyba zrobił swoje, bo jeszcze nigdy nie widziałam u niego tyłu przyszczy. Odcinały się wyraźnie na tle bladej skóry.

- Przepraszam - powtórzył. - Wiem, że ci ciężko. Nie powinienem był w ten sposób zareagować. Wiesz, że wcale tak nie myślę.

- Wiem, Colm. - Nie, nie wiedziałam. Nie wiedziałam, lecz oto w jego oczach pojawiło się coś jeszcze. Strach. Poczułam nagły przyływ litości, współczułam mu rozczochranych włosów, przyszczy i samotności. Wszystkie gadżety i komputery świata nie zrekompensują mojemu synowi samotności. - Wszyscy czasem mówimy rzeczy, których tak naprawdę nie mamy na myśli. Już zapomniałam.

- Naprawdę? - Od razu jakby odetchnął.

- Tak. Naprawdę. Chcesz o tym porozmawiać? W sumie to w ogóle nie rozmawialiśmy o tym, co się stało.

- Nie! - Mało nie podskoczył ze strachu. - Co to, to nie. To sprawa pomiędzy tobą a tatą, nie ma ze mną nic wspólnego.

- Ależ ma. I to dużo, Colm.

- Nie! - krzyknął. Wszystkie okropne słowa wyparowały, miałam ochotę mocno go objąć i przytulić, ale coś mnie powstrzymało. To nie w naszym stylu.

- Jak chcesz.

- Pojadę do Cork. - Widać było, że marzy, aby wyjść. - To dobry pomysł.

- I nie pomyślisz, że chcę się ciebie pozbyć?

- Przecież przeprosiłem, mamó. - Chyłkiem zmierzał w stronę drzwi.

- Zorganizuję, co trzeba - uzupełniłam pospiesznie. - Ale jeśli zmienisz zdanie i jednak będziesz chciał porozmawiać, to przyjdź śmiało.

- Wiem. - I uciekł.

Utkwiłam wzrok w mokrej plamie na suficie, gdzie strzępki gipsu wisiały wokół lampy na podobieństwo miniaturowych stalaktytów. I to od lat. Wilgoć i elektryczność? To może być niebezpieczne. Może nie byłoby tak źle spłonąć żywcem we własnym łóżku. Próbowałam być dobrą matką, naprawdę, ale...

Nie jestem pewna, jednak mam nadzieję, że Colm nie wspomniał dziadkom o naszej sytuacji. Z tego, co wiem, oni nadal uważają, że źródłem naszych nieporozumień jest zawieszenie emisji serialu.

Stoją za nami murem. Jeszcze nie zauważyli, że tylko ja odbieram teraz telefon. (Mama zadzwoniła nawet do radiowej audycji na żywo, żeby oznajmić rodakom, co o tym myśli. Byłam wstrząśnięta, a zarazem dumna. Potem zatelefonowała do mnie, czy słyszałam. Odpowiedziałam, że tak, oczywiście; Fergusa wprawdzie nie ma, ale na pewno będzie im wdzięczny za wsparcie).

Nie będę mogła wiecznie trzymać ich w niewiedzy. Muszę im powiedzieć. Próbuję zebrać się na odwagę, bo wiem, że może dojść do morderstwa. Rozmawiamy prawie codziennie, lubią trzymać rękę na pulsie. Pojadę do nich może w przyszłym tygodniu. (Zważcie, że powtarzam to od kilku tygodni...)

Tak, w przyszłym tygodniu, na pewno. Kiedy już będzie wiadomo, co z Tess, Jerrym i w ogóle.

Boże, nie mogę uwierzyć, że zrobiłam z siebie takie widowisko, w popłochu opuszczając Collioure. Na szczęście miałam przy sobie dokumenty i prawo jazdy. Nie jestem Ritą ani Tess, nie mam służby, toteż nigdy nie ufam obsłudze i zawsze noszę wszystko przy sobie. Nawet na plażę.

Okolica była urocza, dom tak samo. Mieliśmy szansę na udane wakacje, choć jeszcze przed przyjazdem podejrzewałam, że etap wspólnego urlopowania nieubłaganie dobiega końca. Być może jestem w tym odosobniona. Rita i Tess wydawały się zdumione tym, co powiedziałam.

Fergus i ja mieliśmy dla siebie całe poddasze, ogromne, z dwoma rzędami uroczych okienek wychodzących na dwie strony oraz wielkim, miękkim łóżkiem z piękną pościelą.

Nie, żeby to ostatnie miało dla nas jakiegokolwiek znaczenie: nie kochaliśmy się od miesięcy, już dawno dałam za wygraną. Nie chcę kłótni, nie jestem w tym dobra. No i on zawsze wykręcał się natłokiem pracy, więc cóż mogłam zrobić.

Zachowałam z tamtych wakacji garść wspomnień typu sypialnia, cudowny taras z widokiem na morze i wielka plaża, gdzie Tom niby to zaginał. I tyle. Nic więcej się nie zostało. Gdybyście zapytali o fasadę domu, na przykład, nie umiałabym odpowiedzieć, czy był z cegły, z kamienia, czy może z drewna. Za bardzo pochłaniała mnie obserwacja Fergususa.

W przeciwieństwie do Rity i Tess nie będę więc miała wiele do opowiedzenia, ale zrobię, co w mojej mocy.

Która to godzina? Rita mówiła, że policja zjawi się w Arkadii około wpół do jedenastej. Biedna Tess. I biedny Jerry. Nie jest taki najgorszy.

Muszę myśleć o sobie. Muszę nabrać dystansu, bo inaczej całkiem się rozsypię. Gdyby moje nerwy miały postać przewodów elektrycznych, na pewno doszłoby nich do śpięcia. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie.

Mad z imienia, mad\* z natury, cha, cha!

Gdzie się podziała Madeleine?

\* Mad - skrót od imienia Madeleine oraz „mad” (ang.) szalona.



## Rozdział 13

---

Poznałam Fergusa kilka tygodni po tym, jak Tess poznała Michaela. Może to było zaraźliwe: chodziła cała w skowronkach, ze mną było identycznie.

Żadna z nas nie była równie zorganizowana jak Rita, która ciągnęła Ricky'ego do ołtarza, zanim biedak zdołał się połapać, w czym rzecz.

Spoglądając wstecz, dochodzę do wniosku, że w owym krótkim okresie, kiedy wszystkie trzy byłyśmy zakochane, atmosfera w okropnym Seomra a Seacht zmieniła się nie do poznania. Ileż było śmiechu, gdy zdezorientowane panny Santini i O'Connor na próżno nawoływały o spokój, a my chichotałyśmy jak pensjonarki i rzucałyśmy sobie ukradkiem liściki. Minęło tyle czasu, ale wciąż czuję zapach tamtego miejsca, będący mieszanką woni zakurzonego papieru, nikotyny i lekarstw. To był chyba syrop panny Santini. Biedaczka miała okropny kaszel. Istna męczennica!

Kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Dublina, byłam bez reszty oczarowana, zwłaszcza teatrami, kinem i rewią. (Chociaż nikt z Cork za nic w świecie nie przyzna, że lubi mieszkać w smogu!) Kocham teatr, a raczej kochałam. Połknęłam bakcyla już podczas pantomimy w Cork Opera House. Z chwilą, gdy utkwiałam wzrok we wróżce, jej migoczącym diademie, zwiewnej sukience z siatki i baletkach, od razu zrozumiałam, że to moje miejsce na ziemi. Magia. Magiczny wszechświat bez granic.

Dlatego od razu, kiedy tylko zaczęłam pracę w administracji, zapisałam się do jednego z amatorskich kółek dramatycznych. Zasięgnęłam języka i wybrałam trupę z Westland Row, nie dlatego że wygrywała każdy konkurs, bynajmniej: po prostu brakowało tam młodych kobiet i wiedziałam, że będę miała większą szansę na rolę. Jak się okazało, trafiłam w dziesiątkę.

Na tym nie kończyły się moje ambicje. Był czas, kiedy nade wszystko pragnęłam wstąpić do zespołu Abbey Theatre. Oddałabym życie za możliwość wzięcia udziału w przesłuchaniu, lecz choć dostałam epizod jako halabardnik, do przesłuchania nigdy nie doszło. Ich strata, wmawiałam sobie w duchu, ale po drugiej pisemnej odmowie mało nie pękło mi serce.

Niekwestionowaną gwiazdą amatorskich grup teatralnych był wówczas Fergus. Wszyscy go znali, ponieważ został trzykrotnie nagrodzony za najlepszą rolę męską w Athlone w All Irelands. Widziałam go w „Playboyu”, gdzie fantastycznie zagrał Christy'ego Mahona. Ze świecą szukać lepszego kandydata do tej roli; w młodości Fergus był, jak to mawialiśmy w Cork, istnym ladaco, z czarną, kędzierzawą czupryną i łajdackim uśmiechem. Człowiek z miejsca był gotów oddać mu serce i wybaczyć wszystkie grzechy, tak jak robiła Pegeen Mike, dopóki nie zrozumiałam, z kim ma do czynienia. Chyba już wtedy się w nim zakochałam, ale ponieważ tak dalece przerastał mnie pod kątem umiejętności i doświadczenia, nie liczyłam, że w ogóle zwróci na mnie uwagę.

Tak czy owak byłam pewna, że kocha się w nim połowa dziewcząt w okolicy. Kobiety w naszym zespole, bez względu na wiek, robiły rozanieloną minę na sam dźwięk jego nazwiska. Nie stanowiłam wśród nich wyjątku. W marzeniach stawiałam go na równi z innym bożyszczem, czyli Dirkiem Bogardem. Fergus nie był... nie jest... postawnym mężczyzną, ale na scenie dominował. Można powiedzieć, że wypełniał sobą całą przestrzeń.

Spotkaliśmy się po „Playboyu”, „Śmierci komiwojażera” i „Drugiej wyspie Johna Bulla” (w tych dwóch też był świetny).

Na All Irelands graliśmy „Importance”, byłam panną Prism (nie ma to jak dostać rolę adekwatną do warunków!). Miałam na koncie nagrodę za najlepszą rolę drugoplanową w Kilmuckridge, nasz Jack został nagrodzony za najlepszą rolę męską, dostaliśmy też dwa wyróżnienia za reżyserię i najlepszy spektakl, toteż nastroje dopisywały.

Występowaliśmy jako przedostatni w konkursie, a trupa Fergus, ze swoimi „Czarownicami z Salem” (i naturalnie z nim w roli Johna Proctora) grała ostatnia, w związku z czym minęliśmy się za kulisami.

Co dziwne, obydwa zespoły dostały wówczas lekcję pokory, gdyż otrzymaliśmy tylko po jednej mniej ważnej nagrodzie: oni za scenografię, a my za inscenizację. Wielkim triumfátorem konkursu okazała się nikomu nieznana trupa z Kerry ze swoim „The Honey Spike”.

Możecie sobie wyobrazić atmosferę w foyer Księcia Walii, gdzie zespół z Kerry hałaśliwie opijał zwycięstwo, a reszta z nas łypała na zwycięzców zawistnym okiem, szepcząc po kątach o stroniczym werdykcie. Kilka osób rzekomo odkryło, że tegoroczny sędzia był (bardzo) dalekim krewnym reżysera z Kerry. No taaaak! A zatem nic dziwnego! Od razu poczuliśmy się o niebo lepiej...

Późnym wieczorem siedziałam wciśnięta w kąt przy jakimś stole, mając Fergus Griggsa naprzeciwko. Piwo lało się strumieniami i w miarę upływu czasu zgiełk zrobił się tak ogłuszający, że nie słyszałam, co mówi moja sąsiadka. Około drugiej nad ranem stwierdziłam, że mam dość, i wstałam z zamiarem pójścia spać.

Patrzę, a Fergus Griggs też podnosi się z miejsca i pokazuje mi na migi, żebyśmy spotkali się na zewnątrz.

- Chwała Bogu - mówi, gdy wychodzimy na zimne powietrze. A potem macha rękami zgiętymi w łokciach i robi minę oburzonej kury: - Nie cierpię aktorów *en masse*, są jak papugi w zoo.

Wybucham śmiechem.

Przekrzywia głowę, czekając, aż ucichnę.

- Widziałem cię wczoraj - oznajmia wreszcie. - Dobra jesteś, podobała mi się twoja interpretacja. Ale musisz uważać na gesty. Twoje ostatnie przedstawienie też widziałem. Powinnaś popracować nad rękami. Mógłbym ci też pokazać, jak lepiej zapanować nad głosem.

Nie posiadam się ze zdumienia. Fergus Griggs, Fergus Wspaniały, proponuje mi pomoc?

- Czemu nie? - mówię grzecznym głosem gospodyni proboszcza. -

Oczywiście jeśli nie sprawię ci kłopotu.

Wyrzuca ręce do góry.

- Ona mówi!

Cóż miałam na to rzec?

- Podobałeś mi się dzisiaj na scenie. - To wszystko, na co mnie stać.

- Dzięki - rzuca zdawkowo. Pewnie słyszał to setki razy.

- To ty powinieneś dostać tę nagrodę - uzupełniam. Chyba alkohol uderzył mi do głowy, bo zaczynam mówić, że „najlepszy aktor” z Kerry nie dorasta Fergusowi do

pięt. Gadam i gadam, jakby chodziło o życie. Usta mi się nie zamykają. - W porównaniu z tobą jest nikim, Fergusie. Może nie jest zły, ale ty jesteś o niebo lepszy. Tak, zdecydowanie tobie należała się ta nagroda.

Tak, zdecydowanie za dużo wypiałam.

- Nieważne. - Wkłada długi płaszcz o militarnym kroju. Lecz zamiast wyglądać karykaturalnie, zyskuje na tajemniczości. Wypisz wymaluj doktor Żywago. - Hej! Idziemy na spacer? - pyta od niechcenia.

Jestem jak ogłuszona, mówię wam. Legendarny Fergus Griggs zaprasza mnie na wspólny spacer. I znowu przekrzywia głowę, spoglądając na mnie z ukosa. Jakby oceniał.

- Jasne - mówię, chociaż mam na sobie tylko cienką kurtkę i dygoczę z zimna. A niech się dzieje, co chce. Mróz. Wielkie rzeczy.

Reszta nocy, a raczej wczesnego poranka, upływa tak szybko, jakbym siedziała w wehikule czasu. Nie wiem, czy znacie Athlone: leży nad dużą rzeką o nazwie Shannon. I ani się spostrzegłam, jak siedziałam obok Fergus Griggsa na kamiennym murze poza miastem, tam gdzie rzeka rozszerza się na zakolu do około stu metrów. Nie pamiętam, jak i któredy tam trafiliśmy. Godziny dzielące nas od wyjścia z hotelu minęły niepostrzeżenie.

Pamiętam jednak dokładnie tamtą chwilę i wszystko, co nastąpiło potem, klatka po klatce. Wystarczy, że przewinę taśmę. Tak jak teraz.

Chociaż musieliśmy być wykończeni po tym spacerze, widzę dokładnie, że jesteśmy podekscytowani i pełni energii. Przynajmniej ja. Nadchodzi świt, Fergus gada jak nakręcony. Mówi o swojej przyszłości, o marzeniach, o tym, jak zainteresował się teatrem, o ulubionych filmach i aktorach. Skacze po brzegu rzeki, odgrywając przede mną różne sceny.

Wreszcie przestaje się wygłupiać i siada na murze obok mnie. Mija minuta, dwie. Nie wiem, co się dzieje, nie chcę przerywać jego rozmyślań.

- Nie wiem, czy wiesz - mówi ściszym głosem - że pracuję w „Findlaterze” przy O'Connell Street. Ale już niedługo, Madeleine. Już niedługo.

A potem oznajmia, ni z tego, ni z owego, że się ze mną ożeni. Shannon płynie, jak gdyby nigdy nic. Fergus nawet na mnie nie patrzy.

- Że co proszę?

- Madeleine. To śliczne imię. Nie pozwól, żeby ktoś je zdrabniał.

- Nie pozwolę. Co ty powiedziałaś?

- Powiedziałem, że się z panią ożenię, panno Madeleine. - W końcu kieruje wzrok w moją stronę.

Pewnie mi nie wierzycie, ale naprawdę tak było. Jak mogłabym coś takiego wymyślić? Stworzyć tak nieprawdopodobną bajeczkę? Aż dotąd godziny miały niepostrzeżenie, po czym czas stanął w miejscu, a każda z kolejnych pięciu minut zastygła w oddzielnej kryształowej bańce i tkwią w mojej głowie aż po dziś dzień. Zupełnie jakbym przed chwilą siedziała na zimnym kamieniu pod różowiejącym nieboskłonem, a na tle szmeru rzeki pobrzmiwał stukot sunących po pobliskim moście pociągów.

Najcenniejsze i najdelikatniejsze spośród wszystkich jest uczucie towarzyszące mi w chwili, gdy Fergus Griggs objął mnie i pocałował.

Wreszcie odsuwa się i ujmuje mnie pod brodę jak Christy Mahon w „Playboyu”. Ta scena zawsze przyprawiała mnie o ciarki.

- Widzę, że mi nie wierzysz, Madeleine, ale zostaniemy mężem i żoną.

Nie wiem, czy mam się cieszyć, czy bać. Chyba po trosze jedno i drugie. Wciąż mam dreszcze na samą myśl.

- Upiłeś się, głuptasie - mówię, próbując obrócić to w żart.

- Choćbym był nie wiem jak pijany, nie zmienię zdania. - Znów mnie całuje, jeszcze bardziej namiętnie. - I co powiesz? - pyta hipnotycznym głosem.

- Sama nie wiem - mamroczę. - To dość, hm, nagła decyzja. Wystarczy?

Odrzuca głowę w tył i wybucha śmiechem. Wtóruję mu i znów robi się normalnie. Naraz chwyta mnie za rękę.

- Możesz się śmiać - odpowiada. - Ale jeszcze zobaczysz. - Znowu mnie całuje, tym razem jak siostrę. - Chodź, pora wracać. Jeszcze chwila i tamci wyślą ekspedycję ratunkową.

Wiem, jak to zabrzmiało, ale gdy wracaliśmy wtedy rankiem znad rzeki, miałam uczucie, jakbym kroczyła po ogrodach Edenu. W dodatku natknęliśmy się na największe stado łabędzi, jakie w życiu widziałam. Wypląnęły spośród sitowia, ot tak.

Naprawdę czułam się jak w raju. A gdy zza horyzontu wyszło wielkie czerwone słońce, wierzyłam, że uczyniło to po to, by nas pobłogosławić.

Następnego dnia w pracy byłam przerażona. Nie zadzwonił! Zabawił się moim kosztem. Przecież Fergus Griggs mógł poderwać każdą młodą aktorkę w całej Irlandii. Każdą, bez względu na wiek... Dlaczego zatem wybrał mnie?

Ale stało się, naprawdę do mnie zadzwonił, zadzwonił do Seomra a Seacht. Dziesięć po trzeciej, czterdzieści minut po najdłuższej, najgorszej przerwie obiadowej, na jaką naraziłam moje przyjaciółki.

W kółko rozmyślałam o tamtej nocy. Przeanalizowałam ją do bólu i wciąż myślę, że mówił szczerze. W tamtej chwili bezwzględnie mówił szczerze.

Popisywał się, owszem, chciał mi zaimponować, jak najbardziej, nie mógł sobie darować, że nagroda przeszła mu koło nosa, możliwe, że za dużo wypił, zdecydowanie.

Nie ma co do tego wątpliwości. Lecz przez tę jedną cudowną noc Fergus Griggs był we mnie zakochany.

Gdy szliśmy ulicami budzącego się miasta, zapewniłam go, że wkrótce zabłyśnie na deskach teatrów profesjonalnych.

- Pomożesz mi, Madeleine? Zostaniesz moją panią Campbell?

- Tak. - Zadrżałam z radości. Z przejęcia zapomniałam wspomnieć, że jest to również moje marzenie. Teraz wiem, że udzielając mu swego wsparcia, ostatecznie przypieczętowałam koniec własnej kariery. Jakimś cudem nagle przestała się liczyć.

Jako Oficjalna Dziewczyna Griggusa z dnia na dzień zyskałam mocną pozycję w teatralnym światku. Jednocześnie przestałam się udzielać w swoim zespole przy Westland Row. Liczył się tylko zespół Fergususa. Nosił nazwę Grupy Teatralnej Avonree, a w jego skład wchodziło co najmniej pięć młodych kobiet. Były bardziej doświadczone ode mnie i przysługiwało im pierwszeństwo. Wcale mi to nie przeszkadzało, zwłaszcza że powodziło się im... nam... coraz lepiej. Snuto plany wystawienia „Toma Paine'a”, z Fergussem w roli głównej i pokazną obsadą. Było to bardzo ambitne przedsięwzięcie, które wymagało maksymalnego zaangażowania ze strony wszystkich członków zespołu. Informując mnie o tym, Fergus poprosił, bym

została (oficjalnie, a nie ad hoc) jednym z asystentów reżysera. Zazwyczaj był tylko jeden, ale w tym wypadku potrzeba było dwóch, a nawet trzech.

Wahałam się trochę, gdyż oznaczało to konieczność rezygnacji z udziału w przedstawieniu mojego zespołu, czyli w „Krwawych godach” Lorci. Właśnie dostałam główną rolę Panny Młodej, czekałoby mnie prawdziwe wyzwanie aktorskie.

Siedzieliśmy wtedy w Trocadero, która nie jest zwykłą restauracją. Jej ściany były pokryte czerwoną tapetą, zawieszono zdjęcia, na których widnieją setki artystów wszelkiego rodzaju, z głośników rozbrzmiewały arie operowe albo piosenki Streisand i Sinatry. Ludzie tacy jak my chodzili tam z trzech powodów. Po pierwsze, właściciel i obsługa tolerowali gości, którzy przez cały wieczór raczyli się jedynie przystawką w postaci kolby kukurydzy. Po drugie, lokal jawił nam się jako przepustka do wielkiego świata, nie tylko ze względu na egzotyczne potrawy w rodzaju wspomnianej kukurydzy, lecz również na świece w butelkach po chianti. Świece były wówczas w Dublinie synonimem prawdziwej elegancji i dobrego smaku.

Trzeci powód był dla nas najważniejszy. Chodziliśmy tam, gdyż w Trocadero gromadzili się aktorzy i reżyserzy z „prawdziwych” dublińskich teatrów. Skoro zaś żaden z owych profesjonalistów nie zniżał się do oglądania naszych spektakli, góra musiała przyjść do Mahometa. Większość dawnych (i obecnych) artystów to straszne snoby.

Gdy rozmyślałam o „Krwawych godach”, podszedł do nas „prawdziwy” reżyser, wysoki, niechlujny mężczyzna, który zasiadał czasem w jury amatorskich festiwali teatralnych.

- Co słychać, Fergus? Jak żyjesz?

- Dermot! Miło cię widzieć! - Fergus przywitał się, a następnie przedstawił mnie reżyserowi.

- Jestem oczarowany. - Mężczyzna pocałował mnie w rękę. - Masz tu prawdziwego gwiazdora, Madeleine. Dbaj o niego, dobrze? Jeszcze o nim usłyszymy. Na razie. - Pożegnał się i odszedł, zanim Fergus zdążył mu opowiedzieć o „Tomie Paine”.

Ale nie popsulo mu to humoru.

- Widzisz? Słyszałaś? - Aż pojaśniał. - Kto by pomyślał? To prawdziwy omen, Madeleine! No dalej, zgódź się. Dołącz do nas. Przecież nawet nie zaczęliście prób, nie poczują się zawiedzeni. Zrobisz to dla mnie? Poleć ze mną do gwiazd!

Wiem, że te słowa brzmią kretyńsko, ale wtedy, patrząc w jego roziskrzone oczy, wcale tak nie myślałam. Udzielił mi się jego entuzjazm. Zwłaszcza gdy Fergus nachylił się nad stołem i ujął moje dłonie w obie ręce.

- Potrzebuję cię, kochanie. Kto wie, czy to nie moja najważniejsza rola. Wiem, że to może być prawdziwy przełom. Napiszę do Abbey, do Gate, oczywiście do Dermota też. - Odwrócił głowę, chcąc sprawdzić, czy tamten patrzy w jego stronę. Nie patrzył. Niezrażony Fergus dalej oddawał się marzeniom: - Nawet jeśli nie zjawią się osobiście, poproszę, żeby przysłali kogoś na spektakl.

Oczy miał szczere i proszące jak u spaniela. Jakoś nie podzielałam jego wiary w Dermota. Mimo to uściśniełam mu palce.

- Oczywiście, że się zgadzam - odpowiedziałam. - Na pewno będzie wspaniale.

Tym sposobem odrzuciłam rolę Panny Młodej i zostałam asystentką reżysera w Avonree. Mieliśmy pełne ręce roboty, ale frajdy było co niemiara. Opłaciło się, gdyż w następnym roku zgarnęliśmy w Athlone wszystkie nagrody. Łącznie z tytułem Najlepszego Aktora. I to my chodziliśmy dumni jak pawie, podczas gdy reszta uczestników w foyer Księcia Walii szemrała po kątach. To było cudowne uczucie.

Od przełomu dzieliło nas jeszcze kilka lat; nie przyszedł on dzięki scenie amatorskiej, lecz za pośrednictwem Focusa, małej, profesjonalnej trupy złożonej z wyznawców metody Stanisławskiego.

Wiecie, brakuje mi tego. Och nie, nie mogłam nawet marzyć o prawdziwej karierze, mam zbyt cienką skórę, ale brakuje mi tamtego zaangażowania, zgiełku. Brakuje mi poczucia celu, przynależności i wspólnoty, bez względu na status w grupie. Udany wieczór aktora jest twoim udanym wieczorem. A sukces reżysera twoim sukcesem.

Nie podzielałam zdania Fergusa: wcale nie uważałam, że aktorzy po spektaklu przypominają papugi w zoo. Dla mnie wieczory po przedstawieniach miały wręcz czarodziejski wymiar.



Siedzisz sobie w zaciszu wam tylko znanego klubu lub lokalu, zmęczona i szczęśliwa, choćbyś była tylko głupią asystentką reżysera. Siedzisz w mieszkaniu albo salonie czyichś rodziców, patrzysz, jak aktorzy prześcigają się w wygłupach i sypią anegdotkami, i czujesz się wyróżniona, że możesz w tym uczestniczyć.

Słuchaliśmy najmodniejszych piosenek, najchętniej wybierając te smutne. Jako grupa ekstrawertyków lubowaliśmy się w pieśniach żałobnych. Moją specjalnością był „Chłopak rzeźnika”, ponura przyśpiewka o przedwczesnej śmierci, głębokich grobach i symbolicznych turkawkach.

To było niesamowite. Z chwilą, gdy się wstawało, by zaintonować dumną pieśń, w pomieszczeniu zapadała nabożna cisza. Jeśli ktoś, choćby największa szycha pokroju Fergus, odważył się choćby szepnąć słówko, pociągnąć ze szklanki czy odkaslnąć, pozostali zewsząd gromili go spojrzeniami. Wtedy nie liczyło się nic innego. Skupiałam na sobie uwagę wszystkich. Nic dziwnego, że byłam w siódmym niebie.

Obecnie nauczam w domu podstaw aktorstwa. Kiedy Colm poszedł do szkoły, nie bardzo wiedziałam, co począć z czasem, więc zrobiłam dyplom - ale to nie to samo, co występować na scenie. I nikt prócz mnie nie traktuje tego zajęcia poważnie: Tess i Rita pobłażliwie mówią o moim „hobby”. Uważam ich zachowanie za protekcyjne, chociaż oczywiście za nic się do tego nie przyznam.

Pewnie dlatego nie wspomniałam im o moim drugim „hobby”. Otóż próbuję pisać.

Nie. Wcale nie próbuję. Odwagi, Madeleine.

Piszę sztuki teatralne. I kropka. Skoro nie mogę być aktorką, moją ambicją jest zostać dramatopisarką.

Jeszcze nic nie skończyłam, ale mam cztery rękopisy, zamknięte w szufladzie toaletki w naszej sypialni.

Czasem pytam samą siebie, czy pisanie nie jest dla mnie formą autoterapii. Sądzę jednak, że podejmowane przeze mnie tematy przerastają moje osobiste tragedie. Trudno też, żebym porównywała się z bohaterkami: jedna z nich to Kalpurnia, a druga - Elizabeth Barrett Browning. Nieważne, po co to robię. Piszę, i już. A jeśli to rzeczywiście autoterapia, cóż z tego? Co to komu szkodzi?

W ciągu minionych lat wielokrotnie wspominałam Fergusowi, że znów chętnie zaangażowałabym się w jakieś amatorskie przedsięwzięcia teatralne, ale odniósł się do mojego zamiaru bardzo sceptycznie.

- Potrzebujemy cię w domu, Madeleine. Colm cię potrzebuje, a ja też chciałbym móc zawsze na ciebie liczyć. Przecież wiesz, jaką mam stresującą pracę! - I na tym zakończyliśmy rozmowę.

Chwała niebiosom za Trycykl, czyli butik, gdzie pracuję trzy dni w tygodniu, w czwartki, piątki i soboty. Mam pięcioprocentową prowizję od sprzedaży. Wiem, że to mało, ale przynajmniej mogę przejrzeć rzeczy, zanim trafią do sprzedaży. No i wychodzę z domu. Czasem dni dłużą się w nieskończoność.

Najlepiej przejdę do sedna i opowiem wam o wieczorze po powrocie z Francji.

## Rozdział 14

---

W głębi serca czułam, że chodzi o inną kobietę. Nabrałam podejrzeń blisko rok temu, ale oboje wykazywali dużo sprytu i gdy próbowałam ukradkiem wyciągnąć coś z Fergus'a, ten robił obrażoną minę.

- Jakim cudem w ogóle przyszło ci to do głowy? Myślałem, że mamy do siebie zaufanie, Madeleine.

Postanowiłam więc nie wiercić mu dziury w brzuchu: dość naoglądałam się podobnych sytuacji, by wiedzieć, że jeśli małżeństwo ma przetrwać, żona powinna dołożyć wszelkich starań, by nie zamienić się w sekutnicę.

Tak czy inaczej, nigdy nie miałam namacalnego dowodu. Owszem, Fergus przychodził późno, czasem nawet o piątej nad ranem, ale nigdy nie zostawał u niej na noc i zawsze wymyślał jakąś wymówkę: a to przyjęcie, na którym, zdaniem agenta, powinien się pokazać, a to popijawa z kolegami, która zanadto się przeciągnęła...

Nie chcąc więc bawić się w detektywa i ścigać go po mieście taksówkami (mamy tylko jeden samochód i Fergus jeździ nim do telewizji, a nie ma bezpośredniej linii autobusowej), zupełnie nie wiedziałam, co robić.

Najbardziej dręczyło mnie to, że nie miałam pojęcia, kim ona jest. Wyobrażałam ją sobie jako wysoką, piękną i oczywiście szczupłą blondynkę. Szczuplejszą ode mnie (zanim poszłam po rozum do głowy i wzięłam się w garść).

Skąd zatem wiedziałam, że mnie zdradza?

Nie chodziło wyłącznie o spadek zainteresowania moją osobą; Fergus stał się nieobecny duchem, nawet gdy siedział na wyciągnięcie ręki, o ile wiecie, co mam na myśli. Mogliśmy oglądać razem telewizję, a ja widziałam, że myślami przebywa z dala ode mnie.

Potem nastąpił szereg znaczących zmian. Przede wszystkim zaczął przywiązywać ogromną wagę do higieny osobistej, prosił na przykład, żebym dopisała do listy zakupów pastę wybielającą, a oprócz stosowanej dotąd wody po goleniu zaczął używać również perfum. Zrobił sobie nawet transplantację włosów, nie uwierzylibyście, ile nas to kosztowało. Stwierdził, że to pomoże mu w karierze („Nie jestem coraz młodszy, Madeleine. Trzeba trochę poprawić naturę”). Warto zaznaczyć, że mimo to nadal nie zrobił nowych zdjęć do portfolio.

Później ni z gruszki, ni z pietruszki zainteresował się irlandzką muzyką folkową. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby dotąd nie słuchał wyłącznie klasyki i jazzu, nie szczędząc kąśliwych uwag pod adresem „kociej muzyki”. Nastąpił jednak zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i ani się obejrzałam, jak zaczął przetrząsać dział ze złotymi przebojami, prosząc sprzedawcę o odszukanie wczesnej wersji „The Blackbird” Martina Hayesa lub czegoś Tony’ego McMahona, zwłaszcza wolniejszych kawałków. Namiętnie słuchał kobz z płyt analogowych, a w samochodzie katował nas piosenkami w wykonaniu przedpotopowej wokalistki zawodzącej przez nos. Ba, słuchał nawet sam w nocy, kiedy myślał, że śpię. Zaczął nazywać akordeon guzikowy „pudłem” i porównywać różne style „skrzypków”.

Nie mogłam tego znieść, ale byłam jak sparaliżowana. Trudno mi to wyjaśnić. Czułam, że jeśli postawię sprawę na ostrzu noża, wywołam lawinę albo coś w tym rodzaju.

Gwóźdź programu nastąpił tuż przed Gwiazdką, kiedy Fergus złożył wniosek o kartę kredytową. Wiem, że w czasach, gdy małolaty płacą plastikiem, tak jak my płaciliśmy sześciopensówkami, pozornie nie ma w tym nic dziwnego. Ale podczas

naszego wspólnego życia, a przynajmniej od czasu, gdy okrzepliśmy w małżeństwie i poznaliśmy się na wylot, Fergus ustawicznie szydził z przyjaciół, którzy wydawali krocie na spłatę odsetek od zadłużenia na kartach kredytowych.

- Nie będziemy żyć ponad stan, Madeleine. Zobacysz, że jeszcze kiedyś mi za to podziękujesz.

Pamiętam, jak oznajmił mi swoją decyzję w czasie podwieczorku. Zawsze jedliśmy w kuchni, żeby w razie czego szybko uzupełnić zawartość imbryka. Colm wypija litry herbaty. Przed chwilą poszedł do siebie, a ja wkładałam naczynia do zlewu. (Nie pogniewałabym się za zmywarke, mają je wszyscy nasi przyjaciele, ale Fergus uznał, że przy naszej trójce byłaby to strata pieniędzy).

- Co mówiłeś, Fergus? - Myślałam, że się przesłyszałam.

- Mówiłem, że najwyższa pora sprawić sobie kartę kredytową. - Patrzył na leżącą przed nim stertę rachunków. - Mam dość zapisywania wydatków. Bank robi to za nas.

- Ale przecież zawsze mówiłeś...

- Cóż, chyba mam prawo zmienić zdanie? - Nie odrywał wzroku od rachunków.

- Mówiłem ci, że tak będzie wygodniej. Na miłość boską, Madeleine. - Wreszcie raczył na mnie spojrzeć. - Czy naprawdę muszę się tłumaczyć z każdej decyzji?

Chyba zrozumiał, że przeholował.

- Pod względem materialnym nic się nie zmieni, Madeleine - dorzucił łagodniej.

- Nadal musimy racjonalnie gospodarować pieniędzmi. Trzeba myśleć o przyszłości. Ale w końcu mamy dwudziesty pierwszy wiek, pora iść z duchem czasu.

Wytarłam ręce w fartuch, podeszłam do stołu i rzuciłam mu wyzywające spojrzenie.

- Wobec tego poproszę o dodatkową kartę. Będzie mi wygodniej przy zakupach i w ogóle. Będzie łatwiej ustalić, ile wydajemy w supermarkecie. - Nie mam pojęcia, co mnie naszło.

Tego się nie spodziewał, lecz aby uniknąć oskarżenia o skąpstwo, musiał dać za wygraną. Jego mina była warta każdych pieniędzy.

- Czemu nie? - wykrztusił wreszcie, po czym dodał pospiesznie, że nie mam co liczyć na carte blanche.

Było to marne zwycięstwo, gdyż i tak niewiele skorzystałam. Kupiłam Colmowi parę drobiazgów, sprzęt do rugby i tym podobne. Dla siebie nic, gdyż śledztwo, które niechybnie przeprowadziłby Fergus po otrzymaniu wyciągów, popsułoby mi całą przyjemność. W kwestii własnych wydatków od lat byłam mistrzynią uników.

Nigdy nie widziałam żadnego wyciągu, ponieważ Fergus kazał je przysyłać na adres firmy produkującej serial.

- Też dla wygody - tłumaczył. - Sama wiesz, że mamy przestoje podczas kręcenia, łatwiej mi będzie wyjaśniać wszelkie nieścisłości i w ogóle.

Te wszystkie fakty mówiły same za siebie: mój mąż miał romans.

Oczywiście na wszystko miał gotowe wytłumaczenie. Nawet na zgoła niespodziewaną fascynację folkiem. Tłumaczył, że jego serialowy bohater, chcąc ściągnąć do hotelu więcej turystów, zamienił bar na tradycyjny pub muzyczny.

- Przecież muszę wiedzieć, o czym mówię, jak dostaję scenariusz. Początkowo robiłem tylko badania, ale kiedy się wsłuchałem, dosłownie wmurowało mnie w ziemię, Madeleine. No mówię ci. Te stare zespoły są pierwsza klasa, a jak umieją grać. No po prostu bomba. Gdybyś posłuchała uważniej, na pewno przyznałabyś mi rację.

Widzicie, jaka przebiegłość?

Teraz widzę, że uchwyciłam się tych wakacji w Collioure jak tonący brzytwy. Mieliśmy być z dala od niej, kimkolwiek była. Wreszcie mogła nadarzyć się okazja do rozmowy. Przecież tam Fergus ode mnie nie ucieknie ani nie urządzi sceny przy pozostałych. Poza tym ostatnio źle się czułam: miałam zawroty głowy, nawracające migreny i ucisk w żołądku. Z utęsknieniem myślałam o morskim powietrzu i słońcu na południu Francji.

Chociaż wiem, że byłam wówczas w nieciekawym stanie psychicznym i fizycznym, czułam się dumna, że tak sprytnie nie dawałam nic po sobie poznać, optymistycznie myślałam o przyszłości i poza paroma drobnymi dolegliwościami nie narzekałam na złe samopoczucie. Ciężko pracowałam nad tym, aby schudnąć, i wiedziałam, że dawno nie wyglądałam tak młodo i atrakcyjnie.

Zaczęło się od drakońskiej diety. A właściwie od sukienki z dzianiny, którą przymierzyłam w butik. Była piękna, koralowa. Capnęłam ją, zanim powędrowała na wieszak. Mary, właścicielka sklepu, weszła za mną do przymierzalni.

- Na twoim miejscu nie... - zaczęła.

W tym momencie zabrzmiał dzwonek przy drzwiach i musiała wrócić do klientek, lecz gdy odwróciłam się z powrotem do lustra, widok własnego odbicia przyprawił mnie o wstrząs. Być może dlatego, że zobaczyłam się jej oczami.

Widzicie, aż do tamtej chwili byłam dumna, że nie zapuściłam się tak jak (tylko sza!) Rita. Jednakże elastyczna tkanina sukienki bezlitośnie obnażyła wypukłość brzucha i obrzydliwe wałki na plecach. Na ramionach widniały płaty obwisłej skóry, o „bryczesach” nie wspominając. Miałam nawet oponkę na brzuchu. Prawdę powiedziawszy, był to rozmiar dziesięć, w dodatku francuski, który zawsze okazuje się nieco mniejszy, ale mimo to widok napełnił mnie obrzydzeniem.

To „olśnienie” z grubsza pokryło się w czasie z moimi podejrzeniami co do romansu Fergus, toteż zamiast siedzieć i płakać postanowiłam ostro wziąć się za siebie.

Jeszcze tego samego wieczoru przeszłam na dietę i znów zaczęłam palić: co tam groźba raka płuc, jeśli miałam być gruba, samotna i nieszczęśliwa. Pora o siebie zadbać. Co zrobię, jeśli Fergus mnie zostawi? Miałam wąski zakres specjalizacji, toteż nie było sensu liczyć, że utrzymam się ze swoich skromnych lekcji.

Metoda poskutkowała i nie dość, że systematycznie chudłam, to jeszcze stopniowo traciłam apetyt, aż wreszcie (chwała Bogu) sama myśl o napychaniu mojego atrakcyjnie spłaszczonego brzucha napawała mnie niewymownym obrzydzeniem. Przejście na mieszanki odchudzające też nie stanowiło żadnego problemu. Przecież smakują jak prawdziwe jedzenie. Prawie.

W drodze na lotnisko miałam wyśmienity nastrój. Włożyłam nawet letnią sukienkę, aby pokazać wszystkim, a zwłaszcza Fergusowi, jak fantastycznie wyglądam. Zapakowałam również koralową, która moim zdaniem obecnie prezentowała się wystrzałowo (widać było w niej nawet moje kości biodrowe), i niecierpliwie wyczekiwałam chwili, gdy z dumą włożę kostium kąpielowy. Powzięłam wiele rozmaitych postanowień: będę dużo odpoczywać i ćwiczyć. Alkohol ograniczę

wyłącznie do wina. Oczywiście nie tknę pieczywa; zawsze na kontynencie nieprzyzwoicie objadałam się bagietkami i croissantami. Koniec ze skrobcią. Będę jeść świeże francuskie sałatki i owoce. I dużo spacerować, żeby je spalić. Tak, będę chodzić na długie spacerory górskimi szlakami, popływam, pogram w tenisa. Nie ma to jak dużo ruchu.

To był Plan Numer Jeden.

Plan Numer Dwa sprowadzał się do porozmawiania z Fergusem. To konieczne, jeśli mamy zacząć od nowa. Los dał nam szansę wspólnego spędzenia wakacji z dala od niej. Gdy wejdzie w urlopowy nastrój, odpręży się i zobaczy, jak młodo i atrakcyjnie wyglądam, łatwiej mu się będzie otworzyć.

Pierwszego dnia byłam szczęśliwa i pełna wiary w przyszłość. Czułam, że mogę odzyskać mojego męża.

Wtedy oczywiście dostał telefon od agenta, a ja spanikowałam. Nie potrafiłam zdobyć się na udawanie i otwarcie dałam temu wyraz, co dodatkowo rozeźliło Fergususa.

Przezornie poczekał z awanturą do chwili, gdy znaleźliśmy się w samolocie. (Poza domem hołduje przekonaniu, że jest otoczony przez widzów i jak ognia unika konfrontacji; nie daj Bóg skompromitować starego, pocziwego Chestera. Któż mógł wiedzieć, ilu Irlandczyków przebywało wówczas na lotnisku w Perpignan? Ludzie na całym świecie tak bardzo się od siebie nie różnią; nigdy nie wiesz, dopóki nie usłyszysz, jak mówią).

- Jezu, Madeleine, co cię napadło? - syknął, upewniwszy się, że otaczają nas sami Anglicy. - Do czego to podobne, żebyśmy wszyscy grzali do Dublina z wywieszonym językiem? Na cholere z mną jedziesz, i tak przez większość czasu będę poza domem. Zebrania związku, zebrania obsady. Naprawdę mam się czuć winny, że straciłem robotę?

- Winny? Jak to? Dlaczego? - pytałam zdumiona. - Sugerujesz, że mój powrót ma wzbudzić w tobie poczucie winy?

- Dlatego - odparł, podnosząc głos - że będziesz mi się pętać pod nogami. Czuję się za to odpowiedzialny.

Całe szczęście, że Colm nie dostał miejsca obok nas, tylko siedział kilka rzędów dalej.

- Fergus - powiedziałam. - Jadę z tobą, bo jestem twoją żoną. Na dobre i na złe, pamiętasz? - Próbując ująć go za rękę, spostrzegłam, że stewardesa o twarzy manekina nachyla się nad nami z jakimś folderem. - Życzą sobie państwo folder? - spytała jak gdyby nigdy nic.

- Dziękujemy, moja droga! - Fergus posłał jej czarujący uśmiech i wziął folder.

Wyrwałam mu go z ręki i przekartkowałam nerwowo, usiłując zebrać myśli. Miałam dwa wyjścia. Pierwsze: przestanę zachowywać się jak wycieraczka i będę walczyć o swoje. W ten sposób ryzykuję, że jeszcze bardziej się ode mnie odsunie. Albo na spokojnie ocenię sytuację i obmyślę skuteczną taktykę.

Pytanie: Czego tak naprawdę chcesz?

Chcę wrócić do normalności. Chcę, żeby Fergus ze mną został. Chcę nadal być jego żoną, żeby sytuacja się uspokoiła i żebyśmy znów stanowili rodzinę.

Pytanie: Czy wszczynanie kłótni na pokładzie samolotu Ryanair wśród innych pasażerów pomoże ci osiągnąć cel? Czy w ogóle coś da?

Nie. Nie mogę zachowywać się jak jędza. Fergus zyska wtedy wymówkę, żeby wziąć nogi za pas i pobiec do tamtej. Myśl, Madeleine. Myśl!

I w milczeniu zagłębiłam się w lekturze folderu.



## Rozdział 15

---

Zaraz po powrocie Fergus pognął na górę, żeby się przebrać. Następnie wszedł do kuchni, gdzie sprawdzałam, czy wszystkie urządzenia elektryczne działają jak należy i oznajmił, że jedzie do telewizji „zbadać sytuację”.

- Nie czekaj na mnie z kolacją, zjem w kantynie.

- Minęła siódma, zanim tam dojedziesz, zdążą zamknąć.

- Musisz ze wszystkiego robić problem, Madeleine? - Widziałam, że moje słowa wyprowadziły go z równowagi, zaraz jednak opanował się wysiłkiem woli. - Kupię sobie coś w barze radiowym. Na przykład kanapkę. Nie powinienem wrócić późno, ale najlepiej nie czekaj. Postaram się nie hałasować. - I wymaszerował z kuchni zanim zdążyłam go poinformować, że przecież bar radiowy został zlikwidowany. Cięcia budżetowe, te same, które doprowadziły do zawieszenia serialu. Przeczytałam o tym w „Irish Independent”, pozostawionym na pokładzie przez jakiegoś pasażera.

Trzasnęły drzwi. Czując, jak żołądek cięży mi niczym z ołowiu, otworzyłam zamrażarkę, żeby wyjąć coś na kolację dla Colma.

W kuchni panowała cisza, jeśli nie liczyć cichego postukiwania w szybkę z mlecznego szkła, umieszczoną w tylnych drzwiach. Nawet się nie odwróciłam; wiedziałam, że to trącany wiatrem pęd bluszczu. Tuż po przeprowadzce posadziłam go na tyłach domu, żeby nie musieć patrzeć na gołą ścianę. Przyszło mi srogo tego pożałować: ogród wychodzi na południe i bluszcz rozplenił się niemożliwie. Od dziesięciu lat walczę, by nie zarósł wszystkich okien i drzwi. Metafora zgrzyoty toczącej tych, co utknęli w środku.

- Jemy kolację, mamó?

Zapiekle mnie oczy i zrozumiałam, że od dłuższej chwili tkwię przed otwartą zamrażarką.

- Wybacz, Colm. - Odwróciłam się do syna. Stał na progu z miną, na której widok mało nie pękło mi serce. Silił się na spokój, ale widziałam, że się zamartwia. Doskonale wiedział, co się dzieje. I tak naprawdę jego pytanie brzmiało: „gdzie tata?”.  
- Jasne - odpowiedziałam. - Właśnie próbuję coś znaleźć. Obawiam się, że nie mamy

wielkiego wyboru, nie zrobiłam zakupów. Tata pojechał do telewizji na zebranie związku, zje na miejscu. Masz ochotę na pizzę?

- A ty?

- Och, w sumie nie jestem głodna.

Zawahał się i chciał coś dodać, ale tylko wbił wzrok w podłogę i wymamrotał, że nie ma ochoty na pizzę. Wyskoczy po hamburgera.

- Masz pieniądze?

- Tak. - I wysunął się z kuchni.

Nadal sterczałam przed otwartą zamrażarką i zamiast ją zamknąć, wsadziłam obie ręce do środka. Dłonie przylgnęły do grubej warstwy lodu. Nie cierpię rozmrażania.

Pamiętam wywiad z pisarzem Frankiem O'Connorem: powiedział, że opowiadanie to chwila fundamentalnej zmiany w życiu człowieka, chwila olśnienia, po którym nikt i nic nie jest już takie jak dawniej.

Doświadczyłam czegoś dokładnie w tym rodzaju. Kiedy tak stałam w kuchni, idiotycznie sprawiając sobie ból, zrozumiałam z nagłą jasnością, że wszystko w moim życiu uległo nieodwracalnej zmianie. Może byłam na to gotowa. Może sprawił to widok wychodzącego Colma, a może duszna atmosfera smutnego domu. Nie wiem, czemu to przypisywać. Stało się, po prostu.

Ostrożnie oderwałam ręce od lodu i zamknęłam zamrażarkę. Wsadziłam dłonie pod gorącą wodę; strumień spotęgował ból, co sprawiło mi niejaką przyjemność. Dobrze, pomyślałam. Dostanę pęcherzy. To się nazywa właściwa kolej rzeczy.

Fergus wrócił jakiś kwadrans po północy. Spędziłam ten czas, skacząc po kanałach: pięćdziesiąt siedem programów i nic do oglądania, prawdę powiadają. Sitcomy ze sztucznym śmiechem w tle, dramaty policyjne, reportaże - nic nie wzbudziło mojego zainteresowania. Ściszyłam telewizor prawie do zera. Nawet nie włączyłam światła. Czekałam na chrobot klucza w zamku.

Fergus z westchnieniem wszedł do pokoju, ziewając i trąc oczy.

- Święta Mario i Józefie - wykrztusił. - Ale mnie przestraszyłaś. Jeszcze nie śpisz? - Zapalił duże światło.

- Właśnie miałam iść na górę. - Uśmiechnęłam się szeroko. - I co tam?

- Porozmawiamy rano. Jeden wielki syf, Madeleine, tylko tyle ci powiem.  
- Jadłeś coś? Zrobić ci kanapkę?  
- Nie zwracaj głowy, nie jestem głodny. Przecież ci mówiłem, że zjem w barze i tak też zrobiłem. - Znów ziewnął jak hipopotam. - Ależ jestem skonany. Starczy, że przyłożę głowę do poduszki.

Gdy się odwrócił i poszedł na górę, nawet nie ruszyłam się z miejsca.

Słuchałam, jak idzie do łazienki, spuszcza wodę i znów otwiera drzwi.

Słuchałam, jak szumi woda w rezerwuarze.

Odczekałam kolejnych pięć minut i upewniwszy się, że poszedł do łóżka, udałam się na górę.

Wsuwając się pod kołdrę, usłyszałam jego miarowy oddech, ale wiedziałam, że nie śpi. Po latach wie się takie rzeczy.

Leżałam na plecach i myślałam o stwierdzeniu Franka O'Connora, machinalnie wodząc palcami po szorstkiej bawełnianej piżamie. Piekąca skóra nie była iluzją.

To była szalona, pełna rozpaczy noc.

Podobnie jak pokój w Collioure, nasza sypialnia również mieści się na poddaszu. Był to dla mnie jeden z głównych atutów domu. Poprzedni właściciele mieli tu gabinet, w związku z czym nie musiałam myśleć o świetlikach i drewnianej podłodze. Od razu postanowiłam urządzić tu sypialnię.

- To takie romantyczne, Fergusie (zważcie, że od tamtej rozmowy minęły lata). Możemy postawić łóżko bezpośrednio pod świetlikiem i patrzeć nocą na gwiazdy!

To pierwszy i ostatni pokój, który mogłam samodzielnie urządzić (Fergus uparł się, by wybrać kolory do pozostałych pomieszczeń), toteż pozwoliłam sobie na małe szaleństwo. Wybrałam zestawienie bieli i błękitu: niebieski dywan, białe ściany i sufit oraz cienka narzuta w gwiazdki. Nadal lubię te świetliki, nie tylko w nocy. Zwykle budzę się wcześniej rano i uwielbiam obserwować niebo o świcie, poprzecinane kremowymi szlakami samolotów z Ameryki.

Ameryka. Zawsze marzyłam, aby zwiedzić bezkresne, wietrzne przestrzenie Nowego Kontynentu. Leżałam na łóżku, rozmyślając o nadziejach i marzeniach podróżnych lecących ponad moim dachem. Może byli o krok od podpisania ważnego

kontraktu? Jechali na spotkanie z cudownie odnalezionymi członkami rodziny? Albo uciekali przed FBI i bali się lądowania?

Ciekawe, czy wiedzieli, że mają pod stopami co najmniej jedną trumnę. Czytałam, że większość samolotów pasażerskich przewozi zwłoki. Czyje? Jakie historie wiązały się ze śmiercią tych ludzi ?

Tamtej nocy nie słyszałam żadnych samolotów. Żadnego nieba, żadnych gwiazd, tylko mrok. I gdy deszcz zabębnił o szybę, obsadziłam się w roli bohaterki jednej z moich sztuk:

*Salon położonego na przedmieściach domu przedstawicieli klasy średniej,  
Dublin.*

*Wchodzi MADELEINE, szczupła, pięćdziesiąt parę lat, żona FERGUSA. Jest zatroskana.*

Światelko Franka O'Connora błysnęło jaśniej. Czy żonę FERGUSA miał określać fakt, że była zatroskana?

Żona. Zatroskana. Zatroskana. Żona.

Czy to odróżniało mnie od sześciu miliardów pozostałych mieszkańców planety?

Im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej przerażała mnie myśl, kim się stałam. Wróciłam myślami do Madeleine sprzed trzydziestu laty, wiecznie zdyszanej, bo zawsze chciała coś zrobić, czegoś dokonać. Szalonej Madeleine, zawsze pierwszej do żartów i dobrej zabawy, która nie miała czasu przeciągnąć grzebieniem po kędzierzawych włosach i której witalność zwróciła uwagę Fergusa Griggsa.

Tamta Madeleine miała w sobie niezłomne geny: po babci, która paliła fajkę i do późnej starości przemierzała rowerem wyboiste polne drogi północnego Cork; po ciotecznym dziadku, bohaterze lokalnej drużyny piłki nożnej, i po ciotecznym pradziadku, który przeżył walki o niepodległość, opowiadał mrozące krew w żyłach historie o przygodach z czasów hiszpańskiej wojny domowej i dożył dziewięćdziesiątki. Te geny zbyt długo trwały w uśpieniu, uznałam. I niewiele myśląc, zapaliłam lampkę nocną.

- Fergus?

- Hm? - Wciąż udawał, że śpi.

- Wiem, że nie śpisz, Fergusie. Usiądź, proszę, dobrze? Chcę z tobą porozmawiać.

- Czy to nie może poczekać?

- Nie. Nie może.

- Obyś miała dobry powód. - Z ciężkim westchnieniem usiadł na łóżku. Osłonił ręką oczy. - Która to godzina, na miłość boską?

- Wczesna. Dopiero kwadrans po północy. Położyłeś się dwadzieścia minut temu.

Odczekałam, aż oprze się o poduszki i utkwi we mnie pytające spojrzenie. Mimo powagi sytuacji mało nie Wybuchnęłam śmiechem. Byłam zdenerwowana - zawsze chichoczę, kiedy jestem zdenerwowana.

Miał zmierzwione włosy; a ślady krzyżyków po transplantacji wyglądały idiotycznie. Gdzieniedzie widniały lśniące prześwity. Wyglądał jak sfatygowana lalka brzuchomówcy. Oczywiście zachowałam kamienną twarz, ale musiałam odwrócić wzrok.

Wyczułam pod palcami jedną z gwiazdek narzuty, porządnie już spłowiałą. Nic dziwnego, liczyła sobie ponad dwadzieścia lat.

- Muszę o czymś z tobą porozmawiać, Fergusie. Chciałam zrobić to na wakacjach, ale nie mogę dłużej zwlekać. - Zwinęłam palce u stóp w oczekiwaniu na atak, który jednak nie nastąpił.

Kiedy na niego zerknęłam, siedział ze wzrokiem utkwionym w suficie.

- No dobrze. Wykrztuś to wreszcie.

- Przepraszam, Fergusie...

- Przestań wreszcie przeproszać, Madeleine - przerwał znużonym głosem. - Do szafu mnie to doprowadza.

W sumie nie wiem, czego oczekiwałam, ale chyba nie... racjonalnego opanowania, tak to umownie nazwijmy. Poczułam uderzenie gorąca. Co mam mówić?

Naraz przypomniałam sobie zamrażarkę, twarz mojego syna i olśnienie Franka O'Connora.

- Jestem nieszczęśliwa, Fergusie. Colm również, a i o tobie można chyba powiedzieć to samo. - Chciał coś powiedzieć, lecz mu nie pozwoliłam. - Nie,

posłuchaj, proszę. - Gorączkowo szukałam właściwych słów. - Mam wrażenie, jakbym pograżała się w mroku - wypaliłam. - Cokolwiek się dzieje, proszę, abys potraktował mnie z szacunkiem i niczego przede mną nie ukrywał.

- O co ci chodzi? A co się niby ma dziać? Nic się dzieje. Madeleine, na miłość boską, może byś tak wreszcie zgasila światło i poszła spać jak Bóg przykazał? Jestem zmęczony. Dobranoc. - Chciał się odwrócić, ale złapałam go za ramię.

Kolejne słowa padły bez większego udziału z mojej strony.

- Jeśli masz romans, miej odwagę się przyznać. Proszę, Fergusie. To nie do wytrzymania, nie tylko dla mnie. Cołm też się męczy, wszyscy się męczymy. Ten dom to istne mauzoleum. Nienawidzę go. Kiedyś go kochałam, jak sam wiesz, ale teraz go nienawidzę. Nienawidzę go, kiedy ciebie nie ma, a ostatnio nawet jak jesteś. Zrobił się cichy, wstrętny i przytłaczający. Chodzimy na palcach i nikt nie ma odwagi się odezwać. Czuję się, jakby ten sufit walił mi się na głowę. Błagam, powiedz mi prawdę. Gdybym przynajmniej wiedziała, z kim mam do czynienia, może zyskałabym cień szansy.

- Jesteś stuknięta. Idę do kibla. - Odrzuciwszy kołdrę, pospiesznie wyszedł z pokoju.

Minęła niemalże wieczność, zanim ponownie usłyszałam na schodach jego kroki. Zmusiłam się, żeby siedzieć z plecami wyprostowanymi jak kij od szczotki. Fergus nie spuścił wody.

Spodziewałam się widoku nachmurzonej twarzy i gradu ostrych słów. Myślałam, że wizyta w toalecie stanowiła tylko pretekst, aby sklecić na poczekaniu marną bajeczkę. Ale spostrzegłam, że jest bardzo blady. Szedł powoli i z rezygnacją jak koń do rzeźni.

Byłam wstrząśnięta. Boże, pomyślałam, zaraz mi powie...

Nadeszła chwila prawdy, a ja wcale nie chciałam jej usłyszeć. Pragnęłam cofnąć pytanie, zgasić światło i powrócić do chwili sprzed dziesięciu minut.

Z sercem w gardle czekałam, aż Fergus usiądzie na skraju łóżka.

- Już dawno powinienem był ci powiedzieć - oznajmił. - Wybacz, Madeleine, poznałem inną kobietę.

## Rozdział 16

---

Pewnie to zabrzmia melodramatycznie, ale miałam wrażenie, jakby świat usunął mi się spod nóg. Spodziewałam się tych słów, lecz własna reakcja przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Czas płynął jakby nigdy nic. Często napotykałam w książkach opisy podobnych sytuacji i zawsze uważałam, że są mocno przesadzone. Nie miałam racji.

Żadnych werbli, żadnego wycia syren, nic z tych rzeczy. Po prostu wszystko staje w miejscu, a to, co znajduje się na wyciągnięcie ręki, jawi się nagle z niezwykłą ostrością. Ujrzałam na przykład, że ząbkowany wzorek na piżamie Fergusa jest zadziwiająco misterny i delikatny jak koronkowa robota zdolnego rzeźbiarza.

Wyobraźcie sobie, że odczułam również coś na kształt ulgi, choć towarzyszyła jej świadomość rychłej katastrofy. Ulgi, że jednak nie miałam zwidów. Nie byłam stuknięta ani ograniczona, czy jak tam mnie nazywał.

- Kto to jest? - zapytałam niemal zdawkowym tonem,

- Nieważne.

- Dla mnie ważne.

- I po co mam ci mówić? - Odwrócił się wreszcie, by na mnie spojrzeć, sprężyny materaca jęknęły z wyrzutem. - Wcale się lepiej nie poczujesz i jeszcze tego brakuje, żebyś pobiegła do niej i zrobiła scenę.

Rzeczywistość odzyskała normalny wymiar, a wraz z nią napłynęła fala gniewu. Był cudowny. Czysty. Zimny jak lód. Mimo niedawnych rozterek poczułam, jak rozpiera mnie energia. Odzyskałam jasność myślenia i opanowanie.

- Jeśli mi nie powiesz, kim ona jest, zrobię scenę, żebyś wiedział. I to zaraz. Widzisz? - Nim zdążył mnie powstrzymać, wyskoczyłam z łóżka i spokojnie podeszłam do wiszącego na ścianie certyfikatu z nominacją na „Najlepszego aktora telewizyjnego”. Zdjęłam go z gwoźdźca i z całej siły rzuciłam nim o przeciwległą ścianę. Szkło rozprysło się w drobny mak, obsypując pościel. - Ale fajnie - powiedziałam.

Fergus zerwał się i rozpląszczył na ścianie pod ukośnym sufitem.

- A jednak miałem rację. Jesteś nienormalna - oznajmił.

- Powiesz? - Sięgnęłam po stojącą na toalecie szklaną figurkę baletnicy, prezent od niego z dawnych czasów. Uniosłam ją nad głowę i rzuciłam przez ramię, nie celując w nic konkretnego. Też roztrzaskała się na kawałki. Chyba o rower treningowy Fergusa.

Następnie chwyciłam ceramiczną świnkę skarbonkę, jego ukochaną pamiątkę z dzieciństwa. Podniosłam ją do góry, zastanawiając się, w co by tu rzucić.

- Przestań, przestań. - Fergus podbiegł i złapał mnie za rękę. - To jakieś szaleństwo!

Tak mocno ścisnął mój nadgarstek, że aż zdrętwiały mi palce. A co tam. Jak tylko mnie puści, rozwalę wszystko, co się da.

- Powiesz czy nie? - Gniew przestał być chłodny. Teraz wręcz parzył i dławił mnie w gardle.

Fergus stał tak blisko, że poczułam woń alkoholu, która przebijała spod wody kolońskiej.

Puścił moją rękę.

- Chodźmy na dół - powiedział. - Przecież nie będziemy siedzieć na skorupach.

- Powiesz?

- Powiem.

Rzuciłam świnkę na skotłowaną pościel i pierwsza wymaszerowałam z sypialni. Byłam tak wściekła, że nawet nie próbowałam iść po cichu. Colm i tak przeważnie zasypiał ze słuchawkami, toteż przyjął wersję, że jeśli do tej pory nie wstał, teraz też raczej się nie obudzi. A nawet jeśli, to również ma prawo tego wysłuchać. Lepiej wiedzieć niż zamartwiać się na śmierć.

Poszliśmy do kuchni, gdzie zwyczajem wytresowanej żony odruchowo skierowałam się w stronę zlewu i napełniłam czajnik. Następnie usiadłam przy stole i spojrzałam wyczekująco.

Usłyszałam wszystko, nim woda w czajniku zdążyła się zagotować. Opowieść należała do kategorii tych oklepanych historyjek, których dziesiątki przewijają się przez prasę brukową: „Miłość na planie opery mydlanej.”

Naturalnie Fergus potrzebował suflera.



- Nie wiem, od czego zacząć. - Nie patrzył na mnie, tylko na stół, i mówił cichym, monotonnym głosem, jakby recytował wyuczoną lekcję.

- Zaczynij od początku. Jak się nazywa?

- Przecież to nie ma żadnego znaczenia, Madeleine. - Podniósł wzrok. -

Dlaczego chcesz to wiedzieć? To raczej nie ułatwi sprawy, prawda?

Świadoma swojej przewagi w milczeniu świdrowałam go spojrzeniem.

- Vanessa Thomson - powiedział. Nazwisko kompletnie nic mi nie mówiło.

- Gdzie ją poznałeś?

- Na planie serialu.

- Aktorka?

- Tak.

- Ile ma lat?

- Madeleine... na miłość boską...

- Ile?

- Dwadzieścia cztery.

Myśl o możliwych skutkach nie przeszła mi przez głowę, jeszcze nie.

- Kogo gra?

Okazało się, że panna Thomson to jedna z postaci trzecioplanowych (grała postrzeloną córkę portiera), która pojawia się okazjonalnie, zwykle jako tło dla innych, ważniejszych bohaterów.

Nagła fascynacja folkem również znalazła swoje wytłumaczenie: prawdziwy ojciec Vanessy był muzykiem i uprawiał właśnie ten gatunek.

- A matka? Jest pewnie pieśniarką z Donegal. A może gra na „pudle”? - Własna zgryźliwość sprawiła mi niewymowną przyjemność.

- Matka nie żyje. - Fergus wstał. - Po co zadajesz mi te wszystkie pytania? Jaki to ma sens?

- Taki, że przez blisko rok zadręczałam się tym dzień i noc, Fergus. Przez rok mojego cennego życia. I nikt mi go nie zwróci. - Ja również podniosłam się z krzesła. - Nie, wróć. Wcale się nie zadręczałam. To ty mnie dręczyłeś. Myślałeś, że ujdzie ci to na sucho? Jak długo zamierzałeś to ciągnąć?

- Ty nic nie rozumiesz...

- Ja nie rozumiem? - Rozkręcałam się na całego. - A czego niby nie rozumiem?  
Że znalazłeś sobie młodą laskę?

Stopniowo przysuwałam się coraz bliżej, aż wreszcie stanęliśmy prawie twarzą w twarz przy zlewie. Fergus nie wiedząc czemu odkręcił kran. Chlusnęła woda.

Podniosłam rękę do uszu.

- Zakręć, Fergus. Zakręć. Posłuchał.

- Co jeszcze mam ci powiedzieć? Poznałem inną kobietę. Zdarza się. Wybacz, ale jestem pewien, że mi nie wierzysz.

- Jak do tego doszło?

- Naprawdę chcesz się dalej katować...

- Sama to ocenię. Jak do tego doszło?

- Siadaj. Przecież nie będziemy tak sterczeć.

Podeszliśmy do stołu, chociaż ledwo powłóczyłam nogami. Usiedliśmy.

Początki romansu sięgały gwiazdkowego przyjęcia sprzed półtora roku.

- Sytuacja wymknęła się spod kontroli. - Znów utkwił spojrzenie w blacie. -  
Sporo wypiliśmy, a potem poszliśmy do niej. Nie planowałem dalszych spotkań... to znaczy, w ten sposób. Chciałem to zakończyć. Wiesz, jak to bywa na tych gwiazdkowych przyjęciach. - Zerknął na mnie z wahaniem, lecz na widok mojej miny ponownie zwiesił głowę. - Ale jej zależało, co rusz wpadała na plan albo do kantyny, kiedy jedliśmy obiad. Chyba mi to pochlebiało. W Wielkanoc powiedziałem, że już dość, ale ona nie dawała za wygraną. A potem...

Urwał.

- A potem powiedziała ci, że jest w ciąży.

- Skąd wiesz? - Popatrzył na mnie ze szczerym zdumieniem.

- Po prostu. To takie wyświechtane i łatwe do przewidzenia. Powiedzmy, że kolejny zwrot akcji nie stanowił dla mnie zagadki. Urodziła?

Czy to naprawdę mój głos? Czy to ja przemawiałam tak rzeczowo?

Fergus z rezygnacją skinął głową.

- Dziewczynkę.

- Rozumiem. Jak ma na imię?

- Felicity.

- Zakładam, że łożysz na jej utrzymanie. Z naszych pieniędzy.

- Madeleine...

- Co Madeleine? - Nie ustępowałam. - Utrzymujesz tę kobietę i jej córkę, czy nie? Czy to dlatego noszę stare łachy i kupuję litewskie pizze u Aldiego?

Aldi to niemiecki supermarket, do którego chodzą ubogie wdowy, samotne matki, bezdomni, czarni oraz azjatyccy imigranci i ja.

Fergus uciekł spojrzeniem w bok.

- Nie daję dużo. Ale to moje dziecko. Musiałem się nimi zaopiekować.

Przypomniałam sobie, jak notorycznie wykręcałam się od spotkań z Ritą i Tess pod pretekstem, że „mam za dużo na głowie”.

- Nie chcę cię widzieć - powiedziałam cicho.

- To mój dom. Pójdę, kiedy będę gotowy...

- Już mnie nie kochasz?

Cholera, wypowiedziałam słowa, których obiecywałam sobie nigdy nie mówić. Planując rozmowę w Collioure, za każdym razem skreślałam je ze scenariusza. Są takie żalodne. Takie upokarzające. Jakbym sama wystawiała się na cios. Nie ma lepszego sposobu, by stracić grunt pod nogami. I przewagę, którą zyskałam przedtem. Fergus też był tego świadomy. Delikatnie wziął mnie za rękę.

- Przestań się poniżać, Madeleine. Wystarczy. Wyrwałam rękę.

- Jak to: poniżać? A cóż ja takiego zrobiłam?

Za późno. Teraz on przejął kontrolę nad sytuacją.

- Spójrz tylko na siebie - powiedział. - Przeglądałaś się ostatnio w lustrze? Jesteś żalonna. Jesteś chuda jak patyk. Coś ty z siebie zrobiła?

Zerwałam się na równe nogi, łzy zapiekły mnie pod powiekami.

- Wynoś się. Proszę, natychmiast opuść ten dom. Już!

- Jest środek nocy...

- A co mnie to obchodzi? Masz dokąd pójść. Przełknęłam łzy. Nie będzie patrzył, jak płacę.

- Idź do Vanessy.

Popatrzył na mnie z wahaniem.

- Jesteś pewna? - spytał w końcu.

- Owszem. - Powiedziałam to na serio.

- Nie myśl, że wrócę na kolanach. Teraz ja spojrzałam na stół.

- Spakuję twoje rzeczy. Możesz zadzwonić i powiedzieć, dokąd mam je wysłać.

Po kilku sekundach ciszy usłyszałam kroki. Wszedł z kuchni.

Zaczęłam dygotać, aż musiałam objąć się ramionami w obawie, że rozpadnę się na kawałki. Odzyskawszy panowanie nad sobą, podniosłam słuchawkę.

- Za jakieś pół godziny - szeptał. - Muszę jej zostawić samochód... to byłoby nie w porządku.

- Jak to przyjęła? - Panna Thomson wprawdzie siliła się na zatroskany ton, ale wyraźnie słyszałam triumf w głosie.

- Szkoda gadać. Do zobaczenia. - Rozłączyli się, ja też delikatnie odłożyłam słuchawkę, jakby trzaśnięcie mogło pogruchotać mnie samą.

Fergus wszedł do kuchni z małym neseserem podróżnym w ręce.

- Sprzątnąłem szkło z łóżka - oznajmił od progu. - Chyba zebrałem wszystkie kawałki, ale lepiej sama sprawdź, zanim się położysz.

- Dobrze. - Skinęłam głową. Zupełnie jakbyśmy dyskutowali o cenie nowych zasłon. Dramat rozstania bywa jednak całkiem zwyczajny.

- Żegnaj, Madeleine.

- Żegnaj - powiedziałam do stołu.

Po cichu zamknął za sobą drzwi.

Minęło trochę czasu, nie wiem dokładnie ile.

Kiedy wróciłam na poddasze, jego obrączka leżała na toalecie obok ocalałej świnki skarbonki. Trudno opisać, co poczułam, widząc ten mały złoty krążek na tle ciemnego mahoni. Dotknęłam go; jeszcze ciepły. To chyba była najgorsza chwila. Wzięłam obrączkę i położyłam się w ubraniu do łóżka, ściskając ją w obolałej dłoni.

Gdy tuż przed piątą nadszedł świt, wciąż czułam obrączkę w zaciśniętej pięści. Moje ciało również tkwiło w tej samej pozycji, nie przesunęłam się ani o centymetr. Przez całą noc nie zmrużyłam oka. Było mi zimno.

Później tego ranka wrzuciłam obrączkę do sedesu. Uparcie nie chciała spłynąć, więc popchnęłam ją szczotką, co też niewiele dało. Raz po raz spuszczałam wodę, aż

wreszcie, w akcie ostatecznego upokorzenia, włożyłam gumowe rękawiczki i zepchnęłam ją do odpływu palcami.

Pewnie utknęła gdzieś w rurach, kto wie.

Tego lata wielokrotnie przyszło mi żałować mojej decyzji. Błagałam, żeby do mnie wrócił. I cierpnę na samo wspomnienie jednej z owych długich, wstrętnych rozmów, kiedy to zaproponowałam życie w trójkącie. Dokładnie pamiętam każde słowo.

Scena: Korytarz domu MADELEINE GRIGGS. MADELEINE, pięćdziesięcioparoletnia gospodyni domowa ściska w dłoni słuchawkę. Jest ciemno, na wychudzoną twarz MADELEINE pada mętne światło lampki ustawionej na stoliku obok telefonu. Przez słuchawkę słyhać odpowiedzi FERGUSA, znajdującego się po drugiej stronie linii.

MADELEINE: Mam pewien plan. Możemy o nim porozmawiać?

FERGUS: Słuchaj, jest późno. Muszę...

MADELEINE: Proszę, Fergusie, chcę tylko z tobą porozmawiać. Po tylu latach małżeństwa jesteś mi winien chociaż tyle.

FERGUS: Cholera, Madeleine, *(wzdycha)* No dobra, co to za plan?

MADELEINE: Trudno mówić o tym przez telefon. Czy moglibyśmy się spotkać na kawę *(w pośpiechu kończy zdanie)* na przykład jutro?

FERGUS: Nie, to nie jest dobry pomysł. Jeszcze nie. Minęło zbyt mało czasu.

*(pauza)*

FERGUS: Powiesz mi wreszcie? Madeleine? Mów albo odkładam słuchawkę.

MADELEINE: Jestem zdenerwowana, Fergusie, wiesz, jakie to dla mnie trudne.

FERGUS *(wzdycha)*: Przecież cię nie ugryzę. No wykrztuś to wreszcie.

MADELEINE *(z trudem przetyka ślinę)*: Cóż, nie chodzi tylko o moje dobro, ale przede wszystkim o dobro Colma. On strasznie za tobą tęskni, Fergusie. *(pauza)* Fergus! Fergus! Jesteś tam?

FERGUS: Jestem, do cholery. Powiesz mi czy nie?

MADELEINE: No dobrze. Przepraszam. *(pospiesznie wyrzuca słowa)* Przyszło mi do głowy, że to dobre rozwiązanie. Proszę tylko, żebyś to sobie dobrze przemyślał. Vanessa na pewno nie miałaby nic przeciwko temu, żebyś spędzał u nas kilka nocy w

tygodniu, może nawet co drugi tydzień. Byłabym nawet skłonna... *(trzask odkładanej słuchawki i przeciągły sygnał)*

MADELEINE *(powoli odwiesza słuchawkę. Chowa twarz w dłoniach)*

Byłam w strasznym stanie, ale chociaż często miałam ochotę zadzwonić do Rity i Tess, nigdy się na to nie zdobyłam. To nie byłoby fair. Były przecież na wakacjach. Nikt nie miał prawa zakłócać im spokoju.

Mary ze sklepu (jest w separacji) okazała mi wiele życzliwości. Wiedząc, że moje przyjaciółki są na wakacjach, odwiedziła mnie w domu i pozwoliła mi pracować sześć dni w tygodniu zamiast trzech.

- Trzeba ci zajęcia, mała! Głowa do góry!

Któregoś z „lepszych” dni poszłam do mieszkania Vanessy, lecz gdy otworzyła mi drzwi z niemowlęciem na rękach, moja determinacja ulotniła się bez śladu. Widok oczu Fergusów patrzących na mnie z dziecięcej twarzyczki wstrząsnął mną do głębi. Vanessa wyglądała na wykończoną, musiałam jednak przyznać, że jest prześliczna. Nie jakaś tam klasyczna piękność z ekranu, ale naprawdę robi wrażenie.

I do tego taka młoda.

Poukładałam sobie większość spraw. Opis incydentu w ich mieszkaniu dołożyłam do pozostałych rękopisów w szufladzie. Może kiedyś połączę wszystkie luźne fragmenty w jedną całość i coś z tego będzie. Trochę podrasowałam rzeczywistość: Madeleine wychodzi z tej skądinąd dramatycznej sytuacji z podniesionym czołem.

Tak naprawdę wróciłam wtedy do domu z nosem zwieszonym na kwintę. Troje przeciwko jednej. To by znaczyło, że Colm znalazł się poza nawiasem. A gdzie jego miejsce?

Wprawdzie nikt nie stanął na podium, ale i tak ja dowlokłam się do mety na szarym końcu.

## Rozdział 17

---

Co za lato!

Minęły niespełna dwa miesiące od chwili, gdy Tess, Mad i ja siedziałyśmy obok siebie w samolocie. Aleśmy się wtedy uśmieły! A ile się od tamtej pory wydarzyło...

Ciekawe, jak tam nastroje w Arkadii. Kto by pomyślał, że do tego dojdzie, policja i w ogóle. Że też musiało to spotkać właśnie Tess i Jerry'ego, Jezu! Macie pojęcie? Powiem tylko, że już zawsze będę dziękować Bogu za to, co mam. I nigdy więcej żadnych pretensji do losu. W San Lorenzo nie zawsze dzieje się najlepiej, lecz sytuacja zawsze mieści się w granicach normy. W świetle ostatnich wydarzeń w Howth nasze problemy to pestka.

Początkowo nie wszystko nam szło jak po maśle, zwłaszcza tuż po ślubie. Ten mały domek w Finglas pozostawiał wiele do życzenia.

Potem, kiedy powoli wychodziliśmy na prostą i przenieśliśmy się tutaj, chyba chwyciłam wiatr w żagle, jak powiedziałyby Tess. Teraz widzę, że obrosłam w piórka, szczególnie po śmierci rodziców, bo już nie było nikogo, kto ściągnąłby mnie z powrotem na ziemię. (Prawie słyszę słowa mamy: „Za kogo ty się uważasz, moja panno? Myślisz, że wielki dom, twoja tak zwana „sieć" sklepów i cholerne miliony czynią cię lepszą od innych...? Tata też dorzuciłby swoje trzy grosze).

Awans społeczny uchodził na naszej ulicy za grzech śmiertelny. Tata, który należał do związku zawodowego, był zdeklarowanym socjalistą. Z taką gromadą dzieciaków nie miał w sumie wielkiego wyboru. A może miał, tylko nie chciał postępować wbrew swoim zasadom. Nigdy go o to nie pytałam. Dzieci były wówczas nauczone trzymać buzie na kłódkę. Nie wiedzieć czemu tata traktował podejrzliwie co bardziej majątnych bądź tych, którzy wychylili się przed szereg. Takich jak ja i Ricky, na przykład.

Według mnie mamy po prostu tyle, żeby nie musieć martwić się o rachunki. Poza tym zawsze służymy pomocą bliskim, jeśli tego potrzebują. Owszem, nasze cztery piękne, zdrowe córki są może odrobinę rozpuszczone, ale co z tego? Za parę lat

pójdą na swoje i przynajmniej będą mogły powiedzieć, że miały szczęśliwe dzieciństwo. Mam też dobrego męża i wspaniały dom. No i? Bynajmniej nie widzę w tym powodu do wstydu, oboje ciężko na to pracowaliśmy. Gdybyśmy nawet jutro wszystko stracili, zaczęlibyśmy od nowa i dam głowę, że nie musielibyśmy długo czekać na rezultaty.

Dosyć o mnie. To opowieść Tess, takie przynajmniej było założenie. Nie wiem, co myśleć o wydarzeniach w Arkadii. Ciężko mi nawet rozmawiać z Tess, a jeśli nie dzwoni, bywa że nie telefonuję do niej przez kilka dni.

Przedstawię wam moją wersję wydarzeń. Nie umiem opowiadać tak gładko jak Maddy czy Tess, ale mam wszystko świeżo w pamięci. Z niektórymi rzeczami będę pewnie mieć większy problem niż z innymi.

Prawie wpół do jedenastej. Ciekawe, jak ona się czuje. Policja jest już chyba na miejscu. Cholerne Collioure!

Wiem, że to na pewno bez związku, ale spójrzcie, co się z nami porobiło. Ta chałupa musiała być przeklęta, ot co.

Grób w domu, też mi pomysł. Tess piała nad witrażami w kaplicy, ale co tam witraże, jeśli człowiek śpi w bezpośrednim sąsiedztwie mumii.

Trzeba było jechać do Marbelli, tak jak radziłam.

## *Rozdział 18*

---

Rozmowa, którą odbyłam z Tess po tym, jak odwiozłyśmy Griggsów na lotnisko, brzęczała mi w głowie przez cały następny dzień. Wyrwałam się jak Filip z konopi z Fergusem i tym jego rzekomym romansem. Niech każdy pilnuje własnych spraw. Po kiego czorta w ogóle otwierałam jadaczkę?

Tess mało nie padła trupem. Sama w życiu nie nabrałaby żadnych podejrzeń. Och wiem, że sprawia wrażenie obytej w świecie, ale w głębi duszy jest nadal zakonnica z prowincji. Zawsze uważamy, żeby się przy niej nie wyrażać. Nie mam pojęcia, jakim cudem uchowała się taka, w dodatku w naszych niewdzięcznych



czasach. Nie uwierzycie, ale jeszcze niedawno musiałam jej tłumaczyć, na czym polegają igraszki lesbijek.

Jej naiwność to dla mnie prawdziwa zagadka. Nic nie widziałam, nic nie słyszałam, oto motto naszej Tess, chociaż czasami myślę, że to tylko fasada. Jej spokój wydaje się niekiedy dość powierzchowny. No bo jak to możliwe? Weźmy na przykład tego małego cudaka. Za nic nie mogę go rozgryźć. Albo Pana i Władcę Wszechświata, jak nazywamy po cichu Jerry'ego. Słyszałam to przezwisko nawet z ust samej Tess. Ta jego asystentka, Susan Vitelli Moore, musi mieć z nim krzyż pański, trzeba to przyznać.

Nazwisko Vitelli nosi po ojcu, który po rozstaniu z jej matką wrócił do Włoch. Tak się składa, że trochę ją znam, a raczej znałam. Kiedy chodziła do liceum, razem z przyjaciółką pracowała w stajni centrum jeździeckiego, w którym bywały moje dziewczynki, zanim dostały własne konie. Irlandia to mały świątek, a Dublin jeszcze mniejszy. Wciąż widzisz znajome twarze, toteż gdy Tess wymieniła jej nazwisko, od razu wiedziałam, kto zacz. Susan to oczko w głowie matki, którą też kojarzę. Prowadzi sklepik w śródmieściu.

No tak. Wracając do Fergusa, skąd mi strzeliło do głowy, że zachciało mu się skoku w bok?

Nic prostszego. Objawy były oczywiste. I nader, hm, liczne. Ten gość był chodzącą ilustracją artykułów typu „Jak rozpoznać, czy twój mąż cię zdradza”. Nigdy nie szasta kasą, aż tu nagle jakiś rok temu zamienia old spice'a na Calvina Kleina. Ja to mam nosa.

Potem przeszczepia sobie garść kosmyków na łysinie, a to droga zabawa. I próbuje wmówić żonie, że to „dla kariery”.

Następnie zapisuje się na wypasioną siłownię. I to z tego samego powodu! Dla kariery? Akurat!

To jeszcze nie wszystko. Nasza Kitty, która ma dopiero siedemnaście lat, wraca któregoś dnia do domu tuż przed Gwiazdką i oznajmia, że widziała wujka Fergusa obściskującego się w kawiarni z jakąś laską. Oczywiście wmówiłam jej, że to nic takiego, pewnie jej się przywidziało i w ogóle. Po co niepotrzebnie denerwować bied-

ną Maddy? Ale Kitty ma swój rozum i jeśli coś ją zaniepokoi, zwykle nie dzieje się to bez powodu.

Zataiłam to przed Maddy również dlatego, żeby nie dręczyć tego jej niedożywionego dzieciaka. Straszny z niego dziwak, co bynajmniej nie znaczy, że nie zasługuje na odrobinę życzliwości. Dziewczynki nieraz robiły, co mogły, aby wciągnąć Colma do wspólnej zabawy, ale trudno go rozruszać. Zastanawiam się, czy Maddy w ogóle gotuje. Nigdy nie mówi o jedzeniu, nigdy też nie zaprasza do siebie żadnej z nas. A gdy wypada ich kolej, żeby zaprosić nas na kolację, zwykle jemy na mieście. A że jej mąż ma takie a nie inne zwyczaje, zawsze wybierają tani lokal. (Fergus nazywa to średnim standardem).

Poważnie się o nią martwię. Ma worki pod oczami - i nie mówię tu o zwykłych sińcach. Takie worki występują u tych, którzy nie wylewają za kołnierz. Wcale bym się też nie dziwiła, gdyby stwierdzono u niej anoreksję.

Tak czy owak, z chwilą gdy odprowadziłyśmy ich na lotnisko w Perpignan, zrobiło się jakoś dziwnie. Wiem, że zabrakło tylko trojga z naszej paczki, ale pozostałym wszystkiego się odechciało. Zwłaszcza w pierwszym tygodniu po ich wyjeździe miałam nieodparte wrażenie, że zbliżamy się do końca pewnego etapu. Miałam na końcu języka „ery”, ale Tess na pewno by się to nie spodobało. Ona nie lubi wyświechtanych frazesów.

Patrząc wstecz, dochodzę do wniosku, że nie tylko ja przeczuwałam kres naszych wspólnych wyjazdów. Czy to nie Maddy wspomniała o tym pierwsza? Z miejsca zrozumiałam w czym rzecz, bo sama też po cichu snułam plany wyjazdu tylko we trzy, bez mężów i dzieci. Może jakieś egzotyczne spa? To dopiero byłby luksus!

Czy to tylko moje wrażenie, czy kobiety rzeczywiście zwykły w obecności mężów usuwać się w cień? Nieraz zaobserwowałam podobne zjawisko. Siedzimy sobie i śmiejemy się w najlepsze, a tu wchodzi mąż (albo co gorsza dwaj razem) i wszystko się zmienia. Wszystkie jak na komendę zamieniamy się w troskliwe mamusie, dla których poglądy i uczucia najdroższych małżonków zawsze są na pierwszym miejscu.

Wracając do rzeczy, nie minął nawet jeden dzień, a wakacyjny nastrój szlag trafił.

Wieczorem po wyjeździe Griggsów zagraлиśmy w karty. Strasznie brakowało mi Maddy. W razie potrzeby potrafi być bardzo dzielna. Teraz sprawia wrażenie nieśmiałej, nie to co dawniej, nadal jednak ma w sobie żar. A gdybyście widzieli, jak blefuje! W końcu jest aktorką i pewnie ma to we krwi, ale pod jej nieobecność Jerry Brennan dosłownie zrównał nas z ziemią.

Następnego dnia dla poprawienia humoru pojechaliśmy z Tess za granicę hiszpańską do małego miasteczka o nazwie Pals. Leży nad morzem, ale nas najbardziej interesowały tamtejsze sklepy z ceramiką, które podobno nie mają sobie równych.

Początkowo Tess próbowała się wymigać: nie chciała zostawiać Tommy'ego po tym numerze, jaki wykreślił jej na plaży. Jerry poszedł zagrać w golfa i zabrał ze sobą Rickiego, a dziewczęta wybierały się z Jackiem na plażę. Chcąc nie chcąc zaproponowałam, że Tom pojedzie z nami. (Widzicie, do czego doszło? Byłam gotowa dobrowolnie spędzić pół dnia w towarzystwie tego cudaka. Koniec świata! Wprawdzie nigdy nie ma z nim żadnych kłopotów, ale wolałabym jechać tylko z Tess).

W kwestii pozostawienia własnych córek nie miałam żadnych oporów. W końcu znalazły sobie zajęcie, a jeśli nie chciały pójść na plażę, miały do dyspozycji piękny basen. Ci Francuzi mają smykałkę, nie? Przynajmniej do budownictwa, czego nie można powiedzieć o ich kuchni. Mają wprawdzie pyszny chleb i owoce, ale nigdy nie przepadałam za podrobami. Nigdzie nie uświadczysz pieczeni, a jeśli nawet, jej widok rzadko budzi moje zaufanie. Któż może wiedzieć, ile czasu to mięso przeleżało w chłodni? I ani słowa o żabach, ślimakach i tym podobnych! Nie wezmę tego do ust! Trzeba przyznać, że umieją dobrze przyrządzić kaczkę, pod warunkiem że każesz im ją dopiec. Kaczkę trzeba upiec starannie, w żadnym wypadku nie może być surowa.

Zawsze biorę na wakacje nasze mięso. Ricky pakuje je próżniowo, a następnie zamraża. Powinniście zobaczyć miny kucharzy, kiedy na miejscu pakujemy to wszystko do lodówki!

Zaraz, na czym to ja skończyłam? Aha, Pals.

Kiedy dotarliśmy na miejsce, było wprawdzie pochmurno, ale położona na szczycie wzgórza wioska okazała się przeurocza. Cywilizacja jak się patrzy, stare ka-

mienne domy, strome i kręte wążutkie uliczki, w oknach pełno skrzynek z kwiatami. I żadnych śmieci, no naprawdę, ani jednej paczki po papierosach czy reklamówki. Tylko wpuścić tu Irlandczyków. A te lodziarnie! Bary rybne i budki z hamburgerami, aż ślinka człowiekowi ciekła! Kościół też był bardzo ładny.

Tess jest muzykalna, kiedy więc wydało jej się, że słyszy organy, posadziłyśmy Toma z lodem w garści na schodkach (jeszcze nie zdziwaczał na tyle, żeby wzgardzić lodami) i Weszłyśmy do środka. Okazało się, że organista ćwiczy jakiś znany kawałek, toteż Tess była wniebowzięta. Nie znam się na muzyce, ale nawet ja słyszałam, że gość ma smykałkę.

Czasem mi głupio, że taka ze mnie ignorantka. Ale czy to moja wina, że te koncerty Tess są nudne jak flaki z olejem? Chodzimy razem, bo jej facet zawsze na wyjeździe i nie ma z kim wyjść. Maddy zawsze znajduje jakąś wymówkę, ale my wiemy, że po prostu nie ma pieniędzy na bilet, toteż zawsze wymyślamy w ostatniej chwili, że niby to dodatkowy bilet spadł nam z nieba, żeby się nie czuła jak uboga krewna. Ona czasami dostaje darmowe bilety do teatru i wtedy idziemy we trzy. Bywa, że trafiamy na jakiś ciekawy spektakl. Ja tam lubię się pośmiać i jeśli wystawia sztukę Bernarda Farrelli, Hugh Leonarda albo tego Anglika, Willy'ego Russella, przynajmniej wiem, o co chodzi: oni piszą o prawdziwych ludziach i prawdziwym życiu. Jasne, ich bohaterów czasem spotyka zły los, ale nie leżą z tego powodu do góry brzuchem, gapiąc się w sufit. Natomiast koncerty Tess nie robią na mnie żadnego wrażenia.

Kiedy wyszłyśmy z kościoła, słońce wyglądało zza chmur, a Tommy siedział tam, gdzie go zostawiłyśmy, i z zadowoleniem układał sobie kółko z kamyków.

- Grzeczny chłopiec. - Zmierziłam mu włosy, na co łagodnym, acz stanowczym ruchem przygładził je z powrotem.

- Idziemy na zakupy, Tom. - Tess pomogła mu wstać. - Ale to nie zajmie nam dużo czasu. Potem coś zjemy. Nie jest ci gorąco?

- Nie. - I bez oporów poczłapał za nami do raju ceramiki. A nie mówiłam? Cudak.

Wkrótce przestałam o nim myśleć, bez reszty pochłonięta tym, co zobaczyłam na półkach. Czego oni tam nie mieli! Nakupowałam stopy drobiazgów. Dosłownie.

Świeczniki, miseczki, talerze dekoracyjne oraz patynowaną fontannę ogrodową. Woda wypływa z pyska lwa i spada na spódnicę kucającej obok dziewczynki. Rzeźba ma kolor butelkowej zieleni i blisko metr siedemdziesiąt wysokości, czyli jest prawie mojego wzrostu. Zostawiłam ją w sklepie z prośbą o zapakowanie. Zabierzemy ją w drodze powrotnej. Do naszego ogrodu będzie w sam raz. Ricky Sleator zawsze marudzi, że po wakacjach musimy płacić za nadbagaż. A niech sobie marudzi.

Tess wyszła ze sklepu z pustymi rękami. To perfekcjonistka. Zawsze musi dokładnie przemyśleć każdy zakup, *toteż* w Arkadii nie ma ani jednego zbędnego przedmiotu. Bylibyście pod wrażeniem. W każdym razie ja jestem. Choć nie wiedzieć czemu zawsze się u niej czuję niezręcznie.

Po namyśle, pewnie chcąc sprawić mi przyjemność, powiedziała, że musi znaleźć wysoki wazon. We wszystkich sklepach było ich na pęczki, jednak zawsze coś jej nie pasowało. Albo były zbyt błyszczące, albo zbyt matowe, zbyt jaskrawe albo zbyt bure, a innym razem miała zastrzeżenia do wzorków.

Czułam, że tylko trwonię energię. Żeby podrażnić się z Tess, kupiłam złotego Budę, mierzącego ponad pół metra. Wiem, że nie znosi takich rzeczy.

- Chyba nie znajdziemy nic, co by ci odpowiadało - zauważyłam złośliwie.

- Och, znajdziemy. Na pewno mają tu gdzieś taki, jakiego szukam. Postawię go w korytarzu, tuż za drzwiami wejściowymi. Będzie super. Włożę do niego pęk trawy ozdobnej. - Popatrzyła na syna. - Chcesz coś, Tom?

- Żółtą żabę.

- A widziałeś gdzieś taką?

- Tak. Trzy sklepy temu.

- To dlaczego nic nie powiedziałeś? Teraz pójdziemy na lunch, a potem wrócimy po twoją żabę, zgoda?

- Tak.

Wkurzała mnie ta jego grzeczność. Moje dziewczyny zaraz podniosłyby larum, że chcą dostać żabę zaraz, natychmiast, a na dodatek nazwałyby mnie sknerą. Poczulałam, że strasznie mi tego brakuje.

Gdy wreszcie doszliśmy do małej restauracji położonej w najwyższym punkcie miasteczka, z przyjemnością zrzuciłam buty pod stołem. Miałyśmy szczęście, bo aku-

rat zwolnił się stolik pod oknem i od razu mogliśmy usiąść. Menu było typowo francuskie, więc przezornie wybrałam pizzę. Podejrzewam, że serwują to danie specjalnie dla turystów. Tommy wziął to samo, ale Tess oczywiście zamówiła sałatkę, z której od razu wybrała wszystkie oliwki. Zbyt tuczące. Ona bardzo dba o figurę.

Budzę się co rano z solennym postanowieniem poprawy, ale co tam, przecież życie jest takie krótkie, nie? Poza tym uwielbiam pizzę: ach, te chrupiące brzeżki! Dlatego postanowiłam raz jeszcze zagrać Tess na nosie (byłam zmęczona, spocona, bolały mnie nogi, a pasek uwierał w brzuch: trzeba było się na kimś odegrać!) i zamówiłam na deser lody. Tom układał na stole skomplikowany wzór z wykałaczek.

- Ty też masz ochotę na lody, Tommy?

- Tak, poproszę.

Siedziałyśmy, podziwiając widok. Za oknem rozciągała się zazieleniona dolina.

- Czy to winorośle?

- Drzewka oliwne. - Chłopiec nawet nie podniósł wzroku znad wykałaczek.

Przyniesiono pizzę; kelnerka ostrożnie postawiła talerze, żeby nie naruszyć wzoru.

- Dobrze się bawisz, Tom? - Tess sięgnęła po szparag. Puścił pytanie mimo uszu, zajęty wykrawaniem trójkąta z pizzy.

- Siedzimy przy oknie we francuskiej restauracji - odpowiedziałam za niego. - Patrzymy na winorośle... przepraszam, drzewka oliwne... nakupowałam więcej, niż mogę unieść, praży słońce, a na horyzoncie nie ma żadnego męża. Czegóż chcieć więcej?

- Sama nie wiem - odrzekła z wolna, zerkając z wahaniem na syna, który nie zwracał na nas najmniejszej uwagi. - Ale mam przeczucie, że coś wisi nad nami.

Tak to przynajmniej zapamiętałam. Mało kto mówi w ten sposób, ale Tess owszem. Dobiera słowa tak, jak nie robi tego żadne z nas, i człowiek czasem ma wrażenie, jakby słuchał audycji radiowej. Szkoła z internatem, a potem klasztor na długo odizolowały ją od normalnego życia.

- Jak to: wisi? - zapytałam.

- Sama nie wiem - powtórzyła. - Ot, przeczucie.

Tommy zjadł tylko jeden kawałek pizzy, po czym wstał i pomaszerował do ustawionego w kącie automatu do gry.

- Nic mu nie jest? - Obejrzałam się przez ramię. Żadna z moich córek nie mogła oddalać się bez pozwolenia.

- Zupełnie nic.

Widziałam, że Tess jest nie w sosie, więc dałam spokój.

- O co ci chodziło z tym przecuciem? Masz na myśli Maddy i Fergususa?

- Może. - Spojrzała na swój talerz. - Nie wiem, może i tak. Ciągle myślę o naszej rozmowie...

Urwała, a ja doznałam olśnienia! Jak w operze mydlanej, kiedy bohater nagle coś sobie uświadamia i kamera robi najazd na jego zmarszczone czoło.

- Chodzi o Jerry'ego? Chyba nie chcesz powiedzieć... Rzuciła mi oburzone spojrzenie.

- To już drugi raz! Oczywiście, że nie!

- Ależ ja nie... ja tylko próbowałam zgadnąć, co cię dręczy. Mniejsza z tym! - Jak sami się wkrótce przekonacie, w przeciwieństwie do Tess nie należę do osób, które w kółko analizują własne postępowanie. Ona czasem doprowadza mnie do szału, ale dam głowę, że ja ją też. Jest trochę skomplikowana, to chyba najlepsze określenie. I nigdy nie wiadomo, co sobie akurat myśli.

- Przez ten upał straciłam apetyt - oznajmiła, odsuwając talerz z sałatką. Byłam tak poirytowana, że w milczeniu pochłonięłam resztę pizzy, podczas gdy Tess w zamyśleniu wyglądała przez okno.

Gdy nadeszła pora deseru, w sumie nie miałam już ochoty na lody, mimo to postanowiłam je zjeść. Zawołałyśmy Tommy'ego.

- Jak to przepysznie wygląda. - Tess nabrała na czubek łyżeczki odrobinę deseru. - Mmm. - Ku mojemu zdumieniu uniosła rękę i zawołała kelnerkę. - Jeszcze jedną porcję poproszę. - I dodała na widok mojej miny: - No co, przecież jest gorąco, prawda?

Wtedy zjawił się Frederick Yarso.

Ale o tym za chwilę.

## Rozdział 19

---

Pamiętam dzień, kiedy Tess po raz pierwszy weszła do Seomra a Seacht, w białych rękawiczkach, z torebką w dłoni. Była wtedy nieśmiałą, zahukaną myszką: miało się ochotę skleszczyć ją w uścisku, a potem posadzić przy stole i porządnie nakarmić.

Maddy i ja od razu wzięłyśmy ją pod opiekuńcze skrzydła i oprowadziłyśmy po mieście, co mimo początkowej rezerwy przyjęła z wdzięcznością. Chodziła ze mną na potańcówki, bez biednej Maddy, która harowała jak wół w jakimś zatęchłym teatrze. Oczywiście wtedy nie była „biedną Maddy”, tryskała niespożytą energią, wszędzie pierwsza. Była niczym żywe srebro. Nasze pierwsze wspólne wakacje za granicą doszły do skutku dzięki jej inicjatywie: namówiła nas, żebyśmy przez rok odkładały na pocztę część naszej wypłaty. Pojechałyśmy na tydzień do Benidorm i ubawiłyśmy się po pachy. Trudno było wówczas dotrzymać jej kroku. Zgroza, co się z nią porobiło.

Wracając do potańcówek, uwielbiałam tańczyć. Byłam wybredna, choć nie wypadało odmówić chłopakowi, który raczył cię poprosić.

Odmawiałam, a jakże. I to każdemu, który mi się nie spodobał. Kiedyś wyleciałam z Ierne, bo nie chciałam tańczyć z łebkiem, od którego waliło jak z gorzelni. Wyobraźcie sobie, że naskarżył na mnie obsłudze! I skończyło się na tym, że zamiast pozbyć się opoja, wyrzucili mnie. I wlepili miesięczny zakaz wstępu na potańcówkę!

Tess nie lubiła wywijać. Owszem, zdarzało jej się czasem (pod koniec wieczoru rzadko się zdarzało, aby jakaś dziewczyna podpierała ścianę), ale do mnie było jej daleko. Już wtedy miała w sobie coś, co zniechęcało najodważniejszych.

Michael, jej pierwszy mąż, nie zwracał uwagi na podobne niuanse. Gdyby nie chodził z głową w chmurach, wątpię czy kiedykolwiek by się spiknęli.

Nigdy nie zapomnę dnia, kiedy po raz pierwszy nam o nim opowiedziała.

Podobno stał za nią w kolejce do autobusu, jak wracała z pracy. Coś spadło jej na ziemię, nie pamiętam co, Michael pomógł jej to podnieść. I tak się zaczęło.



Nie mogliśmy uwierzyć w zmianę, jaka w niej zaszła. Jest takie powiedzenie, że ktoś płynie kilka centymetrów nad ziemią: w przypadku Tess pasowało ono jak ulał, słowo daję. Nasza mała nowicjuszka przybiegła do pracy cała w skowronkach, zaróżowiona i uśmiechnięta. I trwała w tym stanie przez całe małżeństwo, aż do dnia śmierci Michaela. Co za tragedia. Co za straszna tragedia.

Trudno powiedzieć to samo o jej związku z Jerrym Brennanem. Jerry to zupełnie inny typ człowieka, poza tym wszyscy jesteśmy starsi. Ale ja nie mogłabym chyba żyć z kimś, kto bez przerwy myśli o pracy.

Możliwe, że oceniam go zbyt surowo: na swój sposób stara się przecież być dla niej dobry. Za to Tess jest bezgranicznie lojalna. Owszem, nieraz się z nią droczymy, przezywamy go Panem i Władcą Wszechświata i w ogóle, a ona łyka to bez mrugnięcia okiem, ale nigdy nie powie na niego złego słowa. Owo „napięcie”, o którym tyle mówi, wynika moim zdaniem głównie z tego, że Jerry nie jest ojcem jej synów. Naoglądałam się takich rzeczy w serialach. W trosce o wiarygodność sytuacji scenarzyści konsultują się z psychologami, więc można na nich polegać. W przypadku Jerry'ego i pasierbów nie trzeba psychologa: nawet ślepy by się połapał, w czym rzecz. Konflikt z Jackiem polega na tym, że chłopak jest typowym, znudzonym nastolatkiem, a Tommy to... po prostu Tommy.

Sytuacje typu „ty, ja, twoje dzieci i moje dzieci tworzymy jedną wielką, szczęśliwą rodzinę” nie mają nic wspólnego z prawdziwym życiem. W prawdziwym życiu, przynajmniej w Irlandii, relacje z pasierbami to istne pole minowe i każda taka sytuacja, z którą miałam do czynienia, potwierdzała moje przekonanie.

No więc jesteśmy w Pals, podziwiamy widoki, aż tu nagle do restauracji wchodzi ten Amerykanin.

Pozwólcie, że go opiszę. Jest opalony, jakby pracował pod gołym niebem lub od dawna przebywał na wakacjach, trzyma w ręku futerał od aparatu oraz plecak i rozgląda się, jakby chciał ustalić, gdzie się właściwie znalazł. Siedzimy we dwie przy oknie, Tommy stoi przy matce, która daje mu drobne na automat do gry. Pozostałe stoły, dużo mniejsze, są zajęte, więc to chyba normalne, że facet podchodzi właśnie do nas i pyta, czy może się przysiąść. Amerykanie tacy właśnie są, bezpośredni. To chyba najbardziej przyjacielscy ludzie na świecie.

I najbardziej hałaśliwi. To pewnie po prostu kwestia różnicy kulturowej, zauważyłam jednak, że nie mają oporów i zaraz na wstępie znajomości wypytują, skąd jesteś, z jakiej pochodzisz rodziny, czym się zajmujesz, a nawet ile zarabiasz i ile kosztował twój dom. Ten gość, Frederick Yarso, bynajmniej nie stanowił wyjątku od tej reguły.

Tommy znów idzie do automatu, a facet przysiadł się do naszego stolika. Następuje chwila prezentacji, podczas której Yarso oznajmia, że pomimo skandynawsko brzmiącego nazwiska ma (podobnie jak połowa Amerykanów) irlandzkie korzenie.

- Z jakiego hrabstwa jesteście, moje panie?

- Ja jestem z Mayo. - Tess oblewa się pąsem. (Nie mówię tego złośliwie. Pod maską chłodnej powściągliwości kryje się naprawdę nieśmiała osoba).

- No proszę. - Yarso nie kryje zdumienia. - Moja praprababka też pochodziła z Mayo. O ile dobrze pamiętam, nazywała się Sullivan.

- A z której części Mayo? - Tess jest w siódmym niebie. - Urodziłam się w Ballina, słyszałeś o tej miejscowości?

- Niestety nie. Chyba mieszkała gdzieś opodal Knock. Według słów mojej matki to brzmiało jak Ballylin, Ballyline, Bally-coś-tam?

Tess pokręciła głową.

- Mniejsza z tym. - Uśmiechnął się szeroko. - Mam zamiar odszukać to miejsce. Planuję wkrótce tam pojechać, może nawet w następne wakacje. Przy okazji przejrzę archiwa kościelne.

- Zwróć też uwagę na Ceide Fields. Na północy hrabstwa prowadzono wykopaliska i znaleziono szczątki osady sprzed pięciu tysięcy lat. Naprawdę jest na co popatrzeć. - Rozochociona Tess pochwyciła moje ostrzegawcze spojrzenie i zreflektowała się nieco. - Widzisz, mój mąż był archeologiem - dodała potulnie, jakby to wszystko wyjaśniało.

- Sprzed pięciu tysięcy lat! - Yarso jest rozanielony. - Starsze niż w Gizie. Ale komu ja to mówię? - Jego uśmiech wprost razi w oczy, a Tess znów się rumieni.

- A ty, Rito? - Snop megawatów pada na mnie. - Skąd jesteś?

- Z Dublina - ucinam krótko. Nie podoba mi się to wypytywanie. A było nam tak miło we dwie. Będę mówić o sobie, kiedy sama nabiorę na to ochoty. Jankesi i te ich cholerne obyczaje.

- No cóż, po przyjeździe do Irlandii na pewno najpierw rozejrzę się po Dublinie. - Ofensywa czaru osobistego nie słabnie, ale gość chyba już wie, że ze mnie nie pójdzie mu tak łatwo. I zwraca się z powrotem do Tess: - Mówisz, że twój mąż był archeologiem, Tesso? Wyobraź sobie, że to również moja dziedzina! Oczywiście żaden ze mnie ekspert...

Okazuje się (no proszę, proszę!), że wyklada archeologię na uniwersytecie w Chicago. Albo gdzieś w pobliżu Chicago, wyleciało mi z głowy. Jaki ten świat mały! Że też musiałyśmy się napatoczyć na archeologa, którego przodkowie pochodzili z Mayo. Oczywiście Tess jest wniebowzięta. Widzę, jak nieśmiałość opada z niej jak lukier z ciasta.

- Twój mąż już nie pracuje w zawodzie? - pyta Yarso.

- Nie żyje - odpowiada po prostu Tess. Potem opowiada mu o Jacku i Tomie, że Tom był taki mały i w ogóle, a przejęty Yarso słucha, jakby nic innego się nie liczyło. Następnie wyjmując z portfela zdjęcie swoich synów, pięcio- i siedmiolatka. Wygląda na to, że jest rozwiedziony.

Hm, czy Tess nie zapomniała aby wspomnieć o drugim mężu, który żyje i ma się dobrze? A jakże. Wobec tego ja też nie puszczam pary z ust. Potem ci dwoje zaczynają w najlepsze rozprawiać o archeologii. Gadają jak nakręceni. Tess aż promienieje, zresztą jej rozmówca tak samo. I sypie jak z rękawa nazwami różnych miejsc.

- Cóż, Fredericku - włączam się do rozmowy - skoro już wiesz wszystko o nas, może nam zdradzisz, skąd pochodzisz?

I znów zapomniałam, co powiedział, była to jakaś strasznie dziwna nazwa. Zapomniałam, bo znowu zaczęli traktować mnie jak powietrze. Bez słowa zajęłam się lodami, jak gdyby nigdy nic. Kosztowało mnie to niemało wysiłku.

Co jest grane, pytam? Sami się pewnie domyślacie, że nie należę do fanklubu Jerry'ego Brennana, ale Tess mogła chociaż o nim wspomnieć. Jeden, jedyny raz. Tym bardziej że Yarso wydaje się nią coraz bardziej oczarowany.

I wcale mu się nie dziwię. Jest na co popatrzeć, nawet na wakacjach Tess prezentuje się nienagannie. Dziś ma na sobie elegancką spódnicę khaki i bluzkę żywcem wyjętą z „Pożegnania z Afryką”. Złapała trochę słońca, choć ozłocona skóra to pewnie raczej zasługa bronzera. Każdy włoszek tkwi na swoim miejscu. Światło pada na nią od tyłu, toteż siedzi jak w złocistej aureoli, a na jej twarzy nie widać ani jednej zmarszczki.

Yarso też wygląda niczego sobie, jak skrzyżowanie Nicka Noite z Jeremym Ironsem: ogorzała twarz i płowe włosy należą do tego pierwszego, lecz chuda sylwetka to wypisz wymaluj Jeremy. Widzę, że Tess spogląda na niego z zastanowieniem, jak zwykły czynić kobiety, które się, hm, głęboko nad czymś zastanawiają.

Ja patrzę na niego nieco bardziej krytycznie. Ma nieco ponad czterdzieści lat, a jego atrakcyjność jest ciut zbyt powierzchowna jak na mój gust. Lubię, gdy facet przypomina cebulę: po zdarciu kilku pierwszych warstw docieramy do soczystego sedna sprawy. Wystarczy spojrzeć na Ricky'ego Sleatora, żeby się domyślić, że typ macho kompletnie mnie nie interesuje. Danny de Vito rządzi!

Wraca Tommy.

- Mogę iść po żółtą żabę?

- Jasne. Ile kosztuje? Możesz iść sam, pamiętasz, gdzie była? A właśnie, to jest Tom - dodaje Tess, zwracając się do nowego znajomego. - Mój syn.

- Cześć, Tom! - Gość wyciąga rękę, ale Tommy tylko omiata go spojrzeniem.

- Chcę dużą, mamó - mówi. - Kosztuje sto dwadzieścia sześć euro.

- Tom! - Tess zerka z zakłopotaniem na Amerykanina, po czym grzebie w torebce i wyjmuje pieniądze. - Tylko przynieś resztę.

- Przyniosę. - Chłopiec bierze banknoty.

- Wybacz - mówi Tess, kiedy Tom wychodzi z restauracji. - Przydałoby mu się nieco ogłady.

- Nie ma o czym mówić, Tesso! - Nawet się nie zmieszał. - Gdybyś miała do czynienia z bandą urwipółców, których muszę znosić na wykładach... Studenci, dobre sobie!

Słucham dalej i nie wierzę własnym uszom.

- Są gdzieś w pobliżu kwatery za w miarę rozsądną cenę, moje panie? - pyta Yarso, łaskawie zaszczycając uwagą mnie. No to odpowiadam, że trudno nam cokolwiek polecić, bo same jesteśmy tu na wakacjach. - Właśnie przyjechałem z Barcelony - wyjaśnia - i mam ochotę rozejrzeć się po okolicy. Wiesz co, Tesso - patrzy na nią z uśmiechem - wzdłuż wybrzeża, aż do Perpignan, jest mnóstwo miejsc związanych z Hannibalem. - Wymawia jej imię jak nie przymierzając Marcello Mastroianni. Nie wiem, czy robi to celowo, czy po prostu nie dosłyszał przy powitaniu. Czekam, aż Tess go poprawi, ale gdzie tam.

- Perpignan? - powtarza jak echo i (przysięgam na Boga) oblewa się pąsem. - Mieszkamy pół godziny drogi na południe od Perpignan, w uroczej wiosce o nazwie Collioure. I tak się składa - dorzuca, łypiąc w moją stronę - że zostały nam dwa wolne pokoje. Dom jest naprawdę piękny. Byłoby nam miło, gdybyś zajrzał do nas po drodze. To znaczy, jeśli nie przeszkadza ci tłum młodzieży. Rita ma czwórkę i są jeszcze dwaj moi.

Tamten szczyrzy się do nas tymi swoimi amerykańskimi zębami.

- Co za szczęśliwy zbieg okoliczności. Na pewno nie miałybyście nic przeciwko temu? Oczywiście zapłacę.

- Wykluczone. - Tess nawet nie chce o tym słyszeć.

- No dobrze, wobec tego zrewanżuję się w inny sposób. - Wskazuje na futerał z aparatem. - Robię wyśmienite zdjęcia! Przyślę wam odbitki. Słowo!

- Rita, nie będziecie mieć nic przeciwko temu, prawda? - szczebiocze dalej Tess. - W końcu zapłaciliśmy za wszystkie pokoje.

Jestem tak oszołomiona rozwojem sytuacji, że nerki lądują mi w okolicach kostek. Facet nie jest w ciemną bity i widzi, w czym rzecz.

- Zgadzasz się, Rito? - pyta.

- Jasne, jasne - odpowiadam. No bo co mam powiedzieć? Przecież już go zaprosiła. - W kupie weselej.

- Super - kwituje Yarso. - Oczywiście tylko na kilka dni, nie chcę wam się narzucać. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, od razu się z wami zabiorę. Macie samochód?

Muszę przyznać, że zachował się jak należy: zaniósł do voyagera wszystkie moje bambetle, a nawet przytargał ze sklepu fontannę, którą ostrożnie umieścił pośrodku tylnego siedzenia obok wielkiej, musztardowej żaby Tommy'ego.

- Spokojna głowa, Rito, razem z Kermitem będziemy jej pilnować, prawda, Tom?

Tommy odpowiedział mu tylko zaciekawionym spojrzeniem, ale Yarso nawet nie mrugnął okiem, chociaż Tess nie zdążyła udzielić mu wykładu na temat swego młodszego syna. Wyraźnie zaakceptował chłopca takim, jaki jest, i choć w czasie jazdy kilkakrotnie usiłował nawiązać rozmowę, nie robił tego na siłę. Zabawiał nas kawałami o Grekach i Rzymianach, które moim zdaniem wcale nie były śmieszne, ale Tess chichotała jak pensjonarka.

Jego wiedza o regionie istotnie robiła wrażenie. Na przykład gdy mijaliśmy położoną wysoko w górach granicę między Hiszpanią a Francją, opowiedział nam o toczących się przez wieki wojnach przygranicznych i wskazał liczne forty oraz punkty obserwacyjne. Nie wspominając o pustelniach i zrujnowanych klasztorach, przez które o mało nie wypadliśmy z szosy, próbując je wypatrzeć. Muszę przyznać, że ciekawie opowiadał o Hannibalu i słoniach. Nawet ja słyszałam o Hannibalu i jego słoniach.

Hannibal przebył ze swoją armią szmat drogi z południowo-wschodniej Hiszpanii.

- Tuż za tymi górami leżała starożytna Kartagina, Tesso - perorował. - „Col de Perthus”. To oczywiście nie Alpy, ale przy takiej sile bojowej to było naprawdę coś. Poza tym Hannibal był świetnym negocjatorem, takim George'em Mitchellem swojej epoki. - Następnie zdał nam szczegółową relację z walk i „negocjacji”, które Hannibal odbył z wrogimi plemionami w drodze na południe Francji, tuż przed słynnym przejściem przez Alpy do Włoch. - Wszystkie miasteczka i wioski położone wzdłuż wybrzeża są z nim w jakiś sposób związane. Od dawna chciałem rzucić na nie okiem. Bardzo wam dziękuję.

- Ja też zawsze chciałam je zobaczyć - oznajmiła Tess,

I nie zwracając uwagi na moje znaczące spojrzenie, dodała: - Michael, mój mąż bardziej interesował się prehistorycznymi osadami w Afryce, chociaż ja wołałam, żeby

prowadził badania gdzieś bliżej domu. Trudno jeździć do Afryki, mając dwójkę małych dzieci.

- Doskonale cię rozumiem, Tesso - odparł tamten i poczęstował nas kolejnym dowcipem o stoczni delfickiej albo czymś w tym rodzaju.

Wyłączyłam uwagę. Zjeżdżaliśmy właśnie z autostrady i musiałam się skupić na rondach, choć gdy Tess wspomniała o ulubionych miejscach Michaela, miałam ochotę spytać bez ogródek o ulubione zakątki jej drugiego męża.

Kiedy zaparkowaliśmy pod willą, Jerry i Ricky wypakowywali z drugiego samochodu kije golfowe. Bacznie obserwowałam Tess, ale nie dała nic po sobie poznać.

- Świetnie! - zawołała. - Ale mamy szczęście, właśnie wrócili.

Zerknęłam we wsteczne lusterko, lecz twarz naszego nowego znajomego nie wyrażała nic prócz naturalnego zaciekawienia. Uspokój się, Rito, zganiłam się w duchu. Zdecydowanie bywam zbyt ciekawska, pora wziąć się w karby.

Przy basenie nie było śladu dzieci, ale wysiadając z samochodu, usłyszeliśmy znajomy łoskot muzyki, a więc musiały być gdzieś w pobliżu.

Tess pospieszyła do Ricky'ego i Jerry'ego.

- Mamy gościa. - Uśmiechnęła się do Amerykanina, który deptał jej po piętach.  
- Poznajcie Fredericka Yarso. Jest archeologiem. Poznaliśmy się w restauracji, szukał kwatery. Zaproponowałam, że może się u nas zatrzymać, przecież mamy wolne pokoje. Zgadza się?

Mężowie najpierw wybałuszyli oczy, po czym Jerry zrobił tę swoją minę prezesa i wyciągnął rękę.

- Jak się masz, Fredericku? Naturalnie. Jesteś tutaj mile widziany. Na jak długo przyjechałeś?

Yarso uśmiechnął się swobodnie i odrzekł, że właściwie to nie wie.

- Zobaczymy, ile ze mną wytrzymacie. Kilka dni, może tydzień, kto wie? Na szczęście na uczelni zaczynam dopiero od września. Nie mam sprecyzowanych planów. Postaram się, żebyście mieli ze mnie pożytek, daję słowo.

Widziałam, że Jerry i Ricky popatrują po sobie, nastąpiła chwila niezręcznej ciszy. Wreszcie Jerry poprawił torbę na ramionach.

- Zobaczymy, jak to będzie. Czuj się jak u siebie w domu, Fredericku. Jak na ciebie mówią, Freddie czy Fred?

- Może być i tak, i tak. - Yarso uśmiechał się promiennie jak gdyby nigdy nic.

- Ja jestem Jerry, a to jest Ricky Sleator. Żony już poznałeś. Do zobaczenia przy kolacji. - Jego ton świadczył wyraźnie, że myśli już o czymś innym, zgoła ważniejszym niż amerykański turysta z plecakiem. Zwrócił się do Tess:

- Idę się zdrzemnąć, a potem wezmę prysznic, kochanie.

- I pomaszerował do domu, pozostawiając nam sprawę zakwaterowania gościa.

Stary poczciwy Ricky Sleator z miejsca przejął inicjatywę.

- Siemanko, Fred. - Wyciągnął rękę. - To wielka buda, miejsca ci u nas dostatek. Nie będziesz nawet musiał nas oglądać, jeśli taka twoja wola. Skąd dokładnie jesteś?

- Podniósł plecak i ruszył w stronę domu.

Yarso podążył za nim; usłyszałyśmy jak mówi, że pochodzi z Wisconsin.

- Dokładnie z Oshkosh, ale wyprowadziłem się tak dawno temu, że teraz uważam się za mieszczucha.

Kiedy znaleźli się poza zasięgiem słuchu, popatrzyłam na Tess.

- Co ty właściwie wyprawiasz?

- O co ci chodzi? - Zrobiła zdziwioną minę, ale dobrze wiedziałam, że udaje.

- Doskonale wiesz, o co mi chodzi. Niewiele brakuje, a padniesz mu do stóp.

Nie znamy tego gościa, Tess, może być gwałcicielem albo seryjnym mordercą, a ty go do nas zapraszasz. Co z dziećmi?

Od razu się nastroszyła.

- Ręczę za jego prawdomówność. Chyba potrafię odróżnić mordercę od archeologa, poza tym przecież pytałam cię o zdanie.

Ugryzłam się w język. Ładne mi „pytanie o zdanie” po fakcie. Nie było jednak sensu się kłócić.

- Jestem pewna, że wszystko się ułoży - powiedziałam, wracając do samochodu po paczki. - Jeśli nie, jeśli zwieje z naszą biżuterią, proszę, nie miej mi tego za złe!

- Przepraszam, Rita. - Pobieгла za mną. - Może rzeczywiście trochę przesadziłam, ale tak miło dla odmiany porozmawiać na interesujące tematy.



- Wielkie dzięki! - Wkurzyłam się nie na żarty i wypuściłam z rąk fontannę, której jedna połowa zawisała niebezpiecznie nad ziemią, podczas gdy druga wciąż znajdowała się na tylnym siedzeniu. Widok twarzy Tess ostudził moje zapędy. - Na miłość boską, wszystko będzie dobrze. Tak czy siak lepszy ten Yarso niż Fergus Griggs, to pewne jak w banku.

- Dzięki. - Dotknęła mojego ramienia. - Można na ciebie liczyć.

- Wiesz co? Tylko mnie nie bij, ale odnoszę wrażenie, że ten facet przypomina ci Michaela.

- I co z tego?

Cóż, to spostrzeżenie nie wymagało głębszej analizy psychologicznej, lecz widok rumieńca wypełzającego na jej dekolt dał mi do zrozumienia, że przeholowałam. No tak, co się stało, to się nie odstanie.

- Nic. - Uśmiechnęłam się z przymusem. - Tak mi tylko przyszło do głowy. Miej się na baczności.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale ja ponownie zajęłam się fontanną. I zanim umieściłam ją bezpiecznie na ziemi, temat był już zamknięty i Tess bez słowa pomogła mi zanieść wszystko do domu.

## Rozdział 20

---

Kiedy wtaszczyłyśmy pakunki do pokoju, Ricky właśnie się kąpał. Na widok ułożonego pod ścianą stosu paczek złapałam się za głowę.

- On mnie zabije.

- Nie zabije. - Tess podeszła bliżej i mnie objęła. (Oho, kolejny niepokojący znak. Zwykle stroni od czułości). - On cię uwielbia. Wszyscy wiemy, że to tylko taka gra. Do zobaczenia przy kolacji. - I poszła.

Ricky Sleator wyszedł spod prysznicza zaróżowiony jak prosiaczek, z ręcznikiem wokół bioder i włosami sterczącymi jak u Wurzela Gummidge'a. Zobaczył stertę ceramiki i stanął jak wryty.

- Jezu, Reet! - Wziął się pod boki i ręcznik spadł na podłogę. - Powiesz łaskawie, ile mnie to kosztowało?

- Kiedy są takie piękne! Pojęcia nie masz, ile za nie dałam! - Zrzuciłam sandały, a następnie zdarłam z siebie bluzkę oraz stanik i przystąpiłam do mozolnego ściągania spódnicy. Wreszcie w samych tylko majtkach posuwicie ruszyłam w jego stronę. Uwielbia, kiedy to robię. Im bardziej się wygłupiam, tym bardziej jest wniebowzięty. Cóż, z taką figurą nie zrobiłabym kariery jako striptizerka, ale Ricky twierdzi, że mój entuzjazm rekompensuje braki warsztatu.

Tess miała rację, lubimy takie gierki: to była jedna z nich. Ricky niby to się wścieka, że za dużo wydałam. A ja udaję, że uprawiam z nim seks za to, co sobie kupiłam. Jednym słowem i wilk jest syty, i owca cała.

Potem rozsiedliśmy się na poduszkach, otworzyliśmy dwie butelki piwa i zaczęliśmy gadać. Wiekowe, mosiężne łóże było ogromne; bez trudu pomieściłoby cztery osoby. (A tam, gdzie dorastałam, nawet osiem!) W ogóle nasz pokój był prześliczny. Podobnie jak w saloniku na dole, pełno tu było ładnych drobiazgów, luster i pokrowców na krzesłach oraz koronkowych zdobień na pozostałych meblach. Trzy okna od sufitu do podłogi, z drewnianymi okiennicami i spłowiąły dywan, cudownie miękki pod stopami, pewnie z jedwabiu. Pełnia szczęścia. Nie musiałam

nawet zaglądać do dzieciaków, gdyż w tle nie ustawało rytmiczne łupanie wzmacniacza. Oto zasadniczy plus tych wakacji. Wiemy, że nic im nie grozi.

- Ty, o co chodzi z tym Fredem? - zapytał Ricky.

- A skąd mam niby wiedzieć? - odpowiedziałam. - To Tess go zaprosiła. Ja nie miałam z tym nic wspólnego, słowo honoru!

Z namysłem pociągnął łyk z butelki.

- Hm, ciekawe - mruknął. - Nie chcę, żebyś mnie źle zrozumiała, lubię Teresę, i w ogóle, ale czasami jest tak spięta, że chciałoby się nią potrząsnąć...

- Nie mów takich rzeczy. - Ale wiedziałam, że ma rację. Była spięta, zwłaszcza ostatnio.

- To do niej niepodobne, robić coś pod wpływem chwili, prawda, Reet? - ciągnął Ricky, nie zwracając najmniejszej uwagi na moje słowa.

Znów musiałam przyznać mu rację, chociaż nie zdradziłam swoich podejrzeń w kwestii domniemanego podobieństwa do Michaela. To nie moja sprawa. O Fergusie też nie pisnę ani słówka. Skierowałam rozmowę na Amerykanina i wyznałam Ricky'emu, że coś mi tu śmierdzi.

- A co dokładnie?

- Nie wiem. Mam przeczucie. Mój mąż cmoknął pod nosem.

- Taa, jasne. A może dasz chłopakowi szansę? Co Teresa o nim myśli?

- Znasz ją. To nie Mary Poppins, ale co ona tam wie o życiu. Spytaj Maddy.

- Moim zdaniem obie jej nie doceniacie. Do diabła z intuicją, może niepotrzebnie dorabiasz sobie teorię?

Przez kilka minut drążyliśmy temat, jednak nie doszliśmy do żadnych zadowalających wniosków. Wreszcie nadeszła pora, aby przyszykować się do kolacji.

Kiedy wyszliśmy przed dom, Tommy swoim zwyczajem pływał jak opętany tam i z powrotem, a Yarso dyskutował w najlepsze z Carol i Alice, które siedziały na krawędzi basenu. Nachylony pstrykał im zdjęcia, co przyjmowały z wyraźnym z zachwytem, wystrojone i wypacykowane do granic wytrzymałości. Carol włożyła granatową minisukienkę w białe groszki, na głowie miała opaskę w identyczny deseń, a w uszach wiszące kolczyki w kształcie ostrokrzewu. Alice, która jako jedyna z dziewcząt ma naturalne jasne włosy, była ubrana w jaskraworóżowe biodróvky oraz

kusy top w odcieniu kanarkowej zieleni. Jej kolczyki przypominały wielkie żółte stokrotki. Biedna mała Patricia, która na tle sióstr wyglądała jak przedszkolak, siedziała z ponurą miną w pewnej odległości od pozostałych i grała w jakąś grę.

- Wyśmienicie, moje panie. - Yarso wyprostował się na nasz widok. - Na razie wystarczy.

- Kiedy będziemy mogli je zobaczyć? - wdzięczyła się Alice.

- Postaram się jak najszybciej je wywołać. - Poczęstował je swoim szerokim, jankeskim uśmiechem. - Bez obaw, niebawem zrobimy kolejną sesję! - On też zdążył się przebrać: miał na sobie zgniłozielone spodnie i świeżo wyprasowany biały podkoszulek. Wyglądał tak młodo i atrakcyjnie, że prezentowaliśmy się przy nim jak para emerytów. Poczułam się jak zgrzybiała staruszka. Tak, to dobre określenie. „Zgrzybiała”. Tess na pewno użyłaby tego słowa. Często zapożyczamy od siebie różne powiedzonka, to naturalne. Tak czy owak, sukienka piła mnie w bok, chociaż dam głowę, że przed wyjazdem pasowała jak należy. Przecież to niemożliwe, aby tak szybko przybrać na wadze, ale nie było innego wytłumaczenia. Czasem odnoszę wrażenie, że tyję od samego widoku jedzenia.

- Chcesz piwo, Fred? - Ricky i ja usiedliśmy z butelkami w garści.

- Nie, dziękuję. Może później. - Znowu przykucnął przy basenie, tym razem pochłonięty obserwacją Tommy'ego. Nie sprawiło mu to najmniejszych trudności, ja od razu straciłabym równowagę albo dostała skurczy.

Tess, nienaganna w kremowym kostiumie ze spodniami, poprosiła o gin z tonikiem, z miazdzącą przewagą tego ostatniego, zresztą w wersji light. Tymczasem porcja whisky w szklance Jerry'ego bez trudu powaliłaby nawet słonia. Ciekawe. Jerry raczej stronił od alkoholu. Najpierw Maddy, a teraz on. A może miałam jakieś zwidy? (A propos, czy wiecie, że słonie to jedyne zwierzęta lądowe, które nie potrafią skakać? Jeden z moich braci przesłał mi tę frapującą informację w mejlu ze Stanów).

Ani śladu Kitty i Jacka. Hm, pomyślałam.

- Jack nie przyjdzie? - zapytałam Tess.

- Zabarykadował się w łazience. Zapach wody po goleniu zwałiłby cię z nóg.

- Kitty też nie widać. Kiedy zajrzałam do jej pokoju, na łóżku leżało co najmniej siedem zestawów ubrań. Czy myślisz o tym, co ja?

- Dajcie spokój, dziewczyny! - Ricky przełknął kolejny haust piwa. - Od razu wyprawiałybyście im weselicho!

Usiedliśmy. Nastąpiła pora, gdy słońce skryło się już za horyzontem, ale wciąż jest jasno i wszystko przybiera odcień błękitu.

Gdyby rzeczywiście coś łączyło Kitty i Jacka, wcale bym się nie zmartwiła. To fajny chłopak, spokojny i w ogóle. Ale są w otoczeniu dorosłych. Poza tym jeśli nawet coś między nimi zaiskrzyło, pewnie i tak długo to nie potrwa. Czeka ich wiele miłości, zanim zwiążą się z kimś na stałe.

Byle tylko nie zaszła w ciążę. Zabiję ją, jeśli to zrobi. Jasne, jasne, grunt to nowoczesność i tolerancja, ale ja wychodzę z założenia, że spuścić dziecko z oka to odebrać mu szansę na beztrudne dzieciństwo. Oczywiście, że udzieliłabym jej wsparcia, ale najpierw bym ją zabiła.

Nie brałam nawet pod uwagę, że mogę przed ślubem iść z Rickym na całość. I bynajmniej nie miało to nic wspólnego z moralnością, matczynymi wykładami albo kościołem, nic z tych rzeczy. Nie chodzi też o to, że nie próbował albo że ja nie miałam ochoty. Uznałam jednak, że do oficjalnego „tak” lepiej będzie trzymać go na dystans. Pewnie myślicie sobie, że byłam wyrachowana, ale jak widać wyszło nam to na dobre, prawda? Poza tym i tak uwinęliśmy się w trymiga. Pobraliśmy się po niespełna pół roku znajomości.

Pamiętam wieczór, kiedy go poznałam. Kadeci przygrywali w najlepsze, a w całej sali unosiła się dusząca woń dezodorantu, który można było wówczas kupić po promocyjnej cenie w drogerii O'Connell Street. Wkurzyłam się, że wszyscy jak jeden mąż kupili to samo co ja.

Ricky od razu przykuł moją uwagę. Bawił się w grupie przyjaciół, którzy zarykiwali się z własnych dowcipów. Trzymał się trochę na uboczu, z uśmiechem przysłuchiwał się kolegom, ale nie robił z siebie głupka jak inni.

Gdyby nie to, pewnie bym go nie zauważyła, gdyż fizycznie niczym się nie wyróżniał. Był raczej niski, lecz emanował swoistą... nie wiem, jak to nazwać... solidnością, która od razu wzbudziła moje zainteresowanie, podobnie zresztą jak jego ubiór. Nie miał na sobie garnituru jak byle chłystek chcący zaimponować

dziewczynie, tylko brązową sportową marynarkę, białą koszulę i krawat w białe paski. Widać było, że ma szacunek do swojej osoby.

Chcąc lepiej mu się przyjrzeć, pierwszy taniec spędziłam, stojąc z Tess. Zagrała muzyka, a mój wybranek od razu ruszył na parkiet z jakąś okularnicą. Liczba punktów na jego konczie rosła w błyskawicznym tempie: fakt, że poprosił do tańca dziewczynę w okularach, uznałam za dobry znak. Poza tym nieźle tańczył.

Kiedy odprowadził dziewczynę do koleżanek, postanowiłam działać. Zostawiłam Tess, która swoim zwyczajem miała zamiar dalej podierać ścianę, i pomaszero wałam prosto do delikwenta.

- Wiem, że to nie białe tango - oznajmiłam śmiało. - A chcę, żebyś poprosił mnie do tańca.

Jego kumple dosłownie zbierali szczęki z podłogi, ale on nie. Ktoś inny trząsłby portkami, że go wyśmieją, lecz mój Ricky, jak na prawdziwego dżentelmena przystało, zaoferował mi ramię i wyszliśmy na parkiet.

Podczas pierwszego tańca cierpliwie i bez protestów odpowiadał na moje pytania, toteż niebawem ustaliłam, czym się zajmuje i jakie ma plany na przyszłość. Gdzieś kiedyś przeczytałam w jakiejś książce, że ktoś był „człowiekiem z prawdziwego zdarzenia”. I chociaż większość dziewcząt pewnie nie zwróciłaby na niego uwagi, ja rychło się przekonałam, że pod przeciętną aparycją Ricky'ego Sleatora kryje się właśnie ktoś taki. Podczas tamtego wieczoru gadaliśmy jak najęci, a kilka razy nawet wyszliśmy na zewnątrz na Parnell Square, aby się lepiej słyszeć. Biedna Tess, zupełnie o niej zapomniałam.

Potem przeprosiłam ją za swoje zachowanie, ale nie miała mi niczego za złe. Sama była podekscytowana, bo widziała, że dobraliśmy się z Rickim jak w korcu maku.

Minęło wiele lat, a my byliśmy w południowej Francji, wciąż razem, patrząc na trzy spośród naszych czterech pięknych córek. Nachyliłam się i cmoknęłam go w policzek.

- Za co? - spytał zdziwiony.

- Za nic - odpowiedziałam. - Po prostu miałam ochotę. - Tess i Jerry nie zwrócili na nas uwagi, choć wydawało mi się, że dostrzegam na twarzy tego ostatniego mimowolny grymas.

Siedzieliśmy bez słowa. Na patio panowała cisza, słychać było tylko plusk dobiegający z basenu, gdzie Tommy niezmordowanie pokonywał kolejne długości.

Amerikanin ponownie zerwał się z miejsca i zaczął uwieczniać a to nas, a to pejzaż, dom i basen. Jego aparat robił wrażenie; Yarso co rusz wymieniał obiektyw. Tylko Tess protestowała, moim zdaniem nieco kokieteryjnie, chociaż chyba nikt prócz mnie nie dostrzegł w niej żadnej zmiany.

Naraz przysiadł obok nas ten niesamowity ptak. W życiu nie widziałam nic podobnego: był wielkości sporej kaczki, ale drobniejszy, brązowy w czarne paski, z pierzastym pióropuszem na głowie.

- To dudek - szepnęła do mnie Tess. - Widziałam go na obrazku w jednej z książek w naszym pokoju. - Ptak łypnął na nas okiem, my na niego, i tyle go widzieliśmy.

Wiem, że to zabrzmiało idiotycznie. Ale nie daje mi to spokoju. Odniosłam wówczas wrażenie, jakby tamtych parę sekund wyznaczyło kres pewnego etapu, a zarazem początek następnego. Nadal tak myślę. Kiedy patrzyliśmy na ptaka, a on na nas, poczułam coś na kształt małego błysku, jakby świat postanowił utrwalić tę scenę na pamiątkę, gdyż odtąd nic nie miało być takie jak przedtem. (Mówiłam, że to zabrzmiało idiotycznie). Zerknęłam na Tess, chcąc sprawdzić, czy poczuła to samo, ale ona właśnie podnosiła się z krzesła, bo Tom wylazł z basenu.

Kiedy szła owinać go ręcznikiem, słyszeliśmy w ciszy stukot jej pantofli na kafelkach, a następnie słowa Amerykanina, który próbował zawrzeć z chłopcem pewną umowę: nauczy go pływać motylkiem w zamian za lekcję poruszania nogami w kraulu.

- Nigdy nie umiałem robić tego jak należy, Tom - dodał z tym swoim miękkim amerykańskim akcentem. - Nauczysz mnie?

Ku mojemu wielkiemu zdumieniu chłopiec, który w odpowiedzi na pytania dorosłych z reguły albo milczał, albo wygłaszał kategoryczne „nie”, tym razem się zgodził.

Tess zerknęła na faceta i chociaż nie widziałam jej twarzy, bez trudu odgadłam, co wyrażała. Owinęła syna ręcznikiem i wróciła na swoje miejsce.

- Słyszałaś? - zapytała, patrząc na mnie roziskrzonym wzrokiem.

- Słyszałam. - Zerknęłam przelotnie na Jerry'ego, który spoglądał w głąb swej szklanki. Odkąd wyszli do ogrodu, nie odezwał się ani słowem. - Dobrze wam się grało w golfa? - spytałam głośno.

- Co? Ach! Przepraszam. Tak, w golfa. Fantastycznie. Mają tu świetne pole. - Nie ulegało wątpliwości, że myślni błędził daleko. Miałam ochotę mu przyłożyć, żeby się otrząsnął i spojrzął na żonę. Ale tylko wstałam i poszłam sprawdzić, co z obiadem.

W drodze do kuchni złażałam się w duchu. Tess jest dorosła, Jerry tak samo, a Yarso, na którego temat nie miałam jeszcze ustalonej opinii, też nie ma mleka pod nosem. Muszę raz na zawsze się nauczyć, żeby nie wtykać nosa w cudze sprawy.

Postanowienie postanowieniem, ale natura ciągnie wilka do lasu, toteż przez resztę urlopu miałam oczy i uszy otwarte, chociaż sama nie wiem, z jakiego powodu. Może dlatego, że nasz nowy przyjaciel od początku do końca był gościem idealnym. Na przykład dotrzymał warunków umowy zawartej z Tommym i godzinami przesiadywali w basenie.

Frederick Yarso dbał o czystość w swoim pokoju, chociaż wcale nie musiał tego robić: od tego mieliśmy pokojówki. Grał w karty, z mizernym skutkiem, prosił, aby Jerry i Ricky nauczyli go grać w golfa, i był pierwszy do zabawy na plaży. Przez kilka wieczorów opiekował się Tomem i Patricią, żebyśmy my, dorośli, mogli wyjść z domu, nie spychając tego obowiązku na młodzież. Był elastyczny i otwarty na wszelkie propozycje, o ile właśnie nie zwiedzał z Tess jednego z „ciekawych zakątków”. Krótko mówiąc, stał się duszą i ciałem całego niemrawego towarzystwa. Chodzący ideał. I chyba to mnie w nim zaniepokoiło. Za bardzo przywykłam do irlandzkich mężczyzn!

Mieliśmy na jego temat niewiele informacji. I choć dokładaliśmy starań (przynajmniej Ricky i ja), żeby coś z niego wyciągnąć, uzyskaliśmy jedynie strzępy danych. Prawie nie utrzymywał kontaktu z byłą żoną, a z dziećmi spędzał tylko Wielkanoc, Święto Dziękczynienia oraz dwa dni ferii świątecznych. Nie sprawiał



wrażenia szczególnie zmartwionego tym faktem, chociaż usiłowałam drażyć temat. (Moim zdaniem każdy ojciec okazałby na jego miejscu jakieś emocje, lecz on poinformował nas o tym równie rzeczowo, jak wówczas gdy zdradził, że jest jedynakiem, a jego rodzice nie żyją). Chciałam zadać kolejne pytanie, ale Tess rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. Oczywiście nic sobie z tego nie robiłam, ale ona skierowała rozmowę na temat cholernej archeologii.

Kiedyś raz jeszcze próbowałam porozmawiać o nim z Rickym.

- Nie widzisz, że ona na niego leci? Ja widzę. Mówię ci, Ricky, ta kobieta igra z ogniem.

Ale on tylko mnie ofuknął.

- Baby! To nie wina Freda, że ponosi cię wyobraźnia. Ten gość jest taki uprzejmy, że mógłby być kelnerem! Nawet nie flirtuje z dziewczętami. Tak apropo, czy ty widziałaś, co one na siebie wkładają? Nie masz zamiaru nic z tym zrobić? Przecież to jakieś bandaże. Dam głowę, że mama się w grobie przewraca!

Puściłam jego słowa mimo uszu. Tak się składało, że w temacie dziewcząt Ricky zawsze pozostawiał mi wolną rękę, a ja bynajmniej nie uważałam, że wyróżniają się na tle młodych Francuzek.

- Tak, tak - odpowiedziałam. - Ale one się nim nie interesują. W przeciwieństwie do Tess.

- Daj mi spokój, Rita.

Ale chociaż moje obawy padały na równie niewdzięczny grunt, dalej uważałam, że coś tu nie gra. W końcu mieliśmy spędzić rodzinne wakacje i nasi mężowie odgrywali w tym nader istotną rolę, a Tess nagle wpuszcza do gniazda tę wielką kukułkę, która z miejsca zjednuje sobie sympatię otoczenia. Nie sądziłam, że Jerry

Brennan potrafi być taki ślepy i głuchy na to, co dzieje się pod jego nosem. Przecież Tess chodziła jak w transie.

Nie mówię, że zrobiła coś złego. Wątpię, czy zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje. I muszę oddać im sprawiedliwość, że zawsze proponowali reszcie udział w swoich wycieczkach, nikt jednak nigdy nie dał się skusić.

Próbowałam ją jakoś podejść, ale nic z tego. Dowiedziałam się tylko, jaki to z Fredericka świetny nauczyciel. Umiał sprawić, że zobaczyła archeologię w zupełnie nowym świetle.

Archeologię. Dobre sobie. A ja jestem cesarzowa Abisynii!

## Rozdział 21

---

Mgła nadal spowijała rzekę, a Jerry ani drgnął. Nie ruszył też kawy, którą przed nim postawiłam.

- Spóźniają się - powiedział, kuląc ramiona. Próbował nadać słowom ton urazy, czego nie omieszkałby uczynić jeszcze dwa miesiące temu jako urodzony przywódca, ale jego głos zabrzmiał tak głucho, że wbrew temu, co między nami zaszło, mam ochotę podbiec bliżej i go przytulić. Ale tylko spoglądałam na zegarek.

- Pewnie utknęli w korku. Minęło dopiero dwadzieścia minut.

Milczy.

- Przynieść ci drugą kawę? - pytam. - Ta pewnie całkiem wystygła.

- Nie, dziękuję. - Jego wzrok ześlizguje się na dywan.

Nalegałam, aby Jack został na noc u Rity, czy też jak mówi obecnie, „u Kitty”. Ustąpił nie bez wahania. Liczę, że nie ma pojęcia, co się stało. Przynajmniej jeszcze nie, choć w końcu przecież będę musiała mu powiedzieć. Łudziłam się, że wizyta policji okaże się tylko formalnością, że wszystko się wyjaśni. Jednakże instynkt - i postawa Jerry'ego - podpowiadają mi coś wręcz przeciwnego. Widzę, że ma jak najgorsze obawy. Ma pewne koneksje i zrobił z nich maksymalny użytek. Ale osoba, z którą go skontaktowano (nie chciał zdradzić, o kogo dokładnie chodzi), podobno zachowywała dystans. I ograniczyła się do stwierdzenia, że najlepszym wyjściem będzie powiedzieć prawdę.

Co do mnie, od powrotu z Collioure doświadczyłam całej gamy uczuć i obecnie weszłam w fazę kompletnego odrętwienia. Tylko trzy razy moje życie wydawało się „prawdziwe”, to znaczy czułam, że jestem tu i teraz, a każdy nerw i komórka mózgowa funkcjonowały unisono. Dziś mógł być czwarty raz.

Po raz pierwszy zdarzyło się to wówczas, gdy odwiedziłam matkę na łożu śmierci, po raz drugi - gdy wstępowałam do nowicjatu, a trzeci w momencie, gdy zobaczyłam Arkadię.

Ciekawe, że nie wspomniałam ani o dwóch ślubach, ani o narodzinach dzieci. To rzeczywiście dziwne, jednak jaki byłby sens tej opowieści, jeśli nie umiałabym zdobyć się na szczerłość?

W bezpiecznym otoczeniu ścian Arkadii słyszę nadjeżdżający samochód. W takie ciche, bezwietrzne dni jak dziś zawsze wiemy, kiedy ktoś się zbliża do naszej bramy.

Spoglądam na Jerry'ego. On też to usłyszał. Samochód przystaje; oboje odruchowo kierujemy wzrok na drzwi salonu. Chwila, gdy zamieramy w oczekiwaniu na dzwonek, przypomina mi scenę z drugiej wojny światowej, kiedy mieszkańcy Londynu czekali na wybuch poprzedzony świstem spadających bomb.

I chociaż wiemy, czego się spodziewać, dźwięk dzwonka sprawia, że oboje podskakujemy na krzesłach.

- Otworzę. - Podnoszę się z miejsca.

Jest ich dwoje, ubrani po cywilnemu, bardzo uprzejmi i dość młodzi.

- Pani Brennan? - pyta mężczyzna.

- Zgadza się.

- Detektyw Nugent. - Pokazuje mi identyfikator. - A to jest detektyw Marsh.

- Naomi - wtrąca kobieta. Pod rozpiętą wiatrówką ma sweter polo.

- Miło mi. - Otwieram szeroko drzwi. - Bardzo proszę do środka.

- Zimno - zauważa pani Marsh, kiedy oboje starannie wycierają buty w wycieraczkę.

- Rzeczywiście. - Zamykam drzwi, a następnie prowadzę ich do salonu. - Mąż już na państwa czeka. - Czuję za plecami ich świdrujące spojrzenia.

Nasz korytarz ma postać trójkondygnacyjnego atrium. Poświęciliśmy w tym celu kilka pomieszczeń na pierwszym piętrze oraz część poddasza, ale było warto: przestrzeń istotnie robi wrażenie, a światło docierające przez rząd okien sprawia, że rośliny rosną jak szalone. Czuję przez skórę, jak w policjantach rodzi się pogarda dla „burżujów”.

Kiedy wchodzimy do salonu, Jerry stoi. Następuje chwila prezentacji, po czym zapada krępujące milczenie.

- Napijcie się państwo kawy? - proponuję, siląc się na rzeczowy ton.

- Bardzo chętnie, pani Brennan - odpowiada Nugent, siadając na najbliższej sofie. Kobieta siada obok, a Jerry zajmuje swoje poprzednie miejsce. Staram się stąpać cicho, ale na korytarz docierają jedynie strzępki rozmowy.

Uzgodniliśmy, że po zaparzeniu kawy zostanę w pokoju z Jerryem, o ile policjanci mi pozwolą. Bez względu na to, co dzieje się między nami prywatnie, solidarność małżeńska może stanowić istotny czynnik psychologiczny.

Taca z talerzykiem herbatników czekoladowych (uznałam, że policja lubi czekoladowe herbatniki) stoi na blacie w pobliżu drzwi. Napełniając imbryk wrzątkiem, doświadczam kolejnego z moich „stanów”, które nachodzą mnie ostatnio. Tym razem kuchnia kurczy się do rozmiarów domku dla lalek, a ja zaglądam do środka przez miniaturowe okienko jak olbrzymka.

Miniaturowa taca stoi tam, gdzie ją postawiłam, ja, też w miniaturze, sterczę tuż obok w tyciej spódnicy z szarego płótna, czarnym kaszmirowym swetrze i malutkich bucikach. Na włosach mam czarną opaskę, a z mojej twarzy wyzierają martwe oczy wielkości czarnych porzeczek.

Wrażenie mija równie szybko, jak się pojawiło, jednak dłoń z imbrykiem drży niebezpiecznie. Aż dotąd myślałam, że to bez znaczenia, teraz zaczynam się zastanawiać, czy nie iść z tym do lekarza. Może podobne halucynacje wskazują na guz mózgu?

Nadaję twarzy wyraz sztucznej obojętności i wracam do salonu. Wszyscy troje siedzą tak, jak ich zostawiłam, ale na mój widok dwoje policjantów grzecznie unosi się z miejsca.

Jerry ma nieprzeniknioną minę.

- Proszę usiąść. - Stawiam tacę na stoliku. Bez słowa posłusznie opadają z powrotem na sofę.

Szmer nalewanej kawy przerywa ciszę jak elektrycznie generowany plusk obrzydliwej fontanny, którą Rita przywiozła z wycieczki do Hiszpanii.

- Dziękuję, pani Brennan. - Nugent ostrożnie ujmuje filiżankę. - Nie, żadnych herbatników. Na stare lata trzeba dbać o linię. - Następnie zwraca się do Jerry'ego: - Zanim przejdziemy do innych spraw, chcielibyśmy rzucić okiem na pański komputer, panie Brennan.

## *Rozdział 22*

---

Cofnijmy się na chwilę do wydarzeń, które miały miejsce po powrocie z Collioure.

Naturalnie Jerry jak zawsze rzucił się w wir pracy, jednakże nieoczekiwana poprawa naszych wzajemnych relacji mile mnie zaskoczyła. Podczas każdej rozmowy, nawet telefonicznej, okazywał mi maksimum uwagi i nigdy nie podnosił głosu, kochaliśmy się nawet dwie noce pod rząd. W pierwszą sobotę po powrocie przyniósł mi róże. Wielki bukiet.

- Za co? - Przestraszyłam się, że zapomniałam o jakiejś rocznicy.

- Za to, że musisz mnie znosić, mała. - Poglaskał mnie po policzku. - Wiem, że we Francji byłem nieznośny. Przepraszam.

Przyszło mi do głowy, że to dobra okazja, aby go wypytać o przyczyny tamtego zachowania, ale wołałam nie psuć nastroju i tylko mu podziękowałam. Jeszcze przyjdzie czas na rozrachunek.

- Wyjedźmy gdzieś na weekend - zaproponowałam impulsywnie. - Tylko we dwoje. Do Paryża albo nawet do Rzymu!

- Zobaczymy. - Popatrzył na mnie z uśmiechem. - Kto wie. A teraz - dodał z ożywieniem - pozwolisz, że zajmę się trawnikiem. Trzeba wykorzystać ładną pogodę.

Z wrażenia odebrało mi mowę. Płacimy ogrodnikowi, który przychodzi raz w tygodniu, i Jerry nigdy nie okazywał choćby cienia zainteresowania naszym pięknym ogrodem. Mimo to powstrzymałam się od komentarza.

- Świetnie - odpowiedziałam. - Do zobaczenia.

Układając róże w wazonach nuciłam pod nosem. Decyzja o nie roztrząsaniu dawnych uraz okazała się bardzo słuszna. Należało przyjąć ów nieoczekiwany zwrot akcji jak gdyby nigdy nic.

Dobre samopoczucie Jerry'ego trwało przez kilka dni po przyjeździe, toteż atmosfera w Arkadii była miła i nader obiecująca, pomimo denerwującego zachowania Jacka, który co dzień około południa wynurzał się z zagraconych czeluści swego pokoju i jechał do Dublina. Za każdym razem dochodziło przedtem do zgoła bezowocnej wymiany zdań.

- A ty dokąd, Jack?

- Wychodzę.

- Jak to: „wychodzę”?

- Po prostu. Nie jestem dzieckiem, mam.

- Wiem, że nie jesteś dzieckiem. Nie musisz spowiadać się ze swoich planów, ale przypominam, że jestem twoją matką, a nie gosposią. Zadałam ci pytanie. Chciałabym wiedzieć, gdzie będziesz...

- W mieście. A twoim zdaniem dokąd jadę? Jadę do miasta, okej? Dokładnie tam, gdzie byłem wczoraj. I przedwczoraj. I gdzie będę jutro.

- Nie mów do mnie w taki sposób, Jack. Okaż trochę szacunku...

- No, przecież ty też nie rozmawiasz ze mną w taki sposób, ty okazujesz mi szacunek. Daj spokój, mam!

- Jack! Ja tylko...

- Pozwól, że uprzedzę twoje pytanie: nie wiem, o której wrócę, i nie wiem, z kim się spotkam. Po prostu z ludźmi z naszej paczki. I tak, będę miał przy sobie telefon. Owszem, jest naładowany. W porządku, mam?

Zostawałam sama i patrzyłam na zatrzaśnięte drzwi. Pocieszałam się tylko myślą, że Rita przechodziła to samo z Kitty.

W gruncie rzeczy obaj chłopcy sporadycznie bywali w domu. Tom naoglądał się w telewizji tenisa i odkrył w sobie nieoczekiwany pociąg do gry. Pomimo kiepskiej pogody codziennie po śniadaniu pędził do klubu tenisowego, po czym zjawiał się w okolicach kolacji. Podobno miał nowego kolegę, chłopca o imieniu Colin. „Ma do-

piero dziesięć lat, mamó, ale jest w porzo". (Określenie „w porzo” przeżywało w tym roku okres prawdziwego renesansu).

No i był jeszcze Frederick.

Nie opowiadałam wam jeszcze o Fredericku, prawda? To amerykański typ czarującego łobuza. Zamieszkał z nami w Collioure kilka dni po wyjeździe Griggsów. Chociaż, o ile mnie pamięć nie myli, nie zaprosiliśmy go na czas nieokreślony, dni jego wizyty przeszły w tygodnie i pozostał do samego końca. W sumie jego obecność okazała się całkiem miłą i dodawał nam otuchy, kiedy najpierw Ricky, a potem Jerry opuścili willę.

Rita i ja poznałyśmy go w położonym na wzgórzu miasteczku w północnej Hiszpanii, gdzie pojechałyśmy po pamiątki. Jadłyśmy właśnie lunch i śmiało mogę powiedzieć, że kiedy wszedł do restauracji, w sali aż pojaśniało. Brzmi głupio? Być może, ale nie znajduję innego określenia. Siedziałyśmy w najjaśniejszej części gwarnego lokalu, pod oknem z widokiem na dolinę porośniętą przykurzonymi drzewkami oliwnymi. Lecz gdy Frederick wszedł do środka, nagle zrobiło się jaśniej, jakby ktoś wkręcił mocniejszą żarówkę. Wiem, że to niemożliwe, ale dokładnie tak to zapamiętałam. Być może po prostu promienie uwięzły w jego dość długich włosach o barwie pszenicy, rozświetlając je od środka. Albo wspomnienie zniekształciło rzeczywistość. Sama już nie wiem.

Rozejrzał się po sali, zauważył wolne miejsca przy naszym dużym stole, a następnie podszedł bliżej i zapytał, czy może się przysiąść.

Od razu zadzierzgnęła się między nami nić sympatii, do tego stopnia, że Rita została na drugim planie. Próbowałam wciągnąć ją do rozmowy, ale Frederick jest archeologiem, równie zapalonym jak inni przedstawiciele tego zawodu, a więc siłą rzeczy Rita nie miała wiele do powiedzenia. I tak gadaliśmy sobie w najlepsze i niechcący wykluczaliśmy ją z dyskusji, w wyniku czego od początku go nie polubiła. Oczywiście przychyliła się do mojego zaproszenia, powstrzymując się od okazania jawnej antypatii, ale zawsze traktowała go dosyć chłodno.

Frederick i ja urządzaliśmy sobie we dwójkę wycieczki, ponieważ nikt inny nie miał ochoty na zwiedzanie. Wiem, wspominałam wam, z jaką niechęcią towarzyszyłam Michaelowi podczas pracy na wykopaliskach, ale nigdy nie mówiłam o

archeologii *per se*. Nawiązywałam jedynie do długich, upalnych okresów *ennui*, kiedy wraz z małym Jackiem siedziałam w czterech ścianach obskurnego hotelu w którymś kraju Trzeciego Świata, podczas gdy Michael i jego koledzy dłubali w ziemi swoimi szpadelkami. Wyprawy moje i Fredericka były zupełnie inne: każdego dnia wyznaczaliśmy sobie jakiś cel, w związku z czym nie mieliśmy czasu na nudę. I każdego wieczoru czekał nas powrót do pięknej willi, chłodnego prysznica i *haute cuisine*.

Oprowadził mnie po miejscach takich jak Elne, z historią sięgającą pięciu tysięcy lat wstecz, zajmując opowiadał też o Perpignan i Carcassonne, o starożytnych miejscach w Pirenejach i położonej dalej na zachód krainie Basków.

Historia tej ostatniej była tak niesamowita (Baskowie to najstarsza cywilizacja w Europie), że próbowałam namówić wszystkich na wycieczkę do Bilbao.

I oczywiście nikomu się nie chciało.

- Daj spokój, Tess. - Jerry jak zwykle wziął na siebie rolę rzecznika. - Przyjechaliśmy zaledwie tydzień temu, a ty chcesz ciągać nas po jakichś dziurach. Co cię tak nosi? - Od początku wakacji minęło dziesięć dni. Siedzieliśmy po kolacji na rozgrzanym tarasie, w powietrzu unosiła się woń cytrusowych świeczek Maddy, które postanowiliśmy zapalić na jej cześć. - Co ty na to, Ricky? Chcesz się włączyć po Pirenejach i krainie Basków? Dać się wysadzić bombą podłożoną przez ETA? - Zwrócił się o wsparcie do męża Rity, który za dziesięć dni miał lecieć do Japonii.

- Hej! - zaoponował Ricky. - Mnie w to nie mieszajcie. Nigdzie nie jadę, zbieram siły na cholerny lot.

- A ty, Reet? - Popatrzyłam na przyjaciółkę. Zerknęła na Fredericka, który trzymał w ręku kieliszek z miejscowym różowym winem.

- Raczej nie - odrzekła z wolna. - Wybacz.

- Zostaliście przegłosowani - oznajmił Jerry, podnosząc kieliszek. - Tu nam dobrze. Tess, jeśli nie masz nic do roboty, idź na zakupy.

- Jak możesz! - Jego protekcyjny ton uraził mnie do żywego.

- No, już dobrze, przepraszam - zreflektował się Jerry. - Rzeczywiście trochę przesadziłem. Może pojedziecie we dwójkę, skoro wam tak bardzo zależy? Nam wystarczy jeden samochód.



Byłam tak zła i zakłopotana, że mało mu nie odburknęłam. Muszę jednak przyznać, że jeszcze przed tą wymianą zdań wyczułam nadciągające niebezpieczeństwo. Otóż zaczęłam postrzegać Fredericka jako mężczyznę. I choć zawsze próbowałam nakłonić Ritę, chłopców, dziewczynki, a nawet Jerry'ego do wspólnych wyjazdów, koniec końców z ulgą przyjmowałam ich odmowę.

Frederick dopasował się do naszej grupy, ale najmilej wspominam czas, kiedy byliśmy sami. Nie sugeruję, że do czegoś między nami doszło, o nie. Chcę tylko powiedzieć, że w porównaniu z Jerry'm (a nawet z moim ukochanym Michael'em) Frederick był tak otwarty i swobodny z tym swoim amerykańskim usposobieniem, że stopniowo zaczęłam wtajemniczać go w sprawy, o których nigdy nikomu nie mówiłam. Na przykład bardzo zainteresował się moim nowicjatem, a ja otworzyłam się na tyle, by móc opowiadać o związanych z nim przeżyciach.

Ale żadne z nas nigdy nie przekroczyło magicznej granicy przyjaźni.

Na poparcie tych słów przytoczę wam pewną anegdotkę.

Któregoś popołudnia spacerowaliśmy po krużganku średniowiecznej katedry w Elne, parę kilometrów na północ od Collioure. Oprócz nas nie było tam nikogo, gdyż obezwładniający upał wygonił większość rozsądnych ludzi na plażę.

Właśnie podziwiałam romańskie rzeźbienia ponad jednym z wejść prowadzących do wnętrza świątyni, gdy naraz poczułam, że Frederick stoi tuż za mną. Używał płynu po goleniu lub wody kolońskiej z lekką cytrusową nutą, przyjemnej acz najprawdopodobniej dość taniej. (Od początku było jasne, że ma ograniczone fundusze. Widziałam, jak korzysta z karty kredytowej, ale w dzisiejszych czasach nie ma to większego znaczenia). Odwróciwszy się pospiesznie, zobaczyłam, że przygląda mi się z tym swoim charakterystycznym, lekko krzywym uśmiechem.

- Co?

- Co?

- Ja pierwsza zapytałam.

- Ale ja nic nie mówiłem!

- Wiem, że nie mówiłeś... ale coś ci chodzi po głowie. Dlaczego tak się uśmiechasz?

- Jezu, Bebe, czy facet już nie może się uśmiechnąć, żeby nie być podejrzanym o niecne zamiary? - Nazywał mnie „Bebe”, żartując w ten sposób z mojego podwójnego nazwiska.

- Fredericku!

- No co! - Uniósł ręce w niby to obronny geście. Zaraz je opuścił i dodał: - No dobrze. Idąc za tobą, pomyślałem sobie, że gdybyś odwinęła dół nogawek swoich szortów, z powodzeniem mogłyby uchodzić za dzinsy!

Trudno wykorzenić głęboko zakodowaną skromność, toteż nawet moje spodenki do tenisa zawsze wyglądają jak bermudy. Lekko dźgnęłam go palcem w pierś.

- Ależ proszę, poużywaj sobie na moich szortach, śmiało.

Staliśmy dosłownie nos w nos, tak blisko, że widziałam kropelki potu u nasady jego włosów. Przez jedną szaloną chwilę pomyślałam nawet, że zaraz się pocałujemy.

Oczywiście nic takiego się nie wydarzyło. Szczerze powiedziawszy, nie pamiętam, które z nas pierwsze się odwróciło. Ponownie utkwiałam wzrok w drzwiach, mamrocząc banalną uwagę o tym, jak to upał świetnie konserwuje kamień.

Chcę zdecydowanie zaznaczyć, że nasze stosunki sprowadzały się do czysto koleżeńskich relacji. Znaczenie owego incydentu zależy od światła, w jakim go przedstawić. Cóż, pewnie jednak odegrał jakąś tam rolę, skoro w ogóle o nim wspomniałam. Oczywiście nie mogę wypowiadać się za Fredericka, ale potem zachowywał się jak gdyby nigdy nic. Co do mnie, pomimo wspomnienia, które przez resztę dnia ścisnęło mnie za szyję jak boa dusiciel, dalej bawiłam się jak harcerka na wycieczce. Łaziliśmy po katedrze, popijaliśmy letnią wodę z butelek i jedliśmy lody magnum w cieniu drzew rosnących wzdłuż wiejskiej alejki.

Pewnie nie bez racji zarzucicie mi wykręty. Istotnie, epizod w katedrze - i jemu podobne - był istotnie dosyć znamienity i pełnił rolę ostrzegawczego światła na skalistej mieliźnie pozornie bezpiecznego morza. Ale w końcu jestem mężatką, dla której przysięga w kościele równała się ewentualnym ślubom zakonnym.

Dlatego w tenże właśnie (przepraszam!) pokrętny sposób usiłuję wytłumaczyć, czemu ironiczna uwaga na temat Bilbao nie wzbudziła żadnej reakcji z mojej strony.

Teraz widzę, że to właśnie dzięki owej złocistej, kuszącej aureoli nabrałam przekonania, że przyjaźń z Frederickiem pozostanie niezmienna. I gdy nadszedł czas wyjazdu z Collioure, wiedzioną naturalnym odruchem poprosiłam, aby odwiedził nas w drodze powrotnej do Stanów.

Zaproszenie wyszło spontanicznie, ostatniego wieczoru w willi.

Młodzi zajęli się po kolacji swoimi sprawami, a nasze niedobitki, czyli Rita, Frederick i ja, usiedliśmy przy basenie, popijając ostatniego drinka. Rita, której niechęć wobec gościa nie stanowiła dla mnie żadnej zagadki, obróciła się w jego stronę.

- Dokąd zamierzasz teraz wyruszyć, Fred? - Uparcie nazywała go tym skrótem.

- Jeśli nie macie nic przeciwko temu, zabiorę się z wami do wioski -

odpowiedział, zwracając się do nas obu. - Jeszcze nie wiem, co dalej. Może północne Włochy. Zobaczymy, dokąd mnie wiatr zaniesie.

- Może w drodze powrotnej odwiedzisz nas w Irlandii? - Nie planowałam tych słów, lecz od razu wiedziałam, że wcale nie padły spontanicznie.

## *Rozdział 23*

---

Nie wierzyłam, że weźmie to zaproszenie na poważnie. Przeoczyłam fakt, że w przeciwieństwie do nas Amerykanie biorą zwykle podobne gesty za dobrą monetę. I gdy niespełna tydzień po przyjeździe jechałam na dworzec po tatę, który przyjechał w odwiedziny, ujrzałam na poboczu dobrze znaną postać. On dostrzegł mnie w tej samej chwili; byłam tak zaskoczona, że zahaczyłam o krawężnik i wgniotłam felgę. Kiedy później analizowałam serię kolejnych zdarzeń, za których sprawą moje życie wymknęło się spod kontroli, widok Fredericka wyznaczał swoisty początek pewnego etapu. Ale rzecz jasna wówczas nie miałam o tym pojęcia.

- Co ty tu, u licha, robisz? - Opuściłam szybę od strony pasażera.

- Sama mnie zaprosiłaś! Widzę, że prowadzisz w Irlandii tak, jak gotowałeś w Collioure! - Trącił wgniecioną felgę czubkiem buta. Moje próby przyrządzenia amerykańskiego śniadania w obcej kuchni stały się obiektem niewybrednych żartów.

- Dziękuję. Pozwól, że się zrewanżuję: fatalnie wyglądasz. - Miał przekrwione oczy i był nieogolony, a do tego przemoczony do suchej nitki za sprawą nieustannej irlandzkiej mżawki.

- A bo to moja wina? - Ogarnął ręką ołowiane niebo i wodę wylewającą się ze studzienek. - Dlaczego nikomu nie przyszło do głowy, żeby doprowadzić tu linię autobusową?

- Wskakuj! - Nachyliwszy się, otworzyłam drzwi.

- Dzięki! - Rzucił plecak na tylne siedzenie i usiadł obok mnie, uśmiechając się zza mokrych kosmyków. - Ucieszyłaś się na mój widok?

- Będziesz ty cicho? I zachowuj się jak należy! Jadę na dworzec po ojca. Musisz jechać ze mną, nie mam czasu, żeby cię odwieźć do domu.

- Super. Krewni to moja specjalność. Znajdę sposób, żeby się wkraść w jego łaski: pokażę mu zdjęcia. - Usiadł wygodniej.

- Jakie zdjęcia?

- Na przykład twoje na tarasie przy basenie. Albo wszystkich dzieciaków, naprawdę wyszły bombowo. Pamiętasz wieczór, kiedy Jack wskoczył do wody w ubraniu, bo kazałaś mu się przebrać do kolacji? I jak dziewczęta zaraz zrobiły to samo?

- Nie mogę się doczekać, żeby je obejrzeć! - Włączyłam nawiew, żeby pozbyć się pary, która pokryła szyby, i pojechaliśmy na dworzec.

Frederick od razu przywołał wakacyjny nastrój. Przed oczami stanął mi tamten wieczór, jakże nierealny na tle obecnej aury.

Niespodziewany przyjazd Fredericka wzbudził we mnie mieszane uczucia. Nie miałam pojęcia, czy dogada się z tatą. Uwielbiam mojego ojca, ale muszę przyznać, że łatwiej kochać go na odległość. Potrafi być wymagający i grymaśny, zwłaszcza jeśli nie znajduje się w centrum zainteresowania. Ponadto jest staroświecki: dyscyplina i ściśle przestrzeganie harmonogramu to sprawy wagi nadrzędnej, zatem trudno przewidzieć, jak zareaguje na swobodne zachowanie gościa.

Z drugiej strony obecność tego ostatniego da nam pretekst do wyjścia z domu, nawet mimo brzydkiej pogody. Mieszkańcy Irlandii zapominają, że tak zwane „lato” stanowi tutaj jedynie odmianę zimy. Każdej wiosny dziarsko szykujemy leżaki i

słomkowe kapelusze oraz planujemy biwak jak nie przymierzając Kalifornijczycy. A potem z nosami na kwintę przesiadujemy w czterech ścianach, utyskując na globalne ocieplenie klimatu. W tym roku pogoda przechodziła samą siebie. Mamiła czasem słonecznym porankiem, by po śniadaniu lunąć deszczem i przekreślić wszelkie plany wyjścia na zewnątrz.

- Liczymy na babie lato we wrześniu - poinformowałam Fredericka, kiedy podjeżdżaliśmy do wioski. - Jak tu dotarłeś?

- Autostopem.

- Z południa Francji? To niemożliwe.

- Miałem szczęście. W kawiarence w Collioure, do której często zaglądaliśmy, poznałem angielskie małżeństwo z dwójką dzieci. Dziewczynka była mniej więcej w wieku Toma, a chłopiec nieco starszy. A wiesz, że ich matka przypominała mi ciebie, chociaż ty się lepiej trzymasz! - Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Mów dalej. - Z trudem ukryłam zadowolenie.

- Cóż, zobaczyłem, że szykują się do drogi, walizy, dzinsy zamiast szortów, i tym podobne, więc pytam, czy mogę się dosiąść, a następnie dopytuję o cel podróży. Okazało się, że w ciągu godziny wyruszają na północ, po czym zamierzają się przeprawić tunelem na wyspy. Miałem fuksa, mówię ci. Po krótkiej rozmowie wyszło na jaw, że dysponują wolnym miejscem. Nie musiałem nawet płacić za przejazd. Po drugiej stronie było już łatwiej - dodał. - Podwozili mnie turyści, też Anglicy. Są tacy uprzejmi, prawda? Tak czy inaczej, udało mi się bez szwanku dotrzeć do Holyhead. A na promie to się dopiero działo! Spiknąłem się z młodzieżową drużyną piłki nożnej, byli fantastyczni! - Uśmiechnął się do swoich wspomnień. - Rany, ależ te dzieciaki potrafią żłopać piwsko!

- A nie zapomniałeś aby o swoich badaniach? - Nie znałam szczegółów jego pracy, podobno miały na celu próbę powiązania cywilizacji Wschodu i Zachodu za pomocą pokrewieństwa językowego. - Myślałam, że jedziesz na północ Włoch?

- Taki miałem zamiar. - Zaparkowaliśmy na niewielkim parkingu przed stacją Dart. Spod markizy pobliskiej kawiarni wyjrzały na nas obojętne twarze trójki turystów.

- Ale tamci ludzie dosłownie spadli mi jak z nieba. Podobnie jak ty i Rita w Hiszpanii. - Znów się uśmiechnął.

- Na razie wystarczy tych badań, Bebe. Teraz muszę obmyślić strukturę pracy, czyli najgorsze dopiero przede mną. *Mañana*, jak to mówią Hiszpanie. Nic się nie martw - dodał. - Na pewno będziesz miała ze mnie pożytek. Zapracuję na swój pobyt. Mogę zająć się ogrodem, popływać z Tommym albo naprawić dach.

- Akurat.

- Nie wierzysz, że umiem naprawić dach?

- Nie widziałeś dachu Arkadii. A raczej powinnam powiedzieć „dachów”. Jest ich kilka. - Wyłączając silnik, pomyślałam, że co jak co, ale Frederick potrafi się znaleźć w każdej sytuacji. - Jak długo planujesz zostać?

- To zależy.

- Od czego?

- Od tego, kiedy mnie wyrzucisz.

Spojrzałam na jego bezczelną minę. Sama nie wiedziałam, czy mam się śmiać, czy złościć.

- Wariat z ciebie, wiesz?

- Swój pozna swego, Bebe.

- Cicho! A teraz posłuchaj, Fredericku. Pociąg przyjeżdża za dwie minuty, więc musisz się dowiedzieć paru rzeczy... - I zorganizowałam mu przyspieszony kurs postępowania z moim ojcem.

Wysłuchał mnie uważnie.

- Poradzę sobie - oznajmił wreszcie. Nie wiedziałam, jak mam to rozumieć, i chciałam coś dodać, ale łagodnie położył mi palec na ustach. - Nic się nie martw, kotku. Umiem się wtopić w tło. Nawet nie zauważy, że tu jestem.

Usłyszałam, jak pociąg z piskiem hamuje na stacji. Zaczerwieniona otworzyłam drzwi.

- Mówię poważnie, Fredericku! Jeden fałszywy ruch i popamiętasz. Tak w ogóle, to nazywa się Paddy Cahill. Przywiązuje wagę do konwenansów, więc bądź łaskaw nazywać go panem Cahillem, chyba że sam zaproponuje coś innego, dobrze? Wymawiamy to jako „Ka-al”, a nie „Kej-hil”.

- Tak jest, proszę pani!

W strugach deszczu pobiegłam na peron, świadoma, że odprowadza mnie spojrzeniem. Mimo początkowego zdziwienia jego przyjazd wzbudził we mnie cichą radość. Ani słowa więcej, Tess Butler Brennan!

Pociąg właśnie stanął, toteż przywołałam na twarz wyraz radosnego oczekiwania.

- Cześć, tato! - Jak zwykle wyszedł z pierwszego wagonu. Wolałby stać przez całą drogę ze stacji Connolly do Howth, aniżeli podróżować inaczej niż na przodzie pociągu. - Jak się masz? - Byłam wstrząśnięta jego chudością. Odwiedził nas zaledwie trzy miesiące temu, ale wówczas tak nie wyglądał.

Bądź co bądź miał jednak osiemdziesiąt trzy lata, a ludzie w tym wieku się kurczą. Jakoś ta chwila umknęła mojej uwadze. Kołnierzyk koszuli odstawał mu od szyi i nawet tweedowy kaszkiet wydawał się za duży.

- Dobrze się czujesz, tato?

- O co ci chodzi? - Jego ton usadził mnie w miejscu. Jak zawsze.

- Poniosę ci bagaż. - Próbowałam wyjąć mu torbę z ręki, ale wyrwał ją z powrotem.

- Jeszcze nie jestem inwalidą, Tereso. Nie rób ceregieli.

Elektryczna lokomotywa ucichła i zrozumiałam, że krzyczymy.

- Posłuchaj, tato - powiedziałam normalnym głosem. - Zanim pójdziemy do samochodu, muszę ci coś powiedzieć. Mamy jeszcze jednego gościa. Nazywa się Frederick Yarso, to Amerykanin, którego poznaliśmy na wakacjach.

- Rozumiem. - W obliczu nieprzewidzianych okoliczności ojciec zawsze robi się bardzo drażliwy.

- Siedzi w samochodzie, czeka na nas. Spotkałam go po drodze, strasznie padało i pomyślałam... - Zawiesiłam głos. Ojciec zmarszczył krzaczaste brwi, obecnie kompletnie posiwiiałe, co od lat napawało mnie niezmiennym lękiem.

- Co się z tobą dzieje, Tereso? Nie rozumiem, po co te tłumaczenia? Przecież masz prawo zapraszać gości. Chyba jakoś się dogadamy, nie?

- Jest trochę, hm, niezwykły,

- Rozumiem. Murzyn, tak?

- Ależ skąd! - Wytrzeszczyłam oczy. - Żaden Murzyn. Jest archeologiem.

Wykłada na uniwersytecie.

- Kolega Michaela?

- Nie. Mówiłam ci, że Jerry i ja poznaliśmy go na wakacjach we Francji. -

Wzięłam głęboki oddech. - Nieważne, sam zobaczysz. - Wzięłam go za łokieć, czując pod palcami same kości. - Ale jak wspomniałam, przemókł do suchej nitki i od kilku dni jest w podróży, dlatego, proszę, weź na to poprawkę.

Frederick zainstalował się z tyłu obok swojego plecaka. Przywitał się serdecznie, na granicy służalczości.

- Dzień dobry, panie Cahill. - Wymowa była bezbłędna, ton zaś pełen nabożnego szacunku. - Bardzo miło mi pana poznać. Córka i zięć dużo mi o panu opowiadali.

- Mnie również miło, panie Yarso. Fredericku, jeśli pozwolisz.

- Naturalnie!

- Przepraszamy za tę pogodę, Fredericku.

Obaj zachowywali się tak, jakby obecność przemoczonego, zarośniętego autostopowicza w samochodzie słomianej wdowy (Jerry bawił w Sztokholmie na konferencji) była czymś najbardziej oczywistym na świecie. Pochyliłam się, żeby zapiąć ojcu pas.

- Pomogę ci.

- Zlituj się, Tereso. - Zbył mnie machnięciem ręki. - Przecież mówiłem, żebyś nie robiła ceregieli. Nie jestem dzieckiem, więc mnie tak nie traktuj. - Mimo uciążliwego artretyzmu obrócił głowę w stronę Fredericka i znacząco przewrócił oczami. We wstecznym lusterku zobaczyłam, że Frederick robi to samo.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce. Reakcja Amerykanina na Arkadię była co najmniej entuzjastyczna.

- Bebe! Ale pałac! Taj Mahal odpada w przedbiegach! - Stanęliśmy we trójkę w korytarzu, a on zadarł głowę i kapiąc wodą na moje wiktoriańskie kafelki, podziwiał rząd okien.



- Nie gadaj głupstw, Fredericku. - Skrzętnie ukryłam zadowolenie. Nauki matki przełożonej nie poszły w las. - Jestem pewna, że w czasie swoich podróży widywałeś ładne domy.

- Owszem, ale ten bije je na głowę. Prawda, panie Cahill? - Popatrzył na ojca.

- Tak, rzeczywiście, jest bardzo ładny. - Ojciec zdejmował z kaszkietu plastikową osłonę. Widok jego powolnych ruchów sprawił mi niewymowną przykrość. Kiedy to się stało?

- Ładny? - Frederick zrzucił przemoczoną kurtkę, pod którą miał równie przemoczony podkoszulek. - Rozbiorę go na części i przetransportuję statkiem do Oshkosh.

- Dosyć tego! Kolację zjemy tylko w trójkę, chłopcy siedzą u kolegów.

- A Jerry? Pracuje do późna? - Frederick rozsznurowywał buty.

Zdjęłam jego kurtkę z balustrady, na której ją powiesił.

- Będzie niepokieszony, że ominął go twój przyjazd - skłamałam. - Powieszę ją w suszarni. Zaczekaj tu, Fredericku. Zaraz pokażę ci twój pokój. Tato, ty znasz drogę. Wszystko już przygotowane.

Ruszyłam w stronę kuchni i suszarni.

- Jerry znowu musiał wyjechać! - zawołałam przez ramię. - Tym razem na konferencję. - Druga informacja była przeznaczona dla ojca, który już wiedział, że go nie zastanie. Był to jeden z powodów, dla których się zjawił właśnie dziś: lubił mieć mnie na wyłączność. Ale musiałam go przekonać, że przyjazd Fredericka nie był zaplanowany.

O ósmej zjedliśmy kolację.

Podczas wizyt ojca menu w Arkadii zmienia się diametralnie. Jego upodobania kulinarne od wielu lat pozostają takie same. Nie znosi nowoczesnej „papki w sosie”, a co za tym idzie nie jada makaronu, ryżu, a rybę toleruje wyłącznie usmażoną w grubej panierce. Pani Byrne przed wyjściem pomogła mi przygotować staroświecką zapiekankę z mięsa i ziemniaków. Jedną z pamiątek po matce jest stara maszynka do mielenia mięsa. Nie cierpię jej powolności, drobnych części oraz wysiłku, jaki muszę wkładać w obracanie korbą.

Za to pani Byrne wręcz przeciwnie. W jej rodzinnym domu do tradycji należało mielenie niedzielnej baraniny lub wołowiny na poniedziałkową zapiekankę, toteż z radością zainstalowała maszynkę na blacie, wkładała do niej kawałki mięsa i entuzjastycznie witała różowe glisty pojawiające się na sicie.

- A niech mnie! Proszę zobaczyć. Za nic w świecie nie zamieniłabym tego cuda na wasz malakser, pani B.! (Obie mówimy do siebie żartobliwie „pani B.”. To taka nasza mała konspiracja. Ja zagłuszam wyrzuty sumienia z powodu zatrudniania gosposi, a ona zyskuje poczucie równości. Tak mi się przynajmniej wydaje, nigdy o tym nie rozmawiałyśmy).

Wyjąwszy moje przedwczesne obawy o samopoczucie ojca (i jego niezadowolenie płynące z obecności niespodziewanego gościa, który pochłonął część mojej uwagi), kolacja przebiegła bez żadnych zgrzytów. Po części była to zasługa maszynki do mielenia, gdyż Amerykanin po raz pierwszy jadł tradycyjną brytyjską zapiekankę.

- Pyszności! - oznajmił. - Musisz mi dać przepis. - Rzuciłam mu ostre spojrzenie, ale chyba mówił serio. I tak przez co najmniej dziesięć minut rozwodziłam się nad walorami maszynki do mięsa oraz niezapomnianych zapiekanek z przeszłości.

Trzeba przyznać, że ojciec też się udzielał. Gdy pod koniec rozmowa przestała się kleić, zapytał Fredericka o „fachową opinię” na temat osiągnięć Rzymian, a zwłaszcza galijskich wojen Cezara, o których słyszał na lekcjach łaciny.

- Nie bez powodu zadaję ci to pytanie, Fredericku. Jestem święcie przekonany, że podobnie jak Imperium Rzymskie dwa tysiące lat temu, nasza cywilizacja zachodnia również chyli się ku upadkowi. Jesteśmy świadkami powszechnego zepsucia i braku moralności. - Ułożywszy sztucę na pustym talerzu, usiadł wygodniej i splótł ręce na stole jak jakiś dostojnik. - Przyznasz mi rację?

Nasz gość nawet nie mrugnął.

- Słuszna uwaga, panie Cahill. Rzeczywiście straciliśmy szacunek dla dawnych cnót.

Frederick pomógł mi sprzątnąć ze stołu, po czym we trójkę rozsiedliśmy się w salonie i przystąpiliśmy do oglądania fotografii, które okazały się nadzwyczaj udane. Nigdy nie lubiłam swoich zdjęć i teraz też nie było inaczej, lecz oprócz ubranych

dzieci w basenie i kilku ujęć grupowych Frederick zrobił kilka wyśmienitych portretów, między innymi zamyślonego Jerry'ego, Alice i Carol z kokieteryjnymi minkami oraz Toma, którego dwie podobizny były najlepsze, jakie miał. Frederick uchwycił go przy basenie, w świetle, które nadawało skórze chłopca złocisty odcień.

- No brak mi słów - powiedziałam mile zaskoczona. - On tak nie lubi zdjęć. Dostanę odbitki?

- No jasne! Chyba nie wiedział, że robię mu zdjęcie. Masz rację, Tesso, ten mały nie lubi pozować. Człowiek musi się uciekać do rozmaitych zabiegów. Liczy się refleks!

- Są naprawdę świetne, Fredericku. - Ojciec też okazał aprobatę. - Podobno mały Tom to świetny pływak.

- Istotnie, panie Cahill. - Frederick łypnął na mnie ze znaczącym uśmiechem. „A nie mówiłem?” - I niezły z niego nauczyciel. Dzięki niemu poprawiłem swoją technikę przy kraulu.

Ojciec z powrotem umieścił zdjęcia w kopercie i podał je Frederickowi.

- Życzy pan sobie kilka odbitek? - Frederick schował kopertę do futerału.

- Nie, dziękuję. - Ojciec otworzył gazetę na stronie z programem telewizyjnym.

- Jestem za stary na kolekcjonowanie zdjęć. W domu mam ich pewnie tysiące. - I dodał z uśmiechem: - Te zachowam w głowie.

Jego słowa wprawiły mnie w zdumienie. Zawsze domagał się zdjęć, które układał chronologicznie w starannie opisanych albumach.

Po lekturze programu stwierdził, że w telewizji nie ma nic ciekawego i postanowił udać się na spoczynek.

- Czy możemy iść rano nad morze, Tereso? Byle wcześniej. Grunt to dobry początek dnia.

Mimo pozornie zdawkowego tonu wiedziałam z doświadczenia, że nie jest to prośba, ale rozkaz.

- Oczywiście, tato. Z przyjemnością. Popatrzył na Fredericka.

- Domyślam się, że pewnie będziesz chciał trochę pospać?

Frederick również wstał. W lot podchwycił aluzję.

- Tak, panie Cahill. Jestem wykończony. Dzisiejsze podróże straciły wiele ze swego dawnego uroku.

- Nie mam na ten temat wiele do powiedzenia. - Ojciec podniósł gazetę i złożył ją starannie wzdłuż zagięć. Miał w kiosku wszystkie krajowe tytuły prasowe, ale jako zagorzały zwolennik Zjednoczonej Partii Irlandzkiej czytał wyłącznie „Irish Independent”, gardząc „propagandowym śmieciem”. Zawsze uważałam, że jego dystans wobec Jerry'ego wynika z niechęci do Sentinela. - Dobranoc - powiedział, z godnością kiwając nam głową, jak na patriarchę przystało. - Do zobaczenia rano, Tereso. - Wsunął gazetę pod pachę i ruszył sztywno w kierunku schodów, pozostawiając nas samym sobie.

## Rozdział 24

---

Frederick odprowadził tatę wzrokiem i ponownie opadł na sofę.

- Wspaniały staruszek.

- Owszem.

Ja również usiadłam i włączyłam telewizor, przeskakując nieuważnie z kanału na kanał. Deszcz wciąż kapał z dachu, a malwy bezradnie zwiesiły główki.

Sofa w salonie jest duża i złożona z segmentów; Frederick i ja zajęliśmy przeciwległe końce i dzieliło nas ponad dwa i pół metra. Lecz choć spoglądałam na wprost, jego długie nogi i płócienne buty zdecydowanie przysłaniały mi widok. Nie miał skarpetek i włoski nad opaloną kostką połyskiwały w świetle...

Matka Colina zadzwoniła w czasie kolacji z pytaniem, czy Tom może zostać na noc. Wiedziałam, że Jack na pewno nie wróci przed północą. Aż do tego czasu będę sama z Frederickiem. Wyłączyłam telewizor.

- Nic nie ma. Ojciec miał rację. Podeszłam do okna i zaciągnęłam zasłony.

- Na co masz ochotę Fredericku? Tak się składa, że ja też padam z nóg. -

Udałam, że ziewam. - Chyba też pójde na górę.

- Wiesz co, mam pomysł? Gdzie wiolonczela?

- Na strychu.

- Przynieś. Zagrasz coś dla mnie.

- Chyba żartujesz. Nie grałam od lat! - Żałowałam, że w ogóle wspomniałam mu o instrumencie.

Nie dawał za wygraną.

- Przecież to jak jazda na rowerze.

- Akurat! To wcale nie jazda na rowerze, Fredericku, gra na instrumencie wymaga ćwiczeń. Ciągłych ćwiczeń.

- To była tylko propozycja, Bebe. Spojrzałam na jego rozbawioną minę.

- Wybacz - mruknęłam. - Chodzi o to, że wstydziłabym się teraz zagrać.

Musiałabym ćwiczyć przez co najmniej pół roku.

- W porządku. - Na jego twarzy nadal malował się uśmieszek.

- Co: w porządku?

Wyciągnął się na sofie, prostując długie nogi. - Nic.

- Przestań, Fredericku.

- Co takiego mam przestać?

No przecież nie mogłam mu powiedzieć, aby przestał powodować, że krew krąży mi szybciej w żyłach. Nie mogłam też wyznać mu okropnej prawdy, że gdy ostatnio kochałam się z mężem, wyobrażałam sobie, że robię to właśnie z nim, z Frederickiem. (Miałam potem wyrzuty sumienia, ale Jerry nic nie zauważył, więc postanowiłam czym prędzej zapomnieć o całym incydencie).

- Po prostu przestań, dobrze? - Przeszłam przez pokój i włączyłam lampę na stoliku.

- Dobrze. Już przestaję.

Kiedy znów odwróciłam się w jego stronę, posłał mi rozbajający uśmiech.

- Zresztą - podjęłam desperacko - po tylu latach struny są pewnie do niczego.

- Jasne. - Uśmiechnął się jeszcze szerzej. - Masz absolutną rację.

Czując, że mnie roznosi, podeszłam do szafki z telewizorem i zajrzałam do środka.

- Zaraz idę spać, ale najpierw sprawdzę, czy chłopcy nie mają tu jakichś filmów. Mógłbyś coś obejrzeć, chcesz?

- W tej chwili nie mam nastroju na filmy. Ale skoro nie urządzisz mi koncertu, może mógłbym chociaż sprawdzić pocztę elektroniczną. Macie komputer?

Wyprostowałam się, kierując na niego wzrok.

- Właściwie to...

Źle odczytał moje wahanie.

- W porządku. Mogę poczekać do jutra. Pójdę do kafejki internetowej.

- Ależ nie. Nie to miałam na myśli. - Zamknęłam szafkę. - Sęk w tym, że Jack zamyka swój laptop na klucz, żeby Tom się do niego nie dostał, a ja niestety nie dotykam komputera w gabinecie Jerry'ego. Widzisz, technika to nie moja specjalność.

- Czuję, że zaczynam się plątać. I kręcić. Jerry udaje rozbawionego, ale w duchu złości się na tę moją ignorancję, a ja wychodzę z założenia, że im więcej potrafisz, tym więcej się od ciebie wymaga. Nie mam zamiaru stać się darmowym pionkiem na usługach Sentinela.

Oczywiście nie zmienia to faktu, że istotnie jestem technicznym beztalenciem, wyjątkiem od reguły, jakoby talent muzyczny wskazywał na smykałkę do matematyki i komputerów. Nawet Rita opowiada o zakupach internetowych oraz korzyściach płynących z posiadania poczty elektronicznej, więc kilka lat temu uległam ogólnemu naciskowi i zrobiłam kurs komputerowy prowadzony przez „Irish Times”. Naprawdę próbowałam, słowo, ale cóż poradzę na to, że nie umiałam odróżnić Power Pointa od Excela, skoro ani jeden, ani drugi kompletnie nie wzbudził mojego zainteresowania. Zdołałam jednak opanować pewne podstawy, dzięki którym orientowałam się w żargonie, umiałam włączyć komputer i bezbłędnie rozpoznawałam ikonkę Remote Access na pulpicie.

- Czy to komputer służbowy? - spytał Frederick. - Nie chciałbym...

- Oczywiście ma przy sobie laptop. - Słowotok okazał się silniejszy ode mnie. - Są chyba połączone. Kiedy pracuje, woli patrzeć na duży monitor. Wspominał, że chce go ulepszyć, kupić stację dokującą, ale to na razie tylko plany. W pewnych kwestiach Jerry bywa dość staroświecki. Nic się nie przejmuj, na pewno nie miałby nic przeciwko temu. - Majstrowałam przy drzwiach szafki, jakby ich domknięcie wymagało geniuszu ślusarza. Poczulałam, że muszę uciekać gdzie oczy poniosą, byle dalej od Fredericka, jego długich nóg i cytrusowej wody kolońskiej. I kędzierzawych

włosów. Ale w końcu byłam gospodynią. Nie mogłam tak po prostu pobiec na górę i go zostawić. Wątpliwości w kwestii komputera zeszły na dalszy plan, pora załatwić sprawę i zmykać. - Pokażę ci, gdzie stoi, dobrze?

Jeśli widział, co się ze mną dzieje, nie dał nic po sobie poznać.

- Dzięki - odpowiedział swobodnie. - Super. Oczywiście nie będę majstrował przy oprogramowaniu i ustawieniach. Spróbuję tylko się zalogować, a jeśli nie uda mi się to w ciągu minuty, dam sobie spokój. O ile naprawdę mogę.

- Oczywiście, że możesz. - Znow udąłam, że ziewam. - Wybacz, naprawdę nie mam pojęcia, skąd to zmęczenie. Tędy proszę. - Musiałam wyminąć go w drzwiach i miałam wrażenie, jakbym stąpała po polu minowym.

Prawie wbiegłam po schodach, a następnie przystanąłam w drzwiach gabinetu Jerry'ego.

- Rany! - Stał jak wryty na progu i gwizdnął przez zęby. - No po prostu bomba!

- Dziękuję. - Podczas ostatniego remontu starannie przemyślałam sobie wystrój tego pokoju i zamówiłam półki oraz biurko z drzewa klonowego, z krzesłami i sofą z miękkiej skóry. Na podłodze rozłożyłam kremowy dywan. Ożywiłam wnętrze zdjęciami: dzieci, moimi i Jerry'ego, kolorowymi reprodukcjami oraz wazonikami ze świeżymi kwiatami, które co tydzień zamawiałam u kwiaciarki w Sutton. Na koniec wstawiłam tu Marmoladę, mojego konika bujanego z dzieciństwa, sfatygowanego, lecz wciąż ukochanego towarzysza zabaw, który zawdzięczał swoje imię pomarańczowej sierści.

Frederick zbliżył się do zabawki.

- Świetny konik! Czyżby miał dla Jerry'ego specjalne znaczenie?

- Nie. Dostałam go, kiedy byłam mała. Po narodzinach Jacka przywiozłam go z Ballina.

- Tylko popatrz. - Poglądził pieszczotliwie sznurkową grzywę. Wierzch jego silnych dłoni był pokryty identycznymi włoskami jak na kostkach. Dlaczego nie zwróciłam na to uwagi w Collioure?

Nieważne. Musiałam uciekać: często zaglądałam do sanktuarium Jerry'ego, lecz obecność Fredericka nadawała temu wymiar zdrady.

- Izabelowaty - oznajmił Frederick. - Ma jasną grzywę i ogon, widzisz? W starożytności często uwieczniano go na obrazach, a nawet freskach. Krzyżowcy po raz pierwszy zobaczyli konie tej barwy podczas walki przeciwko siłom Saladyna, który...

- Wyprodukowano go w Hongkongu, Fredericku. Tam stoi komputer. - Cofnęłam się o krok. - Jak już wspomniałam, w tej kwestii niestety jesteś zdany na siebie, ale na wszelki wypadek poczekam, aż sprawdzisz, czy wszystko działa jak trzeba.

- Jasne. Dziękuję. - Frederick usiadł przy biurku i rozejrzył się za przyciskiem uruchamiającym komputer.

Odszukał go bez trudu; stojąc kilka kroków za nim, patrzyłam, jak monitor budzi się do życia. Frederick obejrzał się przez ramię i mrugnął szelmowsko.

- A może pokażę ci, co tracisz? Wystarczy pięć minut, a będziesz surfować w sieci.

- Nie, dziękuję - odparłam stanowczo. - Mam w głowie dość informacji, które nie przyniosły mi żadnego pożytku.

Rozsądek nakazywał mi natychmiast opuścić pokój, ale uparcie tkwiłam w miejscu. Usłyszałam szum modemu.

- No i wszystko gra - oświadczyłam. - Idę. Dobranoc, Fredericku.

Już miałam odejść, gdy moją uwagę zwrócił czerwony wykrzyknik przy wiadomości od osobistej asystentki mojego męża. Pewnie coś ważnego.

- Powinniśmy ją otworzyć. - Przysunęłam się do monitora i pokazałam palcem wiadomość. - Pewnie nie mogła się do niego dodzwonić. Najwyżej sama przekaże mu wiadomość.

Frederick kliknął. Wiadomość się otworzyła.

- Proszę, proszę! Co my tutaj mamy! Oj, ten Jerry! - W pierwszym odruchu roześmiał się serdecznie. Następnie przeniósł wzrok na mnie. - Ups! Chyba nie miałaś tego zobaczyć. - Pospiesznie zamknął wiadomość, po czym obróciwszy się z krzesłem, dotknął mojego ramienia. - Ejże, Bebe - powiedział łagodnie. - Tylko się nie denerwuj! Przecież to nic wielkiego. Bez przerwy wysyłamy sobie takie wiadomości! Ot, dziecinada.



Wspominałam o trzech wydarzeniach, za których sprawą świat stał się na wskroś rzeczywisty. Było to bezsprzecznie czwarte z nich. Oszołomiona wlepiłam wzrok w pulpit.

- Bebe? Tesso? - Frederick na wpół uniósł się z krzesła, ale go powstrzymałam.

- Rób, co masz robić, Fredericku.

Ciekawe, co też człowiekowi przychodzi do głowy w takich sytuacjach. Aparat cyfrowy.

- Nic mi nie jest, naprawdę. Masz rację, to rzeczywiście nic ważnego... -

Odwrociłam się plecami do Fredericka. Przed Bożym Narodzeniem Jerry poprosił mnie o radę w kwestii prezentu dla Susan. Miał być niezbyt osobisty, ale przemyślany. Zaproponowałam aparat cyfrowy.

- Jesteś pewna, że wszystko w porządku? - Frederick ponownie uniósł się z krzesła. Jego twarz wyrażała szczerą troskę. - Mam to skasować?

- Nie, nie. Masz rację, chyba nie powinnam była jej otwierać. - Podeszłam do drzwi, po czym raz jeszcze spojrzałam na Fredericka. Ba, nawet się uśmiechnęłam. - Dobranoc, Fredericku. Widzimy się rano.

Dobrzełam do sypialni, a następnie do łazienki, gdzie zwymiotowałam zapiekankę.

Opatrzona wykrzyknikiem wiadomość do mojego męża kryła zdjęcie głębokiego dekoltu białej bluzki, odsłaniającego obfite piersi. Pomiędzy nimi widniał srebrny wisiołek firmy Alan Ardiff, który wybrałam dla Susan na urodziny. Niżej, pod biustem, widniała podłużna kartka z napisem: TĘSKNIMY!

## Rozdział 25

---

Jakoś dobrnęliśmy do końca wakacji, choć kiedy mój Ricky wyjechał na mistrzostwa do Japonii, a Jerry wrócił do pracy i zostałyśmy same z dziećmi, w willi zrobiło się dziwnie pusto. Nie umiałam traktować Amerykanina jako jednego z nas: w głębi duszy nie mogłam go zaakceptować, chociaż rozsądek podpowiadał, że moja niechęć jest kompletnie nieuzasadniona. I zgoła niepojęta, bo zwykle lubię przebywać w większym gronie.

Początkowo wmawiałam sobie, że martwię się jego wpływem na Carol i Alice, które przez pierwsze dni łączyły za nim jak wierne psiaki. Ostrożność nigdy nie zawadzi, a czy to mało na tym świecie zboczeńców? Ale muszę przyznać, że choć nie spuszczałam z niego oka, nigdy nie wykazał choćby najmniejszych odchyień od normy. Zachowywał się bez zarzutu, do tego stopnia, że dziewczynki szybko się nim znudziły i skupiły całą uwagę na opalonych Francuzach i Duńczykach z plaży. Poza tym trzeba mu oddać, że miał wprost świętą cierpliwość do Tommy'ego.

Następnie otwarcie postawiłam sobie pytanie, czy nie jestem aby zazdrosna o Tess. I uznałam, że chyba właśnie tu leży pies pogrzebany, tym bardziej że kilkakrotnie jeździli na te swoje wycieczki i siedziałam w willi sama jak ten kołek w płocie. A gdy Yarso wyjechał na parę dni w Pireneje, a stosunki między mną a Tess odzyskały dawną postać, z tęsknoty nosiło ją z miejsca na miejsce...

Wiem, że to dziecinada. (Mówię to wszystko z perspektywy czasu: wtedy za nic bym się nie przyznała do zazdrości, ale któż może wiedzieć, co tam człowiekowi siedzi w głowie). Przez wzgląd na Tess okazywałam mu uprzejmość, ale sama czułam, że zachowuję się nienaturalnie i strasznie mnie to wkurzało. I gdy mimo nieustannych wysiłków nie potrafiłam wykrzesać z siebie za grosz sympatii, machnęłam ręką. Niektórych uczuć po prostu nie da się wytłumaczyć i już.

Pod koniec pobytu w Collioure byłam już tak podminowana, że nawet próbowałam przekupstwem skłonić Kitty, aby wybrała się ze mną na dwudziestoczerogodzinną wycieczkę do Andorry.

- No jedź, będzie fajnie. To podobno raj dla zakupowiczów, same sklepy wolnocłowe. Zobaczysz, kupię ci ekstrarolki. I zegarek Gucciego. Zgadzasz się?

- Nie. Dziękuję, matko, ale nie skorzystam. Zegarek Gucciego? Fuj! To już niemodne! - To „matko” pojawiło się ostatnio; zawsze tak mówi, kiedy chce mnie splawić. Poważnie zainteresowała się Jackiem, dając mi do zrozumienia, że ma już własne dorosłe sekrety. Przyjęłam to z rezygnacją, ale zazdrościłam jej dreszczyku.

Ucieszyłam się, że padło właśnie na niego, bo tak jak już chyba mówiłam, to dobry chłopak. Matka i ojczym mają z nim twardy orzech do zgryzienia, ale koniec końców Jack też niejedno już przeżył. Najpierw tragiczna śmierć ojca, a niedługo potem pojawienie się intruza, jak zapewne musi postrzegać Jerry'ego. Ukoronowaniem wszystkiego była wyprowadzka z ich przytulnego domku w Sallynoggin. Arkadia jest piękna, ale to nie tam chodził do szkoły i nawiązał wiele przyjaźni.

Co do pozostałych dzieciaków, jak zawsze w czasie wakacji poznały nowe koleżanki i kolegów i zajmowały się swoimi sprawami. Nasza Patricia została praktycznie adoptowana przez duńskie małżeństwo z naprawdę dobrze wychowanymi bliźniakami. Nawet mały cudak Tommy zaprzyjaźnił się z mieszkającą w pobliżu ośmioletnią Marie-Claire, która najwyraźniej nie dostrzegała w nim nic dziwnego. Może z powodu bariery językowej! Poznali się chyba na placu zabaw; Marie-Claire bawiła się z siostrą w dom i zaproponowała mu rolę tatusia. Najwyraźniej zrobił furorę, gdyż niebawem oznajmił Tess, że nie przyjdzie na kolację, bo zaprosiła go Marie-Claire.

Teraz widzicie, dlaczego miałam wszystkiego dosyć. Żałowałam, że nie pojechałam z Rickym na Daleki Wschód: kiedy ucichła wrzawa wokół Roya Keane'a (odesłanego do domu z obozu treningowego w Japonii) i drużyna zaczęła jakoś sobie radzić, dzwonił do mnie tak rozentuzjasmowany, że czasami nie rozumiałam, co mówi. A kiedy znaleźliśmy w Collioure pub, gdzie oglądano w telewizji mecz między Irlandią a Arabią Saudyjską (z francuskim komentarzem, którego nie rozumieliśmy ni w ząb), moje rozgoryczenie tylko przybrało na sile. Zwłaszcza że w pewnym momencie zobaczyłam zbliżenie grupy irlandzkich kibiców, wśród których siedział mój Ricky z ekipą i zielono-biało-złotym transparentem z napisem: „Mocton na

wyjeździe, 2002". Mockton to miejscowa reprezentacja gry w strzałki. Wszystko wskazywało na to, że bawią się wyśmienicie.

Tak czy owak, po raz pierwszy w życiu z ulgą przyjąłem koniec wakacji.

Bez względu na samotność, po powrocie do domu szybko zatęskniłam za Collioure, możecie mi wierzyć. To było podobno najgorsze lato w Irlandii od 1985 roku.

Może nawet w całej historii tego kraju. Deszcz, deszcz i znowu deszcz. Ulice przypominały rwące potoki, bez kaloszy ani rusz. Szkoda, że nie widzieliście bydła. Obraz nędzy i rozpacz. Dacie wiarę, że nie wypuszczaliśmy koni (w lipcu?!), ponieważ zapadały się w błocie aż po zad. A co do mojego pięknego ogrodu, wyglądał niczym plac budowy. Którejś nocy kucyk Patricii jakimś cudem wydostał się z boksu i zamienił klomby w istne pobojowisko. Ten klimat jest po prostu wykańczający.

Humory Ricky'ego bynajmniej nie poprawiły mi samopoczucia. I choć Irlandia znalazła się wśród szesnastu najlepszych drużyn (oczywiście pojechał z nimi z Japonii do Korei), jego zachowanie po powrocie było co najmniej dziwne. Stał się nadzwyczaj cichy i zamknięty w sobie.

Oczywiście wzięłam poprawkę na jego zmęczenie: przez pierwszą dobę praktycznie nie ruszał się z łóżka, a i potem zdarzało mu się przysypiać w ciągu dnia. Zaczął nawet wracać do domu przed zamknięciem sklepów.

Postanowiłam go wy badać. Jedliśmy zarcie na wynos i oglądaliśmy „Big Brothera”. (Ricky wykazywał umiarkowane zainteresowanie programem, ale ja szybko się wciągnęłam, chociaż nie oglądałam od początku). Na zewnątrz padało jak zwykle, więc zaciągnęliśmy zasłony i siedzieliśmy sobie w ciepłym domku.

Oczywiście próbował mnie zbyć. Czy nie rozumiem, że ma prawo być zmęczony?

- Padam na pysk, Reet. Na moim miejscu czułabyś się tak samo. Te loty to mordęga.

Ale ze mną nie tak łatwo, o nie! Nie dałam za wygraną.

- Wiem, że coś jest na rzeczy, Ricky, czuję to przez skórę.

- Mylisz się, Reet. - Z wolna pokręcił głową, jakby szukał wiarygodnej wymówki. - Poza tym jestem zadowolony stanem irlandzkiej piłki nożnej! Też mi

przyjemność, gnać na drugi koniec świata i oglądać mecz bez Roya. Na szczęście kolejne ważne rozgrywki odbędą się w Portugalii i w Niemczech. - Poprawił poduszkę pod głową i wlepił markotne spojrzenie w talerz. - O ile rzecz jasna zakwalifikujemy się bez Roya. - Ricky ma karnet na Old Trafford, Roy Keane to jego idol, a to, co zaszło pomiędzy nim a menedżerem to „niemądra sprzeczka z nadmiaru emocji”. Twierdzenie, że został odesłany do domu, jest „nadużyciem”. - Przed decydującym meczem, Reet! Ile Mick McCarthy ma lat, pytam?

- A Roy Keane? - odpowiedziałam pytaniem. Moim zdaniem obaj jednakowo zawinili. Ale dla Ricky'ego Roy jest bohaterem bez skazy. To dziennikarze niepotrzebnie rozdmuchali całą sprawę, „gajery” straciły kontrolę nad sytuacją, a menedżer zamiast zadzierać z gwiazdą, powinien mieć na uwadze dobro całej drużyny. Gdyby nie zabrakło Roya, Irlandia mogła przynajmniej dojść do finału, twierdził Ricky. Obyłoby się bez rzutów karnych z Hiszpanią w trzech czwartych.

- Czyli chodzi jedynie o piłkę nożną? - zapytałam bez przekonania.

- Nie rozmawiajmy już o tym, Reet. Niedobrze mi się robi na samą myśl. - Porwał z talerza frytkę i przeżuł ją ze złością.

Tym razem mu się upiekło. Ale jeszcze wrócimy do tematu. W przypadku mężczyzn podchody to najlepsza taktyka. Poza tym Jade, duża blondynka z „Big Brothera”, właśnie toczyła boje z jednym ze współlokatorów i nie chciałam się rozpraszać. Ricky chwilowo mógł spać spokojnie.

Któregoś wieczoru mniej więcej tydzień po powrocie zajrzałam do Maddy. Wreszcie miałam okazję odwiedzić jej bagaż. Biedaczka, że też wcześniej jej nie odwiedziłam. Tess i ja kilkakrotnie dzwoniłyśmy z Francji, ale wiadomo, jak to bywa z tymi rozmowami na odległość. Zresztą Maddy była tak podłamana, że z trudem podtrzymywałyśmy rozmowę. I choć wieści o Fergusie zwarzyły nam humor, nie byłyśmy szczególnie zdziwione.

Jak tylko mi otworzyła, zrozumiałam, że ostro popija: miała przesuszoną, ziemistą cerę i przekrwione oczy. I wyglądała co najmniej piętnaście lat starzej, niż wskazywała na to jej metryka.

Zaprosiła mnie do środka i dalej beczeć, i zawodzić, że „ja powiedziałam to”, a „on powiedział tamto”. I tak od słowa do słowa przedstawiła mi wydarzenia owej pamiętnej nocy.

- To wszystko moja wina, Reet, niepotrzebnie go prowokowałam. Gdyby nie to, wciąż by tu był. Chcę umrzeć. - Popatrzyła na mnie wielkimi zapadniętymi oczami. - Nie mam już po co żyć. Moje życie dobiegło kresu. - Zawsze z nas wszystkich najbardziej dramatyzowała.

Siedziałyśmy obok siebie na sofie, każda ze szklanką ginu w ręku. Mają ładny salon ze sporym wykuszem okiennym i kompletem mebli kupionych przed paru laty na wyprzedazy w Arnotts. Urządzono go w różnych odcieniach beżu; był to pomysł Fergususa, który wielokrotnie głosił teorię, że dyskretne kolory nigdy się nie nudzą, a co za tym idzie, wykluczają konieczność częstych zmian wystroju (czytaj: można więc trochę zaoszczędzić). Prawie słyszę, jak to mówi, z tym swoim namaszczeniem.

Cóż, kolory rzeczywiście są praktyczne, ale wcale nie sprawiają, że pokój wygląda przytulnie, zwłaszcza kiedy za oknem leje.

W przeciwieństwie do domu Maddy Arkadia to istna rezydencja, ale Tess ma świetny gust: każdy pokój został urządony z wielką dbałością o szczegóły i aż miło do niego wejść. Jest przytulnie jak we własnym domu, chociaż wśród tej masy kruchych bibelotów zawsze czuję się jak słoń w składzie porcelany.

Problem salonu Maddy nie polegał jednak wyłącznie na niefortunnym doborze kolorów. Wprost nie mogłam uwierzyć, że do tego stopnia go zapuściła: na dywanie widniały liczne plamy, w powietrzu unosił się smród brudnych popielniczek, a w kominku roilo się od niedopałków. Od razu widać, że dawno nie odkurzała. Jakże to do niej niepodobne.

Oczywiście miała inne zmartwienia, ale od razu zrozumiałam, że nasze obawy o stan jej zdrowia okazały się w pełni uzasadnione.

- Daj spokój, Mad - powiedziałam, obejmując ją ramieniem. - Co ty mówisz, dziewczyno, jaki kres? Przecież sama w to nie wierzysz. Musisz opiekować się Colmem. Na pewno jest zdezorientowany i bardzo cię potrzebuje.

- Colm... o mój Boże! Jestem beznadziejną matką. Lepiej mu będzie beze mnie. - I ukryła twarz w dłoniach. Lekko ścisnęłam jej ramię.

- Masz prawo czuć się skrzywdzona, ale przestań się tak katować. Wcale nie jesteś beznadziejną matką, Colm cię uwielbia. Dojdzie do siebie, zobaczysz. Nic mu nie grozi, ma przed sobą całe życie. Porozmawiasz z nim jak tylko odzyskasz równowagę.

- Myślisz, że powinnam zabrać go do domu, Rito? - Podniosła na mnie zalaną łzami, czerwoną twarz, która przypominała pyszczek przestraszonej małpki. - Uważasz, że to dobry pomysł?

- Wszystko w swoim czasie. W twoim stanie trudno o racjonalną ocenę sytuacji, Maddy. A niedługo odwiedzimy go razem w Ballineen.

- Kiedy?

Pospiesznie zebrałam myśli. Absolutnie nie powinna teraz rozmawiać z Colmem, tylko wyprowadzi go z równowagi.

- Niedługo. Spróbuj to wszystko ogarnąć, Maddy. I znaleźć dobre strony sytuacji. Może to twoja wielka szansa. Możesz zrobić, co zechcesz, możesz wrócić na scenę, a nawet na studia, nie pytając nikogo o pozwolenie.

- Nie chcę wracać na scenę - jęknęła. - Nie chcę wracać na studia! Chcę Fergus! - Podniosła głos.

- Hej, Maddy, posłuchaj. Posłuchaj! - powtórzyłam głośniejszym głosem, żeby mnie usłyszała. - Wystarczy tylko odrobina wysiłku. Wiem, że to okropne, ale co się stało, to się nie odstanie. Nie ma sensu liczyć na jego powrót.

- Jesteście zadowolone, co? - Prawie wypluła te słowa, po czym strąciła z ramienia moją rękę.

- Słucham?

- Myślisz, że nie widziałam tych waszych znaczących spojrzeń? Nic nie mówiłam, bo nie chciałam konfliktów, ale zawsze wiedziałam, że go nie lubicie.

Otworzyłam usta, żeby zaprzeczyć, ale Maddy rozkręciła się na całego i prawie zaczęła wrzeszczeć.

- Tylko nie kłam, Rita! Nawet nie próbuj!

Cholera, pomyślałam. Zawsze muszę powiedzieć o dwa słowa za dużo. Nie mogłam zwyczajnie siedzieć, klepiąc ją po plecach? No skąd, jak zawsze musiałam odegrać mamusię. Patrzyłam na jej wykrzywioną twarz, słuchałam tego jej bulgotania

i ogarniało mnie coraz większe zniecierpliwienie. Z drugiej strony mogłam się tylko domyślać, co czuje, toteż bynajmniej nie miałam prawa jej osądzać.

Jedno było pewne: słusznie martwiłam się o równowagę psychiczną Maddy. Kilka dni przed naszym spotkaniem, tuż po tym jak roztrzęsiona nadawała mi do słuchawki, co się stało, mało nie zadzwoniłam do telewizji i nie powiedziałam temu gnojnikowi, co o nim myślę. Niech wraca do domu i zajmie się żoną! Myślę, że nie byłoby trudno go zlokalizować. Lecz po namyśle zrezygnowałam. Uznałam, że moja interwencja obróciłaby się przeciwko Maddy: jeszcze by pomyślał, że mnie nasłała. Dopiero dałby jej popalić.

Zapadał zmierzch. Zawodzenia Maddy na szczęście nieco przycichły, a ja ukradkiem spjrzałam na zegarek. Za pięć dziesiąta. Nie planowałam spędzić tu całego wieczoru.

- Proszę. - Wyjęłam papierową chusteczkę z niemal doszczętnie opróżnionego pudełka - Uspokój się, Mad. Nie będziemy teraz rozmawiać o Tess, o mnie i o naszym stosunku do Fergusa. Wytrzymaj oczy.

- A co, zaprzeczysz? Nigdy go nie lubiłyście.

- Nie ma w tym nic osobistego. Po prostu nie mogłyśmy patrzeć, jak cię traktował.

Chciała coś dodać, ale zrezygnowała i tylko wydmuchała nos.

- Przepraszam, Rita. Jesteś najlepszą przyjaciółką, jaką można sobie wymarzyć.

- Nie masz za co przepraszać, Mad. Kochamy cię, sama dobrze o tym wiesz.

Posłuchaj... - Znów spjrzałam na zegarek, tym razem ostentacyjnie. - Zaraz muszę lecieć, ale najpierw musimy o czymś porozmawiać. O czymś poważnym.

- Czy bycie zdradzoną i porzuconą przez męża nie jest według ciebie wystarczająco poważną sprawą?

Wyglądało na to, że zaraz znowu wybuchnie. Oburącz chwyciłam jej dłoń.

- Maddy.

- Przepraszam!

Puściłam ją.



- Oczywiście, że poważnym, ale martwi mnie coś jeszcze. Zresztą, nie tylko mnie. Tess również. - Głęboko zaczerpnęłam powietrza. - Martwimy się o twoje zdrowie.

- O moje zdrowie?

- Jesteś za chuda. Ale to nie wszystko. Naszym zdaniem zbyt często zaglądasz do kieliszka, Mad.

- Że co proszę? - Zesztywniała. Cóż, przynajmniej zaczęła mnie słuchać. Próbowałam nadać głosowi łagodny, troskliwy ton. - Ujęłam to niezbyt subtelnie, wiem. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Czy Fergus kiedykolwiek wspomniał coś na ten temat? Jestem pewna, że on...

- Pilnuj swojego wścibskiego nosa, Rita!

- Wiem, że nie chcesz tego słuchać, Maddy. - Chciałam ponownie wziąć ją za rękę, ale nie pozwoliła.

Próbowałam zachować spokój.

- Myślisz, że mówiłabym to dla zabawy? - Widziałam, że aż się w niej gotuje, mimo to ciągnęłam: - Może powinnaś pojechać do kliniki? Albo przynajmniej porozmawiać z lekarzem pierwszego kontaktu? To byłby pierwszy krok. Pójdę z tobą... Tess też. Cały czas będziemy przy tobie.

- Ja śmiesz? Jak śmiesz tu przychodzić...

- Maddy!

Dryń! Dryń! Moja cholerna komórka.

- Psiakrew! Wybacz, Mad, powinnam była ją wyłączyć. - Spojrzałam na wyświetlacz. - To Tess. Powiem jej, że oddzwonię, dobrze?

- Naturalnie - odrzekła wyniośle. - Święta Teresa od Dzieciątka. Nie możemy denerwować świętej Tess!

Poczułam, że zaraz stracę cierpliwość. I (wstyd się przyznać) po raz pierwszy pomyślałam o Fergusie z czymś na kształt współczucia.

- Przymkniesz się wreszcie, Maddy? Przecież jestem tu z tobą, nie? - Przyłożyłam słuchawkę do ucha i warknęłam: - Halo?

- Ach! Halo, Rita... dzwonię nie porę? - Mówiła spokojnym, wręcz chłodnym głosem, ale od razu zrozumiałam, że coś nie gra.

- Ależ skąd, przepraszam za to powitanie. Tak się składa... - wysiliłam się na beztroski ton - ...że jestem u Maddy. Ucięłyśmy sobie... pogawędkę. - Powiedziałam to znacząco, żeby się domyśliła, w czym rzecz. Jednocześnie uśmiechnęłam się do Maddy, niech nie myśli, że coś knujemy za jej plecami. (Jezu, ależ to życie bywa skomplikowane, nie?)

Maddy zwinęła się w kłębek na sofie.

- Ach, pozdrów ją ode mnie, dobrze. - Głos Tess jakby nieco zadrżał. - Jak się czuje?

- Nic ci nie jest? Mówisz tak dziwnie.

- Nie, wszystko dobrze. Cisza.

- Tess? Jesteś tam?

- Tak - wychrypiała.

- Mów, co się dzieje, Tess.

- Właściwie to nie jest dobrze. Wcale nie jest dobrze, Rito, dlatego do ciebie dzwonię. Przepraszam, że zawracam ci głowę, ale stało się coś straszego i... - Wybuchnęła płaczem.

## *Rozdział 26*

---

Tess, co... co się stało, kochana? Powiedz.

Jednak przez kolejną minutę nie zdołałam wydobyć z jej bełkotu ani słowa. Byłam przerażona. Nigdy, ale to nigdy nie widziałam, żeby Tess Butler Brennan do tego stopnia straciła nad sobą kontrolę. Nawet w najgorszym okresie, tuż po śmierci Michaela.

- Cii... Tess. Tess! Posłuchaj! Troszkę wolniej, kochana. Nic z tego nie rozumiem!

Maddy wybałuszyła na mnie oczy, a na jej chudej, małpiej twarzyczce odbiło się zdumienie. Musiała usłyszeć zawroźnienie płynące z słuchawki.

- Co się stało? - spytała bezgłośnie.

Pokazałam na migi, że nie mam pojęcia. Naraz chyba usłyszałam coś o Fredericku.

- Zaraz, chwileczkę. Tess. Tess! - Wreszcie udało mi się dojść do głosu.

Szloch ucichł. Tess odkaszlnęła, a następnie wydmuchała nos.

- Prze... przepraszam, R-Rito! - Dostała czkawki. - Bardzo cię przepraszam.

Zadzwonię jutro.

- Wykluczone! - huknęłam. - Żadne jutro. Natychmiast mów, co się dzieje.

Wspomniałaś coś o Fredericku Yarso?

- Jest tutaj.

- Co?

Usłyszałam przetykaną czkawką sagę o Fredericku, komputerze i cholernym mejlu.

Wiecie co, ta rewolucja techniczna naprawdę czasami daje mi do myślenia.

Szkoda, że postęp nie zatrzymał się na epoce dylizansów. Byłoby parę złamanych serc mniej.

Ale Susan Vitelli Moore? Nie mogłam w to uwierzyć. Taka miła dziewczyna.

- Jesteś pewna, że to wiadomość od Susan? - zapytałam.

- Tak... - Usłyszałam, jak Tess hałaśliwie przełyka ślinę, próbując wziąć się w garść. - Na sto procent. Miała na sobie...

I dalej ani rusz.

- Posłuchaj - rzuciłam pospiesznie. - Może jednak nie wyciągaj pochopnych wniosków. Może odpowiedź jest w gruncie rzeczy bajecznie prosta. Będziesz musiała porozmawiać z Jerryem, tylko spokojnie, bez awantur. Słyszysz? Bez awantur.

Przynajmniej daj mu szansę. Czy jest choćby cień... powtarzam: cień prawdopodobieństwa, że nie ma pojęcia o całej sprawie i jest czysty jak łąza? I że to od początku do końca jej sprawka? Jakieś urojenia czy coś?

Oczywiście ani przez chwilę nie brałam pod uwagę takiej możliwości.

„Tęsknimy”?

Po drugiej stronie linii zapadła cisza.

- Tess? Nic ci nie jest?

- Dziękuję, że mnie wysłuchałaś, Rito. - Przynajmniej odzyskała nieco panowanie nad sobą. - Wybacz, że zakłóciłam twój spokój. Jak tam Maddy?  
- W porządku. - Popatrzyłam na nią z uśmiechem.  
- Jerry jest na konferencji - dodała po chwili Tess. - Nie wiem, co mam mu powiedzieć, kiedy zadzwoni. -

Znów zawiódł ją głos i choć wiedziałam, że najgorsze minęło, było to tak niepodobne do spokojnej, poukładanej Tess, że nie wierzyłam własnym uszom. Miałam ochotę od razu wsiąść w samochód, pojechać do Howth i nauczyć ich wszystkich moresu.

Ale znalazłam się między młotem a kowadłem. Przecież nie mogłam zostawić Maddy w takim stanie.

- Natychmiast wsiadaj w samochód, Tess - poleciłam kategorycznie. - I przyjeżdżaj do Maddy. Sytuacja wymaga zwołania narady wojennej.

Próbowała protestować, że jest późno, że za daleko, że Jack jeszcze nie wrócił i tym podobne bzdury, ale czułam, że chce przyjechać i po moich namowach wreszcie ustąpiła.

- Tylko nie zapominaj, że dotrę tam dopiero za jakieś czterdzieści pięć minut, Rita. I zostanę nie dłużej niż pół godziny.

Popatrzyłam na Maddy, skuloną nad stertą mokrych chusteczek. Na pół godziny, już to widzę, pomyślałam.

- Dobrze - powiedziałam głośno. - Czas nie ma znaczenia. Nigdzie się stąd nie ruszamy.

Kiedy czekałyśmy na Tess, wyjaśniłam Maddy, co się stało, próbując nie dopowiadać nic od siebie. Wyglądało na to, że Susan Vitelli Moore sfotografowała własne piersi i wysłała zdjęcie szefowi. Gdyby nie to, że sprawa dotyczyła naszej najlepszej przyjaciółki, można by pęknać ze śmiechu, bo chociaż bezsprzecznie trzymałam stronę Tess, dostrzegałam również humorystyczny aspekt sytuacji. No bo, kurczę, jak ona to zrobiła? Wyobraziłam sobie, jak leży po godzinach na fotokopiarce, próbując przybrać odpowiednią pozycję...

I to dla kogo, dla napuszonego Jerry'ego Brennana! Jezu, w pale się nie mieści.

Maddy z wrażenia miała oczy jak talerze. Niecierpliwie czekała na przyjazd Tess. Nie ma nic bardziej krzepiącego niż myśl, że komuś innemu też jest źle.

Szykowałam się długa noc, więc postanowiłam zostać do rana. Kiedy Maddy poszła do łazienki, zadzwoniłam do Ricky'ego i opowiedziałam mu, co zaszło. Nie miał nic przeciwko, żebym nocowała poza domem.

- Zostań, jak długo chcesz, Reet? Jak tam Maddy, daje w szyjkę?

- Trochę. - Wspominałam mu o problemie Maddy, zresztą sam znał paru alkoholików. Radził, żeby bacznie ją obserwować i zaczekać, aż będzie gotowa przyjąć pomoc... albo sama o nią poprosi. Dopiero wtedy zdołamy coś wskórać, tłumaczył. I jak się dzisiaj okazało, miał absolutną rację.

- Chwała Bogu, że mnie tam nie ma - dodał. - Płaczące kobiety to nie moja specjalność. Ale pozdrów je ode mnie, dobrze? Jezus Maria, Jerry Brennan! Kto by pomyślał?

Mówił dziarskim głosem „prawdziwego” Ricky'ego, a nie Ricky'ego „w depresji”, toteż postanowiłam kuć żelazo, póki gorące i raz jeszcze spróbowałam wyciągnąć go na zwierzenia. Najpierw Maddy... Potem Tess... Byłam jak nakręcona.

- No właśnie - przytaknęłam. - Słuchaj, Rick, Maddy wyszła do toalety.

Wracając do naszej rozmowy, dobrze się czujesz?

- Jasne, pączusiu. - Z miejsca przeszedł do defensywy. - Dlaczego wciąż zadajesz mi to pytanie?

- Kobieca intuicja. Musisz przyznać, żeś był ostatnio jakiś nieswój. A dokładnie od powrotu z Dalekiego Wschodu. Ciągłe byś się pokładał. To do ciebie niepodobne.

- Daj spokój, Reet. Zaczynasz mi działać na nerwy. Nastrój ci się udzielił, ot co. Powtarzam ostatni raz: nic mi nie jest.

- Ale, Ricky...

- Nic mi nie jest, Rita!

Trudno, żebym bawiła się w hiszpańską inkwizycję, siedząc na sofie u koleżanki.

- Niech ci będzie - ustąpiłam. - Nie zamierzam więcej pytać, tylko po prostu umówię cię do lekarza. I to jak najszybciej. Nie jesteś sobą, Ricky, wiem, co mówię. Może przywlokłeś z podróży jakąś ichnię zarazę.

- Rita!

- Pójdiesz do lekarza, już ja tego dopilnuję! I nawet nie próbuj się sprzeciwiać, dobrze?

Jęknął.

- Ależ z ciebie megiera, Rito Corcoran. - (Corcoran to moje panięskie nazwisko).

Wróciła Maddy, więc szybko zakończyliśmy rozmowę. Zrozumiałam, że wobec zaistniałych okoliczności na razie nie ma sensu rozmawiać o odwyku. To jej dom i jej butelka, którą i tak osuszy, z moim udziałem lub nie. Dlatego wykonałam zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i poprosiłam, żeby nałala drugą kolejkę.

Kiedy za dziesięć jedenasta Tess zajechała pod dom, miałam już za sobą kolejne dwie rundki.

- Wchodź, skarbie - powiedziałam, otworzywszy drzwi. Ona też sprawiała wrażenie zmarnowanej, ale nie wyglądała tak dramatycznie jak Maddy. Zwykle przywiązuje ogromną wagę do swojego wyglądu, tego wieczoru jednak była rozczochrana, miała spuchnięte oczy i czerwony nos. - Biedactwo! - Mocno ją przytuliłam. - Przecież to jeszcze nie koniec świata.

- Powinnaś spojrzeć na to z mojej strony! - Próbowała obrócić wszystko w żart, ale nie brzmiało to przekonująco.

Maddy wypadła na korytarz i rzuciła się jej na szyję.

- To niemożliwe! Obie jedziemy na tym samym wózku!

- O Boże, o Boże, Maddy! Wybacz, proszę, że nie okazałam ci dość zrozumienia. Powinnam cię odwiedzić zaraz po powrocie.

Przekrzykiwały się na wyścigi i lały łzy. Istny dom wariatów. Nie pozostawało mi nic innego, jak wkroczyć do akcji.

- Pora na coś mocniejszego - oznajmiłam, ciągnąc je w kierunku salonu.

- Lepiej nie, muszę prowadzić. - Tess puściła wreszcie Maddy i usiadła.

Tess nigdy nie złamie reguł, nawet gdy sufit wali jej się na głowę.

- Terefero - skwitowałam. - Możesz wezwać taksówkę, stać cię na to. A rano wrócisz taksówką po samochód. O ile, rzecz jasna, nie zostaniesz tu na noc, co moim zdaniem powinnaś zrobić. A jeśli twoje przypuszczenia okażą się słuszne - dodałam z

rozpędu - i ten łobuz rzeczywiście bzyka sekretarkę, przez resztę życia będziesz jeździć po Dublinie cadillakiem. Osobiście tego dopilnuję. Dlatego zostaniesz z nami i koniec. Pora, żebyśmy sobie wreszcie poużywały.

- Ale umówiłam się na rano z ojcem. Mamy iść na spacer. Jeśli mnie nie będzie...

- Zadzwoń i mu powiedz.

- Nie ma kto odebrać. Frederick na pewno tego nie zrobi, a ojciec już śpi.

- Posłuchaj, Tess... - Traciłam cierpliwość. To jej rozdmuchane poczucie odpowiedzialności zawsze działało na mnie jak płachta na byka. Ojciec, Tom, Jack, Jerry, a teraz Frederick... niezła wyszłaby z tego piosenka. Nalałam gin do trzech szklanek. - Proszę! Napij się wreszcie. - Uzupełniłam zawartość tonikiem i podałam przyjaciółkom drinki. - A teraz głowy do góry! Nie musimy ich nisko pochyłać. Jesteśmy swoim największym atutem i zasługujemy na wszystko, co najlepsze. *Slainte!*

Mimo początkowych protestów Tess bez większych oporów przechyliła szklankę i duszkiem opróżniła jej zawartość.

- To rozumiem - powiedziałam. - Dawaj. - Napełniłam szklankę ponownie i wzniosłam kolejny toast. - Za nas!

W ciągu kolejnych trzech kwadransów, które upłynęły na łzawej wymianie poglądów, Tess wypila następne trzy drinki, a Maddy cztery, w związku z czym obie były zalane w trupa, chociaż zastosowałam starą sztuczkę z ograniczeniem ilości alkoholu na korzyść toniku. Uznałam, że lepiej oszczędzić im porannych sensacji, poza tym i tak niczego nie zauważyły.

Sama piłam już tylko tonik. Jestem od nich grubsza i dużo więcej jem, toteż mogę wypić więcej bez uszczerbku dla samopoczucia. Osiągnęłam jednak wiek, kiedy perspektywa kaca skutecznie mąci przyjemność picia. Co prawda nigdy nie wierzyłam w bajdurzenia, jakoby kobiety po ginie upijały się na smutno, ale na wszelki wypadek wolałam trzymać rękę na pulsie.

Wypiłam wszakże dość, by ogarnęło mnie błogie poczucie rozmarzenia, które osiągamy o krok od upojenia alkoholowego, kiedy to nic nie jest nam straszne i możemy hurtowo rozwiązywać cudze problemy.

Oto, jak przedstawiała się sytuacja. Na początku Maddy dosłownie płonęła z ciekawości i wypytywała Tess o szczegóły. Podejrzewam, że wieczne uzalanie się nad sobą wykończyło już nawet ją samą, więc cudze nieszczęście spadło jej jak z nieba. Po pierwszych dwóch ginach Tess rozwiązał się język i zaczęła rozważać swoje kolejne posunięcie.

Mnie przypadła rola milczącej, troskliwej ciotki. Patrząc na nas z zewnątrz, można by dojść do wniosku, że jesteśmy trzema przyjaciółkami, które po prostu spotkały się na kielicha.

Maddy pyta o tego Yarso.

- Czekaaj, czekaaj - upewnia się - mówisz, że jechałaś samochodem, a on zmierzał w stronę Arkadii? Tak po prostu? Tak bez uprzedzenia?

- Ano! - Tess kiwa głową.

- Jak on wygląda? - Maddy podstawia mi szklankę do napełnienia.

- No... - mówi Tess. - Wysoki, chudy, pociągła twarz, jasne kędzierzawe włosy...

- Wypisz wymaluj Michael Butler - wtrącam, podając Maddy drinka i siadając naprzeciwko. - Tylko kolor włosów ma inny.

Jak na komendę zwracają się w moją stronę. Na śmierć zapomniały, że jestem Ritą, a nie barmanem. Moje słowa docierają wreszcie do Maddy, która z każdym drinkiem zaczyna coraz energiczniej gestykulować.

- O rany! Tess! - Chce przycisnąć rękę do ust, ale zapomina, że trzyma w niej papierosa, który na szczęście wysuwa się z palców i ląduje na sofie.

- Jezu, Maddy! - Zrywam się z krzesła.

- Co? - Patrzy na mnie, po czym przenosi błędny wzrok na sofę, ale nie podnosi papierosa, który jakimś cudem znikł mi z oczu. No pięknie, myślę. Jeszcze tego brakuje, żebyśmy tu żywcem spłonęły.

Podchodzę do sofy i znajduję papierosa. Na szczęście nie zdążył narobić żadnych szkód. Gasząc go, słyszę zduszony dźwięk. Tess zakryła twarz rękami i znowu płacze.

- To kara - mówi, po czym dodaje coś jeszcze, ale tak niewyraźnie, że trudno rozróżnić słowa.



- Kara? - Maddy zapala kolejnego papierosa i wydmuchuje dym. Klepie Tess po ramieniu. - Wypłacz się, kochana, Wiem, jak to jest. Ale jaka znowu kara?

Po raz n-ty bezsilnie opadam na krzesło. Wiem, że to zabrzmi okrutnie, ale zaczynam mieć już dość. Czuję się jak wynajęty szofer na surrealistycznym przyjęciu gwiazdkowym i marzę, aby przyłożyć głowę do poduszki.

- Co ci znowu strzeliło do głowy, Tess? Tess czka.

- Przepraszam. Kara. Kara boska.

- Słucham? - Nie wierzę własnym uszom. - A co ty niby zrobiłaś?

- N-nie, n-nie zrobiłam, ale p-pomyślałam. Przepraszam. Zgrzeszyłam myślą.

Mam na końcu języka, żeby przestała wygadywać głupoty (z łatwością odgadłam, z kim popełniła tę straszliwą zbrodnię), ale jest naprawdę zdruzgotana i nie chcę jej dobijać. Więc mówię tylko, żeby nie była dla siebie zbyt surowa.

- Nic złego nie zrobiłaś, skarbie.

Obie patrzą na mnie mętym wzrokiem.

- Kiedy ona ma rację, Rita. Zgrzeszyć myślą to tak jak zgrzeszyć ciałem - zapewnia solennie Maddy.

Dzwoni komórka Tess. Z trudem wyjmuję ją z torby.

- Daj mi to. - Chwytam torebkę i wyjmuję telefon dokładnie w chwili, gdy przestaje dzwonić i na wyświetlaczu pojawia się napis „nieodebrane połączenie”. Wyłączam go.

- Zaczekaj, Rito. - Tess wyciąga rękę. - To p-pewnie - przepraszam - Jerry.

- Naprawdę czujesz się na siłach, żeby z nim teraz rozmawiać? W takim stanie?

Nie lepiej poczekać z tym do rana?

- Tak myślisz? - Łzy wciąż kapią jej z oczu. Patrzy na mnie jak na jakiegoś guru. Czuję, jak moje zniecierpliwienie znika bez śladu.

- Tak. - Z powagą kiwam głową. - Jutro. Zawsze lepiej wziąć na wstrzymanie.

- D-Dobrze. Przepraszam.

- Grzeczna dziewczynka. - Widzę, że Maddy znów zaczyna się rozklejać. Cóż, nie jestem święta i mam serdecznie dosyć. - Jazda do łóżek. Jutro porozmawiamy. - Maddy protestuje, ale zabieram jej szklanekę, po czym sięgam po szklanekę Tess i

stawiam obie na półce nad kominkiem. Tess wstaje bez niczyjej pomocy, ale Maddy muszę podnieść.

Na piętrze każda poszła w swoją stronę. Maddy po drodze huknęła w drzwi, ale chcąc nie chcąc musiałam ją zostawić i otworzyłam szafę, aby przejrzeć jej zmiętą zawartość. Znalazłam tylko jedną koszulę nocną. Dałam ją Tess, na mnie i tak by nie pasowała. Sama zadowolłam się piżamą Fergususa.

- Zaśniesz, Tess?

- M-Mam nadzieję. Przytuliłam ją na dobranoc.

- Rano spojrzysz na wszystko z lepszej strony. Zobaczysz. Możesz na mnie liczyć. Jasne?

- Jasne. Dziękuję ci, Rita. Jesteś cudowną przyjaciółką.

- Cicho bądź. A teraz jazda do pokoju i licz barany.

- Dobrze. - Posłała mi błądy uśmiech i poszła.

Też się położyłam, lecz natłok myśli długo nie pozwalał mi zasnąć. Łóżko było wprawdzie wygodne, ale pokoje gościnne Maddy wbrew swojej nazwie wcale nie są „gościnne”. Gołe ściany, tanie firanki, minimum mebli i puste walizki spiętrzone w kącie. Nikt dawno tu nie spał: pościel była wprawdzie czysta, ale załatywała wilgocią. Kto wie, ile przeleżała pod narzutą. Tęskniłam za własnym łóżkiem i gorącym cielskiem Ricky'ego.

Co mam z nimi zrobić? Co im powiedzieć? Aż zakręciło mi się w głowie.

Łatwo udawać wszystkowiedzącą, trudniej przewidzieć konsekwencje swoich słów. Jeśli udzielisz komuś złej rady, a on posłucha, nigdy ci tego nie daruje.

## Rozdział 27

---

Było ciemno.

Rzadko pijam alkohol; gdy położyłam się do łóżka, od razu zmorzył mnie pijacki sen, z którego obudziłam się z koszmarną migreną. Musiałam chrapać, bo strasznie bolało mnie gardło.

Najgorszy był jednak strach, który mnie ogarnął, w miarę jak napływały wspomnienia ubiegłego wieczoru. Na przykład pewnego biustu. Zapaliłam lampkę przy łóżku w pokoju gościnnym Maddy i spojrzałam na zegarek. Dochodziła trzecia nad ranem, przespałam niecałe trzy godziny.

Wpatrywałam się w tarczę zegarka od Raymonda Weila. To zeszłoroczny prezent urodzinowy od męża. Prześliczny, z białego złota, z dyskretnym brylantem wmontowanym w tarczę. Pomimo otepienia wywołanego zmęczeniem i nadmiarem trunku musiałam stłumić przemożną chęć, by rzucić go na podłogę i podeptać. Pewnie zlecił kupno swojej osobistej asystentce.

Po śmierci Michaela, kiedy mój świat pogrążył się w chaosie, ojciec przyjechał do Sallynoggin, gdzie pomógł mi w formalnościach i udzielił pewnej rady. Wynikała ona z jego metodycznego usposobienia i była w zasadzie bardzo prosta, ale uchwyciłam się jej jak tonący brzytwy. „Uporaj się, z czym możesz, Tereso - powiedział - Resztę odłóż na później. Bądź praktyczna, to cię ocali. Zrób listę tego, co musisz załatwić. Umieść najważniejsze sprawy na początku, a najmniej ważne na końcu, ale codziennie załatw chociaż jedną i odhacz ją na liście. Dzięki temu odzyskasz panowanie nad sytuacją. To pozwoli ci przetrwać”.

Przywołałam teraz te słowa. I spróbowałam się do nich zastosować.

No to do dzieła. Punkt pierwszy. Co jest najbardziej pilne?

Pomysł upadł z chwilą, gdy zrozumiałam, że punkt drugi nie istnieje. Moja lista sprowadzała się do jednego: musiałam stawić czoło mężowi, który wróci ze Sztokholmu dopiero za dwa dni. Nie mogłam czekać tak długo. Nie w tym stanie.

Wiedziałam, że już nie zasnę, toteż wstałam z łóżka, zdjęłam pościel (siła przyzwyczajenia) i pospiesznie wciągnęłam ubranie, wzdrygając się przy każdym

lodowatym ukłuciu wewnątrz czaszki. Następnie po omacku zesłam na dół i otworzyłam frontowe drzwi. Odgłos, który towarzyszył ich zamykaniu, zabrzmiał w ciszy wczesnego poranka niczym wystrzał armatni. Podjazd był mokry, ale deszcz ustał i w powietrzu unosiła się lekka woń pnączy oraz goździków, niemal doszczętnie zagłuszonych chwastami.

Zdawałam sobie sprawę, że wciąż mam pewnie alkohol we krwi i nie powinnam siadać za kierownicą. Lecz jeśli będę ostrożna, nikomu nie zrobię krzywdy, poza tym o tej porze będę miała miasto dla siebie. Moje przypuszczenia okazały się słuszne: powoli ruszyłam naprzód, uważając na światła i pilnując, aby wskazówka szybkościomierza znajdowała się w stałej pozycji. Jednocześnie usiłowałam nie wsłuchiwać się w kojący szum opon na mokrym asfalcie w obawie, by nie stracić czujności.

Mama zawsze mówiła, że nieszczęścia chodzą trójkami: mieliśmy już zdradę Fergusa, teraz przyszła kolej na zdradę Jerry'ego. Co albo kto następny? Rita i Ricky?

Bogu niech będą dzięki za Ritę i Ricky'ego.

Za mostem O'Connella skręciłam w prawo wzdłuż Eden Quay, kierując się w stronę ronda na Point. Z każdym metrem mój kac przybierał na sile. Tuż przed zakretem poczułam mdłości, więc zjechałam na prawe pobocze i zatrzymałam się przy rzece. Wyłączony silnik, opuściłam szybę, na wszelki wypadek trzymając rękę na klamce.

Liffey była wezbrana, ale spokojna; płynęła niemal bezszelestnie, roztaczając zapach zimnej gliny. Raz po raz przełykałam ślinę i zamknąwszy oczy wystawiłam twarz na poranny chłód. Mdłości powoli ustąpiły.

Kiedy ponownie otworzyłam oczy, stwierdziłam, że mam towarzystwo. Na krawężniku tuż przy drzwiach balansowała mewa; przekrzywiła głowę, lustrując mnie bacznie jednym okiem. Wreszcie uznała, że nie jestem godna jej uwagi, rozpostarła skrzydła i pofrunęła w kierunku morza. Śledziłam jej lot, dopóki nie zginęła mi z oczu na poziomej kresce światła przecinającej horyzont między dokami.

Czy poprzez zdradę Jerry szukał potwierdzenia swej męskości i wolności osobistej? (Nie obchodziło mnie, czy dopuścił się samego aktu). Nie chciało mi się wierzyć, że ktoś o takim kręgosłupie moralnym mógł zniżyć się do takiego banału.

A może cierpiał? Może mój wiecznie zajęty, władczy mąż z jakiegoś powodu czuł się nieszczęśliwy? Minęło sporo czasu, odkąd próbowałam spojrzeć na świat jego oczami i wczuć się w jego sytuację. Jednakże chwilowo nie czułam się na siłach: byłam tak skołowana, że ewentualne wysiłki musiałyby spełznąć na niczym.

A jeśli ją kochał? Wolałam nie rozważać tej przygnębiającej opcji, przynajmniej chwilowo, i skupiłam uwagę na tym, co mnie otaczało: rzece, placach budowy, różowiejącym niebie, moście, nieruchomościach.

Widok podziałał na mnie kojąco i oparłam głowę o drzwi. W swoim wierszu o Londynie Wordsworth mógł właściwie nawiązywać do Dublina.

Przypomniałam sobie fragment:

*Rzeka płynie przed siebie, swobodna, szczęśliwa;  
Boże! Mnogość tych domów, cichych jakby spały,  
Moc tego serca, które w bezruchu spoczywa!\**

\* Przekład Stanisława Barańczaka.

„Mocny” było jednym z ulubionych superlatywnych określeń ojca. Na boisku piłkarskim „mocne” zwycięstwo dla Mayo. Na pogrzebie zmarły był „mocnym” człowiekiem. Owo mocne serce Dublina biłoby dalej bez mojego udziału. Gdybym teraz rozplynęła się w powietrzu, dźwig dalej by się kołysał, promy i kontenerowce przyplływałyby i odpływały ściśle według rozkładu, Point rozbrzmiałby oklaskami na cześć nowych gwiazd popu i tenorów, a most East Link dalej wędrowałby w górę, aby przepuścić jachty. No a rzeka wpadałaby do morza, tak jak czyni to od tysięcy lat. Jakie to ma znaczenie, że Susan Vitelli Moore i Jerry Brennan na ułamek sekundy zostali kochankami?

Owszem, ma.

Ma, ma, ma... Poczułam, jak żołądek wędruje mi do gardła.

W samą porę dopadłam do barierki i zwymiotowałam, plamiąc brunatny uskok rzeki. Zasapana podniosłam głowę i rozejrzałam się dokoła: na szczęście nikt nie był

świadkiem mojej klęski. Ujrzałam jednak, jak szlaban na drugim brzegu idzie w górę, przepuszczając białą ciężarówkę.

Roztrzęsiona i przemarznięta do cna wsiadłam do samochodu, po czym przepłukałam usta wodą mineralną, którą zawsze trzymam w schowku. Nie spuszczać wzroku z nadjeżdżającej z wolna ciężarówki, dyskretnie splunęłam na chodnik. Następnie zamknęłam okno i włączyłam silnik: mimo ćmiącego bólu głowy odczułam nieznaczną ulgę. Przynajmniej przestało mi być niedobrze.

Skrecając w East Wall, przypomniałam sobie umowę z ojcem: za niespełna kilka godzin mieliśmy iść na spacer. O czym będziemy rozmawiać? Jak mam zataić coś, co bez reszty pochłania moje myśli? To niemożliwe, nie dam rady...

Uspokój się, Tess. Tak mocno nacisnęłam pedał gazu, że samochód skoczył jak kangur. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy i nauczyć się z nią żyć.

Gdy hamowałam na naszym podjeździe, dochodziło wpół do piątej i okna różowiały w świetle wschodzącego słońca. Zamiast od razu wejść do środka, przejrzałam się w lusterku.

- Kocham moje dzieci - powiedziałam głośno do mizernej, nieprzytomnej twarzy. - Kocham mojego męża, ojca, przyjaciółki, ale kocham też Arkadię. To mąż mnie zdradził, dom nigdy mi tego nie zrobi. A jeśli jestem dekadencją materialistką o kamiennym sercu, trudno. - I czując się jak skończona idiotka, odwróciłam wzrok.

Okrążyłam dom i weszłam do ogrodu, następnie skierowałam się do prymitywnej altanki pozostałej po dawnych właścicielach. Stoi pod baldachimem z gałęzi wiekowej brzozy, nazywamy ją chatką. Nie wprowadziłam tu żadnych ulepszeń, przez co wygląda dokładnie jak w chwili, kiedy się wprowadziliśmy. Są w niej tylko ławka i ratanowy stół; lubię tu przychodzić i czytać, zwłaszcza w brzydką pogodę, kiedy deszcz szeleszczący wśród liści kapie na blaszany dach.

Ktoś, kto wymyślił nazwę domu, trafił w sedno. Sprawdziłam w encyklopedii, że Arkadia to „sielski zakątek często występujący w greckiej i rzymskiej poezji bukolicznej”. Tego ranka mój bujny, mokry ogród pasował do tego opisu jak ulał. Zupełnie jakbym znalazła się w gwarnej ptaszarni, gdzie pogruchiwały gołębie, parka sikorek buszowała w gęstym bluszczu porastającym tylną ścianę domu, a kos pełną pierśią nawoływał pozostałych do pieśni na cześć budzącego się słońca.

Otoczona ramionami Arkadii, mojej ostoji w nieszczęściu, przypominałam sobie słowa prezentera prowadzącego program o antykach. Nie zapamiętałam dokładnie, w każdym razie rozwodził się nad powabem starych mebli i wspominał coś o poczuciu ciągłości bądź iluzji niezmiennego stanu rzeczy... Coś w tym stylu.

Mniejsza o dokładny cytat, prawda zawarta w jego słowach uderzyła mnie z nagłą jasnością. W świetle krótkiego pobytu nad rzeką oraz własnych niewesołych refleksji, myśl o przedmiotach, które przetrwają w nieziennej formie podczas gdy kolejne pokolenia właścicieli obróca się pył, wydała mi się nader krzepiąca.

Owszem, wierzę w postęp, lecz tylko duchowy. Postać, w jakiej zostaliśmy stworzeni, jest z góry skazana na zagładę.

Dom to symbol nad symbole. Cierpię na widok chaty zrujnowanej wskutek ludzkiego zaniedbania, przy czym wiem, że gdzieś w pokrzywach leży zardzewiały czajnik lub skórzany but. Najpierw został stworzony, a następnie porzucony, ale wciąż trwa. Kiedy mnie nie będzie, Arkadia pozostanie nienaruszona. Przetrwa, dopóki ludzka obojętność lub chciwość nie przypieczeruje jej losu. Tymczasem zaś roztoczy nade mną opiekę, jakkolwiek paradoksalnie to brzmi...

Boże! Aż mnie zatkało: co ze mnie za kobieta, która w obliczu takiego kryzysu emocjonalnego czerpie otuchę z kupy cegieł?

Nie jestem pewna, jak długo tam siedziałam, lecz gdy podniosłam się z miejsca i ruszyłam przez parujący trawnik w stronę domu, słońce stało już wysoko. Bez przeszkód dotarłam na górę, choć przy drzwiach gabinetu Jerry'ego mało nie upadłam: bezwstydną wiadomość dosłownie krzyczała do mnie zza ścian.

Miałam zamiar wziąć długi, gorący prysznic, jednakże widok wielkiego łóżka i śnieżnobiałej pościeli okazał się nieodparcie kuszący. Tylko kwadransik, obiecałam sobie w duchu. Nawet nie wejść pod kołdrę.

Kiedy się ocknęłam, ojciec szarpał mnie za ramię.

- Tereso! Tereso! Jest piętnaście po siódmej!

- Dzięki, tato! - Zerwałam się do pozycji siedzącej. - Byłam już na nogach, nie chciałam cię budzić...

W chwilach niezadowolenia wargi ojca ściągają się w niemal niewidoczną kreskę. Tak też stało się i teraz.

- Skoro tak twierdzisz, Tereso. Zaczekam na dole.

- Boże - jęknęłam, z powrotem opadając na poduszki. Ale dałam plamę! Ładny początek dnia, nie ma co.

Rzędy wód toaletowych Jerry'ego na półce w łazience, każda na inną okazję, zdawały się bojowo zwierać szyki. Jak on śmie? Jak śmie wychodzić rano do pracy i udawać, że pochłaniają go wyłącznie słupki cyfr? Jak śmie przynosić mi róże?! Nagle wszystko stało się jasne: róże, napięcie i skwaszony humor w Collioure, a potem dobry humor po powrocie, kiedy mógł do niej wrócić.

Seks dwie noce pod rząd. Poczucie winy czy może litość? Zapomniałam o ojcu i pobiegłam do telefonu.

Odebrał po drugim sygnale.

- Tak? - powiedział ściszym głosem. Pewnie spotkanie już się zaczęło.

- Coś się stało, Jerry. Musisz wrócić do domu.

- Co? Z dziećmi wszystko w porządku?

- Tak. Ale musisz wracać... dzisiaj! - Grałam na zwłokę. - Nie będę o tym rozmawiać przez telefon.

- Co... - Minimalnie podniósł głos. Nie dałam mu dokończyć.

- Porozmawiamy, jak wrócisz. Wracaj do domu. - I odłożyłam słuchawkę.

Przezornie nie odwiesiłam jej na widełki, na wypadek gdyby próbował oddzwonić.

Otworzyłam płyn do płukania ust i pociągnęłam prosto z gwinta, przejechałam szczotką po włosach i włożywszy adidas, zbiegłam na dół. Ojciec stał przy drzwiach z rękami założonymi do tyłu, w czapce na głowie i zapiętym płaszczu.

- Jedną chwileczkę, tato. - Z salonu dobiegały odgłosy kreskówki. Kiedy zajrzałam do środka, Tom i Frederick, jednakowo zaabsorbowani treścią filmu, zajadali płatki z mlekiem. - Dzień dobry! - zawołałam.

Tylko Frederick podniósł wzrok.

- Cześć, Bebe! Dobrze spałaś?

Spojrzałam uważnie, ale na jego twarzy nie dostrzegłam ani śladu ironii.

- Nie najgorzej - odpowiedziałam możliwie beztróskim tonem. - A ty? Pokój w porządku?



- Jak najbardziej - potwierdził wesoło. - Chyba umarłem i poszedłem do nieba.

- O której wróciłeś, Tom?

- Mama Colina odwiozła mnie wieczorem.

- Myślałam, że chcesz u niego nocować.

- Zmieniłem zdanie. - Nawet nie oderwał wzroku od telewizora.

Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Spędziłam noc poza domem, pewnie stąd pełna dezaprobaty mina ojca: ma lekki sen.

- Ojciec na ciebie czeka - poinformował Frederick, jakby czytał w moich myślach. - Mam usmażyć naleśniki?

- Dziękuję - odrzekłam z rezygnacją. Najwyraźniej czuł się jak u siebie w domu.

- No to do zobaczenia - rzucił pogodnie. - Pewnie za jakąś godzinę? - I ponownie skupił uwagę na filmie.

- Zawsze pozwalasz Tomowi tak wcześnie oglądać telewizję? - Na mój widok ojciec podniósł parasol.

Nie miałam najmniejszej ochoty na rozmowy o wychowaniu.

- Ma wakacje, tato. - Narzuciłam kurtkę.

- Tylko tak pytałem. To nie moja sprawa, Tereso.

W milczeniu pojechaliśmy na molo. Była dopiero za piętnaście ósma, ale na szosie panował tłok: ludzie jechali do pracy. Ojciec cmoknął pod nosem, kiedy sportowe auto wyminęło nas ostrym łukiem tuż przed skrzyżowaniem w główną ulicę. Zwykle powiedziałabym parę słów w obronie niefortunnego kierowcy, chociażby na przekór, dziś jednak nie miałam siły. Byłe tylko przebrnąć przez kolejną godzinę.

Pomogłam ojcu wysiąść z samochodu, czego nie znośił.

- No, może wreszcie doczekamy się ładnej pogody. - Odsunął się i wcisnął czapkę mocniej na uszy. - Oczywiście nie mam nic do Fredericka, ale te ulewy to sprawka Amerykanów. To oni przyczynili się do zmiany klimatu. Czytałaś, że nie chcą podpisać traktatu z Kyoto? Też! Tylko by zatruwali atmosferę.

Wiedziałałam, że próbuje zatuszować wcześniejszą uwagę. Zawsze gdy czuł, że przeholował, robił się nadzwyczaj gadatliwy.

- Powinni go podpisać, tato.

- Naturalnie, że powinni. Czy wiesz, że czterdzieści procent teksańskich samochodów to gigantyczne ciężarówki?

- Nie... - Ruszyliśmy przed siebie. Wszystko wróciło do normy, zarówno komunikacja, jak i hierarchia: ojcu przypadła rola mędrca, a mnie słuchacza.

Znaczna część wybrzeża w Howth jest obwarowana budynkami, wśród których są domy mieszkalne, magazyny i sklepy rybne. Ostatnio pojawiło się też kilka restauracji. Nadpływały kutry po nocnych połowach, więc mimo kiepskiego samopoczucia i widma przekłętą zdjęć bez trudu znajdowałam tematy do rozmowy. „Patrz, tato! Zobacz! Tam, przy sterze! Co ta ryba ma na głowie? Czy to żabnica?” Albo: „Co sądzisz o tym, tato? Zobacz, jaki wielki węgorz...” I pokazywałam na rybę ze zmiażdżonym łbem. W ten sposób powoli zdążaliśmy naprzód.

Na krańcu moła zastaliśmy dwóch zapalonych wędkarzy, cierpliwie oczekujących na zdobycz.

Podczas pobytu w Howth ojciec zawsze lubi sobie uciąć pogawędkę z wędkarzami i pochwalić się łososiem, jakiego kiedyś złapał w Moy. A gdy moło jest puste, idzie na sam koniec i patrzy w morze.

Ale tym razem stało się najgorsze. Ni Stąd, ni zowąd przystanął, a następnie uniósł głowę i głęboko wciągnął powietrze w płuca.

- Oho! Chyba czuję deszcz.

Popatrzyłam na niebo. Po obiecującym poranku rzeczywiście się zachmurzyło, chociaż chmury były wysoko.

- Boże, masz rację, tato - powiedziałam z rozpaczą. - Powinniśmy wracać.

- Skoro tak mówisz...

- Owszem. Te poranki tylko mamią człowieka złudną nadzieją, prawda? -

Wzięłam go pod rękę. Zesztywniał, lecz nie zaproponował, co nie wróżyło nic dobrego.

## Rozdział 28

---

Po drodze nie rozmawialiśmy. Ludzie pomyśleliby na nasz widok: ojciec z córką na sielskim spacerze o poranku. Było to dalekie od prawdy, gdyż nasze złączone ręce przesyłały moc niewyrażonych uczuć. Dzieliła nas niewidzialna granica, a po mojej stronie panował bezdenny smutek.

Zawsze omijałam artykuły prasowe, gdzie dorosłe dzieci opisywały swą więź z ojcem i lata dorastania, które zaowocowały trwałą przyjaźnią. Ogarniała mnie zawiść, gdy oglądałam film, w którym córka uciekała od niedobrego męża i zwierzała się kochającemu tacie lub choćby umiała rozplakać się w jego obecności, na co krzepiąco obejmował ją ramieniem. Kiedy przeszłam na lewą stronę, chcąc go nieco osłonić od przenikliwego wiatru z północnego wschodu, czułam, że on też toczy ze sobą wewnętrzną walkę.

Oboje chcieliśmy wypowiedzieć najprostsze, a zarazem najbardziej skomplikowane słowa w języku angielskim: kocham cię. Żadne z nas nigdy tego nie uczyniło i nie sądziłam, by kiedykolwiek miało to nastąpić. Poszczekiwaliśmy na siebie z irytacją albo tradycyjnie wymienialiśmy eufemizmy. Pytaliśmy się o zdrowie. Nadskakiwałam ojcu, kiedy przyjeżdżał z wizytą; obsypywałam go prezentami i serwowałam mu ulubione potrawy, a on odwdzięczał się bezinteresowną radą i oschłym napominaniem.

Mogłam liczyć na bezwzględne wsparcie taty. Bez względu na chybione (jego zdaniem) wybory i decyzje, których nie brakowało w moim życiu, zawsze był przy mnie.

Perspektywa jego śmierci zawsze istniała dla mnie w sferze abstrakcji, lecz widok jego zmęczonych, szklistych oczu i chudość ramienia pod palcami uświadomiły mi dotkliwie, że owo „zawsze” było pojęciem ze wszech miar względnym.

Jakieś dziesięć metrów przed samochodem zatrzymał się raptownie, co - zważywszy na tok moich myśli - bardzo mnie zaniepokoiło.

- Jesteś zmęczony, tato?

- Nic mi nie jest.

- Na pewno? Strasznie pobladłeś.

- Muszę tylko trochę odetchnąć.

- Dobrze się czujesz?

- Przecież ci mówię, że tak. Chyba zaszkodziło mi coś, co zjadłem wczoraj w pociągu.

- Boli cię coś?

- Nie. Właściwie to nie ból. - (Zawsze stawiał precyzję na pierwszym miejscu, nawet gdy cierpiał). - Raczej ucisk.

- W którym miejscu?

- W okolicach barków. Jak mówiłem, pewnie coś mi zaszkodziło. Tylko nie rób ceregieli. Muszę tylko chwilę postać. - Coś na kształt rezygnacji w jego głosie wzmogło mój niepokój, ale zastosowałam się do polecenia, jak na posłuszną córkę przystało. Wyraźnie brakowało mu tchu. Zaraz po powrocie wezwę lekarza, postanowiłam w duchu. - Tereso - dodał słabym głosem, choć rumieńce powoli wracały na jego twarz. - Pomożesz mi wsiąść do samochodu?

Nie mogę się rozplakać. Nie mogę się przy nim rozkleić. W milczeniu ponownie ujęłam go pod rękę i otworzyłam drzwi pilotem.

Kiedy znaleźliśmy się na swoich siedzeniach i zapięliśmy pasy, spojrzałam na ojca i do oczu napłynęły mi łzy rozpacz, o których nie sądziłam, że po pogrzebie Michaela kiedykolwiek wydostaną się na zewnątrz.

Zdołałam je powstrzymać, chociaż czułam przez skórę, że dzieje się coś niedobrego. Wzbraniałam się przed tym pytaniem, lecz padło bez udziału mojej woli.

- Tatusiu - szepnęłam. - Powiedz mi, co się dzieje.

- Proszę... mam coś dla ciebie. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął wypchaną kopertę. Przez celofanowe okienko dostrzegłam fragment banknotu o nominale stu euro.

- Nie chcę tego! - krzyknęłam. - Ty ich potrzebujesz, na przyszłość...

- Matka kazała mi się tobą opiekować. - Zacisnął znajomo usta, ale wiedziałam, że tym razem nie chodzi o dezaprobatę. - Weź to. - Podał mi kopertę, unikając mojego wzroku.

- Nie. Nie chcę. - Nie zgodzę się na żadne ustępstwa.

- No weź, Tereso. Bierz. - Zaczął mi wpychać kopertę na siłę, prawie mnie nią uderzył. Nie miałam wyboru. Była jeszcze ciepła.

- Grzeczna dziewczynka. To nie dla rodziny. - Jego głos odzyskał w miarę normalne brzmienie. - Masz to odłożyć. Dla siebie. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Ani słowa Jerry'emu. Oczywiście pomyślałem o was wszystkich, o tobie, Jacku i małym Tomie, odłożyłem co nieco na ich kształcenie... McCarthy ma mój testament. Ale te pieniądze są tylko dla ciebie, masz sobie coś kupić. Ja nie wiedziałbym, co wybrać... chyba niczego ci nie brakuje.

Słuchałam go z narastającym przerażeniem. Odkąd sięgałam pamięcią, McCarthy & Ska zajmowali się sprawami naszej rodziny.

- Proszę, tato - jęknęłam. - Nie chcę tego słuchać.

- Tereso, być może ostatni raz mamy szansę na spokojną rozmowę. Bądźmy racjonalni. Życie płynie do przodu. - Mówił dziarsko, jak gdyby nigdy nic. - Sprzedałem sklep. Za dwa tygodnie sfinalizuję transakcję i cała kwota też znajdzie się u McCarthy'ego. - Zająknął się z lekka i dodał: - Joe McCarthy będzie wiedział, co robić.

- Sprzedałeś sklep? - powtórzyłam niedorzecznie.

- Coś nie tak? Chciałaś, żebym go zostawił dla ciebie?

- Nie, oczywiście, że nie, ale... tato?

- Słucham cię?

Ścisnęło mnie w gardle. Kiedy wołałam go w dzieciństwie, zawsze odpowiadał mi w ten sposób.

- Chcesz powiedzieć, że umrzesz? Dlatego robisz to wszystko?

- Wszyscy muszą umrzeć, Tereso. - Strzepnął niewidzialny pyłek z czystych zaprasowanych spodni. - Mam raka - oznajmił krótko. - Nic się nie da zrobić. Nie zgodziłem się na podjęcie leczenia. Skończyłem osiemdziesiąt trzy lata, jaki w tym sens? Ból, wymioty, szpitale, litość wszystkich dokoła. Utrata włosów. Nie, dziękuję. - Zawsze chlubił się swoimi włosami, obecnie siwymi, ale nadal gęstymi i efektownie zaczesanymi do tyłu.

Odniosłam wrażenie, jakby przemawiał do mnie z drugiego końca świata. Nigdy nie znosiłam kilkusekundowych opóźnień, z jakimi docierał przez telefon głos

Jerry'ego, gdy dzwonił z Australii; słowo „rak” wciąż brzęczało mi w głowie.

Wpatrywałam się w ojca błędnym wzrokiem, łzy gdzieś się cofnęły.

- Raka? Czego?

- A jakie to ma znaczenie? Prostaty, skoro już musisz wiedzieć. Z przerzutami do kości. - Wreszcie zerknął na mnie zza modnych okularów w tytanowej oprawce, kupionych na moją prośbę podczas jednej z wizyt w Dublinie. Teraz zobaczyłam, że nie pasowały do jego pociągłej, czerstwej twarzy. - Wybacz, że tak z tym wyskoczyłem, Tereso, ale nie powinnaś się o mnie martwić. Wszystko już załatwiłem, nie chcę być dla ciebie ciężarem. Na szczęście pieniędzy mi nie brakuje.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Powinieneś był mi powiedzieć wcześniej. - Myśli kołatały mi w głowie. To dlatego nie chciał odbitek.

- Dlaczego? - Przeniósł wzrok na dwóch rybaków, którzy polewali węzłem pokład kutra. - I co by zrobiła?

Popatrzyłam oniemiała na ojca, który trwał przy mnie przez pięćdziesiąt lat. Howth, samochód i łódzie zniknęły. Znów byłam małą dziewczynką, a on niezdarnie usiłował zapleść mi warkoczyk. „Musimy być mili dla mamusi. Niech widzi, że sobie radzimy. Nie może się o nas martwić”.

„Boli, tatusiu! Ciągniesz...”

„Przepraszam. Nie mam wprawy”. - Miał na sobie granatowy niedzielny garnitur i wykrochmaloną śnieżnobiałą koszulę, którą wyprała i wyprasowała jedna z naszych sąsiadek. Byłam za mała, żeby zrobić pranie, ale za to podwieczorek szykowałam śpiewająco. Zwłaszcza fasolę na grzankach albo jajka na miękko. Gdy wszystko stało już na stole, z dumą podchodziłam do drzwi łączących mieszkanie ze sklepem i wołałam, jak zwykła to czynić mama: „Chodź, tatusiu! Podano do stołu!”.

Przychodził, wycierając ręce w lnianą ścierkę.

„No proszę! A to niespodzianka! Kochana dziewczynka!”

Ostatniego dnia nie chciałam iść do szpitala. Bałam się, że mama będzie wyglądała jak w ubiegłą niedzielę, cała naszpikowana igłami i rurkami. W Ballina było wówczas tylko kilka telewizorów, toteż szpitalna rzeczywistość wydawała mi się obca i przerażająca. Lecz ojciec nalegał. „Jesteś już dużą dziewczynką, Tereso.

Mamusia chce cię zobaczyć. Uśmiechaj się, bądź grzeczna i przywitaj się z pielęgniarkami. Tylko się nie wierć".

Na szybę kapnęły pierwsze krople deszczu, zamazując widoczne dalej kutry.

- Ile... ile ci zostało? Wzruszył ramionami.

- Bóg raczy wiedzieć.

- Przecież musiałeś zapytać.

- Nie, nie zapytałem.

Zdumienie odebrało mi mowę, ale byłam skłonna mu uwierzyć. Żywił instynktowną nieufność wobec lekarzy, prawników, nauczycieli, policjantów, specjalistów wszelakiej maści oraz wszystkich, którzy uchodzili za autorytety w konkretnych dziedzinach. Wiedziałam też, że skoro nie zdecydował się na bolesną, wyczerpującą kurację, posłusznie wypełni wszelkie inne zalecenia i połknie każdą przepisaną tabletkę. Ale czy mu się to podobało, czy nie, musiałam wiedzieć, ile mu - nam - zostało.

- Wrócimy do tej rozmowy, tato.

- W porządku.

Spodziewałam się sprzeciwu. Czegoś w rodzaju: „Uważam sprawę za zakończoną, Tereso". Jego uległość miała charakter sejsmiczny, odwracała nasze dotychczasowe role. Nie byliśmy już ojcem i córką, nauczycielem i uczennicą. Teraz to ja stałam się odpowiedzialna za niego. Mruknął coś niewyraźnie.

- Co powiedziałaś, tato?

- Schowaj to w bezpieczne miejsce, dobrze? - Głos był starczy, ale odzyskał dawną moc.

- Co takiego?

Wskazał na deskę rozdzielczą, gdzie położyłam kopertę. Zupełnie o niej zapomniałam. Dla świętego spokoju włożyłam ją do schowka.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce, po czym wycofałam się z miejsca, wykręcając do tyłu głowę. Następnie podjechałam na skraj parkingu, przepuściłam przejeżdżające samochody, spojrzałam w prawo, w lewo, w prawo i znowu w lewo, wszędzie, byle nie na niego. W głowie kłębiły mi się słowa, których nie mogłam wypowiedzieć na

głos. Tuż przed nami śmignął motocykl, brawurowo wymijając kolejne pojazdy. Ojciec aż cmoknął.

- Widziałas go? - Pokręcił głową i spojrział za motocyklem, który zdążył już zniknąć nam z oczu. - Gdzie jest policja, pytam? Jeszcze trochę i ten gołowąs zabije albo siebie, albo Bogu ducha winną osobę.

Zrobiło się luźniej i mogliśmy przejechać.

- Jeszcze jedno - powiedziałam i dodałam, jakby to była najbardziej oczywista rzecz na świecie: - Chcę, żebyś z nami zamieszkał.

Brak reakcji.

- Słyszałeś, co powiedziałam? Tato? - Zerknęłam na niego z ukosa.

- Zobaczymy - uciał. Wreszcie normalna odpowiedź. Odetchnęłam z ulgą.

Po powrocie poszedł do pokoju, żeby odpocząć. Byłam kompletnie odrętwiała. Teraz wierzę, że otrzymaliśmy umiejętność rejestrowania potężnych wstrząsów w umiarkowanych dawkach, i że mózg, niczym skomplikowany obwód elektryczny, wyłącza się co jakiś czas, aby uniknąć przeciążeń.

Już miałam iść na górę, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie, gdy moją uwagę zwróciły pomruki dobiegające z kuchni. Tom i Frederick kucali na podłodze, prawie stykając się głowami. Byli tak zaabsorbowani, że nie usłyszeli, jak wchodzę.

- Co tu się dzieje?

- Patrz, mamó! Zobacz, co znaleźliśmy! - Dawno nie widziałam Toma tak podekscytowanego.

Na kafelkach siedział kudłaty czarno-biały szczeniak.

- Była w ogrodzie. Wyglądałem przez okno i zobaczyłem, że coś rusza się w krzakach. Czy możemy ją zatrzymać, mamó? - Patrzył na mnie roziskrzonym wzrokiem.

- Frederick mówi, że może być chora, ale nie mamy pewności. Musimy zabrać ją do weterynarza. Trzeba ją zaszczepić przeciwko... jak to się nazywa? - Zerknął na Fredericka, który wstał z podłogi.

- Parwowirozie. I innym chorobom. - Frederick łypnął przeprasząco. - Nie mogliśmy jej tam zostawić, Tesso, cała się trzęsła. Ma mniej niż sześć tygodni, może nawet pięć. Próbowaliśmy nakarmić ją mlekiem, ale nie chce pić.



- Jest przerażona. - Tom położył głowę na kafelkach, tuż obok szczeniaka, który zwinął się w kłębek, zupełnie jak jeź. Podniosłam pieska, czując pod palcami przyspieszone bicie jego serca. Tylko tego mi brakowało.

- Będę ją karmił, mamó. - Tom z przejęcia mało nie wyszedł ze skóry. Jeszcze chwila, a zaczęłyby podskakiwać. - Będę się nią opiekował, wychodził na spacer. Będę robił wszystko, mamó. Proszę, pozwól mi ją zatrzymać. Przecież nie wyrzucimy jej z powrotem do ogrodu.

- Coraz szybciej wyrzucał słowa. - Mogłaby umrzeć.

Zawsze wiedziałam, że gdy urok nowości minie, to mnie przypadnie obowiązek zajmowania się zwierzęciem, dlatego nigdy nie zgadzałam się na króliki, kocięta, pieski pustynne, chomiki, a nawet na białego szczura, którego Jack przytargał kiedyś do domu ze słowami, że „uratował” go ze szkolnego laboratorium.

- Mogła się zgubić, Tom. Może jakiś inny chłopiec właśnie jej szuka.

- Ale mamó, ona się nie zgubiła, była w naszym ogrodzie! Przecież sama by tu nie przyszła! Jest za mała! - Znowu się nakręcał. - Ktoś ją podrzucił!

Nie miałam sił na dalsze przekomarzanie.

- No dobrze. - Podałam mu bezwładne ciało pieska.

- Pod warunkiem że dotrzymasz obietnicy, Tom. Nauczysz ją czystości i będziesz po niej sprzątał. Mówię poważnie. Jeśli ten obowiązek spadnie na mnie, będziemy musieli ją oddać.

- Och, dziękuję, mamó, dziękuję. - Jego nastrój uległ raptownej zmianie. Chłopiec delikatnie pogładził szczeniaka po głowie. - Nie będziesz musiała nawet kiwnąć palcem. Przysięgam!

- Po śniadaniu zabierzemy ją do weterynarza, dobra?

- zaproponował wesoło Frederick. - Doradzi nam, jak i czym ją karmić.

Przydałyby się też obróżka i legowisko. Jak ją nazwiemy?

- Norma. - Nie przestając gładzić psa, Tom usiadł na krześle, kładąc sobie zwierzę na kolanach.

Nasz gość spojrział na mnie i z rozbawieniem podniósł brwi.

- Świetne imię dla psa! Gdzie tu jest najbliższa klinika weterynaryjna, Bebe? Dojdziemy tam na piechotę?

- Nie wiem. Sprawdź w spisie firm. Jest w szafce pod telefonem, w przedpokoju. - Zabrzmiało ostrzej niż tego chciałam, nie wiedział, co się stało nad morzem. I jeszcze coś: odkryłam, że fizyczność Fredericka przestała robić na mnie wrażenie.

Chyba wyczuł zmianę, ponieważ lekko wytrzeszczył oczy.

- Dobrze - odpowiedział cicho. - W przedpokoju, powiedziałaś?

Poczułam, jak coś we mnie puszcza, unosi się w górę i wylatuje poza dom. Nie, pomyślałam. Nie teraz.

- Tak - odparłam rzeczowo. I dodałam: - Przepraszam, idę się wykapać.

I poszłam, pozostawiając ich w kuchni z Normą.

Na górze zapukałam do pokoju taty. Bez odpowiedzi. Serce załomotało mi w piersi, zastukałam mocniej. Ma lekki sen, powinien usłyszeć. Z łazienki nie dochodziły żadne odgłosy. Ten spacer był dla niego zbyt dużym wysiłkiem...

Melodramatycznie obawiając się najgorszego, ostrożnie otworzyłam drzwi. Ojciec leżał na łóżku na wznak, pochrapując lekko przez uchylone usta.

Przygryzłam pięść, żeby stłumić krzyk: sztuczna szczeka obsunęła mu się nieco i makabrycznie wystawała spomiędzy warg, jakby od kilku dni już nie żył. Wycofałam się na palcach z pokoju.

Rozdygotana sięgnęłam po słuchawkę telefonu w sypialni i zadzwoniłam do informacji z prośbą o numer naszego wiekowego, acz nadzwyczaj żwawego lekarza rodzinnego z Ballina.

Oznajmił, że ojcu pozostało od dwóch do sześciu miesięcy życia.

- Nie będę cię okłamywał, Tereso, nie jest dobrze. Ale ma silny charakter i instynkt podpowiada mi, że wytrwa dopóty, dopóki sam nie postanowi odejść. Widywałem to tysiące razy. W tej chwili liczy się tylko, aby mógł godnie żyć. Bóg jeden wie, jak bardzo sobie na to zasłużył. Paddy Cahill cieszy się u nas wielkim szacunkiem.

- Co mam robić? Spędzi u mnie kolejnych kilka dni. Powinnam zadzwonić do swojego lekarza?

- Nic nie możesz zrobić, Tereso. Oczywiście skonsultuj się ze swoim lekarzem, jeśli to poprawi ci samopoczucie, ale ojciec wziął ze sobą lekarstwa i wie, jak je

zażywać. Teraz czuje się nie najgorzej, to znaczy nie wydaje mi się, aby coś mogło mu się stać jutro czy nawet w przyszłym tygodniu. Jednakże proces, który trwa w jego organizmie, osiągnął już bardzo zaawansowane stadium. Bez chemii i naświetlań nie jesteśmy w stanie zatrzymać czy choćby opóźnić choroby. W miarę upływu czasu pojawią się pewne opcje, które omówimy w stosownej chwili, lecz oczywiście ostateczne decyzje będą należały do twego ojca. Dzwoń, kiedy zechcesz, bez względu na porę. - I dodał po chwili wahania: - Wiem, że to zabrzmiało banalnie, Tereso, ale w pewnym sensie masz szczęście. Potraktuj to jako szansę. Nie wszystkich daje się uprzedzić pięć minut przed czasem. Potraktuj spędzone z nim chwile jak najcenniejszy skarb. I postaraj się wykorzystać je jak najlepiej.

Po skończonej rozmowie siedziałam długo ze słuchawką w ręku. Na podstawie urywanego sygnału wywnioskowałam, że wcześniej ktoś pozostawił wiadomość.

Machinalnie wykręciłam odpowiedni numer. Wiadomości było pięć.

Wszystkie od Jerry'ego. W pierwszych czterech pytał, co się do cholery stało. Za piątym razem dzwonił z lotniska w Sztokholmie z informacją, że zatelefonuje po wylądowaniu na Heathrow.

Martwiłam się, że moja lista ogranicza się do jednego punktu. Cóż, chyba doszedł mi kolejny, prawda?

Czy śmiertelna choroba ojca była kolejną karą za pociąg do Fredericka?

Wyczułam w pokoju czyjaś obecność. Jack stał na progu i tarł zaspane oczy.

- Co się dzieje? Kto gotuje?

Z kuchni dolatywał zapach smażonych naleśników.

## Rozdział 29

---

W domu Maddy panowała martwa cisza. Dochodziła dziesiąta rano, zasnęliśmy. Tak mi się przynajmniej wydawało, dopóki nie wyjrzałam przez okno w korytarzu na podjazd. Samochód Tess zniknął.

Zadzwoiłam do domu, ale odebrał pomocnik.

- Jeszcze nie wstały, pani S. - zaraportował wesóło. Słyszałam, że jest na podwórzu. - We wszystkich oknach są opuszczone rolety. Mam iść do środka i którąś obudzić?

- Niech śpią, Cyrilu. To nic pilnego.

Gdy zadzwoniłam do Ricky'ego, był wyraźnie zaaferowany. Biuro znajduje się na tyłach sklepu, siedzą tam wszyscy księgowi i zazwyczaj jest cicho, lecz tym razem usłyszałam w tle szmer podniesionych głosów.

- Co się stało?

- Jimmy złapał gościa, który wynosił pod bluzą dwie poledwice. Zobaczył plamy krwi i go przyskrzypił. Gówniarz zaczął się stawiać i narobił wrzasku, jakby ktoś chciał go zamordować. Przyjechała policja.

- Z powodu dwu poledwic?

- Daruj sobie komentarz, dobrze? - Ricky'emu wyraźnie skoczyło ciśnienie. - Sęk w tym, że szczeniak jest czarny. Nagadał glinom, że to napaść na tle rasistowskim. Teraz jest ich trzech. Pozostali dwaj to chyba jego bracia albo kuzyni. Musieli czekać na zewnątrz i podnieśli larum. Niewiele brakuje, a zgłoszą to do Trybunału Praw Człowieka. - Głosy w tle przybrały na sile i Ricky wrzasnął: - Cicho tam, dobra? Człowiek nie może spokojnie porozmawiać! - I ponownie zwrócił się do mnie: - Muszę kończyć, Reet. U ciebie wszystko gra?

- Powiedzmy. Do zobaczenia na kolacji. - Ricky zawsze sumiennie zjawiał się na kolacji, „jak mój ojciec, Reet, a wcześniej dziadek”.

- Głowa do góry - powiedział. - Trzymaj się.

- Ty też. - Odkładając słuchawkę, nie mogłam powstrzymać uśmiechu: Jimmy to jeden z naszych ochroniarzy, jest z nami od lat i Ricky awansował go na szefa

ochrony, co trochę uderzyło chłopakowi do głowy. Wszyscy stali klienci docinają mu niemiłosiernie. Jego zadaniem jest pilnowanie pieniędzy w biurze, ale czasem mu się nudzi i uważa się za superbohatera, który ma pieczę nad całym królestwem Ricky'ego. Nie po raz pierwszy narobił rabanu z powodu głupiej sztuki mięsa lub kilku kiełbasek, chociaż wcale nie musi tego robić, gdyż kradzieże są wliczane w koszty. Publicznie utyskujemy na taki stan rzeczy, lecz oboje w gruncie rzeczy wychodzimy z założenia, że ludzie nie kradliby mięsa, gdyby nie byli głodni.

Sklepy z narzędziami to zupełnie inna para kaloszy. Tutaj wszystko musi być przyśrubowane: łopaty, wiertarki, a nawet węże ogrodowe, dacie wiarę? Ścigamy każdego, kto zwinie choćby garść śrubek albo smycz. Inaczej oskubaliby nas ze wszystkiego, ponieważ szybko by się rozniosło, że na to pozwalamy. (Nie uwierzylibyście, czego to ludzie nie kradną: pewną kobietę w Midlands przyłapano na próbie wyniesienia ze sklepu pełnej kieszeni pokarmu dla rybek. Okazało się, że nawet nie ma rybek!

Wpadła, gdy jeden ze sprzedawców zobaczył na podłodze puste opakowanie).

Niepostrzeżenie zrobiło się piętnaście po dziesiątej. Nie byłam pewna, czy zadzwonić do Tess, ale postanowiłam odłożyć to na popołudnie. W końcu wiedziała, że może na mnie liczyć. Jeśli zechce porozmawiać wcześniej, sama zadzwoni.

Z góry dobiegł jakiś szmer. Biedna Maddy znów zaczęła się nad sobą użalać.

Rozejrzałam się po brudnej kuchni. Obrazi się, jeśli posprzątam? A co tam, pomyślałam i zajrzałam pod zlew w poszukiwaniu jifa lub cifa, jak go teraz zwa. Zmieniono nazwę, gdyż ludzie hiszpańskojęzyczni nie wymawiali „j”. Strach pomyśleć, ile kosztowała promocja. Myślałam, że Ricky mnie nabiera, ale podobno to szczerą prawdą.

Zdażyłam opróżnić suszarkę i zwolnić część blatów, kiedy Maddy stanęła wreszcie na progu kuchni. Była ubrana, ale wyglądała upiornie. Zdjęłam gumowe rękawiczki.

- Chciałam zabić czas, chyba się nie gniewasz? Pokręciła głową, co sporo ją kosztowało.

- Usiądź, przed chwilą zagotowałam wodę. Masz chleb, który nie zdażył jeszcze spleśnieć? Ten z kredensu wyrzuciłam.

- W zamrażarce - szepnęła.
- Czyli grzanki. Mogę włączyć radio?
- Tak.

Radio jest niezastąpionym remedium na niezręczną ciszę. Marian Finucane z Radio One wyjechała na urlop, więc pokręciłam gałką i znalazłam miły dla ucha kawałek na Lite FM.

- No. Da się posłuchać. - Przez kilka następnych minut, chcąc dać Maddy nieco zebrać myśli, nuciłam pod nosem i sprawnie przygotowywałam śniadanie. - Proszę - powiedziałam, kładąc przed nią talerzyk z grzanką. - Wcinaj, mała, to ci dobrze zrobi.

Ukryła twarz w dłoniach.

- Nie zrobi.

- Mad...

- Nic nie zrobi! - Podniosła głowę. Umyła zęby, ale miała spierzchnięte usta o zaczerwienionych, popękanych kącikach. Jak skóra ma ładnie wyglądać, skoro Maddy jest tak przeraźliwie chuda? Ja mogłabym przeżyć trzy miesiące o samej wodzie i nikt nie zauważyłby różnicy. Nalałam herbatę do filiżanek.

- Trzeba z tym skończyć, Maddy - powiedziałam łagodnie. - Nawet jeśli chcesz odzyskać Fergus... znasz moje zdanie na ten temat... w takim stanie wiele nie zdziałasz.

- Wiem.

- Pamiętasz naszą wczorajszą rozmowę?

- Jak przez mgłę. - Próbowала unieść filiżankę do ust, ale zaczęła się trząść i rozlała herbatę po całym stole.

- Rozmawialiśmy o tym, że potrzebujesz pomocy.

Cisza.

Z natężeniem wpatrywała się w do połowy opróżnioną filiżankę, jakby ta miała do niej przemówić.

- Maddy?

- Tak, tak, pamiętam.

- No i?

Bez słowa podeszła do suszarki, gdzie umieściłam nową rolkę papierowych ręczników.

- Maddy, słyszysz, co mówię?

- Słyszę, słyszę! Przestań mnie dręczyć! - Krzyk musiał sprawić jej ból, bo z jękiem przycisnęła palce do skroni. Byłam gotowa pójść o zakład, że nie poprzestała na tym, co wypiliśmy w trójkę. Pewnie trzymała w sypialni zapasową butelkę.

Podczas gdy Maddy wycierała stół, ja żułam tosta i intensywnie myślałam. Koniec z odgrywaniem troskliwej mamusi, czas na podjęcie zdecydowanych kroków: jest w takim stanie, że nie będzie oponować. W duchu pomodliłam się o wsparcie do świętego Lawrence'a O'Toole. To patron Dublina i mój ulubiony święty: mało kto o nim słyszał, więc z całą pewnością dysponuje wolnym czasem. (Ulubionym świętym Ricky'ego jest święty Eligiusz. To Francuz i patron dżokejów! Taksówkarzy, jubilerów i numizmatyków też! Wygrzebał go w Internecie, kiedy przed kilku laty otwieraliśmy pierwszy totalizator).

Maddy osuszyła stół. Zwinęła mokre ręczniki w kulkę i wypła łyk świeżej herbaty.

- Przegryź grzanekę, Maddy. Nie można chodzić z pustym żołądkiem.

- Nie dam rady.

- Spróbuj. Chociaż parę kęsów. - Zupełnie jakbym miała do czynienia z przedszkolakiem.

- Kiedy naprawdę nie mogę. To na nic. - Wstała, ale zakreśliło jej się w głowie i musiała przytrzymać się stołu. - Wybacz, Rita, muszę się napić.

- Właśnie, że nie musisz! - Zerwałam się z krzesła i chwyciłam ją za rękę. - Pomyśl logicznie, Mad. Jeśli chcesz uzyskać pomoc, musisz być przytomna.

- Będę przytomna - zapewniła, usiłując się wyrwać. Ale była zbyt słaba i dała za wygraną. Łzy znów pociekły jej po twarzy.

Nie chcę wyjść na bezduszną, ale naprawdę miałam już dosyć tego widoku.

- Nie płacz, Maddy - powiedziałam. - To nic nie pomoże. - Puściłam jej rękę.

- Nic na to nie poradzę. - Siąknęła nosem, po czym wydmuchała go w papierowy ręcznik. Usiadła. - Posłuchaj, Rita, zawrzyjmy pewną umowę. - Patrzyła na mnie błagalnie. - Tylko jeden, ostatni drink, a potem koniec. Koniec, kropka.

Przyrzekam. Dostałam nauczkę, możesz mi wierzyć. Jeden drink postawi mnie na nogi. Muszę strzelić klina, to niezawodne lekarstwo.

- Nie. - Podparłam się pod boki. - Jeśli choćby tkniesz butelkę, wychodzę i tyle mnie widziałas. Mówię serio, Maddy. Będiesz zdana wyłącznie na siebie.

- Ale ja obiecuję... - Zrozumiała, że mówię poważnie i umilkła. Przez chwilę mierzyłyśmy się wzrokiem. Podjęła ostatnią próbę. - Przecież ja dopiero od niedawna... Nie potrzebuję odwyku, Reet, nie jestem alkoholiczką. To niemożliwe.

- Od dawna czy nie od dawna, nałóg to nałóg, skarbie. W rok można się uzależnić. A nawet szybciej, jeśli chodzi o kobiety. Mamy znacznie mniejsze wątroby, Mad.

Zadzwoiła moja komórka. Zignorowałam ją, ale Maddy wykorzystała okazję.

- Nie odbierzesz? Zerknęłam na wyświetlacz.

- Później oddzwonię. To tylko Carol, pewnie potrzebuje kasy. - Dalej świdrowałam ją wzrokiem, podlizując się w duchu Lawrence'owi: święty Lawrensie, wysłuchaj naszej błagalnej modlitwy, otocz nas swą łaskawą opieką... Chyba podziałało, bo Maddy wreszcie zwiesiła głowę.

- Niech ci będzie - wymamrotała. - Powiedz, co mam robić.

- Najpierw dokończymy śniadanie - oznajmiłam i usiadłam naprzeciw niej. - A potem cię odwiozę. - Improwizowałam. - Najpierw myślałam, żeby jechać do lekarza pierwszego kontaktu, tak jak rozmawialiśmy, ale potem przyszło mi do głowy, że i tak dałby nam tylko skierowanie do kliniki, nie? Dlatego najlepiej będzie jak pojedziemy prosto do szpitala. Obejdziemy się bez pośredników, co?

- Do szpitala? - Spojrzała na mnie w popłochu.

- Wiesz, o czym mówię, Maddy. Do szpitala, kliniki, jak zwał, tak zwał. Tam, gdzie otrzymamy pomoc. I znajdziemy specjalistów. Nie ma czego się wstydić. Sławni ludzie bez żenady opowiadają o swoich terapiach odwykowych, sama słyszałam. Ty też pewnie słyszałaś.

A potem skłamałam. Bo choć miałam zamiar zawieźć Maddy do szpitala i tam zostawić, tkliwie ujęłam jej rękę i zapewniłam, że jeszcze tego samego dnia wróci do domu.



- Oni cię tylko zbadają i dostaniesz lekarstwo na poprawę samopoczucia, zobaczysz.

- To wszystko? Obiecujesz, że na tym się skończy? Że tylko porozmawiamy z lekarzem i poprosimy o lekarstwo?

Nie mogąc wytrzymać jej spojrzenia, uwolniłam rękę i starłam z powieki wymagowany pyłek.

- Chcesz się lepiej poczuć, prawda? Lepiej niż teraz?

- Mówisz ironicznie?

- Ależ skąd - rzuciłam lekkim tonem, czując się jak Judasz Iskariota. - Po prostu mówię, jak będzie.

Jazda, ponagliłam się w myślach i opuściłam rękę.

- To gdzie pojedziemy? Znam tylko Rutland Centre, świętego Jana Bosko i świętego Rolanda. Podobno wszystkie są niezłe, ale do Rolanda mamy najbliżej. Masz jakąś inną propozycję? - Wstrzymałam oddech.

- Nie. - Wyglądała tak żałośnie, że mało nie zmiękłam, ale nie dałam nic po sobie poznać. - To co, nie skusisz się na grzaneczkę?

- Nie mogę.

- No to pora ruszać w drogę.

- Jak to? Teraz?

- A po co to odwlekać, Maddy? Sama wiesz, że im później, tym gorzej... - Postanowiłam nie dać jej ani chwili do namysłu. Według moich obliczeń Roland był najbliżej i miałam nadzieję, że przyjmą ją od ręki, a ja potem wrócę i zawiozę jej rzeczy. Rodzina jakoś się dzisiaj beze mnie obejdzie. - Gdzie twoja torebka?

- W przedpokoju.

- Masz w niej klucze? Idź do mojego samochodu. Nic się nie martw, wszystko pozamykam.

Była tak zmarnowana, że nawet nie oponowała, kiedy wypchnęłam ją na korytarz, a potem za drzwi, zgarniając po drodze płaszcz i torebkę. Niewiele brakowało, a kazałabym jej biec. Uznałam, że muszę niezwłocznie oddać ją w ręce specjalistów, dopiero wtedy odetchnę. Już oni będą wiedzieli, co z nią robić.

Posadziwszy ją na przednim siedzeniu, zapiełam pas: wyglądała jak złamany kij od szczotki.

Kiedy wyjeżdżałyśmy na ulicę, gadałam jak nakręcona, w tym jestem dobra. Próbowałam odwrócić jej uwagę opowieścią o problemach Tess, o kradzieży w sklepie, o ludziach ubiegających się o azyl, o Kitty i Jacku. Mówiłam, co mi ślina na język przyniesie. Maddy ani razu się nie odezwała, lecz gdy stanęłyśmy na światłach zobaczyłam, że drży pomimo grubego płaszcza.

- Zimno ci?

- Okropnie. Włączyłam ogrzewanie.

- Ładne lato, co? - Uśmiechnęła się blado, ale po chwili opuściła głowę i przysnęła. Serce mało mi nie pękło z litości, ale musiałam być twarda: alkoholicy potrafią manipulować ludźmi jak nikt; nie przepuściłaby okazji, żeby mnie wystrychnąć na dudka. Dlatego jechałam dalej, powtarzając sobie w duchu, że robię to jedynie dla jej dobra.

Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać. Pomimo całej swojej dętej gadki byłam w tych sprawach kompletnie zielona, jeśli nie liczyć tego, co oglądałam w telewizji albo słyszałam od Ricky'ego i jego znajomych. I choć nam się - odpukać - udało, w Irlandii ze świecą szukać człowieka, który wśród krewnych bądź przyjaciół nie ma alkoholika. Dzięki temu znamy żargon i nazwy szpitali oraz wiemy, co się w nich dzieje. Byłam pewna co do jednego: Maddy musi zgłosić się na leczenie dobrowolnie, a nie w wyniku nacisku, zwłaszcza kogoś spoza rodziny.

Trzeba to delikatnie rozegrać. Wyglądała tak bezbrinnie z tą głową rozkołysaną na boki, mogłam sobie tylko wyobrazić, co czuła przed zaśnięciem. Wiedziała, że postępujemy słusznie, a zarazem bała się i była gotowa przystać na wszystko, byle tylko tego uniknąć.

Spociałam się niemiłosiernie, ale nie miałam odwagi uchylić okna lub zmniejszyć ogrzewania. Niech śpi.

## Rozdział 30

---

Nie było dużego ruchu, toteż dotarliśmy do szpitala po trzydziestu pięciu minutach od opuszczenia domu. Parking za to był załadowany i z trudem znalazłam miejsce. Kiedy wreszcie udało mi się zaparkować, byłam mokra jak szczur i klęłam pod nosem na czym świat stoi. Na szczęście Maddy spała, przewieszona przez pas. Ostrożnie wyłączyłam silnik: tylko tego brakowało, żeby się zbudziła i zaczęła jęczeć.

Wysiadłam z samochodu, podeszłam do drzwi pasażera i otworzyłam je po cichutku, jednocześnie zasłaniając sobą drogę ucieczki.

- Jesteśmy na miejscu, Mad - powiedziałam, potrząsając ją za ramię.

Rozejrzała się nieprzytomnie. - Co...?

- Jesteśmy na miejscu, mała. W szpitalu. Zrobiła przerażoną minę.

- Ja nie chcę. Zmieniłam zdanie. - Szarpnęła za pas, usiłując się rozpiąć.

- Sza. Nie pamiętasz, co ustaliłyśmy? Nie możesz teraz zmienić zdania. -

Nachyliłam się i rozpięłam jej pas.

- Proszę, Rita. Ja się poprawię - zapewniła płaczliwie. - Dotrzymam słowa, obiecuję.

Sama mało się nie rozplakałam; musiałam sobie przypomnieć, co tu robię i dlaczego.

- Nie bądź niemądra, Mad - upomniałam ją tonem księdza. - Nie ma się czego bać, przyjechałyśmy tylko na konsultację. Wiesz, że potrzebujesz pomocy, sama to powiedziałaś... sama mnie prosiłaś! - Cofnęłam się o krok, niby to oburzona. - Chyba nie chcesz powiedzieć, że bez sensu zmarnowałam cały dzień, co? Zapewniam cię, że mam lepsze rzeczy do roboty, Maddy.

- Nie przypominam sobie, żebym cię o cokolwiek prosiła.

- Ale prosiłaś. Wczoraj wieczorem. - Kolejne kłamstwo, chyba jeszcze gorsze, bo dzięki niemu próbowałam dopiąć swego. Oparłam ręce na biodrach. - Nie moja wina, że nie pamiętasz. Urwał ci się film, Maddy. To bardzo poważna sprawa.

- Naprawdę? - Oparła głowę o deskę rozdzielczą; widok cienkich, splątanych włosów Maddy wzruszył mnie tak bardzo, że mało nie ustąpiłam. Mimo to przemówi-

łam jeszcze groźniej. - To jak będzie, Mad? Chcesz, żeby ktoś ci pomógł, czy nie? Zdecyduj się, z łaski swojej. Mam ważniejsze sprawy na głowie. Nie musisz tam iść, zawiozę cię dokąd zechcesz, ale ostrzegam: nie życzę sobie, żebyś jutro przyszła do mnie z płaczem.

Chyba przemówiłam jej do rozsądku, bo tylko popatrzyła na mnie wstrząśnięta. Następnie spróbowała wysiąść z samochodu. Pomogłam jej, była lekka jak piórko.

Kiedy stanęła na chodniku, mocno ją przytuliłam. Było mi strasznie przykro, lecz oczywiście nie dałam nic po sobie poznać.

- Jesteś wspaniała - oznajmiłam. - Podjęłaś słuszną decyzję, naprawdę.

Ruszyliśmy w stronę wejścia. Powoli, ponieważ bała się, że zwymiotuje. Gdy Podeszliśmy bliżej, odruchowo złapała mnie za rękę.

- Patrz, jaki mają ładny ogród - zaświergotałam, pełna nienawiści do samej siebie. - Czy te róże nie są prześliczne?

Wnętrze okazało się staroświeckie, ale czyste i przewiewne, a sama procedura - wbrew moim obawom - stosunkowo bezbolesna. Oczywiście nie poszło zupełnie gładko: bałam się, że Maddy nie wyrazi zgody na pozostanie w szpitalu i zarzuci mi kłamstwo, na szczęście tak się nie stało. Z recepcji wysłano nas do lekarza, a następnie do skromnie umeblowanej poczekalni z paroma krzesłami i stolikiem. Przestraszyłam się, że Maddy zaraz mi powie coś do słuchu.

Ale wszystko potoczyło się zupełnie normalnie. Kobieta, która przyszła do nas z formularzami, okazała się przemiła. Mówiła spokojnym, rzeczowym tonem, tak jakby hospitalizowanie alkoholików nie było powodem do wstydu, ale chlebem powszednim (cóż, w jej wypadku zapewne tak właśnie było).

- Ma pani szczęście - powiedziała z uśmiechem. - Nie wiem, jak to się stało, ale jest dzisiaj sporo wolnych łóżek. Zazwyczaj mamy komplet... do wieczora zostało jeszcze trochę czasu. Mogę nawet zaproponować pani jedynekę. Poproszę legitymację ubezpieczeniową, Madeleine.

Wyjęłam legitymację z torebki. (Maddy jest moim przeciwnikiem. Kiedy wyjeżdżamy za granicę, muszę przewracać dom do góry nogami, żeby znaleźć potrzebne papiery).

- Najbliższy krewny?

Następna krępująca chwila. Ale Maddy znów postanowiła mnie zaskoczyć. Po krótkim wahaniu zdecydowanie podała nazwisko, adres i numer telefonu swego ojca w Ballineen.

- Prosimy tylko, żebyś potraktowała poważnie nasze zalecenia i współpracowała z lekarzami i terapeutami - podjęła kobieta, zapisując dane. I dodała z uśmiechem: - Nasi pacjenci piją mnóstwo kawy. Prędzej czy później staniemy wobec konieczności stworzenia specjalnego sektora dla uzależnionych od kofeiny. W pierwszej kolejności czeka cię odtruwanie. - Sięgnęła po kolejny formularz. - Kiedy ostatnio piłaś alkohol?

- Na mnie już czas, Mad - powiedziałam. - Jesteś w dobrych rękach. Wrócę za jakąś godzinę z twoimi rzeczami, dobrze?

Łzy zalśniły jej w oczach i chwyciła mnie za rękaw jak dziecko, które pierwszy raz zostaje samo w szkole. Zaraz jednak się opamiętała i cofnęła rękę.

- Dziękuję, Rito. Do zobaczenia.

Lecz gdy wróciłam do szpitala z jej ubraniami i kosmetyczką (oraz bukietem i bombonierką na dokładkę), leżała pogrążona w głębokim śnie. Szpitalna koszula była na nią zbyt obszerna i wisiała luźno na ramionach, ukazując sterczące obojczyki.

Ostrożnie postawiłam walizkę przy łóżku i ucałowałam Maddy w chłodne, spocone czoło. Na moment otworzyła oczy i zaraz znów je zamknęła.

Biedactwo.

Muszę zadzwonić do cholernego Fergusa, pomyślałam w drodze powrotnej. W końcu powinien wiedzieć. W każdym razie na pewno nie będę niepokoić jej nieszczęśliwych rodziców i Colma. I tak się dowiedzą, ale niech lepiej sama im powie.

Wakacyjny dzień w naszym domu, zwłaszcza w brzydką pogodę - bo kiedy wróciłam znów padało - to doprawdy prawdziwe wyzwanie. Telewizor i wieża ryczą na cały regulator, dziewczynki (oraz ich przyjaciółki, które poprzedniego dnia zostały na noc) włączają się w szlafrokach, a ja suszę im głowę, żeby wyszły na dwór, no bo przecież nie są z cukru. Nie ma to jak łyk świeżego powietrza, a i kucykowi przyda się trochę ruchu.

Dzisiaj nie było inaczej. Wróciłam prawie w porze kolacji i już na podjeździe przywitało mnie dudnienie podkręconej do maksimum muzyki.

Tylko Kitty wciąż się wylegiwała, pozostałe dziewczynki wraz z koleżankami obsiadły kuchenny stół i podjadały płatki. Podłoga wyglądała jak piaskownica.

- Niech któraś ściszy ten jazgot! - wrzasnęłam od drzwi.

- Maamoo! - Alice przewróciła oczami. - Jeśli go si-ciszymy, wcale nie będzie słychać!

Moja trzecia córka, do niedawna największa pieszczoszka rodziców, niedawno uparła się mówić do ojca po imieniu i przyjęła osobliwy sposób mówienia: w jej wydaniu niektóre wyrazy zyskują kolejną sylabę.

- Jeśli nie ściszyście - ostrzegłam - pójdę i wyłączę odtwarzacz. I utnę wtyczkę.

- Ja ściszę, mamó. - Patricia zerwała się z krzesła i wybiegła z kuchni. Kochane dziecko. Ale jeśli za parę lat zamieni się w Alicię, klnę się na Boga, że zapakuję ją w wiklinowy koszyk i puszcę z nurtem rzeki.

W oczekiwaniu na ciszę dokonałam przeglądu twarzących zwróconych w moim kierunku. Rozpoznałam dwie koleżanki Alicii oraz przyjaciółkę Carol, lecz w gromadce znalazły się co najmniej cztery osoby, które po raz pierwszy widziałam na oczy. Zwykle pytam o imię, gdy widzę kogoś więcej aniżeli trzy razy, gdyż często zdarzają się wizyty jednorazowe. Dziewczęta zmiennymi są.

- Od razu lepiej - oznajmiłam, kiedy muzyka w miarę przycichła. - Witajcie - powiedziałam. - Czujcie się jak u siebie w domu, wolałabym jednak, żebyście teraz zniknęły mi z oczu. Muszę posprzątać i zająć się gotowaniem. Kto zostaje na obiad?

Dziewczynki wymieniły spojrzenia i kolejno, jedna po drugiej, potwierdziły swoją obecność na obiedzie.

- Dziękuję, pani Sleator - odezwała się jedna z nieznanym mi osobek. - Proszę wybaczyć, ale jestem wegetarianką.

- Ja też - pisnęła jej sąsiadka.

- Żaden problem. - Nie takie rzeczy słyszałam. - Jeszcze nie wiem, co będzie.

Czyli w sumie ile?

Policzyłam. Razem z Kitty i Rickym, o ile ten w ogóle zjawi się na obiedzie, musiałam nakarmić czternaście osób.

- Rany! Przydałaby mi się armia pomocników - westchnęłam.

Nie mówiłam tego na serio. Lubię pichcić i niestraszna mi nawet góra ziemniaków do obrania. Betty, moja pomoc domowa, wybrała się akurat na wakacje do siostry do Sligo, no ale w końcu cóż innego miałam do roboty w deszczowy dzień? Zamrażarka była dobrze zaopatrzona, a ja - jak już wcześniej wspomniałam - lubię towarzystwo.

- Dzwoniłaś do mnie, Carol? - spytałam, kiedy zaczęły wstawać od stołu.

- Już nie pamiętam, co chciałam, mamó. Potem mi się przypomnia.

- No tak. Sio, jazda mi stąd! - zawołałam i dziewczęta rozpierzchły się po domu. San Lorenzo jest przytulny, ale ogromny, dzięki czemu każda z córek ma sporo przestrzeni dla siebie, swoją wieżę stereo, a nawet własny telewizor.

Sąsiedzi chyba nie mają na co narzekać, gdyż znajdujemy się w znacznej odległości od siebie. Kiedy zarobiliśmy trochę grosza, przez co mogliśmy nieco rozwinąć skrzydła i poszukać większego lokum, jednym z zasadniczych atutów tego domu było to, że stoi pośrodku okazałego kawałka gruntu. Jeśli nie zajdzie konieczność, aby sprzedać kilka hektarów, przynajmniej mamy pewność, że nie będziemy patrzeć w okna sąsiadom.

Dosyć się naogładałam nieruchomości, dziękuję uprzejmie. Wychowałam się w domu, gdzie sąsiedzi walili pięściami w ściany, gdy coś im się nie podobało, a kiedy kichałeś, ludzie na ulicy mówili ci „na zdrowie!”. Nasza obecna stodoła ma dziewięć sypialni. Sto pięćdziesiąt lat temu, kiedy ją wybudowano, miała tylko sześć, nie licząc pomieszczeń dla służby, lecz te pierwotne sypialnie były ogromne: trudno ogrzać takie hale, nawet mimo kominków. Poprzedni właściciele próbowali zarobić na utrzymanie, wynajmując pokoje, i podzielili trzy sypialnie, toteż ich liczba wzrosła za jednym zamachem z sześciu do dziewięciu. Nie zwracałam sobie głowy burzeniem ścian i tak zyskaliśmy cztery pokoje gościnne, które są jak znalazł, gdy dziewczynki zapraszają na noc przyjaciółki. Dom okazał się tak solidny, że w zasadzie nie wymagał kapitalnego remontu i tylko dobudowaliśmy ciepłarnię.

Weszłam do spiżarni, założyłam fartuch i otworzyłam dwudziestopięciokilowy worek ziemniaków. Zapytacie, dlaczego nie zagoniłam do obierania swoich córek. Cóż, to pewnie tylko moja odchyłka, ale nie wyznaczam im obowiązków tylko dlatego, że są dziewczynkami. Kiedy dorastałam, tylko my, dziewczynki, miałyśmy

pełne ręce roboty, bracia nigdy. My dwie plus mama, ich sześcioro plus tata. Dlatego obiecałam sobie solennie, że żadna z moich córek nie będzie usługiwać mężczyznom.

Gdzie tu sens, gdzie logika, zapytacie, skoro sama zasuwas, żeby dogodzić całej rodzinie. Stać mnie, aby zlecić to komu innemu albo zmusić dziewczynki do prac domowych, ale robię wszystko sama z własnego wyboru. To mój dom i nikt mi nie rozkazuje. To zasadnicza różnica.

Tęsknię za siostrą. Mieszka z rodziną na Florydzie. Telefon to marna namiastka prawdziwej rozmowy, nie? Co do braci, w Irlandii został tylko jeden, najmłodszy. Gra w zespole, bez większego powodzenia, a rodzina w ogóle go nie interesuje.

Mamy okazję spotkać się tylko w Boże Narodzenie. To smutne, zwłaszcza że dorastaliśmy w tak licznej gromadce.

Przystąpiłam do obierania. Pewnie się komuś narażę, ale lubię prace domowe, zmywanie naczyń, skrobanie ziemniaków. Miło się czasem pobrudzić. Kitty pokazała mi niedawno wiersz Seamusa Heaney'a\* o tym, jak matka stoi przy zlewie i obiera kartofle.

\* Seamus Heaney, irlandzki noblista.

- To o tobie, mamó! Posłuchaj! - Gdy skończyła czytać, lekko klepnęła mnie w ramię. - No i? Kropka w kropkę, nie?

Pamiętam tylko, że nazwał nóż „biegłym” czy coś w tym rodzaju. Miło, że zwróciła na to uwagę, rzeczywiście wszystko się zgadzało. Człowiek wpada w rytm i odpływa myślami daleko. I miło, że tak mnie poklepała.

Tym razem moje myśli nie miały szans odfrunąć, bo cały czas objęły się o listę pilnych spraw do załatwienia. Zamiast cackać się z ziemniakami, powinnam zadzwonić do Tess, do świętego Rolanda i do Fergusza Griggsa. Kręcili mi się w głowie jak cyrkowe koniki wokół areny. Ale nie miałam serca przerwać takiej sielanki. Jeszcze nie.

Rozgrzeszyłam się w duchu postanowieniem, że zadzwonię do wszystkich po posiłku.

To jest, jak tylko pozmywam.



Kiedy na blacie wyrosła piramida obranych ziemniaków, wrzuciłam je do zlewu do umycia, po czym otworzyłam zamrażarkę z zamiarem zbadania jej zawartości. Mamy gigantyczną zamrażarkę, oczywiście Ricky przynosi do domu mnóstwo mięsa.

Steki, pomyślałam. Dziewczynki przepadają za stekami, chociaż żadna się do tego nie przyzna. Co do dwu wegetarianek, miałam kilka bezmięsnych mrozonek, zakupionych pod kątem przyszłej diety. Zjedzą ziemniaki i mrożonki. Ich sprawa.

Mamy dwie mikrofalówki, wpakowałam do nich pierwszą partię steków do rozmrożenia. Kiedy rozpakowywałam drugą stertę, zadzwonił telefon. Ach, te telefony. Miałam serdecznie dosyć telefonów.

- Słucham? Tess.

- Jesteś zajęta, Rito? - zapytała cichym głosem. - Wiem, że o tej porze zwykle jecie, mam zadzwonić później?

- Nie. - Przygotowałam się na kolejny wywód o Jerrym i serię łązawych sprawozdań z fantazji na temat Yarso. - Gadaj, co słyhać. Mogę robić to, co robię, i rozmawiać. Jak sprawy stoją?

Opowiedziała o swoim ojcu. Nie wierzyłam własnym uszom. Jezu. W porządku, staruszek ma osiemdziesiąt trzy lata i to naturalna kolej rzeczy, ale chwileczkę! Co ona takiego zrobiła w poprzednim życiu? Musiała się komuś porządnie narazić.

Usiadłam z na wpół rozpakowanymi stekami na kolanach.

- Boże, Tess, tak mi przykro. Czy mogę ci jakoś pomóc?

- Nie. Nic się nie da zrobić. - Mówiła bezbarwnym głosem. - Jerry jest w drodze do domu, nie wiem, o której przylatuje, ale niedługo powinien być.

- Wie?

- Nie, nie rozmawialiśmy. Tylko na niego nawrzeszczałam, kazałam mu wracać i odłożyłam słuchawkę. To było zanim... - Zadrżał jej głos.

- Biedactwo, to musi być dla ciebie straszne.

- Jest. Ale nie mogę okazać zdenerwowania przy ojcu. Muszę się zachowywać jak gdyby nigdy nic. Zjedliśmy nawet naleśniki na śniadanie, Frederick usmażył. Całe szczęście, że przyjechał, poszedł z Tomem do weterynarza.

- Że co proszę?

- Wybacz. - Aż się roześmiała, chociaż nie był to jej zwykły śmiech. - Nie uwierzysz, ale mamy szczeniaka.

- Widzę, że potrzebujesz wsparcia, Tess. Mam przyjechać?

Czułam, że się waha.

- Nie. Nie mogę cię w to angażować, to nie fair. Dostyc się nasłuchiłaś wczoraj u Maddy. A tak w ogóle to co u niej?

Postanowiłam oszczędzić jej kolejnego powodu do zmartwień.

- W porządku, trochę skacowana.

- Ja też. Czuję się jak po zderzeniu z pociągiem. Dzięki, że mnie wysłuchiłaś, Rito. Wybacz, że tak ciągle wydzwaniam, po prostu muszę się wygadać.

- Słuchaj, nie ma o czym mówić. Po południu jestem u ciebie. Obawiam się, że w tej chwili mam tutaj tabun głodomorów do nakarmienia, ale wkrótce się z tym uporam. Zgoda?

Ponownie ogarnęło ją wahanie.

- Kiedy to nie fair...

- Och, zamknij się wreszcie. Będę pomiędzy wpół do trzeciej a czwartą.

Odłożyłam słuchawkę, lecz dalej stałam w miejscu, wpatrując się w telefon. Jakim prawem uniknęłam kłopotów, skoro moje przyjaciółki tkwiły w nich aż po czubek nosa?

Zadzwończyły mikrofalówki i musiałam się zająć obiadem dla całego pułku.

Trzy kwadranse później, patrząc na biesiadujących przy naszym ogromnym stole Małego Ricky'ego i jego Harem, uznałam, że Laurence O'Toole hojnie wynagrodził mnie za nazwanie domu jego imieniem. Wyraźnie mam u niego fory.

Dlatego musiałam się zająć przyjaciółkami. Boże, kiedy to się skończy?

## Rozdział 31

---

W porównaniu z naszym domem w Arkadii panowała niezmacona cisza. Mocno wyściskałam Tess na powitanie.

- Moja biedulka - powiedziałam.

- Przestań, Rita, bo się rozkleję.

- No dobrze. - Puściłam ją. - Gdzie są wszyscy?

- Frederick zabrał Toma na basen, a ojciec ogląda wyścigi w telewizji.

- Mówiłaś chłopcom? Pokręciła głową.

- Chyba by mnie zabił. Sam im powie, jeśli uzna to za stosowne. Jack jest z nim.

- A Frederickowi?

- Oczywiście, że nie.

- Jak się czuje?

- Tak samo jak rano... ach, Rita! - Zasłoniła oczy. - Wiedziałam, że to musi kiedyś nastąpić, ale sama nie wiem, jak to zniosę. Dziwne, zaraz myślę o mamie.

Znowu ją uścisnęłam, tym razem krótko. Nie chciałam jej denerwować.

- Zaraz pójde się przywitać. A teraz chodźmy do kuchni. - Poszłam pierwsza. - Herbata dobrze mi robi. - To ten piesek? - Kierując się w stronę czajnika, wskazałam na ką, gdzie na wielkim nowiutkim legowisku spoczywało coś, co wyglądało jak motek włóczki.

- Tak jest. - Tess ledwo spojrzała na szczeniaka. - Norma.

- Norma? Dlaczego?

- A skąd mam wiedzieć? Spytaj Toma.

Kiedy usiadłyśmy z herbatą na wysokich stołkach, zdała mi relację z porannej rozmowy z ojcem.

- Nie ma nadziei?

- Nie. Tym bardziej że tata uparcie odmawia leczenia.

- Cały on. Ale i tak zyskałby tylko krótkie odroczenie wyroku.

- Wiem. - Łzy napłynęły jej do oczu, zatrzepotała powiekami. - A Jerry? Jak mam to rozegrać? - Zajrzała do filiżanki. - Dwie godziny temu dzwonił z Heathrow, ale tak płakałam, że nie byłam w stanie rozmawiać. Nie tylko nie wie o... o tamtym, ale i o raku. Nie chcę zachowywać się jak dziecko, ale rozsypuję się na kawałki, Rito.

Wcale nie sprawiała takiego wrażenia: miała na sobie modny, popielaty dres, który nadawał jej bardzo stylowy wygląd. Chciałam jej powiedzieć, że moim zdaniem trzyma się bardzo dzielnie, stwierdziłam jednak, że to i tak bez różnicy. Po raz pierwszy miałam kompletną pustkę w głowie.

- Zostanę do powrotu Jerry'ego, dobrze?

- Dziękuję ci, naprawdę.

- Czy w tym przybytku znajdują się jakieś ciastka? - Podeszłam do kredensu, gdzie zwykle trzymała puszkę z herbatnikami. Niestety, zawierała tylko sucharki. Żadnych delicji, macie pojęcie?

Ogarnęło mnie niemiłe poczucie, że czas przecieka między palcami; w przeciwieństwie do Maddy czy samej Tess nie grzeszyłam szczególnie bujną wyobraźnią (za dużo seriali), lecz w owej chwili wyraźnie zobaczyłam, jak Jerry podchodzi coraz bliżej, niczym olbrzymia wrona przysłaniająca słońce rozłożystymi skrzydłami.

- Zostanę, jak długo zechcesz - dodałam pospiesznie, biorąc kilka sucharków. - Skup się na ojcu, to teraz najważniejsze, Tess. Inne sprawy... - usiłowałam sensownie nawiązać do wiadomego mejla. - ...to w końcu tylko drobiazgi, nie? Dam głowę, że wszystko się jakoś ułoży. On cię kocha, Tess. Jestem tego pewna.

- Jak pewna?

- Jak dwa razy dwa! - Ponownie usadowiłam się na stołku. Usiłowałam nadać głosowi przekonujący ton. I pomyślałam: kto wie, co się dzieje za zamkniętymi drzwiami? To, że nie obściskują się publicznie, a on jest wiecznie zajęty...

Przypomniałam sobie również dziwną rozmowę, jak odbyłyśmy na plaży. Tess zdawała się wówczas podawać w wątpliwość sens całego swojego życia. I tamto wyznanie na temat tego cholernego Yarso.

Trzeba się go pozbyć, bez dwóch zdań. Jeśli ona tego nie zrobi, chętnie ją w tym wyręczę. Są z Jerrym już dziesięć lat, a to coś znaczy. Nie potrzeba im komplikacji w postaci atrakcyjnych amerykańskich lekkoduchów.

- Posłuchaj - powiedziałam - masz tyle na głowie, może chociaż zajmę się Frederickiem?

Nie byłam pewna, czy jej spojrzenie wyrażało wdzięczność, czy coś zgoła innego.

- Nie, Rito, nie mogę aż tyle od ciebie wymagać.

- Przecież wiesz, że mam milion wolnych pokoi. Będzie atrakcją dla dziewczynek i ich koleżanek. Może nawet potraktują go jak trofeum.

- Kochana jesteś. Może za parę dni, jak już trochę zbiorę myśli i będę wiedziała, na czym stoję... - Chciała coś dodać, ale jakiś dźwięk sprawił, że odwróciła się w stronę drzwi. - Boże, Rita! To on!

- Frederick?

- Frederick nie ma klucza...

Ja tam nic nie słyszałam, lecz oto drzwi kuchenne stanęły otworem i ujrzaliśmy Jerry'ego we własnej osobie.

- Co się dzieje? O, cześć, Rita. - Popatrzył na Tess.

- Tess?

Ludzki umysł to dziwne urządzenie, prawda? Mimo całego zamieszania i lojalności wobec Tess po raz pierwszy od lat zauważyłam, jaki z niego przystojny facet. W tamtym momencie emanował nonszalancją typową dla gwiazdora filmowego. Znowu padało, toteż miał na sobie przemoczony prochowiec i wyglądał, jakby właśnie zakończył co najmniej misję ratowania świata.

- Porozmawiajcie sobie. - Raz jeszcze ześliznęłam się ze stołka.

- Nie, Rito. Zostań, proszę. - Tess otworzyła szeroko oczy, jakby bała się zostać z nim sam na sam. Nie, ona po prostu się bała, i już.

- No dobrze. - Wdrapałam się z powrotem na stołek. Jeszcze chwila i nabawię się odcisków na siedzeniu. Modliłam się, żeby nie wyskoczyła z tym mejlem, bo nie zdzierzę.

- Czy ktoś byłby łaskaw mi wyjaśnić w czym rzecz? Opuściłem bardzo ważne zebranie... - Jerry zaczął się denerwować.

- Mój ojciec umiera. Ma raka - powiedziała cicho Tess.

- O Boże... - Trzeba mu przyznać, że naprawdę się przejął. - Kiedy... jak to możliwe? Skąd wiesz?

- Powiedział mi rano. Poza tym rozmawiałam z lekarzem z Ballina, który potwierdził jego słowa.

- To straszne... ale dlaczego nie powiedziałaś mi przez telefon, Tess? Wczoraj wieczorem jeszcze nic nie wiedziałaś? Dzwoniłem...

- Nie słyszałam, byliśmy u Maddy. Prosiła, żebyśmy przyjechały. Ma kłopoty, jak sam wiesz. - Tess rzuciła mi błagalne spojrzenie.

- To był szok, Jerry - wtrąciłam. - Nie zostało mu zbyt wiele czasu. Tess traci głowę, sam rozumiesz.

- Boże jedyny! - Jerry podszedł do czajnika. - Gorąca? - Zdjął prochowiec i rzucił go na trzcinowe siedzisko ustawione w alkwie. Patrzyłyśmy, jak przygotowuje sobie kawę rozpuszczalną. - Chryste! A to co znowu? - Podskoczył jak oparzony. Norma jakimś cudem wypełzła z legowiska i otarła się o jego stopę.

Gdy szczeniak wrócił na swoje miejsce, Jerry w zamyśleniu sięgnął po kubek.

- Gdzie jest teraz ojciec?

Mimo dzielącej nas odległości wyczuwałam napięcie, z jakim Tess zbierała się w sobie, aby mu przekazać drugą wiadomość. Boże miłosierny, święty Laurensie... Błagam, tylko nie teraz. Jeszcze nie. Zaczekaj, aż wyjdę...

Moje modły zostały wysłuchane.

- Ogląda telewizję - odpowiedziała piskliwie Tess. - Tylko ani słowa, Jerry. Znasz go, nie chce, żebyśmy się nad nim trzęśli.

- W końcu jest nad czym, mała. Jest nad czym.

Podszedł bliżej i tak czule dotknął jej policzka, że na chwilę wzięłam tamten mejl za jakąś okropną pomyłkę. Sądząc po tym, jak się wzdrygnęła, Tess raczej nie podzielała mojego zdania. Raptem zatęskniłam za domem, za Rickym i dziewczynkami. Wygląda na to, że jestem pierwsza do obściskiwania, ale Bóg poskąpił mi daru wymowy, ot co.

- Przestańmy się chować, jeszcze pomyśli, że o nim mówimy. Chodźcie. - Jerry ruszył ku drzwiom.

- Jesteś pewna, że mam zostać, Tess? - Miałam szczerą nadzieję, że będę mogła się odmeldować. - Może tylko pójde się przywitać?

- Rito, proszę... - Znowu rzuciła mi błagalne spojrzenie. Oczywiście bałam się jak nie wiem, ale okazało się, że niepotrzebnie. Rzeczywiście, pan Cahill wychudł od naszego ostatniego spotkania, lecz bez większego wysiłku wstał z miejsca i przywitawszy się z zięciem, którego widok nie wzbudził w nim najmniejszego zdziwienia, od razu podszedł do mnie.

- Miło cię widzieć, Rito! Jak się miewasz? Jak tam twoje dziewczęta?

Uścisnęliśmy sobie ręce.

- W porządku, panie Cahill. Rosną jak na drożdżach.

- A mąż?

- Też w porządku,

- Jak interesy?

- Kwitną.

- Wybornie. Podobno celtycki tygrys padł, ale wy w to nie wiercie. Jeszcze dajemy sobie radę.

- Wychodzę, mamó. - Jack wstał i skierował się ku wyjściu. Zauważyłam, że skrzętnie ignoruje Jerry'ego.

- Dokąd? - Tess dalej stała tuż przy drzwiach.

- Do miasta, mamó. - Jego ton pozostawiał co nieco do życzenia.

- Postaraj się nie wrócić zbyt późno. - Tess zerknęła na męża.

- Dobrze. - Syn wyminął ją i tyle go widzieliśmy.

Pan Cahill nadal stał, kolejno mierzając wzrokiem każde z nas. Uśmiechnęłam się, ale nie odpowiedział mi tym samym.

- Rozumiem - powiedział do Tess. - Już rozgadałaś.

- Wiedzą tylko Rita i Jerry. Naprawdę, tato, nikt więcej.

- Cóż, skoro już wszyscy wiemy, nie ma nic więcej do dodania, prawda? -

Ponownie usadowił się przed telewizorem.

- Paddy. - Jerry usiadł na sąsiednim fotelu i nachylił się w stronę teścia.

- Nie teraz, Jerry. - Pan Cahill zbył go machnięciem ręki. - Postawiłem na tego konia. Jeden z moich klientów ma swojego dżokeja.

Jerry gładko wybrnął z sytuacji: usiadł wygodnie i utkwiał wzrok w ekranie.

- Dużo postawiłeś?

- Trochę. - Pan Cahill chwycił pilota i zrobił głośniejsze. - Siadaj, Tess - dorzucił z irytacją. - Sterczysz w tych drzwiach, jakby cię zamurowało. Działa mi to na nerwy. Zdecyduj się, wchodzisz albo wychodzisz.

Usiadłyśmy obok siebie pośrodku wielkiej sofy. Pokój urządzonej w tonacji żółci i bieli zwykle robi bardzo pogodne wrażenie. Dziś jednak wydawał się ponury, po pierwsze z powodu zaciągniętych zasłon, po drugie za sprawą naszych niewesołych nastrojów.

Nie usłyszałam ani słowa z relacji komentatora, gdyż bez przerwy łapałam kątem oka na chorego. Czułam się nieswojo, tak jakby lada chwila miał skonać na naszych oczach. Moi rodzice odeszli spokojnie na atak serca, matka we śnie, a ojciec w sklepie z dywanami, dzięki czemu oszczędzono mi potwornego widoku ich agonii i cierpienia łagodzonego lekami, które mąciły umysł. Co przyniosą mu kolejne miesiące? I jak to zniesie biedna Tess?

W skupieniu oglądał wyścig, tak bardzo wychylony do przodu, że niemal zgiął się w pół. Kiedy jego koń pierwszy dopadł do mety, nie zaczął krzyczeć i wiwatować jak Ricky albo ja, tylko z głębokim westchnieniem opadł na fotel.

- Gratulacje! To było ekstra. Ile wynosiła stawka? - Jerry wyciągnął rękę i lekko uścisnął łokieć staruszka. Muszę przyznać, że nigdy nie znałam go od tej strony. Oczywiście często był miły dla Tess, zwłaszcza zaraz po ślubie, czułam jednak, że wszyscy inni, łącznie z jej dziećmi, obchodzą go tyle co zeszłoroczny śnieg.

- Czternaście do jednego! - Pan Cahill był dumny, jakby dopiero co sam zsiadł ze zwycięskiego konia. - I co ty na to?

- Bomba! - Jerry wstał. - Pójdziemy potem na jednego, co? Tylko my dwaj. Ty stawiasz.

- Ma się rozumieć. Nie mogę się doczekać. - Starszy pan wręcz promieniał.

Jerry jeszcze raz poklepał go po ramieniu i ruszył ku drzwiom.

- Dokąd idziesz? - Tess również wstała.



- Zaraz wrócę. - Przystanął na progu. - Muszę tylko sprawdzić pocztę i zadzwonić do Jeremy'ego ze szwedzkiej filii. - Miałem złożyć raport i mój nagły wyjazd trochę mu pokrzyżował plany. - Uśmiechnął się do teścia. - Na razie, Paddy. Szykuj portfel!

Tess i ja wymieniliśmy spojrzenia. Przestraszona, zagubiona istota, która niedawno otworzyła mi drzwi, ulotniła się bez śladu.

- Idę! - rzuciła ściszym głosem. - Nie pozwolę, żeby skasował dowód rzeczowy. Życz mi szczęścia.

Zerknęłam na jej ojca, pochłoniętego lekturą „Irish Independent”.

- W porządku - odpowiedziałam. - Powodzenia. Zadzwon później, jeśli będziesz chciała.

Wymknęła się z pokoju, a ja podeszłam do pana Cahilla.

- Do zobaczenia, panie Cahill. - Wyciągnęłam rękę.

- Niedługo zacznę udzielać audiencji - rzucił oschle, a następnie rozejrzał się dokoła. - Gdzie się wszyscy podzieli? - Popatrzył na ekran, na którym rozpoczynał się kolejny wyścig, po czym rzucił mi poważne spojrzenie. - Opiekuj się nią, dobrze? Będzie potrzebować pomocy.

- Obiecuję. Proszę się nie martwić. - Chciałam go objąć, ale w porę się opamiętałam. W jego wypadku byłaby to lekka przesada.

Wsiadłam do samochodu i obejrzałam się na szare mury Arkadii. Wolałam nie dociekać, co dzieje się za niewinnie wyglądającymi oknami. Jedno było pewne: Yarso musi odejść. Ależ ten gość ma tupet.

Moja propozycja wynikała ze szczerych intencji, co nie znaczy, że odmowa Tess nie sprawiła mi pewnej ulgi. Wierście mi, dostałby u nas niezłą musztrę, choćby ofiarował się, że przekopie cały ogród. Być może moja antypatia wynikała z żywej niechęci do darmozjadów: tam, skąd pochodziłam, trzeba się było porządnie natrudzić, inaczej czekał cię marny los. Naprawdę.

W drodze powrotnej postanowiłam sprawdzić, co u Maddy. Niebawem mieli wprowadzić kary za korzystanie z komórki podczas jazdy, więc należało dzwonić, ile wlezie.

- Czy jest pani jej krewną? - padło podejrzliwe pytanie.

- Tak - skłamałam. - Jestem jej siostrą.

Przełączono mnie na oddział Maddy. Druga rozmówczyni okazała się miłą, lecz równie lakoniczna jak pierwsza. Dowiedziałam się przynajmniej, że Maddy wciąż śpi i zapewne będzie spać do rana.

- Czy mogłabym ją odwiedzić? Na przykład jutro?

- Może lepiej za parę dni. Potrzebuje trochę czasu na adaptację. Co pani powie na środę? Proszę do nas zadzwonić w środę rano.

- Dziękuję. - Ucieszyłam się w duchu. Potem przyszło mi do głowy, że powinnam zadzwonić do Fergususa i mieć to za sobą, lecz nie chciało mi się ani szukać numeru, ani tym bardziej rozmawiać z tym cwaniaczkiem. Zadzwonię z samego rana, postanowiłam.

Co za dzień.

Tego wieczoru oglądaliśmy z Rickym telewizję. Siedziałam blisko niego, ale cały czas nasłuchiwałam jednym uchem, czy nie dzwoni telefon z nową porcją rewelacji z Arkadii. Na szczęście nie zadzwonił.

W łóżku tuliłam go i tuliłam, aż zaprotestował.

- No co ty, Reet? Chcesz mnie udusić?

- Tak. Chcę cię wyściskać na śmierć. Kocham cię, grubasie, wiesz? Kocham cię, kocham!

## Rozdział 32

---

Idąc po schodach do gabinetu Jerry'ego, nie byłam pewna, czy wizyta ojca i Fredericka rzeczywiście jest mi szczególnie na rękę. Trudno będzie ukryć konflikt, co nie wpłynie dobrze na atmosferę w domu. Ale bez względu na Fredericka czułam, że Jerry nie pozwoli sobie na wybuch emocji w obecności taty, którego lubił i szanował, a poza tym sam też będzie wolał go nie denerwować. Może zatem jest nadzieja na cywilizowane załatwienie sprawy.

Powyższe słowa wskazywały na chłodną kalkulację, ale bynajmniej nie byłam spokojna. Rozsądek stanął w szranki ze strachem i gniewem - na razie był górą.

Zastałam drzwi otwarte na oścież, słyszałam jak Jerry otwiera i zamyka szuflady. Dobiegł mnie też szum włączanego komputera.

- Cześć. - Stałam na progu.

- Tess! Cześć. - Odwrócił się zaskoczony. - Nie słyszałem cię.

- Dopiero przyszedłam.

- Potrzebujesz czegoś? - Trzymał w rękach wypchaną teczkę. Odłożył ją na biurko i podszedł bliżej. - Co za głupie pytanie! Wiem, że musi to być dla ciebie straszne. Nie masz pojęcia, jak mi przykro. Będę przy tobie. Ile mu zostało?

Patrzyłam mu przez ramię na monitor komputera, na którym właśnie pojawiły się błękitne obłoczki. Zdziwiony podążył za moim spojrzeniem.

- O co chodzi?

Odczekałam, aż znów zwróci twarz w moją stronę.

- Masz romans, Jerry?

- Słucham?

- Słyszałeś, co powiedziałam.

Zmarszczył brwi, jakby usłyszał coś kompletnie niedorzecznego.

- Oczywiście, że nie. Co cię napadło, Tess? O co ci chodzi? - Chciał dotknąć mojego ramienia, lecz cofnęłam się o krok. - Posłuchaj - rzucił. - Nerwy cię ponoszą. Oczywiście, że nie mam romansu.

- Doprawdy? - Coś we mnie pękło i podbiegłam do komputera. Zaślepią furia, zaczęłam na oślep walić w klawisze. Monitor zamrugał.

Jerry doskoczył do biurka i próbował mnie powstrzymać.

- Co ty wyprawiasz? Popsujesz... Tess...

- Jeśli nie masz romansu, jak wytłumaczysz TO! - Odgrodziłam go od komputera i dalej bezskutecznie młóciłam palcami w klawisze, co dodatkowo podsycalo moją złość i frustrację. - A niech to cholera jasna, gdzie jesteś?

- Przestań natychmiast, Tess! - Chwycił mnie za lewą rękę, ale prawą miałam wolną i nadal szukałam właściwego przycisku.

- Co robisz? Zostaw ten komputer w spokoju! - Wreszcie zdołał mnie odciągnąć.

- Chciałbyś! - Zaczęliśmy się szarpać, podniosłam głos prawie do krzyku. - Mam stulić uszy i udawać, że nic o was nie wiem, tak?

- O czym ty mówisz? I przestań się wydzierać, dobrze? Czego ty właściwie szukasz? Co tam takiego jest?

- Próbuję znaleźć ten pierdolony mejl od Susan! Dosłownie go zatkało. Nigdy w życiu nie słyszałam z moich ust takiego słownictwa. Podszedł do drzwi i zamknął je na klamkę.

- Uspokój się, Tess! Pomyśl o ojcu. - Znowu złapał mnie za rękę, a ja znów się szarpnęłam.

- Odpowiada ci, że przyjechał, co? Odpowiada ci, że umiera! Cóż za niezwykle zrzędzenie losu.

Lecz wzmianka o ojcu pozwoliła mi nieco oprzytomnieć. Spojrzałam z nienawiścią na Jerry'ego. Mierziło mnie jego opanowanie. Nienawidziłam go. Nienawidziłam ich obojga.

Puścił moją rękę.

- Jaki znowu mejl?

- Sam zobacz. Od Susan.

- Od Susan?

- Od Susan! - Obserwowałam go uważnie.

- Chyba powinnaś iść na dół. - Nawet nie mrugnął. Był w tym naprawdę dobry.  
- A najlepiej idź do sypialni i spróbuj się uspokoić. Jesteś roztrzęsiona. Przykro mi z powodu twojego ojca, Tess, rozumiem, że jesteś zdenerwowana, ale naprawdę nie musisz się na mnie wyżywać.

- Nie chodzi o ojca.

Nie mogę powiedzieć, że rozegrałam to jak należy, byłoby to sporym nadużyciem, ale przynajmniej odzyskałam nieco panowanie nad sobą.

- Otwórz wiadomość od Susan - poleciłam lodowatym tonem.

Zerknął na monitor.

- Nie wiem, o czym mówisz. Tu nie ma żadnej wiadomości od Susan. Zresztą po co miałyby do mnie mailować, Tess. Rozmawiałem z nią niecałą godzinę temu z lotniska. Widzę tu tylko wiadomości służbowe.

No tak, jasne. Pierwsza osoba, z którą rozmawiał po przylocie.

Naraz przypomniało mi się coś z kursu komputerowego.

- Patrzysz na wiadomości nieprzeczytane. Otwórz przeczytane.

- Nie. - W jego oczach po raz pierwszy błysnęło z wątpienie, a może strach? - Nie mam zamiaru ulegać twojej histerii. Zwłaszcza bezpodstawnej. To oburzające. Nie życzę sobie...

- Otwórz ten folder, Jerry! Albo ja to zrobię. Jeśli zajdzie taka konieczność, będę tu sterczeć cały dzień. I tak się składa, że wiem, że danych z komputera nie da się usunąć na stałe, wszystko da się odzyskać, więc nawet nie próbuj majstrować. Nie jestem kompletną idiotką.

- Tess, zachowujesz się, jakbyś miała nie po kolei w głowie. Przechodzisz załamania nerwowe? To poniekąd zrozumiałe...

- Otworzysz ten folder czy nie?

- Nie.

- Jak chcesz. Czyli będę musiała wciągnąć w to Fredericka. On też widział wiadomość. - Odwróciłam się na pięcie i chciałam wyjść, ale pobiegł za mną. - Yarso? Yarso grzebał w moim komputerze?

- W naszym komputerze, Jerry, w naszym domu. Jesteśmy małżeństwem, pamiętasz? Co moje, to twoje i na odwrót. Poza tym nie było żadnego, jak to

nazywasz, „grzebania”. Zapytał, czy może sprawdzić swoją pocztę. Przyszliśmy tu razem, miałam mu pokazać, gdzie stoi komputer. Możesz mi nie wierzyć, ale otworzyłam tę wiadomość wyłącznie dlatego, aby nie ominęło cię nic ważnego. Ale ze mnie kretyńka, nie?

Stał tak nieruchomo, że zobaczyłam, jak jego kosmyk włosów unosi się, wprawiony w ruch podmuchem z komputera.

- No dobrze. Zatem ją zobaczyłaś, cokolwiek zawiera. Cóż to takiego jest?

- Sam zobacz.

- Już ci mówiłem, że nie dam się zastraszyć. Ty mi powiedz.

Mało nie stchórzyłam w ostatniej chwili, lecz zdjęcie stanęło mi przed oczami jak żywe. To było ponad moje siły.

- Jeśli chcesz wiedzieć - odrzekłam, starannie dobierając słowa i akcentując każde z osobna - jest to fotografia biustu. Biustu Susan Vitelli Moore. Który podobno strasznie za tobą tęskni.

- Słucham? - Wciąż wierzę, że był autentycznie wstrząśnięty. Odruchowo przeczesał palcami wilgotne włosy. - To idiotyczne, Tess. Masz jakieś przywidzenia. Pewnie ktoś z biura zrobił mi głupi kawał.

- Ma na zdjęciu wisiołek, który jej kupiłeś. Który ja jej kupiłam, na święta.

Usiadł z rozmachem na krześle. Nie potrzebowałam dodatkowego potwierdzenia.

- Jesteś żaloszny! - oznajmiłam z największym jadem i godnością, na jakie było mnie stać, po czym wyszłam z gabinetu.

Było to pyrrusowe zwycięstwo, ponieważ gdy usiadłam przy toalecie, aby ochłonać, i utkwiałam wzrok w widocznym w lustrze odbiciu Gorgony, nie miałam bladego pojęcia, co dalej.

Sięgnęłam po kryształowego motyla Svarowskiego, pojednawczy prezent od Jerry'ego po pewnej nic nieznaczącej kłótni, i przeniosłam się myślami do 1993 roku na cmentarną wyspę San Michele w Wenecji.

San Michele jest często wymieniana w przewodnikach. Było ciepło; mglista i szara jesienna aura okazała się wymarzonym tłem wizyty w równie nastrojowym miejscu. Zadowoleni ze swej bliskości przechadzaliśmy się z wolna między grobami

sławnych i kochanych, przystając czasem, aby przyjrzeć się z bliska pokrytym plamami, sepiowym fotografiom.

Wywarły na mnie przygnębiające wrażenie. Wiele pochodziło z dziewiętnastego wieku, kiedy fotografia stawała się coraz bardziej rozpowszechniona. Ci mężowie, żony, matki, ciotki i rodzeństwo zastygli na wieczność w sztywnych wiktoriańskich pozach, odwiedzali ich tu teraz wyłącznie ciekawscy, czyli tacy jak my. Nazwiska zmarłych zapamięta garstka potomków obojętnych na ich losy i namiętności, zainteresowanych jedynie odkrywaniem własnych korzeni.

- Nie zapomnisz mnie, kiedy umrę? - Impulsywnie pocałowałam Jerry'ego w usta, ku jawnemu zgorszeniu starszej kobiety w czerni, która minęła nas obładowana reklamówkami i konewką. - Umieścisz na grobie moje zdjęcie?

- Wszystko zależy od tego, jak się będziesz zachowywać przed śmiercią.

Przeszliśmy obok mężczyzny w sile wieku, siedzącym przy płaskim nagrobku z ciemnego marmuru z fotografią dziewczynki w stroju komunijnym. Pochylał głowę nad parą wyblakłych, różowych baletek, które kurczowo trzymał w zaciśniętych palcach.

- Boże - mruknął Jerry. - Po śmierci nie życzę sobie żadnych szopek, Tess. To makabryczne. Chcę zostać skremowany.

- To takie samolubne, Jerry. Pogrzeby są dla żywych, nie dla zmarłych. - Stałam na środku alejki. - Jeśli umrzesz przede mną, co mam nadzieję nie nastąpi, chcę odwiedzać twój grób, a nie ścianę.

- Pewnie w ogóle nie będziesz mnie odwiedzać, mała. Moje prochy zostaną rozrzucone na morzu. Właśnie podjąłem taką decyzję.

- Jerry!

Sprzeczailiśmy się o to przez resztę popołudnia i w drodze powrotnej do hotelu, gdzie zgodnie padliśmy na łóżko. Kiedy zasnęłam, poszedł na spacer i wrócił z motylem.

- Pomyślałem, że ci się spodoba. Poza tym zmieniłem zdaniem. Dla twojej przyjemności dam się nawet zahibernować, Tess.

Wtedy myślałam, że tylko ludzie, którzy się naprawdę kochają, potrafią kłócić się o takie rzeczy. Nadal tak uważam. Jednakże w ciągu minionych lat tyle się między

nami zmieniło. Był czas, kiedy moje zdanie na temat nowej pracy odgrywało istotną rolę, kiedy mimo natłoku zajęć starał się mi towarzyszyć podczas usypiania Toma. I kupił Jackowi pierwszą wędkę.

Kiedy z powodu zobowiązań wobec pierwszej rodziny nie mieliśmy tyle pieniędzy, co teraz, chociaż nigdy nie narzekaliśmy na ich brak.

Uważałam go wówczas za dobrego człowieka, a i teraz, pomimo złości byłam zdania, że nic się w tym względzie nie zmieniło.

Czy powinnam o niego walczyć? Odłożyłam motyla na szklany cokół przy lustrze. Co z chłopcami? Co z Arkadią? Mam wsadzić nas wszystkich na wulkan, niweczając to, co osiągnęłam z takim trudem? Próby scalenia naszej rodziny kosztowały mnie mnóstwo czasu i energii - mam to przekreślić z powodu jednego skoku w bok?

O ile rzeczywiście chodziło o zwykły skok w bok. O jeden skok w bok...

Co ja sobie właściwie wyobrażałam? Musi odejść. A ja muszę twardo bronić swoich racji, no bo przecież jak miałabym mu znowu zaufać? Tam w gabinecie kłamał w żywe oczy. „Nie”, odpowiedział na zadane wprost pytanie o romans.

Podniosłam głowę. Jerry stał w progu.

- Widziałem. Czy możemy o tym porozmawiać?

- A mamy o czym?

- Tak myślę. - I dodał po chwili wahania: - Mogę wejść?

- To również twoja sypialnia, twój dom. Nie mam prawa ci zabronić.

- Co moje, to twoje?

Zachowałam kamienną twarz. Nie dam się tak łatwo ugłaskać. Nie zagada mnie, o nie. Sięgnęłam po szczotkę i przesunęłam nią po włosach.

- Czy mogę ci opowiedzieć, co się stało? - Usiadł na brzegu łóżka.

- Skoro musisz. - Energicznie szczotkowałam włosy.

- Tylko oszczędź mi plugawych szczegółów, z łaski swojej.

- Trafiłam celnie. Zobaczyłam w lustrze, że poczerwieniał.

- Nie było, nie ma w tym nic plugawego. Jakkolwiek można by to nazwać, na pewno nie zasługuje na miano plugawego.

- No jasne. - Szczotkowałam mocno, prawie do bólu. - Jednym słowem mamy do czynienia z romansiem stulecia.



Zacisnął dłonie w pięści.

- Będziemy rozmawiać - spytał ściszym głosem - czy masz zamiar dalej zachowywać się jak bohaterka taniego powieścidla?

Odłożyłam szczotkę. Wiedziałam, że nie sposób pogrywać z nim w nieskończoność; jeszcze chwila i wyjdzie z pokoju. Musiałam zdobyć się na odrobinę cierpliwości.

Owszem, zranił mnie do głębi, lecz po zastanowieniu się uznałam, że ruina naszego dotychczasowego życia nie leży ani w moim, ani w niczyim interesie. O ile, rzecz jasna był to tylko przelotny flirt. W każdym razie nie miałam zamiaru udawać, że mnie to nie obeszło.

- Mów. - Odwróciłam się do niego przodem. - Zamieniam się w słuch.

- To się wydarzyło, kiedy pojechaliśmy do Paryża na konferencję.

- Dwa miesiące czy rok temu?

- Myślałem, że szczegóły cię nie interesują.

- W tym wypadku nie chodzi o szczegół, lecz o istotny fakt.

- Niech ci będzie. Dwa miesiące temu.

- Rozumiem, czyli dwa tygodnie przed naszymi wakacjami. To tłumaczy natłok zajęć w dniu wyjazdu do Collioure, spóźnienie na samolot itp. Zostałeś na Heathrow i spędziliście razem noc w Londynie, tak?

W odpowiedzi na napastliwe pytanie opuścił wzrok na podłogę. Nienawidził tego. Ja też tego nienawidziłam, mierzilo mnie własne zachowanie, ale nie mogłam się powstrzymać, zwłaszcza że czerpałam pociechę ze świadomości, iż byli ze sobą tak krótko. Wszystko jest względne.

- Przestań, dobrze? Bo inaczej... - Zrobił ruch, jakby chciał odejść.

- A czego się spodziewałeś, Jerry?

Zamiast odpowiedzieć od razu, podszedł do okna i wyjrzał w kierunku morza, a dokładniej ku mokrym drzewom na granicy ogrodu.

- Zauważyłaś, że darzysz obcych większą uwagą niż mnie, Tess?

- Masz na myśli Fredericka? - Opanowałam się w jednej chwili. - Czyli wszystko sprowadza się do tego, że okazuję ci za mało uwagi? Może gdybyś częściej bywał w domu...

Nie dokończyłam, bo spojrział na mnie z wyrazem takiego smutku na twarzy, że reszta zdania uwięzła mi w gardle.

- Nie oczekuję, że zrozumiesz, jak to jest być mężczyzną, który dawno minął półmetek - odparł łagodnie. - Z jednym nieudanym małżeństwem na koncie i drugim, które niebezpiecznie zaczyna przypominać to pierwsze. Którego żony, obie żony, traktują go jak maszynkę do robienia pieniędzy, dzieci nie dzwonią, gdyż matka wmówiła im, że je porzucił, a pasierbowie mają go w głębokim poważaniu. Który patrzy co rano w lustro i zastanawia się, jaki to wszystko ma sens.

- Wcale nie uważam cię za maszynkę do robienia pieniędzy... - Próbowałam oponować, lecz nie byłam już taka pewna siebie.

Odwrócił się i przysiadł na parapecie.

- Czyżby? A niby po co to wszystko robię, Tess? Może po to, żebyś miała co na siebie włożyć? Żeby utrzymać dwie żony, czwórkę dzieci i wielki dom? Czy nie dlatego jeżdżę na nudne konferencje, śpię w hotelach, wysłuchuję tych samych bzdur w gównianych barach w towarzystwie tych samych ludzi i zwołuję zebrania, które powinny trwać dwa kwadranse, a przeciągają się do pięciu godzin? Czy nie dlatego jestem taki samotny?

Nagły zwrot w rozmowie zbił mnie z pantofelku.

- Rozmawialiśmy o tobie i Susan - zaprotestowałam bez przekonania.

- Owszem, ale gdybyś na chwilę odpuściła i okazała mi chociaż ciut zrozumienia, zrozumiałabyś bez trudu, dlaczego wykorzystałam Susan. Taka jest prawda, chociaż wiem, jak to musi boleć. Nie kryła zainteresowania moją osobą i jawnie próbowała mnie poderwać. Najpierw się opierałam, ale w końcu to ja zrobiłam pierwszy krok. I... uprzedzę twoje pytanie... doszło do tego dokładnie dwa razy. Nie, nie będę wchodził w szczegóły. Są nieistotne. Seks miał charakter przypadkowy, Tess.

Oczywiście ja to postrzegałam nieco inaczej. Szybko policzyłam w myślach: spędził z nami we Francji trzy tygodnie, konferencja w Paryżu odbyła się dwa tygodnie wcześniej...

Wyraz rezygnacji w jego oczach kazał mi się opamiętać.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałeś? Nie mówię o Susan, tylko o swoim życiu.

- Już dawno dałem sobie spokój. W ogóle mnie nie słuchałaś. - Potarł oczy. - Bynajmniej nie zabiegam o współczucie ani się nad sobą nie użalam, uważam się za dorosłego człowieka. Nawarzyłem piwa i muszę je teraz wypić. I strasznie mi przykro, że dowiedziałaś się o tym w tak niefortunny sposób... i w tak trudnej dla siebie chwili. Jeśli jednak... w końcu... wysłuchałaś mnie uważnie, musiałaś zrozumieć, jak nienawidzę swojego życia. Susan stanowiła odskocznnię, która nadała mu sens. Namiastkę sensu. To urocza, bystra kobieta, która z anielską cierpliwością wysłuchiwała moich starczych dowcipów, pewnie dlatego że w przeciwieństwie do ciebie nie musiała tego robić czterdzieści razy.

Dokładnie to samo sobie pomyślałam. Zmienił pozycję i ponownie wyjrzał przez okno.

- Ona mnie szanowała, Tess, nie uroniła ani jednego mojego słowa. Uważała, że jestem wspaniały, a ja na chwilę jej uwierzyłem. To było odurzające. Obawiam się, że upłynęło dużo czasu, od chwili kiedy ostatnio miałaś o mnie choćby podobne zdanie. Wiem, że gadam jak głupiec, i pewnie nim jestem. Zapewne stanowią podręcznikowy przykład kryzysu wieku średniego. To doprawdy niesamowite, że dowiedziałaś się o wszystkim akurat teraz, kiedy próbuję się od niej uwolnić. We Francji dokładnie sobie wszystko przemyślałem i powiedziałem jej, że ten związek nie ma przyszłości, choć ona sądzi inaczej. Pewnie dlatego przysłała mi ten mejl, myślała, że w ten sposób skłoni mnie do zmiany zdania. A przynajmniej przekona się, czy mówiłem poważnie.

- Kiedy jej powiedziałaś? - Powróciłam do swoich obliczeń.

- Przestań się katować, Tess.

- Kiedy?

Westchnął.

- Kilka dni po powrocie z wakacji.

- Zanim wróciłam?

- Tak.

- Rozumiem. - Przynajmniej jeden plus. Uświadomiłam sobie, że w domu zapanowała dziwna cisza. Deszcz ustał. - Kochasz ją?

Zobaczyłam, że Jerry się waha.

- Chyba tak, ale inaczej niż ci się wydaje. Kocham to, co sobą przedstawia. Kocham jej nadzieję. - Podeszedł bliżej; pomyślałam, że spróbuje wziąć mnie za rękę. - Nie jestem dumny z tego, co zrobiłem, Tess. I jestem cholernie wkurzony na Susan. Nie miała prawa tego wysyłać. Ale jest młoda, a młodzi myślą, że wszystko ujdzie im na sucho i uważają się za niezwycięzonych. Na dodatek wierzy, że jest zakochana.

- Próbujesz ją usprawiedliwić?

- Nie. - Jego głos zabrzmiał lodowato i Jerry zeszywniał.

- Jak masz zamiar dalej z nią pracować?

- Muszę jakoś dać radę. To świetna asystentka. Ale wiem, że to będzie dla ciebie trudne.

- Owszem!

- Bez względu na to, co sobie pomyślisz - dodał niemal oficjalnym tonem - uważam sprawę za zakończoną. Ale nie wiem, czy nasze małżeństwo przetrwa, bynajmniej nie z powodu igraszek z dziewczyną o połowę młodszą ode mnie, i nie dlatego, że cię nie kocham, tylko z powodu naszego braku porozumienia. Jeśli to kolejny banał, proszę o wybaczenie. Biorę na siebie pełną odpowiedzialność za zaistniałą sytuację. Myślę też, że powinienem przynajmniej chwilowo przenieść się do pokoju gościnnego, nie uważasz?

- Uważam. Właśnie tak uważam. - Nie chciałam, żeby się przeniósł do pokoju gościnnego. Chciałam, żeby został, dzięki czemu mogłabym wałkować temat w nieskończoność. Ale on już wyszedł, a ja byłam zbyt dumna, żeby go zawołać.

W pierwszym odruchu chciałam pobiec do telefonu i zadzwonić do Rity, lecz po namyśle zrezygnowałam: to nie byłoby w porządku. Sama muszę uporządkować swoje sprawy. I odzyskać panowanie nad sytuacją.

Poza tym byłam zbyt zdenerwowana, aby podjąć jakiegokolwiek działanie. Denerwowałam się za nas wszystkich, za Jerry'ego, za siebie, a nawet za Susan, która też w końcu dotkliwie na tym ucierpi, skoro rzeczywiście postanowił z nią zerwać. Nie miałam powodu, żeby mu nie wierzyć. Zwykle nie mijał się z prawdą.

W przeciwieństwie do mnie. Czy ja przyznałabym się do uczuć, jakie wzbudził we mnie Frederick? Maddy miała rację: zgrzeszyłam myślą, a to prawie to samo co

zdrada cielesna. Wątpię, czy opowiedziałabym o tym mężowi, nawet gdyby coś podejrzewał.

Wcale nie uważałam, że jesteśmy kwita. Czuję się tak zraniona, jakbym sama była wzorem cnót. Życie to nie mecz tenisowy, jak powiedziałby Forrest Gump, gdyby podsunęło mu inną kwestię.

Aby zachować pełnię sił, potrzebuję przeciwnika. A że chwilowo nie widzę nikogo takiego na horyzoncie, raz jeszcze zwracam się myślami ku najwierniejszej przyjaciółce. I choć wiem, że to głupie, usilnie zachodzę w głowę, jak pozostać z chłopcami w Arkadii, gdy przyjdzie do najgorszego.

## Rozdział 33

---

W moim śnie, a raczej koszmarze, głowa Fergususa jest trzy razy większa od jego ciała. A kiedy się budzę i próbuję usiąść na łóżku, mięśnie odmawiają mi posłuszeństwa.

To znaczy myślę, że usiadłam, lecz gdy spoglądam na ręce, leżą na narzucie obok mojego nieruchomego ciała. Zarówno narzuta, jak i całe pomieszczenie, ściany, szafa i drzwi, są kompletnie obce. Widzę kwiaty na parapecie i bombonierkę, lecz ich kolory wydają się rozmyte, jak nieudolna akwarela.

Ktoś zastukał do drzwi, a następnie bez zaproszenia wszedł do środka.

- Witaj ponownie!

Ponownie? Widzę ją pierwszy raz w życiu.

- Jestem Louise - powiedziała. - Poznałyśmy się wczoraj, ale nic dziwnego, że nie pamiętasz. Jak się czujesz? Jestem twoim opiekunem.

- Opie... - Nie zdołałam tego wymówić. Język stanął mi kołkiem i nie mieścił się w ustach. Znów spróbowałam usiąść, lecz ręce i nogi wciąż spoczywały nieruchomo.

- Pewnie czujesz się trochę oszołomiona - podjęła kobieta. - Przespałaś blisko dwa dni. Nie ma się czym przejmować. Parę łyków kawy, solidny posiłek i wrócisz do normalności. Mam tu twój program. - Położyła notatnik na stoliku nocnym.

Olśniło mnie dopiero na dźwięk słowa „kawa”.

Ludzie piją tu dużo kawy...

Drzwi do pokoju otwierały się i zamykały, ktoś w białym kitlu sprawdził mi ciśnienie i zrobił zastrzyk, ktoś inny dawał mi tabletki do połknięcia. Byłam tu, ponieważ uznano mnie za alkoholickę. Znajdowałam się w klinice dla alkoholików.

Tym razem zdołałam usiąść, ale zakręciło mi się w głowie. Z trudem wychrypiałam całe zdanie:

- Mu... musiała zajść jakaś pomyłka.

- Doprowadź się do ładu, porozmawiamy później, dobrze? - Kobieta uśmiechnęła się, jakby moje słowa w ogóle do niej nie dotarły. - Przez całe popołudnie mam dyżur. Świetlica jest zaraz na prawo. Spokojnie, dzisiaj nie musisz się spieszyć: twój program rozpoczyna się dopiero jutro rano. - Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i wyszła.

Opadłam z powrotem na poduszkę, gorączkowo usiłując poskładać sobie wszystko w głowie. Nagle z wirującego kalejdoskopu wydarzeń z udziałem Tess i mnie w naszym salonie wyłonił się obraz Rity. Zobaczyłam wyraźnie, jak stoi nade mną na parkingu z drzewami w tle.

To Rita mnie tu przywiozła. To wszystko sprawka Rity... dzięki, Rita.

Już mnie tu nie ma.

Odrzuciłam kołdrę, ale znów zakręciło mi się w głowie i musiałam odczekać, aż pokój przestanie wirować. Następnie powoli wstałam z łóżka. Spojrzałam w dół. Miałam na sobie ohydny łań w kwiatki.

Muszę niezwłocznie wezwać pomoc. Gdzie moja torebka?

Nigdzie jej nie widziałam.

Chcę sprawdzić, czy mogę chodzić, niepewnie zrobiłam krok naprzód. Stopy funkcjonowały bez zarzutu, więc podeszłam do szafy ze sklejką i znalazłam w środku torebkę, porządnie ustawioną w rogu. Wisiały tam również moje rzeczy, a na półce leżała poskładana bielizna oraz kosmetyczka.

Przeszukałam torebkę: portfel, puderniczka i dokumenty były na swoim miejscu, nigdzie jednak nie mogłam znaleźć komórki.

Spanikowałam. Nigdy nie rozstaję się z telefonem. Muszę go odszukać. Oczywiście nie było sensu dzwonić do Rity, ale Tess na pewno mi pomoże. Wysypałam zawartość torebki na łóżko. Komórki nie było.

Głowa rozbolała mnie z wysiłku i rozejrzałam się za proszkami. Zawsze noszę przy sobie zapas, lecz fiolka również gdzieś znikła. Sprawdziłam między dokumentami, zaglądając pod każdy z osobna. Na próżno. Co tu jest grane? Czyżbym została okradziona, kiedy spałam?

Naraz doznałam olśnienia. Przeszukali moje rzeczy.

- Przykro mi z powodu proszków, ale oczywiście zwrócimy ci komórkę - zapewniła ta cała Louise, rozplývając się w uśmiechach. W kwestii uśmiechów mogła się ubiegać o mistrzostwo świata. Przyszła sprawdzić, czy jestem gotowa do naszej „rozmowy”. (Nie byłam. Dalej siedziałam na łóżku w ohydnej koszuli w łączkę, która wisiała na mnie jak worek od kartofli). - Chcemy jedynie, żebyś się skupiła na programie. Przez pierwszych kilka dni kontakt ze światem zewnętrznym raczej nie jest wskazany.

Gadała jak nakręcona, ale byłam tak wściekła, że słuchałam jej jednym uchem. Co to ma być, jakiś gułag? Przetrzepują twoje rzeczy w poszukiwaniu alkoholu, proszków, żyłek oraz innym rzeczy, które w ich mniemaniu stanowią dla ciebie zagrożenie. Warto by to nagłośnić...

- Muszę iść. - Jakoś zwlokłam się z łóżka, niestety zawroty głowy znów dały o sobie znać. Tymczasem ona dalej paplała, jakby miała do czynienia z figurą woskową.

- Gdybyś musiała koniecznie zadzwonić, w recepcji jest płatny telefon.

Jasne. Żeby mogli usłyszeć, co się mówi. Nie byłam wściekła. Była oburzona.

- Kategorycznie proszę o zwrot telefonu. Chcę natychmiast opuścić to miejsce, to jakaś pozałowania godna pomyłka. Ktoś źle mnie zrozumiał i tylko niepotrzebnie zajmuję łóżko. Nie jestem alkoholiczką. Zadzwonię do przyjaciółki, zaraz po mnie przyjedzie.

Louise uśmiechała się jak gdyby nigdy nic. Jak Barbie. Przyszło mi do głowy, że właściwie nawet ją przypomina z tym długim kucykiem jasnych włosów oraz wsuwką w kształcie konika morskiego nad lewym uchem.

- Kto tu rządzi? - Owinęłam się ciasniej wstrętną koszulą.

- Ja, Madeleine. Ale jeśli chcesz porozmawiać z lekarzem dyżurnym...

- Chcę. I to zaraz.

- Naturalnie. - Sięgnęła po kartotekę (moją?) i włożyła ją pod pachę. - Zaraz go zawiadomię. W tej chwili jest na obchodzie, na pewno zaraz do ciebie zajrzy. Masz ochotę na kawę? Jesteś głodna, Madeleine? Zostały chyba jeszcze herbatniki. Pozostali są w świetlicy, mamy teraz przerwę.

Z chwilą gdy o tym wspomniała, poczułam wilczy głód. Było to zdumiewające uczucie; nie pamiętam, kiedy go ostatnio doświadczyłam. Gdy ochłonełam po tym niezwykłym odkryciu, poczułam na sobie badawcze spojrzenie bystrych i świdrujących oczu Barbie. O nie, pomyślałam. Nie dam jej tej satysfakcji.

- Nie, dziękuję - odpowiedziałam sztywno. - Nie jestem głodna.

- Kiedy ostatnio jadłaś, Madeleine?

Wkurzało mnie, że w każdym zdaniu używa mojego imienia, lecz to pytanie zbiło mnie z pantałyku. Zapominając o niechęci, usiłowałam sobie przypomnieć porę swego ostatniego posiłku. I prawdę powiedziawszy, nie mogłam: ostatnią rzeczą, którą zapamiętałam, była poranna rozmowa z Ritą w mojej kuchni, wczoraj, przedwczoraj? Czy wtedy coś jadłyśmy? Może tosty? Jak przez mgłę przypominałam sobie sprzeczkę o grzanek. Nie gotowałam jednak od chwili wyjazdu Colma do dziadków.

Barbie Louise obserwowała moje wysiłki.

- Nie byłaś rano na śniadaniu i pewnie na razie wolałabyś nie wychodzić do innych, to rozumiame, musisz się zaaklimatyzować. Może jednak skusisz się na herbatę i bułeczki? Przyniosę ci, to żaden problem, Madeleine. Mamy dżem truskawkowy domowej roboty, o ile jeszcze coś zostało, ale uprzedzam, że jest bardzo słodki. Nasi pacjenci bardzo go lubią. A może wolisz pomarańczowy? Albo malinowy?

Skąd ta jędza wiedziała, że miałam ochotę na coś słodkiego? Na myśl o truskawkowej słodyczy ślinka napłynęła mi do ust.

A co tam, pomyślałam, na chwilę uśpię ich czujność.

- Dziękuję - odpowiedziałam wielkopańskim tonem, jakbym zamawiała podwieczorek w hotelu Shelbourne. - Może być truskawkowy. A tak w ogóle, to chciałabym się umyć. W tym pokoju chyba nie ma łazienki.



- Łazienka znajduje się dwa pokoje dalej. O tej porze najprawdopodobniej będziesz ją miała tylko dla siebie.

Obok znajdziesz schowek z bielizną, tam chowamy ręczniki. Mokra powieś, proszę, na kaloryferze w swoim pokoju. Tak przy okazji, Madeleine, bardzo nam zależy, aby nasi pacjenci sami dbali o czystość swoich pokoi. Do zobaczenia. - I znowu wyszła.

Madeleine, Madeleine, Madeleine. Brzmienie własnego imienia zaczynało działać mi na nerwy.

Długo stałam pod prysznicem, który okazał się obskurny, lecz funkcjonalny. Wraz z wodą obmywającą mnie z obu stron i bulgoczącą między palcami spłynął na mnie niezwykły spokój. Chciałam trwać wiecznie pod gorącym natryskiem, bezpieczna i z dala od wszystkich.

Stan „oszołomienia”, jak to określiła Barbie Louise, powoli mijał, ustępując miejsca fali wspomnień. Zapuszczony dom. Cierpienie w oczach Colma, kiedy przypaliłam obiad - cierpienie, które nie miało nic wspólnego z jedzeniem, pamiętna kłótnia... Samotność i pusta butelka ginu.

Nie mogłam płakać, pozwoliłam, aby prysznic zrobił to za mnie. Przymknęłam oczy, a woda spływała mi po skórze. Poczułam, jak wnika w moje pory i prosto do serca.

Naraz, w ciasnej kabinie prysznicowej ośrodka odwykowego doznałam nieoczekiwanej zmiany nastroju. Odzyskałam jasność myślenia. W porządku, pewnie przesadziłam z alkoholem. Żadne „pewnie”; zdecydowanie przesadziłam z alkoholem i potrafię się do tego przyznać.

Chyba nie ma w tym nic dziwnego, w końcu ostro dostałam w kość. Mąż mnie rzucił, na miłość boską, że nie wspomnę o długim, morderczym okresie, gdy podejrzewałam, iż ma romans. Mało się wtedy nie pochorowałam z nerwów i to dosłownie. Uległam przez to paru zgubnym nałogom, sama dobrze o tym wiem. Wszystko dlatego, że za bardzo się przejmowałam. A że najprawdopodobniej nie odzyskam Fergus, choćbym w tym celu stawiała na głowie, jeśli chcę się uporać z własnym życiem, stanowczo muszę przestać pić.

Nie będę z tym miała żadnych, ale to żadnych problemów. Alkoholicy wykazują skłonności do przemocy, wymiotują publicznie i się nie myją. Nigdy mi się coś takiego nie zdarzyło. Mogę przestać pić od razu, z dnia na dzień.

I stojąc pod ożywczym strumieniem wody, podjęłam kategorię decyzję. Z własnej, nieprzymuszonej woli i z pełną świadomością tego, co robię. Nie wezmę do ust ani kropli więcej. Skoro tak się o mnie martwiły, że Rita (niech ją Bóg błogosławi) nawet postanowiła umieścić mnie w klinice, udowodnię im, że ich obawy nie mają żadnego pokrycia w rzeczywistości. Po prostu przestanę pić i kropka. Stanę się najlepszą i najbardziej resocjalizowaną niepijącą w całym Dublinie.

No, w moim postanowieniu kryło się może nieco przesady, bo zacznijmy od tego, że wcale nie byłam alkoholiczką. Skorygowałam swoją rezolucję: stanę się najbardziej trzeźwą alkoholiczką w całym Dublinie.

Bułka z masłem, pomyślałam zakręcając wodę.

Kiedy wróciłam do „mojego” pokoju, herbata i bułki czekały na tacy ustawionej na rozbebeszonym łóżku. Owinięta „swoim” ręcznikiem łapczywie rzuciłam się na jedzenie. Herbata zdążyła wystygnać, ale dżem okazał się palce lizać, a i bułeczki (chyba też własnej roboty) były nie do pogardzenia. Zmiotłam wszystko do ostatniego okruszka. Czułam się niesamowicie, myślałam jasno i wprost rozpierała mnie energia. Od lat nie miałam tak dobrego samopoczucia...

Nagle znieruchomiałam. Moja euforia nie mogła tak po prostu wynikać z dżemu i bułeczek, prawda? Nie, to jasne. Musieli dosypać mi czegoś do herbaty. Czegoś, co natchnęło mnie optymizmem. Pewnie to jakiś środek antydepresyjny czy coś w tym rodzaju.

Jak oni śmiają? Jak śmiają?!

Nie posiadałam się z oburzenia. Znów ogarnął mnie gniew. Zadzwoń do radia i opowiem rodakom o karygodnym traktowaniu pacjentów w klinikach... Zaniosę to do prasy... Może nawet wytoczę proces... Przytrzymując ręcznik na piersiach, krążyłam po pokoju i planowałam zemstę. Zdemaskowanie tej instytucji wydało mi się ze wszech miar uzasadnione: jeśli robią to ludziom tutaj, robią wszędzie. To jeden wielki spisek. Pisali o tym książki, jeździli na te same konferencje i wspierali się nawzajem. Opinia publiczna ma prawo się dowiedzieć...

Przed oczami stanął mi inny obrazek sprzed dwóch dni. Louise wspomniała, że przespałam „blisko dwa dni”. Czy to możliwe, że spędziłam tu dwie noce? Upuściłam papierosa na moją śliczną sofę i Rita się wściekła, że podpalę dom.

Rita. Boże, czy to możliwe, że wypięłam się na Ritę? Na moją najlepszą, najwierniejszą przyjaciółkę? Czy powiedziałam coś, co ją zdenerwowało? Pokłóciłyśmy się, rzuciłam parę przykrych słów... może dlatego mnie tu przywiozła? I znów ogarnęła mnie czarna rozpacz. Totalnie spałam swoje życie, nic dziwnego, że mąż mnie zostawił...

- Gotowa? - Proszę, znowu przylazła. Tym razem nawet nie zapukała. - O, widzę, że nie... - Zerknęła na pustą tacę. - Smakowało, Madeleine?

- Tak. - Wielkie łyzy pojawiły się znikąd i pociekły mi po policzkach.

- To dobrze. Dam ci parę minut, żebyś się ubrała. - Moje łyzy nie zrobiły na niej najmniejszego wrażenia. Nie zauważyła, że właśnie runął mój świat. Przecież powinno się reagować, gdy ktoś płacze, prawda? Co tu jest grane?

Gdy kilka minut później zobaczyłam lekarza, bynajmniej nie przypominał on życzliwego pocziwca z telenoweli. Kiedy próbowałam go przekonać, że nie jestem alkoholiczką i że podjęłam decyzję o całkowitym zaprzestaniu picia, był oschły, wręcz niegrzeczny. Wcześniej zdążyłam się uspokoić, lecz nadal było mi ciężko na duszy.

- Radzę pani tu zostać - oznajmił, chociaż słowo „radzę” nie licowało z jego tonem. Bardziej pasowałoby tu „rozkazuję”.

Uraczył mnie wyczerpującym wykładem na temat funkcjonowania „mózgu alkoholika” oraz ostatnich badań w dziedzinie „choroby”, jaką jest alkoholizm. Przy- najmniej nie okraszał każdego zdania moim imieniem, jak jego współniczka.

Miałam na sobie własną odzież i mogłam stać (lub siedzieć) z godnością, na jaką pozwalały mi okoliczności. (Oboje siedzieliśmy na skraju mojego łóżka. Podczas planowania wystroju tego arcygościnnego przybytku niestety nie przewidziano krzeseł).

- Dziękuję, doktorze - powiedziałam, gdy jego monolog szczęśliwie dobiegł końca. - Ale pan mnie nie zrozumiał. Ja - nie - jestem - alkoholiczką. Czy to naprawdę aż takie skomplikowane?

- Czy pamięta pani wszystko, co robiła podczas każdej libacji?

- Protestuję. Nie było żadnych libacji.

- Ujmę to inaczej - rzucił swobodnie. - Ile jednostek alkoholu spożywała pani tygodniowo? Jednostka alkoholu to...

- Nie musi pan mi mówić. Wiem, ile to jest - odparłam sztywno. - Znam również dopuszczalne dawki dla kobiet i dla mężczyzn. Czytałam o tym w prasie.

- No więc? Ile, Madeleine?

Utkwiłam w nim wzrok.

- To zależy - odpowiedziałam.

- Od czego? Postanowiłam zastosować unik.

- Przyznaję, że ostatnio piłam więcej niż zwykle. Ale zostawił mnie mąż, żyję w dużym napięciu.

- Ile? Może pani skłamać, nazywamy to minimalizowaniem, ale tak naprawdę okłamuje pani wyłącznie siebie. Uznała pani, że za dużo, i dlatego pani do nas przyszła.

- Przyszłam, bo... - Urwałam w pół słowa. Chciałam burknąć, że to nie jego sprawa. Chłasnąć go w ten gładko ogolony policzek albo wylać mu wodę na koszulę. Lecz w duchu musiałam przyznać mu rację. Jego postawa i cierpliwość wykluczały kłamstwo.

Ujrzałam kolejny obrazek: płacząca na mojej sofie Tess. Przypomniałam sobie jak przez mgłę, że ona też ma kłopoty. Wcześniej nie brałam tego pod uwagę. Ale bynajmniej nie sprawiło mi to satysfakcji, zwłaszcza pod baczny spojrzeniem tego doktora, który zerkał na mnie spod białych brwi.

- Nie trzymamy tu pani na siłę, Madeleine. W każdej chwili może pani odejść. Proszę mi wierzyć, pani obecność wcale nie jest nam na rękę. Jeśli nie podchodzi pani do sprawy poważnie, proszę od razu się wypisać. Nie lubimy marnować czasu ani środków, których i tak ostatnio nam brakuje. W przeciwieństwie do pacjentów.

Spoglądałam na niego w milczeniu. Na jego twarzy po raz pierwszy zamajaczył uśmiech.

- To co, zostanie pani na próbę? Uprzedzam, nie będzie łatwo.

## Rozdział 34

---

Cztery dni po brzemiennie w skutki rozmowie z Jerrym, po jego powrocie ze Sztokholmu znalazłam się w kuchni sam na sam z Frederickiem. Minęła dziewiąta rano, pomieszczenie nietypowo wypełniał blask słońca, a włosy Fredericka, mokre po porannym prysznicu, połyskiwały w świetle bijącym z okna. Właśnie jadł śniadanie; ubrany w swój zwykły podkoszulek i dżinsy parzył kawę, a ja próbowałam coś upiec, zresztą bez większego entuzjazmu. Pani Byrne szalała z odkurzaczem w salonie, Tom oglądał telewizję, a Jack jeszcze spał, podobnie jak ojciec, którego śniadanie powróciło nietknięte do kuchni.

Stosunki między mną i Frederickiem pozornie układały się bardzo harmonijnie; nie wiedział, że usilnie zachodzę w głowę, jak by tu taktownie nakłonić go do wyjazdu.

Moje nadzieje na ogarnięcie chaosu okazały się złudne i coraz trudniej było udawać, że jedynym ważnym problemem, z którym muszę się zmagać, jest choroba taty. I choć Frederick okazał się gościem idealnym i zgodnie z obietnicą pomagał nam w ogrodzie, jego obecność zaczęła mnie coraz bardziej uwierać.

Było też jeszcze coś: jego widok uświadamiał mi dotkliwie, jaka jestem płytka, żenująco lubieżna, a zarazem kapryśna i zmienna. Najpierw podniecam się idiotycznie na czyjś widok, a w zderzeniu z rzeczywistością porzucam te uczucia jak dziurawą rękawiczkę.

Moje pożądanie nie było nawet szczere: celowo się nakręciłam i wołałam teraz nie wnikać w powody swojego zachowania. Kryzys wieku średniego? Chęć udowodnienia czegoś sobie - a może innym - na przykład swojemu mężowi? Patrząc na Fredericka, miałam ochotę zapaść się pod ziemię.

Jerry nie wypowiadał się na temat przydługiej obecności gościa, wyjąwszy słuszny skądinąd zarzut pod moim adresem, jakobym darzyła obcych większą uwagą aniżeli własnego męża. Chłopcom gość też chyba nie przeszkadzał, chociaż obaj ciężko znieśli wiadomość o chorobie dziadka. Tom, co do niego niepodobne, wybuchnął płaczem, Jack zaś (jeśli wierzyć Ricie) poszedł się wypłakać w rękaw Kitty,

przez co wróciła do domu niemal równie zdruzgotana jak on. (Oczywiście próbowałam z nim porozmawiać, lecz moje wysiłki spęły na niczym. „Daj spokój, mamo. Tylko pogarszasz sprawę tymi ciągłymi pytaniami. Czy jestem zdenerwowany? Tak, jestem zdenerwowany. No. Zadowolona?”)

Jednakże nie minęła doba i obaj otrząsnęli się z pierwszego szoku. Jack próżniaczył się jak zawsze, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie, Tom zaś - jak zwykle wyalienowany - opiekował się Normą, grał w tenisa albo pływał z Frederickiem. Najwyraźniej obaj pogodzili się z myślą, że życie płynie dalej. Świadomość rychłej śmierci dziadka napełniała ich smutkiem, ale przecież każdy dziadek musi kiedyś umrzeć. A że w tym czasie mieszkał z nami znajomy... cóż, wielkie rzeczy.

Cały czas zmagalam się w myślach z tym, co ochrzciałam mianem „kwestii Susan”. Od czasu naszej kłótni Jerry i ja zachowywaliśmy się wobec siebie bardzo uprzejmie i choć rozmawialiśmy o ojcu (mój mąż był bardzo poruszony całą sytuacją), sprawa osobistej asystentki nie ujrzała więcej światła dziennego. Na mocy cichego porozumienia uznaliśmy chorobę taty za najważniejszą, odkładając pozostałe sprawy na później.

Zresztą Jerry i tak rzadko bywał w domu, co z jednej strony mi odpowiadało, a z drugiej wręcz przeciwnie, ponieważ wahałam się pomiędzy żądzą mordy a chęcią obgadania wszystkiego na nowo, a nawet wyciągnięcia ręki na zgodę, choć w świetle zaistniałych okoliczności sama nie mogłam w to uwierzyć. Punkt widzenia Jerry'ego wywarł na mnie piorunujące wrażenie. I w duchu przyznałam mu rację. Żyłam dotąd w błogiej nieświadomości własnego zadufania.

Jednym słowem, wtłoczona pomiędzy ojca a kwestię Susan, przez ostatnich kilka dni ulegałam na przemian atakom rozpacz, gniewu i desperacji, a zarazem skrepowania, gdyż byłam święcie przekonana, że wyprawka do pokoju gościnnego nie uszła niczyjej uwagi. Życie pod dachem Arkadii stało się zbyt skomplikowane.

- Muszę cię o coś poprosić, Fredericku. - Porzuciłam zmagania z mąką i masłem.

- Strzelaj! - Kawa parowała na jednym z blatów, a sam Frederick zajadał płatki kokosowe.

- Czuję się niezręcznie i mam nadzieję, że się nie obrazisz, ale jak sam wiesz, od czasu twojego przyjazdu sytuacja w naszym domu zmieniła się diametralnie. Niewykluczone, że niedługo staniemy wobec konieczności zatrudnienia pielęgniarki do całodobowej opieki nad ojcem, w związku z czym będziemy potrzebować wszystkich pokoi. - Dopiero wówczas zdałam sobie sprawę, że nie mogłam tego ująć bardziej taktownie.

Popatrzył ze współczuciem.

- Oczywiście zwolnię pokój, doskonale cię rozumiem. - I dodał po chwili wahania: - Może mógłbym sypiać na sofie? Nie miałbym nic przeciwko temu. Rany, gdybyś widziała miejsca, w których musiałem czasem nocować!

- To raczej nie wchodzi w rachubę, Fredericku.

O nie. Chyba jednak nie wyraziłam się dostatecznie jasno.

- Nie chodzi tylko o pokój... myślę, że powinniśmy teraz spędzać razem więcej czasu, my, to znaczy nasza rodzina...

- ...A ja nie należę do rodziny - uzupełnił.

- Właśnie. - Poczulałam ulgę. - Wybacz, ale rozumiesz chyba...

- Jasne, oczywiście, że rozumiem. Zaraz pójde na górę spakować swoje rzeczy... - Urwał, a następnie podjął po chwili namysłu: - Naprawdę uważasz, że na nic ci się nie przydam? Nie potrzebujesz życzliwej duszy, która pomoże ci przez to przebrnąć? Jerry jest taki zapracowany.

- Dziękuję, ale jakoś sobie poradzę. To miłe, że mogę na ciebie liczyć, Fredericku, ale teraz czuję potrzebę skupienia się na rodzinie. Trudno mi to wytłumaczyć.

- To naturalne. - Spuścił głowę i zastanowił się przez chwilę. - Pomyślmy... Chyba pojedę do Londynu. Mam tam paru znajomych i otwarte zaproszenie... Wiesz co? - Z powrotem podniósł na mnie wzrok. - Właśnie coś mi przyszło do głowy. Może zabiorę Toma z sobą na kilka dni? Masz dosyć spraw na głowie, poza tym lepiej oszczędzić małemu takich przeżyć, zwłaszcza że jedną tragedię ma za sobą. Śmierć ojca musiała odcisnąć na nim piętno.

- Czy ja wiem... - Byłam wzruszona propozycją, jednak nie kryłam wątpliwości co do sensu oszczędzania Tomowi wspomnianych „przeżyć”. - Nie mogę wiecznie trzymać go pod kloszem, Fredericku.

- Racja, ale może chociaż zapytamy go o zdanie? Jeden z moich kumpli ma syna mniej więcej w jego wieku. Jestem pewien, że on i jego żona nie mieliby nic przeciwko temu, żebyśmy wpadli do nich na parę dni. A z tego, co mi mówili - Frederick był coraz bardziej rozentuzjzmowany - Oko Londynu znajduje się zaledwie kilka stacji od ich mieszkania. Tommy na pewno by się ucieszył!

Propozycja była nad zwyczaj kusząca. W imieniu Toma i własnym byłam wdzięczna, a nawet wzruszona, nie tylko z powodu wspaniałomyślności Fredericka: oto zyskałam potwierdzenie, że ktoś oprócz mnie doceniał mojego syna, podczas gdy inni najchętniej wysłaliby go do lekarza. Usiłowałam nakłonić swój znękaną mózg do głębszej refleksji, szukając dziury w całym.

- Ale jak wróci do domu?

- Normalnie! Sam doprowadzę go do samolotu. Pod same drzwi.

Zastanowiłam się przez chwilę, podczas gdy Frederick spoglądał na mnie wyczekująco.

- Bardzo ci dziękuję. - Z wdzięcznością dotknęłam jego ramienia, przekonana, że Tom nigdy się na to nie zgodzi. Powiedziałam o tym Frederickowi. - Pewnie sam zauważyłeś, że ma własny sposób na życie.

- W porządku, tak mi tylko przyszło do głowy. - Wzruszył ramionami.

- Wiesz co, może jednak go zapytam, dobrze? Niech sam podejmie decyzję. A jeśli zgodzi się pojechać, oczywiście zapłacimy za waszą podróż.

- Nie... proszę cię... nie mógłbym.

Widziałam, że odmawia z grzeczności.

- Jeśli zechce pojechać, będę nalegała.

- Boże! - Przewrócił oczami. - Mam jeszcze brać od was pieniądze, po tym jak mnie ugościliście. Pewnie uważacie mnie za darmozjadę.

- Nawet tak nie myśl. Było nam niezmiernie miło. Żałuję tylko, że musiałam skrócić twoją wizytę. No, to teraz pójdę pogadać z Tommy'm, dobrze? Jeśli ma z tobą jechać, muszę go jakoś przygotować. Chciałabym też porozmawiać z żoną twojego



kolegi, jeśli nie masz nic przeciwko temu. Wolę się upewnić, że to nie będzie dla nich kłopot. Mają więcej dzieci?

- Chyba jeszcze jednego syna, małego pędraka. Idę na górę. Daj znać, co postanowicie. A ja w tym czasie poszukam numeru.

Oczy Toma wydawały się szkliste, jak zawsze gdy oglądał ciekawy program. Norma dokazywała na sofie obok niego; na wszelki wypadek podłożył jej swoją kurtkę.

- Tom? Musimy porozmawiać.

- Oglądam, mamó.

- Co?

- Program o tresurze psów.

Podeszłam do telewizora i go wyłączyłam. Jack zareagowałby wybuchem złości, lecz Tom tylko spojrzał na mnie z cieniem zainteresowania w oczach.

- Frederick chce cię zabrać do Londynu na kilka dni. - Postawiłam Normę na podłodze i usiadłam obok chłopca. - Jego znajomi mają syna mniej więcej w twoim wieku. Podobno mieszkają w pobliżu Oka Londynu, skąd rozciąga się widok na całe miasto. Można wjechać na górę i...

- Wiem, co to jest Oko Londynu, mamó. Spalibyśmy u Evana?

- Evana? - Popatrzyłam na niego ze zdumieniem.

- Frederick opowiadał mi o Evanie. Jego tata pracuje w banku. Ma pieczę nad miliardami funtów. Czasem zabiera Evana do sejfów i pozwala mu je oglądać.

- Aha. Hm, nie jestem pewna. Nie pytałam o imię tego chłopca. Chciałbyś pojechać?

- A zaprowadziliby mnie do Madame Tussaud? Odkąd zobaczył w telewizji program o muzeum figur

woskowych, nie mógł przestać o nim myśleć. Szczególnie zafascynowało go sporządzanie odlewów głów i twarzy („Niezły sposób, żeby kogoś zabić, nie?“). Najbardziej zdumiało mnie jednak jego zainteresowanie wyjazdem. Spodziewałam się kategorycznej odmowy, ale mój syn raz jeszcze udowodnił, że nigdy nie sposób przewidzieć jego reakcji.

- Decyzja należy do ciebie, Tom - podjęłam. - Jeśli wolisz zostać w domu, w porządku.

Zmierzył mnie łagodnym spojrzeniem.

- Zamiast obozu tenisowego?

- O rany! Na śmierć zapomniałam. - Z tego wszystkiego wyleciało mi z głowy, że za namową Colina, nowego kolegi, Tom zapisał się na letni kurs tenisa organizowany w parku publicznym. - Nie musisz wybierać - dodałam. - Obóz zaczyna się w poniedziałek, prawda? Dzisiaj mamy piątek. Pierwszy dzień wprowadzie cię ominię, ale przecież z łatwością nadrobisz zaległości. Może omówisz to z Colinem?

- Nie gram już z Colinem.

- Dlaczego? - A to dopiero niespodzianka. Tom miał trudności w nawiązywaniu kontaktów. To, że tego lata zaprzyjaźnił się z dwójką dzieci, małą Francuzką, a potem z Colinem, uznałam za dobry znak. Nagle przypomniałam sobie jego wcześniejszy powrót z domu kolegi. - Co się stało, Tom? Pokłóciliście się, kiedy miałeś u niego nocować?

- Nie chcę o tym rozmawiać. - Utkwił wzrok w pustym ekranie, a jego ton był równie beznamiętny jak zwykle.

Wiedziałam z doświadczenia, że dalsze przesłuchanie nie ma sensu.

- No dobrze, ale musisz podjąć decyzję. Frederick jest na górze, pakuje swoje rzeczy. Najprawdopodobniej dzisiaj wyjedzie. Zgadzasz się czy nie?

Wreszcie raczył na mnie spojrzeć.

- Kto będzie opiekować się Normą? Kolejna rzecz, która umknęła mojej uwadze.

- Ja. Przecież to tylko kilka dni.

- Dobrze.

- Jesteś pewien, że tego chcesz? Nie musisz jechać.

- Powiedziałem „dobrze”, mamę. Mam się spakować? Czy Norma może odprowadzić mnie na lotnisko?

- Tak. Muszę jeszcze tylko zamienić dwa słowa z mamą Evana, czy aby na pewno nie ma nic przeciwko temu. Owszem, możesz zacząć się pakować. Poproś o pomoc panią Byrne.

Upewniwszy się, że Aer Lingus dysponuje po południu wolnymi miejscami, przekazałam Frederickowi decyzję Toma. Ucieszył się, a potem zapytał ostrożnie, czy raz jeszcze mógłby skorzystać z komputera Jerry'ego. Chciał napisać do kolegi w Londynie i przekazać mu „dobre wieści”.

- Czy mogę cię prosić o ich numer telefonu? Chciałabym porozmawiać z matką tego chłopca. A propos, czy on ma na imię Evan?

- Tak! - zdumiał się Frederick. - Skąd wiesz?

- Hm, jeśli mówisz Tomowi Butlerowi coś, co bardzo go zainteresuje, na przykład o tacie, który czuwa nad miliardami funtów, na pewno nie zapomni szczegółów.

- Co za dzieciak! Słuchaj, Tesso, nigdzie nie mogę znaleźć ich numeru. Musiałem go mieć w starym notesie.

Byłem pewien, że go znajdę, ale mam tylko adres i mejl. Zaraz do nich napiszę i poproszę, żeby natychmiast podali numer, dobrze?

- W ostateczności możemy skorzystać z książki telefonicznej. - Widmo biustu panny Vitelli Moore zawisło nad nami nieubłaganie.

Gdy zapukałam do pokoju taty i weszłam do środka, siedział wsparty na poduszkach, wyglądając obojętnie przez okno. Bez okularów jego twarz wydawała się obca i bezbronna.

- Wszystko w porządku, tato? Potrzebujesz coś?

- Nie, dziękuję. Zaraz wstanę. Czuję się dzisiaj trochę zmęczony.

Chcąc pozbyć się dławienia w gardle, opowiedziałam mu o wyjeździe Toma.

- Wspaniale - odrzekł. - Małemu przyda się trochę rozrywki.

- Powinnam wrócić około wpół do czwartej. Gdybyś tymczasem czegoś potrzebował albo gdybym utknęła w korku, pani Byrne będzie na miejscu do wpół do piątej.

- Londyn to wspaniałe miasto. Ponad siedem milionów ludzi, czyli według ostatnich obliczeń półtora raza więcej niż populacja Irlandii.

Stewart, ojciec Evana, zadzwonił do nas w odpowiedzi na mejl Fredericka tuż przed naszym wyjazdem na lotnisko, gdy byłam o krok od odwołania wyprawy. W końcu co wiedziałam o tych ludziach? Stewart okazał się jednak bardzo miły, a

perspektywa przyjazdu kolegi w towarzystwie obcego dziecka nie budziła jego najmniejszych zastrzeżeń.

- Spokojna głowa - oznajmił z charakterystycznym australijskim akcentem. - Będzie super. Dopilnujemy, żeby mały się dobrze bawił. A tak w ogóle, przykro mi z powodu twojego ojca - dodał. - Freddie wspomniał, że przechodził ciężkie chwile.

- Dziękuję. A mama Evana? Nie chcę się narzucać, może jednak powinnam zamienić z nią kilka słów?

- Mel? Ależ skąd. Pochodzi z Essex i jest totalnie wyluzowana. Mogę ci podać służbowy numer, tylko że ona pracuje w amerykańskim banku; sama wiesz, jak tam patrzą na prywatne rozmowy. Przełożmy rozmowę na wieczór, dobrze? Mogę cię zapewnić, że nie będzie miała nic przeciwko temu. Tak się składa, że nie zaplanowaliśmy nic na weekend, a Evan to bardzo towarzyskie dziecko.

- Dziękuję. Czyli nie mam powodów do niepokoju?

- Ależ skąd, Tesso!

Oddając słuchawkę Frederickowi, nie byłam pewna, czy w podobnych okolicznościach zachowałabym się równie gościnnie. Wiedziałałam już jednak, że Frederick ma niesłychaną umiejętność zjednywania sobie przyjaciół we wszystkich zakątkach kuli ziemskiej, skłonnych w razie potrzeby służyć mu pomocą.

Godzinę później, zostawiwszy Normę bezpiecznie zamkniętą w samochodzie, Frederick, Tom i ja szliśmy przez parking w stronę hali odlotów. Ponownie gryzło mnie sumienie, przypominałam sobie bowiem, że Tom nigdy nie był sam dalej niż trzy kilometry poza domem. A jeśli ich nie polubi? Jeśli zachoruje czy choćby zatęskni za domem, zdany na łaskę ludzi, których nigdy nie widziałam na oczy?

Owszem, ufałam Frederickowi: nigdy nie zauważyłam, żeby nadużywał alkoholu czy brał narkotyki. Ale oni? Trudno ocenić kogoś na podstawie jednej rozmowy telefonicznej, choćby wydawał się przemyły.

- Jesteś pewien, że twoi znajomi nie zgodzili się aby tylko z grzeczności? Myślisz, że nie są teraz źli? - Przecież nie mogłam spytać wprost o ich obyczaje. Skoro jednak byli bankierami...

W lot pojął, w czym rzecz.

- Oczywiście, że nie są. Poza tym to porządni ludzie, Tesso. Przestań się martwić, to przykładni obywatele, tacy jak my! - Pod jego rozbawionym spojrzeniem poczułam się jak skończona idiotka.

Dotarliśmy prawie do wejścia.

- Chciałabym porozmawiać z matką chłopca. Mężczyźni nie mają pojęcia, co znaczy przyjmowanie gości. Zadzwoń wieczorem, żeby ją zastać, dobrze? Kup jej ode mnie jakiś prezent. Nie wiem, czy znajdziesz na lotnisku coś szczególnie oryginalnego, ale jestem pewna, że zrozumie.

Spojrzał na dwa banknoty stueurowe, które wcisnęłam mu do ręki.

- Może wędzonego łososa?

- Za tę kwotę dostałbyś cały wagon wędzonego łososa. Może komplet irlandzkiej pościeli? I koniecznie kup coś dla chłopca.

- Boże! - jęknął. - Jestem beznadziejny, jeśli chodzi o prezenty.

- *Quel surprise!* Mężczyzna i w ogóle! - Żartobliwie dźgnęłam go palcem w żebra. I pomyślałam, że będzie mi go brakowało.

- Cóż, skoro mi ufasz. - Schował pieniądze do górnej kieszeni kurtki. - Zrobię, co w mojej mocy. Ale nie miej mi za złe, jeśli kupię tylko dwa tuziny broszek z koniczynką.

Roześmiałam się i objęłam Toma.

- A ty bądź grzeczny, dobrze? Jeszcze możesz się rozmyślić...

Obrzucił mnie spojrzeniem pełnym uprzejmego zainteresowania, co niezawodnie doprowadzało wszystkich do szału.

- Na co cieszysz się najbardziej? - zapytał Frederick.

- Nie wiem - odpowiedział spokojnie Tom. - Chyba na Madame Tussaud.

- A kogo szczególnie chciałbyś zobaczyć?

- Panią Thatcher.

Z trudem zachowując powagę, wymieniliśmy spojrzenia ponad jego głową.

- Ależ z ciebie oryginał, mały, bez dwóch zdań! - Amerykanin poklepał go delikatnie po głowie.

Tom popatrzył na niego z uśmiechem, a ja zapomniałam o lęku. Wszystko będzie dobrze. Niepotrzebnie robię z igły widły. Tak to jest być matką.

- Uważaj na niego, Fredericku. - Musiałam to powiedzieć.

- A co on, jajko? - Frederick uśmiechnął się szeroko. - Nie boisz się chyba, że go zgubię w metrze, Bebe?

- Naturalnie, że się boję. Jeszcze raz przepraszam, że musiałeś skrócić swoją wizytę, Fredericku. Ale chyba rozumiesz?

- Spokojnie, Tesso. Ani słowa więcej. Ty i Jerry pokazaliście mi znaczenie prawdziwej irlandzkiej *Cead Mile Failte*, i za to jestem wam bardzo wdzięczny.

- Będziemy w kontakcie? Może spotkamy się w bardziej sprzyjających okolicznościach.

- Jasne. - Zerknął na Toma, który czekał, nie okazując najmniejszych śladów zniecierpliwienia. - Ale, ale, ten młodzieniec i ja musimy zdążyć na samolot. Jeszcze raz bardzo ci dziękuję. I przykro mi z powodu twego ojca. To naprawdę straszne.

Nadeszła chwila, kiedy mogliśmy się objąć, jednak to nie nastąpiło. Sposobność pojawiła się na moment i już jej nie było.

- Trzymajcie się! - Rzuciłam się wyściskać Toma. - Przypominam, żebyś był grzeczny. Nie rób kłopotu gospodarzom i zawsze słuchaj Fredericka, dobrze? Porozmawiamy wieczorem, kiedy zadzwonię do mamy Evana. Wyśliznął się z moich objęć.

- Pa, mamó.

Kiedy wchodzili w stalowy labirynt prowadzący do hali odlotów, Frederick odwrócił się i pomachał ręką. Następnie schylił się i szepnął coś Tomowi do ucha, na co ten również pokiwał mi na pożegnanie.

- W razie czego dzwoń, Tom! - zawołałam. - Dzwoń!

Frederick poprowadził go w stronę kontroli paszportowej, po czym znikli mi z oczu. Czekałam w nadziei, że jeszcze mi migną, ale się nie doczekałam. Znów zaczęło dławić mnie w gardle. Nie bądź niemądra, Tess. Wyjechał tylko na cztery dni.

Po powrocie do Arkadii Norma zaczęła węszyć po podłodze w pokoju telewizyjnym, który uznała za swą niepodzielną własność. Ojciec, jak zawsze elegancki w garniturze i pod krawatem, rozwiązywał krzyżówkę w „Irish Independent”, kompletnie nie zwracając uwagi na psa. Telewizor mrugał z dźwiękiem wyciszonym do zera, a ja odniosłam złudne wrażenie, że ojciec jakby lepiej wygląda.

- Wszystko w porządku, tato?

- Jak najzupełniej, Tereso.

- Wzięłaś lekarstwa? Spojrzał na mnie spode łba.

- Zabiorę psa - oznajmiłam pospiesznie, podnosząc Normę z podłogi. - Pewnie chce wyjść.

Jakąś godzinę później pani Byrne i ja sprzątałyśmy lodówkę. Nasza gosposia jest przewrażliwiona na punkcie dat ważności, toteż usiłowałyśmy rozszyfrować kod na etykietce salami. Pomyślicie, że to trywialne zajęcie, skoro za ścianą siedział mój śmiertelnie chory ojciec, ale życie toczy się dalej. Nie wspomniałam pani Byrne o jego chorobie. Nie zniosłabym, gdyby za każdym razem dopytywała o jego stan, złąkniona złych wiadomości. Zdaniem pani Byrne nie ma to jak dobra tragedia.

- Jak się miewa Derek? - Obracałam salami na wszystkie strony. Derek to mąż pani Byrne, zajmuje się naszym ogrodem; dziesięć dni temu wziął wolne z powodu bólu w plecach.

- Fatalnie, pani B. - odrzekła z wyraźną przyjemnością pani Byrne. - To prawdziwy męczennik. Żadne proszki mu nie pomagają. Namawiam go, żeby poszedł do domu modlitwy w Achill, ale on nie chce o tym słyszeć, wyobraża pani sobie? - Chwyciła słoik ćwikły i z rozmachem postawiła go na blacie. - Do śmietnika!

- Cicho! - Uniosłam rękę. Wydawało mi się, że słyszę zgrzyt klucza we frontowych drzwiach. Odłożyłam salami z powrotem do lodówki. - Kto to może być o tej porze?

Chwilę potem na progu kuchni stanął Jerry. Był szary na twarzy, wrócił do domu cztery godziny wcześniej niż zwykle. Zobaczyłam, jak pani Byrne zamiera w radosnym oczekiwaniu, przeczuwając kłopoty.

- Co się stało? - zamknęłam lodówkę. Zauważyłam coś jeszcze: choć mój mąż nie palił od wielu lat, między jego palcami tlił się papieros.

- Dzień dobry, pani Byrne - powiedział do gosposi, a następnie zwrócił się do mnie: - Muszę ci coś powiedzieć, Tess. - Nawet jego głos brzmiał inaczej niż zawsze. - Chodźmy na górę, dobrze? - I wyszedł. Pani Byrne była wyraźnie zelektryzowana, a ja wstrząśnięta. Zaraz usłyszę, że złożył pozew o rozwód, pomyślałam.

- Proszę robić porządek beze mnie, pani B. - rzuciłam pospiesznie, wycierając rękę w papierowy ręcznik. Musiałam zachować pozory, przynajmniej w jej obecności.  
- Zaraz wracam.

Kiedy znaleźliśmy się za zamkniętymi drzwiami sypialni, Jerry oznajmił, że Susan Vitelli Moore nie stawiała się rano w pracy. Wraz z wynajętym prawnikiem poszła na spotkanie z prezesem zarządu Sentinelu. Twierdzi, że Jerry molestował ją seksualnie, wykorzystując swoje stanowisko, w wyniku czego czuła się zmuszona iść z nim do łóżka w obawie przed utratą pracy. Wytacza sprawę przeciwko całej firmie.

W świetle powyższego prezes oznajmił Jerry'emu, że na czas dochodzenia, „zgodnie z wewnętrzną polityką firmy” musi zawiesić go w obowiązkach dyrektora. „Bardzo mi przykro - dodał podobno - ale nie mam innego wyjścia. Jestem pewien, że wszystko się jakoś ułoży”. Nie sprecyzował tylko, kiedy. Jerry dodał, że prezes przez cały czas siedział ze wzrokiem wbitym w biurko. Podniósł oczy dopiero na koniec, gdy doradził Jerry'emu poszukanie dobrego prawnika i podał mu nazwisko swojego.

## *Rozdział 35*

---

Słyszeliście o Dniu Rodzinnym? Ja też nie. Ale mogę was zapewnić, że u świętego Rolanda nie ma on nic wspólnego z majówką.

W ciągu kilku pierwszych dni nie zawarłam tam żadnych znajomości, w przeciwnym razie ktoś raczej by mnie ostrzegł. Kiedy jednak moi towarzysze niedoli zaczęli prześcigać się w ponurych opowieściach o libacjach alkoholowych, wypadkach spowodowanych po pijaku, urwanych filmach, bójkach, przepijaniu pieniędzy przeznaczonych na czynsz i zakazach wstępu do każdego lokalu w mieście, odcięłam się od nich raz na zawsze. Ci ludzie zwyczajnie mnie nie interesowali, choć gdybym poznała ich w innych okolicznościach, paru być może zwróciłoby moją uwagę, zwłaszcza właścicielka małego interesu w Galway. Sprawiała wrażenie pełnej życia, chociaż nie miała lekko, o nie. Na przykład została zgwałcona. A jedno z jej dzieci utopiło się w basenie.



Nasza siedmioosobowa grupa składała się oprócz nas z samych mężczyzn: dwóch księży, właściciela pubu i dwóch bezrobotnych, dziewiętnasto- oraz siedemdziesięciolatka. Co do tego ostatniego, podobno był na emeryturze, ale nie wiem, czym się kiedyś zajmował. Samo życie, można by rzec.

Dzień Rodzinny przypada raz na dwa tygodnie i mówi się o nim ściszym głosem. Domyśliłam się, że chociaż wszyscy boją się go jak ognia, stanowi istotny element „kuracji”. Najwyraźniej było to coś w rodzaju zebrania, gdzie my, pacjenci, siadaliśmy w kółeczku z naszymi opiekunami i wybranymi członkami rodziny. Nasze zadanie polegało na wysłuchaniu żalów wylewanych pod naszym adresem. „Nie wolno przerywać” - oznajmiła ponuro kobieta z Galway.

- Kogo chcesz zaprosić, Madeleine? - Twarz Louise jaśniała niezmiennym, upiornym uśmiechem, który przyprawiał mnie o dreszcze. Zauważyłam, że w miejsce konika morskiego pojawił się delfin; najwyraźniej miała hopla na punkcie morskich stworzeń. - Wspomniałaś o ojcu...

- Ale rodzice mieszkają w Cork! - zaproponowałam. - Przecież nie będą specjalnie gnać taki kawał. A poza tym... - Popatrzyłam na swoje ręce. - Nie wiedzą, że tu jestem.

Na szczęście Louise pali. Poczęstowała mnie papierosem i obie zaciągnęłyśmy się dymem.

Siedziałyśmy w gabinecie, który dzieliła z pozostałymi opiekunami. Był to wielki, przygnębiający pokój zaśmiecony segregatorami. Główną część umeblowania stanowiły sfatygowane biurka, tablice informacyjne upstrzone niezliczoną ilością świstków oraz pożółkłych kart dziękczynnych z kotkami i misiami. Moją uwagę zwróciły też dwie smutne, rachityczne rośliny.

- No więc kogo? Rzecz w tym, żeby zaprosić osoby nam najbliższe. Czyli te, z którymi mieszkamy.

- A przyjaciele? - zapytałam, wychodząc z założenia, że Rita i Tess wiedzą o mnie więcej niż ktokolwiek inny. Nikomu z rodziny nie zwierzałam się tak jak im.

Rozważyła moje słowa, trzymając papierosa na wysokości ramienia pionowo jak transparent. Wyglądała, jakby zamarła w oczekiwaniu na papieża, który lada chwila przejedzie tędy w swoim papamobile.

- Miewaliśmy podobne przypadki, Madeleine, ale przyjaciele rzadko widzą nas takimi, jacy jesteśmy naprawdę, nie uważasz?

Zastanowiłam się przez chwilę. Ciężko było mi to przyznać, ale miała rację. W obecności Rity i Tess zachowywałam się swobodnie, jednak nie do końca. Jak wspomniałam, wiedzą o mnie więcej niż większość ludzi, lecz nasza przyjaźń nie opierała się na szczególnie mocnych podstawach.

Fergus? Ostatnimi czasy tak usilnie skupiałam się na tym, żeby go zatrzymać, że chwilami byłam nadgorliwa. On też już dawno nie widział mojej prawdziwej twarzy. Co do rodziców, w ich obecności zawsze tryskałam dobrym humorem.

Za sprawą eliminacji dotarliśmy do biednego Colma. On nadawał się najbardziej, gdyż chcąc nie chcąc stał się głównym świadkiem moich wybryków. Była to straszna myśl i za nic w świecie nie wypowiedziałabym jej na głos.

Skłaniałam się ku Fergusowi. Dlaczego nie miałby zobaczyć, do czego mnie doprowadził? Może to istotnie najlepszy sposób, żeby wszystko sobie poukładać. Choć wciąż uważałam, że w przeciwieństwie do pozostałych próżniaków w mojej klasie (przepraszam, „grupie”) bynajmniej nie jestem alkoholiczką, wiedziona chęcią uporządkowania swego życia dobrowolnie skazałam się na pobyt w takim miejscu, dzięki czemu Fergus zrozumie, że jego odejście było błędem.

- Niech będzie mój mąż - oznajmiłam, chociaż podczas naszej pierwszej kameralnej sesji wtajemniczyłam

Louise w naszą sytuację. - Mogłybyśmy też zaprosić Vanesę.

- Vanesę? Czy Vanessa to nowa partnerka twojego męża? Co chcesz przez to osiągnąć, Madeleine?

Wytrzeszczyłam na nią oczy. Ta kobieta to istny potwór. Wiedźma przebrzydła. Bo rzeczywiście, przez jedną milisekundę widziałam oczami wyobraźni, że jako ta, której przysługują większe prawa, w konfrontacji z Vanesą zyskałabym palmę pierwszeństwa.

- Mniejsza z tym - odpowiedziałam. - Tak mi tylko przyszło do głowy. Niech będzie sam Fergus.

- Dobrze. - Zanotowała coś na kartce. - Czyli twój mąż.

- Kiedy do niego zadzwonisz? - Poczułam, że ogarnia mnie zdenerwowanie.

- Nie zadzwonię. - Uśmiechnęła się pobłażliwie. - Sama musisz to zrobić, Madeleine. Oczywiście to twój wybór, ale co z twoim synem? Czy on też nie powinien w tym uczestniczyć?

Ponownie utkwiałam w niej wzrok. Myśl, że miałabym narażać Colma na podobne przeżycia, wzbudziła mój odruchowy sprzeciw, a zarazem czułam, że nie mam prawa go wykluczyć.

- No dobrze - odrzekłam z ociąganiem. - Co mam im powiedzieć?

- Prawdę. Że udział rodziny to ważny aspekt terapii. Jaka będzie twoim zdaniem reakcja męża?

Wzruszyłam ramionami.

- A skąd mam wiedzieć? Pewnie nie zaczniesz skakać z radości, ale jestem pewna, że w głębi serca nadal mnie kocha. - Mimo zdenerwowania ogarnęło mnie radosne podniecenie: miałam uzasadniony powód, żeby zadzwonić do Fergususa. Lecz im dłużej się nad tym zastanawiałam, tym bardziej byłam przygnębiona. Miałam jednak święte prawo domagać się jego przybycia, w końcu to przez niego tu trafiłam; ponosił za to pełną odpowiedzialność.

Louise świdrowała mnie wzrokiem.

- Wiesz, Madeleine, w Dniu Rodzinnym poznajemy punkt widzenia naszych bliskich. Nam pozostaje tylko słuchać. Niektórzy przeżywają szok na wieść o zgryzocie, jakiej przysporzyli tym, których przecież kochają najbardziej.

- Tak, wiem.

Ale nie wiedziałam. Jeszcze nie. Słuchałam jednym uchem, gdyż układałam sobie w myślach, co powiem Fergusowi, kiedy do niego zadzwonię.

Przez resztę tego paskudnego dnia, spędzonego na „warsztatach”, podczas których wbijaliśmy wzrok w kolana i niszczyliśmy każdego, kto naszym zdaniem „minimalizował”, czyli próbował się wymigać od odpowiedzialności za swoje postęпки, swoim zwyczajem trzymałam się na uboczu, błędząc myślami daleko. Opiekun próbował czasem skłonić mnie do większej aktywności, lecz bez większego rezultatu. Byłam zajęta obmyśleniem scenariusza i dialogów.

*(Dryń, dryń!)*

- Halo?

- Halo, czy rozmawiam z Vanessą?

- Tak.

- Czy mogę rozmawiać z mężem?

Nie. Nie „czy mogę”.

- Chciałabym rozmawiać z mężem.

*(W tle słycać kroki). Fergus! Ktoś do ciebie.*

- Halo?

- Fergus?

- Tak.

- To ja. Przepraszam, że odrywam cię od tego, co robiłeś. Albo robiliście. Nie wiem, czy słyszałeś, że jestem u świętego Rolanda...

Nie. Zbyt usłużnie.

- Nie wiem, czy cię to interesuje, ale jestem w Rolandzie. *(Cisza. Musi to przetrwać).*

- Co tam robisz?

*A jak ci się wydaje? Głupi jesteś czy co? Jestem, kurwa, na wakacjach! Trafiłam tu, bo wszyscy mi powtarzali, że za dużo piję. Ty mnie do tego doprowadziłeś, Fergusie. Ty i te twoje miłości. Rita i Tess widziały, co się dzieje i bardzo się o mnie martwiły. W przeciwieństwie do ciebie, rzecz jasna.*

Madeleine? Halo, Ziemia do Madeleine.

Przerwałam swoje rozmyślenia. Wszyscy gapili się na mnie ze zbolałymi minami, w tych swoich powyciąganych swetrach, adidasach i dresach. (Moja sąsiadka miała wprawdzie bluzę DKNY, jak głosiło gigantyczne logo na piersi, lecz prezentowała się równie frajersko jak pozostali).

Skoro mogłam w każdej chwili odejść, to co tam jeszcze robiłam, zapytacie.

Chyba najzwyczajniej w świecie odpoczywałam. Nie miałam praktycznie żadnych obowiązków. Obowiązkowe prace fizyczne, takie jak odkurzanie wspólnych pomieszczeń, sprzątanie swojego pokoju i zmywanie po sobie naczyń, były mechaniczne i raczej kojące.

W pewnym sensie przypominało to całodobowy pobyt w jednogwiazdkowym pensjonacie; przyszło mi do głowy, że szkoła z internatem i nowicjat Tess musiały wy-

glądać podobnie. Z jedną różnicą: każde z nas otrzymywało pełne przyzwolenie na egoizm. Byłam wykończona, psychicznie i fizycznie, toteż z ulgą przyjął fakt, że nie muszę się nikim przejmować.

Jeśli chodzi o kwestie zdrowotne, zaobserwowałam osobliwe zjawisko: pomimo wydzielenia obszarów dla niepalących i intensywnej propagandy antynikotynowej nasi opiekunowie przymykali oczy na papierosy, w wyniku czego błędziliśmy po korytarzach w gęstych oparach dymu. Ja dobiłam do dwudziestu pięciu dziennie. Mimo to już po kilku dniach czułam się fizycznie zdrowsza i przytomniejsza niż kiedykolwiek. Jak tylko zbiorę siły, zmykam stąd i tyle mnie będą widzieli.

Często myślałam o Tess i robiłam sobie wyrzuty. Wprawdzie nie pamiętałam zbyt dokładnie, ale coś mi świtało, że przyszła się wtedy do mnie wypłakać. Czyżby chodziło o Jerry'ego i jego asystentkę? Jakoś nie mogłam sobie wyobrazić, że sztywny jak kłoda Jerry Brennan mógł mieć romans. (No bo co oni mogli robić w łóżku? Dyskutować o skokach na giełdzie?) Ale Tess nie ma skłonności do przesady. Obiecałam sobie, że zadzwonię do niej przy najbliższej okazji.

Najpierw zatelefonowałam do sklepu, w ramach rozgrzewki przed rozmową z Fergusiem. W ostatniej chwili słowa uwieźły mi w gardle i stwierdziłam, że mówię przez nos.

- To jakiś wirus, Mary. - Głośno pociągnęłam nosem. - Jadę na antybiotykach.  
- Biedactwo. - Mary była pełna współczucia. - Skąd dzwonisz? Brzmi, jakbyś siedziała na dnie studni.

- Jestem w centrum handlowym. Muszę odebrać leki. Gdy zadzwoniłam do Arkadii, Tess akurat nie było w domu, ale zostawiłam wiadomość Jackowi, który najwyraźniej strasznie się spieszył.

- Tylko przekaż, że dzwoniłam. I pozdrów mamę.  
- Dobrze, pani Griggs.  
- Nie zapomnisz?

Ale on zdążył już odłożyć słuchawkę.

Kiedy wykręcałam numer Fergusa (tudzież Vanessy), żołądek podchodził mi do gardła. Raz jeszcze przećwiczyłam w myślach swoje kwestie. (Z Colmem będzie inaczej. Z nim muszę po prostu być szczerą. Przynajmniej spróbuję).

Wbrew temu, co zakładały pierwotne wersje scenariusza, zweryfikowałam nieco strategię i postanowiłam wykazać spokój, żal i wielkoduszność, a nawet pokorę. Jeśli odbierze Vanessa, też zachowam się uprzejmie. Próba wykluczenia jej poza nawias mogłaby się obrócić przeciwko mnie.

Moje plany i przygotowania okazały się kompletną stratą energii, ponieważ nie dość, że Fergus sam odebrał telefon, to w dodatku wiedział, gdzie jestem, i bez oporów zgodził się przyjść.

- Skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

- Wiadomości szybko się rozchodzą. Vanessa była tam z wizytą i widziała cię w kafejce.

Szlag trafił moją anonimowość.

- U kogo była?

- Nieważne, Tess. U kogoś z rodziny.

- A ty nie uznałeś za stosowne do mnie zadzwonić? - Krew we mnie zawrzała. - Albo pofatygować się z wizytą? Jestem twoją żoną, Fergusie! Dopóki śmierć nas nie rozłączy, pamiętasz? Czy naprawdę już kompletnie ci na mnie nie zależy?

Po drugiej stronie linii zapadła głucha cisza. Zobaczyłam, że za moimi plecami tworzy się kolejka.

- Wybacz - rzuciłam pospiesznie. - Trochę mnie poniosło.

- O której to ma być? W jaki dzień?

- Przyjdiesz?

- A mam wybór? Nie chcę, żebyś potem wierciła mi dziurę w brzuchu.

Teraz ja zamilkłam. To bez sensu: jeśli ma robić łaskę, jego obecność przyniesie więcej szkody niż pożytku. Mało się nie rozplakałam.

Chyba to wyczuł.

- Posłuchaj - dodał łagodniejszym tonem. - Naprawdę chcę ci pomóc, o tyle, o ile jestem w stanie. I bardzo się cieszę, że zdecydowałaś się na terapię, Madeleine, wierz mi. Martwiłem się, że tyle pijesz.

Podaliśmy mu dokładną datę i zakończyliśmy rozmowę. Przynajmniej byliśmy wobec siebie grzeczni. Dobrze i to.

Jego zachowanie wykraczało poza zwykłą grzeczność. Chciał pomóc.  
Dostrzegłam światełko w tunelu. Martwił się o mnie! To na pewno dobry znak.

Z głosu Colma było przygnębienie.

- Przepraszam, że nie dzwoniłam, kochanie, ale coś się wydarzyło. Tylko nie mów dziadkom, dobrze? - Słuchał bez słowa, kiedy mówiłam mu, gdzie jestem i po co dzwonię. Gdy skończyłam, on dalej milczał. - Jesteś tam, Colm?

- Tak.

- Rozumiesz, o co cię proszę? Jakie jest twoje zdanie?

- Chyba nie dam rady, mamó. Muszę?

- Oczywiście, że nie, skarbie. Pomyślałam tylko, że może wyszłoby to na dobre, tobie, nam wszystkim. Ojciec naturalnie też przyjdzie... - Zawiódł mnie głos. Chociaż zawsze skwapliwie przyznawałam się do błędów, po raz pierwszy uświadomiłam sobie z nagłą jasnością, przez co musiał przechodzić mój nieszczęsny syn. - Posłuchaj - dodałam szybko. - Zastanów się spokojnie. Nie musisz od razu podejmować decyzji. Zadzwoń jutro wieczorem. Ten... to jest dopiero w czwartek. - Słowa „Dzień Rodzinny” jakoś nie przeszły mi przez usta. - Nie będę cię zatrzymywać, poza tym nie mogę blokować telefonu, inni czekają. Porozmawiamy jutro, skarbie. Pozdrów wszystkich, dobrze?

- Mamó? - powiedział zduszonym głosem.

- Tak?

- Cieszę się, że to robisz. To była słuszna decyzja. Prędko odłożyłam słuchawkę, żeby się przed nim nie zdradzić. Albo żebyśmy oboje się nie zdradzili.

Kiedy jednak zadzwoniłam do niego następnego dnia, zachowywał się jak inny człowiek. Był spokojny, pełen skruchy, ale nieugięty. Nie czuje się na siłach. Przepraszam, ale tak postanowił. Nie nalegałam. Obiecałam, że po „tym” do niego zadzwonię i zdam mu dokładną relację.

- Powodzenia, mamó - rzucił pospiesznie. - Mówię serio. Powodzenia.

## Rozdział 36

---

Nadszedł Dzień Rodzinny. Wśród członków grupy od rana wyczuwało się narastające napięcie. Ja konsekwentnie trzymałam się na uboczu. Niech myślą, że zachowuję zimną krew, a co.

Mimo to denerwowałam się tak samo jak pozostali. Bóg jeden wie, co tu się będzie działo; wołałam nawet sobie nie wyobrażać, jakie to upokarzające poruszać intymne tematy w obecności nieznajomych ludzi. Pocieszałam się myślą, że po wyjściu „na wolność” nigdy już nie będę musiała oglądać żadnego z nich.

Tuż przed lunchem zajrzałam do sali, gdzie miało się odbyć spotkanie. Była to duża bawialnia, w której organizowano imprezy charytatywne. Ku swemu zdziwieniu zobaczyłam w niej sofę i przepastne krzesła w stylu królowej Anny, a nawet dwa fotele ogrodowe z miękkimi poduchami. Oczywiście wszystkie meble sprawiały wrażenie dość wysłużonych (sofy, utrzymane w tonacji akwarium Louise, przykryto indyjskimi chustami, żeby zasłonić wyświechtaną tapicerkę), niemniej jednak wyglądały przytulnie, a nawet zachęcająco, kiedy tak stały sobie w kółeczku.

Akurat. Miały na celu ni mniej, ni więcej jak tylko uspić naszą czujność, mając złudnym poczuciem bezpieczeństwa. Opiekunowie wzywali mężów, żony, braci, matki lub dzieci, zachęcając ich do ataku z grubej rury. Żeby nie zostawili na nas suchej nitki.

Zgodnie z umową spotkaliśmy się w zadymionej kafejce na drugim piętrze, na dziesięć minut przed rozpoczęciem. Czekałam na Fergusa pół godziny; bałam się, że przegapię jego wejście. No, po prostu bałam się, i tyle. Zauważyliśmy się w tej samej chwili. Ja pomachałam ręką, on nie.

- Jezu. - Bezskutecznie spróbował rozwiać dym, po czym usiadł naprzeciw mnie. - Nikt tu nie słyszał o klimatyzacji?

Od razu się najeżyłam.

- Ja też cieszę się na twój widok! - I zaraz pożałowałam swojej reakcji. Tylko kłótni mi trzeba. Z papierosem w rękę i popielniczką z niedopałkami przed sobą uzna-



łam za swój moralny obowiązek zbagatelizować temat. - To jeden z aspektów terapii; liczą, że w ten sposób zwolnimy parę łóżek.

- Aha.

Raczej nie było mu do śmiechu. Chyba trochę się zaokrąglił. Wśród przeszczepionych kosmyków widniały wyraźne prześwity.

- Dobrze wyglądasz, Fergusie. - Kolejna próba nawiązania kontaktu.

Usiadł wygodniej i popatrzył na mnie spod oka.

- Ty też. Pewnie możesz się tu wypaść, co?

- Owszem.

Zobaczyłam, że część moich towarzyszy niedoli z ociąganiem opuszcza kafejkę, prowadząc za sobą równie nieszczęśliwych krewnych, którzy dreptali za nimi jak nie przymierzając owce na rzeź. Pospiesznie wtajemniczyłam Fergususa w szczegóły przedsięwzięcia.

- Spotkania są organizowane raczej pod kątem członków rodziny, a nie nas. My mamy sobie uświadomić rozmiary wyrządzonej im krzywdy. Tak mi się wydaje, to dopiero mój pierwszy raz. - Serce kołatało mi ze zdenerwowania. Co tu dużo mówić, próbowałam też zrobić na nim wrażenie. No i liczyłam, że zapyta: „Jakiej krzywdy?”.

Nie zapytał.

Być może nie dosłyszał, co powiedziałam, gdyż wiercił się niespokojnie na swoim krześle. Zauważył, że ludzie zerkają na niego ukradkiem. Został rozpoznany.

Próbowałam spojrzeć na niego obiektywnie i bez emocji. Wreszcie mogłam to uczynić, hm, na trzeźwo i odpowiedzieć sobie na pytanie, czy nadal go kocham.

Kochałam go, kochałam, kochałam... Nie dopuszczałam do siebie innej myśli.

- Idziemy?

Zanim przyszła kolej na atak Fergususa, czekał mnie potężny wstrząs. Sądziłam, że niektóre sceny kłótni z moich dramatów są może przesadą, ale naprawdę okazały się niczym w porównaniu z gniewem i goryczą, które były z wypowiedzi uciśnionych krewnych. Prym wiodły siwowłose staruszki o dobrotliwym wyglądzie, które swymi cichymi, drżącymi głosikami snuły litanie niekończącego się pasma krzywd i występków. (Naturalnie same zaliczały się do grona świętych i męczenników).

Przysłuchując się ich wywodom, w duchu dziękowałam Bogu, że oszczędziłam tego Colmowi. Albo sobie, skoro już o tym mowa. Jeszcze by mnie zwymyślał.

Najgorsze zaś moim zdaniem było to, że opiekunowie nie zrobili nic, żeby zapobiec oskarżeniom. Jeden z nich zareagował tylko raz, kiedy moja znajoma z grupy próbowała odeprzeć wyjątkowo perfidne zarzuty córki.

- Pójdzie nam szybciej, Charmaine - wpadł jej w słowo - jeśli dla odmiany postarasz się wysłuchać, co się do ciebie mówi.

Nie miałam odwagi spojrzeć na Fergusa, który siedział na fotelu obok mnie. Złość i odraza wzbierały we mnie jak lawa; bałam się, że jeden fałszywy ruch pociągnie za sobą nieuchronną erupcję i zrobię z siebie widowisko. Obojętna na reakcje innych obmyślałam w duchu plan ucieczki. Byle tylko nie musieć tego wysłuchiwać. Postanowiłam, że wstanę i powiem, że idę do toalety. I nie wrócę. Powstrzymywała mnie tylko myśl o tym, że nie mogę przecież zostawić Fergusa. Siedział ze wzrokiem wbitym w podłogę, pod ostrzałem atakujących go zewsząd spojrzeń. Po raz pierwszy zrozumiałam, ile musiało go to kosztować. Ale nie było czasu na refleksje: przyszła jego kolej.

- Fergusie? - To Louise. - Jestem pewna, że ty również chciałbyś coś powiedzieć Madeleine.

Spojrzałam przed siebie, gorączkowo usiłując zachować przytomność umysłu. Poczulałam, że Fergus sztywnieje. Wszyscy uczestnicy żalosego spektaklu skwapliwie utkwili wzrok w jego twarzy.

- No cóż - zaczął. - Właściwie to Madeleine wcale tak dużo nie piła, ale...

- Przestań! - Wstałam. Obróciłam się twarzą do niego. - Wybacz, Fergusie. Wybacz, że naraziłam cię na takie męczarnie. Przepraszam za wszystko, za wszystko. Ale nie mam zamiaru tu siedzieć i tego wysłuchiwać.

Twarz mi płonęła, miałam to jednak w nosie. Część osób, głównie krewni, patrzyła na mnie jak zahipnotyzowana, kilku podziwiała parkiet, a niektórzy członkowie grupy mieli miny, jakby żalowali, że sami na to nie wpadli.

- Przepraszam wszystkich - rzuciłam w przestrzeń. - Przykro mi, ale nie dam rady. Żegnajcie i powodzenia.

Ruszyłam do drzwi w ciszy tak gęstej, że można by w niej pływać.

Nie wiedziałam, że Fergus wyszedł za mną, dopóki nie zastąpił mi drogi na korytarzu.

- Co to ma znaczyć? - spytał z pogroźką w głosie. - Nie po to traciłem swój cenny czas, żebyś teraz próbowała się wymigać. Zrobiłem to dla ciebie, ty głupia dziwko. Mam ci parę rzeczy do powiedzenia; myślałem, że tym razem podejdziesz do sprawy poważnie.

Oniemiałam.

Zrozumiał, że przesadził, i spróbował się opanować.

- Słuchaj, czy możemy gdzieś usiąść spokojnie i porozmawiać? Byle nie w tej syfiastej kafejce.

- Podchodzę poważnie. Inaczej w ogóle by mnie tu nie było. - Odzyskałam głos.

- Kłamiesz. Wszyscy umieją zdobyć się na szczerłość, Madeleine, ale ty uważasz się za lepszą od nich, prawda? A co ja ci tu będę klarował... - Rozłożył ręce. - W ogóle nie powinienem był się na to zgodzić. - I skierował się w stronę wyjścia z budynku.

- Zaczekaj, Fergusie, nie odchodź! - Pobiełam za nim. Przystanął.

- Bo co? Dlaczego niby miałbym zostać? To istne błędne koło.

- Obiecuję, że tym razem będzie inaczej. Obiecuję.

- Niech ci będzie. Chodźmy do samochodu. Tak się składa, że zaparkowałem niedaleko.

Kiedy szłam za nim korytarzem, a następnie w kierunku parkingu, przytrafiła mi się dziwna rzecz. Nagle zobaczyłam siebie oczami innych, oczami Vanessy i przypuszczalnie również Fergus: ujrzałam pożałowania godną pięćdziesięciolatkę, drepczącą potulnie za obojętnym mężem w żalostnej próbie odzyskania czegoś, co utraciła bezpowrotnie. Jakim cudem do tego doszło? Gdzie się podziały moja duma i godność, skoro tak usilnie pragnęłam być z kimś, komu wcale na mnie nie zależy?

Być może istotnie otaczała mnie dotąd zasłona dymna albo też nagle spłynęło na mnie olśnienie, w każdym razie z wrażenia aż mnie zatkało. Gdy z kompletną pustką w głowie podążałam w kierunku vectry zaparkowanej na końcu rzędu samochodów, dosłownie nie mogłam złapać tchu.

- A ty dokąd? - Fergus przystanął obok srebrnej micry.

Minęłam go, nawet nie zdając sobie z tego sprawy.

No tak. Przecież vectra jest moja. On jeździ samochodem Vanessy.

Kiedy usiadłam na siedzeniu pasażera, z którego najpierw musiałam zdjąć paczkę pampersów, odruchowo spojrzałam na pierwsze piętro budynku, w poszukiwaniu swojego pokoju. Moje lustro ma czerwoną oprawę: zobaczyłam je jak na dłoni, niczym sztandar na wewnętrznym parapecie czwartego okna od lewej.

- To mój pokój - pokazałam.

- Aha. - Fergus nawet nie podniósł głowy.

Wreszcie odetchnęłam głębiej i poczułam w sobie siłę, o jaką nawet się nie podejrzywałam.

- Dziękuję, że przyszedłeś. Wzruszył ramionami.

- Mówię poważnie. Zanim powiesz to, co masz mi do powiedzenia... co chciałeś powiedzieć w tym okropnym pokoju... najpierw wysłuchaj mnie, dobrze?

Zerknął z ukosa. Na jego twarzy malowała się niepewność, co w przypadku mojego męża stanowi nader rzadki widok.

- Jeśli chcesz wygłosić kolejną tyradę...

- Bynajmniej. - To było łatwiejsze niż myślałam. - Chcę ci tylko przedstawić moją wersję zdarzeń, które doprowadziły nas do tego punktu. A przynajmniej mnie.

- Proszę bardzo. - Usiadł z założonymi rękami. - Ale bądź łaskawa trzymać się w ryzach.

- Boisz się, że znowu zacznę czymś rzucać? Jeszcze raz przepraszam za tamto. Ale pamiętaj, że oszczędziłam twoją świnę.

Moje słowa przywołały na jego usta krzywy uśmiešek, toteż postanowiłam iść za ciosem. Choć raz powiem mu, co naprawdę myślę, nie martwiąc się o jego reakcję.

- Byłam w tobie tak zakochana, Fergusie, że zrobiłabym dla ciebie wszystko. Poszłabym za tobą na koniec świata, i to chyba mój zasadniczy błąd. Odrzuciłam swoje ambicje, marzenia i nadzieję, wszystko, czego kiedykolwiek pragnęłam...

- Na przykład co? - spytał ze zdziwieniem.

- Na przykład chęć spróbowania swoich sił na scenie.

- Ty? - Jego zdumienie było niemal komiczne. Zobaczył moją minę. - Wybacz, Madeleine, ale czy ty naprawdę wierzysz, że mogło ci się udać?

- Cóż, nie zaszkodziłoby chociaż spróbować.

- A kto ci bronił? - Zmarszczył brwi i chciał coś dodać, ale go uprzedziłam.

- Ty, Fergusie. Ty.

Ze złością zaczerpnął tchu, ale ja położyłam mu dłoń na ramieniu. Popatrzył na nią gniewnie; cofnęłam rękę, lecz, o dziwo, nie dałam się zastraszyć.

- Proszę, postaraj się mnie wysłuchać. Muszę to z siebie wyrzucić. Nie wiem, może sprawiło to ostatnich kilka dni, kiedy oprócz myślenia nie miałam praktycznie nic do roboty. Teraz wiem, że od dawna nie dawało mi to spokoju. Byłam niezadowolona z życia. Udawałam dobrą żonę i grałam wzorową gospodynię domową.

Zmarszczka na czole Fergususa pogłębiła się wyraźnie, ale ja kułam żelazo, póki gorące.

- Zaraz, Fergusie, za chwilę. Zaraz będziesz miał okazję się wypowiedzieć. Ograniczałeś moje ambicje. Twoja żądza sukcesu i potrzebą mojego wsparcia miały na mnie niszczący wpływ. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Żyłam w kompletnej nieświadomości. Wspierałam cię ze wszystkich sił, słowo honoru. Dopiero teraz widzę, ile miałam w sobie urazy. Aż się we mnie gotowało, ale oczywiście nic nie dałam po sobie poznać. Uraza dotyczyła nie tylko moich straconych złudzeń, choć nawet w takim wypadku byłaby w pełni uzasadniona, ponieważ ty nigdy nie brałeś ich pod uwagę i nigdy nie doceniałeś mojego poświęcenia. - Wzięłam głęboki oddech, żeby zapanować nad gniewem. - Przepraszam, chyba jednak trochę się zagalopowałam. Ale muszę przyznać, że część winy spoczywa na mnie. Powinnam była walczyć o swoje marzenia.

Zapadła niezręczna cisza, pogłębiając klaustrofobiczną atmosferę ciasnego wnętrza. W nozdrza uderzył mnie zapach niemowlęcych wymiocin, zmieszany z detergentem, którym próbowano je sprać. Fergus spojrzał na mnie z nieprzenikniętym wyrazem twarzy.

- Dlaczego wcześniej nic mi nie powiedziałaś?

- A pozwoliłbyś na to? - Przynajmniej coś do niego dotarło. - Uwierzyłybyś mi? Zacisnął usta w wąską kreskę.

- Czyli to wszystko moja wina?

- Widzisz, jednak nie słuchałeś. Przecież wzięłam na siebie część winy. Byłeś silniejszy, ale miałeś na to moją zgodę. Pozwoliłam, aby twoje marzenia wzięły górę nad moimi. Stało się tak na moje własne życzenie. Sęk w tym, Fergusie, że powinnam była się postawić, a tego nie zrobiłam. Chyba przyjąłam błędne założenie, że z chwilą, gdy ty znajdziesz się na szczycie, przyjdzie kolej na realizację moich planów. Tak się nie stało: twoje ego i kariera były jedynymi gwoździ programy.

- Ale, Madeleine... - Znowu popatrzył na mnie ze zdziwieniem. - Po co mi to mówisz, skoro między nami wszystko skończone?

Rozważyłam jego słowa. Jak wiecie, nigdy nie dopuściłam do siebie myśli o definitywnym rozstaniu. Teraz w sumie też nie, lecz nie chciałam tracić czasu na polemikę.

- Sama nie wiem - odrzekłam z wolna. - Chyba po raz pierwszy od dawna zdobyłam się na szczerłość. Czułam taką potrzebę, chociaż rozumiem, że niewiele przez to wskóram.

- Nie mylisz się. - Nie ironizował, ale wyraźnie odzyskał rezon. Powinnam była spróbować zburzyć jego pewność siebie, lecz świeżo odzyskana duma i godność ponownie dały o sobie znać.

- Może chociaż przyznasz, że w moich słowach kryje się odrobina prawdy? - powiedziałam cicho, - Nie masz nic do stracenia. Obiecuję, że nie wykorzystam tego przeciwko tobie, słowo!

Zastanowił się przez chwilę.

- No dobrze. Przyznaję, że byłem trochę samolubny w swoich dążeniach. Ale nie miałem pojęcia, że rujnuję twoje marzenia czy jak to tam dramatycznie ujęłaś. Nie musiałem. Byłaś amatorką, Madeleine, a amatorzy pozostają amatorami. Gdybyś powiedziała, czego chcesz, na pewno nie stanąłbym ci na drodze.

- Czyżby? „Amatorzy pozostają amatorami”? A ty? Sam zaczynałeś jako amator.

- *Touche*. - Zerknął na mnie z politowaniem. - Wściekasz się, bo nie mogłaś grać?

- Nie. - Nagle zapragnęłam stamtąd wyjść. Dokonałam przełomu, ba, osiągnęłam zwycięstwo, i nie było sensu się spierać. - To nie tylko to. Mogłabym

wyliczać w nieskończoność: twoje humory, moje nadskakiwanie, bezskuteczne próby sprostania twoim oczekiwaniom... O nic cię nie obwiniam, Fergusie. Już nie. - Chwyciłam za klamkę. - Muszę iść. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. A już na pewno ja nie mam ochoty na kłótnię. Podejrzewam, że ty też nie. Musimy myśleć o Colmie. Oboje mamy wpływ na jego życie i lepiej, żebyśmy zjednoczyli siły. Chociaż raz pozwól, żeby ostatnie słowo należało do mnie, dobrze? I spraw, żebym mogła myśleć z godnością o tym wszystkim, co ci przed chwilą powiedziałam.

Wyskoczyłam z samochodu i pozostawiwszy otwarte drzwi, pospieszyłam z powrotem w stronę budynku. Jak się okazało, Dzień Rodzinny w moim wydaniu przybrał zgoła odmienny charakter od oczekiwanego.

Mimo to rozpierała mnie radość. I chciałam, żeby to uczucie trwało wiecznie.

Zajęta pakowaniem swego dobytku nie zauważyłam wejścia Louise.

- Słucham?

- Wolałabym nie mówić tego wprost - oznajmiła swoim melodyjnym głosem. - Ale popełniasz wielki błąd.

- Czyżby? - Podeszłam do parapetu, żeby zabrać lusterko.

- Jesteś klasycznym przypadkiem - ciągnęła bezlitośnie. - Jesteś alkoholiczką, Madeleine, chociaż z takim uporem się tego wypierasz.

Nie słuchałam. Obserwowałam Fergususa. Siedział w samochodzie i ze swadą rozmawiał przez komórkę.

- Wiem, że postanowiłaś odejść - podjęła Louise. - I odejdiesz, ale wrócisz, możesz mi wierzyć na słowo. Jeśli nie do nas, to do jakiejś innej placówki.

- Nie wrócę - odparłam odruchowo.

- Obyś miała rację. Wszystko jest możliwe. Trzeba przyznać, że najadłaś się ostatnio strachu. Może to wystarczy, choć szczerze w to wątpię. Statystyki pokazują...

- Mam gdzieś wasze statystyki. - Patrzyłam, jak Fergus odrzuca głowę w tył i wybucha serdecznym śmiechem, na powrót stając się chłopcem, którego pokochałam. I zrozumiałam, że tracę go na zawsze.

## Rozdział 37

---

Maddy wypisała się z Rolanda, zanim zdążyłam pojechać do niej w odwiedziny. A to żołą. Życie w San Lorenzo pochłonęło mnie bez reszty, wiecie, jak to bywa: a to komuś zginęły dżinsy, a to czyjaś czerwona bluzka niechcący dostała się do pralki z czyjąś najlepszą białą bluzką, która okazała się niezastąpiona, i musieliśmy gnać na łeb na szyję po odplamiacz. Potem ktoś na gwałt zapragnął nowych adidasów („dzisiaj, mam!”) i znów trzeba było wybrać się na zakupy.

Musiałam je zawozić do koleżanek, a następnie odbierać, wreszcie u jednej z naszych jałówek wystąpiło podejrzenie o BSE. Na szczęście skończyło się na strachu, uff.

Podsumowując, miałam za sobą kilka ciężkich dni, w związku z czym umówiłam Ricky'ego na wizytę u lekarza i zapomniałam go o tym poinformować.

Z Tess również się nie widziałam, choć rozmawialiśmy codziennie przez telefon. Zadzwoniła do mnie po wyjeździe Yarso i Toma do Londynu. Podobno jej ojciec trzymał się bardzo dzielnie, w przeciwieństwie do niej. Prędzej czy później wszyscy musimy się pogodzić ze śmiercią rodziców, co bynajmniej nie ułatwia nam zadania. Zwłaszcza kiedy ludzie na wieść o rychłej śmierci starca mawiają, że „przeżył swoje”.

- To mnie doprowadza do szału, Rito - zwierzyła się Tess. - Co to znaczy „przeżył swoje”? Obowiązują jakieś normy wiekowe czy co?

Nikt nie jest nigdy gotowy na śmierć, prawda?

A Jerry? Cóż, nie chciałam wściubiać nosa w cudze sprawy, ale (jak łatwo się domyślić) raczej nie układało się między nimi najlepiej. Przynajmniej pozbyła się tego całego Yarso. Chłop z wozu, koniom lżej. Chcąc nie chcąc, musiałam jednak przyznać, że wyjazd z Tomem przemawiał na jego korzyść: to ładnie z jego strony, że dał Tess trochę wytchnienia. Może facet ma serce po właściwej stronie. Chociaż założę się, że to Tess sfinansowała całą imprezę.

O nie. To było paskudne!



Biedna poczciwa Tess nie zasługuje na to wszystko. Nigdy nie wyrządziła nikomu żadnej krzywdy.

Tak czy owak, nie wiedząc, że Maddy wyfrunęła już do domu, zdołałam wreszcie zorganizować trochę wolnego czasu, aby wybrać się do niej z wizytą. Przypominało to zaplanowanie operacji wojskowej. Kto chciał jechać, kto wolał zostać, kogo trzeba było porzucić po drodze tu, a kogo tam. Ponadto postanowiłam przy okazji załatwić comiesięczne sprawunki w hurtowni - jako handlowcy mamy tam specjalne przywileje. Moje pannice wyglądają na szczupłe i takie są, ale jedzą bez mała tyle co ich kucyki. A jak dużo idzie u nas chusteczek higienicznych i papieru toaletowego! Poza tym nigdy nie wiadomo, ile osób będzie na obiedzie. Całe szczęście, że wakacje dobiegają końca.

Zaopatrzona w listę zakupów, z Alice i Carol czekającymi w samochodzie, właśnie zamykałam drzwi na klucz, kiedy nagle zadzwonił telefon. Ostatnimi czasy jego dźwięk nie wróżył nic dobrego, więc postanowiłam nie odbierać. Zaraz jednak poszłam po rozum do głowy i klnąc pod nosem, podbiegłam do aparatu. To mogło być coś ważnego.

Dzwoniła Maddy z informacją, że dzień wcześniej wypisała się z kliniki.

Nie wierzyłam własnym uszom. No po prostu brak słów. Tyle zamieszania i potem wystarczy, że na chwilę spuszczę ją z oka, a ta swoje!

Była w dziwnym nastroju: najpierw zaczęła mnie przeproszać, potem ochrzaniała, że nie miałam prawa, bla, bla, bla, a następnie wyłuszczyła powody swojej decyzji. Pogubić się można. Mówi, że jest na mnie wściekła, i z miejsca zaczyna się kajać, że naraziła mnie na tyle kłopotów, po czym jednym tchem relacjonuje wydarzenia Dnia Rodzinnego.

- Gorzej niż w gułagu, Rita. Istne tortury psychiczne, mówię ci. Ale ze mną nie poszło im tak łatwo...

Słuchając paplaniny Maddy, uświadomiłam sobie pewną zmianę w jej zachowaniu. Tak, jej głos brzmiał zdecydowanie inaczej. Trudno to wytłumaczyć, lecz gdy tak snuła swą opowieść o świętym Rolandzie (jednak to miejsce miało na nią jakiś wpływ!), odniosłam wrażenie, że starannie ją sobie przećwiczyła i nie mówi mi całej prawdy.

Naraz zrozumiałam, że nie padło ani jedno zdanie na temat Fergususa.

- Był u ciebie? - zapytałam, gdy wreszcie dała mi dojść do słowa.

- Tak. - Zawahała się wyraźnie. - Zaraz ci opowiem.

Mówiła dalej, a ja przypominałam sobie rozmowę telefoniczną z Fergususem, kiedy poinformowałam go, że Maddy trafiła do kliniki odwykowej. Jak się okazało, już o tym wiedział, lecz bardziej niż jej stan interesowało go oczyszczenie własnej osoby. Zaczął mi wciskać kit, że oczywiście nie liczy na moją aprobatę, ale wreszcie się przekonał, co to znaczy prawdziwe szczęście i takie tam głodne kawałki.

Los małżeństwa Maddy wydawał się przesądzony. Pytanie, czy wreszcie to do niej dotarło. Czyżby na tym polegała zmiana w jej głosie? Ponownie wsłuchałam się w jej słowa. Wciąż nadawała o Dniu Rodzinnym.

- ...szkoda, że tego nie słyszałaś, Rito. Ciesz się, że nigdy nie doświadczyłaś takiego upokorzenia, takim jak ty łatwo jest osądzać...

- Chwila moment! Przystopuj, moja droga, kto tu mówi o osądzaniu? Skąd ta myśl?

Maddy ucichła; usłyszałam, jak zaciąga się papierosem.

- W porządku. - Ewidentnie spuściła z tonu. - Wydawało mi się, że czytam w twoich myślach.

- Tak się składa, że nie czytasz, jasne?

- Przepraszam.

Zaryczał klakson; zniecierpliwione dziewczęta chciały, żebym się pospieszyła. Ale czułam, że nie pójdzie mi tak łatwo.

- Wiesz co, Maddy - rzuciłam pospiesznie. - Nie bardzo mogę teraz gadać, ale może zamieszkałabyś u nas na kilka dni, zanim na dobre nie staniesz na nogi, co? Żarcie jest niezbyt wyszukane, jednak lepsze to niż tkwić w domu sama jak palec.

Ponownie zabrzmiał ryk klaksonu, tym razem któraś chyba położyła się na kierownicy. Niech no tylko je dorwę.

- Pardon, Maddy. - Podbiegłam do drzwi i wrzasnęłam, żeby się uspokoiły, bo pożałują. - Jeszcze raz przepraszam - wydyszałam do telefonu, kiedy ponownie chwyciłam za słuchawkę. - Nie wiem, co w nie ostatnio wstąpiło. Naprawdę muszę lecieć, ale obiecuję, że przyjedziesz.

Kolejna chwila wahania. Spodziewałam się odmowy. Pewnie woli warować przy telefonie, na wypadek gdyby Fergus raczył zadzwonić. I tu czekała mnie niespodzianka.

- Chętnie - odrzekła z wolna Maddy. - Rozmawiałaś ostatnio z Tess?

Dzwoniłam do niej niedawno, ale jej nie zastałam.

- Porozmawiamy, jak przyjedziesz, Maddy. - I umówiliśmy się na około wpół do piątej.

Odłożywszy słuchawkę, popędziłam jak burza do samochodu, gdzie nagadałam dziewczynom, aż im poszło w pięty.

- Ani mi się wazcie więcej trąbić na matkę. Nie jesteście same, wy samolubne smarkule.

- Samolubne? - zaciętrzewiła się Alice. - To nie ja wi-jiszę cały by-oży dzień na telefonie!

Wystarczyło jedno piorunujące spojrzenie i nie odezwała się więcej ani słowem. Szczęśliwie obie milczały jak zaklęte, dopóki nie wyrzuciłam ich przy hotelu Moran na końcu Gardiner Street. Alice, co było do przewidzenia, znów narobiła rabanu.

- Przecież idzi-jemy na Henry Street, to kawy-ał drogi!

- Właśnie - zawtórowała jej Carol. - Buty mnie cisną, mammo!

Za nami utworzył się sznur samochodów; czułam, że jeszcze chwila i wybuchnę.

- Jazda z samochodu, bo będziecie drałować dalej niż na Henry Street, macie to jak w banku! Cieszcie się, że dojechałyście do centrum, hurtownia jest teraz w Ballymun! Jazda, no już! - Obrażone wygramoliły się na chodnik.

Jak pewnie wiecie, w Ballymun trwa rozbiórka starych budynków i wcale niełatwo tędy przejechać, klucząc licznymi objazdami. Ruch był jak diabli, toteż gdy wreszcie dotarłam pod hurtownię, cała się w środku gotowałam.

I kogo moje oczy widzą? Patrząc, a do sąsiedniego samochodu wsiada matka Susan, czyli pani Vitelli we własnej osobie. Kto by pomyślał! Że też musiałam się na nią napatoczyć. Odkąd widziałyśmy się po raz ostatni, ścięła włosy i trochę przytyła, ale to na pewno była ona.

Próbowałam udawać, że jej nie zauważyłam: wyłączyłam silnik i sięgnęłam po telefon, że niby to rozmawiam.

Jak na złość musiała mnie zauważyć. Podeszła bliżej i dalej pukać w okno. Uśmiechnęłam się i pokiwałam ręką, uparcie nadając do telefonu, a ta ni cholery. Sterczy jak kołek i czeka.

Co ona w ogóle tu robiła, do jasnej ciasnej? Nie wydaje mi się, żeby mogła robić zakupy w hurtowni.

Wreszcie musiałam dać za wygraną, bo wszystko wskazywało na to, że będzie tak stała w nieskończoność. Zakończyłam swoją wymyśloną rozmowę.

- Na razie, trzymaj się! - I rzuciłam komórkę na siedzenie. Następnie opuściłam szybę. - Pani Vitelli, jak miło znów panią widzieć! Jak się pani miewa?

- Świetnie! A pani?

- A, stara bieda. Robi pani tu zakupy?

- Dostałam pracę w firmie komputerowej. Nudziło mi się w domu, nie miałam co zrobić z czasem. Próbuje namówić tutejsze firmy, żeby przeszły na nasz sprzęt. Słyszała pani o Susan? - Ostatnie pytanie rzuciła mimochodem, chociaż było widać, że aż ją skręca, żeby je zadać.

- Piąte przez dziesiąte - odpowiedziałam z niewinną miną. - Miałam ostatnio dużo na głowie. Paskudne mamy lato, nieprawdaż?

Nie dała sobie zamydlić oczu. Kiedy oznajmiła, że Jerry Brennan został zawieszony z powodu zarzutów wysuniętych przez Susan, nie wytrzymałam.

- Przecież on jej do niczego nie zmuszał, pani Vitelli! Dziewczyna ma ponad dwadzieścia jeden lat, jest pełnoletnia, a poza tym... - Mało się nie wygadałam o mejlu.

Pani Vitelli zmierzyła mnie lodowatym spojrzeniem.

- Chyba jednak jest pani dobrze poinformowana, pani Sleator.

- Żona pana Brennana jest moją bliską znajomą.

- Ach tak! Więc nie widzi pani nic złego w sytuacji, gdy przełożony wykorzystuje swoją pozycję wobec o połowę młodszej dziewczyny?

Coś ostrzegało mnie, żebym trzymała język za zębami. Z odsieczą przyszła mi gigantyczna wywrotka, która z łoskotem wtoczyła się na parking. Zyskałam kilka sekund na zebranie myśli.

- Tess, żona Jerry'ego, jest moją przyjaciółką - powtórzyłam, gdy hałas nieco ucichł. - Współczuję jej z powodu tej całej sytuacji, to dla niej niezmiernie trudne. I na podstawie garstki posiadanych informacji muszę powiedzieć, że do tanga trzeba dwojga, a pani córka wiedziała, co robi.

Rozsierdziła się nie na żarty.

- Nie wątpię, że to dla niej trudne, ale dla mojej córki również. Mimo dochodzenia on dalej pobiera pensję. Oczywiście próbują wszystko zataić, grunt to pilnować własnych interesów, prawda? Ciekawe, co na to opinia publiczna! Proszę mi wierzyć, mam znajomości w mediach. Do widzenia, pani Sleator! - I odmaszerowała, pozostawiając mnie jak niepyszną. Boże, aż strach pomyśleć, jak Tess zareagowałaby na to wszystko. Gdyby wiedziała.

Może nie wiedziała, skoro do mnie nie zadzwoniła, a ja na pewno jej nie powiem.

Co za tupet ma ta dziewczucha! Najpierw wysłała Jerry'emu taką wiadomość, a potem...

Matki nie winiłam. Na jej miejscu też broniłabym swojej córki. Ale szczerze mówiąc, zmieniłam zdanie o pani Vitelli. Aż do dziś uważałam ją za miłą osobę. Odkryłam jednak, że tak naprawdę wcale za nią nie przepadałam. Czasem trzeba opowiedzieć się po którejś ze stron. Gdy chodzi o tę sprawę, nie miałam z tym żadnego problemu.

Maddy wjechała na zwirowy podjazd San Lorenzo dokładnie w chwili, gdy Betty i ja korzystałyśmy z przerwy w ulewie, aby wypakować z samochodu zapas papieru toaletowego. (W porannej prognozie pogody nazwali ten potop „przelotnym deszczem”, ha, koń by się uśmieł! Jak się dobrze zastanowić, pogoda tego lata była podobna do naszych nastrojów, więcej deszczu niż słońca). Betty wróciła do domu, a ja zaczekałam, aż Maddy zaparkuje swój samochodzik; gdybyśmy miały rampę, pewnie zmieściłaby go wewnątrz mojego. Czasami czuję się idiotycznie, jeżdżąc zatłoczonymi ulicami Dublina swoim land roverem, jednak na zakupy jest jak znalazł.

- Hej tam! - zawołałam, kiedy wysiadła. Oficjalnie nadal się bocyłam za jej dezercję, ale jakoś musiałam to przełknąć. Musiałam przyznać, że Maddy wygląda nieźle; krótki pobyt w Rolandzie najwyraźniej wyszedł jej na dobre.

- Cześć, Rita. - Podeszła bliżej i cmoknęła mnie w policzek. Z bliska wyglądała jeszcze lepiej, jakby trochę przytyła. Tydzień abstynencji i skóra nabrała blasku. Oczywiście też. Już miałam rzucić pod jej adresem jakiś komplement, kiedy zobaczyłam sunącego w naszą stronę Jacka Butlera.

Świadomie użyłam słowa „sunąć”, bo ostatnio poczynił pewne postępy, jeśli chodzi o swój dotychczas niedbały krok. Nieźle układa mu się z Kitty, dziewczyna ma chyba na niego dobry wpływ. Nawet jego mizerny zarost jakby lepiej się prezentuje.

- Jest w cieplarni! - zawołałam.

- Dziękuję, pani Sleator - odkrzyknął. Jego maniery też uległy poprawie.

Miałyśmy okazję spokojnie porozmawiać dopiero po podwieczorku.

Podwieczorek w naszym domu nie przypomina obiadu, kiedy wszyscy obowiązkowo siadamy przy stole; to raczej bufet, każdy przyłazi, kiedy chce, i łapie, co jest. Zwykle przygotowuję jedną potrawę, na przykład miche salatkę z tuńczyka z jajkiem, kurze skrzydełka albo żeberka, do których gotujemy makaron, ryż czy też po prostu podajemy pieczywo. Sęk w tym, że przez tę samowolkę kuchnia wygląda potem jak pobożowisko. Wiem, że obecna moda nakazuje podawanie obiadu wieczorem i Betty, która jest trochę snobką, nie może zrozumieć, dlaczego uparcie trzymam się starych zwyczajów, ale Ricky lubi wpadać do domu w środku dnia. Poza tym obowiązuje u nas zasada, że po podwieczorku każdy zmywa po sobie, dzięki czemu wieczorem mogę bez przeszkód obejrzeć serial.

Tego dnia mieliśmy pizzę; odnotowałam, że Maddy pochłonęła swój kawałek i zjadła pół bochenka chleba czosnkowego i surówkę na dokładkę. Nie pogardziła też lodami czekoladowymi.

Poczyniła znaczne postępy, odkąd ostatnio bezskutecznie próbowałam wmusić w nią kawałek tosta. Byłam pod wrażeniem. Minęło jednak niewiele czasu, a ja wiedziałam, że alkoholizm jest nieuleczalny. Czeka ją jeszcze niejedna próba.

Może trochę przesadziłyśmy z tymi podejrzeniami o anoreksję. To modna choroba i wszyscy będą o niej na okrągło. Chyba wyciągnęłyśmy pochopne wnioski.

Ricky wyszedł pograć w rzutki, a my usiadłyśmy sobie spokojnie w koszulach nocnych przed wielkim telewizorem. Ulokowałam Maddy w najładniejszym pokoju gościnnym, chociaż najpierw musiałam stamtąd wypłoszyć Patricię i jej sześć koleżanek, które planowały urządzić pizama party.

- Mam ochotę na sok pomarańczowy - oznajmiłam w czasie przerwy w „EastEnders”. - A ty? - Zwykle piłam gin z tonikiem, ale wolałam jej nie drażnić.

- Nie, dziękuję. - Maddy czuła się chyba trochę skrepowana. - Poproszę colę. Przyniosłam napoje.

- Wiesz co - zagaiłam, podając jej szklanekę. - Nie chcę drażnić tematu, ale moim zdaniem niepotrzebnie się wypisałaś. - I dodałam w obawie, że mnie zrugą: - Zresztą to już nieważne. Grunt, żebyś wiedziała, że zawsze możesz na mnie liczyć, bez względu na porę. Wiem, że to nie będzie dla ciebie łatwe. - I, chcąc zmienić temat, opowiedziałam jej o ostatnich doniesieniach w sprawie Tess, łącznie z groźbą pani Vitelli udania się do prasy.

Maddy natychmiast odstawiła szklanekę.

- Musimy do niej iść i to zaraz. Powinna się dowiedzieć...

- Nie. Powie nam, kiedy będzie na to gotowa.

- Jesteś pewna?

- Absolutnie. Pomożemy jej, jak będzie nas potrzebowała, co niechybnie nastąpi. Jerry raczej nie gości w rubrykach towarzyskich, ale bądź co bądź to dyrektor Sentinelu. Wpadka takiego potentata na pewno ucieszy szmatławce, które gorliwie nagłośnią sprawę. A propos rubryk towarzyskich - dodałam ostrożnie. - W zeszłą niedzielę natknęłam się na wzmiankę o Fergusie. Widziałaś? - Nie było tak tragicznie. Parę lipnych linijek o nim i jego „nowej flamie”, z którą pojawił się na jakiejś premierze. Nic wielkiego. Nie zamieścili nawet zdjęcia.

- Nie widziałam - ucięła Maddy i dodała tonem usprawiedliwienia: - Wiem, że może za wcześnie to mówić, może to tylko chwilowe, jednak ostatnio czuję się w tej kwestii jakby trochę silniejsza. Wiem, że przede mną długa droga, ale zrzuciłam z siebie spory ciężar. Powiedziałam mu rzeczy, o które nigdy bym sobie nie podejrzewała, chociaż gromadziłam je w sobie od lat. Wolałabym na razie o tym nie rozmawiać. Muszę wszystko sobie poukładać. Nie powiem, że to dla mnie łatwe, ale

jakoś się trzymam. - Posłała mi błądy uśmiech. - W każdym razie na pewno ucieszysz się na wieść, że już nie chcę za wszelką cenę go odzyskać. Już nie. Przepraszam, Rito. Miałyście ze mną krzyż pański.

- Bzdura. Wcale nie.

Zajrzała w głąb szklanki.

- A właśnie, że tak - odpowiedziała z wolna. - Miałyście rację. Zmarnowałam swoje życie, a przynajmniej ostatnich kilka lat. Czuję się tak, jakby ta cała gorycz i rozczerwanie otworzyły mi oczy na to, co przede mną, a nie na to, co straciłam bezpowrotnie. Powróciły do mnie strzępy naszej wieczornej rozmowy. Miałas rację. Przepraszam, że byłam dla ciebie taka wstrętna.

- Przestań wreszcie przeproszać, dobrze?

- No. - Znowu się uśmiechnęła. - Nad tym też powinnam popracować, nie?

- Kamień z serca!

- Jak już mówiłam, za wcześnie na gratulacje. Jeszcze się w pełni nie pogodziłam ze swoją nową sytuacją. Na razie to dla mnie za trudne, zbyt bolesne i definitywne. Wciąż mam mętlik w głowie, a przede wszystkim odczuwam rezygnację. Wolę jednak to niż paniczny strach, który ostatnio nie dawał mi żyć. Powoli zaczynam wierzyć, że to jeszcze nie koniec świata.

Zamilkła i dodała po chwili ściszym głosem.

- Jest jeszcze coś. Po naszej rozmowie widziałam, jak śmieje się do telefonu. Pewnie rozmawiał z Vanessą; obserwując jego zachowanie, zrozumiałam, że go straciłam, ale też do mnie dociera, że to on stracił mnie.

Kompletnie mnie zatkało. Widząc to, Maddy wyciągnęła ręce i mocno się przytuliłyśmy. A że nie było nic więcej do dodania, obejrzałyśmy kolejne dwa serie, narzekając na horrendalne ceny butów, w których paradowała główna bohaterka. (Pomyślałby kto, trzysta euro za sandały Jimmy'ego Choo? Też mi coś, płacić tyle za buty, skoro skórki, z której je zrobiono, nie starczyłoby nawet na rękawiczkę!) Około wpół do dziesiątej, po wiadomościach, Maddy grzecznie poszła spać.

Nie mogłam zasnąć. Nie chodziło tylko o zmianę, jaka zaszła w Maddy, nie mogłam pogodzić się z postępkami Susan Vitelli Moore. Molestowanie seksualne? Przecież to niemożliwe. Nie znałam wprawdzie wszystkich szczegółów sprawy, ale



jakoś nie chciało mi się w to wierzyć. Wiadomo wprawdzie nie od dziś, że sprawcą jest zawsze Bogu ducha winien sąsiad, poczciwy safandula, ale chwileczkę! Dobrze znam Jerry'ego Brennana. I pamiętam, co Tess opowiedziała mi o pewnym mejlu od jego asystentki...

Dosłownie aż mnie rozsadzało.

- Hej Ricky, śpisz?

- Już nie.

- Słuchaj, musisz to usłyszeć. Nie zasnę, dopóki ci nie powiem.

Wysłuchał mnie w milczeniu.

- Wcale nie jestem zdziwiony - oznajmił, kiedy skończyłam.

- Słucham? - Zapaliłam lampkę nocną, żeby go lepiej widzieć. - Jak to?

Wiadomo, że zdrada to paskudna rzecz, ale ta dziewczyna jest pełnoletnia, nie? Powiedziałam ci, co zrobiła.

Westchnął.

- To niczego nie zmienia, Reet. W dzisiejszych czasach nie należy sypiać z podwładną i cześć. Laska dyszy żądzą zemsty i dopnie swego, wspomnisz moje słowa. Żal mi gościa, lecz spójrzmy prawdzie w oczy: zachował się jak kompletny idiota. Kto jak kto, ale on powinien wiedzieć, czym to grozi. Jest dyrektorem, na miłość boską.

Dosłownie zbierałam szczękę z kołdry. Facet jest szefem i teraz trzeba go za to ukamienować?

- Napijesz się herbaty? - Usiadłam na łóżku. Ricky wydał z siebie kolejne westchnienie.

- Czemu nie, skoro już mnie obudziłaś?

Schodząc na dół, pomyślałam o mamie. Przez kilka tygodni poprzedzających święta Bożego Narodzenia brała nocki w fabryce. Robiła to, bo nam się nie przelewało, ale nigdy nie narzekała, wręcz przeciwnie. Zawsze mówiła, że można się tam nieźle pośmiać. Wszyscy, nawet tata, zaśmiewaliśmy się do łez z jej opowieści o tym jak robotnicy, a nawet majster, podglądają kobiety w ubikacjach, podszczypują je w pośladki i obłapiają przy byle okazji ku wielkiej uciesze pozostałych pracowników...

Ani chybi przewróciłyby się w grobie.

Nie usprawiedliwiam zdrady, lecz w tym wypadku oboje jednakowo maczali w tym palce, na miłość boską. Specjalnie w tym celu pojechała z nim do Londynu. I musiało jej się podobać, skoro potem przysłała mu takiego mejla, nie?

Prawo jest prawem, jak powiedział Ricky. Boże, czy w Irlandii nie można już sobie użyć, żeby nie robić z tego wielkiego halo?

## *Rozdział 38*

---

Były inne? Ma coś na piśmie? Coś, co mogłoby cię dodatkowo pogрузić? - Minęła trzecia nad ranem. Jerry i ja jeszcze siedzieliśmy na dole. Od wielogodzinnego omawiania sprawy Susan dostaliśmy chrypki.

- Nie.

- „Nie” znaczy, że nie było innych? Czy „nie”, nie ma nic na piśmie?

- Na obydwa pytania mogę odpowiedzieć przecząco.

- Jesteś pewny? Nic, nawet jednego mejla? - Pytania cisnęły mi się jedno za drugim.

- Byłem ostrożny. Proszę cię, Tess, nie mogę dłużej o tym rozmawiać. - Jego głos świadczył o doszczętnym wyczerpaniu. - Ile mogę cię przekonywać? Nie mogę rozmawiać o Susan, o molestowaniu, a nawet o Sentinelu. Proszę cię, zmieńmy temat.

- Wstał i wolnym krokiem przespacerował się po salonie.

Chociaż nasze życie zamieniło się w „koszmar dzienny”, jak mama nazywała traumatyczne sytuacje, przez ostatnie popołudnie, wieczór i noc zamieniliśmy więcej słów niż w ciągu całego minionego roku.

Być może wynikało to ze zmęczenia, lecz w pewnym momencie przyszło mi do głowy, że sprzymierzyliśmy się dzięki wspólnemu wrogowi. Posunęłam się wręcz do refleksji, że mam wobec SVM (jak obecnie nazywałam ją w myślach) dług wdzięczności za to, że zmniejszyła przepaść pomiędzy mną a mężem. Sami widzicie, jaka byłam wykończona, przytłoczona chorobą ojca i pobudzona nadmiarem kofeiny.

Obserwowałam powolne ruchy Jerry'ego, jakże inne od jego zwykłego, zwawego kroku; wprawdzie w naszych wzajemnych stosunkach nastąpił pewien przełom, ale bynajmniej nie zapomniałam o SVM.

- Może dla odmiany porozmawiamy o tobie, Tess? - Jerry przystanął. - Co ty na to?

Poczerwieniałam, gdyż naszła mnie straszna myśl, że odkrył moją „wirtualną” zdradę. Ale jego ton nie brzmiał oskarżycielsko, więc skrycie odetchnęłam z ulgą.

- O mnie? - wyjąkałam. - Co masz na myśli?

- Cóż, nie wiem o tobie wielu rzeczy. Musiały zagubić się gdzieś po drodze.

- Na przykład?

- Na przykład co czujesz. Chciałbym poznać twój pogląd na świat.

- Ciężka sprawa.

- Wobec tego porozmawiajmy o wydarzeniach z przeszłości. Nigdy nie opowiadałaś mi o nowicjacie.

- O nowicjacie? - Kompletnie zbił mnie z tropu. - Nie wierzę. Naturalnie, że opowiadałam ci o nowicjacie.

- Nie opowiadałaś - oznajmił cierpliwie. - Nie mnie. Pewnie mylisz mnie z Michaeliem.

Trzymałam na kolanach Normę; z namysłem pogłaskałam jej włochaty łeppek. Wolałabym raczej nie rozmawiać o Michaelu.

- Co ci nagle przyszło do głowy? Dlaczego mielibyśmy w takiej chwili rozmawiać o nowicjacie?

- A dlaczego nie? - Jerry opadł na fotel. - Zresztą nieważne. Tak mi tylko... - Najwyraźniej zmienił zdanie. -

Powinnaś iść do łóżka, Tess, padasz z nóg. Na pewno będziesz jutro potrzebna ojcu.

- Jesteś tak samo zmęczony.

- Nie zasnę.

- Ja też nie. Słuchaj, jesteś pewien, że nie możemy znaleźć żadnego rozwiązania? Może powinniśmy porozmawiać z Susan?

Jego spojrzenie mówiło samo za siebie.

- Mam dosyć. I tak nie wymyślimy dzisiaj nic mądrego. Skoro nie kładziemy się spać, może chociaż się napijemy?

- Dobrze. Poproszę whisky.

- Słucham? - Moje życzenie wyraźnie go rozbawiło. Wprawdzie trzymamy w domu whisky na wypadek gości, ale nigdy dotąd nie brałam jej do ust.

- Whisky - powtórzyłam. Nic mnie dzisiaj nie zdziwi. - Wracając do twojego pytania, dlaczego akurat o nowicjacie? I dlaczego teraz?

- Tak mi tylko przyszło do głowy, po prostu. Chciałem po prostu zmienić temat. Umysł ludzki to prawdziwa zagadka. No więc? - Uśmiechnął się, podając mi szklanke.

- Opowiadaj. Czy nowicjat jest tak seksowny jak nam się wydaje?

- Seksowny?

- No wiesz, same dziewczyny, zapięte po samą szyję, a w środku pełne kipiących namiętności. Przecież wiesz, że zakonnica figuruje na czele męskich fantazji erotycznych.

Wybuchnęłam śmiechem.

- Nie wiem, jakie ty czytasz magazyny, ale to wcale nie tak. W gruncie rzeczy było całkiem zwyczajnie. Największą sensacją był... - Zawiesiłam głos i dodałam po chwili wahania: - Żabi skrzek.

- Co takiego?

- Żabi skrzek. Najlepiej zapamiętałam tapiokę, którą dostawałyśmy na deser.

- To wszystko? Daj spokój, Tess. Modlitwy. Zgaszone światła. Zakłócanie ciszy. Przecież oglądałem „Historię zakonnicy „... - Usiadł na sofie naprzeciwko mnie, przerzucając przez poręcz jedną długą nogę.

Krok po kroku zaczęłam wspominać „wiek niewinności”, zajmujący najczystszy, najbardziej błogi odcinek mojej pamięci. Byłyśmy małymi dziewczynkami, które próbowały zachowywać się jak dorosłe, wykonując najzwyklejsze czynności, takie jak mycie sedesów, czyszczenie pieców i pranie, na chwałę Boga i Dziewicy Maryi. Z całego serca dążyłyśmy do świętości opisanej w „Naśladowaniu Chrystusa” i spinałyśmy z tyłu welony podczas gry w koszykówkę. Klęczałyśmy, aż do utraty czucia w kolanach, i śpiewałyśmy psalmy w kaplicy tak skromnej, że wyobraźnia wprost błagała o zmiłowanie.

- Nie potrafię ci opisać, jak wspaniały i smutny był ten dzień.

- Spróbuj.

Co się ze mną działo? To przecież mój mąż. Nie przywykłam do zwierzeń, otwierałam się tylko przy Ricie i Maddy. Jednakże znużenie i mdląca słodycz whisky rozwiązały mi język. I spróbowałam, zrazu niepewnie, potem coraz śmielej, opisać dzień wstąpienia do zakonu.

Ludzie zazwyczaj podpytują o celibat („przecież musiało ci tego brakować, nie miałaś żadnych fantazji?”), lecz najczęstsze pytanie dotyczy uczucia towarzyszącego obcinaniu włosów.

Dzieje się to w następujący sposób. Postrzyżyny nie odbywają się od razu; najpierw obcinają ci symboliczny kosmyk spod welonu, kiedy stoisz wystrojona przed ołtarzem. Dalszy ciąg następuje, gdy zakładają ci biały habit, tuż przed powrotem do kaplicy. Owszem, suchy dźwięk nożyczek w rękach matki przełożonej, która nie zawracała sobie głowy efektem końcowym, stanowił istną torturę. Był chyba gorszy aniżeli sam widok ostrzyżonej głowy. Nie miałyśmy luster.

Stałyśmy tam we trzy, każda zdenerwowana i spięta jak świecka panna młoda (choć na pewno gruntowniej przygotowana). Nasze identyczne suknie do ślubowania uszyto z białej satyny. Były proste, ale prześlicznie skrojone; po miesiącach spędzonych w workach postulantek materiał chłodził nasze ciała niczym okład z lodu. Na głowach miałyśmy wianki ze świeżych białych róż.

Z wnętrza kaplicy dobiegały jęklive dźwięki harmonii („O Jezu, Radości Człowieka”), matka przełożona otworzyła dwuskrzydłowe drzwi, a my ruszyłyśmy główną nawą w kierunku ołtarza i naszego Oblubieńca. Szłyśmy według wieku: jako najmłodsza otwierałam pochód.

Kaplica, w której mdląca woń brylantyny i wody kolońskiej stłumiła znany nam na co dzień ostry aromat pasty do podłóg i kadzidła, była wypełniona po brzegi zbieraniną szacownych krewnych w najlepszych garniturach i butach oraz niedzielnych ubraniach ze sztywnego tweedu. Zewsząd spoglądały na nas czerstwe, rumiane twarze. Kiedy (powoli, jak nas nauczono) podążałam w stronę ołtarza, od razu wyczułam konflikt pomiędzy dumą a melancholią. W powietrzu aż od niego iskrzyło.

Gdy byłyśmy zwykłymi postulantkami, mogłyśmy składać i przyjmować wizyty, a nawet chodzić z rodziną na lunch do miejscowego hotelu. Dziś przyjdzie im nas utracić. Z chwilą zakończenia uroczystości kontakt z rodziną zostanie ograniczony do minimum: odtąd będziemy stanowić własność Chrystusa i zakonu. Oczywiście nowicjuszka może w każdej chwili zrezygnować, lecz podobne przypadki należały wówczas do rzadkości, dlatego ów dzień miał iście przełomowe znaczenie i oznaczał wyprawę w rejony, gdzie nikt z bliskich nie mógł nam towarzyszyć. Dokładnie poznałyśmy znaczenie słowa „nigdy”. Kiedy znalazłam się w połowie krótkiej nawy, wśród morza zwróconych ku mnie twarzy zobaczyłam twarz ojca. Uśmiechał się dumnie, stojąc z wysoko podniesioną głową. Lecz gdy znalazłam się obok jego ławki i rozmyślnie napotkałam jego wzrok (choć usilnie mnie przed tym przestrzegano), tata, ten ideał spokoju i opanowania, wybuchnął płaczem.

- Przepraszam, Jerry. To by było na tyle... - Pociągnęłam haust whisky. Nie mogłam mówić dalej, kiedy ojciec leżał w pokoju na górze.

- Nie, to ja przepraszam - odpowiedział cicho Jerry. - Przepraszam, że nie jestem Michaeliem.

Popatrzyłam na niego ze zdumieniem.

- Ty nadal go kochasz. Nie umiem temu sprostać. Chyba nikt by nie umiał.

- Nieprawda.

- Cóż, zdarza się. Kochałaś go, kiedy zginął. Twoja miłość była równie żywa jak na początku, i taka pozostała.

- Jerry, proszę. Wstał.

- Nic się nie stało, mała. To nie twoja wina. - Delikatnie ujął mój podbródek i pocałował mnie w czoło. - Jestem skonany. Przykro mi z powodu twojego ojca, przepraszam, że cię zraniłem, przepraszam za wszystko.

- Jerry... - Zaczęłam się denerwować.

- Cii! - Cmoknął mnie ponownie, tym razem jakby z roztargnieniem. - Idę spać. Pewnie nie zasnę, ale muszę przynajmniej trochę odpocząć. Tobie radziłbym zrobić to samo. Dziękuję za magiczną opowieść. - I wyszedł.

Norma posapywała mi na kolanach, a potem ziewnęła, pokazując różowy języczek. Wzięłam ją na ręce i przytuliłam do szyi. Liznęła mnie mimochodem, po czym znów zapadła w sen w zagłębieniu mojego ramienia.

Nadal Kocham Michaela?

Słowa mają ogromne znaczenie. Raz wypowiedziane zaczynają żyć własnym życiem, kielkując w zakamarkach pamięci. Zapomniałam czy raczej nie chciałam pamiętać o niedojrzałości Michaela. O jego humorach.

Słoneczny dzień w naszej kuchni w Sallynoggin. Denerwuję się, że woli iść na wykład o Pompejach niż na szkolne rozgrywki Jacka.

- Ta kobieta to światowy ekspert, Tereso. Założę się, że więcej nie przyjedzie do Irlandii.

Wreszcie wybucha.

- Niech ci będzie, pójdę na te cholerne zawody. Ale oczywiście nie będziesz miała nic przeciwko temu, jeśli za nasze ciężko zarobione pieniądze pojedę na jej wykład do Teksasu? Bo tylko tam będzie jeszcze wykladać w tym roku, a może nawet już w ogóle nie!

Ustąpiłam i poszedł na wykład.

Wspomnienia powróciły na swoje właściwe miejsca. Wielokrotnie musiałam ustępować, głównie na rzecz jego kariery. Szukał coraz to nowych bodźców, ciekawych miejsc. Do diabła z nami wszystkimi, liczyły się tylko wykopaliska.

Przymykałam oczy na jego rozrzutność. I latami nie pamiętałam, że nie mieliśmy co włożyć do garnka, bo mój pierwszy mąż wylicytował na aukcji nóż z epoki brązu.

A na ile silne było jego uczucie? Oświadczył mi się jakby mimochodem. Udało mu się wycygnąć zaproszenie na konferencję w Atenach.

- Może pojedziesz ze mną? Przydałoby ci się trochę wytchnienia, moglibyśmy spać w jednym pokoju.

Zakochana do szaleństwa, byłam jeszcze dziewicą i myśl o spędzeniu nocy w jednym pokoju nie mieściła mi się w głowie.

Moje wahanie nie uszło jego uwagi.

- Pobierzmy się i już! Przecież nie będziemy z tym zwlekać do emerytury, nie?

Z chwilą śmierci Michaela wymazałam z pamięci to, co złe, poprzestając na wyidealizowanym obrazie. Mozolnie zbierałam teraz rozsypane kawałki, składając je w całość. Radość ze ślubu, szalona, a zarazem czuła noc poślubna, bezładny potok słów, gdy emocjonował się nad jakimś projektem. Cudownie zwinne ciało, które zapamiętałam w najdrobniejszym szczególe.

Pokryłam wspomnienia nieprzepuszczalną warstwą blasku, lecz słowa Jerry'ego wniknęły do środka, tworząc rysy.

Chyba specjalizowałam się w niezbyt romantycznych oświadczeniach: w przypadku Jerry'ego nadal nie było jasne, kto kogo poprosił o rękę. Dyskutowaliśmy o Arkadii. Dom bardzo przypadł mu do gustu, lecz perspektywa kosztownej renowacji takiego molocha nie przemawiała na korzyść zakupu.

- Nie mam czasu na pilnowanie fachowców. Owszem, nieźle zarabiam, ale mam kosztowną rodzinę, Tess.

Siedzieliśmy w mrocznym wnętrzu Trocadero, oboje wypiliśmy sporo wina. Wzięłam głęboki oddech.

- Mogłabym się dołożyć...

- Nie rozumiem?

- Mogłabym sprzedać mój dom. W Sallynoggin. Po chwili zrozumiał i roześmiał się serdecznie.

- Cóż - oznajmił wreszcie. - To bardzo miło z twojej strony.

Nastąpiło małe nieporozumienie. Proponowałam jedynie pomoc w zakupie, chciałam zamieszkać z dziećmi w Arkadii jako ktoś w rodzaju gosposi, ewentualnie przyjaciółka. Po złożeniu wyjaśnień wymieniliśmy przeciągłe spojrzenia.

- No, no! - powiedział Jerry. - Nie widać końca cudów. Ale właściwie co masz przeciwko temu, żeby wziąć ślub? Na przykład za dwa miesiące? Tyle czasu wystarczy? Może twoje towarzystwo podziela na mnie kojąco.

I na tym stanęło, chociaż słowo „zaręczyny” nie padło między nami ani razu.

Za oknami salonu nastał świt i poranny chór, nieco wyciszony z powodu pełni lata, jak zwykle dawał z siebie wszystko. Ostatnio często mam okazję go wysłuchać, pomyślałam i ciężko dźwignęłam się z kanapy.



Norma protestowała nieco, gdy niosłam ją do kuchni i układałam w koszyku, ale na szczęście zadowolila się chrupkiem. Opłukałam pustą szklanke i postawiłam ją na suszarce.

Kiedy szłam na górę po schodach, moje nieprzyzwyczajone do whisky serce kołatało jak szalone. Łóżko w sypialni było puste: Jerry postanowił spędzić kolejną noc w pokoju gościnnym.

Rozebrałam się i ułożyłam na swojej części wielkiego łoża. Gdy zapadałam w sen, wspomnienia, które od lat konsekwentnie wypierałam ze świadomości, powróciły ze zdwojoną siłą.

Nigdy nie umiałam sobie dokładnie przypomnieć, z jakimi słowami rozstaliśmy się ostatniego dnia jego życia. Zapamiętałam tylko, że pocałowaliśmy się i wyszedł.

Nieprawda. Wypadł z domu w trakcie awantury: przez cały ranek kłóciliśmy się o pieniądze.

Działo się to dość często, zawsze z trudem wiązaliśmy koniec z końcem. Jako młodszy wykładowca Michael miał mizerną pensję, a większość pieniędzy pochłaniały rachunki. Albo toporki.

Po wizycie w sklepie spożywczym, gdzie uprzejmy, acz stanowczy właściciel zakomunikował, że mój ostatni czek został odesłany przez bank, mało nie pękłam ze złości. Miałam po ojcu oszczędną naturę i z tego, co wiedziałam, na naszym koncie zostały się jeszcze jakieś drobniaki. Chyba że było coś, o czym nie wiedziałam.

Popędziłam do domu. Michael siedział przy stole i z roztargnieniem karmił Toma, drugą ręką przytrzymując wiekowe tomiszczce. Od razu zrozumiałam, co się stało z naszymi pieniędzmi.

Okazał skruczę, ale próbował argumentować: ta książka to biały kruk, kiedyś na pewno się zwróci. Jej wartość będzie systematycznie rosła i przyjdzie dzień, gdy dostaniemy za nią krocie. Słyszałam to miliony razy: o książkach, grotach od strzał oraz przedmiotach, które dla mnie wyglądały jak kawałki poszarpanej skały, podczas gdy Michael określał je mianem „prymitywnego mózdzierza”.

Kłótnia trwała ponad godzinę, aż do chwili, kiedy mój mąż musiał biec na uczelnię, żeby wygłosić wykład. I bynajmniej się nie zakończyła.

Aż do dzisiaj kurczowo trzymałam się wersji, że wesoło całuję go na pożegnanie, stojąc z Tomem na ręku. Rzeczywiście trzymałam na rękach Toma, to by się zgadzało, lecz oboje z płaczem patrzyliśmy przez okno, jak Michael sady wielkimi krokami w stronę furtki.

Spojrzałam na sufit. Przynajmniej czegoś się nauczyłam. Nigdy nie kłóciłam się z Jerryem, przynajmniej do czasu pewnego mejla. Niejednokrotnie zwracał na to uwagę.

Teraz zrozumiałam, dlaczego tak się działo. Kłótnia do niczego nie prowadzi. I tylko prędzej czy później ktoś ginie potracony przez autobus.

## Rozdział 39

---

Panią Byrne dosłownie skręcało z ciekawości. Nie miała odwagi zapytać wprost, ale ukradkiem obserwowała mnie spod oka, czujnie rejestrując najdrobniejsze zmiany nastroju. Wypatrywała łuki, która umożliwiłaby jej zdobycie bezcennych informacji.

- Pan Brennan coś ostatnio zajęty, prawda?

- Bardzo - odpowiedziałam. Siedziałam przy stole, okładając zeszyty Toma grubym, brązowym papierem. Wymagano tego w szkole: dzieci dostawały minus za każdy dzień bez okładek. Zerknęłam na zegar mrugający na kuchence: dokładnie w tej chwili Jerry powinien znajdować się u prawnika.

- Wczoraj jakoś dziwnie wyglądał. - Pani Byrne cofnęła się o krok, oceniając połysk na „swoich” blatach. - Ale błyszczą, co? Wyniosę suszki; wiszą tu od roku, pora zastąpić je świeżymi.

- Dobrze, bardzo proszę. Świetny pomysł. Przyniosła stołek.

- Tak, od wieków nie widziałam pana B. Znaczą się, do wczoraj. Czy u niego wszystko w porządku?

Chcąc ukrócić to ciągle podpytywanie, postanowiłam rzucić jej jakiś strzęp informacji.

- Jest bardzo zmęczony. Zdecydowanie zbyt ciężko pracuje, a ta biurokracja w Sentinelu potrafi dać człowiekowi w kość. Próbuję go przekonać, że powinien trochę zwolnić.

- A jakże. - Gospośnia była pełna współczucia. - Naprawdę nie wiem, jak pani to wytrzymuje, pani B. Czasami złoścuję się na mojego Dereka: leń z niego patentowany, a na dodatek teraz bolą go plecy, ale jak patrzę na was...! - Stała na stołku i zaczęła ściągać girlandy, które zbierały kurz pod sufitem. - Przynajmniej mój Derek zjawia się w domu na kolację. Chyba nie po to człowiek idzie do ołtarza, nie? - Spojrzała na mnie z wysokości stołka, zakładając ręce na chudej piersi. - I ten pani biedny tata! Jak on to znosi?

- Tak, jak można się tego spodziewać.

- Rak to wymysł samego szatana.

Chcąc uciąć temat, zaczęłam z hałasem wydierać z rolki kwadrat na okładkę. Chyba zrozumiała, bo ponownie zajęła się wyblakłymi girlandami.

Choć stawałam na głowie, żeby zatrzymać ojca w Arkadii, uparł się, by wrócić do Ballina. Tego ranka w przeciwieństwie do nas wcześniej zerwał się z łóżka, a kiedy zwlokłam się na dół, zastałam go w kuchni jedzącego grzankę i jajko na miękko.

- Co ty robisz, tatku? Przecież przyniosłabym ci śniadanie do pokoju.

- Dzień dobry, Tereso. - Urwał kawałek grzanki i zamoczywszy ją w jajku, włożył do ust. Nawet jego głos brzmiał jakby raźniej. - Podjąłem decyzję. Chcę wrócić do domu.

- Tato, nie możesz...

- Owszem, mogę. Jestem pełnoletni. Kto mi zabroni? - Wydawał się równie spokojny, co zdeterminowany. -

Doceniam waszą gościnność, naprawdę. Dogadzałaś mi, jak mogłaś, wspaniale było też zobaczyć chłopców, jednak zostało mi niewiele czasu i chcę go spędzić w Ballina. Mam tam przyjaciół. To mój dom.

- Ale to ja jestem twoją rodziną, my! Popatrz na mnie nieprzeniknionym wzrokiem.

- Masz dość własnych problemów, Tereso.

Z wrażenia nie wiedziałam, co powiedzieć. Skąd wiedział? Jak się domyślił?  
Lecz dzielący nas dystans uniemożliwił zwierzenia.

Próbowałam go przekonać, lecz okazał się nieugięty.

- Pozwól mi przynajmniej zadzwonić do lekarza i zapytać, czy możesz podróżować.

- Jego zdanie nie ma najmniejszego znaczenia. Zanim zaczniesz bezsensownie zawracać ludziom głowę, powiem ci, że Vincent odbierze mnie z dworca. - Vincent to woźnica, pamiętam go jeszcze z czasów dzieciństwa. - Chciałbym tylko, żeby ktoś odwiózł mnie na dworzec do Dublina. Tym razem wolałbym uniknąć przesiadek. - Ostrożnie zszedł ze stołka. - A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę na górę trochę odsapnąć. Około wpół do jedenastej będę gotowy do wyjazdu. Dasz radę mnie odwiedzić?

Skinęłam tylko głową.

Kolejna prawie bezsenna noc zrobiła swoje i gdy dwie godziny później jechaliśmy na stację, czułam się rozbita i oszołomiona. Przynajmniej ojciec pozwolił zaprowadzić się na peron; bałam się, że upadnie na śliskich płytkach. Miał jechać pierwszą klasą, musiałam podnieść głos, żeby przekrzyczeć ryk lokomotywy znajdującej się tuż obok nas. Dzięki temu łatwiej mi było opanować emocje.

- Rozumiesz, dlaczego nie mogę z tobą jechać, prawda? Tyle się teraz dzieje...

Nachylił się nieoczekiwanie i zacisnął kościste palce na moim ramieniu.

- Muszę ci powiedzieć jedno, Tereso. Dziękuję. Dziękuję ci za wszystko Mocna z ciebie dziewczyna. - Nim zdążyłam zareagować, puścił moją rękę i odwróciwszy się na pięcie, zniknął we wnętrzu wagonu.

Nie podniosłam ręki, żeby mu pomachać. Sterczałam jak kołek, udając, że szukam czegoś w torbie. Pożegnał się ze mną. Na swój sposób powiedział mi, że mnie kocha.

- Idę się położyć, pani B. - Ułożyłam obłożone zeszyty jeden na drugim. Jerry obiecał, że zadzwoni zaraz po wyjściu od prawnika, ale oczy dosłownie same mi się zamykały. - Grypa mnie bierze albo coś. Drzemka dobrze mi robi.

- Niech pani idzie, pani B., ja sobie poradzę. Potem chyba pójdę do pralni. Czy ten pies ma tu zostać? - spytała, wskazując na Normę skuloną w koszyku przy kalo-

ryferze. Pani Byrne nie pochwałała zwierząt w domu i od chwili przybycia Normy otwarcie dawała temu wyraz, nie nazywając jej inaczej niż „ten pies”.

- Tak - odpowiedziałam. - Zostanie tu, gdzie jej miejsce.

- No dobrze - westchnęła pani Byrne. - Jakoś damy sobie radę. Niech pani idzie. Zawsze powtarzam, że sen to najlepsze lekarstwo. Mam panią obudzić za godzinę?

- Nastawię budzik. Jak Jack wstanie, proszę mu przekazać, że Kitty dzwoniła trzy razy.

W świetle ostatnich wydarzeń relacje pomiędzy moim starszym synem i jego dziewczyną plasowały się nisko w mojej hierarchii, czułam jednak, że coś nie gra. Podczas drugiej rozmowy Kitty wydawała się jakaś nieswoja, a w trakcie trzeciej zaryzykowałabym stwierdzenie, że w głosie dziewczyny pobrzmiewały nutki hysterii. Ale teraz nie miałam do tego głowy. Jack jest wystarczająco dorosły, by samemu zatroszczyć się o swoje życie uczuciowe. Nawet gdyby (co wielce nieprawdopodobne) zapytał mnie o zdanie, chyba nie czułabym się na siłach, aby mu cokolwiek doradzić.

Ległam pod kołdrą i od razu zapadłam w sen. Śniło mi się, że wisi nade mną gigantyczna pompa strażacka. Leżałam związana na środku drogi i nie mogłam uciec. Dzwonek dzwonił coraz głośniej...

Naraz umilkł. Pełna ulgi, że to tylko sen i na wpół rozbudzona zaczęłam ponownie zapadać w drzemkę, gdy nagle ktoś mnie zawołał. Na progu sypialni stanął Jack.

- Mamo! Mamo! Tom dzwoni.

Z trudem dźwignęłam się do pozycji siedzącej, próbując się otrząsnąć z resztek snu.

- Halo? - wychrypiałam do słuchawki i odchrząknęłam. - Halo? Tom?

- Mamo, chciałbym wrócić do domu.

- Przecież dopiero wczoraj wyjechałeś. - Energicznie potrząsnęłam głową, żeby odzyskać jasność myślenia. Przecież wczoraj odwiozłam go na lotnisko. - Może jeszcze powinienes się zastanowić, co?

- Nie podoba mi się tu. Chcę wrócić do domu. Powiedziałeś, że mogę zadzwonić. Sama mówiłaś.

- Pamiętam, skarbie. - Wprawdzie nie słyszałam w jego głosie nic niepokojącego, lecz senność minęła jak ręką odjął. - Czy coś się stało? Dlaczego ci się nie podoba? Pokłóciłeś się z Evanem?

- Nie. Ale chcę wracać. Powiesz Frederickowi, żeby mnie zawiózł na lotnisko?

Usłyszałam szmer i w słuchawce rozległ się głos Fredericka.

- Witaj, Tesso.

- Co się stało, Fredericku?

- Sam chciałbym to wiedzieć! - W jego głosie pobrzmiwało autentyczne zdumienie. - Mieliśmy plany. Byliśmy już na basenie, a dziś po południu mieliśmy się wybrać na Oko Londynu, ale Tom uparł się wrócić do Dublina.

- Pokłócił się z kimś? Czy wszystko w porządku?

- Tak mi się wydaje, ja o niczym nie wiem, chociaż... - Prawie zobaczyłam, jak wzrusza ramionami. - ... Oczywiście próbowałam go wypytać, w czym rzecz. I naprawdę usiłowałam go namówić, żeby nie zwracał ci głowy, ale na próżno. Może ty przemówisz mu do rozsądku? Dać mu słuchawkę?

- Zaczekaj chwilkę.

Położyłam słuchawkę na kolanach, żeby się zastanowić. Znałam swego upartego syna: jak coś sobie ubzdura, wołami nie zmusisz go do zmiany zdania.

- Halo, Fredericku?

- To ja, Tom.

- Ach! Jesteś całkowicie pewien?

- Tak.

- No dobrze. Daj mi Fredericka, musimy wszystko ustalić. - Kolejny szmer w słuchawce. - Najmocniej przepraszam za kłopot, Fredericku - powiedziałam - ale jak on się uprze, to koniec. Strasznie mi przykro.

- Mnie również.

Ustaliliśmy, że w ciągu najbliższej godziny Frederick odwiezie Toma na Heathrow, gdzie złapią popołudniowy samolot. Jak tylko będzie znał dokładną godzinę i numer lotu, zadzwoni do mnie na komórkę. Na szczęście Tom podróżował za pełną opłatą i miał otwarty bilet, ale był niepełnoletni, toteż należało zapewnić mu opiekuna. Musiałam zadzwonić do Aer Lingus. Podałam Frederickowi informacje

niezbędne do wypełnienia formularzy, czyli nasz dokładny adres i numery telefonów, łącznie z komórkowymi, po czym zakończyliśmy rozmowę. Naturalnie nie obyło się bez kolejnych przeprosin. Trzeba mu przyznać, że zachował niezmacony spokój, chociaż z drugiej strony doszłam do wniosku, że traktował swoją pomoc jaką rewanż za naszą uprzejmość.

Kiedy ponownie otuliłam się kołdrą, zadzwoniła Rita.

- Co tam na froncie, Tess? Jak się miewa twój ojciec? Opowiedziałam jej o wyjeździe taty.

- A ty? - zapytała z wahaniem. - Jak się trzymasz?

- W porządku.

- Coś mi się nie wydaje. Masz katar?

- Chyba tak. Coś mnie bierze.

- Czy ty aby nie płakałaś? Jak sprawy między tobą a Jerrym? Jakaś poprawa?

Czy mi się zdawało, czy to pozornie niewinne pytanie kryło w sobie głębszą treść? Czyżby jakimś cudem dotarły do niej najnowsze doniesienia o Jerrym i Susan?

- Nie, ale robimy, co w naszej mocy. Czekają nas ciężkie chwile, ale mam przecucie, że wszystko dobrze się skończy. - W duchu wyraziłam nadzieję, że mój ton odwiedzie ją od dalszych pytań: na razie wołałam zachować dyskrecję, przynajmniej do czasu, aż sama sobie wszystko poukładam.

Pochwyciła aluzję.

- W porządku. Co u Toma? Rozmawiałaś z rodzicami tamtego chłopca?

Nie chciało mi się nawet mówić, że Tom niebawem wróci do domu. Brakowało mi energii na długą rozmowę.

- Tak, wieczorem dodzwoniłam się do matki, tuż przed pójściem spać. Była w porządku, trochę oficjalna, ale zapewniła, że wizyta Toma to dla nich żaden problem. Nie wiem, czy mówiła szczerze, szkoda, że nie widziałam jej twarzy. Zdaniem męża jest „wyluzowana”, ale sama wiesz, jak odbieramy czasem angielski akcent. Nasi rozmówcy zachowują się miło i zwyczajnie, a my bierzemy ich za sztywniaków. To przez te różnice kulturowe. Jej mąż jest Australijczykiem i przez telefon sprawia znacznie przyjemniejsze wrażenie.

Opowiedziała mi, co u Maddy, która zamieszkała u niej na kilka dni.

- Może wpaść na godzinę? Toma nie ma, ojciec wyjechał, przyda ci się trochę rozrywki.

- Bardzo ci dziękuję, Rito, ale nawet nie byłabym teraz w stanie przekręcić kluczyka w stacyjce. - Zataiłam przed nią zbyt wiele rzeczy, aby sprostać rozmowie twarzą w twarz.

- No to może jutro - skwitowała przyjaźnie i pożegnałyśmy się obietnicą rychłego spotkania. Rita jest wspaniała, naprawdę, tylko że jedyne, na co miałam ochotę, to zwinąć się jak ślimak wewnątrz swojej skorupy.

Wyjrzałam przez okno na baldachim z gałęzi buku, jaworu i brzozy, sięgających korony olbrzymiej wierzby płaczącej. Korzenie tego potwora najpewniej podważają fundamenty Arkadii, jednak nigdy nie pozwolę go ściąć.

Spojrzałam na zegarek: odkąd przyszłam na górę, minęła niespełna godzina. Tak czy inaczej, spotkanie Jerry'ego z prawnikiem najwyraźniej się przedłużyło. Słyszałam wodę płynącą starymi rurami Arkadii: zgodnie ze swą zapowiedzią pani Byrne energicznie wzięła się do prania. Może prysznic postawi mnie na nogi, pomyślałam.

Gdy wchodziłam pod strumień wody, zadzwonił telefon. To na pewno Jerry.

Nie zgodziłam się na zainstalowanie telefonu w łazience, uznałam to za przesadę. Pędząc do aparatu w sypialni, pożałowałam swojej decyzji.

- Halo? - rzuciłam zdyszana do słuchawki, wbiegając do pokoju w samym tylko ręczniku.

- Pani Brennan?

- Tak. - Serce zabiło mi mocniej w piersi. Kolejna porcja złych wiadomości. Czy to policjantka?

- Nazywam się Dearbhla McBree, reprezentuję Instytut Badania Opinii Publicznej. Pani numer został wybrany losowo. Poświęci mi pani kilka minut?

Bezsilnie opadłam na łóżko.

- Nie. Dziękuję pani bardzo, ale nie. Nie teraz. - Po cichu odłożyłam słuchawkę na widelki, czując, jak zimne krople spływają mi między łopatkami. Naraz dostrzegłam zabawną stronę sytuacji i parsknęłam śmiechem. Biedna Dearbhla.



Położyłam słuchawkę obok aparatu. Przez pięć minut świat się nie zawali, pomyślałam i wróciłam do zaparowanej łazienki.

## Rozdział 40

---

Próbowałam się dodzwonić, ale telefon był zajęty. - To Jerry.

- Przepraszam. - Zdziwiłam się, że wbrew moim oczekiwaniom długa rozmowa z prawnikiem nie popsuła mu specjalnie humoru. - Bez przerwy ktoś się do mnie dobijał... I jak?

- Wolałabym nie mówić o tym przez telefon. Spotkamy się w mieście albo w Howth? Gdziekolwiek, byle nie w domu. - Głos Jerry'ego nie zdradzał żadnych emocji. - Musimy porozmawiać.

Wolałam nie pytać, o czym.

- Pewnie. Ale nie mogę wyłączyć komórki... - Opowiedziałam mu o telefonie Toma. I zapytałam ostrożnie: - Będziesz wracał do biura?

- Nie. - Krótko i zwięźle.

- Daj mi dwie godziny. Muszę załatwić parę telefonów do Aer Lingus. Może spotkamy się na lotnisku, co? Przynajmniej nie będę co chwila zerkać na zegarek. - Poczulałam, że tracę głowę. - Ale nie w hali, tam jest za duży hałas. Co powiesz na recepcję hotelu Great Southern?

- W porządku.

Dotarłam na miejsce jakieś trzy minuty przed nim i ledwo zdążyłam usiąść na sofie w niemal opustoszałej sali, kiedy Jerry pchnął szklane drzwi i wszedł do środka. Wyglądał na poruszonego.

Upomniałam się w duchu. Byłam zdradzoną żoną. Powinnam przestać się martwić nastrojem Jerry'ego Brennana i zatroszczyć się o własny. To mnie wystrychnięto na dudka, mnie! Jednakże na widok jego zszarzałej twarzy i przekrwionych oczu moje postanowienie osłabło.

- Cześć - powiedziałam cicho. - Jesteś skonany.

- I tu masz rację. - Nie usiadł. - Nic nie jadłem, masz ochotę coś przegryźć?

- Dobrze.

Restauracja była prawie pusta, jeśli nie liczyć dużego stołu, przy którym zasiadła grupa mężczyzn; pozostałe nakrywano do obiadu. Jerry zapytał kelnerkę, która wyszła nam na spotkanie, czy możemy liczyć na coś poza kanapkami.

- Wystarczą nam choćby jajka i frytki. Prawda, Tess?

Skinęłam głową, lecz kelnerka powróciła po chwili z informacją, że kucharz chętnie przyrządzi nam plasterki bekonu i frytki zamiast jajek.

- Może być bekon. Otwórzcie też puszkę fasoli, będzie jak znalazł. -

Uśmiechnął się czarująco (lata przyzwyczajenia), ale kelnerka rzuciła mu chłodne spojrzenie, więc kiwnął głową, przystając na propozycję kucharza.

Zajęliśmy stolik w rogu, z dala od tamtych gości, którzy najwyraźniej planowali długi, suto zakrapiany wieczór.

Nie wiem, czy to z powodu zmęczenia, czy wrodzonego pesymizmu, w każdym razie przyjechałam do hotelu przygotowana na najgorsze. Jerry był dżentelmenem i nie zgodził się zrelacjonować przez telefon rozmowy z prawnikiem, ponieważ miał naprawdę złe wieści: wolał oznajmić mi prosto w twarz, że odchodzi do Susan.

Powie, że praca jest jego życiem i za nic w świecie jej nie poświęci.

Następnie oświadczy, iż zarzuty Susan miały na celu jedynie utrzczyć mu nosa i że posłusznie odegrał swoją rolę na mój użytek.

W tym momencie wpadnę mu w słowo, pospieszy więc z wyjaśnieniami, że choć sam jest gotów wziąć na siebie brzemień publicznej hańby, ja w żadnym wypadku na to nie zasłużyłam. (Prawdę powiedziawszy, byłam szczerze zdziwiona, że informacja o jego zawieszeniu nie przedostała się do mediów. Najprawdopodobniej szeptano o tym w obrębie firmy, lecz zarząd skutecznie zadbał o dyskrecję).

Potem dorzuci łagodnie, że choć naprawdę próbował z nią zerwać, dokonał zadziwiającego odkrycia, iż życie u jej boku jest daleko bardziej ekscytujące niż ze mną. Wyrazi nadzieję, że rozumiem i dorzuci kolejną garść banałów...

W miarę jak rozpędzałam się w tych domysłach, moja determinacja przybierała na sile. Będę walczyć o Arkadię, to jedno jest pewne.

- No więc... - Usilnie próbowałam zapanować nad twarzą. - Chciałeś ze mną rozmawiać? Jestem.

Jakże się myliłam. Jerry bez ogródek przeszedł do rzeczy.

- Bardzo byś się zdenerwowała, gdybym rzucił pracę i nie walczył o swoje racje, Tess?

Przetrawiłam jego słowa. Grupa przy dużym stole gruchnęła rubasznym śmiechem.

- Chcesz odejść z Sentinelu? Czy tak radzi prawnik?

- Nie. Jego zdaniem powinienem walczyć, chociaż to nie będzie łatwe. Odnoszę wrażenie, że to dla niego sprawa ambicji: czuje, że proces przysporzyłby mu sławy.

Lecz im dłużej go słuchałem, tym bardziej dochodziłem do wniosku, że jeśli wziąć pod uwagę obecne nastroje w społeczeństwie irlandzkim, czekałaby mnie niezła przeprawa. Chyba nie czuję się na siłach. Nawet gdybym wygrał, na zawsze utraciłbym wiarygodność w oczach firmy. I naraziłbym siebie i was wszystkich na istną drogę przez mękę.

Siedział nieruchomo, obserwując mnie uważnie. Pospiesznie zebrałam myśli.

- Przecież mamy dowód, że do niczego jej nie zmuszałeś. A tamten mejl? Sam go do siebie nie wysłałeś. Możemy go odzyskać! - Poczulałam, jak narasta we mnie oburzenie.

- Susan wysłała go, kiedy nasz romans był już historią. - Roześmiał się gorzko. - Chociaż określenie „romans” stanowi pewne nadużycie. Moje słowo przeciwko jej. Nie będzie łatwo, zwłaszcza że... - Skrzywił się z niesmakiem - ...opiera swoje oskarżenie na tym, że poszła ze mną do łóżka, ponieważ w przeciwnym razie storpedowałbym jej karierę i uprzykrzył życie w firmie. Prawniki potwierdził, że to wiarygodne zarzuty, rzeczywiście miałbym taką władzę. W dodatku jestem od niej znacznie starszy i siłą rzeczy powinienem zachować kontrolę nad sytuacją.

- Przecież próbowałeś. I wcale nie było tak, jak mówi.

- Nie było. Ale nie zdołamy tego udowodnić. Pomyśl, Tess. Z czego wynika twoja pewność, że mówię prawdę?

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

- Quod ego dico\* - uzupełnił cicho. - I pamiętaj, że Susan zaskarżyła firmę, nie mnie osobiście. Właśnie tak funkcjonuje prawo. Proces już się rozpoczął. Czekają nas procedury wewnętrzne, potem najprawdopodobniej sprawa trafi do sądu pracy, a jeśli wyrok jej nie zadowoli, może skierować sprawę do wyższej instancji. - Zawiesił wzrok na bliżej nieokreślonym punkcie. - Ja też - dodał. Kelnerka przyniosła nam bekon i frytki z dodatkiem jakichś grzybków. Oczekaliśmy, aż sobie pójdzie.

\* Quod ego dico (łac.) - Bo tak twierdzą.

- To chyba twoja szansa, prawda? Wystarczy, że pokażesz komuś tamten mejl...

- To wygląda trochę inaczej, niż myślisz. Ale bynajmniej nie mam na to ochoty, zresztą sprawa ciągnęłaby się miesiącami, a nawet latami. Mam serdecznie dosyć otoczenia, w którym spędziłem najlepszą część swego życia. Uważam ostatnie wydarzenia za znak, żeby nie powiedzieć omen. Wiesz, niedawno byłem na lunchu z radcą prawnym Sentinelu. Oczywiście to nie ma nic wspólnego ze sprawą, tak mi tylko przyszło do głowy. Otóż mężczyzna, którego zawsze uważałem za bufona, wyznał mi w tajemnicy, że zawsze chciał zostać tancerzem, ale jego rodzice nie zgodzili się zapłacić za kurs. Mój świat roi się od takich ludzi, tylko że rzadko o tym rozmawiamy i raczej stronimy od podobnych wyznań. Już dawno odkryłem, że należę do ich grona.

- Tancerzem? - powtórzyłam idiotycznie. - A ty co chciałbyś robić?

- Sam nie wiem. Ale chciałbym się dowiedzieć. Przerosło mnie to i ponownie skupiłam się na wątku zasadniczym.

- A czy twoja rezygnacja nie będzie równoznaczna z przyznaniem się do winy?

- Naprawdę przywiązujesz do tego wagę? Bo ja nie. Chcę, żebyś знаła prawdę, Tess. Poza tym w ramach zawarcia ugody mogę postawić warunek, że nie będzie żadnych przecieków do mediów, chociaż naturalnie nikt nie udzieli mi stuprocentowej gwarancji.

- A rozmawiałaś z Susan? Rita mówi, a przynajmniej mówiła, że to dość miła dziewczyna. Może kiedy zrozumie, jakie to dla ciebie ważne, zmieni zdanie i wycofa zarzuty? Na pewno podjęła decyzję pod wpływem emocji. Pewnie poczuła się

dotknięta, a nawet upokorzona, kiedy jej oznajmiłeś, że nie... nie chcesz się z nią więcej widywać. - Język odmawiał mi posłuszeństwa, ale zdołałam to wydusić.

Nabił na widelec kilka frytek i włożył je do ust.

- Zdaniem prawnika to ostatnia rzecz, jaką powinienem zrobić - odparł, żując zawzięcie. - Jeśli coś pójdzie nie tak, przedstawi to jako kolejną próbę zastraszenia.

- Dlaczego zakładasz, że się nie uda? - Odsunęłam talerz. Straciłam apetyt. - Może jednak warto zaryzykować? W końcu - tym razem mało się nie udławiłam - w końcu byliście ze sobą blisko. To musi się dla niej liczyć.

- Twoja naiwność jest rozczulająca, mała. - Uśmiechnął się blade, po czym znów nabrał powagi. - Wątpię, czy zgodziłaby się wycofać zarzuty. Wyglądałoby to, że kłamała albo działała z chęci zemsty. Jak mogłaby dalej funkcjonować w firmie? Przegrać, a wycofać skargę to nie to samo. Nie, machina poszła w ruch. Jestem na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewny, że proces i tak się odbędzie, czy zostanę w firmie, czy nie. Pamiętaj, że skarży ona Sentinel. Podjąłem jednak pewną decyzję.

Przygotowałam się na to, co zaraz usłyszę. To koniec. Teraz przestanie owijać w bawełnę. Chce mnie zostawić. Jeśli nawet nie odejdzie do Susan, zaszyje się w klasztorze, aby odnaleźć siebie.

- Powiedz mi, proszę.

Rzucił mi nieodgadnione spojrzenie.

- Bez względu na tę sprawę, bez względu na wszystko, nawet na twoje odczucia, podjąłem nieodwołalną decyzję. Odchodzę z firmy.

- I co będziesz robił?

- Teraz uważaj: zatrudnię się w cyrku!

Poczułam ulgę, a zarazem niebotyczne zdumienie. Właściwie to sama nie wiem, co czułam.

Odprężył się wyraźnie i usiadł wygodniej na krześle.

- Przez jakiś czas nic nie będę robił. Może nawet przez dłuższy czas. Potem chciałbym się uczyć, jeszcze nie wiem dokładnie czego. Może włoskiego. Albo zacząć studiować filozofię. Zawsze żałowałem, że nie poszedłem na studia. Marzę też o podróżach. Chciałbym pojechać do Bayreuth i jak należy wysłuchać „Pierścienia”. Zatańczyć limbo na Karaibach, a salsę w Meksyku. Obejrzeć rodeo w Albercie i wziąć

udział w wiejskiej zabawie w Teksasie. I żeby ktoś nauczył mnie łowić ryby na Alasce. No i żebyśmy wszyscy popłynęli w rejs dookoła świata. - Utkwił wzrok w swoim talerzu. - Oczywiście jeśli się zgodzicie. Jeśli.

Nie wierzyłam własnym uszom.

- Nigdy o tym nie wspominałeś. Nigdy. Ani słóweczkiem.

- Wiem. Nie było okazji. Widzę, że jesteś zdziwiona, ale nie mam ci tego za złe. Jakoś nie miałem dotąd sposobności pobyc człowiekiem. Za bardzo pochłaniała mnie rola Pana i Władcy Wszechświata.

Poczerwieniałam.

- Owszem, wiedziałem - dodał z przekąsem. - Nie jestem głupi, mała. Ani głuchy!

Jak miałam na to zareagować? Czy skoro zwerbował mnie do drużyny, mam się zachowywać, jakby nigdy mnie nie zdradził? Postanowiłam ocenić sytuację od strony praktycznej.

- A pieniądze, Jerry? Z czego będziemy żyć?

- Będziemy. Może nie będziemy codziennie jeść kawioru, ale teraz też go nie jemy. Poza tym, jak zauważyłby twój ojciec, oboje wychowaliśmy się w skromnych warunkach. Dom jest spłacony, a za niespełna dwa lata przestanę płacić alimenty, więc nie będę miał więcej zobowiązań. - Ponownie nachylił się nad stołem i trącił widelcem plaster bekonu. - Pewnie uważasz, że nadrabiam miną. Wcale nie. Wprawdzie nie mam sprecyzowanego planu na dalsze życie, niemniej jednak odkryłem, również za sprawą swego braku rozwagi, że od dawna marzyłem o zejściu z piedestału. Pieniądze naturalnie odgrywają istotną rolę. Jednak moja odprawa też będzie nie do pogardzenia, Tess. Naprawdę. Nikt nie ośmielił się podważyć mojego kontraktu. Będą się więc jak piskorze, ale i tak będą musieli dotrzymać jego warunków.

Czekał na moją reakcję. Uznacie, że to dziwne, lecz nigdy nie dopytywałam się o szczegóły jego wynagrodzenia. Moja postawa świadczyła o pewnym braku logiki: z jednej strony czerpałam korzyści z zarobków męża, jednakże radość z życia w luksusie skutecznie mąciło prowincjonalne poczucie winy, że tylu ludzi naokoło boryka się z losem. Dlatego chcąc uspić sumienie, wspierałam liczne organizacje

charytatywne. (Nie miałam specjalnej ochoty drażyć tego tematu, lecz w kontekście wspólnej przyszłości czułam się do tego zmuszona).

- Nie do pogardzenia? Co to znaczy?

- To znaczy siedmiocyfrowa. Nie znam dokładnej kwoty, ale będzie to około półtora miliona. Funtów szterlingów. Czyli ponad dwa miliony euro. Poza tym mam udziały w firmie, a akcje poszły w górę i znacznie zyskały na wartości. No i opcje na akcje. Mogę sprzedać je od razu albo zaczekać na najlepszy moment. Kontrakt plus akcje to około trzech i pół miliona. Nie zapominaj też, że dostanę pokaźną rentę, mój prawnik tego dopilnuje. Pięćdziesiąt procent pensji. Interesowałem się też działalnością naszego funduszu emerytalnego. Jest bezpieczny; wprawdzie trochę stracił, lecz i tak na tle innych wypadamy fantastycznie.

Nie umiałam tego ogarnąć. Nie wszystko naraz. Tyle pieniędzy... będę musiała dodać do mojej listy kilka fundacji.

Jerry błędnie odczytał moje zdumienie, biorąc je za rozczarowanie.

- To kupa forsy, Tess - zauważył oschle. - Nie będziemy głodować. - Oparł się i ponownie zastygł bez ruchu. - Pewnie nie uwierzysz, ale choroba twojego ojca miała ogromny wpływ na moją decyzję. Rozmyślałem też o naszym radcy prawnym i o tym, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby miał szansę wskoczyć w trykoty, zamiast kisić się w za ciasnym garniturze w dusznej atmosferze biurowca. Podczas każdej rozmowy błędził gdzieś spojrzeniem. To, co brałem za arogancję lub nieśmiałość, było jedynie desperacją. I gdy przyjrzałem się twemu ojcu, zadałem sobie pytanie, co mu przyszło z lat spędzonych za cholerną lada? Jedyne, co poznał w swoim życiu, to trasa kolejowa między Ballina a Dublinem.

Zakłuło mnie to do żywego.

- Godnie przeżył życie i ma wielu przyjaciół, w przeciwieństwie do ciebie. Będą za nim tęsknić.

- Owszem, będą. Ale jak musiał się czuć, kiedy w wieku pięćdziesięciu lat stwierdził, że jego dalsze życie to preria bez horyzontu? Czy ktokolwiek zadał mu pytanie o jego plany i marzenia?

Zupełnie jakby posypywał solą otwartą ranę.

- Nie umiem ci na to odpowiedzieć z marszu. Potrzebuję więcej czasu.

- Tego akurat nie mogę ci obiecać. Wybacz, ale twoja reakcja jest twoją osobistą sprawą. Nie wezmę ci za złe, jeśli po tym wszystkim wyrzucisz mnie na zbity pysk. Na twoim miejscu pewnie postąpiłbym tak samo.

- Rozumiem.

Nie rozumiałam. Mój zmęczony umysł toczył walkę z samym sobą. Podczas dziesięciu lat, które ze sobą spędziliśmy, Jerry Brennan nie był specjalistą od długich przemówień. W ciągu ostatnich kilku dni i nocy wygłosił ich więcej niż kiedykolwiek. I to jakich przemówień! Naprawdę tak dalece się rozminęliśmy? Czy ja go w ogóle znałam?

Jerry obserwował mnie spod oka.

- Wyrzuć to z siebie, kochana. Chcesz się mnie pozbyć? Bez obawy, zrozumiem. Lepiej od razu mieć to za sobą.

Duży stół raz jeszcze zatrzęsł się od gromkiego śmiechu biesiadników. Jerry popatrzył na nich ze złością. Kiedy ponownie zwrócił się do mnie, płonęły mu oczy.

- Sama widzisz, dlaczego tak mi zależy na ucieczce. Nienawidzę tych dętych rautów i wszystkiego, co się z nimi wiąże. Nienawidzę.

Zerknęłam na swój prawie nietknięty talerz, a następnie przeniosłam spojrzenie na zegarek.

- Muszę pilnować godziny. Martwię się, że nie miałam żadnych wieści od Fredericka.

- Chcesz powiedzieć, że to koniec rozmowy, tak? - Utkwił we mnie nieruchomy wzrok. - Zbywasz mnie pod pretekstem matczynych zobowiązań, jak zawsze.

- To nie fair, sam wiesz. Miałaś romans, po którym jeszcze nie ochłonełam, poszedłeś na przymusowy urlop, a teraz jeszcze to. Nie masz prawa mnie ponaglać.

- Wiem. - Odsunął talerz. Zjadł więcej niż ja, ale i tak sporo zostawił. - Przepraszam. Niepotrzebnie mnie poniosło. Wybaczysz mi?

- Tak.

- Muszę ci powiedzieć coś jeszcze, a potem dam ci czas na zastanowienie, zgoda? Ale bardzo cię proszę, nie zwlekaj zbyt długo. Omówiliśmy kwestię pieniędzy i teraz wiesz, na czym stoimy. Wiem, ile znaczy dla ciebie ten dom. Myślę, że więcej niż dla mnie.



Uciał moje protesty.

- Przestań. Wszyscy mamy swoje pasje, twoją jest Arkadia. Nie ma dziwniejszego stworzenia aniżeli człowiek, jak mawiała moja matka. - Uśmiechnął się do swoich wspomnień. - Chcę tylko powiedzieć, że bez względu na twoją decyzję dom należy do ciebie. Nie będę w nic ingerował. Ja ze swojej strony spróbuję jak najszybciej zawrzeć ugodę i koniec z wyścigiem szczurów. To już postanowione.

- Nie zapytasz mnie o zdanie?

- Przecież to robię. Jak już wspomniałem, ty nie odczujesz żadnej zmiany. Zmieni się tylko moje życie. - Spojrzał na mnie spod oka. - Rozmawiał ze mną, wiesz? Zapytałem go kiedyś, dlaczego nie zwolni obrotów, skoro i tak nie wydaje pieniędzy, które ewidentnie zarabia. Powiedział, że chce uniknąć błędu rodziców, którzy nie zostawili mu ani grosza. Robił to dla ciebie.

- Muszę iść do okienka Aer Lingus - burknęłam. Obraz ojca ciulającego dla mnie każdy zarobiony grosz okazał się ponad moje siły.

- Może pójde z tobą?

- Jak chcesz.

Pracownica linii lotniczych udzieliła mi wszystkich niezbędnych informacji. Moje nazwisko figurowało na jej liście, samolot Toma miał wylądować za dwadzieścia minut. Ale dlaczego Frederick nie zadzwonił? Sprawdziłam wyświetlacz. Telefon działał, bateria była świeżo naładowana.

- Wracając do naszej rozmowy, jeśli martwisz się o pieniądze na opiekę nad ojcem...

- Przestań, Jerry. - To było zbyt bolesne.

- Chcę tylko, żebyś wiedziała...

- Przestań.

- W porządku.

Stanęliśmy tuż przy barierce w hali przylotów, z oczami wlepionymi w tablicę informacyjną. Pozostali oczekujący zachowywali się podobnie, jakbyśmy nieoczekiwanie stali się świadkami cudownego zjawiska.

- Naprawdę chcesz się zatrudnić w cyrku?

- Jasne, że nie. - Parsknął śmiechem. - To tylko taka przenośnia. Ale jeśli pozwolisz mi zostać, zależałoby mi na jednym. Chciałbym na nowo poznać własne dzieci. Myślisz, że mógłbym je do nas zaprosić? Kto wie, może odmówią, jednak warto spróbować.

Zerknęłam na niego z ukosa, chociaż nie oderwał wzroku od tablicy. Nigdy dotąd tego nie proponował i konsekwentnie zbywał moje sugestie, zapewniając, że była żona nigdy by się na to nie zgodziła.

Z głośników huknął komunikat. Czekając, aż się skończy, przypominałam sobie rozmowę z Ritą w Collioure sprzed zaledwie kilku tygodni. Jakże dziecinne wydawały mi się teraz moje pretensje w świetle ostatnich wydarzeń, które obróciły nasze życie do góry nogami.

Głośniki umilkły, a ja po raz kolejny utkwiałam wzrok w tablicy.

- Zaproś. Nie widzę żadnych przeszkód.

## *Rozdział 41*

---

Przez całą drogę do domu Tom był równie spokojny jak zawsze. Postanowiłam nie wszczynać od razu śledztwa, chociaż miałam ku temu dobrą okazję, bo wracaliśmy dwoma samochodami. Ruch odbywał się w żółtym tempie, tak że przejazd do Howth zajął nam blisko dwie godziny.

Gdy wreszcie zajechaliśmy pod Arkadię, wóz Jerry'ego stał zaparkowany tam, gdzie zwykle.

- Wezmę twoją torbę - powiedziałam do Toma. - Masz ochotę odwiedzić Colina?

- Chcę zobaczyć Normę - odrzekł.

- Dobrze. Jerry i ja musimy zamienić kilka słów na osobności. Może po kolacji odwozłabym cię do Colina?

- Nie, dziękuję. - Spojrzał na mnie swymi przerażająco dorosłymi oczami. - Nie martw się, mam, Norma i ja nie będziemy ci przeszkadzać.

Coś mnie tknęło.

- Dlaczego nie chcesz się pobawić z Colinem? Myślałam, że jesteście przyjaciółmi. O co wam wtedy poszło?

- Jego mama powiedziała, że mam go więcej nie odwiedzać - odparł rzeczowo.

- Ale dlaczego?

- Nie wiem! - Wzruszył ramionami. - Czy Norma urosła? - I wyskoczył z samochodu, nim zdążyłam zadać kolejne pytanie.

Pani Byrne właśnie szykowała się do wyjścia; pochłonięta rozmową i przygotowaniem kolacji, aż do godziny siódmej nie miałam czasu zająć się tą dziwną sprawą. Potem Jack ulotnił się jak zwykle, a Jerry poszedł do gabinetu, aby - jak to ujął - dokonać pewnych obliczeń.

Tom siedział przed telewizorem, przytulony do Normy. Zastanawiałam się, jak dyskretnie wyciągnąć z niego powody przedwczesnego powrotu, po czym uznałam, że zamiast brać go w krzyżowy ogień pytań, spróbuję subtelnie wybadać chłopca w ciągu kilku najbliższych dni.

Na razie życie w Arkadii wydawało się pod kontrolą. Podniosłam słuchawkę. Najpierw zadzwoniłam na numer, który dostałam od Fredericka, żeby go raz jeszcze przeprosić i poinformować, że Tom bezpiecznie dotarł na miejsce. Nadal nie rozumiałam, dlaczego nie skontaktował się ze mną zgodnie z umową, ale doszłam do wniosku, że pewnie próbował: sieci telefonii komórkowej bywają po południu strasznie obciążone.

Włączyła się automatyczna sekretarka: „Cześć, nie ma nas w domu, prosimy zostawić wiadomość, dziękuję”. Głos należał do znajomego Australijczyka. Zostawiłam wiadomość.

Potem zadzwoniłam do taty, ale numer był zajęty. Uznałam to za dobry znak: ojciec z kimś rozmawia. Wyobraziłam sobie, jak leży w łóżku. Może coś go boli. Pogasił światła, żeby nie zużywać tyle energii. Zaoszczędzi dzięki temu więcej pieniędzy. Dla mnie.

Następnie przyszła kolej na matkę Colina. Tom miał tak mało kolegów, że należało na nich chuchać i dmuchać. Postanowiłam zrobić, co w mojej mocy, aby załagodzić sytuację. Odebrała po czterech sygnałach.

- Halo? - powiedziała melodyjnie.

- Witaj, Sybil - odezwałam się równie lekkim tonem.

- Mówi Tess Brennan. Mama Toma.

- Ach tak. - Odnotowałam zmianę w jej głosie. - Słucham.

Coś tu było nie tak.

- Przepraszam za ten niespodziewany telefon - powiedziałam pospiesznie. -

Tom nie wie, że do ciebie dzwonię, pewnie by mnie za to udusił, wiesz, jacy oni są. -  
Roześmiałam się konspiracyjnie, ale mój żarcik padł w próżnię.

- Czy mogłabyś mi zdradzić, co się właściwie stało? - rzuciłam prosto z mostu.

- Najlepiej będzie, jeśli zapytasz Toma - odrzekła po chwili.

- Pytałam. Twierdzi, że nie wie.

Po drugiej stronie linii znowu zapadła cisza. W tle słyszałam skoczną muzykę i  
odgłosy dziecięcej kłótni.

- Posłuchaj - rzuciłam w nagłym przypiływie desperacji. - Jeśli zrobił coś złego,  
naprawdę powinnam się o tym dowiedzieć.

Wyczułam jej wahanie.

- Napiłabyś się herbaty albo czegoś innego? - zapytała nieco bardziej  
przystępnym tonem. - Wolałabym nie rozmawiać przez telefon, ściany mają uszy.

- Jasne. Nawet zaraz, jeśli to ci odpowiada.

- Dobrze, chyba dam radę się wyrwać. Spotkajmy się za kwadrans w barze  
Royal Marine. - I odłożyła słuchawkę.

Zrobiłam to samo, tyle że znacznie wolniej, po czym wsadziłam głowę do  
pokoju telewizyjnego i oznajmiłam Tomowi, że muszę na chwilę wyjść.

- Dokąd?

Czyżbym dostrzegła w jego oczach cień strachu? Znękana wyobraźnia chyba  
znów zaczęła mi płać figle.

- Będę niedaleko, dosłownie zaraz wrócę - odpowiedziałam. - Jeśliby Jerry  
mnie szukał, powiedz mu, że wyskoczyłam po zakupy. Pani Byrne prosiła o płyn do  
czyszczenia. Dobrze?

- Dobrze. - Złapał Normę, która korzystając z chwili nieuwagi, zeskoczyła mu z  
kolan, po czym wrócił do oglądania telewizji.

Royal Marine w Sutton znajduje się przy ruchliwym skrzyżowaniu; wjeżdżając na zatłoczony parking, od razu zauważyłam turkusowy samochód Sybil, olbrzyma z napędem na cztery koła. Rodzice Golina mieszkają w pobliżu hotelu.

Siedziała w holu plecami do okna z szybą ze szlifowanego szkła, przez co jej twarz kryła się w cieniu i nie potrafiłam z góry ocenić powagi sytuacji. Była niezwykle piękną kobietą o posagowych kształtach i bujnych, tycjanowskich włosach okalających zdecydowane rysy. Spotkałyśmy się kilkakrotnie i zawsze wzbudzała we mnie mimowolny respekt. Jest liderką klubu golfowego i podobno wypływa jachtem na samotne rejsy: jednym słowem robiła wrażenie osoby, która nie da sobie w kaszę dmuchać.

Po tradycyjnej wymianie uprzejmości i zamówieniu drinków bez ogródek przesłam do rzeczy.

- Proszę, Sybil, powiedz mi, co się stało. Mój syn twierdzi, że nie pozwalasz mu się bawić z Colinem. Naprawdę, spróbujmy to jakoś odkręcić. Tom nie jest zwykłym dzieckiem, jest... jak by to powiedzieć, inny. Nie ma zbyt wielu kolegów. Jeśli chodzi o zwykłą kłótnię, może przy odrobinie interwencji z naszej strony udałoby się ich pogodzić. Może chodzi o zwykłe nieporozumienie.

- Rzeczywiście, Tom jest inny - odrzekła z wolna. - Lecz w tym wypadku nie ma mowy o żadnym nieporozumieniu... - Spojrzała na mnie uważnie. - Widzę, że naprawdę nic nie wiesz, powinnam była od razu ci wszystko powiedzieć. Jednak, szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Chyba wyszłam z założenia, że odsunięcie Toma samoistnie rozwiąże problem. Po drodze żałowałam, że zaproponowałam to spotkanie.

Było to zdumiewające, lecz postanowiłam za wszelką cenę zachować spokój.

Sybil wypła łyk guinnessa.

- Wybacz, Tess, ale nie będę owijać w bawełnę. Tamtego wieczoru Tom pokazał Colinowi pewne zdjęcia.

- Zdjęcia? Jakie zdjęcia? - Nagle zrozumiałam. - Masz na myśli pornografię? Kiwnęła głową.

- Z całą pewnością można tak to określić.

- Ale... - Gorączkowo szukałam jakiegoś argumentu. - Może twój syn kłamie?

- Uczymy nasze dzieci, że nie wolno kłamać - odparła sztywno. - Poza tym sama widziałam. Zszedł na dół, widziałam, że jest poruszony, i zapytałam, co się stało. Pobiełam na górę i zanim zdążył ostrzec Toma, weszłam do pokoju, gdzie mieli spać. Zdjęcia były w gazecie.

Spojrzałam na nią z niedowierzaniem.

- W „Playboyu”? Wszystkie dzieciaki to robią, Sybil. Obawiam się, że to nieodłączny aspekt dorastania.

Ponownie upiła łyk ze szklanki.

- Wierz mi, fatalnie się z tym czuję. Widzę, jaka jesteś zdenerwowana. W kontekście okropieństw, jakie na co dzień czytamy w gazetach, może istotnie sprawa była dość błaha, zwłaszcza że do niczego między nimi nie doszło. To nie był „Playboy” tylko szmatławiec o treści homoseksualnej, z bardzo dosłownymi rysunkami i prawdziwymi zdjęciami przedstawiającymi zbliżenia między chłopcami oraz między dorosłymi a dziećmi. Twój syn powiedział mojemu, że w starożytnej Grecji to było na porządku dziennym, dopiero wiktoriańskie zrobili z tego przestępstwo, ponieważ byli zaciekłymi przeciwnikami uciech cielesnych, czy coś w tym stylu. Nie zapamiętałam dokładnie, ale sens pozostał ten sam. Jestem pewna, że wspomniał coś o starożytnej Grecji i epoce wiktoriańskiej. Colin był przerażony; chyba odniósł wrażenie, że Tom oczekuje od niego tego samego, co oglądali na obrazkach. Chyba rozumiesz, dlaczego wolałam zakończyć tę znajomość.

- Tak, oczywiście, że rozumiem, oczywiście... - Moje biedne serce doznało ostatnio tyle wstrząsów, że powinno odmówić posłuszeństwa. Usiłowałam zachować przytomność umysłu. - Ale nie mam pojęcia, jak do tego doszło. Tak strasznie mi przykro.

Nagle doznałam olśnienia. Frederick.

Frederick, ekspert od starożytnej Grecji, z którym wysłałam syna na wycieczkę do Londynu! Na jego prośbę.

Jak mogłam tak postąpić? Przecież jestem matką. Sama do tego doprowadziłam. Jak mogłam niczego nie zauważyć?

Nie zauważyłaś, bo głupie mrzonki zmały ci umysł. Brak słów na twoją niedbałość, egoizm, głupotę...

O Boże, Tom. Tom. Przepraszam.

Sybil obserwowała mnie uważnie.

- Wybacz - powiedziała. - Widzę, że to dla ciebie szok. Domyślasz się, od kogo mógł dostać to... to coś? Obawiam się jednak, że nie chodzi tylko o kilka zdjęć. -

Nie kryła odrazy. - Na podstawie opowieści Colina odniosłam wrażenie, że twój Tom traktuje to ze śmiertelną powagą.

- Doskonale wiem, od kogo to dostał - odrzekłam z rozpaczą. - Już ja się tym zajmę. Proszę cię, przeproś syna w imieniu całej naszej rodziny. Nie wiem, co powiedzieć. Jestem równie zaszokowana jak ty.

- To dobrze - skwitowała.

Wyglądało na to, że rozmowa dobiegła końca. Na mocy cichego porozumienia zostawiłyśmy niedopite drinki i poszłyśmy w stronę wyjścia.

- Byłam wściekła - przyznała na pożegnanie. - I chyba obwiniałam cię za brak kontroli czy coś w tym rodzaju. Przepraszam, teraz widzę, że nie miałam racji. Nie ma tego złego... Przynajmniej już wiesz.

- Tak... być może. Ale jestem zdania, że to w ogóle nie powinno się wydarzyć. Nie mogę sobie darować, że niczego nie zauważyłam. Dziękuję.

- Powodzenia. - Podaliśmy sobie ręce.

Nie patrząc, dokąd jadę, przecięłam Carrickbrack Road i zatopiona w myślach w kółko powtarzałam w duchu zdanie, które tak często słyszałam z ust pani Byrne: „Proszę, do czego to doszło!”. Dopiero niecierpliwy ryk klaksonu za plecami dał mi do zrozumienia, że wlokę się około piętnastu kilometrów na godzinę. W lusterku wstecznym zobaczyłam wielki land rover; zjechałam na bok, żeby go przepuścić.

Czułam się kompletnie bezradna. Muszę wrócić do Toma, i to szybko, ale jak mam rozwiązać tę sprawę? Muszę go ostrzec i wszystko mu wyjaśnić. Czy w razie klęski zniosę fakt, że to, co mogło być jednorazowym, acz niebezpiecznym wyskokiem, przerodziło się w młodzieńczą obsesję? Moje doświadczenie w tych sprawach równało się zeru: nigdy nie miałam do czynienia z pornografią i nie sądziłam, że to kiedykolwiek nastąpi.

Pytanie brzmiało, co zaszło w Londynie.

Ogarnięta paniką wyłączyłam silnik i pobiegłam w kierunku cmentarza świętego Fintana, gdzie czasami spacerowałam wśród grobów, zazdroszcząc zmarłym ich wiecznego spokoju oraz widoku na srebrzysty pasek morza i miasto spowite cienką warstwą smogu. Tylko pięć minut, pomyślałam. Pięć minut na świeżym powietrzu pomoże mi się uspokoić. Pociągnęłam za kłamkę. Zamknięta.

- Dobry wieczór.

Drgnęłam. Minęła mnie kobieta z dwoma dużymi psami. Zrozumiałam, jak muszę wyglądać: wariatka szarpiąca zaryglowaną furtę cmentarza. Puściłam kłamkę.

- Dobry wieczór.

Odprowadziwszy ją wzrokiem, wróciłam do samochodu.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce i ruszyłam w stronę Arkadii. Strach nie dawał mi spokoju. Myśl pozytywnie, Tess. Poszukaj jasnej strony sytuacji. Dla dodania sobie otuchy sporządziłam w myślach pospieszny bilans: jestem zdrowa, zdrowsza niż na to zasługiwałam. Niczego mi nie brakuje, mam dobrych przyjaciół i wspianą rodzinę, rychła śmierć ojca stanowi naturalną kolej rzeczy, sprawa molestowania seksualnego kompletnie mnie nie dotyczy, nawet zdrada męża nie odbiega od normy i (daj Boże) nie przyczyni się do rozpadu naszego małżeństwa.

Sprawą, która dotyczyła mnie najbardziej, było to, co zrobiłam Tomowi. Nie zyskałam wprawdzie stuprocentowego potwierdzenia swoich domysłów, lecz bezwzględnie poczuwałam się do winy. Pozostałe rzeczy zeszły na dalszy plan. Zaślepiąca ignorancją i pożądaniem powierzyłam syna dewiantowi.

Nawet gdyby Frederick okazał się czysty jak łza, a mój niepokój przedwczesny, fakt że bezmyślnie oddałam syna pod opiekę obcemu człowiekowi zakrawał na grzech śmiertelny. Powinnam ponieść karę i na pewno tak się stanie.

Sama muszę sobie z tym poradzić. Naturalnie powinnam powiedzieć Jerry'emu, i może Jackowi, ale nikomu więcej. Włączając w to Maddy i Ritę, przerzuciłabym część brzemienia na ich barki, a do tego nie mogę dopuścić. Nie wymigam się tanim kosztem.

Zobaczyłam przed sobą Arkadię, dachy połyskiwały po niedawnym deszczu. Boże, pomodliłam się w duchu, spraw, żebym postąpiła właściwie.



Zgodnie z tym, co czytałam w gazetach, pierwszą rzeczą, jaką należało zrobić, było powiadomienie policji.

## Rozdział 42

---

Tego dnia przy obiedzie w San Lorenzo panował jeszcze większy harmider niż zwykle. Z powodu fatalnej pogody wielkie sklepy postanowiły wcześniej rozpocząć sezonowe wyprzedaże, toteż dziewczęta i tabuny ich przyjaciółek szykowały się do szturmu na miasto. Było ich tyle, że nie mieściły się przy stole: zajmowały dosłownie każdy skrawek kuchni.

Betty od tygodnia przychodziła tylko rano, bo jej matka poszła do szpitala na operację, ale na szczęście pomogła mi przy obiedzie. Starym irlandzkim zwyczajem postawiłyśmy na środku stołu półmiski z mięsem i ziemniakami, żeby każdy sam nałożył sobie na talerz. Nie trzeba im było dwa razy powtarzać. A ile narobiły hałasu! Ricky jakoś to przelknął, ale Maddy zrobiła wielkie oczy.

- Nie mam pojęcia, jak ty to robisz. - Kiedy o drugiej dziesiąta odjechała autobusem, Maddy pomogła mi powkładać naczynia do megazmywarki ustawionej w komórce. - Zasługujesz na aureolę, ot co.

- A jakże - odpowiedziałam. Widziałam, że już prawie doszła do siebie.

- Było cudownie, Rita, ale muszę wracać do domu.

- Zostań jeszcze dzień. Po co ten pośpiech? - Ale prawdę mówiąc, ucieszyłam się w duchu. Bóg szczęśliwie obdarzył mnie wytrzymałością tybetańskiego jaka, czułam jednak, że przyda mi się odrobina spokoju. - Później się nimi zajmę. - Ustawiłam w zlewie garnki i rondle, po czym uruchomiłam zmywarkę. - Chodźmy do cieplarni.

Zajrzał Ricky.

- Ale hałastrą, co? Zostało jeszcze trochę herbaty, dziewczęta?

- Mnóstwo. - Potrząsnęłam dzbankiem. - Przynieś kubek.

Usiedliśmy na pogaduchy. Uwielbiam naszą cieplarnię, zajmującą całą długość tylnej ściany domu, chociaż wystrój przypomina wnętrze przyczepy kempingowej.

Wszystko jest z innej bajki: koniec końców trafiają tu wszystkie starocie i nietrafione zakupy, które nie pasują do pozostałych pomieszczeń.

- W dzisiejszej gazecie piszą o Fergusie. - Ricky dolewał sobie mleka do herbaty i nie zwrócił uwagi na moje ostrzegawcze spojrzenie.

- Tak? - Maddy wyprostowała się odruchowo. Mimo ostatnich postępów to dla niej wciąż drażliwy temat. Ricky Sleator nigdy nie był wzorem taktu.

Ja też czytałam ten artykuł, ale schowałam gazetę: po co Maddy ma się nakręcać? A ten przyłazi i wszystko psuje.

- Nie widziałaś? - Ricky energicznie zamieszał herbatę, jakby usiłował zrobić dziurę w dnie kubka i przebić się do Australii. - On i paru innych aktorów zorganizowało pikietę przed budynkiem telewizji. Moim zdaniem nic nie wskórają. Kiedy urzędasy coś postanowią, to mogiła.

- Masz pod ręką tę gazetę, Ricky? - Maddy siliła się na obojętny ton.

- Została w sklepie. - Jeszcze się nie zreflektował. Wyprostował przed sobą krótkie nóżki. - Przyniosę wieczorem.

- Ale mnie już nie będzie. - Maddy wypła łyk herbaty. - Kupię egzemplarz w drodze do domu.

- Może posłuchamy radia? - zaproponowałam głośno. - Sprawdźmy, co się dzieje na świecie.

- Jasne. - Ricky (o dziwo!) wreszcie zaskoczył. Ale było już za późno. Miałam ochotę go zamordować. Co za pacan.

Niestety, w radiu nadawano właśnie reklamy.

- Dziwne - powiedziała, usiłując zmienić temat. - Dawno nie miałyśmy żadnej wiadomości od Tess.

- Cholerni mężczyźni! - Maddy upiła kolejny łyk. - Oczywiście nie mówię o tobie, Ricky.

- Boże - jęknął. - Widzę, że sezon polowania na facetów trwa. Już mnie tu nie ma. Na razie! - Zerwał się i wybiegł.

- Nie miałam go na myśli - usprawiedliwiała się Maddy. - Przepraszam, Rito.

- Nie ma o czym mówić - rzuciłam lekko, chociaż uważałam, że trochę przegiął.

W końcu była naszym gościem. - Żarty sobie stroi i tyle. Zanim pojedziesz, może

masz ochotę na mały spacer? Podobno nie będzie padać, mogłybyśmy pojechać na plażę do Gormanston albo nawet do Laytown. Łyknąć trochę świeżego powietrza.

- Niezła myśl - ucieszyła się Maddy. - Zadzwońmy do Tess. Może pojedzie z nami? Nie chcę, żeby myślała, że o niej zapomnialiśmy. Poświęciła mi tyle uwagi. Wiesz co, jak się dobrze zastanowić, rewelacje o Jerry'ym nie sprawiły mi wielkiej niespodzianki. Zawsze uważałam, że ich związek trochę kuleje. On zachowuje się tak, jakby Jack i Tom wcale go nie obchodzili.

Ku swemu zdziwieniu, chociaż sama nie raz wieszałam psy na Jerry'ym, poczułam się w obowiązku stanąć w jego obronie.

- To nie do końca jego wina. Owszem, mógłby się bardziej postarać, ale ma dość problemów z własnymi dziećmi, żeby się zabawiać w supertatę. Poza tym Tommy to prawdziwe wyzwanie. O, posłuchaj! Kłóć się! - Podgłosiłam radio: przerwa na reklamy dobiegła końca i jakieś kobiety na antenie brały się za łby. Poszło o sex-shop w prowincjonalnym miasteczku.

Nie powiedziałam tego głośno, uważam jednak, że stosunek Jerry'ego do chłopców wynika wprawdzie po części z zaburzonych relacji z własnymi dziećmi, ale przede wszystkim sprowadza się do walki o terytorium. Widzicie, to bardzo prymitywne. Bez względu na gatunek, samce zawsze bronią własnej strefy wpływów. Ale łatwo mi mówić, nie? Ja nie muszę się z tym borykać, u nas niekwestionowanym przywódcą stada jest Ricky. Tess ma trzech takich kogucików.

- Powiedziałaś już rodzicom, Maddy? - Czułam, że traktuje to jak swoisty zabobon: rozmowa z rodzicami ostatecznie przypieczętuje separację, a tak jeszcze nic nie wiadomo. Ja też tak uważam.

- Nie. - Unikała mojego wzroku. - Ale dzwoniłam do nich wczoraj i zapowiedziałam się na weekend. Muszę się zobaczyć z Colmem, przywieźć go do domu. Czekają nas poważna rozmowa.

- Świetnie! - Czyli moje przeczucia okazały się błędne. - Nie jedź samochodem, po co masz się męczyć. Trasa do Cork to koszmar, lepiej pojechać pociągiem. O, mam pomysł. Jak chcesz, odwiozę cię na dworzec. Kupisz sobie bilet w pierwszej klasie, zamówisz śniadanie, poczytasz gazetkę i wykonasz parę zaległych telefonów. Odpocznij, Maddy, należy ci się.

Pobiegła się spakować, a ja wykorzystałam chwilową lukę w harmonogramie i poszłam do pracowni komputerowej (czyli sypialni z komputerem), żeby sprawdzić pocztę. Rodzina przysyła mi zwykle jakieś żarciki, ale przynajmniej wiem, że o mnie pamięta.

Wieczorem w łóżku zrugłam Ricky'ego za nadmierne gadulstwo.

- Nie papłaj przy niej o Fergusie, dobra? O Tess i Jerry'ym też nie. -

Pieszczotliwie trzepnęłam go poduszką. - Ani w ogóle o facetach.

- Przepraszam. - Zrobił urażoną minę. - Chciałem tylko nawiązać rozmowę, Reet. Nie wiem, o czym z nią gadać. Myślałem, że to ją zainteresuje.

- Na przyszłość lepiej się zastanów!

Poprawiłam poduszki i podciągnęłam kołdrę po same uszy. Super, że Maddy pogodziła się z sytuacją, co nie znaczy, że niebezpieczeństwo zostało zażegnane. Przydałby się jej dobry psychiatra, również pod kątem niedawnych problemów z pićciem. Na czas jej pobytu przezornie zaopatrzyłam lodówkę w wodę mineralną i bezalkoholowego beca, ku jawnemu niezadowoleniu Ricky'ego, który uważał, że powinniśmy się zachowywać normalnie.

- Chcesz, żeby się poczuła jak jakiś raróg? Poza tym wie, że lubimy sobie strzelić piwko przed telewizorem. Takie jest życie, mieszkamy w Irlandii, alkohol ma na wyciągnięcie ręki. Wystarczy, że wsiądzie do samochodu i podjedzie do najbliższego pubu albo monopolu. Nic jej nie powstrzyma.

No tak. Ale moim zdaniem, które w tym wypadku liczyło się najbardziej, Maddy potrzebowała wsparcia i należało go jej udzielić.

Z drugiej strony może wcale nie była tak krucha jak myślałam. W każdym razie od wystraszonej, zabiedzonej myszki, którą odwiozłam do kliniki, dzieliły ją obecnie lata świetlne.

Ziewnęłam, przeciągając się słodko.

- Uderzam w kimono.

- Chciałbym to skończyć, mogę zostawić światło? - Ricky lubił podliczać swoje „cyferki”, jak je pieszczotliwie nazywał, przed samym pójściem spać.

- Jasne. - Odwróciłam się tyłem, szukając najwygodniejszej pozycji. -

Dobranoc!

Właśnie osiągnęłam cudowny etap na granicy jawy i snu, kiedy każdy skrawek ciała idealnie wpasowuje się w materac, gdy naraz poczułam delikatne puknięcie w ramię.

- Reet?

- Tak...

- Słuchaj, muszę ci coś powiedzieć.

- Czy to nie może poczekać?

- Nie bardzo. - Głos Ricky'ego tchnął bezdenną rozpaczą. To było tak do niego niepodobne, że gwałtownie usiadłam na łóżku.

- Co się stało? Pospiesznie wyrzucił słowa.

- Bóg mi świadkiem, Rita, nie mam pojęcia, jak do tego doszło, naprawdę.

Wszyscy byliśmy jak w amoku, żar lał się z nieba, a ta ich sake to prawdziwa woda ognista.

Struchlałam.

- Do rzeczy.

Zaczął się wiercić i przeproszać.

- Nie wiem, jak to się stało, ale to przecież w sumie nic strasznego.

- Do rzeczy, Rick! - Chciałam, żeby wreszcie to wydusił.

Spuścił głowę, wsuwając brodę w piżamę z podobizną misia Yogi.

- Prze... przespałem się ze szwedzką turystką - wyszeptał.

Próbowałam pojąć jego słowa. Grunt to spokój. Przynajmniej na razie.

- Rozumiem - odpowiedziałam. - Ze szwedzką turystką. W Japonii czy w Korei?

- W Japonii. - Łypnął na mnie kątem oka.

Prawie czytałam w jego myślach: „Jest spokojna. Nie będzie tak źle”.

Dosłownie miał to wypisane na czole. Nawet nie drgnęłam. Utkwiłam wzrok w lustrze zawieszonym nad komodą na przeciwległej ścianie sypialni. Ujrzałam w nim nas, siedzących ramię w ramię na łóżku. Pan Miś i Pani Misiowa, do jasnej cholery. Brakowało nam tylko fikuśnych czapeczek. Cholerni Pan Miś i Pani Misiowa...

Zobaczyłam w lustrze, że spogląda na mnie ukradkiem.

- Nasi grali w Korei, siedzieliśmy w tym samym pubie. I widzisz, oni wygrali. - Ponownie sprawdził moją reakcję. A niech mnie, jeśli coś po sobie pokażę. - Jak już wspomniałem - wymamrotał - nie wiem, co mnie napadło, Reet. To było po ich meczu z Angolami; siedzieliśmy w tym wielkim pubie, ludzie wiwatowali, potem zaczęło się karaoke i wszyscy przyłączyli się do zabawy. Śpiewaliśmy „Pola Athenry”, Szwedzi śpiewali piosenki Abby, Angole „Króluj, Brytanio”, a Japonce to, co tam oni zawsze śpiewają. Ludzie kładli się jeden na drugiego i ani się obejrzałem, jak blondyna zaczęła się na mnie pokładać.

Urwał.

- Okropnie mi przykro, Rita - dodał cichym głosem. - Wybaczysz mi? To był pierwszy i ostatni raz, masz moje najświętsze słowo honoru. Nie wiem, co mnie napadło.

- O ile mnie pamięć nie myli, powtarzasz to już trzeci raz. - Sądziłam, że nie czuję kompletnie nic, ale to nieprawda. Czułam furję.

Ja tu opowiadam o perypetiach przyjaciółek, w niemal identyczny sposób wystrychniętych na dudka przez własnych mężów, a ten robi mi dokładnie to samo!

- Wynoś się - zakomenderowałam. - Wynocha i żebym cię tu więcej nie widziała.

Szczęka mu opadła. Dosłownie oniemiał. Ciekawe, czego się właściwie spodziewał? Może buziaka?

- Daj spokój, Reet - błagał. - Nie bądź taka. Nie możesz mi wybaczyć? Czułem się podle, sama wiesz, bo ciągle wierciłaś mi dziurę w brzuchu, że niby jestem chory, pamiętasz? To był tylko jedyny raz, byłem pijany. Nie masz pojęcia, jak mi przykro.

Odgrywał skarconego chłoptasia i próbował brać mnie na litość, ale nie ze mną te numery.

- Słyszałeś, co powiedziałam? Masz kłopoty z uszami? Wynoś się. Jazda z tego łóżka, zabieraj łachy i wynocha.

Nawet się nie ruszył. Patrzył tylko na mnie jak zdechły śledź. Nie pozostawało mi nic innego, tylko zepchnąć go z łóżka.

- Spieprzaj - powiedziałam.

Siedział jak dureń na podłodze, otoczony swoimi „cyferkami”, a ja jak gdyby nigdy nic starannie wygładziłam kołdrę. Następnie ułożyłam się po swojej stronie łóżka, sztywno jak kłoda.

Wstał.

- Ale dokąd mam iść?

- Proponuję szwedzką ambasadę. Spróbował z innej beczki.

- Kurka, to jest też mój dom.

- Już niedługo - powiedziałam do sufitu. - Aha, powiesz dziewczynkom, dlaczego się wyprowadziłeś. Ja na pewno się do tego nie zniżę. Nie będzie mnie jutro między drugą a czwartą. Możesz przyjść i przekazać im dobre wieści. Przy okazji zabierz swoje rzeczy.

- To idiotyczne. Przecież nie musiałem ci nic mówić. Byłam wściekła i po raz pierwszy poczułam lekkie ukłucie niepokoju. Miał rację. Mogłam się nigdy nie dowiedzieć, ba, nie miałabym nawet żadnych podejrzeń! Wszystko jedno: to jedynie pogorszyło sprawę. Usiadłam tak gwałtownie, że zakręciło mi się w głowie.

- To po co, kurwa, w ogóle mówiłeś?

- Bo sumienie mnie gryzło, Reet. Co było, a nie jest... Rita? Proszę.

Wynagrodzę ci to, przysięgam.

- Chyba żartujesz! - Na chwilę jednak ogarnęły mnie wątpliwości. W końcu to tylko ten, jedyny raz. Wierzyłam, że Ricky mówi prawdę.

Lecz gdy obserwowałam tę żalostną postać pizamie, wyobraziłam go sobie z tamtą kobietą. Typ szwedzkiej amazonki, oplatającej go długimi nogami i okładającej gałązkami po zaróżowionym sadle czy jak to tam mają w zwyczaju. A on krzyczy i prosi o jeszcze... o jeszcze...

O to wszystko, o co mnie nigdy nie poprosił.

- Spierdalaj, Ricky - warknęłam. - Żeby cię tu więcej nie było, słyszysz?

Odróciłam się do niego plecami. Słuchając, jak łązi po pokoju, zbiera rozsypane karteluski, a następnie otwiera szafę i wkłada ubranie, nawet nie zapłakałam. Nie będę płakać. Jeszcze czego!

## Rozdział 43

---

Dwoje detektywów, Nugent i Marsh, to profesjonaliści: w milczeniu sprawnie rozmontowują komputer, odłączają serwer od reszty sprzętu. Jerry patrzy na nich wzrokiem, który nie wyraża absolutnie nic.

Cierpię, widząc go w takim stanie. Mimo naszych kłopotów, niedawnych i obecnych, nie przywykłam do widoku jego zmartwiałej twarzy. Ostatni incydent przepelił miarę. Bez względu na to, co spotkało (lub mogło spotkać) Toma i pomimo moich zapewnień Jerry trwa w przekonaniu, że policja będzie go podejrzewać o współudział w niejasnych poczynaniach Fredericka.

- Jestem ojczymem. Oni zawsze idą na pierwszy ogień.

Ani my, ani miejscowa policja, ani policja w Londynie nie zdołaliśmy nawiązać kontaktu z Frederickiem: żaden z podanych przez niego numerów nie odpowiada.

Jeśli spotkanie z matką Colina pozostawiło mi jakiegokolwiek złudzenia, rozmowa z Tomem, chociaż niezbyt miarodajna, skutecznie je rozwiała. Najważniejsze, czego się dowiedziałam, to że Frederick i tamten „pan” zabrali Toma wraz z drugim chłopcem na basen. Tomowi bardzo się nie spodobało, co robili.

- Ale był tam mój tata i kazał mi wracać do domu.

- Tata?

- Jest ratownikiem.

- Przecież to było we Francji. Był ratownikiem we Francji, Tom. Mówiłeś, że nosił okulary do pływania.

- No, tym razem nie miał okularów. - Tom wzruszył ramionami. - W każdym razie na pływalni w Londynie też go widziałem. Pewnie za mną pojechał.

- Jak wyglądał?

- Jak mój tata. - No tak, przecież to oczywiste.

- I co ci powiedział?

- Kazał mi wrócić do domu. Miałem od razu powiedzieć Frederickowi, że chcę wracać. Ale nie powiedziałem mu od razu, poczekałem, aż wrócimy do mieszkania.



- Co takiego tata zobaczył na pływalni? Twarz Toma przybrała nieprzenikniony wyraz.

- Nie jestem zła, Tom. Chcę się tylko upewnić, czy nic ci nie grozi. Dlaczego nie chcesz mi powiedzieć?

Widziałam, że zapada się w swoją skorupę, coraz dalej ode mnie. Nie było sensu naciskać. Ale miałam asa w rękawie.

- Pamiętasz, jak wróciłeś szybciej z domu Colina - zapytałam - a jego mama kazała ci więcej nie przychodzić?

- Tak? - Rzucił mi czujne spojrzenie.

Byliśmy w jego pokoju, leżał w łóżku. Chcąc zwiększyć dzielący nas dystans, wstałam z krzesła i podeszłam do lustra, udając, że poprawiam włosy. Nie chciałam, żeby czuł się jak w potrzasku.

- Stało się tak z powodu zdjęć w pewnej gazecie, prawda?

- Może. - Zachował spokój, ale chyba czuł, że stąpa po niepewnym gruncie. Odwróciłam się, stając przodem do syna.

- Rozmawiałam z mamą Colina. Wiem, że to Frederick dał ci tę gazetę. - Wstrzymałam oddech.

- Mogą ją oglądać tylko wybrani, mamó - odrzekł, powoli dobierając słowa. - Sprawni i wygimnastykowani, tacy jak ja i Frederick. Członkowie klubu, który powstał w starożytnej Grecji, jak pierwsza olimpiada. Pokazałem ją Colinowi, ponieważ był moim przyjacielem, i myślałem, że też chce wstąpić do klubu. Nieźle gra w piłkę.

Mimowolnie potwierdził pochodzenie gazety. Byłam wstrząśnięta, lecz starałam się tego nie okazywać.

- Czy to jakieś tajemne stowarzyszenie? - spytałam niby to obojętnie.

Ponownie wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ale mogą do niego wstąpić tylko specjalne, niezwykle osoby.

- Ale nie spodobało ci się to, co miało miejsce na basenie.

- To było co innego.

- Jak to?

- Nie mogę powiedzieć. Jeśli to zrobię, stanie mi się coś strasznego. Żli ludzie tylko wężą, żeby nas zniszczyć.

- Was?

- Członków klubu. Kto raz do niego wstąpi, nie ma odwrotu, mamó. Należy się do niego na zawsze. Należać do klubu to jak być księdzem.

- A na czym polegają jego zasady? W każdym klubie obowiązuje regulamin, skarbie.

- Nie mogę ci tego powiedzieć.

- Czy Frederick złamał którąś z zasad? Czy to dlatego wróciłeś do domu? Był rozdarty; widziałam, że znowu mi się wymyka. Spróbowałam z innej beczki.

- Uważasz, że jestem zła, Tom? Tak zła, że nie mogę nic wiedzieć o klubie? Dlatego nie chcesz mi powiedzieć?

- Nie jesteś chłopcem. To klub tylko dla chłopców. - Przymknął oczy. - Chcę spać, mamó. Jestem zmęczony.

- A powiedziałaśbyś Jackowi? On jest chłopcem. Albo Jerry'emu?

- Jestem zmęczony, mamó.

I to by było na tyle. Lecz zanim opuściłam pokój, podeszłam do łóżka. Tom leżał z zamkniętymi oczami; chciałam, żeby usłyszał moje kroki.

- Trzeba było wielkiej odwagi, żeby powiedzieć Frederickowi i jego koledze, że chcesz wracać, kochanie. Ale cokolwiek teraz myślisz i cokolwiek wmawiał ci Frederick, zdjęcia, które pokazałeś koledze, nie są dobre. Musisz mi uwierzyć. Jestem twoją mamą, Tom, i wcale nie chcę ci robić na złość. Klub nie klub, te zdjęcia są złe. Bardzo złe. Powinieneś o tym wiedzieć. Jeszcze do tego wrócimy. Gdzie są teraz?

- Mama Colina wyrzuciła je do śmieci. - Nie otworzył oczu.

- To dobrze. Ale jeśli ktoś, ktokolwiek, będzie chciał ci zrobić albo każe tobie zrobić to, co widziałeś na zdjęciach, bo inaczej nie wstąpisz do takiego czy innego klubu, wcale nie musisz go słuchać. - Położył dłoń na jego chłodnym czole. - Rozumiesz?

Prawie niezauważalnie skinął głową.

Zrobiłam, co w mojej mocy. Doświadczeni i odpowiednio przeszkoleni specjaliści uczynią to samo. Nachyliłam się i pocałowałam go w policzek.

- Dobranoc, kochanie. Jesteś wspaniałym chłopcem. Bardzo cię kocham.

Nugent i pani Marsh prawie skończyli demontować komputer. Miałam tylko nadzieję, że ci dwoje, w ramach dobrych chęci nie skierują Toma na leczenie psychiatryczne. Już to przerabialiśmy, a w Collioure podjęłam solenne postanowienie, że nigdy więcej, i zamierzam go dotrzymać. Wiem, że mogę nie mieć wyboru, wierzę jednak, że Tom posiada niezwykłą siłę wewnętrzną: przy wzmożonym wsparciu i miłości z mojej strony na pewno wyjdzie na prostą.

Kiedy zadzwoniłam na policję, jedno z pierwszych pytań dotyczyło ewentualnych zdjęć. Czy nasz gość kiedykolwiek fotografował i filmował Toma?

- Oczywiście, że nie. - Byłam oburzona.

Funkcjonariusz nie dawał za wygraną: czy jestem stuprocentowo pewna? Czy towarzyszyłam im przez cały czas?

Nie towarzyszyłam. Na przykład często chodzili sami na basen.

Nagle przypomniałam sobie zdjęcia, które swego czasu wprawiły mnie w taki zachwyt: Tom w kąpielówkach przy basenie w Collioure. Piękne ujęcie i starannie uchwycony kąt padania światła na ciele chłopca. Jak mogłam nie zwrócić na to uwagi?

Nie zrobiłam tego z powodu szczenięcej fascynacji fotografem. Nigdy sobie tego nie daruję. I marna to pociecha, że ojciec też nie dostrzegł w nich nic zdroźnego...

To, co dzieje się w tej chwili w gabinecie Jerry'ego, również jest konsekwencją mojej beztroski. Przecież to ja pozwoliłam Frederickowi używać komputera. Muszą sprawdzić, czy nie wykorzystano go do zgrywania zdjęć.

Zdjęć Toma.

Tego już za wiele. Musiałam niezwłocznie zadzwonić do Rity i wylać żal. Ani razu nie bąknęła: „A nie mówiłam?”.

Maddy, która spędziła kilka dni w San Lorenzo, wbrew namowom Rity postanowiła wrócić do domu.

- Czy mogę jej opowiedzieć, co się stało? - Rita sprawiała wrażenie pełnej rezerwy, co w jej wypadku było zjawiskiem niecodziennym. - Na pewno chciałaby wiedzieć. Boże, biedny Tommy! I ty, biedaczko. No i Jerry, Jezu kochany! - I dodała po chwili wahania: - Nie wiem, czy powinnam ci teraz o tym mówić, Tess, ale...

- Mów. Na miłość boską, gadaj. Już nic mnie nie zdziwi.

Ponownie się zawahała. Rita nigdy nie owija niczego w bawełnę, dlatego jej skrupuły niezmiernie mnie zdziwiły.

- Dobrze się czujesz, Rito?

- Fantastycznie! Dawno się tak nie czułam. Chodzi o to, że spotkałam panią Vitelli, dasz wiarę?

Przez chwilę nie wiedziałam, o kim mowa. Sprawa Toma zepchnęła Susan Vitelli Moore na koniec kolejki. - I co mówiła?

- Cóż, jest matką, Tess. A czego się spodziewałaś? Wspomniałam o tym tylko dlatego, że one moim zdaniem nie popuszczą. Kochana, masz teraz tyle zmartwień. Przepraszam, że w ogóle otwierałam jadaczkę. Posłuchaj, wytrzymacie, nie ma innej możliwości. Jutro, kiedy przyjdzie policja, będę się za ciebie modlić. Zadzwoń, jak już będzie po wszystkim.

- Zadzwoń. - Nie miałam ochoty drażnić tematu pani Vitelli, ale domyślałam się, że jej rozmowa z Ritą dotyczyła molestowania. - Uściskaj Maddy.

- Maddy też wyjdzie z tego cało, jestem gotowa się założyć. Wszyscy wyjdziemy z tego cało. Głowa do góry! Trzymaj się!

- Spróbuję. Dzięki, że mnie wysłuchałaś.

- *De nada.*

- To byłoby wszystko, proszę państwa - powiedział Nugent, oburącz trzymając komputer. - Zaniosę go do samochodu, dobrze?

Marsh, ta policjantka, patrzy na Jerry'ego. Odkąd weszliśmy do gabinetu, ani razu nie otworzyła ust.

- Bez obaw, panie Brennan - mówi teraz. - Spróbujemy oddać go jak najszybciej, ale to niestety trochę potrwa.

Jerry kiwa głową i stoimy chwilę bez słowa, jakby w nadziei, że ktoś wykona pierwszy krok. Słyszę, jak Norma szaleje na dole, postukując pazurkami w kafelki. U stóp schodów zainstalowałam drewnianą bramkę, dodatkowo wzmacniając ją drutem: szczeniak był tak mały, że bez trudu mógł się przecisnąć przez szczebelki. Cierpi, kiedy nie jest w centrum uwagi. I chociaż Tom ogląda telewizję na parterze, Norma wie, że zasadnicza akcja toczy się na piętrze.

- Przepraszam. - Wyprzedzam Nugenta, a następnie zbiegam szybko po schodach, żeby otworzyć przed nim bramkę. Zachwycony szczeniak pędzi na górę.

- Ile ma? - Marsh kuca i łaskocze Normę za uchem. Suczka chwyta ją zębami za palce, różowy języczek lata na wszystkie strony.

- Właściwie to nie wiemy. - W zaistniałych okolicznościach temat wydaje mi się wręcz surrealistyczny. - Zdaniem weterynarza około ośmiu tygodni.

- Mała pieszczocha. - Kobieta wstaje. - Będziecie z nią mieli pełne ręce roboty. Collie to najinteligentniejsza rasa i muszą być w ciągłym ruchu. Mamy takiego, istna głowa rodziny, trzęsie całym domem. Musicie jej znaleźć zajęcie, inaczej sama je sobie wynajdzie.

- Dziękuję, będę o tym pamiętać. - Podnoszę szczeniaka i trzymając go pod pachą, otwieram drzwi taszczącemu komputer Nugentowi. Jerry pieczołowicie zamyka drewnianą bramkę.

- I co teraz? - pytam po powrocie detektywa.

- Musimy porozmawiać z panią i mężem - odpowiada. Czuję, że Jerry sztywnieje. Jeśli detektyw coś zauważy, nie daje nic po sobie poznać. - Rozumiem, że wczoraj nie zdołała pani wiele wyciągnąć z syna.

- Nie. Przykro mi.

- Wcale mnie to nie dziwi. Zapewne posunięto się do gróźb. Ale wspomniała pani również, że chłopiec nie wydaje się szczególnie poruszony?

Zerkam na Jerry'ego.

- Tom jest niezwykłym dzieckiem, bardzo zamkniętym w sobie. Myślę, że niedługo sami to zauważycie. Stosuje się do własnych reguł. Wydaje mi się, że jesteśmy z mężem bardziej poruszeni niż on, ale być może to tylko pozory.

Bystre spojrzenie kobiety wędruje ku Jerry'emu; Nugent też nie spuszcza z niego oka. Wygląda na to, że przewidywania mojego męża sprawdzą się co do joty i „ojczym” trafi do kręgu podejrzanych. Obrzydliwe bagno pochłonie nas wszystkich.

Staję prosto.

- Nie chcę państwu niczego narzucać, ale jeśli myślicie to, co myślę... Naomi... Tak ma pani na imię, prawda?

- Tak.

- No więc może pani od razu wybić to sobie z głowy. Pan również, detektywie. Relacje męża z moimi synami są dalekie od ideału, w związku z czym nie sądzę, by kiedykolwiek przebywał sam na sam z którymś z nich. - Patrzę na Jerry'ego. - Prawda?

- Jak się nad tym zastanawiam, chyba nie. - Jest wyraźnie wstrząśnięty.

- Żadnych meczów, wspólnego wędkowania czy jakiegokolwiek formy spędzania czasu razem, prawda? - Chcę oczyścić Jerry'ego w oczach tych ludzi, ale robię to również dla siebie. Dla Jacka i Toma też. Widzę, że Jerry zaczyna to rozumieć. Dwoje policjantów także.

- Ale mieszkacie w jednym domu, pani Brennan - mówi Nugent po chwili niezręcznego milczenia. - Proszę zrozumieć, że na tym etapie nie możemy wykluczyć żadnej opcji.

- A więc jestem podejrzany? Stawiacie mnie w jednym szeregu z tym... - Jerry'emu brakuje słów.

- Niestety doświadczenie nas nauczyło, że nie wolno niczego pominąć. - Nugent mówi łagodnie, wręcz kojąco. - Po to tu jesteśmy. Naszym zadaniem jest oddzielić przypuszczenia i kłamstwa od tego, co wydarzyło się naprawdę. Przede wszystkim musimy kierować się dobrem dziecka. Wstępne dochodzenie wykazało, że nazwisko tego człowieka nie figuruje w żadnych kartotekach. - Nazwisko „Jerry Brennan” też nie, mówi spojrzenie, które kieruje na Jerry'ego. - Musimy dokładnie przeanalizować każdy trop. Jestem pewien, że państwo to rozumieją.

- Rozumiemy - odpowiadam tak stanowczo, jak tylko mogę.

Stoimy w holu, my skrepowani, oni wręcz przeciwnie.

- Może chociaż usiądziemy?

- Oczywiście.

Przesłuchanie, które odbywa się w salonie w ciągu kolejnych czterdziestu pięciu minut (ku wielkiej uldze Jerry'ego policjanci rozmawiają głównie ze mną), jest dokładne i fachowe. Strach budzi tylko temat, którego dotyczy. Powtarzam im strzępy informacji, uzyskanych od Toma; kobieta zadaje pytania, a detektyw Nugent notuje i czasem dorzuca swoje trzy grosze.

- Jak pani myśli, dlaczego podszedł w restauracji właśnie do was? Czy syn siedział wtedy przy stoliku?

- Raczej nie, stał chyba przy automacie do gry, w pewnej odległości od nas.  
- Czyli nie było oczywiste, że jesteście razem?  
- Nie. To znaczy tak. Możliwe. - Powracam myślami do tamtego dnia w Pals (cóż za ironia!\*), ale pamiętam tylko pojawienie się Fredericka, oczywistą dezaprobatę Rity i pasjonującą rozmowę o archeologii. No i moje nieszczęsne zaproszenie, rzecz jasna. - Nie mam co do tego pewności. Na pewno szybko się domyślił, że Tom jest z nami, ale czy podszedł do nas z powodu chłopca, czy też wolnego miejsca przy stole.

\* *Pals* (ang.) - kumple.

- To bez znaczenia - wtrąca Nugent. - Ci goście mają oczy i uszy otwarte. Najprawdopodobniej miał was na celowniku.

- Czyli mamy do czynienia z pedofilem? - Serce kołacze mi w piersi. - Czy możecie to określić na podstawie naszej rozmowy?

- Nikt nie wydał wyroku, a podejrzany jest niewinny, dopóki... itepe, itede... - Niedbale macha wolną ręką. - Niemniej tworzymy sobie jakiś obraz wypadków. Musimy zachować ostrożność, nie tylko w doborze słów. Pedofilia różni się od pozostałych form seksualnego molestowania dzieci, pani Brennan. Proszę nie posądzać mnie o zbytnią drobiazgowość, lecz sądy biorą tę różnicę poważnie, w przeciwieństwie do mediów, które niestety szafują tym określeniem, przypisując je każdemu przestępcy i zbrojcowi, jaki stąpa po ziemi. Jeśli ten facet jest prawdziwym pedofilem, zapewne obruszyłby się na zarzut krzywdzenia dzieci. Wychodzi z założenia, że wcale tego nie robi, po prostu kocha dzieci, zresztą z wzajemnością. Daje i bierze miłość. Znacznie częściej mamy do czynienia ze zjawiskiem, które błędnie uchodzi za pedofilię, a mianowicie z dorosłym, wykazującym niezdrowe zainteresowanie osobą nieletnią. Wiem, jak to brzmi, ale te słowa mówią same za siebie. Nasz pan Yarso może być pedofilem, lecz statystycznie rzecz biorąc, najprawdopodobniej należy do drugiej kategorii. Dopóki go nie znajdziemy, nie jesteśmy w stanie określić tego z całą pewnością.

Wstaje i podchodzi do okna, chwilę spogląda przez szybę, po czym znów odwraca się do nas.

- Proszę wybaczyć ten przydługi wywód, ale od początku muszą państwo mieć jasność. Różnica, o której mówiłem, wpłynie na charakter postawionych zarzutów, linię obrony, a nawet na sam wyrok. Oczywiście z waszego punktu widzenia jest czysto akademicka. - Z westchnieniem siada na fotelu. - Na podstawie pani zeznań można zdecydowanie stwierdzić, że ten człowiek, mówiąc delikatnie, urabiał pani syna. Ów proces następuje etapami. Wspólne pływanie to wprost wymarzona okazja. Potem przychodzi kolej na wspólne korzystanie z łazienki i tym podobne sprawy. Następnie wspólny prysznic, rozmaite gry i zabawy. Tworzą wokół tego aureę tajemnicy, wykluczają rodzinę, kreują fałszywe poczucie przynależności.

„...klub. Kto raz do niego wstąpi, nie ma odwrotu, mamó. Należy do niego na zawsze. Należec do klubu to jak być księdzem...”

- Dlaczego my? - zawołałam. - Dlaczego akurat moje dziecko?

Detektyw patrzy na mnie współczująco.

- Doskonale rozumiem pani zdenerwowanie. Ale nigdy nie ma absolutnej pewności, pani Brennan. Nigdy. To wynika z ich preferencji, z tego, która grupa wiekowa interesuje ich najbardziej, czy wolą dzieci jasno-, czy ciemnowłose, chłopców, dziewczynki, dzieci obojga płci, a może maluchy, które budzą w nich określone wspomnienia z dzieciństwa. Codziennie zdobywamy nowe informacje, które pozwolą nam przewidywać ich posunięcia, ale to niełatwe. Jeśli bowiem czyjeś dziecko nie pasuje do stereotypu, istnieje możliwość, że upatrzą sobie inne.

Przypomniałam sobie angielskie małżeństwo, które rzekomo przewiozło Fredericka przez całą Francję. Oni też mieli synka.

- Dobrze się pani czuje, pani Brennan? - Naomi Marsh, siedząca na sofie obok mnie, lekko dotyka mojego ramienia. - Może zrobimy przerwę?

- Nie - odpowiadam z trudem. - Wszystko w porządku. Po prostu coś sobie przypomniałam.

- Może to nieistotne, ale chcielibyśmy wiedzieć.

- To bardzo istotne.

Kiedy im mówię, wymieniają spojrzenia.

- Doskonale - oznajmia Nugent. - Może dzięki temu łatwiej wpadniemy na trop. Kiedy to dokładnie było?



Dwadzieścia minut później mówią, że chcą porozmawiać z Tomem. Detektyw Nugent podnosi się z miejsca.

- Najpierw zrobi to sama Naomi. Czy może pani zaprowadzić ją do syna?

- Będę mogła przysłuchiwać się rozmowie?

- Naomi zna się na rzeczy, pani Brennan - mówi uspokajająco Nugent. - Tom powie jej to, czego nigdy nie powiedziałaby własnej matce.

Kolejny cios dla zdruzgotanej matczynej ambicji.

## Rozdział 44

---

Jest pora lunchu dzień po wizycie policji, zostałam sama z panią Byrne, która doprowadza mnie do białej gorączki. Zwykle robi to, co do niej należy, ale dziś jest tak żadna sensacji, że nie odstępuję mnie ani na krok.

Jack siedzi u Kitty, a Norma na prowizorycznej smyczy po raz pierwszy spaceruje z Tomem po przystani. Był to pomysł Jerry'ego, który oznajmił przy śniadaniu, że zawiezie ich do miasteczka. (Mam tyle na głowie, że jego obecność na śniadaniu nie uderzyła mnie jako coś niezwykłego). Jeszcze mu nie wybaczyłam, a tym bardziej nie zapomniałam, jednakże sprawa SVM siłą rzeczy zeszła na dalszy plan, odsunięta przez inne, znacznie istotniejsze. Poza tym Jerry wspiera mnie jak tylko może.

Jakiś kwadrans temu, doprowadzona do ostateczności oznajmiłam (zgodnie z prawdą) pani Byrne, że boli mnie głowa, i uciekłam przed jej inwigilacją w bezpieczne zacisze sypialni. Teraz siedzę przy toalecie i czekam, aż paracetamol zacznie działać.

I patrzę na świeżo sporządzoną listę.

Tom

Tata

Jerry

Rita i Ricky Mad i Fergus

I w dodatku Jack z Kitty.

Jack rzucił Kitty. Nie sposób ująć tego inaczej.

Na tle tylu osobistych tragedii młodsze miłość wydaje się czymś banalnym, ale w oczach Jacka cała sprawa przybiera wymiar niemal kosmiczny. To samo można powiedzieć o Kitty: Jack twierdzi, że jest zrozpaczona.

- Myślisz, że poczułaby się lepiej, gdybym zaproponował jej przyjaźń? - zapytał ubiegłej nocy, tuż po powrocie. W większej części domu panował mrok, a ja snułam się po pokojach w nocnej koszuli.

Wyrzuty sumienia sprawiły, że od razu wygadał się, w czym rzecz.

- Chodźmy do kuchni, napijemy się herbaty. Właśnie miałam zaparzyć.

Włączyłam czajnik, a Jack przysiadł na stołku. Wyglądał jak przekłuty balon. Kiedyś nie było mowy o zwierzeniach, toteż czułam, że nadmierna poufałość nie jest wskazana.

- Każdy reaguje inaczej, Jack - ostrożnie badałam grunt. - Czasem jednak, kiedy się było parą, nie sposób powrócić do dawnej przyjaźni. Pojawia się rozgoryczenie. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to tak, myślę, że powinieneś o to zapytać Kitty. Ty zerwałeś, niech więc to ona dokona wyboru. Najprawdopodobniej odrzuci twoją propozycję, ja bym tak zrobiła. Może nawet cię zrugą, a ty musisz to przełknąć. Sądzę jednak, że doceni twój gest. To trudne, ale właśnie tak należy postąpić. Wspomnienie waszego związku i twoje postępowanie w przyszłości mogą okazać się dla niej bardzo ważne.

Nie odpowiedział, widziałam jednak, że zawzięcie główkuje.

Pstryknął czajnik; odwróciłam się, żeby zalać herbatę.

- Nigdy nic nie wiadomo, może wasze drogi skrzyżują się ponownie.

- Wątpię, mamó - uciał. - Ale może masz rację. Pójdę do niej jutro z samego rana.

- Kiedyś uznasz, że właśnie tak należało postąpić. - Zajął się herbatą, dając Jackowi czas do namysłu. Podałam mu kubek. - Proszę. Uważaj, gorąca! Co się właściwie stało? Chcesz o tym rozmawiać?

Pokręcił głową.

- Po prostu nie byliśmy gotowi. Przynajmniej ja nie. - Chyba zrozumiał, że się zagalopował; zsunął się ze stołka i z kubkiem w dłoni ruszył ostrożnie ku drzwiom. - Wypiję na gorze. Dobranoc, mamó. Dzięki.

Trudno nazwać to przełomem, lecz owo niezwykle zdarzenie z pewnością zasługuje na wzmiankę. I rzeczywiście: pojechał do San Lorenzo. Chce zachować się jak należy. Jestem z niego dumna.

Może jednak nie potrzebuję ich umieszczać na liście: wycieram gumką imiona obojga wzrokiem spoglądam na własne pismo. Czy pozostałe osoby są we właściwej kolejności? I co z numerem jeden?

Czy Maddy nie powinna znaleźć się przed Ritą i Rickym? Ta sprawa z kliniką odwykową... Sporządzam nową listę. Neron gra na lirze, podczas gdy Rzym stoi w płomieniach.

Boże, nie mogę sobie pozwolić na nonszalancję, lecz wydarzenia ostatnich dni sprawiły, że część mózgu opatrzona szyldem „kłopoty” pęka w szwach.

Dzień wczorajszy pamiętam jak przez mgłę: policja, ciągłe telefony, wysłuchiwanie różnych rzeczy, twarze wyrażające cierpienie i rozpacz (Jerry i Jack), chorobliwą ciekawość (pani Byrne) oraz niezmacony spokój (Tom).

Moje niedowierzanie chyba nie przypadło do gustu Ricie, która zadzwoniła rano z wieścią, że wyrzuciła Ricky'ego „na zbity pysk”. Uważam, że przesadziła. Przecież z powodzeniem mógł to przed nią zataić.

Robiłam, co mogłam, aby ją pocieszyć, lecz ku własnemu zdumieniu stanęłam w obronie (ja!) niewiernego małżonka.

- Wiem, co czujesz, Rito, jednak dobrze się zastanów. Przecież byliście i nadal jesteście ze sobą tacy szczęśliwi. Cóż, zdarzyło mu się, ale jestem pewna, że wina nie leży całkowicie po jego stronie. Po prostu uległ nastrojowi: te ich gejsze, herbaciarnie i... - plotłam od rzeczy, usiłując wygrzebać z pamięci paraferalia wschodniej kultury.

Za nic nie dała się przekonać. Nie znałam jej od tej strony. Myślałam, że Rita jedyna z nas trzech przeszłaby nad czymś takim do porządku dziennego. Owszem, byłaby wściekła, to naturalne. Rozpętałyby istną burzę z piorunami, po czym wszystko wróciłoby do normy.

Okazało się, że byłam w błędzie. Pulchna, serdeczna Rita, skora matkować wszystkim dokoła, wyrzuciła męża na zbitą twarz.

- Może mieszkać w sklepie. Niech się nawet przeniesie do Tokio! O nie!  
*Sayonara, Ricky!*

- A co z dziewczynkami, Rita? Co im powiesz? - Zastanawiałam się, czy Kitty wspomniała jej o Jacku.

Chyba nie, bo Rita w kółko nadawała na ten sam temat, prawie wrzeszcząc do słuchawki.

- Prawdę, a niby co mam powiedzieć? A na co on zasługuje? Tylko niech nie myśli, że odwalę za niego brudną robotę. Powiedziałam temu pęťakowi, że to jego zadanie. A jeśli spróbuje się wymigać, tak go obsmaruję, że popamięta.

Nie wierzyłam własnym uszom, ale pozwoliłam jej się wygadać. Wreszcie umilkła w pół słowa.

- Przepraszam, Tess. Naprawdę nie powinnam. To nic w porównaniu z tym, przez co musisz przechodzić. Opowiedz, co zrobiła policja.

Posłusznie zrelacjonowałam jej przebieg wizyty i zakończyłyśmy rozmowę obietnicą, że będziemy w kontakcie. Raz jeszcze spróbowalam przemówić jej do rozumu.

- Jesteśmy na takim, a nie innym etapie życia, Rita. Te rzeczy się zdarzają. Damy radę.

Nawet nie chciała o tym słuchać. Tylko nie, nie i nie. Na koniec zaofiarowała pomoc: mam zadzwonić do niej w razie potrzeby. Ma takie dobre serce. Zmieni zdanie, nie ma innego wyjścia. Trudno o bardziej zgraną parę niż Rita i Ricky, ich rozstanie nie wchodziło w rachubę.

W tej chwili w moim życiu nie ma żadnej stałej. Oczywiście oprócz Arkadii.

Paracetamol zaczyna działać i czuję się nieco lepiej. Naturalnie tylko fizycznie, gdyż na samą myśl o Tomie dosłownie pęka mi serce.

Wynik rozmowy z policjantką okazał się przygnębiający, a zarazem krzepiący. Po powrocie z pokoju telewizyjnego Naomi Marsh uśmiechnęła się niewesoło.

- Rozumiem, co miała pani na myśli, mówiąc o niezwykłym dziecku - oświadczyła. - Nie jestem psychiatrą, konsultacje okażą się niezbędne, ale chyba mogę od razu założyć, że nie doznał poważniejszej krzywdy.

- Powiedział pani, co się stało? - Prawie bałam się usłyszeć odpowiedź.

- Bardzo oględnie, ale jego opowieść pasuje do schematu. - Zerknęła na kolegę.

- Chyba wspomniałeś o „urabianiu”. Z pewnością mamy z tym do czynienia w

przypadku Toma. Chodziło o to, aby pozbawić chłopca wrażliwości i nauczyć go traktować pornografię jako zjawisko normalne. Podejrzewam, że zdjęcia z basenu trafiły w obieg. Dla pewności musimy sprawdzić państwa komputer, pewne strony internetowe oraz komputer londyńskiego „przyjaciela”. Zazwyczaj tego rodzaju fotografie stanowią preludium do czegoś znacznie poważniejszego.

- Poważniejszego? - wyjąkałam. Starannie dobierała słowa.

- Do śmiałych, często rozbieranych zdjęć. Do zdjęć w pozycjach, które jednoznacznie kojarzą się z seksem.

Odpowiedź uwięzła mi w gardle.

- Ale proszę, pani Brennan, nie wyciągajmy pochopnych wniosków. W wypadku Toma było na to za wcześnie. Być może Yarso rozesłał zdjęcia, lecz na podstawie tego, co zdołałam ustalić, pani syn nie musiał pozować ani uczestniczyć w zbliżeniu. Przynajmniej do czasu, kiedy poszli na pływalnię.

I opowiedziała, co najprawdopodobniej skłoniło Toma do powrotu.

Frederick i jego kolega Charles zabrali chłopców na prywatną pływalnię, która o tej porze dnia świeciła pustkami. Oprócz nich w szatni nie było nikogo. Wyglądali się i gonili w ciasnym pomieszczeniu, okładali się ręcznikami i tak dalej. Drugi chłopiec, Evan, wdrapał się nago na kolana Fredericka, który zaczął go łaskotać. Charles gonił Toma po całej szatni i wykrzykiwał, że zaraz przyjdzie jego kolej.

Wobec kategorycznego sprzeciwu Toma i wśród pisków i chichotów Evana Frederick na wpół żartobliwie zagroził, że siłą zedrze Tomowi spodnie i za karę spuści mu lanie na goły tyłek. W tym momencie Tom uznał, że miarka się przebrała.

- Część wyczytałam między wierszami. - Policjantka obserwowała moją reakcję. - Ale jestem prawie pewna,

że właśnie to się wydarzyło. Pani syn to naprawdę niezwykle chłopiec. - Zawahała się. - Rzeczywiście wspomniał coś o rzekomej interwencji taty.

- To nie pierwszy raz. Stworzył sobie bardzo rzeczywisty obraz ojca. - Bardziej interesowała mnie scena na pływalni. - Czy matka tamtego chłopca nie powinna była temu zapobiec? Przecież musiała wiedzieć.

- A pani wiedziała? - Kobieta popatrzyła na mnie spod oka.

*Touche.*

Jerry, który dotąd prawie nie uczestniczył w rozmowie, uznał za stosowne się wtrącić.

- Jaki byłby kolejny logiczny krok tego zwyrodnialca, gdyby Tom... - Urwał, szukając właściwych słów. - ...gdyby Tom nie był taki, jaki jest? Gdyby na przykład okazał się bardziej uległy?

- Na szczęście dla nas wszystkich Tom to Tom. W tym wypadku najdziwniejsze jest to, że został tak szybko odesłany z Londynu, w dodatku za zgodą „opiekunów”. Można założyć, że pewnie wróciłby zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami i niebawem należałoby się spodziewać kolejnej wizyty pana Yarso.

- Jak by to wytłumaczyć? - Jerry zmarszczył brwi.

- Jest bystry i pomysłowy. - Policjantka sposepniała. - Jak sami widzieliście.

- Czy powinniśmy rozmawiać o tym z Tomem? Dać mu do zrozumienia, że wiemy o tym, co zaszło?

- Zdajmy się na jego inicjatywę. - Nugent raz jeszcze przejął pałeczkę. - Powiem wam, kiedy uzna to za stosowne. Ale i tak trzeba go zaprowadzić do specjalisty. To część procedury, umówimy państwu wizytę.

- Możliwe, że coś ukrywa - dorzuciła Naomi Marsh. - Jest tak wyćwiczony w kontrolowaniu emocji, że być może coś przeoczyłam. W końcu rozmawialiśmy niespełna godzinę.

Miałam poważne wątpliwości, czy Tom kiedykolwiek opowie (mnie lub komuś innemu) o wydarzeniach tamtego dnia. I choć myśl o oddaniu go w ręce specjalistów wzbudziła mój odruchowy sprzeciw, musiałam zweryfikować swoją decyzję. Ewentualny sprzeciw byłby niewskazany.

I jeszcze jedno: teraz byłam dumna nie tylko z Jacka, ale i z młodszego syna. Okazał się dzielny i mądrym chłopcem.

Wkrótce potem policjanci wyszli, zapewniając nas na pożegnanie, że będziemy informowani na bieżąco o postępach w śledztwie.

- Znajdziemy go, pani Brennan - zapewnił mnie Nugent. - Oni są czujni i sprytni, ale my będziemy sprytniejsi.

Paracetamol działa; ból rozsadzający moją czaszkę zaczyna ustępować. Jednakże wraz z ulgą przychodzi dezorientacja, jak zawsze po proszkach, choćby nawet i łagodnych.

Na razie Tom jest bezpieczny na przystani. Co za krzepiąca myśl.

Ojciec.

Od chwili jego powrotu do domu rozmawialiśmy dwukrotnie. Oczywiście nie pisnęłam słowem o ostatnich perypetiach w Arkadii. Sięgam po słuchawkę, nie łudząc się nadzieją na dobre wiadomości. Odbiera telefon: następuje długa cisza i słyszę słabe „halo?”.

- Dobrze się czujesz, tatusiu?

- O, witaj, Tereso. Przepraszam, ale nie mogę teraz rozmawiać, jest u mnie lekarz. Tylko się nie denerwuj, to nic poważnego.

- Czy mogę zamienić z nim dwa słowa, tato?

Czekam, aż przekaże słuchawkę doktorowi. Ten mówi, że oddzwoni.

- Jesteśmy w trakcie badania, Tereso, ale tak jak powiedział ojciec, na razie nie ma powodu do niepokoju.

Z niejasnym przeczuciem odkładałam słuchawkę. Lekarz dzwoni dwadzieścia minut później, z samochodu.

- Chyba umieścimy go w szpitalu, Tereso, na kilka dni. - Mówi różnym tonem, lecz ja nie dam sobie zamydlić oczu.

- Dlaczego? Co się stało?

- Słyszę coś w jego płucach. Złapał infekcję. Ma słabą odporność, to może przejść w zapalenie płuc.

Przypominam sobie rozmowę na przystani w Howth, kiedy poczułam brzemię odpowiedzialności.

- Z powodów rodzinnych chwilowo nie mogę przyjechać. Ale skoro ma iść do szpitala, umieścimy go w Dublinie. Sama mu to powiem.

- W tym stanie nie może podróżować, Tereso.

- Owszem, może. Przywieziemy go prywatną karetką. Proszę przygotować to, co konieczne. Będzie potrzebna karta choroby, prawda?

- Jego czas dobiega końca, Tereso. - Ale w jego głosie nie słychać sprzeciwu, jedynie coś na kształt szacunku.

- Możliwe - odpowiadam kategorycznie. - Myślę jednak, że tym razem zrobi to, o co proszę. W ogóle nie powinien był wracać do Ballina. - Nie powinnam była mu na to pozwolić, precyzuję w duchu. Nie zdałam tego ostatniego testu, ale więcej nie zawiodę. - Zaraz do niego zadzwonię i sama mu powiem. Prosiłabym, żeby pan załatwił dla niego miejsce, na przykład w klinice Blackrock albo Mater Private. Najważniejsze, aby miał tam dobrą opiekę. Pieniądze nie grają roli, zresztą o ile pamiętam, opłacał najwyższą składkę na ubezpieczenie zdrowotne.

- Owszem. No dobrze. Oddzwonię, jak już coś będę wiedział. Trzeba załatwić to jeszcze dziś. I wynająć pielęgniarkę.

- Załatwione. - I odłożyłam słuchawkę.

Kiedy byłam małą, liczył się każdy grosz. Po ślubie też ledwo wiązaliśmy koniec z końcem.

Odkąd zamieszkałam w Arkadii, gwałtowna poprawa warunków życiowych jest dla mnie źródłem wyrzutów sumienia, zwłaszcza w kontekście doniesień o ubóstwie znacznej części społeczeństwa. Jeśli jednak mogę przeznaczyć te pieniądze na zapewnienie ojcu należytej opieki medycznej, przynależność do dziesięcioprocentowej grupy zamożnych obywateli wcale mnie nie martwi.

Biorę dwa głębokie wdechy i ponownie wykręcam numer ojca.

- Halo?

Rzeczywiście, teraz sama słyszę ten świst.

- To ja, tatusiu. Tylko nie waż się odmówić. Podobno musisz iść na parę dni do szpitala.

- Zgadza się.

- Właśnie rozmawiałam z doktorem Williamsem, chcemy ci zapewnić jak najlepszą opiekę. Jedziesz do Dublina, prywatną karetką.

- Tereso...

- Tato, prosiłam cię! Zasługujesz na to, ja też. Nie mogę teraz przyjechać, a chciałabym być blisko ciebie. Musisz przyjechać, tato.

Chwila milczenia.



- No dobrze. Do jakiego szpitala?

- Jeszcze nie wiemy. Wszystko zależy od tego, gdzie znajdziemy wolne miejsce. - Przyjemnie było dla odmiany wziąć sprawę w swoje ręce. - Nie musisz się o nic martwić. Będę czekać w szpitalu, dobrze? Czy ktoś pomoże ci się spakować?

- Jest ze mną pani Moran.

- To dobrze. - Pani Moran to nasza sąsiadka. - Niech spakuje twoją najlepszą pizzą, w tym szpitalu leczą się same osobistości!

Chichocze do słuchawki; śmiech przechodzi w rozrywający kaszel. Czekam, aż ucichnie.

- Żartowałam. W razie czego kupimy ci wszystko na miejscu. Tatusiu?

- Tak?

- Bardzo się cieszę.

- No, zobaczymy.

Odkładając słuchawkę, przypominam sobie kwestię ze sztuki Hugh Leonarda pod tytułem „Tato”: „Miłość odwrócona do góry nogami to nadal miłość”.

## *Rozdział 45*

---

Miłość... do góry nogami...

Nadal... miłość...

Gdy przez następny tydzień kursowałam między Arkadią a szpitalem, słowa Hugh Leonarda tudzież ich wariacje bez przerwy kołatały mi w głowie, choć niedole osób z nieszczęsnej listy pochłoneły mnie bez reszty.

Tom nie był jeszcze na żadnym spotkaniu z psychologiem, ale pierwsza wizyta w tak zwanej „placówce” jest tylko kwestią czasu.

Pewnie myślicie, że moja niechęć do takich specjalistów jest bezzasadna, lecz nauczona smutnym doświadczeniem wiem, że obcy człowiek, zaprogramowany na wykrycie skazy w dziecięcym umyśle, nie pomoże mu lepiej niż własna matka. Wybaczcie, jeśli przemawia przeze mnie arogancja. Nie będę się bawić w subtelności.

Czuję się zredukowana do Esencji Teresy. Nie czas i miejsce na owijanie w bawełnę. Ani na Tess.

Mogę jedynie rozważyć ponowną rozmowę z zakonnica, której mądrość tak mnie kiedyś ujęła. Ale jeszcze nie teraz. Potem.

„Potem”: eufemizm na stratę i samotność, na praktyczne i emocjonalne porządki po rytuałach śmierci. Często powtarzam to słowo, nie wdając się w zbędne wyjaśnienia, co mam na myśli. Mówimy: „Tak, potem” albo „dopiero potem” - i to wystarczy. Wszyscy rozumieją.

Wyglądało na to, że przyjazd do Dublina dobrze ojcu zrobił; rozważaliśmy nawet jego odwiedzin w Arkadii, co wszelako okazało się niemożliwe. Pragnęłam, żeby przyjechał, ten jeden, ostatni raz, tak jakby skrywana przez ostatnie półwiecze miłość i emocje mogły znaleźć ujście w ciągu jednego zaledwie wieczoru. Próbowałam go namówić, przekonując, że nie będzie ciężarem: przecież zapewnimy mu całodobową opiekę medyczną.

Mało nie złapał się za głowę.

- Masz pojęcie, ile to kosztuje, Tereso?

Gdy znów poszłam do szpitala, był nieprzytomny. Zapalenie płuc.

O dziesiątej wieczorem wyszedł do mnie lekarz dyżurny, drobny mężczyzna z Indii lub Pakistanu.

- On jest chory, pani Brennan. Bardzo, bardzo chory.

- Wiem o tym.

- Bardzo chory. Zapalenie płuc. - Patrzył na mnie spod oka. - Życzy pani sobie, żebyśmy kogoś powiadomili?

Dawał mi coś do zrozumienia.

- Chce pan przez to powiedzieć, że on umiera?

- Mówię tylko, że nie jest dobrze. - I dodał cicho: - Tak.

- Mojego męża. Czy moglibyście zadzwonić do mojego męża? Zostawiłam numer pielęgniarki. - (Na moją prośbę Jerry został z Tomem, który wprawdzie nie wykazuje żadnych niepokojących symptomów, ale wolałam dmuchać na zimne). - Mogę do niego wejść?

- Oczywiście. Możliwe, że pani nie pozna. Ale na pewno panią usłyszy.

W pokoiku ojca paliła się tylko nocna lampa pod sufitem. Siadając przy łóżku, miałam ochotę wziąć go za rękę, jednakże stworzona przez nas oboje fizyczna bariera, uniemożliwiająca nawet pocałunek na powitanie, ponownie dała o sobie znać.

- Pocałuj mamusię - poprosił, gdy czterdzieści lat wcześniej znalazłam się w podobnej sytuacji. - I obiecaj, że będziesz grzeczna.

Jak już chyba wspomniałam, czasami trudno mi oddzielić prawdziwe wspomnienia spędzonych z matką chwil od zrodzonych z tęsknoty tworów dziecięcej wyobraźni. Ale to pamiętam dokładnie. Stałam prawie na wysokości oczu wychudzonej postaci leżącej na twardym szpitalnym łóżku. Moje włosy wymykały się z nieudolnie zawiązanej kokardy i włożyły mi do oczu. Widziałam czerwone szparki w zapadniętej twarzy, która skurczyła się tak bardzo, że przypominała trójkątny pyszczek wiewiórki. Bałam się jej.

Wiedziałam jednak, że ta wynędzniała postać skrywa moją prawdziwą mamę.

- Będę grzeczna, mamusiu - obiecałam posłusznie i popatrzyłam na tatę.

- A teraz pocałuj ją.

Z wahaniem przymknęłam oczy i przycisnęłam wargi do pergaminowego policzka.

- Grzeczna dziewczynka - powiedział tata, kiedy znów stanęłam prosto i otworzyłam oczy.

Wówczas stała się rzecz straszna. Mama, która nie mogła mówić ani odpowiedzieć na żadne z moich pytań, zapłakała. Nie głośno, jak ja; dźwięk wydobywający się z jej ust przypominał skrzypienie łańcucha w moim rowerku. Z czerwonych szparek wymknęły się drobne łzy.

- Zmykaj, Tereso. Masz, kup sobie cukierki. - Tata, z twarzą pomarszczoną jak staruszek, wcisnął mi do ręki monetę.

Uciekłam. Lecz mimo upływu lat wspomnienie ostatnich chwil życia matki, a przynajmniej tych, które było mi dane zobaczyć, sprawia, że ból odżywa na nowo.

Szelest kazał mi spojrzeć na łóżko. Znad maski tlenowej wyjrzały na mnie czujne, acz mętne oczy taty. Patrzyły prosto na mnie.

- Tatusiu? - Położyłam rękę na kołdrze, milimetry od jego dłoni. Spojrzenie pozostało nieruchome. Widziałam zaledwie dolne połówki tęczy, czułam jednak, że ojciec bacznie mi się przygląda.

Ręką, która dotąd spoczywała nieruchomo na kołdrze, drgnęła. Desperacko chciał coś powiedzieć. Przystawiłam ucho do jego ust, ale usłyszałam tylko miarowy syk tlenu.

- Wiem, że chciałeś... zostać w domu. - Mój język wzbraniał się przed słowem „umrzeć”. - Ale cieszę się, że przyjechałeś. Proszę, zostań jeszcze ze mną, tatusiu.

Ręką znów podskoczyła na kołdrze. Następnie powędrowała do maski i uniosła ją nieco, a wargi ułożyły się w: „Dobrze, Tereso”.

Ale wiedziałam, że go tracę. Czułam to każdym skrawkiem ciała.

Nie chciałam go denerwować.

- Teraz odpocznij, tatusiu. Zaraz wrócę, muszę na chwilę iść do łazienki. - Próbował się uśmiechnąć, ale maska trochę się przekrzywiła.

Poprawiłam ją, starannie dociskając gumkę za niemal przezroczystym uchem. Tata zawsze miał odstające uszy.

Normalnym krokiem podeszłam do drzwi, ale na korytarzu puściłam się biegiem, wpadłam do łazienki i Wybuchnęłam płaczem. Kiedy opanowałam się na tyle, żeby wrócić, znowu był nieprzytomny.

Nie umarł tamtego ani następnego wieczoru. Cierpiałam, przebywając z dala od niego, jednakże do smutku zaczęła się dołączać rezygnacja, dzięki której w obecności ojca mogłam znów udawać niewzruszoną i dzielną. A że niewiele mogłam dla niego zrobić, całymi dniami po prostu siedziałam przy łóżku. Czekałam.

Rytuały ostateczne noszą w sobie swoistą nieuchronność. Przed śmiercią matki byłam za mała, aby w nich uczestniczyć. Umierała w dużej sali, w obecności piętnastu innych kobiet. Nie było dnia, żebym nie cofała się pamięcią do tamtego okresu.

„Spróbujemy zastosować inny antybiotyk, pani Brennan”.

„Halo, siostrze? Przepraszam, czy mogłaby siostra podejść na chwilę? Z kroplówki nic nie leci”.

Gdy na parę sekund unosił powieki, zastanawiałam się, czy nas słyszy.

Miał chłodniejsze palce: „Czy to coś znaczy, siostrze?”

„Myśli pan, że go boli, doktorze?”

Za tym wszystkim kryło się jedno zasadnicze pytanie: kiedy?

Dni płynęły, narzucając nam wszystkim określoną rutynę. Za dnia przesiadywałam w szpitalu, a Jerry, Jack (czasem Tom) i Rita na zmianę zjawiali się wieczorami. Maddy, która przebywała w Ballineen z rodzicami i Colinem, też zaoferowała swoją pomoc, ale wymówiłam się obietnicą, że w razie potrzeby dam jej znać.

Ostatnie trzy godziny przed końcem paradoksalnie okazały się dla mnie najspokojniejsze: pogodziłam się z tym, co nieuniknione. Tata leżał cicho, oddychał płytko, lecz regularnie, choć przerwy pomiędzy jednym oddechem a drugim wydłużały się coraz bardziej. Ma silne serce, zawyrokowały pielęgniarki, dodając ściszonymi głosami, że to może potrwać jeszcze parę dni. Intuicja podpowiadała mi, że są w błędzie.

Rita wróciła do córek, prosząc, bym ją niezwłocznie powiadomiła o jakichkolwiek zmianach. Uparcie trwała w swoim postanowieniu o separacji z mężem i nawet rozpacz dziewczynek nie skłoniła jej do zmiany zdania. Nie podejrzewałam przyjaciółki o taką siłę.

Ostatniego dnia około czwartej po południu odesłałam chłopców do domu taksówką. Od dziesiątej byli w szpitalu; widziałam, że mają dosyć. Ich miłość do dziadka była dość powierzchowna, za co obwiniałam wyłącznie nas, dorosłych. Po tak długim czasie widok umierającego spowszedniał i przestał robić na nich wrażenie.

Jerry, który ubiegłą noc spędził w szpitalu i odsypiał ją w ciągu dnia, przyjechał do szpitala około ósmej wieczorem. Za pięć dziesiątą kazano nam na chwilę opuścić pokój. Nie było w tym nic dziwnego, toteż zachowałam spokój.

- Wyjdziemy na chwilę na dwór? - zaproponowałam Jerry'emu. Znów dokuczał mi okropny ból głowy. Nie licząc okazjonalnych drzemek, od wielu dni właściwie nie spałam, a moim najbardziej treściwym posiłkiem był czekoladowy batonik.

- Jasne. - Przytrzymał mi drzwi. - Mnie też się przyda łyk świeżego powietrza.

Usiedliśmy na niskim murku vis-a-vis zajezdni dla karetek przy Eccles Street. Ruch był mały, w świetle zachodzącego słońca cegły georgiańskich domów naprzeciwko miały kolor brązu.

- Człowiek nabiera perspektywy, co? - Patrzyłam, jak w pobliżu zatrzymuje się taksówka.

Zamiast odpowiedzieć, Jerry sięgnął do wewnętrznej kieszeni.

- Mogę zapalić?

- Pora, abyś rzucił, zanim znowu się uzależnisz.

- Nie myśl, że mi się to podoba. Wcale mi się nie podoba. Ale stało się i już. I tak nie wypalam więcej niż dziesięć dziennie. Oby tak zostało. - Wytrząsnął papierosa z paczki i przypalił go tanią jednorazową zapalniczką.

Podczas owych długich nocy i dni oczekiwania Jerry i ja rozmawialiśmy ze sobą tak, jak nie zdarzyło nam się od lat. Mając na względzie moje troski, nie rozwodził się nad swoimi, lecz nie potrafił ukryć zdenerwowania. Pomimo śmiałych planów odejście z firmy okazało się trudniejsze, niż przypuszczał, w związku z czym musiał twardo negocjować warunki.

Tym sposobem zapełnił lukę pomiędzy pracą a emeryturą; na podobieństwo psa collie wynajdywał sobie rozmaite zajęcia, analizując plany finansowe albo jeżdżąc do miasta na konsultacje, które przez telefon zajęłyby nie więcej niż kilka minut.

I muszę przyznać, że wziął sobie do serca to, co powiedziałam o jego braku zaangażowania. Za wcześnie na większy optymizm, ale może jeszcze będzie z nas rodzina.

- Tess, jeszcze raz chciałbym ci powiedzieć, jak strasznie mi przykro. - Wydmuchał dym przez nos. - Obiecuję, że więcej nie będę tego powtarzał, lecz gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym to bez wahania. I nie chodzi tylko o ostatnie wydarzenia. Byłem złym mężem. Nie miałbym ci za złe, gdybyś kazała mi odmaszerować, ale dopiero perspektywa rozstania pozwoliła mi zrozumieć, ile dla mnie znaczysz. To, co razem zbudowaliśmy, zawdzięczam przede wszystkim tobie.

- Przestań. To nieistotne. Nie teraz.

- Uroczy wieczór. - Taksówkarz z uśmiechem popatrzył na nas przez otwarte okno, a następnie pojechał dalej. Dawno nikomu tak nie zazdrościłam.

Bałam się tego, co mnie czeka, pytań, na które wciąż nie znałam odpowiedzi...

- Przynajmniej ojciec nic nie wie. - Jerry mówił zmęczonym głosem, ale na jego twarzy malował się chłopięcy wyraz. Szukał potwierdzenia. Nie mógł na nie liczyć. Jeszcze nie.

- Mam taką nadzieję.

Podjechała karetka. Tylne drzwi stanęły otworem i ze środka wyniesiono staruszkę, okutaną w koce jak noworodek. Uśmiechnęła się, a ja machinalnie odpowiedziałam jej tym samym. Zerknęłam na Jerry'ego, ale on w zamyśleniu spoglądał gdzie indziej.

Ostrożnie dotknęłam jego ramienia, żeby go nie przestraszyć.

- Chyba powinniśmy wracać.

- Dobrze. - Zgasił papierosa.

Wstałam, oszołomiona brakiem snu. Przeciągnęłam się, co dodatkowo wzmogło zawroty głowy.

- Będę potem spała przez bite trzy dni.

Kiedy wyszliśmy z windy, przy drzwiach taty panowało poruszenie. Przybiegła pielęgniarka.

- Gdzie państwo byli? Szukaliśmy was wszędzie. Zrozumiałam. Bezsilnie oparłam się o ścianę.

- Odszedł?

Wzięła mnie za rękę i objęła ramieniem, ze współczuciem, na jakie stać tylko irlandzkie pielęgniarki.

- Bardzo mi przykro. Robiliśmy, co w naszej mocy, ale wymknął się niepostrzeżenie.

Tata zmarł w prywatnej sali dublińskiego Mater Hospital o godzinie dziewiątej dwadzieścia w piękny piątkowy wieczór. Za dwadzieścia dziesiąta poszliśmy go zobaczyć; usunęli wszystkie igły, maski oraz rurki i nienaturalnie wygładzili koldrę, podkładając mu zwinięty ręcznik pod brodę, żeby nie opadała. Na tle przezroczystego nieba za oknem zakrakały wrony. Wieczne harce przed snem.

A mnie tu nie było.

Miłość do góry nogami.

Tata zawsze nienawidził wron.

## Rozdział 46

---

Pogrzeb na pewno by mu się spodobał. Zwyczajem wielu ludzi z irlandzkiej prowincji (choć mieszkańcy Ballina zapewne obruszyliby się na to określenie) tata uwielbiał pogrzeby.

Wątpię jednak, czy byłby w stanie przewidzieć liczbę duchownych, zgromadzonych przy ołtarzu u świętego Muiredeacha, gdzie msza jest koncelebrowana przez biskupa pomocniczego i pięciu księży z diecezji. Znając jego skromność, na pewno zaniżyłby też liczbę sąsiadów i przyjaciół, którzy przyszli go pożegnać.

Jego prawnik podał nam dokładne instrukcje, znacznie upraszczając przygotowania: żadnej muzyki ani kwiatów. Żadnych bzdur. Same konkrety.

Ciekawe, co by pomyślał o miejscowych dygnitarzach, którzy zasiedli w pierwszych ławkach? Dwóch posłów z lokalnego okręgu wyborczego, trzech radnych, trzech bankowców (dwóch emerytowanych, jeden urzędujący) oraz bijące oślepiającym blaskiem szczy z trzech Izb Handlowych, z miejscowego Lions Club\*, a nawet z klubu golfowego, chociaż ojciec nigdy nie grał w golfa.

\* Lions Club - międzynarodowa organizacja ochotnicza. Skupia ponad 40 tysięcy klubów zgrupowanych w światowej organizacji. Członkowie klubów uczestniczą w lokalnych i międzynarodowych przedsięwzięciach humanitarnych, szczególnie na rzecz ochrony zdrowia.

Czułby się swobodniej w towarzystwie innych drobnych kupców, listonosza, motorniczego i zakonnic z opactwa Gortnor, gdzie chodziłam do szkoły.

Co do czytania, prosił, aby Jack i Tom przeczytali Modlitwę Wiernych, co uczynili z zachowaniem zimnej krwi. Jerry, niepraktykujący członek Kościoła anglikańskiego, ma wyznaczone jedno z pozostałych czytań. Oczywiście Jerry uczestniczył już w katolickim pogrzebie, ale po raz pierwszy ma okazję stanąć przy ołtarzu. Widzę jednak, że się nie boi: przywykł do występów publicznych.

Czytanie wybrane dla Jerry'ego jest proste i tradycyjne:



„Uwolnij, Panie, dusze wszystkich wiernych zmarłych od wszelkich więzów grzechowych. A przy pomocy Twojej łaski niechaj unikną straszego wyroku zatracenia. I niech zażywają szczęścia wiecznej światłości”\*.

\* Tekst według przekładu oo. benedyktynów z 1963 roku za mszalnikiem Pallotinum z 1963 roku.

- Amen - odpowiadają gromko wierni.

Echo głosu cichnie i Jerry schodzi z mównicy, najpierw jednak spogląda prosto na mnie.

A może mi się zdawało? Przecież ojciec nie mógł nic wiedzieć, a tekst trafił do prawnika na długo przed przyjazdem taty do Dublina...

Nie ronię ani jednej łzy, ani na mszy, ani na cmentarzu, ani w hotelu Downhill, na poczęstunku złożonym z zupy i kanapek, gdzie z uśmiechem witam się ze wszystkimi, przedstawiam rodzinę oraz przyjaciółki i pilnuję, żeby nikomu nie zabrakło herbaty.

W pewnej chwili zostaję sama przy bufecie. W pobliżu rozmawiają Maddy i Colm, częściowo zasłonięci palmą w wielkiej, orientalnej donicy. Nie wiedzą, że znajduję się w zasięgu słuchu, ich rozmowa ma bardzo poufny charakter.

- Jesteś pewien? - To Maddy. - Chcę, żebyś był pewien. Nie będę ci niczego utrudniać, naprawdę. To twój wybór, chcę dla ciebie jak najlepiej, kochanie.

- Przecież ci mówiłem. - W głosie Colma słychać żarliwość, o jaką nigdy bym go nie podejrzewała. - Chcę zostać z tobą, mamó. Naprawdę chcę, nie robię ci żadnej łaski! Ile razy mam to powtarzać? Zależało mi tylko, żebyś zaczęła traktować mnie i tatę jak ludzi i przestała ciągle na niego gadać. Nie jest potworem.

- Wybacz. Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

Widzę, że jedna z szych rusza w moim kierunku. Wychodzę naprzeciw idącemu i wyciągam dłoń na powitanie. Całe szczęście. To wyłącznie ich sprawa, myślę i w duchu zacieram ręce.

Nie zapominam o Rickym, który przyjechał sam i snuje się po kątach. Złożył mi kondolencje; jest uprzejmy, ale zachowuje dystans, choć próbuję go nakłonić, żeby

przyszedł do mnie, Jerry'ego i chłopców. Chyba wychodzi z założenia, że skoro Rita go nie chce, nie będzie się z nikim bratał. I patrzy cielecym wzrokiem na żonę, od stóp do głów spowitą w czerń. Dziewczynki kursują pomiędzy nim a matką. W pewnej chwili widzę, jak wyciąga rolkę banknotów i wręcza kilka triumfującej Alice.

Widzę też, że Kitty i Jack, którzy na początku omijali się szerokim łukiem, stoją w rogu i gawędzą. Dobry początek, myślę, obserwując ich, ale zaraz muszę odwrócić wzrok.

Nie mam pojęcia, jakim cudem to wszystko rejestruję. Idzie mi nadzwyczaj gładko: wypełniam swoje obowiązki z precyzją nakręcanej lalki. Moja żałoba rozpoczęła się chyba na przystani w Howth, podczas naszej pamiętnej rozmowy. Myślę, że to jeszcze nie koniec.

Zgodnie z tradycją, po pogrzebie w Ballina bliska rodzina i przyjaciele idą do domu zmarłego na kolejny mały poczęstunek. Jestem tak wyczerpana psychicznie i fizycznie, że chyba nie dam rady.

Tom jest umówiony w „placówce” o czwartej następnego dnia. Mogłam odwołać wizytę, ale wykorzystuję ją jako pretekst do wcześniejszego powrotu. Tłumaczę, że musi być u „konsultanta” już o jedenastej rano; musimy wracać, „konsultacje” są na wagę złota. Wszyscy to rozumieją. Listy oczekujących na konsultacje stały się niemalże legendą. Szczęśliwie nikt się nie dopytuje, o jakiego konsultanta chodzi.

Zebrani powoli wychodzą. Zamieniam kilka słów z panią Moran, sąsiadką, której zostawiam klucze.

- Niedługo przyjadę, może w przyszłym tygodniu, i spróbuję zrobić ze wszystkim porządek. Proszę mieć oko na dom, dobrze? Tata zawsze z taką życzliwością o pani mówił. Serdecznie dziękuję za wszystko, co pani dla niego zrobiła. - Wiem, że „pamiętał” o niej w testamencie, ale nie czas i miejsce, żeby ją o tym informować.

- Nic takiego nie zrobiłam. Miło nam się rozmawiało. Był prawdziwym dżentelmenem, Tereso, Panie świeć nad jego duszą. Będzie mi go brakowało, zresztą nie tylko mnie. Co się stanie z domem? To taki ładny, ciepły dom.

- Właściwie to sama nie wiem. Trzeba będzie coś wymyślić. Ale musi upłynąć trochę czasu.

- Tak, tak, oczywiście. - To pytanie pojawia się na każdym pogrzebie.

Przyszłość nieruchomości budzi zainteresowanie wszystkich irlandzkich żałobników.

Myśl o powrocie do tego domu zawsze napawa mnie instynktowną niechęcią. Teraz przyjdzie pora na prawdziwą eskalację rozpacz, i to nie tylko z powodu ojca: rzeczy matki wciąż znajdują się na swoim miejscu. Wielokrotnie proponowałam, że je zabiorę, co napotykało stanowcze protesty ze strony taty, który sam nie mógł się nigdy zdobyć na ich usunięcie. .

W sypialni unosi się ostra woń naftaliny i butwiejącej skóry. W czasie ostatniej wizyty zauważyłam, że na dnie matczynej szafy umieścił kilka lawendowych saszetek. Nadal wiszą tam jej nieliczne sukienki, umieszczone na topornych wieszakach w sąsiedztwie wełnianego palta, sklepowego fartucha, bluzek, spódnic oraz sfilcowanego kardiganu. Portmonetka mamy spoczywa w torebce wciśniętej w róg bieliźniarki. W środku jest zmięty banknot dziesięcioszylingowy, kilka pozieleniałych miedzaków, tani medalik, kupon loteryjny na świąteczną szynkę i miętówka w celofanie.

Pożegnanie przeciąga się w nieskończoność, każdy, od księdza do listonosza, chce uścisnąć mi dłoń i rzucić parę słów o ojcu. Kiedy wreszcie wychodzimy, chrypię i nogi mam jak z ołowiu.

Jedziemy brzegiem wezbranej Moy w kierunku szosy do Dublina. Wiem, że niedługo tu wrócę, ale już nigdy nie będzie to moje miasto. Mieszkańcy będą okazywać mi serdeczność i traktować mnie jak swoją, ale tak naprawdę będę tu tylko gościem. Kolejną turystką. Turystką, która wie to i owo o Ballina i zachowała garść związanych z tym miejscem wspomnień, ale tylko turystką. Jeszcze nie wiem, co to może dokładnie oznaczać.

Chłopcy, niemal równie zmęczeni jak ja, zasypiają na tylnym siedzeniu. Lada chwila pójdę za ich przykładem, jednak na razie zaschło mi w gardle i otwieram schowek w poszukiwaniu wody mineralnej.

Mój wzrok pada na kopertę. Zupełnie o niej zapomniałam, lecz oto słyszę zza grobu jego drżący, ale władczy głos: „Też! Przecież kazałem ci to schować, Tereso”.

- Co to jest? Pieniądze? - Jerry spogląda na kopertę.

- Dostałam od taty.

- Sporo tego.

Otwieram kopertę. Nie dla siebie, dla ojca. Okrągła suma. Sto setek. Dziesięć tysięcy euro. Z matematyczną dokładnością. Prawie widzę, jak ojciec sprawdza wyświetlacz na maszynie liczącej.

- Dziesięć tysięcy? Co mam z nimi zrobić?

- Są twoje, Tess. A co byś chciała?

Nie przychodzą mi do głowy żadne dobra materialne. Moje jedyne hobby to tenis, ale nie muszę wymieniać rakiety.

Myślę. Tata chciał, żebym sobie coś od niego kupiła.

- Może wiolonczelę? - Niepewnie spoglądam na pieniądze: pomysł mi się podoba, chociaż w głębi serca mam wątpliwości. Widzę spracowane ręce taty, rytmicznie odkładające banknoty. On sam obywatel się bez niczego, byle tylko zostawić coś córce. Córce, która ma wszystkiego w nadmiarze. Dręczona wyrzutami sumienia z powrotem wkładam kopertę do schowka.

- Albo przekażę je jakiejś fundacji. Nic innego nie przychodzi mi w tej chwili do głowy.

Jerry prowadzi mój samochód: Sentinel skrzętnie upominał się o zwrot służbowego. Dodaje gazu, droga robi się szersza.

- Chciałbym mieć takie dylematy. Prześpij się, jeśli możesz. - Rada jest zbędna, głowa sama mi opada.

Podróż trwa około trzech i pół godziny; budzę się w chwili, gdy skręcamy w Carrickbrack Road. Włączam komórkę. Siedem wiadomości.

Sześć to kondolencje i przeprosiny od osób, które nie dały rady przyjechać na pogrzeb. Siódma wiadomość pochodzi od Naomi Marsh. Oddzwaniam, a policjantka natychmiast odbiera telefon.

- Czy może pani rozmawiać, pani Brennan? Ja pewnie nie w porę... Jeśli pani chce, oddzwonię później.

Zerkam na tylne siedzenie. Tom i Jack śpią jak susły.

- Proszę mówić.

Ma do przekazania kilka informacji.

Frederick nie nazywa się Yarso, tylko John Frederick Young. Nie jest wykładowcą uniwersyteckim, nie pochodzi z Oshkosh i (co najbardziej bolesne) wcale nie jest archeologiem.

Na podstawie naszego rysopisu bez trudu ustalono jego tożsamość. Jest - czy też był - reporterem niezwiązanym na stałe z żadną gazetą. Pracował głównie w Chicago oraz paru innych większych i mniejszych miastach w Illinois. Nie był notowany, lecz policja w jego rodzinnym stanie ma do niego kilka pytań w związku z zarzutami pewnego chłopca, którego poznał na basenie.

Charles, przyjaciel Fredericka vel Johna, dopuścił się kilku przestępstw na tle seksualnym. Obydwaj mężczyźni zniknęli wraz z konkubiną Charlesa i jej dziesięcioletnim synem.

- Nie mamy pewności, czy chłopiec jest synem tego człowieka - uzupełnia Naomi Marsh cichym rzeczowym głosem.

To jeszcze nie wszystko. Policja od dłuższego czasu prowadzi dochodzenie w sprawie powiązań brytyjskiej grupy przestępczej z grupą irlandzką, lecz na razie brakuje konkretnych dowodów.

- To dopiero początek, przed nami miesiące dochodzenia, ale chyba znaleźliśmy na państwa komputerze coś, co pozwala nam uznać, że Young poznał Charlesa właśnie za pośrednictwem tutejszych kontaktów.

- Tutejszych kontaktów? Przecież nasze spotkanie było czysto przypadkowe. Byliśmy we Francji... nie, w Hiszpanii.

- Ma kontakty również w Irlandii - upiera się Naomi. - Wasze spotkanie było poniekąd dziełem przypadku, podejrzewam jednak, że jego uwagę zwrócił wasz irlandzki akcent. A gdy jeszcze zobaczył, że ma pani syna...

- Czyli ten cały Charles wcale nie był jego kolegą? A ja myślałam... - Zaczynam dygotać.

- Sądzimy, że nawiązali kontakt przez komputer pani męża.

To za dużo jak na moją wytrzymałość. Naomi chyba się domyśla.

- Rozumiem, że bierze pani na siebie odpowiedzialność za to, co zaszło, pani Brennan - mówi cicho. - Ale przecież skąd mogła pani wiedzieć, z czym ma do czynienia. Nie mogła pani tego przewidzieć. Gdyby nie zabrał Toma do Londynu,

poszukałby innego sposobu, żeby dopiąć swego. Proszę się nie obwiniać, tym bardziej że chłopiec najprawdopodobniej wyszedł z tego bez szwanku. Poza tym chyba wreszcie mamy przełom. - W jej głosie pobrzmiewa zadowolenie.

W tym momencie mam w nosie policjantów i ich przełomy. Odwaga mojego syna pomogła w identyfikacji grupy przestępczej? Dwóch grup? Widzę tylko otchłań, w którą zepchnęłam Toma. Nie dociera do mnie nic więcej.

- Dziękuję, Naomi. Będziemy w kontakcie. - Ręce tak mi drżą, że nie mogę znaleźć przycisku, aby się rozłączyć.

- Dobrze się czujesz? - Jerry odruchowo wciska pedał hamulca.

- Nic mi nie jest. Później ci opowiem. - Szczękam zębami. - Chcę do domu. I to jak najszybciej. Boję się, że dostanę choroby lokomocyjnej. - Określenia „przestępstwa na tle seksualnym” i „grupy przestępcze” przetaczają się jak błyskawice po niebie nad Howth. Wbrew temu, co myślałam, nie dostrzegałam nawet zarysu sytuacji, nie mówiąc o jej pełnym obrazie.

Tom nie może się dowiedzieć, co czuję, nie będę go straszyć, choć marzę tylko o tym, żeby go przytulić, mocno, z całej siły.

Gdy po kilku godzinach mam wreszcie okazję porozmawiać z Jerryem, jestem już znacznie spokojniejsza. W tym czasie musiałam przyjąć kilku sąsiadów, którzy pojawili się w Arkadii z kondolencjami. Niektórych właściwie nie znam; ich życzliwość chwyta mnie za serce, ale naprawdę padam z nóg.

Wreszcie zostajemy sami w kuchni. Ledwo zrelacjonowałam mężowi rozmowę z Naomi, milczący dotąd Jerry wali pięścią w blat.

- Chciałbym dorwać tego drania i go udusić. Gdybym jeszcze pracował w Sentinelu, użyłbym swoich wpływów, żeby go przyskrzynić. Trafiłyby o nim wszystkie gazety. Po raz pierwszy żałuję, że odszedłem.

Wstaję i wyrzucam do zlewu fusy z kawy. Nie chcę, żeby widział moją twarz.

- Dlaczego nie złościsz się na mnie? W pewnym sensie sprawiłoby mi to wielką ulgę. Wszyscy są tacy dla mnie wyrozumiali. Oprócz mnie samej.

- Nie mam prawa być na ciebie zły.

- Niech ktoś będzie! - Odwracam się z impetem. - Tom, ty, policja, ktokolwiek! Ojciec na pewno dałby mi popalić. Byłby oburzony moim postępowaniem.

Widok zaciśniętych ust ojca, gdy po raz ostatni odprowadzałam go na dworzec, jego nieudolna próba wyrażenia uczuć stanęły mi przed oczami jak żywe. Tłumione emocje wreszcie znalazły ujście. Jerry natychmiast znalazł się obok mnie, ale go odepchnęłam.

- Idź sobie. Nie chcę, żebyś mnie dotykał. Nie potrzebuję twojej litości. Idź pocieszyć Susan!

- Mamo? Jerry? - Nie zauważyliśmy nadejścia Jacka. Jest blady jak ściana. - Co tu się dzieje?

- Mama jest zdenerwowana, Jack - mówi Jerry.

- Widzę, nie jestem głupi. - Przeżalenie i głęboko zakorzeniona niechęć do ojczyma każą mu podnieść głos.

Jego widok podziałał na mnie jak zimny prysznic. Odzyskuję panowanie nad sobą i staję pomiędzy nimi. Tylko tego brakuje, żeby zaczęli się kłócić.

- Wszystko w porządku, Jack. Po prostu mam za dużo na głowie. Przepraszam, że zobaczyłeś mnie w takim stanie. To był ciężki dzień.

Jack kołysze się na stopach, jakby nie był pewien, co dalej.

Wówczas dzieje się coś niezwykłego. Jerry wyciąga rękę.

- Pewnie nie czas i miejsce, synu, ale chciałbym cię przeprosić za moje zachowanie w przeszłości. Wybaczysz mi?

Jack wytrzeszcza oczy.

- Że co proszę?

- Czy możemy o tym zapomnieć? Zacząć od nowa? Jeśli ty tego chcesz, to ja również. Pewnie nie pojedziemy od razu na ryby, ale moglibyśmy chociaż zrobić pierwszy krok. I spróbować się lepiej poznać.

Biedny Jack nie wie, jak się zachować.

- W porządku - mamrocze.

Jerry dalej stoi z wyciągniętą ręką. Przysuwa ją bliżej do Jacka. Chłopak ujmuje jego dłoń z ociąganiem, ale nie patrzy mu w oczy.

Cóż, nastąpił pewien przełom, ale Jack nie może się doczekać, żeby dać drapak. Zaczyna przestępować z nogi na nogę, po czym wymyka się z kuchni. Co do

mnie, czuję się tak, jakbym stoczyła walkę z mistrzem wagi ciężkiej, nie wygrywając ani jednej z czterdziestu rund.

- Co cię naszło? - Dmucham nos. Z góry dobiega potężny hałas: Jack włączył radio. I to na cały regulator.

Jerry zamyka drzwi.

- Myślę, że wiesz. Nie tylko ty masz za sobą kilka koszmarnych tygodni, Tess. Ja też mogłem sporo sobie przemyśleć.

- Obawiam się, że to trochę potrwa.

- Domyślam się. Ale czas leczy rany. Poza tym masz mnie. My też możemy zacząć wszystko od nowa. Pamiętasz muzykę? Kiedyś oboje ją lubiliśmy.

- Pamiętam. - Wiem, że chciałby mnie objąć, na szczęście sięga po swój kubek i podchodzi do zlewu, żeby go opłukać. Czuję bezbrzeżną ulgę. Niech mnie nie dotyka. Nie dziś.

## *Rozdział 47*

---

Następnego dnia budzę się dopiero 'kwadrans po jedenastej. Pewnie umówili się, żeby mnie nie budzić, bo w domu panuje głucha cisza. Nie słyszę nawet pani Byrne, której głos przenika zwykle przez grube mury.

Chwilę wyleguję się w ciepłym łóżku, ale zaraz sobie przypominam, że Rita i Maddy przychodzą o pierwszej do Arkadii na babski lunch.

Docierają do mnie wydarzenia ostatnich tygodni.

Nie, Tess. Żadnego marudzenia i uzalania się nad sobą. Przestań! Zwlekam się z łóżka, po czym idę do łazienki i maksymalnie odkręcam kran.

Parę minut później, kiedy suszę włosy, do sypialni wchodzi Tom. Niesie dużą kartkę z bloku.

Wyłączam suszarkę.

- Dzień dobry, kotku. Przepraszam, że sama nie zrobiłam ci śniadania. Czy na dole wszystko gra?



- Zrobiłem dla ciebie portret Normy, mamó. Szczeniak szaleje na dole, ponieważ pan nie pozwolił mu wejść na górę. Słyszę też, że oddaje się swojej ulubionej rozrywce: bez względu na mnóstwo dostępnych zabawek Norma upodobała sobie sznurki od zasłon. Lubi się na nich huścić.

- Dziękuję, a to ci dopiero prezent... mogę zobaczyć?

Czy to nie Szekspir pisał o łzach, które czekają na odpowiedni moment? Patrząc na obrazek Toma i czuję, jak pieką mnie pod powiekami. Na tle pomarańczowo-karmazynowego słońca widać małego biało-czarnego pieska. Stoi z uniesioną łapką, w rozdziawionym wesoło pyszczku widać jaskraworóżowy język. Oczy Normy, w rzeczywistości ciemnobrązowe, mają odcień, który nazywałyśmy w szkole błękitem Maryi.

- Czy to dziadek? - Pokazuję uśmiechniętego mężczyznę stojącego dokładnie pośrodku słońca. Postać odwzajemnia pozdrowienie, dotykając czapki bliżej nieokreślonym przedmiotem. Jimmy O'Dea\* jako Darby O'Gill. Barry Fitzgerald\*\* jako on sam.

\* Jimmy O'Dea (1899-1965) - irlandzki aktor komediowy.

\*\* Barry Fitzgerald (1888-1961) - irlandzki aktor, zdobywca Oscara za rolę drugoplanową w 1944 r.

- Tak, to on.

- Co ma w ręku?

- Fajkę.

Nieważne, że ojciec w życiu nie palił fajki. Postać została przedstawiona ze zdumiewającą dokładnością; obrazek emanuje dziecięcą radością życia, choć kolory dobrano z precyzją i wyczuciem osoby dorosłej. To samo można powiedzieć o kompozycji.

- Namalowałem go dla ciebie, bo jesteś smutna, mamó. To normalne. Ale chciałem ci pokazać, że dziadek jest szczęśliwy.

- Masz więcej takich obrazków?

- Nie. - Kręci głową. - Właściwie to rzadko maluję. Tylko kiedy mam ochotę.

- Cieszę się, że miałaś ją dziś rano. Bardzo ci dziękuję, chciałabym, żebyś namalował coś jeszcze. Jesteś prawdziwym artystą. - Przytulam go, tak przepełniona ulgą i miłością, że aż mi się kręci w głowie. Ocaliła go jego inność. Teraz mam co do tego pewność, gdyż nieszczęśliwe dziecko nie namalowałoby tak pogodnego obrazka. Zaprowadzę go do terapeuty, ponieważ nie pozostawiono mi wyboru, lecz począwszy od godziny czwartej po południu będę uważnie „monitorować” procedurę. Trzeba wyeliminować resztki wpływu Fredericka, to oczywiste. Ale wara im wszystkim od indywidualności mojego syna.

Tylko spójrzcie! Po wyjściu Toma jeszcze raz spoglądam na obrazek. Wszyscy konsultanci świata, starannie przeszkoleni pod kątem wywierania wpływu na dzieci, z miodopłynnymi głosami modulowanymi na odpowiedniej częstotliwości, nie mają z nim żadnych szans. Olśni ich, tak jak olśnił mnie.

Kiedy schodzę do kuchni, pani Byrne poleruje „lepsze” sztucce, kładąc je na grubej podkładce ze złożonej ściereczki, żeby nie hałasowały. Na mój widok odkłada nóż do ciasta.

- Ach, pani B.! Już pani wstała! Pan B. kazał pani nie przeszkadzać, żeby się pani dobrze wyspała po tej mordędze! Trochę to potrwa - dodała swoim najbardziej żalobnym tonem. - Ale starszy pan miał dobre życie. Może herbatę i jajeczko?

Nie czekając na odpowiedź, sięga po jajko i wkłada je do rondelka.

- Niech pani idzie do salonu. Zawołam, jak będzie gotowe.

- Posiedzę tutaj, pani B. Chyba za długo spałam. Czuję się trochę otepiała.

- Niech pani idzie do salonu, nalegam! No już, już! - Wygania mnie z kuchni.

Trochę mnie to dziwi, bo zwykle nie przepuści żadnej okazji do pogawędki. Mimo to posłusznie wychodzę z kuchni, po czym zgodnie z rozkazem idę do salonu.

I widzę, dlaczego tak się zachowała. Na podłodze tuż za drzwiami spoczywa duża, bardzo duża paczka. Jest owinięta w brązowy papier i ma kształt wiolonczeli. Na wierzchu leży koperta z moim imieniem, rozpoznaję bazgraninę Jerry'ego. Otwieram ją i wydaję liścik:

*Wróć około pół do piątej. Zajrzałem na strych, wiolonczela nadaje się tylko do wyrzucenia. Tę, którą widzisz, wziąłem w półroczny leasing. Z opcją kupna, jeśli*

wyrazisz takie życzenie. Jeśli nie, przynajmniej mamy blaszany gwizdek! Nie, tylko mi nie dziękuj! Masz zostać wirtuozem, niech, Arkadia dalej będzie wzorem stylu.

*PS Przepraszam Cię po raz ostatni, naprawdę. Zanudzam sam siebie. Serio.*

*J.*

Słyszę szmer za plecami. Pani Byrne nie mogła się powstrzymać i przyszła za mną.

- To się nazywa mąż, prawda? Nie to, co... nie będę mówić po imieniu. Wiem, że lubi pani na twardo, zaraz zawołam! - I wraca do swojego królestwa.

Odwijam wiolonczelę: to istne cudo, pokryte patyną czasu. Z obitego rypsem futerału wyjmuję smyczek i natłuszczam go nowiutką kalafonią. Potem z nabożeństwem wyciągam sam instrument i wynoszę go wraz ze smyczkiem na korytarz. Siadam na krześle ustawionym tuż przy frontowych drzwiach i obejmuję wiolonczelę kolanami. Instrument oparty na stalowej nóżce dopasowanej do mojego wzrostu zdaje się pasować do mnie jak ulał.

Na próbę przekręcam klucze i wykonuję długie legato na strunie A. Głęboki dźwięk przejmuję mnie do głębi i niesie się po całym domu. Na jednym z firmowych rautów stałam w pobliżu znużonego kwartetu smyczkowego wraz z jednym z gości Jerry'ego. Oboje desperacko szukaliśmy tematu do rozmowy.

- Czy ta muzyka nie jest cudowna? - spytał wreszcie. - Istny balsam dla duszy. - Frazes może i wyświechtany, lecz gdy wsłuchuję się teraz w dźwięki wiolonczeli, przywodzące na myśl strumień gęstego miodu, na nowo odkrywam jego znaczenie.

Pani Byrne woła mnie do kuchni na jajko. Słuchając płynącego z radia bicia dzwonów na Anioł Pański, dochodzę do wniosku, że wiolonczela nie naprawi mi życia i nie umniejszy rozmiaru doznanych krzywd, ale może Jerry i ja jednak mamy szansę.

Maddy i Rita zjawiają się razem tuż po pierwszej. Widzę po ich minach, że przyszły uzbrojone we współczucie. Myślą, że będą musiały mnie pocieszać.

- Co jest? - Rita przystanąła w pół kroku na schodach; jak zawsze najbardziej bezpośrednia z nas od razu zauważa, że to nie będzie konieczne.

- Nic, wchodźcie.

Biorę ich płaszcze, a ona wręcza mi papierową torbę z kanapkami. Tak się umówiliśmy, żebym nie musiała nic szykować. One przynoszą jedzenie, ja podaję kawę.

- Diabli nadali tę cholerną wille, od niej się zaczęło - mówi Rita. - Niedobrze mi się robi od tej zgryzoty. Biorę jednogodzinny urlop, Tess, jeśli mogę tak powiedzieć, dzień po pogrzebie twojego biednego taty. Nie, żebym bagatelizowała...

- Zgoda - odpowiadam bez namysłu. - Możemy sobie pozwolić na wolną godzinę. Bądź co bądź szczęście to świadoma decyzja. Chyba wyczytałam to w „Evening Herald”.

- Oho! - przyłącza się Maddy, która od tygodni, a nawet miesięcy nie wyglądała tak dobrze jak teraz.

- Umieram z głodu - oświadcza Rita, kiedy zamykam drzwi. - Czy możemy już jeść?

Ogarnia nas dziecinne szaleństwo. Wygląda na to, że po wielu ciężkich dniach odciągnęliśmy wahadło i pchnęliśmy je w drugą stronę.

- Kuchnia należy do pani Byrne - mówię. - Chodźmy do salonu, kawa już czeka.

- Co to? - Rita zauważa futerał oparty o najniższy schodek.

- A jak myślisz? Chodźcie, zaraz wam opowiem.

Chociaż żadna z nich nie interesuje się muzyką, przynajmniej nie w takim stopniu jak ja, obie rozumieją znaczenie prezentu.

- Czekajcie, zaraz wam pokażę coś jeszcze. - Wyjmuję obrazek Toma, który szczęśliwie przebywa poza zasięgiem słuchu. To jeszcze nie koniec udręki, lecz po raz pierwszy od wielu tygodni jest mi jakby lżej na sercu. Może prawdę napisali w tej gazecie. Może szczęście to jednak rzeczywiście świadoma decyzja.

- To prezent od ojca. A właściwie dwa prezenty, i wiolonczela, i obrazek. - To znowu Maddy.

- Myślałam, że jesteś ateistką, Maddy.

- Jestem. Co nie znaczy, że nie wierzę w istnienie duszy i życia pozagrobowego.

- Proszę mi nie wyjeżdżać z takimi, dobra? - Rita pada na sofę. - Wiesz, co mi przyszło do głowy na pogrzebie, Tess? Wróciłam myślami do Seomra a Seacht. Byłyśmy wtedy królowymi, a żadna z nas nie miała o tym pojęcia. Pamiętacie, jak mawialiśmy, że bogacze nie miewają żadnych problemów?

- Przecież nie jesteśmy bogate, Rito. Dobrze nam się powodzi, ale nie jesteśmy bogate. - Maddy robi zdziwioną minę.

- Nie? - Rita odwija kanapkę i z apetytem wbija w nią zęby. - Coś wam powiem, dziewczęta: najchętniej wróciłabym do tamtych dni. Wtedy miałam przynajmniej spokój i dumę! - Milknie. - Co tam nowego? Poproszę o dobre wieści, złe mogą poczekać.

- Może najpierw ja - mówi niepewnie Maddy i spogląda na nią z obawą.

- Dalej, wykrztuś to wreszcie! - Rita jest coraz bardziej poirytowana. Jej dobry humor nie trwał zbyt długo.

- Jeszcze nie wiem, czy to dobra, czy zła wiadomość. W każdym bądź razie rokowania są niezłe. - Maddy rumieni się i skubie kanapkę z tuńczykiem.

- Hura! Brawo, Maddy!

- Daj jej skończyć, Rita! - Widzę, że Rita lada chwila wybuchnie. - Co się stało, Mad?

- Cóż, może nic z tego nie wyjdzie.

- Przestań się droczyć. - Rita szczypie ją w rękę.

- No dobrze. Tylko słuchajcie! Napisałam szkic powieści i pierwszy rozdział. Nic wam nie mówiłam, żeby nie zapeszyć. Ale po powrocie z pogrzebu zastałam list od wydawcy. Chcę, żebym napisała jeszcze trzy rozdziały! - W chwilach podniecenia Maddy mówi z wyraźnym akcentem z Cork. Dawno tego nie słyszałyśmy.

- Super, Maddy. Dobra robota! - Podzielam jej radość. - O czym będzie ta powieść?

- Cóż, jak wiecie, zawsze chciałam napisać sztukę. Od lat zapisywałam sobie różne rzeczy, pojedyncze sceny, kawałki dialogów, takie tam. Ale nigdy nie złożyłam tego w jedną całość. W końcu...

- Co? - ponagla Rita.

- Będziecie się śmiać.

- Słowo, że nie! - Rita kładzie rękę na sercu.

- No... - Maddy szuka na naszych twarzach śladów rozbawienia, po czym nieśmiało mówi dalej. - Wymyśliłam historię o pięćdziesięcioletniej kobiecie, której mąż odchodzi do młodej dziewczyny i która trafia do kliniki odwykowej. - Robi się jeszcze bardziej czerwona. - Większość akcji dzieje się właśnie w klinice. Zresztą to na razie tylko szkic, może jeszcze co nieco pozmieniam. Myślicie, że za dużo analogii?

Nie mam odwagi spojrzeć na Ritę; czuję, że muszę ją ubiec, ale jej lojalność bierze górę nad ironią.

- Wcale nie. Wszystkie dobre książki zawierają wątki autobiograficzne.

- Nie nabijasz się?

- Pewnie, że nie - wtrącam. - Moim zdaniem to świetny pomysł. Ach, Mad, tak się cieszę! Szkoda tylko, że nie mamy szampana... - Zreflektowałam się poniewczasie. - Wybacz, nie chciałam...

Maddy unosi wysoko podbródek.

- Nie musisz przeproszać - odpowiada, patrząc spokojnie to na mnie, to na Ritę. - Muszę się do tego przyzwyczaić. I nauczyć wynagradzać to sobie w inny sposób.

- Na przykład? - dopytuję.

- Na przykład brakiem kaca. I jedzenie zaczyna mi smakować. Poza tym... - Znów urywa i uśmiecha się z rezygnacją. - Pewnie nie uwierzycie, ale Fergus i ja jesteśmy wobec siebie bardzo mili. Nasze rozmowy przestały się zamieniać w kłótnie. Chyba nawet wyczuwam w jego głosie szacunek.

- To fantastycznie. - Rita czule klepie ją po plecach. - Tylko uważaj, i tak nie będzie lekko. Ricky twierdzi... - Uśmiech znika. - Przepraszam, trochę się zagalopowałam.

- Boże, Rita, pozwól mu wrócić do domu! - Maddy z hałasem odstawia filiżankę. - Nie mogę już tego słuchać. Wystarczająco go ukarałaś, na pogrzebie żal było na niego patrzeć. Żal! Może weźmiesz przykład z Tess? Jej było trudniej, a mimo to umiała wybaczyć. Wolę się nie odzywać. Czy rzeczywiście?

- Łatwo ci mówić. - Rita zastanawia się przez chwilę. - Wybacz, odszczekuję.

- Wcale nie tak łatwo. Nigdy się z tym nie pogodziłam, ale zaakceptowałam jego decyzję. Tak mi się przynajmniej wydaje. W każdym razie zamierzam żyć dalej. - Patrzy na nas z uśmiechem. - Jesteście wspaniałe. Nie wiem, co bym bez was zrobiła.

- Gadasz. - Rita poklepuje ją po plecach, chociaż minę ma niewyraźną, co do niej niepodobne. Ale nie mam odwagi zapytać wprost.

- Dolać wam kawy?

Słyszę dzwonek do drzwi. Pani Byrne drepcze otworzyć, Rita i Maddy robią zaciekawione miny.

- Pewnie kolejna karta z kondolencjami - uspokajam je. - Nie wiem, jak zdołam na wszystkie odpisać. Są ich setki. Ach!

Na progu salonu stoi Ricky Sleator, spocony i czerwony na twarzy.

- Co tam, dziewczyny? - Jego twarz przybiera odcień purpury. - Właśnie przechodziłem w pobliżu i...

- Przechodziłeś!? - Rita robi się jeszcze bardziej czerwona niż mąż. - To ślepa uliczka, kretynie! - Wstaje, na pozór opanowana, w życiu jednak nie widziałam jej tak wzburzonej. - Śledziłeś mnie, Ricky Sleatorze?

- Daj spokój, Reet... - Unosi ręce w obronnym geście. - Nie śledziłem. No skąd. Przyjechałem specjalnie.

Rita podchodzi bliżej; w butach na wysokich obcasach patrzy na niego z góry.

- Jesteś zwykłym chłystkiem, Ricky Sleatorze - syczy, przysuwając twarz do jego twarzy. - Gdyby twoja matka teraz cię widziała, gdyby wiedziała, co zrobiłeś, przewróciłaby się w grobie. - Następnie cofa się o krok i bez ostrzeżenia wali męża pięścią prosto w nos. Ricky pada na podłogę jak worek kartofli. Ale to jeszcze nie koniec. - Jeśli zrobisz to jeszcze raz - mówi, akcentując każde słowo - przyleję ci tak, że popamiętasz. Zrozumiano? A teraz wstawaj. Dostyć zamieszania. Wystarczy kłopotów bez tych twoich azjatyckich pańienek!

- Uderzyłaś mnie, Reet! - Krew kapie Ricky'emu z nosa, ale on dalej siedzi na podłodze. Na jego twarzy maluje się uniesienie. - Uderzyłaś mnie.

- To jeszcze nic. Poczekaj, co będzie, kiedy wymówisz przy mnie słowo „Japonia”! A teraz wynocha stąd i jazda do sklepu. Widzimy się przy kolacji.

I wraca na sofę.

Maddy i ja siedzimy jak zaczarowane, a Ricky dźwiga się z podłogi, przeprasza i brocząc krwią, znika za drzwiami.

Rita jest niewzruszona. Sprawia wrażenie, jakby jej gniew ulotnił się wraz z mężem. Jakby nawet trochę zmaląła.

- Przepraszam, dziewczyny - mówi. - Musiałam coś zrobić. - Wzdycha. - Coś musi być w powietrzu.

- Co? - pytamy jednocześnie.

- No bo... spójrzmy na siebie. - Znowu wzdycha. - Wszystkie jedziemy na tym samym wózku.

- Daj spokój, Rita - chichocze Maddy. Jak widać fanga w nos podziałała zbawiennie na nas wszystkie. - Przecież nie obudzili się któregoś ranka z postanowieniem, że nas zdradzą, nie? Poza tym każdy z nich postąpił inaczej. To chyba ten wiek, Rita, tak mi się wydaje. Coś musi nawalić, nie?

Rita i ja spoglądamy na nią ze zdumieniem. Maddy znów się śmieje, tym razem z zakłopotaniem.

- To moje słowa? W każdym razie nie było żadnej zmywy.

- To już coś. - Rita przenosi wzrok na mnie. - A propos, jak tam Pan i Władca Wszechświata?

Nie mam ochoty rozmawiać z nimi o Jerry'ym. W każdym razie nie teraz.

- W porządku - odpowiadam pospiesznie. - Chyba jednak wyjdziemy na prostą. Chociaż na pewno nie od razu.

- Wszystko przez tę cholerną willę! - burczy Rita. - Dokąd jedziemy w przyszłym roku?

- Pomyślmy. - To znowu ja. - Może tym razem w mniejszym gronie? Podobno chciałaś, żebyśmy wyjechały tylko we trzy, Rita? - Myślę o Maddy, ale o sobie też. Samotny wyjazd oznaczałby spory kredyt zaufania względem Jerry'ego. On zaś mógłby wreszcie zaopiekować się chłopcami...

Jeszcze pomyślę. Mam na to cały rok. To nie doszłoby do skutku, gdyby nie Susan Vitelli Moore. Ironia losu.

- A wytrzymałybyśmy ze sobą przez cały miesiąc? - Rita patrzy to na mnie, to na Mad. - Może lepiej przystopujmy.



Nie mogę powstrzymać uśmiechu.

- Boże. - Maddy zagląda do swojej filizanki. - Kto by pomyślał...

- Nikt. I całe szczęście! - Rita zdecydowanie podnosi się z miejsca. - Muszę lecieć. Dziewczyny pewnie przewracają dom do góry nogami. No i trzeba przygotować kolację. Ten głupek pewnie jadł byle co. - Strzepuje okruchy ze spódnicy i podchodzi do mnie. - Dziękuję za wszystko, Tess. Głowa do góry, a w razie czego łap za telefon.

- Wiem, Rita. Dobrze, że wszystko się ułożyło.

- Ja też się cieszę. Łyso mi było bez tego bałwana! Maddy też wstaje. Zarzucam jej ręce na szyję.

- Powodzenia z książką, Mad. Czuję, że wszystko zmierza ku lepszemu. - Mówię szczerze. Jedno jest pewne: Fergus Griggs nie siedzi już jej na karku. Jednak za nic nie powiem tego głośno.

Jest rozdygotana, ale dzielna.

- Tak. Przede mną nowe życie, co? Przytulam ją mocniej.

- Będiesz sławna. Nie zapomnij o mnie i o Ricie, kiedy będziesz w Ritzu popijać herbatkę ze swoim agentem, dobrze?

- Proszę cię, przestań. Nie powinnam była wam mówić. Jeśli nic z tego nie wyjdzie...

- A co za różnica? - mówi Rita. - Co za różnica, pytam? Najważniejsze, że spróbowałaś. Wszystkie spróbujemy, nie?

Kiedy zamykam za nimi drzwi i zatapiam się w ciepłej atmosferze Arkadii, wiem, że droga, rozciągająca się przede mną, nie może być tak wyboista jak ta, którą przebyłam w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Przynajmniej tyle dobrego mogę powiedzieć. Nie ma co liczyć na cud.

Mimo to czuję się silna i spokojna, może dlatego, że się wyspałam, a może po prostu zobaczyłam skutki pewnego rozbitego nosa.

A może jestem silniejsza niż na początku.

Pani Byrne nuci do wtóru piosenki z radia. Coś spada jej na podłogę. Coś tłukącego. Słyszę krzepiący odgłos zamiatanych skorup.

Przez okno obok frontowych drzwi widzę Toma. Stoi na podjeździe i cierpliwie uczy suczkę aportować. Ma twardy orzech do zgryzienia.

A Jack? Gdzie jest Jack? Nie mam pojęcia, ale na pewno nic mu nie grozi.

Pani Byrne sprzątnęła potłuczone skorupy. Podchodzę do futerału wiolonczeli, symbolu czegoś znacznie ważniejszego niż chęć powrotu do dawnego hobby. Czy Jerry i ja przetrwamy jako małżeństwo? Czas pokaże, choć gdybym miała się założyć, szanse byłyby większe niż pół na pół. Niezbyt to romantyczne, lecz w naszym wieku liczą się fundamenty albo podstawa. Jak zwał, tak zwał. Możecie to nazwać miłością.

Cokolwiek się wydarzy, mam Arkadię. Ale cóż znaczy zwykły dom? To chyba najważniejsza lekcja. Arkadia czy rodzina? Odpowiedź nie budzi wątpliwości.

Patrzę na otwarte drzwi do pokoju telewizyjnego. Oczami wyobraźni widzę ojca: siedzi na kanapie z egzemplarzem „Irish Independent” pod pachą. Nie pozwoli mi upaść. Zawsze lubił i szanował Jerry'ego. Zawsze mnie kochał.

Ojciec mnie kochał. Kochają mnie synowie i mąż, jak sędzę.

Kocham i jestem kochana.